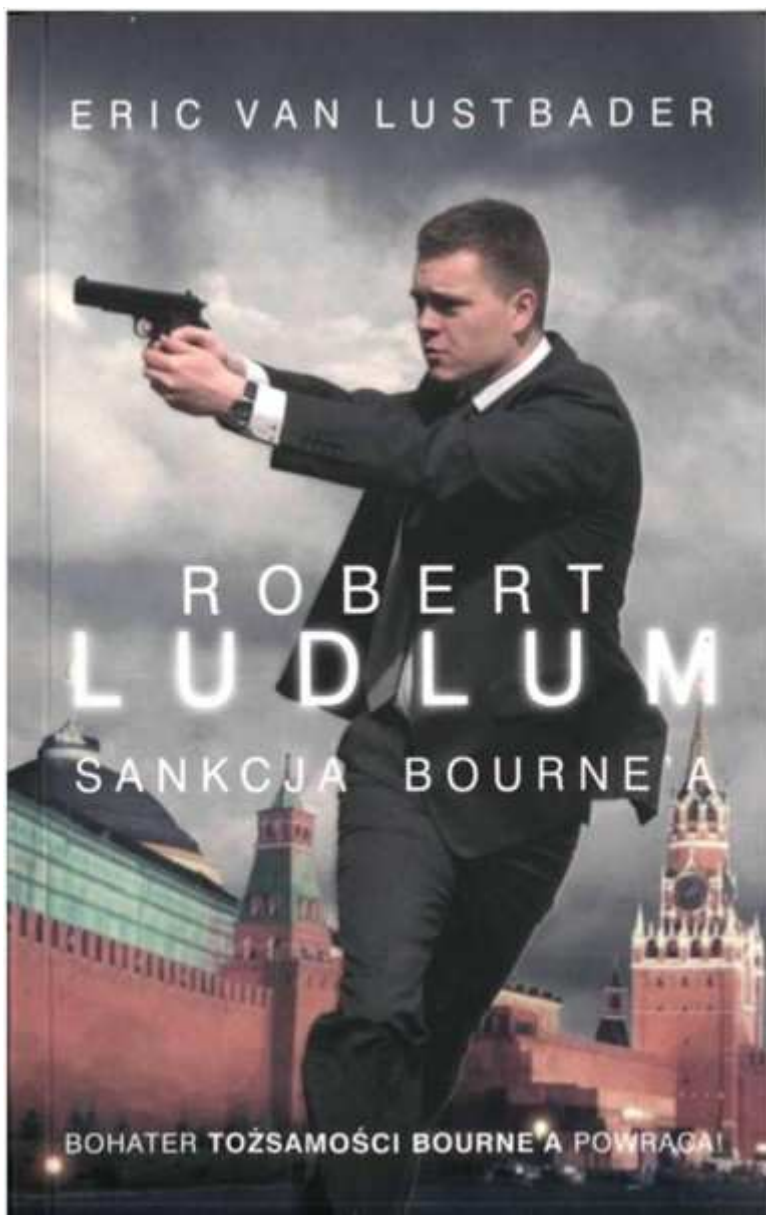


ERIC VAN LUSTBADER

ROBERT
LUDLUM
SANKCJA BOURNE'A

BOHATER TOŻSAMOŚCI BOURNE'A POWRAGA!





Choć **Robert Ludlum** – twórca i niedościgły mistrz gatunku nazywanego „thrillerem spiskowym” – zmarł kilka lat temu, nadal powstają powieści sygnowane jego nazwiskiem. Pisarz pozostawił bowiem szkice i konspekty przyszłych książek. Grono jego wiernych czytelników nie maleje. Wręcz przeciwnie – za sprawą niezwykle udanego cyklu ekranizacji powieści o Jasonie Bourne z Mattem Damonem w roli tytułowej, **Tożsamość Bourne’a**, **Krucjata Bourne’a** i **Ultimatum Bourne’a**, stale się powiększa. W 2010 na ekrany kin wejdzie kolejna ekranizacja prozy Ludluma – **Testament Matarese’a** z Tomem Cruise’em i Denzelem Washingtonem, a w 2011 – **Rękopis Chanceliora** z Leonardem DiCaprio.



ROBERT
LUDLUM

ERIC VAN LUSTBADER

SANKCJA BOURNE'A

Z angielskiego przełożył KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI

Tytuł oryginału:
THE BOURNE SANCTION

Copyright © The Estate of Robert Ludlum 2008 All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009
Polish translation copyright © Krzysztof Sokołowski 2009

Redakcja: Dorota Stańczak
Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz
Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-939-0

Dystrybucja
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe
www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Dla Dana i Lindy Jariabka,

z podziękowaniem i wyrazami miłości

Dziękuję

Nieustraszonym reporterom „The Exile”. Przygody Bourne’a w Moskwie i historia Arkadina w Niżnym Tagile nie zdarzyłyby się bez ich pomocy.

Greggowi Winterowi za zainteresowanie mnie logistyką transportu gazu naturalnego.

Henry’emu Morrisonowi za pomysły, którymi tryska dniem i nocą.

Uwaga dla czytelników

W moich powieściach próbuję trzymać się faktów tak blisko jak to tylko możliwe, lecz przecież owe historie są przede wszystkim dziełem wyobraźni. By uczynić ich lekturę jak najbardziej ekscytującą, tu i tam korzystam z dobrego prawa twórcy. Dotyczy to postaci, przedmiotów, a możliwe, że nawet czasu.

Ufam, że moi czytelnicy przymkną oko na te drobne anomalie i będą się cieszyć lekturą.

Prolog

Kolonia Karna o Zaostrzonym Rygorze 13, Niżny Tagił, Rosja; Campione d'Italia, Szwajcaria

Czterej więźniowie czekali na pojawienie się Borii Maksa oparci o brudne kamienie muru; chłód ściany już dawno przestał im dokuczać. Na więziennym spacerniaku palili drogie, czarnorynkowe papierosy z ostrego, ciemnego tureckiego tytoniu, i rozmawiali swobodnie, jakby nie mieli do roboty nic lepszego, niż wciągać w płuca gryzący dym i wydmuchiwać go kłębami zamarzającymi w lodowatym powietrzu. Nad ich głowami rozciągało się bezchmurne niebo, pełne błyszczących gwiazd, czyniących z niego bezkresną, niezgłębioną emaliowaną muszlę. Wielki Wóz, Ryś, Psy Gończe, Perseusz... te same konstelacje płonęły na niebie nad Moskwą, niemal tysiąc kilometrów na południowy wschód stąd, a jednak jakże różniło się życie w kolonii karnej od krzykliwych, przegrzanych klubów Tregornego Wału czy Sadowniczeskiej.

W dzień więźniowie produkowali części do imponującego czołgu T-90, a nocą? O czym mogą rozmawiać mężczyźni nie mający sumienia, nie znający uczuć? Może to dziwne, lecz... o rodzinie. Ich poprzednie życie definiowały stabilność, powrót do domu, żony, dzieci, obecne zaś — potężne ściany Kolonii o Zaostrzonym Rygorze 13. Wiedzieli

tylko, jak zarabiać: za pomocą kłamstwa, oszustwa, kradzieży, wymuszenia, szantażu, tortur, morderstwa. Byli w tym bez wątplenia dobrzy, w przeciwnym razie byliby martwi. Żyli poza cywilizacją, jaką zna większość ludzi. Powrót do ciepłej, kochającej, znajomej kobiety, domowe zapachy: słodkich buraków, gotowanej kapusty, duszonego mięsa, paląca żywym ogniem pieprzówka... wspomnienie komfortu domowego życia budziło w nich nostalgię. Nostalgia wiązała ich tak pewnie i mocno jak tatuaże, typowe dla uprawianych przez nich mrocznych zawodów.

Mroźne powietrze przeszył cichy gwizd i wspomnienia mężczyzn zgasty; znikły jak olejna farba, gdy połać ją terpentyną. Noc straciła całą swą wyimaginowaną urodę i wraz z pojawieniem się Borii Maksa stała się znowu granatowoczarna.

Maks był wielkim facetem. Co dzień przez godzinę podnosił ciężary, przez półtorej godziny skakał na skakance, i tak od pierwszego dnia pobytu w obozie. Jako zawodowy morderca na etacie Kazachów, oddziału rosyjskiej grupperowki, zajmującej się handlem narkotykami i kradzionymi, przemycanymi samochodami, cieszył się swego rodzaju szacunkiem tysiąca pięciuset więźniów Kolonii 13. Strażnicy bali się go i gardzili nim. Reputacja wyprzedzała go jak cień o zachodzie słońca. Było w nim coś z oka cyklonu, wokół którego wirują wichry gwałtu i śmierci — piątego członka grupy liczącej w tej chwili czterech mężczyzn. Bo, Kazach nie Kazach, Maks musiał zapłacić za to, co zrobił. Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli Boria pozostanie bezkarny, ich dni w obozie są policzone.

Uśmiechali się. Jeden z nich poczęstował Maksa papierosem, inny pochylił się, podał mu ognia, złożonymi dłońmi chroniąc przed wiatrem płomyk zapałki. Trzeci i czwarty chwycili Borię za stalowe ramiona. Ten pierwszy, przed chwilą trzymający papierosy, teraz miał w rękę własnej roboty nóż, mozolnie wyostrzony w więziennych warsztatach i wymierzony w splot słoneczny przeciwnika. Dosłownie w ostatniej

chwili Maks zdołał go odtrącić doskonale wymierzonym uderzeniem ręki. Niemal w tym samym momencie mężczyzna podający ognia potężnym hakiem trafił go w podbródek.

Maks zatoczył się, uderzył plecami o piersi dwóch więźniów, którzy nadal próbowali unieruchomić mu ramiona. Wykorzystał okazję, z całej siły przydepnął lewą nogą stopę jednego z napastników, a jednocześnie uwolnił lewą rękę, obrócił się i zgiętym łokciem zdzielił mężczyznę po prawej stronie. Odzyskał swobodę ruchów, przypadł do muru, osłonił tyły. Zyskał na bezpieczeństwie, lecz czterech przeciwników zaatakowało bez wahania. Pierwszy szedł ten z nożem, któryś wsunął na palce kastet: kawałek wygiętego metalu.

Rozpoczęła się walka: stęknienia bólu i wysiłku, rzeki potu, plamy krwi. Maks był mężczyzną równie potężnym jak przebiegłym; jego reputacja okazała się w pełni zasłużona, lecz chociaż odpłacał ciosem za cios, miał przeciw sobie czterech zdeterminowanych przeciwników. Rzucił na kolana jednego, jego miejsce zajmował następny, z dwoma musiał walczyć bez chwili przerwy, dwóch innych przegrupowywało się i próbowało odzyskać siły. Żaden z nich nie miał złudzeń; nie spodziewali się, że pójdzie im łatwo, że Borię da się pokonać w pierwszym, no, może w drugim ataku. Zakładali, że będą się zmieniać i dzięki temu wreszcie go zmęczą. Oni mogli pozwolić sobie na przerwy, on nie.

Mogło się wydawać, że ich taktyka jest skuteczna. Zakrwawieni, posiniaczeni nie ustępowali przecież ani na krok, aż jeden z nich dostał kantem dłoni w krtań; był to ten, który jeszcze przed chwilą trzymał nóż. Zatoczył się w ramiona przyjaciół, rżąc i walcząc o oddech jak wyrzucona na brzeg ryba; miał zmiążdżoną chrząstkę pierścieniową. Maks zdążył wyrwać mu z dłoni nóż, nim facet wyrócił oczy i osunął się martwy na beton. Zaślepieni furją i żądzą krwi pozostali trzej rzucili się na niego jak wściekli.

Gwałtowność tego ataku omal się im nie opłaciła. Niewiele brakowało, a przedarliby się przez obronę Borii... gdyby nie walczył równie

spokojnie jak skutecznie. W ciemności błysnęły potężne mięśnie; odwrócił się do nich lewym bokiem, dzięki temu stanowił mniejszy cel. Ciął nożem szybko, zręcznie, pozostawiając niewielkie, płytkie, lecz obficie krwawiące rany. Była to skuteczna obrona przed taktyką walki na wyczerpanie; zmęczenie to jedno, upływ krwi to coś całkiem innego.

Kolejny napastnik skoczył ku niemu, poślizgnął się we własnej krwi i upadł uderzony w głowę. Sam cios spowodował wyłom w obronie; wykorzystał go więzień z kastetem, zadając potężny cios w bok szyi. Maks stracił równocześnie siły i oddech. Napastnicy wybijali mu na ciele tatuaż ran i sińców, kiedy z ciemności wyłonił się strażnik, dołączył do walki, zmusił napastników do cofania się wprawnymi ciosami pałki, broni niszczycielskiej w stopniu, któremu nie mógł dorównać kawałek zaostzonego metalu. Pękł czyjś bark, ktoś upadł z wgniecioną czaszką, jeszcze inny więzień próbował ucieczki; zatrzymał go zmiążdżony celnym uderzeniem trzeci krąg lędźwiowy.

— Co ty wyprawiasz? — wydyszał Maks, próbując opanować oddech. — Byłem pewien, że sukinsyny przekupiły wszystkich strażników.

— Przekupiły. Tędy. — Strażnik chwycił go za łokieć, wskazał kierunek lśniącem końcem pałki.

Boria spojrzał na niego, mrużąc oczy.

— To nie jest droga do cel.

— Chcesz się stąd wynieść czy nie?

Więzień skinął głową, jakby odpowiadał twierdząco, choć z wahaniem. Boria i jego wybawca pobiegli przez spaceriak. Strażnik przez cały czas trzymał się blisko muru, więzień robił to samo. Zauważył, że poruszają się w pewnym określonym rytmie, dzięki czemu unikają promieni ruchomych reflektorów. Pewnie nawet zaczęłyby się zastanawiać, kim właściwie jest ten facet, ale nie miał na to czasu. A poza tym mógł się spodziewać czegoś w tym rodzaju. Wiedział, że jego szef, głowa Kazachów, nie zostawi go, żeby gnił w Kolonii 13, jeśli nie z

sympatii, to dlatego, że był po prostu zbyt cenny. Bo i któż byłby w stanie zastąpić Borię Maksa? Istniał tylko jeden taki człowiek: Leonid Arkadin. Ale Arkadin — kimkolwiek był, nikt ze znajomych Borii nigdy go nie spotkał, nie widział nawet jego twarzy — nie pracowałby dla Kazachów ani dla żadnej innej rodziny; był wolnym strzelcem, ostatnim przedstawicielem ginącego gatunku. Jeśli w ogóle istniał, w co Boria, szczerze mówiąc, wątpił. Dorastał wśród opowieści o wszelkiego rodzaju potworach. Z jakiegoś nieznanego powodu Rosjanie uwielbiają straszyc dzieci, Maks jednak nigdy nie wierzył w te historie i nigdy się ich nie bał. Nie miał powodu, by bać się akurat tego upiora, Leonida Arkadina.

Strażnik otworzył drzwi umieszczone w połowie jednej ze ścian. Zniknęli w nich w ostatniej chwili; gdy tylko drzwi się zamknęły, promień światła padł na mur w miejscu, gdzie stali jeszcze przed sekundą.

Ruszyli skrzęcającym kilkakrotnie korytarzem i znaleźli się w drugim, prowadzącym do łaźni. Można się było tylko domyślać, w jaki sposób zamierzają ominąć stanowiska wartownicze.. Maksowi nie chciało się marnować energii na zgadywanie, co jego przewodnik sądzi i planuje. Na razie doskonale sobie radził, czemu więc teraz miałoby się to zmienić? Wydawało się oczywiste, że strażnik jest zawodowcem. Dokładnie zbadał kolonię, no i z pewnością miał za sobą kogoś rzeczywiście wpływowego. Bez jego pomocy, po pierwsze, by tu nie trafił i, po drugie, nie miałby wszędzie swobodnego dostępu. Wszystko wskazywało na to, że ów człowiek działał na polecenie szefa.

Zbliżali się do łaźni. Boria postanowił przerwać milczenie.

— Kim jesteś? — spytał.

— Nieważne, kim jestem. Ważne, kto mnie przysłał.

Nienaturalna cisza więziennej nocy sprawiała, że Maks dostrzegał i słyszał wszystko. Strażnik posługiwał się nienagannym rosyjskim, ale uważnemu spojrzeniu Borii nie umknął fakt, że jego wybawca nie wygląda ani na Rosjanina, ani na Gruzina, Czeczeńca, Ukraińca czy Azera.

Według jego standardów był niewysoki, zresztą jak wszyscy w porównaniu z Maksem, jednak ciałem posługiwał się w sposób zbliżony do doskonałości. Reagował z szybkością błyskawicy. Emanował nadnaturalnym spokojem w pełni kontrolowanej energii. Poruszał się wyłącznie wtedy, gdy musiał, a i wówczas wkładał w ruch tylko tyle siły, ile wydawało się niezbędne. Pod tym względem byli bardzo podobni, więc Borii łatwo było dostrzec to, czego inni nie umieliby zobaczyć. Oczywiście jasne, był poważny, niemal obojętny, jak chirurg na sali operacyjnej. Jasne, gęste na wierzchu głowy włosy przycięte miał w sposób, który Borii byłby nieznanym, gdyby nie jego zamiłowanie do zachodnich magazynów i filmów. Prawdę mówiąc, gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałby, że strażnik jest Amerykaninem. Ale nie, to przecież nierealne. Szef nie zatrudniał Amerykanów, tylko włączał ich do współpracy.

— A więc wysłał cię Masłow? — Dimitrij Masłow był szefem Kazachów. — Najwyższy, kurwa, czas. Tutaj piętnaście miesięcy to jak pieprzone piętnaście lat!

Znaleźli się w łaźni. Strażnik, nie fatygując się nawet wykonaniem pełnego obrotu, uderzył Borię pałką w skroń. Maks, niebotycznie zdumiony, zatoczył się na nagiej betonowej podłodze, śmierdzącej stęchłą, środkiem dezynfekującym i mężczyznami nie znającymi pojęcia higieny.

Facet podszedł do niego z taką nonszalancją, jakby był na spacerze z przytuloną do ramienia dziewczyną. Uderzył po raz drugi niedbale, niemal leniwie. Mierzył w lewy biceps; cios był mocny tylko na tyle, by odrzucić Maksa na wilgotną betonową ścianę pod rząd pryszniców. Ale Boria nikomu nie pozwalał się tak traktować, ani strażnikom, ani komukolwiek innemu, i kiedy pałka zaczęła opadać, zrobił krok w przód, zablokował cios ramieniem. Raz przełamawszy linię obrony przeciwnika, mógł się już brać do roboty w sposób najbardziej odpowiadający sytuacji.

W lewej dłoni trzymał nóż zdobyty w bójce ze współwięźniami. Pchnął nim, a kiedy strażnik uczynił taki ruch, jakby chciał zablokować

cios, ciął w górę, tak by ostrze swą długością rozdarło ciało. Mierzył w nadgarstki od spodu, w splot arterii, który raz przecięty czynił dłoń nieużyteczną. Ale strażnik potrafił reagować równie błyskawicznie jak on i nóż przeciął nie ciało, lecz rękaw skórzanej kurtki. Boria miał jeszcze czas, by pomyśleć, że kurtka jest pewnie wyłożona kevlarom lub innym nieprzenikliwym materiałem, i twardy, pokryty odciskami kant dłoni napastnika wytrącił mu nóż. Kolejny cios odrzucił go o kilka kroków. Maks potknął się o dziurę ściekową, pięta mu w niej uwięzła, kopnięcie strażnika trafiło w kolano. Rozległ się trzask i przeraźliwy chrzęst kości ocierającej się o kość.

Prawa noga Borii Maksa ugięła się pod ciężarem jego ciała. Strażnik podszedł do niego powoli.

— To nie Dimitrij Masłow mnie przysłał, tylko Piotr Zilber.

Boria rozpaczliwie próbował uwolnić stopę, której nawet nie czuł.

— Nie wiem, o kim mówisz — stęknął.

Strażnik chwycił go za koszulę na piersiach.

— Zabiłeś mu brata. Aleksieja. Strzałem w tył głowy. Znaleźli go pływającego twarzą w dół w rzece Moskwa.

— To był... biznes. Tylko biznes.

— Dobrze, niech będzie. Ale to... jest sprawa osobista.

Kolano trafiło Borię wprost w jądra, sprawiając, że zwinął się wpół, lecz kiedy strażnik zaczął go podnosić, uderzył czubkiem głowy w jego podbródek. Krew z przeciętego języka spłynęła przez zęby na brodę.

Maks wykorzystał chwilową przewagę i zadał cios pięścią w plecy, tuż nad nerką. Widział, jak rozszerzają się oczy strażnika; była to jedyna oznaka bólu. W zamian otrzymał potężnego kopniaka w strzaskane kolano. Padł i już nie miał siły wstać. Tonął w bólu jak w oceanie, próbował jakoś nad nim zapanować, by stał się znośniejszy, lecz otrzymał kolejnego kopniaka. Wyraźnie czuł pęknięcie żeber. Głowa opadła mu na cuchnącą betonową podłogę. Leżał półprzytomny, niezdolny wstać.

Strażnik przykucnął obok niego. Grymas na jego twarzy sprawił Borii niemałą przyjemność, ale ten drobiazg miał być jego jedyną pociechą.

— Mam pieniądze — westchnął ledwie dosłyszalnie. — Zakopane w bezpiecznym miejscu. Nikt ich nie znajdzie. Wyciągnij mnie stąd, to cię poprowadzę. Dostaniesz połowę. Przeszło pół miliona amerykańskich dolarów.

Udało mu się tylko zdenerwować człowieka, który go pokonał. Otrzymał cios w ucho, po którym przed oczami zabłyśły mu gwiazdy. Jego głowa pulsowała bólem, który dla każdego innego człowieka byłby nie do zniesienia.

— Myślisz, że jestem jak ty? Że nie wiem, co to lojalność? — Strażnik splunął mu w twarz. — Biedny Boria. Zabijając tego chłopca, popełniłeś poważny błąd. Ludzie tacy jak Piotr Zilber nie zapominają. I jeśli czegoś naprawdę chcą, poruszają niebo i ziemię, żeby to osiągnąć. Mają środki.

— W porządku. — Maks mógł już tylko szeptać. — Bierz wszystko. Ponad milion.

— Piotr Zilber skazał cię na śmierć. Tylko tyle mam ci do powiedzenia. No i oczywiście cię zabiję. — Wyraz twarzy strażnika zmienił się nieznacznie, lecz wyraźnie. — Ale najpierw...

Chwycił pokonanego za lewe ramię i unieruchomił je, przydepnijąc mu nadgarstek. Z kieszeni wyjął solidnie wyglądający sekator do przycinania roślin. Ten widok obudził Borię z wywołanego nieznośnym bólem letargu.

— Co ty wyprawiasz?

Strażnik nie marnował czasu na odpowiedź. Chwycił go za kciuk, na którym od spodu wytatuowana była czaszka, pomniejszona kopia tej, którą Boria nosił na piersi. Symbolizowała ona jego wysoki status w świecie morderców.

— Zilber nie tylko chce, żebyś wiedział, kto kazał cię zabić. Wymaga także dowodu śmierci — oznajmił. Włożył kciuk pomiędzy ostrza sekatora, ścisnął rączkę. Ofiara zabulgotała cicho; ów dźwięk przypominał taki, jaki wydają dzieci. Po wszystkich kat postąpił jak rzeźnik:

owinał odcięty palec w nawoskowany papier, założył gumową opaskę, wrzucił pakunek do plastikowej torby.

— Kim jesteś? — zdołał jeszcze wyszeptać Boria Maks.

— Nazywam się Arkadin. — Strażnik rozpiął koszulę. Na piersi wytatuowane miał dwa świeczniki. — Dla ciebie: Śmierć.

Pełnym gracji ruchem skręcił ofierze kark.

Słońce rzeńskiego alpejskiego poranka oświetliło Campione d'Italia, maleńką, lecz wykwinną enklawę wielkości dwóch kilometrów kwadratowych, otoczoną niemal doskonałym krajobrazem Szwajcarii. Dzięki wyjątkowemu położeniu nad wschodnim brzegiem jeziora Lugano ta okolica zdumiewała pięknnością, a jednocześnie była idealnym miejscem zamieszkania. Podobnie jak Monako Campione d'Italia stała się rajem podatkowym bogaczy, właścicieli wspaniałych willi spędzających wolny czas w Casino d'Campione. Pieniędzmi i kosztownościami zajmowały się szwajcarskie banki cieszące się zasłużoną sławą dyskretnych i doskonale bronionych przed wścibstwem sił prawa i porządku.

Właśnie to miejsce, nie nazbyt słynne, wręcz idylliczne, Piotr Zilber wybrał na pierwsze osobiste spotkanie z Leonidem Arkadinem. Skontaktował się z nim przez pośrednika; ze względów bezpieczeństwa nie powinien być z nim w żaden sposób powiązany. Od najwcześniejszego dzieciństwa Piotr wiedział, że nie istnieje coś takiego jak nadmierna ostrożność. Odpowiedzialność przytłacza człowieka urodzonego w rodzinie kryjącej tajemnice.

Z wyniesionego wysoko punktu widokowego, położonego blisko Via Totone, Zilber miał wspaniałą, wręcz zapierającą dech w piersiach widok na czerwonobłękitne dachy chat i bloków mieszkalnych, wysadzone palmami place miasteczka, ciemnoniebieskie wody jeziora i góry o szczytach ustrojonych grzywami chmur. Kiedy tak siedział w swym

szarym bmw, w rozmyślaniach przeszkadzał mu tylko dobiegający od czasu do czasu warkot motorówek pozostawiających po sobie krzywe szable białej piany. A miał o czym myśleć. Zdobył kradziony dokument i wysłał go swą siecią w długą podróż do celu.

Pobyt tu podniecał go w bardzo niezwykły sposób. Oczekiwanie na to, co miało nastąpić, na pochwały — w tym te najważniejsze: od ojca — przesywało go niczym prąd elektryczny. Jeszcze chwila, a odniesie niewyobrażalne zwycięstwo. Arkadin zadzwonił do niego z moskiewskiego lotniska z informacją, że operacja zakończyła się sukcesem i że ma przy sobie wymagany dowód jej powodzenia.

Polowanie na Maksa niosło ze sobą pewne ryzyko, lecz przecież ten człowiek zamordował Zilberowi brata. Czyżby ktoś spodziewał się, że na wieść o tym Piotr nadstawi drugi policzek? Zapomni o obeldze? Lepiej niż inni rozumiał stanowcze polecenie ojca: pozostawać w cieniu, nie wychylać się, nie opuszczać kryjówek. Uznał jednak, że ten jeden akt zemsty wart jest ryzyka. No a poza tym, wzorem ojca, wszystko załatwił przez pośredników.

Usłyszał niski warkot silnika samochodowego. Odwrócił się. Do punktu widokowego zbliżał się ciemnoniebieski mercedes.

Wielkimi krokami nadchodziła jedyna naprawdę ryzykowna część operacji; Piotr zdawał sobie sprawę z tego, że nie może nic na to poradzić. Jeśli Leonid Arkadin potrafił zinfiltrować Kolonię 13 w Niżnym Tagile i zabić Borię Maksa, był idealnym kandydatem do wykonania następnej zaplanowanej przez niego roboty. Tej, którą wiele lat temu powinien był wykonać ojciec. Teraz syn miał okazję doprowadzić do końca to, czego z obawy o skutki nie załatwił on. Do odważnych świat należy. Zdobyty dokument dowodził, że dziś już nie pora na ostrożność.

Mercedes zatrzymał się przy bmw. Wysiadł z niego mężczyzna o jasnych włosach i jeszcze jaśniejszych oczach, poruszający się z siłą i zręcznością tygrysa. Nie był ani szczególnie wysoki, ani zbudowany tak potężnie jak większość ludzi pracujących dla rosyjskiej grupperowki,

niemniej promieniował doskonale kontrolowanym, groźnym poczuciem siły, co wręcz zaimponowało Piotrowi. Od najmłodszych lat obracał się w towarzystwie niebezpiecznych mężczyzn. Miał jedenaście lat, kiedy zabił zagrażającego matce człowieka... i zrobił to bez zmrużenia oka. Gdyby się zawahał tego dnia, na bazarze w Azerbejdżanie, jego matka zginęłaby z rąk skrytobójcy. Owego człowieka, tak jak wielu innych pojawiających się w następnych latach, wysyłał Siemion Ikupow, zaciekle wróg i nemezis ojca, w tej chwili siedzący bezpiecznie w swej willi na Viale Marco Campione, może kilometr od miejsca, w którym Zilber spotykał się właśnie z Leonidem Arkadinem.

Nie podali sobie ręki, nie zwracali się do siebie po imieniu. Arkadin wyjął z mercedesa stalową walizeczkę, którą przysłał mu Piotr. Zilber wyjął z bmw identyczną. Postawili je obok siebie, otworzyli obie. W jednej znajdował się porządnie zapakowany kciuk, w drugiej trzydzieści tysięcy dolarów w diamentach, jedynej walucie, w której płatny zabójca przyjmował wynagrodzenie.

W tej chwili czekał cierpliwie. Jego zleceniodawca odpakował łup, patrząc na jezioro, jakby marzył o tym, żeby znaleźć się na jednym z motorowych jachtów, tnących przezroczystą toń, oddalających się od brzegu. Kciuk Borii Maksa skurczył się nieco w podróży z Rosji, wydzielając też nieprzyjemny zapach, dość znany Zilberowi; zdarzało mu się już chować członków rodziny i krajanów. Obrócił się tak, by słońce padało na tatuaż, przyjrzał mu się przez szkło powiększające, które ze sobą przywiózł. Na wszelki wypadek.

— To była trudna sprawa? — zapytał po długiej chwili milczenia.

Arkadin odwrócił się, przez chwilę patrzył mu prosto w oczy.

— Nieszczerólnie — odparł krótko.

Piotr skinął głową. Wyrzucił kciuk za barierkę punktu widokowego, za nim poleciała walizka. Arkadin, biorąc to za potwierdzenie, że warunki umowy zostały spełnione, zajrzał do woreczka z diamentami.

Wyjął jeden z drogocennych kamieni, sięgnął do kieszeni po lupę jubilerską, obejrzał go z prawdziwym znanstwem. Skinął głową zadowolony z czystości i barwy klejnotu.

— Co myślisz o zarobieniu potrójnej stawki? — spytał Piotr.

Arkadin pozostał nieporuszony.

— Jestem bardzo zajęтым człowiekiem — powiedział obojętnym głosem. Rozmówca skłonił głowę z szacunkiem.

— Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

— Przyjmuję wyłącznie zlecenia, które mnie zainteresują.

— Czy Siemion Ikupow jest wart zainteresowania?

Płatny zabójca stał nieruchomo. Minęły ich dwa sportowe samochody, kierowcom wydawało się chyba, że są na torze Le Mans. Nie umilkło jeszcze echo niskiego ryku ich silników, kiedy powiedział:

— To bardzo wygodne, że znajdujemy się właśnie na terenie małego księstwa, w którym mieszka Siemion Ikupow.

Piotr się uśmiechnął.

— No właśnie. Doskonale wiem, jak bardzo zajęтым jesteś człowiekiem.

— Dwieście tysięcy. Na zwykłych warunkach.

Zilber spodziewał się takiego wyniku negocjacji. Zgodę wyraził skinieniem głowy.

— Tylko w przypadku natychmiastowej dostawy.

— Zgoda.

Bagażnik bmw szcęknał cicho. Znajdowały się w nim dwie walizki. Z pierwszej Piotr wyjął sto tysięcy dolarów; diamenty trafiły do walizeczki Arkadina leżącej na dachu mercedesa. W drugiej były papiery, w tym mapa satelitarna z zaznaczoną posiadłością Ikupowa, lista zatrudnianych przez niego ochroniarzy i zestaw planów architektonicznych, wśród których znalazł się schemat połączeń elektrycznych ze szczególnym uwzględnieniem zasilania awaryjnego i dokładnym rozmieszczeniem czujników.

— Ikupow jest na miejscu — powiedział jeszcze Zilber. — Spóśb, w jaki dostaniesz się do środka, to już, oczywiście, nie moja sprawa.

— Będę w kontakcie.

Arkadin uważnie przejrzał dokumenty, zadał kilka pytań, po czym położył papiery na wierzchu walizeczki, na diamentach. Zamknął ją, przeniósł i rzucił na siedzenie pasażera, jakby nic nie ważyła, jakby wypełniały ją balony.

— Jutro, tutaj, o tej samej porze — pożegnał go Piotr.

Silnik mercedesa szumiał cicho. Arkadin włączył bieg, wyjechał na drogę. Zadowolony Piotr Zilber ruszył w stronę swojego bmw. Zgrzyt hamulców i pisk opon po asfalcie całkowicie go zaskoczyły. Kiedy się odwrócił, zobaczył mercedesa jadącego wprost na niego. Znieruchomiał zdumiony. Co, do diabła, wyprawia ten człowiek? Zaczął biec, ale było już za późno. Przedni zderzak mercedesa uderzył go, przycisnął do boku bmw. Oszołomiony, tracący przytomność ze strasznego bólu, zdołał jeszcze dostrzec, jak Arkadin wysiada z samochodu, zbliża się do niego powoli.

Poczuł, jak coś w jego ciele pęka, po chwili ogarnęła go zupełna ciemność.

Przytomność odzyskał w wyłożonym drewnem gabinecie, pełnym błyszczącego mosiężnego wyposażenia; na podłogach leżały isfahańskie kobierce barwy najróżniejszych klejnotów. Z pozycji, w jakiej się znajdował, mógł widzieć jeszcze biurko z orzecha wraz z fotelem i ogromne okno, za oknem zaś jezioro Lugano, a dalej góry pokryte zasłoną delikatnej mgły. Słońce wisiąco nisko na zachodzie, rzucając na płaszczyznę wody cienie koloru sińców sięgające białych ścian Campione d'Italia.

Przywiązano go do prostego drewnianego krzesła nie pasującego do tego luksusowego wnętrza niemal tak jak on. Spróbował odetchnąć głęboko i aż westchnął z bólu. Spojrzał w dół; pierś miał ciasno owiniętą bandażem. Zrozumiał, że co najmniej jedno żebro ma złamane.

— Wreszcie wróciłeś z krainy zmarłych — powiedział ktoś. — A już się martwiłem, że ci się to nie uda.

Piotr cierpiał, nawet odwracając głowę. Wydawało mu się, że każdy mięsień jego ciała płonie. Ale ciekawości nie sposób mu było odmówić; przygryzł wargi i powoli wykręcał szyję, aż wreszcie przed jego oczami pojawiła się sylwetka mężczyzny, niewysokiego i przygarbionego. Okulary zasłaniały jego wielkie, wodniste oczy. Na brązowej czaszce, pomarszczonej i pobrużdżonej jak pastwisko, nie było ani jednego włosa; jakby nadrabiając swe niedopatrzenie, natura wyposażyła go za to w wyjątkowo obfite brwi otaczające oczy wysokim łukiem. Wyglądał jak karykatura chytrego lewentyńskiego handlarza.

— Siemion Ikupow — powiedział Piotr.

Rozkaszał się. Wargi miał sztywne, jakby ktoś wypełnił mu usta watą. Czuł słonowodziany smak krwi. Przełknął z trudem.

Ikupow mógł przesunąć się tak, by Piotr nie musiał wykręcać głowy, ale pozostał na swoim miejscu. Rozwinął gruby arkusz papieru i przyjrzał mu się ciekawie.

— Wiesz, te plany są tak dokładne, że o własnym domu dowiaduję się z nich rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Na przykład pod piwnicami jest jeszcze jeden poziom. — Przesunął po planach krótkim, grubym paluchem. — Podejrzewam, że trzeba by wiele pracy, żeby się do nich dostać, ale kto wie, może i warto? — Nagle podniósł głowę, przeszył Zilbera spojrzeniem. — Na przykład można byłoby uwięzić cię właśnie tam. Wydaje się niemal pewne, że nawet mój najbliższy sąsiad nie usłyszałby, jak krzyczysz. — Uśmiechnął się, zdradzając, na czym skupia się cała jego energia. — A będziesz krzyczał, Piotrze. To ci mogę obiecać. — Poruszył głowę, najwyraźniej szukał kogoś wzrokiem. — Nie myślę się, prawda, Leonidzie?

Przed oczami Zilbera pojawił się Leonid Arkadin. Jedną ręką chwycił go za głowę, palce drugiej wbił w mięśnie szczęki. Zmusił go do otwarcia ust, długo przyglądał się zębom. Zilber wiedział, że szuka tego fałszywego, z kapsułką śmiertelnej trucizny. Cyjanku potasu.

— Wszystkie jego — oznajmił w końcu morderca.

Bardzo ciekawe — powiedział z zastanowieniem Ikupow — Jakim cudem udało ci się zdobyć te plany?

Jeniec w milczeniu czekał, aż topór spadnie na jego szyję, tylko nagle zaczął drżeć na całym ciele tak gwałtownie, że aż dzwonił zębami. Ikupow skinął na Arkadina, który otulił ciało więźnia grubym kocem. Sam przystawił sobie krzesło z drzewa wiśni i usiadł naprzeciw Zilbera. Mówił tak, jakby nie spodziewał się odpowiedzi.

— Muszę przyznać, że wykazałeś się niezwykłą inicjatywą. Bystry chłopak wyrósł na bystrego mężczyznę. — Wzruszył ramionami. — Wcale mnie to nie zaskakuje. A teraz posłuchaj: wiem, kim naprawdę jesteś. Myślałeś, że mnie oszukasz tymi ciągłymi zmianami nazwiska? Prawda wygląda następująco: wsadziłeś łapę w gniazdo os, nie powinieneś więc się dziwić, że cię użądła. I to nie raz. Nie jeden raz. — Pochylił się na krzesło. — Niezależnie od tego, jak bardzo gardzimy sobą nawzajem, twój ojciec i ja, dorastaliśmy razem i kiedyś byliśmy sobie bliscy jak bracia. A więc, z szacunku dla niego, nie będę cię okłamywał. Ten twój śmiały wypad na nasze terytorium, nie skończy się dobrze. Szczerze mówiąc, od początku skazany był na klęskę. A wiesz dlaczego? Nie musisz odpowiadać, oczywiście, że wiesz. Zdradziły cię twe przyziemne potrzeby, Piotrze. Ta cudowna dziewczyna, z którą sypiasz od pół roku, należy do mnie. Wiem, wiem, jesteś pewien, że to niemożliwe. Sprawdziłeś ją, to twój modus operandi. Przewidziałem, o co będziesz pytał, i dopilnowałem, żebyś usłyszał odpowiedzi, które chciałeś usłyszeć.

Zilber, zapatrzony w jego twarz, znów zadzwonił zębami. Nie mógł przestać, choć z całej siły zaciskał szczęki.

— Philippe, proszę o herbatę.

Chwilę później pojawił się młody, smukły chłopak. Postawił srebrny angielski serwis na stoliczku po prawej stronie gospodarza. Niczym kochający wujek, z uczuciem, Ikupow napełnił porcelanową filiżankę i dosypał do niej cukru. Potem przyłożył ją do sinych warg jeńca.

— Pij, proszę. To dla twojego dobra. — Piotr patrzył mu w oczy. Ikupow niemal natychmiast zorientował się, o co chodzi. — Ach tak, oczywiście — powiedział i wypił łyk, pokazując, że to naprawdę herбата, nic więcej. Tym razem Piotr zaczął pić, początkowo z trudem, potem wręcz łapczywie. Kiedy skończył, Ikupow odstawił filiżankę na spodek.

Zilber jakoś opanował strach.

— Lepiej się czujesz?

— Poczuję się lepiej, kiedy się stąd wydostanę.

— No cóż, obawiam się, że to może nie nastąpić zbyt szybko. Jeśli w ogóle. Chyba że odpowiesz mi na kilka pytań.

Ikupow przysunął krzesło bliżej więźnia. Wyraz twarzy dobrego wujka gdzieś znikł, jakby go w ogóle nie było.

— Ukradłeś coś, co należy do mnie — warknął. — Chcę to odzyskać.

— Nigdy nie należało do ciebie. Ty też to ukradłeś.

W głosie Zilbera było tyle jadu, że Ikupow zareagował.

— Nienawidzisz mnie tak bardzo, jak kochasz ojca, Piotrze. To twój podstawowy problem. Jakoś nie nauczyłeś się, że nienawiść i miłość są w zasadzie tym samym uczuciem. Tymi, którzy kochają, można manipulować z taką samą łatwością jak tymi, którzy nienawidzą.

Piotr zacisnął usta, jakby słowa wroga pozostawiły w nich gorzki smak.

— W każdym razie się spóźniłeś. Dokument jest w drodze.

Ikupow zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Twarz mu znieruchomiała, nie zdradzała niczego. Jego drobne ciało napięło się, było jak śmiercionośna broń gotowa zabijać.

— Dokąd go posłałeś?

Więzień wzruszył ramionami. Twarz pytającego poczerwieniała od gwałtownej furii.

— Myślisz, że nic nie wiem o kanale informacyjnym, który doskonalisz od trzech lat? Którym wysyłasz informacje i materiały do ojca, gdziekolwiek jest?

Po raz pierwszy od momentu odzyskania przytomności Piotr Zilber się uśmiechnął.

— Gdybyś wiedział coś o tym kanale, już byś go zamknął.

Ikupow odzyskał żelazną samokontrolę.

— Mówiłem, że nie warto z nim rozmawiać — rozległ się głos stojącego gdzieś z tyłu Arkadina.

— Mimo wszystko... są przecież pewne zwyczaje, należy ich przestrzegać. Nie jestem zwierzęciem.

Zilber tylko prychnął. Gospodarz przyjrzał mu się uważnie, a potem usiadł wygodniej, elegancko podciągnął nogawkę, założył nogę na nogę, splótł grube paluchy na brzuchu.

— Daję ci jedną, ostatnią szansę na kontynuowanie rozmowy.

Cisza przeciągała się nieznośnie, Ikupow musiał ją przerwać.

— Piotrze, dlaczego mi to robisz? — westchnął i spojrzał na Arkadina. — Zaczynaj.

Mimo że kosztowało go to wiele bólu i trudności z oddychaniem, Piotr Zilber odwrócił głowę najdalej, jak mógł, nie zdołał jednak dostrzec, co robi Arkadin. Słyszał tylko charakterystyczny brzęk; ktoś przesuwiał po dywanie metalowy wózek, z narzędziami.

— Nie przestraszysz mnie — powiedział.

— Nie zamierzam cię straszyć — odparł spokojnie Ikupow. — Zamierzam zadać ci ból. Bardzo wielki ból.

W konwulsjach cierpienia świat Zilbera skurczył się do rozmiaru maleńkiej gwiazdki, punkciku na nocnym niebie. Tkwił w zamkniętej klatce swego umysłu, jednak mimo treningu, mimo niekwestionowanej odwagi, nie umiał zdefiniować i opanować bólu. Na głowie miał worek ciasno zasnurowany przy szyi. To ograniczenie stukrotnie wzmacniało ból, Piotr bowiem, choć nieustraszony, cierpiał na klaustrofobię. Dla kogoś, kto nie wchodził do jaskiń, niewielkich pomieszczeń, nawet nie nurkował, kaptur zakreślał granicę najgorszego z wyobrażonych światów. Zmysły mówiły mu wprawdzie, że nie jest zamknięty, ale mózg

nie chciał zaakceptować ich świadectwa — był sparaliżowany paniką. Ból, którego Zilber doświadczał za sprawą Arkadina, był jednym, jego chorobliwe natężenie czymś zupełnie innym. Piotr czuł, jak w jednej chwili dziczej; złapany w pułapkę wilk, gotów odgryźć sobie łapę. Umysł nie jest jednak łapą i odgryźć go nie można.

Ledwie słyszał powtarzane raz za razem pytanie, na które znał odpowiedź. Nie chciał jej udzielić, lecz wiedział, że w końcu to zrobi, ponieważ głos obiecywał, że po tym od razu zdejmą mu kaptur. Niemal oszalały wiedział już tylko, że jest to konieczne. Nie odróżniał już dobra od zła, tego co słuszne, od tego co niesłuszne, kłamstwa od prawdy. Miał przed sobą tylko jeden cel: przetrwać. Próbował choćby poruszyć palcami, ale pochylony nad nim przestuchujący unieruchomił go, opierając się o jego dłonie nasadą swoich.

Piotr nie był w stanie wytrzymać tego dłużej. Odpowiedział na pytanie.

Kaptur pozostał tam, gdzie był, na jego głowie. Zilber zawył z wściekłości i przerażenia. „Oczywiście, że go nie zdjęli”, powtarzał cichy, daleki głos jakiejś jego drobnej cząstki, która pozostała normalna. Bo gdyby zdjęli, nie mieliby jak skłonić go, żeby odpowiedział na kolejne pytanie. I następne.

A odpowie. Wiedział, że odpowie. Na wszystkie. Zdawał sobie z tego sprawę z mrozącą krew w żyłach pewnością. Choć jakąś częścią umysłu pojmował, że kaptur zostanie tam, gdzie jest, na zawsze, miał zamiar zrobić wszystko, by tak się nie stało. Inna możliwość po prostu nie istniała.

Ale teraz, kiedy mógł poruszyć palcami, pojawiła się szansa.

Zdażył, nim znów wpadł w wir szaleństwa. Podjął decyzję. Przed sobą miał już tylko jedną drogę i, wymawiając cichą modlitwę do Allacha, zrobił na niej pierwszy krok.

Ikupow i Arkadin stali nad ciałem Piotra Zilbera, leżącym na podłodze z przekrzywioną głową, i patrzyli na zsiniałe wargi wraz z cienką,

lecz doskonale widoczną warstewkę pokrywającej je piany. Ikupow pochylił się, wciągnął w płuca zapach gorzkich migdałów.

— Chciałem mieć go żywego, Leonidzie — powiedział zirytowany. — Miałem wrażenie, że wyraziłem się wystarczająco jasno. Jakim cudem udało mu się dostać do cyjanku?

— Użyli wariantu, którego do tej pory nie widziałem. — Arkadin też nie sprawiał wrażenia zadowolonego z siebie. — Fałszywego paznokcia.

— Powiedziałyby nam wszystko.

— Oczywiście. Już zaczął.

— A potem wziął na siebie obowiązek zaniknięcia sobie ust. — Ikupow potrząsnął głową z niesmakiem. — To, co się dziś stało, może się okazać groźne w skutkach. Miał bardzo niebezpiecznych przyjaciół.

— Znajdę ich. I zabiję — obiecał Arkadin.

Ikupow potrząsnął głową.

— Nawet ty nie zdołasz pozabijać tyłu na czas.

— Mogę skontaktować się z Miszą.

— I zaryzykować utratę wszystkiego? Nie. Rozumiem, co cię z nim łączy: najbliższy przyjaciel, mentor. Rozumiem, że czujesz potrzebę porozmawiania z nim. Spotkania. Ale to będzie możliwe dopiero wtedy, kiedy skończymy sprawę i Misza wróci do domu. To moje ostatnie słowo.

— Rozumiem.

Ikupow podszedł do okna. Stał z rękami założonymi na plecach, kontemplując zapadającą ciemność. Wzdłuż brzegu jeziora i na wzgórzu Campione d'Italia błyszczały światła. Przez długą chwilę milczał, przyglądając się odmienionemu krajobrazowi.

— Będziemy musieli przyspieszyć bieg wydarzeń, to wszystko — powiedział w końcu. — A ty zaczniesz od Sewastopola. Użyj jedyne nazwiska, które znamy; tego, które podał Piotr, nim popełnił samobójstwo. — Odwrócił się, spojrział prosto w oczy Arkadina. — Teraz

wszystko zależy od ciebie, Leonidzie. Ten atak jest w fazie planowania od trzech lat. Opracowano go, by podważyć podstawy amerykańskiej ekonomii. Jeszcze tylko dwa tygodnie i stanie się rzeczywistością. — Bezgłownie przeszedł po kobiercu. — Philippe da ci pieniądze, dokumenty, broń, której nie sposób wykryć środkami elektronicznymi... wszystko, czego możesz potrzebować. Znajdź tego człowieka z Sewastopola. Odzyskaj dokument, a kiedy już go zdobędziesz, prześledź kanał informacyjny aż do jego początku i zamknij go, żeby już nigdy nie został wykorzystany przeciwko naszym planom.

Księga pierwsza

Rozdział 1

— Kim jest David Webb?

Stojąca przed jego biurkiem w gabinecie Georgetown University Moira Trevor zadała to pytanie tak poważnie, że Jason Bourne poczuł się w obowiązku udzielić odpowiedzi.

— Dziwne — powiedział — ale o to nikt mnie jeszcze nie pytał. David Webb to specjalista w dziedzinie lingwistyki, ojciec dwójki dzieci żyjących sobie spokojnie i szczęśliwie na ranchu w Kanadzie z dziadkami, rodzicami Marie.

Moira zmarszczyła brwi. — Nie tęsknisz za nimi?

— Strasznie za nimi tęsknię — przyznał Bourne — ale szczerze mówiąc, znacznie im lepiej tam, gdzie są, niż byłoby tutaj. Bo jakie życie mógłbym im zapewnić? No i jeszcze to ciągle zagrożenie spowodowane tożsamością Bourne'a. Marie porwano i grożono jej, żeby zmusić mnie do zrobienia czegoś, czego nie chciałem zrobić. Nie dopuszczę, by ta sytuacja się powtórzyła.

— Przecież widzisz się z nimi od czasu do czasu.

— Tak często jak to możliwe... ale to trudne. Nie mogę dopuścić, by ktoś mnie śledził po drodze.

— Jestem całym sercem z tobą. — Moira powiedziała to szczerze.

Uśmiechnęła się. — Muszę przyznać, że to dziwne widzieć cię na uniwersytecie, za biurkiem. — Roześmiała się. — Mam ci kupić fajkę i marynarkę z łątami na łokciach?

Bourne odpowiedział jej uśmiechem.

— Bardzo dobrze się tu czuję, wiesz? Naprawdę doskonale.

— Cieszę się. Śmierć Martina była ciosem dla nas obojga. Moim środkiem uśmierającym jest praca na pełny etat. Twoim: uniwersytet i nowe życie.

— Powiedziałbym, że raczej stare życie. — Jason rozejrzał się dookoła. — Marie była najszczęśliwsza, kiedy uczyłem. Wiedziała, że codziennie wrócę z pracy, zjem obiad z nią i dziećmi.

— A ty? Byłeś tu najszczęśliwszy?

Twarz mężczyzny spoważniała, zachmurzyła się.

— Byłem szczęśliwy z Marie — powiedział, patrząc Moirze w oczy. — Nie wyobrażam sobie, żebym potrafił powiedzieć to komukolwiek oprócz ciebie.

— Rzadki komplement, biorąc pod uwagę, że to właśnie ty go powiedziałaś.

— Czyżbym rzeczywiście tak oszczędzał na komplementach?

— Jesteś mistrzem zachowywania tajemnicy. Jak Martin. Tylko mam poważne wątpliwości, czy dobrze ci to robi.

— Jestem absolutnie pewien, że nie. Ale takie życie wybraliśmy.

— Skoro już o tym mówimy. — Moira usiadła na krześle po drugiej stronie biurka. — Przyszłam trochę wcześniej na nasz umówiony lunch, bo chciałam porozmawiać właśnie o sytuacji w pracy, ale teraz, gdy widzę cię takiego zadowolonego, doprawdy nie wiem, czy mówić dalej.

Bourne tymczasem wspominał chwilę, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy: smukłą, zgrabną dziewczynę we mgle, wijące się czarne włosy otaczające twarz. Stali na blankach Cloisters od strony Hudson River. Przyszli tu pożegnać ich wspólnego przyjaciela, Martina Lindrosa. Próbując go ratować, Bourne wykazał się wyjątkowym męstwem... lecz poniósł klęskę.

Dziś Moira ubrana była w wełniany kostium i jedwabną, rozpiętą pod szyją bluzkę. Jej twarz wyrażała siłę, nos miała duży, piwne oczy wielkie, szeroko rozstawione, bardzo inteligentne, lekko skośne. Włosy dziewczyny opadały na ramiona w gęstych falach. Były w niej jakiś niezwykle spokój i pewność siebie; ta kobieta wiedziała, czego chce, i niech lepiej nikt nie próbuje jej onieśmielać lub przestraszyć. Nikt, ani inna kobieta, ani żaden mężczyzna.

Być może właśnie to Bourne cenił w niej najbardziej. W ogóle niepodobna do Marie, pod tym względem zdecydowanie ją przypominała. Nigdy nie wypytywał jej o związek z Martinem, zakładał jednak, że był to związek uczuciowy; w końcu Martin wydał mu polecenie wysłania jej tuzina czerwonych róż, gdyby spotkała go śmierć. Wypełnił je posłusznie, czując smutek tak dotkliwy, że aż go to zdziwiło.

Teraz, siedząc wygodnie, ze smukłymi nogami założonymi jedna na drugą, wyglądała jak wzór europejskiej bizneswoman. Powiedziała mu kiedyś, że jest pół Angielką, pół Francuzką, ale w genach ciągle nosiła wspomnienie weneckich i tureckich przodków. Była dumna z tej gorącej krwi, pamiątki po wojnach, bitwach, płomieniach uczuć.

— Mów. — Jason pochylił się, oparł łokcie na biurku. — Chętnie dowiem się, co masz do powiedzenia.

Moira skinęła głową.

— W porządku. Wiesz już ode mnie, że NextGen Energy Solutions zakończyła budowę terminalu płynnego gazu naturalnego w Long Beach. Pierwszy transport przyjmujemy za dwa tygodnie. No i wpadłam na pomysł, który teraz wydaje się kompletnie szalony, ale niech będzie. Myślałam, że może zostaniesz naszym szefem bezpieczeństwa. Dyrekcja martwi się trochę, bo terminal wydaje się cholernie kuszącym celem dla każdej grupy terrorystycznej na świecie. Przypadkiem się z nimi zgadzam. No i nie znam nikogo oprócz ciebie, kto uczyniłby go bezpieczniejszym.

Czuję się zaszczycony, ale... mam tu pewne obowiązki. Przecież wiesz, że profesor Specter zrobił mnie dziekanem wydziału lingwistyki porównawczej. Nie chcę go rozczarować.

— Bardzo lubię Dominica Spectera, naprawdę. Nie robiłeś żadnej tajemnicy z tego, że uważasz go za mentora... że David Webb uważa go za mentora. Ale spotkałam cię jako Jasona Bourne'a i to jego poznałam dobrze przez te kilka ostatnich miesięcy. Kto jest jego mentorem?

Twarz Bourne'a się zachmurzyła, tak jak poprzednio na wspomnienie Marie.

— Alex Conklin nie żyje.

Moira poruszyła się na krześle.

— Jeśli zechcesz pracować dla mnie, pamiętaj, nie będziesz niósł żadnego bagażu. O tym też warto pomyśleć. Będziesz miał szansę zostawić za sobą życie ich obu, i Davida Webba, i Jasona Bourne'a. Wkrótce lecę do Monachium, bo tam produkują najważniejszy element terminalu. Potrzeba mi rady eksperta przy ocenie specyfikacji.

— Na tym świecie ekspertów nie brakuje.

— Ale nie ma takiego, którego opinii ufałabym jak twojej. To sprawa o kluczowym znaczeniu. Ponad połowa towaru wysyłanego do Stanów Zjednoczonych przechodzi przez port w Long Beach, więc potrzebujemy specjalnych środków bezpieczeństwa. Rząd amerykański zdążył już pokazać, że nie ma ani czasu, ani specjalnej ochoty na ochronę transportu towarów komercyjnych, więc musimy chronić je sami. Terminal może być rzeczywiście zagrożony, to poważna sprawa. Wiem, że jesteś ekspertem. Potrafisz obejść najbardziej skomplikowane systemy zabezpieczeń. Nikt oprócz ciebie nie zastosuje niekonwencjonalnych środków.

Bourne wstał.

— Posłuchaj mnie, Moiro — powiedział poważnie. — Marie była największą wielbicieleką Davida Webba. Po jej śmierci dałem sobie z nim spokój. Ale on nie umarł. Nie jest kaleką. Żyje we mnie. Kiedy zasypiam, śnię o jego życiu, jakby to było życie obcego człowieka, i

budzę się, ociekając potem. Czuję się tak, jakby jakaś część mnie została amputowana. Nie chcę się tak czuć. Pora oddać Davidowi Webbowi to, co mu się należy.

Veronica Hart lekkim, wręcz beztróskim krokiem przechodziła przez jeden posterunek kontrolny po drugim w drodze do bunkra, jakim jest Zachodnie Skrzydło Białego Domu. Miała dostać nową pracę na stanowisku dyrektora Centrali Wywiadu — budzącą szacunek i trudną, zwłaszcza po dwóch zeszłorocznych klęskach: morderstwie i poważnym zagrożeniu bezpieczeństwa narodowego. A jednak nigdy jeszcze nie była tak szczęśliwa. Potrzebowała poczucia celu, to uważała za najważniejsze; praca związana z ogromną odpowiedzialnością stanowiła ostateczne usprawiedliwienie jej wysiłków, niepowodzeń oraz zagrożeń, których winna była nie ona sama, lecz jej pleć.

No i pozostawała jeszcze jedna kwestia. W wieku czterdziestu sześciu lat Veronica Hart miała zostać najmłodszym dyrektorem CI, jaki kiedykolwiek pełnił tę funkcję. Przynajmniej dla niej, nie było w tym nic dziwnego. Niezwykła wręcz inteligencja w połączeniu z żelazną determinacją uczyniły ją już najmłodszą absolwentką jej uniwersytetu, a także najmłodszym funkcjonariuszem wywiadu wojskowego i najwyższego dowództwa armii, najmłodszym agentem prywatnej firmy wywiadowczej Black River na lukratywnych placówkach w Afganistanie i Rogu Afryki; a co tam właściwie robiła, kim dowodziła i dokładnie gdzie, nie wiedzieli nawet szefowie siedmiu dyrektoriatów CI.

A teraz wreszcie zaledwie krok dzielił ją od szczytu, powyżej którego w wywiadzie nie istniało już nic. Szczęśliwie przeskoczyła wszystkie płotki, ominęła pułapki, pokonała labirynty, nauczyła się, czym być przyjacielem, a komu pokazać plecy. Znosiła nieustające oszczerstwa dotyczące jej życia seksualnego, plotki o niestosownym zachowaniu, historie o tym, jak Polega na inteligencji swych podwładnych — mężczyzn, którzy podobno muszą za nią myśleć. Triumfowała

raz za razem, stanowczo przebijając kołkiem serca kłamstw i więcej niż raz spychając na dno ich autorów.

W tym momencie swego życia dysponowała już siłą, z którą trzeba się było liczyć, i całkiem słusznie rozkoszowała się tą świadomością. Spotkania z prezydentem oczekiwała więc z lekkim sercem. W teczce niosła plik papierów: jej własny projekt zmian, mających wyciągnąć CI z bagna, w którym pozostawili ją Karim al-Jamil i morderstwo jej poprzednika. Nikt nie był szczególnie zaskoczony tym, że w agencji panował totalny bałagan, że morale nigdy nie było niższe, no i oczywiście tym, że nominacja Hart budziła coś więcej niż niechęć siedmiu szefów dyrektoriatów — samych mężczyzn — z których każdy wierzył, że to on powinien dostać awans.

Chaos i upadek morale... to miało się wkrótce zmienić. Victoria doskonale wiedziała, jak tego dokonać, pomysłów jej nie brakowało. Ani przez chwilę nie wątpiła w to, że prezydent będzie zachwycony nie tylko jej planami, lecz także szybkością, z jaką będzie je wcielać w życie. Organizacja wywiadowcza tak ważna, tak istotna jak Centrala Wywiadu nie może dłużej znosić beznadziei, w której się pogrzyżyła. Tylko antyterrorystyczna czarna operacja, Typhon, dzieło i ukochane dziecko Martina Lindrosa, prowadzona była normalnie, za co podziękowania należały się jej dyrektorce, Sorai Moore. Soraya przejęła kierownictwo gładko, bez najmniejszych problemów, a jej agenci kochali ją i poszliby za nią w ogień. Jeśli zaś chodzi o resztę CI, to już jej zadaniem było uzdrowić agencję, dodać jej energii i dać poczucie celu i sensu działania.

Zaskoczyło ją, wręcz zszokowało, kiedy w Gabinetce Owalnym spotkała nie tylko prezydenta, lecz także Luthera LaValle'a, pana i władcę wywiadu w Pentagonie, oraz jego zastępcę generała Richarda P. Kendalla. Ignorując ich, przeszła po miękkim, niebieskim amerykańskim dywanie uściskać dłoń gospodarza; wysoka, smukła platynowa blondynka o długiej szyi. Fryzurę miała nie tyle męską, ile praktyczną i sugerującą rzeczowe podejście do pracy, ubrana była w granatowoczarny kostium, czółenka na niskim obcasie, nosiła małe złote kolczyki i

tylko tyle makijażu, ile to konieczne. Paznokcie obcinała krótko.

— Siadaj, proszę, Veronica — powiedział uprzejmie prezydent. — Znasz Luthera LaValle'a i generała Kendalla.

— Oczywiście. — Veronica skinęła głową niemal niedostrzegalnie. — Miło was widzieć, panowie.

Było to twierdzenie bardzo dalekie od prawdy. Nienawidziła LaValle'a — pod wieloma względami najniebezpieczniejszego człowieka w amerykańskim wywiadzie, także dlatego, że ze wszystkich sił wspierał go niemal wszechwładny E.R. „Bud” Halliday, sekretarz obrony. LaValle był egotystą pożądanym wyłącznie władzy, święcie wierzącym, że amerykańskim wywiadem powinni rządzić wyłącznie jego ludzie. Żywił się wojną jak inni ludzie mięsem i ziemniakami. Była niemal pewna, choć nigdy nie umiała tego udowodnić, że to on był autorem co drastyczniej szych plotek na jej temat. Uszczęśliwiała go rujnowanie ludzkich reputacji, uwielbiał stać dumnie na stosie czaszek pokonanych wrogów.

LaValle przejął inicjatywę w czasach Afganistanu i następnie Iranu, wykorzystując charakterystyczne dla Pentagonu mgliste określenie: „Przygotowanie pola bitwy na przybycie żołnierzy”. Dzięki temu zdołał rozszerzyć prerogatywy instytucji zbierającej dane wywiadowcze dla Pentagonu do tego stopnia, że wkroczył na tereny zarezerwowane dla Centrali Wywiadu, powodując tym spore zamieszanie. Wszyscy w kręgach wywiadowczych wiedzieli, że chce przejąć agentów CI i jej budowaną latami międzynarodową siatkę. Do jego modus operandi pasowało to, że po śmierci zarówno Starego, jak i namaszczonego przez niego następcy spróbuje tego dokonać w najbardziej agresywny sposób. Dlatego też na jego widok i na widok jego wiernego pieska w głowie Veroniki rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

Przed biurkiem prezydenta stały trzy krzesła ustawione w luźne półkole. Dwa z nich były już, oczywiście, zajęte. Dla Veroniki Hart

pozostało trzecie; zajęła miejsce aż nazbyt świadoma tego, że ma po bokach mężczyzn i że to z pewnością nie przypadek. Roześmiała się w duchu. Jeśli ci dwaj chcą ją onieśmielić, sprawić, by poczuła się osaczona, to... nie mogli się bardziej pomylić. I tylko w Bogu nadzieja, pomyślała jeszcze, kiedy prezydent zaczynał spotkanie, że za godzinę ten mój chichot nie odbije mi się czkawką.

Bourne zamykał drzwi swego gabinetu, kiedy zza rogu wybiegł Dominic Specter. Na widok przyjaciela znikła głęboka zmarszczka na jego wysokim czole.

— Davidzie, jak to dobrze, że złapałem cię, nim wyszedłeś! — wykrzyknął uradowany. Po czym, wcielenie uprzejmości, ukłonił się jego towarzysze w staroświecki, europejski sposób. — I piękną Moirę, oczywiście. — Powiedziawszy to, całą uwagę skupił na Jasonie.

Specter był niewysokim mężczyzną, pełnym energii, mimo że przekroczył już siedemdziesiątkę. Jego na pozór doskonale okrągła głowa wyrastała nad linię włosów kończących się na wysokości uszu. Oczy miał ciemne, przenikliwe, skórę opaloną na brąz. Szerokie usta sprawiały, że przypominał uśmiechniętą żabę gotową skoczyć z jednego liścia lili wodnej na drugi.

— Mam drobny problem i chciałbym go z tobą przedyskutować — powiedział. Uśmiechnął się rozbrajająco. — Rozumiem, że dziś wieczorem nie masz czasu. Czy mogę brać pod uwagę jutrzejszy obiad?

Bourne poznał, że pod uśmiechem jego starego mentora coś się kryje, że mężczyzna ma jakiś problem.

— A może spotkalibyśmy się na śniadaniu? — zaproponował.

— Jesteś pewien, że się dla mnie nie poświęcasz, Davidzie? — spytał Specter, choć na jego twarzy odmalowała się wielka ulga.

— Nawet wolę śniadanie — skłamał Bourne. — Ósma?

— Wspaniale! Już nie mogę się doczekać.

Specter uklonił się Moirze i odszedł szybko.

— Żywe srebro — powiedziała Moira. — Gdybym ja miała takich profesorów...

— Studia musiały być dla ciebie piekłem — zauważył Bourne.

— Nie przesadzajmy. — Roześmiała się. — A poza tym studiowałam tylko przez dwa lata. Potem uciekłam do Berlina.

— Uwierz mi, gdybyś spotkała na swej drodze takiego Spectera, twoje doświadczenia byłyby zupełnie inne.

Ominęli kilka grup studentów plotkujących i dyskutujących o wykładach. Przeszli korytarzem do drzwi, po kilku stopniach zeszli na czworokątny dziedziniec. Szybkim krokiem skierowali się do restauracji, w której mieli zjeść kolację. Mijali ich studenci niemal biegnący ścieżkami między drzewami i trawnikami. Gdzieś w oddali grał zespół; wokół niósł się charakterystyczny dla wszystkich studenckich kampusów powolny, senny rytm. Po niebie płynęły kłęby chmur niczym klipry z wydętymi żaglami. Znad Potomacu wiał wilgotny wiatr.

— Był czas, kiedy wpadłem w głęboką depresję — mówił, dalej Bourne. — Wiedziałem, ale nie akceptowałem; rozumiesz, o co mi chodzi, prawda? Profesorowi Specterowi udało się nawiązać ze mną kontakt. Był jak koło rzucone tonącemu. Najbardziej potrzebowałem poczucia ładu i stabilizacji. Na prawdę nie wiem, co by ze mną było, gdyby nie on. Jako jedyny rozumiał, że kiedy pogrążam się w języku, jestem szczęśliwy. Niezależnie od tego, kim byłem, jedno pozostawało niezmienione: moje zdolności językowe. Uczenie się języka to jak poznawanie historii, tylko od środka. Obejmuje wojny etniczne, religię, sprzeniewierzenia, kompromisy, politykę. Można się z niego nauczyć tyle, bo kształtowała go historia.

Zdążyli już opuścić tereny uniwersyteckie. Szli 36th Street w stronę restauracji 1789, ulubionej knajpki Moiry, mieszczącej się w ratuszu federalnym. Na miejscu zaprowadzono ich na piętro, do stolika przy oknie. Sala wyłożona była boazerią w staroświeckim stylu, na stołach

zastawionych elegancką porcelaną i szkłem płonęły świece. Usiedli naprzeciw siebie, zamówili drinki. Bourne pochylił się przez stół.

— Posłuchaj mnie, Moiro — powiedział cicho. — Zamierzam powiedzieć ci coś, o czym wie bardzo niewielu ludzi. Nadal prześladowa mnie tożsamość Bourne’a. Kiedyś Marie bardzo się martwiła, że decyzje, które musiałem podejmować, że to, co musiałem robić jako Jason Bourne, pozbawi mnie w końcu uczuć. Przyjdę do niej, a po Davidzie Webbie nie zostanie ślad. Nie mogę na to pozwolić.

— Jasonie, przecież od chwili, kiedy spotkaliśmy się, by rozrzucić prochy Martina, spędziliśmy ze sobą sporo czasu i nie zauważyłam, byś utracił cokolwiek ze swego człowieczeństwa.

Umilkli. Kelner postawił przed nimi drinki, podał obojgu menu. Gdy tylko odszedł, Bourne przerwał ciszę.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie pocieszyłaś. Krótco się znamy, owszem, ale już nauczyłem się ufać twojej opinii. Nie jesteś podobna do ludzi, których spotykałem do tej pory.

Moira podniosła szklaneczkę. Wypiła łyk, ale nie spuszczała wzroku ze swego towarzysza.

— Dziękuję. To rzeczywiście wielki komplement, biorąc pod uwagę, kto go powiedział. Zwłaszcza że wiem, kim była dla ciebie Marie.

Bourne zapatrzył się w dno szklaneczki. Jego towarzysza wyciągnęła rękę nad sztywnym, białym lnianym obrusem, ujęła jego dłoń.

— Przepraszam. Teraz znowu uciekasz we wspomnienia.

Spojrzał na ich stykające się dłonie; nie zrobił nic, by przerwać kontakt. Podniósł wzrok.

— Polegałem na niej w wielu sprawach, a teraz okazuje się, że coraz bardziej się od nich oddalam.

— Czy to dobrze, czy źle?

— Nie wiem. Tak po prostu jest.

Na jego twarzy widać było cierpienie, serce Moiry wręcz się do niego wyrывało. Przed zaledwie kilkoma miesiącami widziała go stojącego na murach Cloisters. Urnę z prochami Martina przyciskał do piersi

tak mocno, jakby nie potrafił się z nim pożegnać. Nikt nic jej nie powiedział, ale i tak zorientowała się, jak wiele ci dwaj znaczyli dla siebie nawzajem.

— Martin był twoim przyjacielem — powiedziała teraz. — Naraziłaś życie, żeby go uratować. Tylko mi teraz nie mów, że nic dla ciebie nie znaczył. A poza tym sam twierdzisz, że nie jesteś już Jasonem Bourne'em, tylko Davidem Webbem.

— Toś mnie przyłapała — przyznał z uśmiechem.

Moira nie zareagowała. Była bardzo poważna.

— Chciałabym cię o coś zapytać, ale nie wiem, czy mam prawo.

— Możesz mnie pytać o wszystko — odparł z równą powagą, a ona odetchnęła głęboko i zaryzykowała.

— Jasonie, powiedziałeś mi, że dobrze czujesz się na uniwersytecie, i jeśli rzeczywiście tak jest, to świetnie. Ale wiem też, że obwiniasz się zarówno o śmierć Martina, jak i o to, że nie umiałoś mu pomóc. Tylko... jedno musisz zrozumieć. Jeśli ty nie mogłeś go ocalić, to nikt nie mógł. Zrobiłeś co w twojej mocy; jestem pewna, że on o tym wiedział. Za to ja zaczynam, się zastanawiać, czy nie myślisz czasem, że zawiodłeś Martina... i że nie dorastasz już do standardów Bourne'a. Zadałeś sobie kiedyś pytanie, czy przyjąłeś ofertę profesora Spectera i pracę na uniwersytecie tylko po to, by pozostawić za sobą życie Jasona Bourne'a?

— Ależ oczywiście.

Po śmierci Martina jeszcze raz postanowił zrezygnować z życia w pogoni i ucieczce, porzucić rzekę niosącą w swym nurcie tyle martwych ciał co Ganges. Ale pozostawały wspomnienia. Te smutne pamiętał. Inne, cienie wypełniające jaskinie jego umysłu, wydawały się niepozabawione kształtu, lecz gdy się do nich zbliżał, oddalały się jak niesione falą odprywu. Pozostawały tylko zbielełe kości tych, których zabił, i tych, którzy przez niego zginęli. Wiedział, wiedział z całą pewnością, że jak długo oddycha, tak długo tożsamość Bourne'a będzie żyć.

Kiedy znów się odezwał, w jego oczach było cierpienie.

— Musisz przynajmniej spróbować zrozumieć, jak trudno jest mieć dwie osobowości walczące ze sobą przez cały czas. Każdą swoją część, w każdej chwili marzę tylko o tym, by wyrzucić jedną z nich na zawsze z mojego życia.

— Którą?

— I to jest ze wszystkiego najgorsze. Ilekroć zdaje mi się, że wiem, uświadamiam sobie, że nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Rozdział 2

Luther LaValle był równie telegeniczny jak prezydent, ale o jedną trzecią od niego młodszy. Miał włosy koloru słomy, zaczesane gładko do tyłu jak u filmowego amanta z lat trzydziestych i czterdziestych, i bardzo ruchliwe dłonie. Generał Kendall stanowił jego przeciwieństwo ze swą kwadratową szczęką i oczami jak paciorki; prawdziwa esencja sztywnego oficera, potężnie zbudowanego, muskularnego, zapewne zawróconego eksobrońcy w Winconsin albo Ohio State. W każdym razie teraz patrzył na swego szefa tak, jak ofensywny pomocnik patrzy na rozgrywającego, dyktującego schemat ataku.

Spotkanie się rozpoczęło.

— Lutherze, ponieważ to ty poprosiłeś o spotkanie, sądzę, że powinieneś zabrać głos jako pierwszy.

LaValle skinął głową, jakby to ustępstwo ze strony głowy państwa należało mu się z samej natury rzeczy.

— Po ostatnich klęskach Centrali Wywiadu kumulujących się w jej infiltracji na najwyższym szczeblu i związanym z tym zabójstwem poprzedniego dyrektora należy wprowadzić ściślejsze zasady bezpieczeństwa i kontroli. Może to zrobić wyłącznie Pentagon.

Veronica poczuła się w obowiązku przerwać mu, nie dopuścić, by zdystansował ją na starcie.

— Pozwolą sobie nie zgodzić się z tą opinią — powiedziała, kierując swe słowa bezpośrednio do prezydenta. — Czynniki ludzkie w zbieraniu danych wywiadowczych zawsze leżały w kompetencjach CI. Nasze siatki są nieporównane, podobnie armie kontaktów pracujące dla nas od dziesięcioleci. Pentagon zawsze specjalizował się w elektronicznych środkach wywiadu. Są to dwie różne rzeczy wymagające innych metodologii, innego sposobu myślenia.

LaValle uśmiechnął się uroczo, niczym przed kamerami Fox TV albo podczas rozmowy z Larrym Kingiem.

— Zaniechałbym swe obowiązki, gdybym nie przypomniał w tym momencie, że sytuacja wywiadu zmieniła się radykalnie od dwa tysiące pierwszego roku. Jesteśmy w stanie wojny. Moim zdaniem ta sytuacja może trwać bez końca i dlatego Pentagon wykorzystał swe doświadczenie, rozszerzając pole działania poprzez tworzenie tajnych zespołów personelu DIA oraz sił specjalnych prowadzących skuteczne operacje kontrwywiadowcze w Iraku i Afganistanie.

— Z całym szacunkiem, pan LaValle i jego machina wojskowa aż nazbyt chętnie wypełniają każdą potencjalną próżnię, a jeśli takiej nie ma, to ją tworzą. Wspólnie z generałem Kendallem pragną stworzyć obraz niekończącego się konfliktu, w który mamy oczywiście uwierzyć. — Wyjęła z teczki arkusz papieru, przeczytała: — „Jak wynika z dowodów, systematycznie rozbudowywali osobowe zasoby zbierania informacji, kierując je poza Afganistan i Irak, na terytoria CI, często z katastrofalnym skutkiem”.

Prezydent rzucił okiem na wręczone mu akta.

— Wprawdzie nie mam żadnych zastrzeżeń co do argumentacji, Veronico — przyznał — ale wydaje się, że Kongres jest po stronie Luthera. Dał mu dwadzieścia pięć milionów dolarów na opłacanie informatorów i rekrutowanie najemników w terenie.

— To część problemu, nie rozwiązanie — powiedziała Veronica z

naciskiem. — Stoi za tym fałszywa metodologia, ta sama, którą stosowano od zawsze, od OSS w Berlinie w czasie drugiej wojny światowej. Płatni informatorzy często zwracali się przeciw nam, służyli drugiej stronie, dezinformowali. A jeśli chodzi o najemników, możemy posłużyć się przykładem talibów i innych muzułmańskich grup powstańczych. Zawsze, do ostatniego człowieka, obracały się one przeciw nam, a ich członkowie stawali się naszymi zaciekłymi wrogami.

— Coś w tym jest — przyznał prezydent.

— To przeszłość — warknął gniewnie generał Kendall. Z każdym słowem Veroniki twarz coraz bardziej czerwieniała mu z wściekłości. — Nie ma żadnych dowodów na to, że nowi informatorzy lub najemnicy, bez których nie wygramy przecież na Bliskim Wschodzie, miałiby nas zawieść czy z nami walczyć. Wręcz przeciwnie, dostarczyli informacji będących nieocenioną pomocą dla naszych żołnierzy na polu bitwy.

— Z definicji najemnicy sprzedają swą lojalność tym, którzy płacą najwięcej. Stulecia historii, od czasów rzymskich, stanowią wystarczający dowód.

— Ta walka na słowa do niczego nie prowadzi. — LaValle poruszył się na krześle niespokojnie, najwyraźniej zaskoczyła go tak ostra obrona CI. Kendall wręczył mu teczkę, którą ten przekazał prezydentowi. — Wraz z generałem spędziliśmy dwa tygodnie, przygotowując tę oto propozycję restrukturyzacji Centrali Wywiadu, która powinna rozpocząć się już dziś. Pentagon jest gotów wcielić w życie swój plan, gdy tylko dostaniemy aprobatę prezydenta.

Ku przerażeniu Veroniki prezydent odebrał akta, przerzucił je szybko i oddał jej.

— Co ty na to?

A ona gotowała się z wściekłości. Już kopano pod nią dołki. Pocięszyła się tym, że przy okazji odbyła właśnie dobrą lekcję pogładową. Nie ufaj nikomu, nawet tym, którzy sprawiają wrażenie sojuszników. Aż do tej chwili była pewna, że ma pewne poparcie prezydenta. Nie

powinien jej zaskoczyć fakt, że LaValle, będący przecież tylko tubą sekretarza obrony Hallidaya, dysponował siłą wystarczającą, by doprowadzić do tego spotkania. Ale to, że sam prezydent proponował jej rozważenie możliwości przejęcia jej agencji przez Pentagon, było oburzające i szczerze mówiąc, także w najwyższym stopniu niepokojące. Nawet nie dotknęła papierów, tylko wyprostowała się na krześle.

— Panie prezydencie, te propozycje należy uznać za nieistotne... w najlepszym przypadku. Oburza mnie niemaskowana w swej bezczelności próba rozszerzenia granic imperium wywiadowczego tego pana kosztem Centrali Wywiadu. Po pierwsze, Pentagon nie nadaje się do kierowania naszą wielką siecią agentów w terenie, co już wykazałam. I pomijam fakt zdobycia ich zaufania. Po drugie, ten zamach stwarza niebezpieczny precedens dla całej społeczności wywiadowczej. Przejście pod dowództwo sił zbrojnych nie przysłuży się naszemu potencjałowi, nie pomoże w gromadzeniu informacji. Raczej przeciwnie, jawna pogarda dla życia ludzkiego, historia nielegalnych operacji wraz z doskonale udokumentowanym marnotrawstwem finansowym czynią z Pentagonu bardzo złego kandydata na kłusownika na cudzym terenie, zwłaszcza na terenie CI.

Tylko obecność prezydenta skłoniła LaValle'a do powstrzymania ataku wściekłości.

— Panie prezydencie, Centrala Wywiadu jest w rozsypce. Należy doprowadzić ją do porządku najszybciej jak to tylko możliwe. Jak mówiłem, nasz plan można wprowadzić w życie już dzisiaj.

Veronica wstała, wręczyła prezydentowi gruby plik papierów: swój plan uzdrowienia CI.

— Panie prezydencie, obowiązek zmusza mnie do powtórzenia tego, co powiedziałam w trakcie naszej rozmowy, a co uważam za najistotniejsze. Służyłam w wojsku, ale przyszedłam tu z sektora prywatnego. Centrala Wywiadu nie tylko potrzebuje oczyszczenia, lecz także musi zacząć myśleć w sposób nie skażony uprzedzeniami, które już wpędziły

nas w tę sytuację nie do wytrzymania.

— Prawdę mówiąc, dziś sam nie wiem, kim jestem. — Jason Bourne uśmiechnął się, pochylił nad stolikiem i powiedział cicho: — Posłuchaj, mam do ciebie prośbę: wyjmij telefon komórkowy tak, żeby nikt tego nie zauważył, i zadzwoń do mnie. Poradzisz sobie?

Cały czas patrząc mu w oczy, Moira wyciągała telefon i wcisnęła odpowiedni przycisk szybkiego wybierania. Bourne zareagował na sygnał, udał, że z kimś rozmawia, po czym rozłączył się i powiedział:

— Muszę iść. Coś się stało. Przepraszam.

Cały czas patrzyła mu w oczy.

— Nie możesz choćby udać, że ci przykro?

Posmutniał jak na komendę.

— Naprawdę musisz iść? — spytała normalnym głosem. — Teraz?

— Niestety. — Bourne położył na stole kilka banknotów. — Będziemy w kontakcie.

Skinęła głową zaskoczona, zastanawiając się, co zobaczył lub usłyszał.

Jason Bourne opuścił restaurację. Zszedł po schodach, zaraz za drzwiami skręcił w prawo, przeszedł ćwierć przecznicy i wszedł do sklepu z ceramiką artystyczną. Ustawił się tak, by przez szybę wystawową widzieć ulicę, a jednocześnie móc udawać, że przebiera wśród misek i innych naczyń.

Sklep minęło kilka osób: jakaś młoda para, starszy pan z laską, trzy roześmiane dziewczyny, ale nie było wśród nich mężczyzny, który usiadł z tyłu, w rogu sali, niemal dokładnie Półtorej minuty po nich. Bourne zwrócił na niego uwagę od razu, gdy tylko ten się pojawił. Kiedy zaś poprosił o stół z tyłu, naprzeciw ich stolika, nie miał wątpliwości:

ktoś go śledzi. Nagle poczuł doskonale znany niepokój, ten sam, który podrażnił mu nerwy, gdy zagrożone było życie Marie i Martina. Martin zginął. Nie miał zamiaru pozwolić zginąć Moirze.

Jego wewnętrzny radar, obiegający salę co kilka minut, nie wykrył innych zagrożeń, więc Jason czekał teraz na ogon w sklepie z ceramiką. Minęło pięć minut, nic się nie stało. Opuścił sklep, przeszedł przez ulicę. Korzystając z latarni i powierzchni odbijających: okien, lusterek samochodowych, przez kolejne kilka minut szukał wzrokiem mężczyzny z restauracji. Wreszcie pewny, że nie ma go w pobliżu, wrócił do knajpki. Wszedł na piętro, ale zatrzymał się w mroku korytarza, nie wchodząc do sali. Interesujący go człowiek siedział spokojnie przy stoliku. Ktoś, kto spojrzełby na niego raz i drugi, byłby pewien, że fascynuje go lektura „The Washingtonian”; ot, zwyczajny turysta, w rzeczywistości jednak zbyt często zerkający na Moirę.

Bourne poczuł, jak robi mu się zimno. To nie jego tropiono, lecz ją.

Kiedy Veronica Hart minęła ostatni punkt kontrolny Zachodniego Skrzydła, z cienia wyszedł Luther LaValle. Zbliżył się do niej, zrównał z nią krok.

— Dobra robota — powiedział chłodno. — Następnym razem będą lepiej przygotowany.

— Następnego razu nie będzie — odparła Veronica.

— Sekretarz Halliday jest przekonany, że owszem. Ja też.

Znaleźli się w cichym westybulu z jego kopułą i kolumnami. Mijali ich zapracowani, spieszący się doradcy, zmierzający we wszystkich możliwych kierunkach. Podobnie jak chirurdzy promieniowali atmosferą pewności siebie, jakby należeli do klubu, do którego przeciętny człowiek rozpaczliwie pragnie należeć, choć nie ma na to żadnych szans.

— A gdzie twój osobisty pitbull? Nie dziwiłabym się, gdyby obwąchiwał tyłki.

— Zachowujesz się wręcz impertynencko jak na osobę, której posada wisi na włosku.

— Panie LaValle, mylenie pewności siebie z impertynencją jest dowodem głupoty, niebezpiecznej głupoty.

Zeszli po schodach na poziom ulicy. Ciemność przeszywały płonące na perymetrze punktowe reflektory, dalej widać było palące się latarnie.

— Tak, oczywiście, masz rację — wycofał się niespodziewanie LaValle. — Przepraszam.

Veronica przyjrzała mu się, nie kryjąc sceptycyzmu. Dostrzegła, że się uśmiecha, jakby nieco niepewnie.

— Doprawdy, żałuję, że tak niefortunnie rozpoczęliśmy naszą rozmowę.

Tak naprawdę, pomyślała, żałuję, że rozszarpałam jego i tego Kendall'a na strzępy w obecności prezydenta. No, potrafię go zrozumieć.

Zapięła płaszcz w milczeniu, ale LaValle nie dawał za wygraną.

— Być może oboje podeszliśmy do sprawy w niewłaściwy sposób.

— Do jakiej sprawy? — zdziwiła się, poprawiając chustkę pod szyją.

— Upadku Centrali Wywiadu.

Blisko nich, za masywnymi zaporami antyterrorystycznymi ze zbrojonego betonu kręcili się turyści, robili zdjęcia, rozmawiali z ożywieniem, niektórzy podchodzili, niektórzy oddalali się grupkami, zapewne na kolację do McDonalda i Burger Kinga.

— Sądzę, że osiągnęlibyśmy znacznie więcej, gdybyśmy połączyli siły, zamiast się kłócić. Veronica nie wytrzymała.

— Posłuchaj, kolego. Ty zajmij się swoją robotą, ja zajmę się swoją. Boja przynajmniej mam co robić i będę wykonywać swoją pracę bez względu na to, czy twój sekretarz Halliday będzie próbował się wtrącać, czy nie. Osobiście mam szczerze dość waszych podchodów, tego

worywania się w miedzę, żeby tylko wasze imperium stawało się coraz większe. Mdli mnie od tego. Macie trzymać się z dala od CI, teraz i w przyszłości. Rozumiesz?

LaValle zrobił taką minę, jakby chciał zagwizdać z podziwu.

— Na twoim miejscu bardziej bym uważał — powiedział szeptem.
— Stąpasz po bardzo cienkim lodzie. Jeden fałszywy krok, chwila zawahania i zaczniesz tonąć... a wtedy nie będzie nikogo, żeby ci podać rękę.

W głosie Veroniki zadźwięczała stal.

— Mam dość twoich gróźb, LaValle.

Wiał silny wiatr. Mężczyzna postawił kołnierz płaszcza.

— Kiedy poznasz mnie lepiej, dowiesz się, że ja nigdy nie grozę, wyłącznie przewiduję przyszłość.

Rozdział 3

Sztorm na Morzu Czarnym pasował do Leonida Arkadina. W lejącym deszczu mężczyzna wjechał do Sewastopola od strony lotniska Belbek.

Miasto zajmowało południowo-zachodni kraniec doprawdy godnego pożądania Półwyspu Krymskiego na Ukrainie. Dzięki błogosławieństwu klimatu subtropikalnego morze nigdy tu nie zamarzało. Od czasu założenia miasta przez greckich kupców w 422 roku p.n.e. pod nazwą Chrezones Sewastopol był znaczącym centrum handlowym i militarnym, bazą dla floty zarówno rybackiej, jak i wojennej. Wraz z powolnym upadkiem Chrezonesu, co po grecku oznacza „półwysep”, ludzie wycofali się stąd, pozostawiając wyłącznie ruiny. Współczesny Sewastopol powstał w 1783 roku jako baza morska i forteca strzegąca południowych granic Cesarstwa Rosyjskiego. Historia miasta łączyła się z jego militarną świetnością, sama nazwa, mająca korzenie greckie, oznacza „dostojny” lub „wspaniały”. Wydawało się, że jest ona w pełni uzasadniona. Sewastopol przetrwał dwa krwawe oblężenia podczas wojny krymskiej w latach 1854—1855, w czasie II wojny światowej wytrzymał niemieckie bombardowania przez dwieście pięćdziesiąt dni. Dwukrotnie zrównany z ziemią przy innych okazjach, dwukrotnie powstawał jak feniks z popiołów. Burzliwa historia zrobiła z mieszkańców

ludzi twardych i praktycznych. Pogardzali zimną wojną, która dla nich trwała mniej więcej do 1960 roku, kiedy to Rosjanie, chroniąc swą bazę wojskową, po prostu zabronili wszystkim wjazdu do miasta, niezależnie od okoliczności. W 1993 Rosja oddała miasto Ukrainie, Ukraińcy zaś znów otworzyli je dla świata.

Późnym popołudniem Arkadin wyszedł na bulwar Primorski. Niebo było czarne, tylko na zachodzie, na horyzoncie, pozostał cienki czerwony pasek. Port pełen był pękatych rybackich kryp i smukłych statków wojennych o stalowych kadłubach. Gniewne fale biły w pomnik Zatopionych Statków upamiętniający rozpacziwą obronę przed połączonymi siłami brytyjsko-francusko-turecko-sardyńskimi. Z nierównych granitowych płyt wyrastała metrowa kolumna koryncka zwieńczona rzeźbą orła z rozpostartymi skrzydłami i pochylonym łbem, trzymającego w dziobie wieniec laurowy. Naprzeciw niego artysta umieścił granitowe moło z rzędem kotwic rosyjskich statków, które zatopiono rozmyślnie, by zablokować port i w ten sposób uczynić go niezdobytym.

Arkadin zameldował się w hotelu Oblast, gdzie wszystko, łącznie ze ścianami, wydawało się zrobione z papieru. Meble pokryte były materiałem w szkaradne wzory, kolory walczyły ze sobą jak wrogowie na polu bitwy. Budynek wręcz prosił się o pożar i Leonid zakonotował sobie, żeby nie palić w łóżku.

Na dole, w czymś, co miało uchodzić za hol, poprosił podobnego do gryzonia recepcjonistę o polecenie mu dobrej restauracji i książkę telefoniczną. Tę ostatnią wziął ze sobą, usiadł na twardym tapicerowanym krześle przy oknie wychodzącym na plac Admirała Nachimowa. Sam admirał, bohater pierwszej obrony Sewastopola, stał na wspaniałym cokole, mierząc go surowym wzrokiem, jakby wiedział, co ma nastąpić. Miasto, jak wiele w dawnym Związku Radzieckim, wypełnione było pomnikami przeszłości.

Zerknąwszy jeszcze na przygarbionych przechodniów, przebijających się przez ulewny deszcz, Arkadin zabrał się do studiowania

książki telefonicznej. Tuż przed popełnieniem samobójstwa Piotr Zilber podał jedno nazwisko: Oleg Szumienko. Leonid mógł tylko żałować, że nie udało się wydobyć z niego nic więcej, bo teraz musiał przewracać kolejne kartki z nadzieją, że facet w ogóle ma telefon, co poza Moskwą i Sankt Petersburgiem zawsze jest wątpliwe. Wynotował sobie pięciu Szumienków, oddał książkę recepcjoniście i wyszedł na ulicę owianą wiatrem, pogrążoną w ciemności fałszywego zmierzchu.

Pierwszych trzech Olegów Szumienków przyniosło mu tylko rozczarowanie. Udając bliskiego przyjaciela Zilbera, Arkadin powtarzał tę samą historyjkę: ma wiadomość od Piotra, tak ważną, że może ją przekazać tylko osobiście. Za każdym razem otrzymywał tę samą odpowiedź: nic nierozumiejące spojrzenie i potrząśnięcie głową. Po oczach widać było, że jego rozmówcy rzeczywiście nie mają pojęcia, kim jest Piotr Zilber.

Czwarty Szumienko pracował w Yugreftransflocie, u armatora utrzymującego największą flotę statków chłodni na Ukrainie. Ponieważ była to firma państwowa, Arkadin nie od razu odnalazł jej kierownika transportu. Jak wszędzie w byłym ZSRR czysta biurokracja potrafiła bez problemu uniemożliwić jakąkolwiek pracę. Leonid nie mógł pojąć, jak komukolwiek z sektora państwowego udało się cokolwiek zrobić.

Doczekał się wreszcie człowieka, którego szukał, dał się zaprowadzić do maleńkiego biurka, przyjął przeprosiny za spóźnienie. Ten Szumienko okazał się niewysoki, miał czarne włosy i niskie czoło neandertalczyka. Dowiedziawszy się, o co chodzi gościowi, powiedział:

Najwyraźniej trafił pan na nie tego człowieka. Nie znam żadnego Piotra Zilbera.

Arkadin przyjrzał się swojej liście.

— Pozostał mi już tylko jeden.

— Mogę zobaczyć? No tak, szkoda, że nie przyszedł pan najpierw do mnie. Tych trzech to moi kuzyni. A piąty, u którego pan jeszcze nie był, na nic się nie przyda. Nie żyje. Od pół roku. Wypadek na kutrze. — Szumienko oddał listę Arkadinowi. — Ale... nie wszystko stracone. Jest jeszcze jeden Oleg Szumienko. Żaden krewny, ale ludzie często się myślą, bo mamy taki sam patronimik. Iwanowicz. Nie ma telefonu, więc ciągle dzwonią do mnie, kiedy chcą złapać jego.

— Wie pan może, gdzie go znajdę?

Oleg Iwanowicz Szumienko spojrzał na zegarek.

— Teraz? Tak, oczywiście. Jest w pracy. W wytwórni win, rozumie pan? Szampan. Tak, wiem, Francuzi nie pozwalają nazywać tak żadnego wina oprócz tego, które produkują u siebie, w Szampanii, ale... — zachichotał — ...my, w Sewastopolu, produkujemy całkiem niezłego szampana.

Wyprowadził gościa mrocznymi korytarzami do wielkiej hali wejściowej.

— Zna pan Sewastopol, gospodin Arkadin? Nasze miasto podzielone jest na pięć dzielnic. W tej chwili jesteśmy w Gagarinskiej, od Jurija Aleksiejewicza Gagarina, pierwszego kosmonauty. To zachodnia część miasta. Na północy mamy Nachimowską, tam są te słynne, ogromne suche doki, może pan o nich słyszał? Nie? Nie szkodzi. Na wschodzie, dalej od morza, jest część rolnicza. Pastwiska, winnice... co za wspaniały widok, nawet o tej porze roku.

Przerwał. Przeszedł po marmurowej posadzce do długiej lady, za którą siedziało kilku pracowników wyglądających tak, jakby nikt nie powierzył im żadnej pracy co najmniej od roku. Jeden z nich dał mu plan miasta. Szumienko nabazgrał na nim znaczek i podał go gościowi.

— Tu jest wytwórnia — wyjaśnił. Zerknął przez okno. — O, proszę, przeciera się. Kto wie, nim trafi pan na miejsce, może nawet wyjdzie słońce?

Bourne szedł uliczkami Georgetown, ukryty w tłumie uczniów i studentów, wydeptujących bruk w poszukiwaniu piwa, dziewczyn i chłopaków. Tak dyskretnie jak to tylko możliwe, śledził śledzącego Moirę. Wcześniej, jeszcze w restauracji, gdy tylko nabrał pewności, że mężczyzna idzie za nią, wycofał się i wrócił na ulicę, skąd zadzwonił na jej komórkę.

— Przychodzi ci do głowy ktoś, kto koniecznie chce cię mieć na oku? — spytał.

— I owszem, znalazłoby się parę osób — usłyszał w odpowiedzi. — Choćby ludzie z mojej firmy. Mówiłam ci przecież, że od czasu budowy tego terminalu LNG w Long Beach wszyscy cierpią na lekką paranoję. NoHold Energy też nie byłoby od tego. Od pół roku kuszą mnie stanowiskiem wiceprezesa. Być może chcą czegoś się o mnie dowiedzieć, żeby przygotować atrakcyjniejszą ofertę?

— Ktoś jeszcze?

— Nie.

Powiedział jej, co powinna zrobić, i teraz, wieczorem, w Georgetown, właśnie to robiła. Oni, ci ludzie z cienia, których zadaniem jest tropienie innych, zawsze mają swe przyzwyczajenia, nawyki, skutki dłużących się, nudnych godzin samotnej pracy. Mężczyzna śledzący Moirę trzymał się wewnętrznej strony chodnika, by w razie konieczności móc uskoczyć w najbliższą bramę.

Znając dziwactwa cienia, Jason mógł go już zdjąć. Ale przysuwając się do niego, ukryty w tłumie, Bourne dostrzegł coś jeszcze. Cień nie pracował sam. Jego towarzysz szedł równo z nim, tyle że po drugiej stronie ulicy. To miało sens. Gdyby Moira postanowiła nagle przejść przez ulicę, to w takim tłumie ten, który szedł bezpośrednio za nią, mógłby mieć kłopoty i stracić ją z oczu. Ci dwaj, kimkolwiek byli, z pewnością woleli nie kusić losu.

Bourne się wycofał, dopasował swój krok do kroku przechodniów.

Zadzwoił do Moiry. Już wcześniej wcisnęła do ucha słuchawkę na Bluetooth, mogła więc przyjąć jego rozmowę, niczym się nie zdradzając. Udzielił jej szczegółowych instrukcji i zerwał kontakt ze śledzącymi.

Moira czuła mrowienie na karku, jakby znalazła się na celowniku zabójcy. Przeszła na drugą stronę, ruszyła w kierunku M Street. Bourne powiedział, że przede wszystkim powinna cały czas pamiętać, żeby iść normalnym krokiem, ani za szybko, ani za wolno. Zaniepokoił ją informacją, że jest śledzona. Mogła tylko udawać, że nic się nie dzieje. Wielu ludzi miało powody, żeby ją śledzić: ludzie z przeszłości i z teraźniejszości; nie wymieniła ich, kiedy rozmawiała z Jasonem. Ale... biorąc pod uwagę zbliżający się dzień otwarcia terminalu, było to z pewnością zjawisko groźne. Rozpaczliwie pragnęła poradzić się Bourne'a w związku z otrzymanymi dziś informacjami, z których wynikało, że możliwy atak terrorystyczny na nową inwestycję to nie teoria, lecz rzeczywistość. Nie mogła jednak porozmawiać o tym z Jasonem. Wiązała ją niepodważalna klauzula umowy zabraniająca zdradzania tajnych informacji komuś spoza firmy.

Na 31st Street skręciła na południe, w stronę Canal Towpath. W jednej trzeciej przecznicy, po jej stronie, wisiała mała plakietka z wytrawionym na niej napisem: „Klejnot”. Otworzyła drzwi w kolorze rubinu, weszła do nowej, drogiej restauracji w rodzaju tych, gdzie do dań dodaje się piankę z karłowatych limonek, liofilizowany imbir i plastry pomarańczowego grapefruita. Uśmiechnęła się słodko do szefa sali i wyznała mu, że szuka przyjaciela. Nim zdążył sięgnąć po księgę rezerwacji, uprzedziła, że nie zna jego nazwiska. Była tu już kilka razy, raz z Bourne'em, więc знаła rozkład wnętrza. Z tyłu drugiej sali znajdował się krótki korytarz, a w nim, po prawej stronie, drzwi do dwóch toalet, bez podziału na męską i damską. Dalej prowadził on do kuchni, do której właśnie weszła: jaskrawe światła, błyszczące stalowe patelnie, miedziane rondle, wielkie blachy do pieczenia szalejące na ogniu. Młodzi

ludzie, mężczyźni i kobiety, poruszali się szybko, lecz, jak się wydawało, z niemal wojskową precyzją: asystenci szefa kuchni, kucharze zajmujący się tylko jednym etapem przygotowania potraw, przyjmujący zamówienia z sali, cukiernicy specjalizujący się w deserach i ich personel. Wszystkich kontrolował surowy, zawsze poważny chef de cuisine.

Wszyscy ci ludzie skupieni byli na pracy do tego stopnia, że nie mieli czasu na dziwowanie się obecności intruza. Nim w ogóle zauważyli Moirę, zdążyła wymknąć się przez tylne drzwi wychodzące na alejkę wypełnioną pojemnikami na śmieci. A tam czekała już na nią taksówka White Top; jej silnik mrucał cicho.

Moira wsiadła i taksówka odjechała.

Arkadin jechał przez wzgórza rolniczej dzielnicy Nachimowskiej, zielonej nawet zimą. Mijał kwadraty pól przedzielone niskimi lasami. Niebo się rozjaśniało; ciemne, deszczowe chmury znikwały szybko, ich miejsce zajmowały wypiętrzone cumulusy, żarzące się jak węgielki w promieniach osuszającego ziemię słońca. Pokryte złotą poświatą winnice gęstniały, w miarę jak zbliżał się do wytwórni win. O tej porze roku na gałązkach krzaków nie było oczywiście ani liści, ani winogron — pokręcone, skarłowaciałe pniaki przypominające trąby słoni promieniały własnym życiem, nadającym winnicy atrakcyjną tajemniczość, otaczając ją atmosferą mitu, jakby śpiące krzaki czekały tylko na zaklęcie czarodzieja, by przebudzić się do życia.

Potężna, sękata kobieta o nazwisku Jetnikowa przedstawiła mu się jako bezpośrednia przełożona Olega Iwanowicza Szumienki; zresztą wydawało się, że w wytwórni każdy był czymś przełożonym. Szersza w ramionach od samego Arkadina miała krągłą, czerwoną od wódki twarz o zdumiewająco drobnych rysach lalki. Włosy wiązała w kok niczym wiejska babuszka, ale przy tym wszystkim była energiczna i rzeczowa.

Zapytany o to, czego tu właściwie szuka, Leonid Arkadin uciekł się do jednej z wielu swych fałszywych tożsamości i wylegitymował się jako pułkownik SBU, Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Na widok legitymacji Jetnikowa zwiędła jak zasuszona roślina i uprzejmie wskazała mu, gdzie znajdzie Szumienkę.

Zgodnie z jej instrukcją Arkadin udał się na poszukiwania korytarzami prowadzącymi do coraz to innych korytarzy. Po drodze otwierał liczne drzwi, jedno po drugim, zaglądał do biur, pomieszczeń gospodarczych i składzików, uprzejmie przeproszał pracowników, jeśli jakichś zobaczył, i szedł dalej.

Olega Iwanowicza znalazł w sali fermentacyjnej. Szumienko okazał się mężczyzną chudym jak patyk, znacznie młodszym, niż można się było spodziewać, najwyżej trzydziestoletnim. Miał gęste włosy koloru nawłoci, sterczące niczym rząd grzebieni. Z przenośnego radiomagnetofonu brzmiała głośna muzyka brytyjskiego zespołu The Cure. Arkadin słyszał go wielokrotnie w moskiewskich klubach, tu jednak, na najdalszej krymskiej prowincji, piosenki tej grupy wydawały się dziwnie nie na miejscu. Szumienko stał na pomoście, wznoszącym się dobre cztery metry nad podłogę, pochylony nad jakimś stalowym urządzeniem większym od największego wieloryba. Wyglądało na to, że pracuje przede wszystkim węchem, być może w ten sposób oceniał najnowszą partię słynnego krymskiego szampana. Zamiast ściszyć muzykę, gestem zaprosił gościa do siebie.

Arkadin bez wahania wspiął się na pomost po pionowej drabince. Jego zmysł powonienia zaatakował słodki zapach drożdży; musiał mocno trzeć koniec nosa, żeby nie zacząć kichać. Doskonale wyćwiczone oczy zarejestrowały natychmiast każdy, nawet najdrobniejszy szczegół otoczenia.

— Oleg Iwanowicz Szumienko?

Chudy młodzieniec odłożył sztywnik z kartką, na której coś pilnie notował. Do kieszeni marynarki fatalnie skrojonego garnituru schował długopis, jeden z wielu.

— Do usług. A pan jest...?
— Jestem przyjacielem Piotra Zilbera.
— Nigdy o nim nie słyszałem.
Zdradziły go oczy. Arkadin wyciągnął rękę, pogłodził muzykę.
— Ale on słyszał o tobie, Olegu Iwanowiczu. Prawdę mówiąc, jest pan dla niego bardzo ważny.
Na ustach Szumienki pojawił się sztuczny, wymuszony uśmiech.
— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.
— Popełniono poważny błąd. Musi odzyskać dokument.
Nie przestając się uśmiechać, młody człowiek sięgnął do kieszeni.
— Powtarzam, że...
Arkadin próbował go chwycić, ale nie zdążył. Patrzył w lufę pistoletu powtarzalnego GSh-18, wycelowaną w jego serce.
— Hm... przyrządy celownicze zaledwie wystarczające — powiedział.
— Nie wiem, o czym mówisz, człowieku. Kimkolwiek jesteś... nie, nie musisz się przedstawiać, przecież podasz, fałszywe nazwisko... żaden z ciebie przyjaciel Piotra. Wiem, że on już nie żyje. Może nawet ty go zamordowałeś?
— Ale spust ma sztywny. — Leonid zachowywał się tak, jakby w ogóle nie słuchał, co się do niego mówi. — To mi daje jakąś dziesiątą część sekundy.
— Jedna dziesiąta sekundy to nic.
— To wszystko, czego mi potrzeba.
Szumienko się cofał, a Arkadinowi na tym właśnie zależało. Mężczyzna próbował utrzymać bezpieczny dystans, był tuż przy wygiętej części zbiornika.
— Opłakuję śmierć Piotra i będę bronił tajemnic naszej siatki, choćbym miał zapłacić za to życiem.
Znów musiał się cofnąć, bo Arkadin zrobił krok w przód.
— Czeka cię bolesny upadek, tu jest dość wysoko. Sugeruję, żebyś się stąd wyniósł. Zejdź po drabinie, póki możesz, i zniknij w tym kłaczonym dole, z którego wypełzłeś!

W tym momencie Szumienko poślizgnął się na kałuży drożdży, którą Leonid dostrzegł znacznie wcześniej. Prawe kolano ugięło się pod nim, zakłócając równowagę. Broniąc się przed upadkiem, instynktownie podniósł prawą dłoń, w której trzymał rewolwer.

Arkadinowi wystarczył jeden długi krok, by wejść z Olegiem w bezpośredni kontakt. Próbował odebrać mu broń, przeciwnik okazał się zbyt szybki, ale uderzenie pięścią w policzek rzuciło go na zbiornik, pomiędzy dwie wystające dźwignie. W odpowiedzi Szumienko posłużył się kolbą pistoletu; po ciosie, który trafił go niemal dokładnie między oczy, z nosa Arkadina trysnęła krew. Jeszcze raz próbował uchwycić GSh-18, znów mu się nie udało.

Wciśnięci pod stalową ścianę zbiornika rozpoczęli walkę na śmierć i życie. Szumienko, chudy i z pozoru kruchy, okazał się zdumiewająco silny. Musiał też przejść odpowiedni trening, potrafił się bowiem obronić przed każdym, nawet najtrudniejszym ciosem przeciwnika, który napierał na niego tak, że ich ciała niemal się stykały, dzieliła je nie więcej niż szerokość dłoni. Obaj używali wszelkiej dostępnej im broni, otwartych dłoni i zaciśniętych pięści, przedramion i łokci, nawet barków; obaj próbowali zadać ból i sami obronić się przed zadawanym im bólem.

Powoli, stopniowo, Arkadin zaczynał zyskiwać przewagę, ale dzięki zastosowaniu podwójnego zwodu Szumience udało się przycisnąć mu do gardła kolbę pistoletu. Napierał coraz mocniej, używając zasady dźwigni, próbował zmiażdżyć krtań przeciwnika broniącego się tylko jedną ręką, druga bowiem uwięzła między ciałami. Arkadin bił go wprawdzie w bok, ale zajmował gorszą pozycję i jego ciosy niewiele znaczyły. Wymierzył w miejsce niebezpieczne, w nerki, ale wystarczył jeden ruch bioder, by zejść z linii ciosu, który zaledwie musnął kość biodrową.

Szumienko umiejętnie wykorzystywał przewagę. Przechylił Arkadina przez barierkę, kolbą pistoletu, popartą siłą górnej części ciała,

usiłował zepchnąć go z pomostu. Wzrok Leonida zaćmiły pasma czerni, najlepszy dowód na to, że mózg zaczyna odczuwać brak tlenu. Nie docenił Ukraińca... i teraz miał zapłacić za to wysoką cenę.

Rozkaszał się, zaczął dławić. Walczył o oddech. Wolną ręką przesunął po marynarce Szumienki. Skoncentrowanemu na dobieciu go mężczyźnie miało się wydawać, że po raz ostatni, rozpaczliwie, próbuje oswobodzić rękę. Całkowicie zaskoczył go cios w lewe oko zadany jego własnym, wyciągniętym z kieszeni marynarki długopisem.

Szumienko się cofnął, osunął na pomost. Arkadin podniósł pistolet, przyklęknął, znalazł się na jego poziomie.

— Dokument — powiedział Leonid, a kiedy głowa leżącego mężczyzny opadła bezwładnie, dodał jeszcze: — Olegu Iwanowiczu, posłuchaj mnie. Gdzie jest dokument?

Oko Ukraińca błyszczało od łez. Próbował coś powiedzieć, poruszała ustami. Arkadin potrząsnął nim, usłyszał jęk bólu.

— Gdzie?

— Nie ma.

Musiał pochylić głowę, hałaśliwa muzyka zagłuszyła głos umierającego. The Cure zastąpili Siouxsie and the Banshees.

— Jak to „nie ma”?

— Poszedł dalej. — Usta Szumienki skrzywiły się w czymś w rodzaju uśmiechu. — Nie to chciałeś usłyszeć, prawda, „przyjacielu Piotra Zilbera”? — Zamrugnął, z oka spłynęła mu łza — Dla ciebie to koniec, więc pochyl się, to zdradzę ci sekret.

Obliznął wargi, a kiedy Leonid Arkadin spełnił jego prośbę, szarpnął się i ugryzł go w ucho.

Rosjanin zareagował instynktownie. Wsunął lufę pistoletu w usta konającego, pociągnął za spust. Ułamek sekundy później zorientował się, jaki popełnił błąd. Klął w sześciu językach.

Rozdział 4

Bourne, kryjący się w głębokim cieniu naprzeciw restauracji Klejnot, dostrzegł wychodzących z niej dwóch mężczyzn. Gniewny wyraz ich twarzy nie pozostawiał wątpliwości: zgubili Moirę. Obserwował ich uważnie, maszerujących ramię przy ramieniu, widział, jak jeden z nich wyjmuje telefon komórkowy, rozmawia z kimś, pyta o coś towarzysza i wraca do rozmowy. W tym czasie zdążyli już dojść do M Street. Wreszcie rozmowa się skończyła, mężczyzna schował telefon. Obaj przystanęli na rogu, przyglądając się mijającym ich co zgrabniejszym dziewczynom. Bourne zauważył, że stoją wyprostowani, trzymając dłonie na widoku, przy bokach. Wyglądało na to, że czekają na samochód; dobry pomysł, biorąc pod uwagę wieczór taki jak dziś, gdy znalezienie miejsca parkingowego graniczy z cudem, a samochody na M Street poruszają się w tempie ciekącego miodu.

Bourne, pozbawiony środka transportu, rozejrzał się dookoła. 31st Street od strony drogi holowniczej jechał rowerzysta, wzdłuż kanału ściekowego, żeby ominąć korek. Jason zrobił szybko kilka kroków, stanął mu na drodze. Rowerzysta zahamował gwałtownie, krzyknął zaskoczony.

— Potrzebny mi twój rower — powiedział stanowczo Bourne.

— Ale go nie dostaniesz, człowieku. — Właściciel dwóch kótek mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem. Na rogu ulic 31st i M, przed mężczyznami, zatrzymał się czarny SUV GMC. Bourne włożył w rękę Anglika czterysta dolarów.

— Potrzebny mi twój rower — powtórzył. — W tej chwili.

Młody człowiek przyjrzał się pieniądzom. Zsiadł.

— Ależ bardzo proszę.

Okazał się na tyle uprzejmy, że Bourne'owi, który szybko wskoczył na siodełko, oddał jeszcze kask ze słowami: „Będziesz tego potrzebował, człowieku”.

Dwaj mężczyźni zdążyli wsiąść do samochodu włączającego się właśnie do ruchu. Bourne wystartował, jakby brał udział w wyścigu kolarskim. Rowerzysta odprowadził go wzrokiem, wzruszył ramionami, wspiął się na chodnik i odszedł.

Jason wjechał na M Street. GMC znajdował się trzy samochody przed nim. Lawirował w korku, póki nie znalazł pozycji odpowiedniej do jego bezpiecznego śledzenia. Na 30th Street trafili na czerwone światło; Bourne musiał się zatrzymać, podeprzeć nogą i dlatego się spóźnił, gdy SUV śledzonych, ruszył gwałtownie jeszcze przed zmianą świateł, wyprzedzając inne samochody. Pojechał za nim. Biała toyota, wjeżdżająca na skrzyżowanie od strony M, zbliżała się do niego niebezpiecznie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, musiał skrócić na chodnik, powodując zamieszanie wśród czekających na przejście ulicą, zmuszając pierwsze szeregi do cofnięcia się i prowokując lawinę przekleństw. Kierowca toyoty przeskoczył przez M, trąbiąc przeraźliwie.

Bourne jechał już dalej, z niezłą prędkością. Doganiał śledzonych, bo GMC znów musiał zwolnić; przed nimi spiętrzał się kolejny korek w miejscu, gdzie M i Pennsylvania przecinają się przy 29th Street. Był już blisko, kiedy SUV znów wyrwał przed siebie. A więc Bourne został zauważony. Problem z rowerem polega na tym, że zbyt rzuca się w oczy, zwłaszcza jeśli rowerzycie udaje się sprowokować po drodze wcale niezłe zamieszanie... choć wcale mu na tym nie zależy.

Pozostało mu tylko wykorzystać do końca gwałtownie pogarszającą się sytuacją. Ostrożność na nic mu się już nie przyda. Popędził za GMC, który na rozgałęzieniu wybrał Pennsylvania Avenue. Dobra wiadomość: w korku ciągle nie mógł nabrać szybkości. Druga dobra wiadomość: widać już było kolejne czerwone światło. Tym razem Bourne był gotów na standardowy manewr tropionego; lawirował zręcznie wśród samochodów, udało mu się nabrać szybkości i wraz z nim przejechał skrzyżowanie, gwałcąc wszystkie przepisy ruchu drogowego. Ale... w tej samej chwili na pasy wtargnęła grupka pijanych nastolatków, skutecznie blokując mu drogę; humor tak im dopisywał, że albo nie słyszeli ostrzegawczych okrzyków Jasona, albo nic ich one nie obchodziły. Musiał skrócić gwałtownie w prawo, przednie koło uderzyło w krawężnik, rower stracił kontakt z nawierzchnią. Ludzie się cofali, próbowali uciec przed lecącym na nich, niesterownym pociskiem. Jasonowi udało się utrzymać równowagę po lądowaniu, ale gdziekolwiek by skręcił, musiał wjechać w jakąś grupę młodych ludzi. Gwałtowne hamowanie niewiele dało. Mógł zrobić tylko jedno: położył rower na betonie, rozdzierając przy okazji prawą nogawkę spodni.

— Nic panu nie jest?

— Co ty wyprawiasz, człowieku?

— Nie widziałeś czerwonego światła?

— Mogłeś zabić kogoś... albo siebie!

Otoczyli go przechodnie, przepychając się, zasypując go pytaniami. Bourne dziękował im uprzejmie, kiwał głową, wreszcie jakoś wyrwał się z tłumu, pobiegł za SUV-em. Po kilkuset metrach przystanął. Tego właśnie się spodziewał. Samochód znikł.

Nadal klnąc we wszystkich znanych mu językach, Leonid Arkadin przeszukiwał kieszenie Olega Iwanowicza Szumienki, którego ciało, miotane przedśmiertnymi drgawkami, leżało na zalanym krwią pomoście

jakiejś maszynierii stojącej gdzieś głęboko w trzewiach sewastopolskiej wytwórni win. Zastanawiał się przy tym, jak mógł okazać się takim głupcem. Zrobił dokładnie to, czego chciał ten chłopak: zabił go. Szumienko wolał zginąć, niż zdradzić nazwisko kolejnego ogniwa w łańcuchu stworzonym przez Piotra Zilbera.

Nadal istniała jednak szansa, że Arkadin znajdzie coś, co okaże się przydatne. Na razie zdołał uzbierać trochę drobnych, jakieś rachunki, tego rodzaju śmieci. Dokładnie badał każdy kawałek papieru, nie trafił jednak na żadne nazwisko, żaden adres. Najwięcej było spisów chemikaliów prawdopodobnie służących do fermentacji albo może do okresowego czyszczenia zbiorników.

Portfel Szumienki wystawiał właścicielowi żalosne świadectwo. Był cienki jak papier i zawierał: blaknącą fotografię starszego małżeństwa, uśmiechającego się do słońca i obiektywu aparatu, który prawdopodobnie trzymał ich nieżyjący syn, kondom w zgniecionym foliowym opakowaniu, prawo jazdy, legitymację klubu żeglarskiego, weksel na dziesięć tysięcy, hrywien, czyli nieco poniżej dwóch tysięcy dolarów, dwa rachunki: jeden z restauracji, drugi z klubu nocnego, a także stare zdjęcie uśmiechniętej młodej dziewczyny.

Chowając rachunki, jedyne źródło wiedzy, która mogłaby mu się ewentualnie przydać, Leonid przypadkowo odwrócił weksel. Po drugiej stronie spiczastym, kobiecym charakterem pisma wypisane było imię: „Dewra”. Chętnie poszukałby jeszcze czegoś, ale usłyszał elektroniczny pisk, a zaraz potem wrzask Jetnikowej. Rozejrzał się dookoła, dostrzegł staroświecką krótkofalówkę zawieszoną na barierce. Schował papiery do kieszeni, ześlizgnął się z podestu po pionowej stalowej drabince i wyszedł z sali fermentacji szampana.

Szefowa Szumienki odnalazła go w labiryncie korytarzy. Zbliżyła się do niego jak niemiecka armia do wrót Warszawy, już z daleka dostrzegł grymas jej twarzy. W odróżnieniu od rosyjskich ukraińskie papiery Leonida Arkadina były niewiele warte. Wytrzymywały pobieżną

kontrolę, ale wystarczyło przyjrzeć się im bliżej, żeby nabrać podejrzeń.

— Zadzwoiłam do biura SBU w Kijowie. Sprawdzili pana, pułkownika. Czy kim tam pan jest. — Jej twarz, na początku tylko surowa, teraz przybrała wrogi wyraz. Baba nadeła się jak gotowy do walki jeżozwierz. — Nigdy nie słyszeli...

Zdażyła tylko pisnąć; Arkadin jedną ręką zasłonił jej usta, drugą uderzył w splot słoneczny. Padła mu w objęcia, bezwładna jak szmaciana lalka. Pociągnął ją korytarzem do najbliższego pomieszczenia gospodarczego. Zamknął drzwi.

Rozciągnięta na podłodze jak długa Jetnikowa powoli odzyskiwała przytomność, a wraz z przytomnością wróciła jej mowa. Nie szczędziła Leonidowi pogroźek, przeklinała, straszyla niewyobrażalnymi karami za nieodpowiednie traktowanie. Nie zwracał na nią uwagi; ani jej nie słyszał, ani nawet nie widział. Próbował odgrodzić się od przeszłości, ale jak zawsze zalała go fala wspomnień. Obrazy z przeszłości zawładnęły nim, oderwały go od niego samego. Zapadł w sen zbliżony do transu po narkotykach; ten stan, powtarzający się przez lata, był mu znajomy jak brat bliźniak.

Ukląkł obok Jetnikowej, z łatwością unikając i jej zębów, i kopniaków. Z pochwy na prawej łydce wyciągnął nóż. Dopiero na widok wyskakującego z rączki cienkiego ostrza na twarzy Jetnikowej pojawił się nieukrywany strach. Instynktownie podniosła ręce, jęknęła, patrzyła na Arkadina szeroko otwartymi oczami.

— Czego chcesz? — krzyknęła. — Dlaczego?

— Przez to, co zrobiłaś.

— Ja? Co ja zrobiłam? Nawet cię nie znam.

— Ale ja znam ciebie.

Leonid Arkadin unieruchomił jej ręce i zabrał się do roboty. Kiedy chwilę później skończył i mógł już skupić wzrok, odetchnął głęboko, jakby otrząsał się z efektów środka znieczulającego. Spojrzał na bezgłowe ciało. Przypomniał sobie o głowie, kopnął ją na kupę brudnych

szmat; przez chwilę chwiała się na niej jak miotany falami statek. Oczy wydawały mu się zamglone z powodu wieku kobiety, ale był to tylko kurz; ulga, której szukał, umknęła mu raz jeszcze.

— Kim byli?

— I w tym tkwi problem — odparł Bourne. — Nie udało mi się tego stwierdzić. Byłoby łatwiej, gdybyś powiedziała mi, dlaczego cię śledzili.

Moira zmarszczyła brwi.

— Muszę zakładać, że ma to coś wspólnego z bezpieczeństwem terminalu LNG.

Siedzieli obok siebie w salonie jej mieszkania, niewielkiego, przytulnego, mieszczącego się w Georgetown, w domu z brunatnej cegły stojącym przy Cambridge Place, niedaleko Dumbarton Oaks. Na ceglany kominku płonął ogień, przed nimi, na niskim stoliku, stały kawa i brandy. Obita kordonkiem sofa miała wielkie wyściełane poręcze i wysokie oparcie i była wystarczająco głęboka, by Moira mogła zwinąć się na niej, w kłębek.

— Jednego jestem pewien — mówił dalej Bourne. — Ci ludzie to zawodowcy.

— To ma sens. Rywale mojej firmy wynajęliby tylko najlepszych. Nie oznacza to przecież, że coś mi grozi.

Niemniej jednak Jason poczuł ostre ukłucie bólu na myśl o Marie. Odłożył to wspomnienie na bok, ostrożnie, niemal czule.

— Jeszcze kawy? — spytała Moira.

— Chętnie.

Podał jej filiżankę. Kiedy się pochyliła, przez dekolt w szpic lekkiego sweterka dostrzegł jej piersi. Nagle podniosła głowę, spojrzała na niego, jej oczy błyszczały figlarnie.

O czym myślisz? — spytała.

Prawdopodobnie o tym samym co ty. — Bourne wstał, rozejrzał się za swoim płaszczem. — Lepiej już pójść.

— Jasonie... — Zatrzymał się. W blasku lampy twarz Moiry wydawała się złota. — Nie. Zostań. Proszę.

Potrząsnął głową.

— Oboje wiemy, że to nie jest najlepszy pomysł.

— Tylko dziś. Nie chcę być sama. Nie po tym, co odkryłeś. — Zadrżała lekko. — Udawałam, że się wcale nie boję, ale nie jestem tobą. Ciarki mnie przechodzą na myśl o tym, że jestem śledzona. — Podała mu filiżankę kawy. — Jeśli pomoże ci to podjąć decyzję, wolę, żebyś spał tu, na kanapie. Jest całkiem wygodna.

Bourne przyjrzał się ścianom w ciepłym, orzechowym kolorze, ciemnym drewnianym roletom, drobnym, rozrzuconym tu i ówdzie akcentom o barwie przeróżnych klejnotów: wazom i wazonom z kwiatami. Na niskim kredensie stało agatowe pudełko o złotych nóżkach, mosiężny okrętowy zegar cykał cicho. Zdjęcia francuskiej prowincji latem wprawiały go w nostalgiczny, smutny nastrój; nie potrafił powiedzieć dlaczego. Szukał w pamięci jakichś wspomnień, ale nie znalazł żadnego. Jego przeszłość była jak jezioro czarnego lodu.

— Rzeczywiście, wygodna — przytaknął, siadając.

Moira przytuliła do piersi poduszkę.

— Czy porozmawiamy o tym, czego unikaliśmy przez cały wieczór? — spytała.

— Rozmowa nie jest moją najmocniejszą stroną.

Jej szerokie, zmysłowe usta rozchyliły się w uśmiechu.

— Nie jest najmocniejszą stroną którego z was? Davida Webba czy Jasona Bourne'a?

Roześmiał się, wypił tyk kawy.

— A gdybym powiedział, że obu?

— Musiałabym nazwać cię kłamcą.

— Przecież nie możemy do tego dopuścić, prawda?

— Nie byłaby to moja wina. — Moira oparła głowę na dłoni. Czeakała, lecz on milczał. — Jason, proszę — powiedziała w końcu. — Porozmawiaj ze mną.

Stary, znajomy strach przed bliskością pojawił się jak na komendę, ale jednocześnie Bourne czuł, że coś w nim pęka, jakby jego zamrożone serce zaczęło tajać. Przez wiele lat jego żelazna zasada brzmiała: nie zbliżaj się do ludzi. Alex Conklin zginął zamordowany, Marie zmarła, Martin Lindros nie zdołał wydostać się z Miran Szah. Odeszli przyjaciele i pierwsza miłość. Aż drgnął, zdając sobie nagle sprawę z tego, że nigdy nie pociągała go żadna kobieta z wyjątkiem Marie. Nie pozwalał sobie na uczucia... lecz jak miał się teraz przed nimi bronić? Czy w ten sposób oddziaływała na niego osobowość Davida Webba, czy też może sama Moira? Taka silna, taka pewna siebie? Rozpoznawał w niej bratnią duszę, kogoś, kto patrzył na świat jak on, z boku.

Spojrzał jej w oczy i powiedział pierwsze, co przyszło mu do głowy.

— Ludzie, do których się zbliżam, umierają.

Moira westchnęła, dotknęła lekko jego dłoni.

— Nie umrę — obiecała. Jej ciemne, piwne oczy błyszczały odbitym światłem lampy. — A w każdym razie chronienie mnie nie należy do twoich zadań.

To także go w niej pociągało. Była zacięta, była wojownikiem. Na swój sposób.

— Powiedz mi prawdę. Jesteś szczęśliwy na uniwersytecie?

Bourne zamyślił się na chwilę, targające nim wątpliwości stawały się nieznośne.

— Chyba tak — przyznał. Zawahał się. — A w każdym razie myślałem, że jestem szczęśliwy.

Życie z Marie było dla niego jak bezcenny skarb, otaczał je złoty blask, ale Marie odeszła i to życie należało do przeszłości. Kim był bez niej David Webb? Nie pozostało w nim nic z człowieka rodzinnego. Widział już i rozumiał, że mógł wychować dzieci tylko dzięki jej miłości i wsparciu. Po raz pierwszy uświadomił sobie, co tak naprawdę oznaczała ucieczka w pracę naukową. Próbował wrócić jakoś do życia z Marie, Przywołać je z przeszłości. Wcale nie chodziło mu o to, by nie zawieść profesora Spectera; on nie chciał zawieść Marie.

— O czym myślisz? — spytała cicho Moira.

— O niczym. O niczym nie myślę.

Przyjrzała mu się uważnie. Wstała, pochyliła się, pocałowała go w policzek.

— No to w porządku — powiedziała z uśmiechem. — Pościelę ci na sofie.

— Nie przejmuj się, powiedz tylko, gdzie chowasz pościel.

— Tam. — Palcem wskazała szafkę. Bourne skinął głową. — Dobranoc, Jasonie.

— Do zobaczenia rano. Ale wcześniej, bo...

— Wiem, wiem. Jesz śniadanie z profesorem Specterem.

Jason Bourne leżał na wznak, z ręką podłożoną pod głowę. Był zmęczony; nie miał wątpliwości, że zaśnie, nim przyłoży głowę do poduszki. Ale godzinę po zgaszeniu światła sen był nadal odległy o tysiące mil. Od czasu do czasu czerwone węgielki niedopalonego ognia na kominku z trzaskiem unosiły się w powietrze i spadały powoli. Patrzył z napięciem w cienkie paski światła, przedostające się do środka przez szczeliny drewnianych rolet, z nadzieją, że zabiorą go do dalekiego świata, którym, przynajmniej w jego przypadku, była przeszłość. Był jak człowiek nadal czujący ból ręki, chociaż mu ją amputowano. Poczucie, że wspomnienia czekają na niego tuż, blisko, lecz nie aż tak blisko, by po nie sięgnąć, doprowadzało do szaleństwa jak swędzące miejsce, którego nie da się podrapać. Bywało, że marzył o tym, by niczego nie pamiętać, i dlatego oferta Moiry była tak nęcąca. Pokusa, by zacząć od nowa, bez poczucia straty, bez ciężącego mu smutku, wydawała się chwilami nie do odparcia. Przecież konflikt rozszarpał go na strzępy, zawsze obecny, czy był Davidem Webbem, czy Jasonem Bourne'em. Niestety, chciał tego czy nie, przeszłość istniała, czaiła się jak wilk w środku nocy, gotowa zaatakować, jeśli tylko uda mu się obalić skonstruowane przez jego mózg tajemnicze bariery. Nie po raz pierwszy

zastanowił się, jakie inne, straszne doświadczenia spotkały go w przeszłości, że umysł zmuszony był do sięgnięcia po ten środek obrony. A przecież odpowiedź była gdzieś tam, na granicy pamięci; ten fakt ścinał mu krew w żyłach, reprezentował bowiem jego prywatnego demona.

— Jason?

Drzwi do sypialni były otwarte. Mimo ciemności jego wyćwiczone oczy zarejestrowały zbliżającą się do niego bosą sylwetkę.

— Nie mogę zasnąć — szepnęła Moira schrypniętym głosem. Zatrzymała się kilka kroków od sofy. Miała na sobie jedwabny szlafrok w egzotyczny wzór, przewiązany w pasie, bardziej uwydatniający niż kryjący krągłości jej pięknego ciała.

Milczeli oboje. I to ona znów odezwała się pierwsza.

— Kłamałam. Nie chcę, żebyś tu spał.

Bourne uniósł się na kanapie, podparł się łokciem.

— Ja też kłamałem — przyznał. — Myślałem o tym, co kiedyś miałem, i jeszcze o tym, że rozpaczliwie próbuję się tego trzymać. Ale to przeszłość, Moiro. To już było. — Wyprostował nogę. — Nie chcę cię stracić.

Moira poruszyła się. Podchodziła do niego powoli; błysk światła zza rolet ujawnił łzy w jej oczach.

— Nie stracisz. Obiecuję.

I znów otoczyła ich cisza, tak głęboka, jakby tylko oni pozostali na świecie.

Wreszcie Bourne wyciągnął do niej rękę, a kiedy zrobiła krok w jego stronę, wstał, wziął ją w ramiona. Pachniała świeżą zielenią i geranium. Jason przeciągnął ręką przez jej gęste włosy, zacisnął na nich palce. Odchyliła głowę. Ich usta się spotkały, a z jego serca odpadła kolejna warstwa lodu. Minęła długa chwila, nim poczuł jej dłonie na swoich, złożonych na biodrach kobiety. Cofnął się o krok.

Moira powoli rozwiązała pasek, zrzuciła szlafrok. Kształty miała

pełne, kochał w jej ciele wszystko, bo wszystko było piękne. Teraz to ona wzięła go za ręce, poprowadziła do łóżka, gdzie wtulili się w siebie jak szukające ciepła zwierzęta.

Bourne śnił, że stoi przy oknie sypialni, wygląda na zewnątrz przez szczelinę w roletach. Latarnie oświetlały ulicę i chodnik, rzucając długie, skośne cienie. Jeden z nich właśnie oderwał się od kamieni bruku, ruszył wprost ku niemu, jakby żył i jakimś cudem widział go mimo osłony...

Otworzył oczy; przejście ze snu w jawę było natychmiastowe i całkowite. Sen wypełniał jego umysł, Jason czuł, że serce bije mu mocno, mocniej niż powinno w tej chwili i w tej sytuacji.

Moira spała z ręką przerzuconą przez jego biodro. Przesunął się na jej stronę, przetoczył, wstał. Nagi przeszedł cicho do salonu. W wygasłym kominku leżała kupka stygnącego popiołu, mosiężny zegar wskazywał czwartą nad ranem. Bourne podszedł wprost do okna, wyrztał przez szczelinę w roletach, dokładnie tak jak we śnie. I tak jak we śnie latarnie rzucały długie cienie na chodnik i ulicę. Było pusto, cicho, świat wydawał się nieruchomy. Zajął mu to minutę, może dwie, lecz wreszcie dostrzegł ruch, drobny, ulotny, jakby ktoś, stojąc, chciał przemieścić ciężar ciała z nogi na nogę, lecz rozmyślił się w ostatniej chwili. Jason czekał, spodziewając się, że ruch się powtórzy, ale nic się nie wydarzyło, tylko w blasku świateł ukazała się chmurka oddechu i natychmiast znikła.

Ubrał się szybko. Lekceważąc frontowe i tylne drzwi, wyszedł z domu przez boczne okno. Na zewnątrz było bardzo zimno; wstrzymał oddech, by nie zdradzić swej obecności, tak jak to zrobił obserwator.

Trzymając się ceglanej ściany, dotarł do rogu budynku, wyrztał ostrożnie. Owszem, dostrzegł linię pleców, ale na złej wysokości, tak nisko, że obserwatora mógłby wziąć za dziecko. W każdym razie tajemniczy osobnik trwał nieruchomo. Bourne wtopił się w cień, poszedł

30th Street, skręcił w lewo w Dent Place równoległe do Cambridge Place. Na końcu przecznicy skręcił w lewo w Cambridge, ten jej odcinek, przy którym mieszkała Moira. Teraz już widział dokładnie, gdzie stoi obserwator, wciśnięty między dwa samochody: dokładnie na przeciw domu, na który zwrócona była cała jego uwaga.

Powiał wilgotny wiatr, mężczyzna się skulił, wciągnął głowę w ramiona jak żółw. Bourne wykorzystał tę chwilę, by przebiec przez ulicę na jego stronę. Nie zatrzymał się, szedł chodnikiem szybko i cicho. Obserwator zauważył jego obecność zbyt późno. Próbował odwrócić głowę, lecz nie zdążył. Jason chwycił go za kołnierz kurtki, rzucił na maskę zaparkowanego obok samochodu. Potem szarpnął, odwrócił do światła.

Rozpoznał tę czarną twarz w ułamku sekundy. Poderwał młodego człowieka na równe nogi, pchnął w cień; tu przynajmniej miał pewność, że nie zdołają ich dostrzec nawet najbystrzejsze wścibskie oczy.

— Jezu Chryste, Tyrone — powiedział. — Co ty tu, do diabła, robisz?

— Nie mogę powiedzieć. — Mężczyzna nie wydawał się zachwycony, a już z pewnością nie spodobało mu się, że został odkryty.

— O czym ty mówisz? Czego nie możesz powiedzieć?

— Niczego. Mam w kontrakcie klauzulę dotyczącą zachowania tajemnicy.

Bourne zmarszczył brwi.

— Deron nie kazałby ci podpisać czegoś takiego. — Mówił o fałszerzu artyście, który produkował potrzebne mu dokumenty, a czasami dostarczał broń lub produkty nowych technologii, z którymi akurat eksperymentował.

— Nie pracuję dla Derona.

To kto ci kazał? — Jason złapał go za kurtkę na piersiach, Potrząsnął nim. — Dla kogo pracujesz? Nie mam czasu na igraszki. Odpowiadaj!

Nie mogę. — Kiedy chciał, Tyrone potrafił być cholernie uparty,

zapewne dlatego, że chował się na ulicy waszyngtońskiego getta, w północno-wschodniej części miasta. — Ale w porządku, niech będzie. Chyba mogę cię zaprowadzić, żebyś zobaczył na własne oczy.

Poprowadził Bourne'a wąską alejką za domem Moiry. Zatrzymali się przy anonimowym chevrolecie. Tyrone podszedł, zapukał w szybę od strony kierowcy, a kiedy uchyliła się odrobinę, zamienił kilka słów z kimś w środku. Bourne odepchnął go, pochylił się, zajrzał do samochodu. To, co zobaczył, zdumiało nawet jego. Za kierownicą siedziała Soraya Moore.

Rozdział 5

— Sprawdzamy ją od prawie dziesięciu dni — powiedziała Soraya.

— Centrala Wywiadu? — zdumiał się Bourne. — Co się dzieje?

Siedzieli w jej chewym. Włączyła silnik, żeby ogrzać wnętrze. Tyrone'a odesłała do domu, choć jasne było, że pragnie zostać, jako jej obrońca. Pracował teraz dla niej, całkiem nieoficjalnie, jako ktoś w rodzaju jednoosobowej jednostki od brudnej roboty.

— Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć.

— Nie. To Tyrone nie mógł. Ty możesz.

Jason Bourne współpracował z Sorayą przy przygotowaniu misji ratunkowej mającej ocalić Martina Lindrosa, twórcę i szefa Typhona. Należała do tej bardzo niewielkiej grupki ludzi, z którymi pracował w terenie. W Odessie. Dwukrotnie.

— Chyba rzeczywiście mogę, ale i tak nie powiem, bo wygląda na to, że utrzymujesz intymne stosunki z Moirą Trevor.

Soraya wyglądała przez okno, przyglądając się czarnej wstędze ulicy. Wielkie, niebieskie oczy i duży, agresywny nos dominowały w jej pięknej, arabskiej twarzy koloru cynamonu. Kiedy znów spojrzała na Bourne'a, poznała z łatwością, że nie jest szczęśliwa, wyjawiając tajemnice Centrali.

— W mieście jest nowy szeryf. Nazywa się Veronica Hart.

— Słyszałaś coś o niej?

— Nie. Inni też nic nie wiedzą. — Wzruszyła ramionami. — Jestem pewna, że właśnie o to chodzi. Przyszła z sektora prywatnego, z Black River. Prezydent postanowił nową szczotką wymieść stare śmieci. Odpady po zdarzeniach, które doprowadziły do śmierci Starego.

— Jaka ona właściwie jest?

— Za wcześnie, żeby wydawać opinie, ale jedno mogę powiedzieć z całą pewnością: choćby nie wiem co, będzie lepsza od konkurencji.

— To znaczy?

— Sekretarz obrony Halliday od lat próbuje rozszerzyć swoje imperium. Wykorzystuje do tego Luthera LaValle'a, pana i władcę wywiadu z Pentagonu. Chodzą plotki, że próbował odebrać robotę tej Hart.

— A ona się nie dała. — Bourne skinął głową. — To sporo o niej mówi.

Soraya wyjęła paczkę papierosów Lambert & Butler, wytrząsnęła jednego, zapaliła. Otworzyła okno, wypuściła dym w blednącą noc.

— Tego dnia, kiedy awansowano mnie na szefową Typhona.

— Gratulacje. — Jason Bourne wyprostował się w fotelu, był pod wrażeniem wiadomości. — Tylko że mnożą się nam tajemnice. Co dyrektor Typhona robi w zespole obserwacyjnym, i to jeszcze o czwartej rano? Moim zdaniem to robota dla kogoś umieszczonego znacznie niżej w łańcuchu pokarmowym CI.

— W innych okolicznościach owszem. — Soraya się zaciągnęła, znów wydmuchnęła dym przez okno. Zaraz potem w ślad za dymem podążył niedopałek. Kobieta całym ciałem odwróciła się do Bourne'a. — Mój nowy szef kazał mi zająć się sprawą osobiście. No więc wykonuję jego polecenie.

— A co ta tajna misja ma wspólnego z Moirą? Jest cywilem.

— Może jest, a może nie jest. — Wielkie, niebieskie oczy wpatrywały się w Bourne'a w oczekiwaniu, jak zareaguje. — Przekopywałam

się przez dokumentacją łączności międzywydziałowej z ostatnich dwóch lat: e-maile, transkrypcje rozmów przez komórki, tego rodzaju rzeczy. Znalazłam trochę odstępstw od normy, przekazałam je nowemu dyrektorowi. — Soraya przerwała, jakby nie wiedziała, czy powinna mówić dalej, czy nie. — Chodzi o to, że te odstępstwa pojawiały się przy okazji prywatnych kontaktów jej i... Martina.

— Twierdzisz, że przekazywał Moirze tajne informacje z agencji?

— Szczerze mówiąc, nie jesteśmy pewni. W dokumentacji znaleźliśmy sporo luk, trzeba było składać ją z fragmentów, korzystać z pomocy skomplikowanej elektroniki. Niektóre słowa pozostały niekształcone, inne zachowały się w przypadkowych układach. Niemniej było jasne, że ci dwoje pracują nad czymś, omijając normalne kanały CI. — Soraya westchnęła. — Całkiem możliwe, że Martin po prostu pomagał jej w systemach zabezpieczeń dla NextGen Energy Solutions. Ale agencja ostatnio mocno ucierpiała przez kilkakrotne złamanie zasad bezpieczeństwa. Jak oznajmiła Hart, nie możemy wykluczyć, że Trevor pracuje dla kogoś, o kim Martin mógł nie mieć pojęcia.

— Chodzi ci o to, że wyciągała od niego tajne informacje? Trudno mi w to uwierzyć.

— Jasne. To teraz już wiesz, dlaczego nie chciałam ci nic powiedzieć.

— Chcę zobaczyć te materiały.

— No to będziesz musiał porozmawiać z dyrektorką. Szczerze mówiąc, odradzam. W agencji nie brakuje wysoko sytuowanych ludzi, którzy ciągle winią cię za śmierć Starego.

— Ależ to absurd! — Bourne potrząsnął głową z niedowierzaniem. — Nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią.

Soraya przesunęła dłonią po swych gęstych włosach.

Przecież to ty ściągnąłeś do agencji Karima al-Jamila pewny, że jest Martinem Lindrosem.

— Wyglądał jak Martin. Mówił jak Martin.

— Ręczyłeś za niego.

— Razem z armią psychologów agencji.

— W każdym razie stałeś się łatwym celem. Rob Batt, który właśnie awansował na zastępcę dyrektora, przewodzi grupce osób przekonanych, że masz schizofrenię, jesteś niepewny, a w ogóle to się zbuntowałeś. Ja tylko powtarzam, co słyszałam.

Bourne przymknął oczy. Takie oskarżenia nie były niczym nowym, słyszał je wielokrotnie.

— Nie wspomniałaś o jeszcze jednym powodzie, dla którego stałem się łatwym celem. Jestem reliktem ery Aleksa Conklina. Stary w niego wierzył, ale chyba tylko on jeden, zresztą głównie dlatego, że nikt nie wiedział, co właściwie robi, i nikt nie miał pojęcia o programie, który stworzył mnie.

— No to masz kolejny powód, żeby pozostać na uboczu. Jason Bourne zerknął za okno.

— Umówiłem się z kimś na śniadanie. To ważne.

Już miał wysiąść z samochodu, ale Soraya położyła mu dłoń na ramieniu.

— Posłuchaj mojej rady — powiedziała tonem prośby. — Trzymaj się od tego z daleka.

— Dziękuję, że mi tak dobrze życzysz. — Bourne się pochylił, pocałował ją lekko w policzek. Chwilę później znikł w mroku po drugiej stronie ulicy.

Gdy tylko zszedł jej z oczu, otworzył telefon komórkowy, który ukraść jej podczas pocałunku. Niemal natychmiast odnalazł numer Veroniki Hart, wcisnął przycisk. Ciekawe, czy śpi, pomyślał i w tym momencie usłyszał głos wyraźnie świadczący o tym, że kobieta nie spała, dźwięczny, melodyjny.

— Jak tam obserwacja?

— O tym właśnie chcę pogadać.

Hart wahała się przez ułamek sekundy.

— Z kim rozmawiam?

— Z Jasonem Bourne'em.

— Gdzie Soraya Moore?

— Nic jej nie jest. Po prostu po zdemaskowaniu obserwatora musiałem się jakoś z panią skontaktować, pani dyrektor, a jestem przekonany, że nie dostałbym pani numeru, gdybym poprosił.

— Więc ukradł pan jej telefon.

— Po prostu chcę się spotkać. — Bourne wiedział, że nie ma wiele czasu. Soraya lada chwila odkryje brak telefonu, zorientuje się, że to on go zabrał, i znajdzie go bez problemu. — I chcę zobaczyć materiały, które skłoniły panią do zlecenia obserwacji Moiry Trevor.

— Nie lubię, kiedy mi się mówi, co mam zrobić. Zwłaszcza kiedy mówi mi to zbuntowany agent.

— Mimo to spotka się pani ze mną, pani dyrektor. Bo tylko ja mam dostęp do Moiry. Jestem pani sposobem na odkrycie, czy rzeczywiście zeszła na złą drogę, czy też szuka pani wiatru w polu.

— Wolę pozostać przy sprawdzonych sposobach. — Veronica Hart, siedząca w nowym gabinecie, samym ruchem warg przekazała swemu zastępcy Robertowi Battowi dwa słowa: „Jason Bourne”.

— To niemożliwe — odezwał się w słuchawce głos Bourne'a. — Teraz, kiedy przerwałem obserwację, mogę sprawić, żeby Moira znikła wam z oczu.

Veronica wstała.

— Nie przepadam także za groźbami.

— Nie muszę nikomu grozić, pani dyrektor. Po prostu panią informuję.

Batt uważnie obserwował szefową, wychwytywał każdą zmianę wyrazu jej twarzy, wsłuchiwał się w odpowiedzi; próbował śledzić tok rozmowy. Pracowali wspólnie, bez przerwy, od kiedy Hart wróciła od

prezydenta. Był zmęczony i już zbierał się do wyjścia, ale ta rozmowa niesłychanie go zainteresowała.

— Proszę posłuchać — mówił dalej Jason. — Martin był moim przyjacielem. Bohaterem. Nie chcę, żeby niszczonego jego reputację.

— W porządku — poddała się Veronica. — Przyjdź do mojego biura późnym rankiem. Powiedzmy o jedenastej.

— Moja noga nie postanie w kwaterze Centrali Wywiadu. Po południu, o piątej, przy wejściu do Freer Gallery.

— A jeśli...

Połączenie zostało przerwane.

Moira już wstała. Kiedy Bourne wrócił, krzątała się w kuchni. Ubrana w jedwabny szlafrok parzyła kawę. Spojrzała na niego bez słowa. Miała wystarczająco wiele rozsądku, by nie pytać go, dokąd wychodzi i skąd wraca.

Bourne zdjął płaszcz.

— Przeszedłem się po okolicy, szukając ogona — wyjaśnił.

— Znalazłeś coś? — spytała po krótkiej chwili milczenia.

— Spokojnie jak w grobie.

Nie wierzył, by Moira wyciągała sekrety CI od Martina, ale niezwykle wycucie problemów zabezpieczenia — potrzeba zachowania tajemnicy — zaszczerpane przez Conklina, nie pozwoliło mu powiedzieć prawdy.

Moira wyraźnie się odprężyła.

— Co za ulga — powiedziała z uśmiechem. Postawiła czajnik na gazie. — Mamy czas na filiżankę?

Stali daleko od siebie; pomiędzy nimi, na ścianie, wisiał zegar Kit-Cat. Kolorowe oczy kota i jego ogon poruszały się to w jedną, to w drugą stronę, odmierzając czas.

— Jasonie, powiedz, że nie zrobiliśmy tego, bo byliśmy smutni i samotni.

Wziął ją w ramiona, poczuł, jak jej ciało przeszywa dreszcz.

— Przygody na jedną noc nie leżą w moim zwyczaju.

Położyła mu głowę na piersi. Delikatnie odsunął kosmyk włosów z jej policzka.

— Jakoś nie mam ochoty na kawę.

Moira przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

— Ja też.

Profesor Dominic Specter mieszał cukier w szklance mocnej tureckiej herbaty, którą zawsze miał przy sobie, kiedy otworzyły się drzwi i do Wonderlake Diner przy 36th Street wszedł David Webb. Ściany restauracyjki obite były deskami, stoły zrobiono z drewnianych płyt z odzysku; nie pasujące do siebie krzesła do nich pasowały doskonale. Na ścianach wisiały zdjęcia drwali i widoki Północnego Zachodu, a pomiędzy nimi autentyczne narzędzia: haki do dźwigania kłoców, haki skośne, haki do miazgi drzewnej, haki z podporami służące do wymierzania pni. Lokal cieszył się nieustannym powodzeniem wśród studentów ze względu na godziny otwarcia, niedrogie jedzenie i nieuniknione skojarzenie z Pieśnią drwala Monty Pythona.

Bourne usiadł i natychmiast zamówił kawę. Specter przyglądał mu się z przekrzywioną głową; wyglądał jak ptak siedzący na drutach elektrycznych.

— Dzień dobry, Davidzie. Wyglądasz, jakbyś nie przespał nocy.

Kawę podano tak, jak Bourne lubił: czarną, mocną, bez cukru.

— Miałem to i owo do przemyślenia.

Specter przyjrzał mu się spod oka.

— O co chodzi, Davidzie? Mogę pomóc? Pamiętaj, dla ciebie moje drzwi są zawsze otwarte.

— Doceniam to. I jestem ci bardzo wdzięczny.

— Widzę, że coś cię martwi. Cokolwiek by to było, we dwóch z pewnością sobie poradzimy.

Kelner w czerwonej flanelowej koszuli w kratkę, džinsach i butach firmy Timberland przyniósł im menu i ulotnił się dyskretnie.

— Chodzi o moją pracę.

— Nie pasuje ci, prawda? — Specter rozłożył ręce. — Wyobrażam sobie, jak bardzo pragniesz uczyć. To nie problem, damy ci trochę ćwiczeń.

— Obawiam się, że chodzi o coś znacznie ważniejszego — zauważył Bourne, ale nie kontynuował tematu.

Profesor Specter odczekał chwilę, a kiedy milczenie się przedłużyło, odchrząknął.

— Przecież widzę, że od paru tygodni jesteś jakiś niespokojny — powiedział niepewnie. — Może właśnie o to chodzi, nie sądzisz?

Jason skinął głową.

— Obawiałem się, że próbowałem odzyskać coś, czego nie da się uchwycić.

— Boisz się, że mnie rozczarujesz, chłopcze? — Profesor się zamyslił, potarł brodę. — Minęło wiele lat, ale z pewnością pamiętasz, że kiedy po raz pierwszy powiedziałeś mi o tożsamości Bourne’a, poradziłem ci, żebyś poszukał profesjonalnej pomocy. Tak poważny mentalny rozłam z pewnością powoduje nasilenie napięć.

— Korzystałem już z takiej pomocy. Wiem, jak radzić sobie z napięciami.

— Ja tego nie kwestionuję, Jasonie. A może powinienem powiedzieć: Davidzie?

Bourne pił kawę w milczeniu.

— Zostanę z przyjemnością, ale pod warunkiem, że nie masz nic przeciwko temu. — Zadzwoił telefon komórkowy, Specter go zignorował. — Zrozum, chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze. Ale sporo ostatnio przeżyłeś: najpierw śmierć Marie, potem odejście najlepszych przyjaciół. — Telefon znowu zadzwonił i znów został zignorowany. — Sądziłem, że przyda ci się bezpieczne schronienie, a to przecież zawsze znajdziesz tutaj. Jednak jeśli zdecydowałeś się odejść... — Profesor sprawdził numer na wyświetlaczu. — Przepraszam na chwilę.

Odebrał połączenie.

— Bez tego nie da się załatwić? — spytał. Skinął głową, zakończył rozmowę. — Muszę przynieść coś z samochodu — powiedział do Bourne'a. — Zamów dla mnie, dobrze? Jajecznicza i grzanka z żytniego chleba.

Wyszedł. Jego honda stała naprzeciw restauracji, ale po drugiej stronie 26th Street. Był w połowie ulicy, gdy dopadli go dwaj mężczyźni, którzy pojawili się tam jakby znikąd. Jeden z nich chwycił profesora, drugi kilkakrotnie uderzył w głowę. Bourne biegł już, w rękę trzymając zdjęty ze ściany hak do miazgi drzewnej, kiedy z piskiem opon zatrzymał się przy nich czarny cadillac.

Jeden z mężczyzn jeszcze raz uderzył Spectera, szarpnięciem otworzył tylne drzwi cadillaca, dosłownie wrzucił ofiarę na tylne siedzenie i wskoczył do środka. Jego towarzysz równie szybko zajął miejsce pasażera. Cadillac ruszał już, kiedy dopadł go Bourne; zaledwie zdołał wbić hak w karoserię, kiedy poczuł, jak ziemia ucieka mu spod nóg. Mierzył w dach, lecz nagłe przyspieszenie sprawiło, że zaledwie dosięgnął tylnego okna. Ostrze wbiło się w oparcie tylnego siedzenia.

Udało mu się wciągnąć nogi na bagażnik.

Tylna szyba popękała na drobne kawałki trzymające się tylko dzięki paskom folii klejącej jej warstwy. Cadillac pędził ulicą w szalonych zygzakach, kierowca próbował strząsnąć dodatkowego pasażera; odpadające okruchy szkła sprawiały, że chwyt Bourne'a słabł.

Samochód przyspieszał niebezpiecznie w rosnącym, porannym ruchu i nagle, tak błyskawicznie, że Jasonowi aż zaparło dech w piersi, skręcił za róg. Bourne ześlizgnął się z bagażnika i całym ciałem uderzył kilkakrotnie w błotnik. Stopami tarł asfalt z taką siłą, że zgubił jeden but. Nim zdołał odzyskać coś w rodzaju równowagi, pozbył się także skarpetek i sporej ilości skory. Używając drewnianej rączki haka jako punktu podparcia, zdołał wrzucić nogi na bagażnik, kolejny poślizg sprawił jednak, że omal nie pożegnał się z samochodem. Uderzył piętami w kosz na śmieci, posłał go na chodnik pomiędzy przerażonych,

uciekających w panice przechodniów. Ból przeszył mu ciało. W tym momencie jego walka mogła się zakończyć, ale kierowca nie mógł utrzymać cadillaca w skręcie; inne samochody zmusiły go do jazdy prosto. Bourne wykorzystał sytuację, by wspiąć się na karoserię. Prawą pięścią przebił tylną szybę, szukając bezpieczniejszego uchwytu. Wóz znów przyspieszał, wyprzedził już zaplątane w korku samochody, znalazł się na wjeździe na Whitehurst Freeway. Bourne zdołał przykleknąć.

W cieniu pod Francis Scott Key Bridge mężczyzna, który wcześniej wrzucił Spectera do samochodu, przez dziurę w tylnej szybie wysunął rękę trzymającą taurusa PT140. Był gotowy do strzału.

Bourne zwolnił uchwyt prawej ręki, chwycił go za nadgarstek, pociągnął mocno. Rękawy koszuli i marynarki na wysuniętym ramieniu się podwinęły, po jego wewnętrznej stronie Jason zobaczył dziwny tatuaż: trzy końskie łby w kręgu, z wpisaną weń czaszką. Przycisnął łokieć mężczyzny kolaniem i jednocześnie pchnął je mocno, wykorzystując krawędź bagażnika; usłyszał całkiem zadowalający trzask i dłoń wypuściła taurusa. Sięgnął po niego. Nie zdążył.

Cadillac skręcił w lewo. Hak rozdarł tapicerkę, wyrwał mu się z dłoni. Jason oburącz chwycił złamane ramię przeciwnika i rozbijając do cna szybę, wskoczył do samochodu nogami naprzód.

Wylądował pomiędzy rannym a Specterem, skulonym, przyściśniętym do lewych drzwiczek. Facet siedzący obok kierowcy klęczał zwrócony w jego stronę. On także miał taurusa i także był gotowy do strzału. Bourne zasłonił się ciałem jego kumpla; kula ugodziła w pierś, zabijając mężczyznę na miejscu. Rzucił zwłokami. Porywacz z przedniego siedzenia odepchnął martwe ciało... wprost na kierowcę, który właśnie dodawał gazu i skupiony był na prowadzeniu cadillaca, przeskakując z pasa na pas, by utrzymać jak największą prędkość.

Bourne nie tracił czasu, z całej siły uderzył mężczyznę pięścią w nos. Cios rzucił zalanego krwią przeciwnika pod przednią szybę, na deskę rozdzielczą. Jason już miał wykorzystać przewagę, kiedy ujrzał taurusa wycelowanego dla odmiany nie w niego, lecz w Spectera.

— Cofnij się! — usłyszał. — Bo będę strzelał!

Poświęcił moment na ocenę zagrożenia. Gdyby rzeczywiście chcieli zabić profesora, załatwiliby go na ulicy. Skoro go jednak porwali, to widocznie potrzebny jest im żywy.

— W porządku — powiedział Bourne.

Pociągnął po siedzeniu prawą dłońią, która pozostawała niewidoczna dla przeciwnika, po czym posłusznie podnosząc ręce, cisnął odłamkami szyby w twarz grożącego bronią, a kiedy on z kolei instynktownie uniósł ramiona, Jason dwukrotnie uderzył go kantem dłoni. Zatakowany sięgnął po nóż, wyjątkowo niebezpieczny sztylet z rękojeścią, którą opiera się o spód zaciśniętej dłoni; ostrze sterczało pomiędzy palcami serdecznym a wskazującym. Pchnął, mierząc wprost w twarz Jasona. Bourne się uchylił, ostrze podążyło jednak za nim, było coraz bliżej; obronił się, zadając cios w głowę napastnika z taką siłą, że odskoczyła i uderzyła w słupek. Wyraźnie słychać było trzask łamanego kręgosłupa, oczy mężczyzny wyróciły się, bezwładne ciało opadło na drzwi.

Pozostał mu jeszcze kierowca. Jason objął jego szyję ramieniem, zacisnął uchwyt. Dusił go powoli, słychać było rżenie i charkot. Facet rzucał głową, próbował się uwolnić, a jednocześnie tracił kontrolę nad samochodem, jadącym zygakiem, zmieniającym pasy w sposób najzupełniej przypadkowy. Stracił przytomność. Bourne przeszedł na przednie siedzenie, zepchnął kierowcę na dół, na podłogę po stronie pasażera. Mógł już usiąść za kierownicą. Problem tkwił w tym, że wprawdzie sięgnął kierownicy, ale nie pedałów zablokowanych przez bezwładne ciało.

Cadillac całkowicie wyrwał się spod kontroli. Uderzył w inny samochód, jadący lewym pasem, odbił w prawo. Zaczął się kręcić. Bourne nawet nie próbował kontrować, za to wrzucił bieg na luz. Przekładnia

rozłączyła się natychmiast, silnik nie dostawał paliwa. Teraz problemem był już tylko impet. Walczący o odzyskanie panowania nad wozem Jason stwierdził, że noga blokuje pedał hamulca. Skręcił ostro w prawo, przeskoczył przez krawężnik i pas zieleni, znalazł się na ogromnym parkingu pomiędzy autostradą a Potomakiem. Otarł się o zaparkowanego SUV-a, odbił dalej w prawo, w kierunku rzeki. Kopnął ciało kierowcy i nareszcie zyskał dostęp do hamulca. Zaczął zwalniać, ale wyglądało na to, że może być za późno; byli coraz bliżej brzegu. Skręcił jeszcze raz ostro w prawo, byle jak najdalej od niskiej bariery oddzielającej ziemię od wody. W momencie gdy przeskoczyły przez nią przednie koła, wcisnął hamulec do dechy. Cadillac wreszcie stanął, ale jego przód kołysał się niebezpiecznie. Nurt rzeki był tuż-tuż.

Profesor Specter, zwinięty w kłębek na tylnym siedzeniu, jęknął cicho. Prawy rękaw jego drogiej, tweedowej marynarki pochłapany był krwią z nosa jednego z porywaczy.

Bourne musiał zrobić coś, co zapobiegłoby zsunięciu się cadillaca do Potomacu. Wyczuł, że przednie koła nadal dotykają bariery. Wrzucił wsteczny bieg. Wóz ruszył i uderzył w kolejny zaparkowany samochód. Wreszcie zatrzymał się na luzie.

Z dala dobiegało wznoszące się i opadające wycie syren.

— Wszystko w porządku, profesorze?

Specter znowu jęknął, ale kiedy przemówił, można było go zrozumieć.

— Musimy się stąd wynosić.

Tymczasem Jason odpychał nogi uduszonego, uwalniając pedały.

— Ten tatuaż, który widziałem na ręce uzbrojonego w pistolet...

— Żadnej policji — wychrypiał Specter. — Jest takie miejsce... powiem ci...

Obaj wysiedli, choć sprawiło im to sporo trudności. Policyjne syreny były coraz głośniejsze. Chwiejnie podeszli do jednego z zaparkowanych samochodów. Bourne zbił boczną szybę łokciem, wyrwał kable ze stacyjki, włączył silnik. Otworzył drzwiczki i gdy tylko profesor wsiadł, ruszył autostradą na wschód. Przy pierwszej okazji zjechał na lewy pas, szarpnął kierownicą w lewo. Samochód przeskoczył na pasy prowadzące na zachód. Wycie syren cichło.

Rozdział 6

Arkadin zjadł kolację w Traktirze przy Bolszaja Morsekaj, w połowie stromego wzgórza, charakterystycznie szpetnym miejscu, wypełnionym drewnianymi, niedbale werniksowanymi stołami i krzesłami. Niemal całą jedną ścianę zajmowało malowidło przedstawiające trzy-masztowe statki w porcie w Sewastopolu około 1900 roku. Jedzenie było kiepskie, ale nie przyszedł tu dla jedzenia; nazwę „Traktir” znalazł na rachunku w portfelu Olega Iwanowicza Szumienki. Nikt tu nie słyszał o żadnej Dewrze, więc Arkadin zjadł barszcz, bliny i wyszedł.

Wzdłuż wybrzeża ciągnęła się dzielnica nazywana Omega pełna kawiarni i restauracji. Jako centrum nocnego życia mogła się pochwalić każdym rodzajem klubu, jaki tylko można sobie wyobrazić. Jednym z nich była Calla leżąca blisko parkingu pod gołym niebem. Noc była rześka, pogodna, iskrzyły się i niebo, i Morze Czarne; nie sposób było powiedzieć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Widok zapierał dech w piersiach.

Do Calli schodziło się z chodnika po kilku stopniach. Klubem rządziły nieznośny hałas i słodki zapach marihuany. Mniej więcej kwadratowa sala podzielona była na parkiet, gdzie nie dałoby się szpilki wetknąć, i podwyższenie, na którym stały małe okrągłe stoliki i metalowe barowe stołki. Siatka kolorowych świateł pulsowała w rytm

muzyki ordynowanej przez przeraźliwie chudą didżejkę. Królowała na małym podium, przed nią leżał iPod podłączony do mnóstwa cyfrowych mikserów.

Na parkiecie podrygiwali mężczyźni i kobiety, zderzając się biodrami i łokciami; tu nikt się temu nie dziwił. Arkadin przedarł się do baru znajdującego się po prawej od wejścia i ciągnącego się wzdłuż całej ściany. Dwukrotnie zaczepiały go młode blondynki o dużych biustach spragnione jego towarzystwa i, czego był prawie pewien, pieniędzy. Udało mu się jakoś przemknąć koło nich, ruszył najkrótszą drogą do zapracowanego barmana. Trzy poziomy szklanych półek wypełnionych butelkami przymocowane były do ściennego lustra, klienci mogli obserwować, co się dzieje w lokalu, lub podziwiać swą urodę, jednocześnie zalewając się w trupa.

Arkadin musiał przedrzeć się przez rozbawiony tłum, by zamówić jedną skromną stoli na lodzie. Kiedy po dłuższym czasie barman powrócił z jego drinkiem, Leonid spytał go o Dewrę.

— Jasne, że ją znam. Jest tam. — Barman wskazał didżejkę.

Zrobiła sobie przerwę o pierwszej w nocy. Czekąco na nią sporo osób, zapewne byli to jej wielbiciele. Arkadin zamierzał dotrzeć do niej pierwszy, używając raczej siły osobowości niż lewych dokumentów. Nie żeby tutejszy motłoch miał je kwestionować, ale po incydencie z wytwórni win wolał nie zostawiać śladów, po których mogłaby pójść prawdziwa SBU. Tożsamość gliny z policji państwowej stała się dla niego niebezpieczna.

Jasnowłosa didżejka okazała się niemal tak wysoka jak on. Nie do wiary, jak cienkie miała ramiona! Zupełnie nie przypominały ramion. Jej biodra nie były szersze od bioder młodego chłopca, a kiedy się poruszała, wręcz widział, jak pracują mięśnie łopatek. Miała wielkie oczy i chorobliwie białą skórę, jakby rzadko wychodziła na słońce. Czarny

kombinezon z namalowaną białą czaszką i skrzyżowanymi piszczelami był przepocony na wylot. Dziewczyna bezustannie poruszała rękami, nawet kiedy stała spokojnie jak teraz. Być może była to swego rodzaju choroba zawodowa.

Przyglądała się Arkadinowi bardzo dokładnie, kiedy się jej przedstawiał.

— Nie wyglądasz na przyjaciela Olega — zauważyła, ale kiedy pomachał jej weksłem przed oczami, zmiękła i poprowadziła go za kulisy. Zawsze tak jest, myślał Arkadin po drodze. Nie sposób przecenić sprzedajności ludzkiej rasy.

Garderoba artystów, w której odpoczywała między występami, nadawała się wyłącznie dla portowych szczurów, których mnóstwo kryło się bez wątpienia za cienkimi ściankami, ale w tej chwili nic nie można było na to poradzić. Starał się o nich nie myśleć; będzie tu zbyt krótko, by mogły mu przeszkodzić. Pokój nie miał okien, ściany i sufit pomalowano na czarno, niewątpliwie po to, by ukryć grzechy, których były świadkami.

Dewra włączyła lampę z nędną, czterdziestowatową żarówką i usiadła na drewnianym krześle poranionym ciosami noża i poparzoną papierosami. Różnica między tą garderobą a pokojem przesłuchań była doprawdy niezauważalna. Innych krzeseł i w ogóle mebli tu nie było, wyjątek stanowił tylko wąski stół przy ścianie, na którym piętrzyły się kosmetyki, płyty CD, paczki papierosów, zapalki, rękawiczki oraz przeróżne śmieci, których Arkadin nie próbował nawet zidentyfikować.

Dziewczyna odchyliła się na krześle, zgrabnym ruchem wyjęła z paczki papierosa, zapaliła. Jego nie poczęstowała.

— Więc przyszedłeś spłacić dług Olega, co?

— W pewnym sensie.

Jej oczy się zwężyły. Wyglądała jak gronostaj, którego Leonid zastrzelił kiedyś niedaleko St. Petersburga.

— Co to właściwie znaczy?

Wyjął plik banknotów.

— Oto pieniądze, które jest ci winien. — Chciała je wziąć, ale cofnęła rękę. — Dam ci je... w zamian za informacje.

Dewra się roześmiała.

— Na kogo ci wyglądam, na telefonistkę?

Uderzył ją grzbietem dłoni tak mocno, że upadła na stół. Tubki kremów, szminek i tuszów do rzęs rozleciały się na wszystkie strony. Dziewczyna wyciągnęła rękę, oparła się o blat; jej dłoń znikła wśród śmieci.

Wyciągnęła mały pistolet, ale Arkadin był na to gotowy. Mocno uderzył w kruchy nadgarstek dziewczyny, wyjął broń z bezwładnych palców. Pchnął ją na krzesło.

— A teraz... chciałaś coś powiedzieć?

Dewra spojrzała na niego ponuro.

— Wiedziałam, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. — Splu-
nęła. — Cholera. Dobre uczynki nie pozostają bez kary.

Arkadin potrzebował czasu, by zrozumieć, o czym mówi.

— Na co Szumience potrzebne było dziesięć tysięcy hrywien?

— Miałam rację. Nie jesteś jego przyjacielem.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — Leonid rozładował pistolet, nie odrywając wzroku od didżejki, złamał go, rzucił dwa kawałki na stół.
— Teraz to już sprawa między nami.

— Chyba nie — rozległ się za nim niski męski głos.

— Filia! — Dziewczynie wyraźnie ulżyło. — Co tak długo?

Arkadin się nie odwrócił. Usłyszał trzask wysuwającego się ostrza noża sprężynowego, wiedział, z czym będzie miał do czynienia. Tym razem dokładniej przyjrzał się bałaganowi na stole. Spod stosu CD wyglądały zakrzywione ręczki nożyczek; zapamiętał ich położenie i dopiero teraz spojrzał na intruza. Na widok potężnego mężczyzny o pokrytych krostami policzkach udał zaskoczenie, cofnął się.

— Kim, do diabła, jesteś? To prywatna rozmowa! — warkną, irytując Filię tylko po to, by nie zauważył on, jak Arkadin lewą ręką sięga za plecy i przesuwa dłońią po stole.

— Dewra należy do mnie. — Ukrainiec wymachiwał niebezpiecznie wyglądającym sprężynowcem własnej roboty. — Bez mojego pozwolenia nikt nie będzie z nią rozmawiał.

Arkadin uśmiechnął się nieznacznie.

— Trudno nazwać to rozmową. Ja ją straszylem.

Zamierzał wyprowadzić przyjaciela Dewry z równowagi do tego stopnia, by postąpił pochopnie, a więc głupio, i to mu się w pełni udało. Filia rzucił się na niego z rykiem, nóż trzymał w wyciągniętej ręce, z ostrzem skierowanym do góry. Arkadin miał tylko jedną szansę, dysponował jedną chwilą zaskoczenia i musiał ją wykorzystać do maksimum. Lewą ręką chwycił nożyczki. Były krótkie i bardzo dobrze, nie miał zamiaru znów zabić kogoś, kto mógłby dostarczyć użytecznych informacji. Uniósł je, oceniając wagę, a następnie wykonał ruch od dołu, przy nodze: płynny, myląco krótki, a w istocie wzmocniony siłą nadgarstka. Nie sposób było dostrzec lotu ostrzy, nim wbiły się w miękkie ciało poniżej mostka.

Gwałtowny atak Filii, w najwyższym stopniu zdumionego tym, co go spotkało, załamał się dwa kroki przed Arkadinem. Wielki facet zachwiał się, lecz utrzymał równowagę, ruszył przed siebie powoli, nadal usiłując zadać cios. Leonid uniknął ostrza i skoczył na mężczyznę. Zwarli się w walce wręcz. Atak miał wyczerpać Ukraińca, już osłabionego raną, ale sił mu nie brakowało, a wpływ krwi tylko go rozwścieczył. Nadludzkim wysiłkiem uwolnił nadgarstek dłoni trzymającej nóż i przełamując obronę, zadał nim cios od dołu. Temu atakowi nie sposób już było zapobiec, można było tylko spróbować go zneutralizować. Arkadin zareagował instynktownie, osłonił się w ostatniej chwili i gardło Ukraińca zostało przebite przez ostrze jego własnego noża.

Trysnęła krew. Dewra zaczęła krzyczeć, na czole i policzkach miała plamy czerwieni. Cofnęła się, ale Arkadin zdążył ją złapać; położył dłoń na jej ustach, przecząco pokręcił głową. Drugą ręką podtrzymywał osuwającego się, umierającego Ukraińca. To się nie miało zdarzyć! Najpierw Szumienko, teraz on. Gdyby Leonid był choć odrobiną przesądny, powiedziałałby, że to jego zadanie jest przeklęte.

— Filia! — Uderzył w twarz mężczyzną, którego oczy były już szkliste. Z kącika jego rozchylonych ust ciekła krew. — Przesyłka! Gdzie jest przesyłka?

Jeszcze przez chwilę Ukrainiec patrzył na niego, a potem, z dziwnym uśmiechem na ustach, umarł, nie odpowiadając na pytanie.

Pozostała mu tylko Dewra. Obracając się ku niej, Arkadin dostrzegł czającego się w kącie szczura i omal nie zwymiotował. Tylko silna woła sprawiła, że nie zapomniał o dziewczynie, nie rzucił się na zwierzę, by rozedrzeć je na strzępy.

— No, to zostaliśmy tylko ty i ja — powiedział.

Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, Rob Batt zaparkował samochód na Tyson Corner obok kościoła baptystów. Siedział spokojnie, tylko od czasu do czasu spoglądał na zegarek.

Pod rządami zmarłego dyrektora był szefem operacji, najbardziej wpływowym spośród szefów siedmiu dyrektoriatów Centrali. Absolwent starej szkoły z Obwodnicy dysponował kontaktami wiążącymi go bezpośrednio ze słynnym klubem Skull & Bones z Yale, do którego zarządu należał w szkolnych czasach. Liczba członków tego klubu pracujących w amerykańskich tajnych służbach była tajemnicą. Ci, którzy ją znali, byliby gotowi zabić, byle tylko nie została ujawniona. Dawni członkowie Skull & Bones stanowili bardzo liczną grupę obecnych pracowników tajnych służb; Rob także do niej należał. Nic dziwnego, że tak bardzo irytowała go konieczność ustąpienia miejsca komuś, kto przyszedł z zewnątrz, a w dodatku był kobietą. Stary nigdy nie dopuściłby do czegoś tak oburzającego, ale odszedł zamordowany we własnym domu przez, jak głosiła plotka, własną asystentkę, zdrażczynię Anne Held. Batt, podobnie jak inni, miał co do tego pewne wątpliwości.

Ileż może się zmienić w ciągu trzech miesięcy! Gdyby Stary żył, nigdy nie zgodziłby się na to spotkanie. Odmówiłby bez wahania. Batt był wyjątkowo lojalny, ale teraz dopiero w pełni uświadomił sobie, że

ta lojalność dotyczyła przede wszystkim człowieka, który wypatrzył go na studiach, podał mu pomocną dłoń, wciągnął do Centrali. Niestety, te dni minęły. Zapanowały nowe porządki, nie powinno było się tak stać, ale się stało. Nie był częścią problemu sprokrowanego przez Martina Lindrosa i Jasona Bourne'a, był częścią rozwiązania. Przecież nawet podejrzewał człowieka, który okazał się oszustem. Zdemaskowałby go... gdyby nie interwencja Bourne'a. Ten wyczyn, wiedział o tym z całą pewnością, postawiłby go w uprzywilejowanej pozycji wobec Starogo.

A teraz? Starął się, zbierał punkty, mógł zostać dyrektorem... i nic nie ugrał. Prezydent wybrał Veronice Hart. Bóg jeden wie dlaczego. Co za straszna pomyłka, przecież ona ostatecznie wdepcze CI w ziemię! Kobiety po prostu nie potrafią podejmować decyzji, których wymaga się od kapitana tego rodzaju statku. Mają inne priorytety, w inny sposób podchodzą do trudnych zagadnień. Psy z NSA już okrążyły Centralę, a on nie zgodzi się, żeby Hart przerobiła ją na mięso, by miały ucztę! Może przynajmniej dołączyć do ludzi, którzy przejmą władzę, kiedy ta baba wszystko spieprzy. Ale mimo wszystko bolało go, że tu jest, że wypływa na te nieznanne wody.

O dziesiątej trzydzieści otworzyły się drzwi kościoła, wyłoniła się z niego kongregacja, ludzie zeszli po schodach, zebrali w grupki, odwracali twarze ku słońcu niczym słoneczniki na wiosnę. Wreszcie pojawił się pastor, a wraz z nim Luther LaValle w towarzystwie żony i nastoletniego syna. Mężczyźni pogrążeni byli w rozmowie, rodzina stała obok nich. W odróżnieniu od chłopca, którego interesowały wyłącznie schodzące po schodach ładne dziewczyny, pani LaValle sprawiała wrażenie zainteresowanej konwersacją. Piękna kobieta, pomyślał Batt i na widok generała Kendalla, obejmującego pulchną żonę, ze zdumieniem uświadomił sobie, że to przecież jedna z ich trzech córek. Jakim cudem tych dwoje wyprodukowało takie dziewczyny? Można się było tylko domyślać. Nawet Darwin nie zdołałby wymyślić czegoś takiego.

Dwie rodziny, LaValle'ów i Kendallów, zgromadziły się w luźnej grupce jak zawodnicy drużyny futbolowej. Pierwsze opuściły ją dzieciaki. Odjechały samochodami i rowerami, a te, które mieszkały najbliższej kościoła, ruszyły na piechotę. Potem żony skromnie pocałowały mężów, wsiadły do cadillaca escalade i oddaliły się, pozostawiając panów samym sobie.

Dwaj mężczyźni stali przez chwilę przed kościołem, a potem ruszyli w kierunku parkingu. Nie rozmawiali, nie zamienili ze sobą ani słowa. Po chwili Batt usłyszał dźwięk potężnego silnika samochodowego.

Długa, czarna opancerzona limuzyna wypłynęła zza rogu jak groźny rekin. Zatrzymała się, LaValle i Kendall wsiedli. Z rury wydechowej unosiły się małe obłoczki dymu widoczne w chłodnym, rześkim powietrzu. Tak jak mu nakazano, Batt policzył do trzydziestu, wysiadł ze swojego samochodu. W tym samym momencie otworzyły się tylne drzwi limuzyny. Już po chwili siedział w mrocznym, luksusowym wnętrzu. Ruszyli.

— Panowie — ukłonił się, siadając naprzeciw dwóch mężczyzn, zajmujących wygodniejsze fotele, przodem do kierunku jazdy: pana i władcy, cara wywiadu Pentagonu Luthera LaValle'a i jego zastępcy generała Richarda P. Kendalla.

— To bardzo uprzejmie, że do nas dołączyłeś — powitał go LaValle.

Uprzejmość nie ma z tym nic wspólnego, pomyślał Batt. Wspólnota celów, to wszystko.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Pochlebia mi, że się do mnie zwróciliście, i prawdę mówiąc, jestem wam za to wdzięczny.

— Jesteśmy tu, żeby porozmawiać szczerze — wtrącił Kendall.

— Od początku sprzeciwialiśmy się mianowaniu Veroniki Hart — przejął pałeczkę LaValle. — Sekretarz obrony jasno przedstawił swe stanowisko prezydentowi. Jednakże inni, w tym doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego i sekretarz stanu, który, jak wiesz, jest jego osobistym przyjacielem, lobbowali za osobą z zewnątrz, z prywatnego sektora bezpieczeństwa.

— A do tego kobietą!

— Właśnie — przytaknął Kendall. — Szaleństwo, czyste szaleństwo.

LaValle poruszył się na siedzeniu.

— To nie pierwszy, ale najjaskrawszy przykład tego, przed czym sekretarz Halliday ostrzegał od wielu lat: nasza siatka obronna zdegenerowała się do granic rozpadu.

— Kiedy zaczniemy słuchać Kongresu i obywateli tego kraju, wszystko stracone. — Generał nie pozostawał w tyle. — Niestrawny gulasz z amatorów, każdy do każdego ma o coś pretensję, a nikt nie wie, jak zapewnić bezpieczeństwo albo rządzić tajnymi służbami.

Jego szef uśmiechnął się zimno.

— I to dlatego sekretarz obrony tak się starał, żeby nic nie wyszło na jaw.

Kendall nie był taki wyrafinowany.

— Im więcej wiedzą, tym mniej rozumieją — pieklił się — i tym chętniej wtrącają się w naszą pracę tymi swoimi przesłuchaniami i groźbami cięć budżetowych!

— Z nadzorem nie da się żyć — przytaknął LaValle. — I dlatego w Pentagonie to, za co ja jestem odpowiedzialny, działa bez nadzoru. — Przerwał, uważnie przyjrzał się Battowi. — Co to dla ciebie oznacza, zastępczo dyrektora?

— Dla mnie to jak manna z nieba.

— Oleg wszystko spieprzył — powiedziała Dewra.

— Przesadził z lichwiarzami? — spróbował Arkadin.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— To było w zeszłym roku. Dotoczyło Piotra Zilbera.

Nadstawił uszu. Zaczęło się robić interesująco.

— O co chodzi z Zilberem?

— Nie wiem. — Dziewczyna spojrzała przerażonymi oczami na wzniesioną pięść. — Przysięgam!

— Ale jesteś z jego siatki?

Odwróciła głowę, jakby sama nie mogła siebie znieść.

— Nic nie znaczę. Czasami coś przeniosę.

— W zeszłym tygodniu Szumienko dał ci dokument.

— Dał mi paczkę. Nie wiem jaką. Była zapieczętowana.

— Podział zadań.

— Co? — Dewra spojrzała na niego zdziwiona. Krople krwi na jej twarzy wyglądały jak piegi, łyzy rozmyły tusz do rzęs tworzący teraz ciemne kręgi pod oczami.

— To najważniejsze przy zatrudnianiu ludzi. — Arkadin skinął głową. — Mów dalej.

Wzruszyła ramionami.

— To wszystko, co wiem.

— A co z tą paczką?

— Oddałam ją zgodnie z instrukcją.

Leonid pochylił się nad nią.

— Komu ją oddałaś?

Dziewczyna opuściła wzrok na podłogę.

— Filii.

Luther LaValle milczał przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Zdaje mi się, że nie spotkaliśmy się w Yale?

— Byłeś dwa lata wyżej — wyjaśnił Batt. — Ale w Skull and Bones krążyły legendy na twój temat.

— Cóż za pochlebstwo! — roześmiał się LaValle.

— Ależ skąd! — Batt usiadł wygodniej, rozpiął płaszcz. — Ileż ja się o tobie nasłuchałem!

— Lepiej, żebyś zapomniał, co o mnie słyszałeś.

Generał Kendall prychnął ogłuszającym śmiechem.

— Mam zostawić panie same? Lepiej nie, bo potem jeszcze by się okazało, że któraś jest w ciąży!

Miał to być oczywiście żart, ale było w nim też coś bardzo nieprzyjemnego. Czyżby zawodowy żołnierz miał coś przeciwko temu, że nie zaliczono go do ekskluzywnego klubu, czy też może zazdrościł

związku, jaki wytworzył się w sposób naturalny między dwoma członkami Skull & Bones? Najprawdopodobniej jedno i drugie. W każdym razie Batt postarał się zapamiętać jego głos, by później, kiedy będzie miał czas, rozważyć implikacje.

— Co masz na myśli, Luther?

— Szukam sposobu na przekonanie prezydenta, że jego co bardziej entuzjastycznie nastawieni doradcy popełnili błąd, rekomendując Hart na stanowisko dyrektora Centrali Wywiadu. — LaValle zacisnął wargi.

— Jakież pomysły?

— Tak na szybko? Mam mnóstwo pomysłów. — Wreszcie nadeszła chwila sprzyjająca rozmowie o interesach. — Co będę z tego miał?

LaValle uśmiechnął się jak na zawołanie.

— Wykopiemy Hart z miasta i... będziemy potrzebowali nowego dyrektora, prawda? Kto byłby twoim kandydatem?

— Zastępca dyrektora... hm, brzmi sensownie. Czyli ja.

— Właśnie coś takiego chodziło nam po głowie.

Batt nerwowo stuknął palcami po kolanie.

— Mówicie to poważnie?

— Zapewniam cię, że najpoważniej w świecie. Najwyższy czas, żeby zacząć myśleć!

— Moim zdaniem nie byłoby mądrze atakować Hart teraz, na tak wczesnym etapie — zauważył.

— Moim zdaniem nie byłoby mądrze uczyć nas naszej roboty — nie wytrzymał Kendall.

Jego szef podniósł dłoń w uspokajającym geście.

— Posłuchajmy, co chłopak ma do powiedzenia, Richardzie. Ja tylko ze swej strony pragnę zaznaczyć, że chcemy pozbyć się pani dyrektor jak najszybciej. Czy to jasne?

— Wszyscy tego chcemy. Za to nie chcemy chyba, żeby podejrzenia od razu padły na ciebie... albo na sekretarza obrony.

Szef i jego zastępca wymienili szybkie, porozumiewawcze spojrzenie; byli jak bliźnięta rozumiejące się w pół słowa.

— Rzeczywiście, tego nie chcemy — przyznał LaValle.

— Powiedziała mi, jak ją dopadłeś po spotkaniu z prezydentem i straszyleś.

— Kobiety łatwiej zastraszyć niż mężczyzn — zauważył Kendall.
— To powszechnie znany fakt.

Batt go zignorował.

— Tak czy inaczej, wie już, kogo ma się strzec. Twoje groźby potraktowała bardzo poważnie. W Black River miała opinię twardego zawodnika, sprawdziłem to przez moje źródła.

LaValle się zamyślił.

— A jak ty byś z nią postąpił? — spytał po chwili.

— Byłbym miły, przytulił ją do łona, oferował wszelką możliwą pomoc.

— Nie kupiłaby. Wie, co myślę.

— To bez znaczenia. Chodzi tylko o to, by jej nie antagonizować. Nie chcesz przecież, żeby na twój widok natychmiast wyciągała nóż.

Luther skinął głową, jakby uznał mądrość takiego podejścia.

— To co mamy teraz robić? — spytał.

— Dajcie mi trochę czasu. Hart dopiero zaczyna pracę u nas, a ponieważ jestem jej zastępcą, będę wiedział wszystko o tym, co robi, co planuje i tak dalej. Ale kiedy tylko opuści biuro, idźcie za nią. Powinniśmy wiedzieć, dokąd chodzi, z kim się spotyka. Dzięki mikrofonom parabolicznym poznamy każde jej słowo. Będziemy na niej siedzieć przez siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Brzmi to jak najłatwiejsza rzecz na świecie. — Kendall był mocno sceptyczny.

— Im prościej, tym lepiej, zwłaszcza kiedy gra toczy się o wielką stawkę. Przynajmniej ja tak uważam.

— A co jeśli połapie się, że jest obserwowana? Batt uśmiechnął się szeroko.

— I bardzo dobrze. Centrala będzie tylko głośniej mantrować, jaka niekompetentna jest Narodowa Agencja Bezpieczeństwa.

LaValle nie krył zadowolenia.

— Wiesz, podoba mi się twój sposób myślenia.

W jego ustach był to wielki komplement.

— Hart przyszła z sektora prywatnego, więc nie jest przyzwyczajona do procedur rządowych. Nie będzie miała swobody, do której przyzwyczaiła się w Black River. Już widzę, że dla niej zasady są tylko po to, żeby je nagiąć, obejść, a od czasu do czasu nawet złamać. Zapamiętajcie moje słowa, raczej wcześniej niż później pani dyrektor Hart sama dostarczy nam amunicji, która przyda się, żeby wysadzić ją z siódła.

Rozdział 7

— Jak twoja stopa, Jasonie?

Bourne spojrział na profesora Spectera, na jego nabrzmiałą, posiniaczoną twarz i lewe oko zamknięte przez opuchlizną ciemną jak gradowa chmura.

— No tak. Po tym, co właśnie zaszło, czuję się zobowiązany do nazwania cię zasłużonym imieniem.

— Stopa w porządku. To raczej ja powinienem zapytać pana o samopoczucie.

Specter delikatnie przesunął palcami po policzku.

— Dostawałem już gorsze lanie.

Siedzieli w wysokiej bibliotece, na podłodze leżał piękny, wielki isfahański kobierzec, meble były brunatnoczerwone. Trzy ściany zajmowały sięgające sufitu mahoniowe regały wypełnione porządnie ułożonymi książkami, w czwartej znajdowało się okno z małych szybek oprawionych w ołów, przez które widać było rząd statecznych jodeł, schodzących po zboczu pagórka nad staw strzeżony przez drżącą na wietrze brzozę.

Wezwano oczywiście prywatnego lekarza profesora, ale na jego życzenie zajął się najpierw otartą do żywego mięsa stopą Bourne'a.

Jestem pewien, że znajdziemy ci gdzieś jakąś parę butów. Wystarczył nieznaczny ruch ręką, by jeden z mieszkających tu na stałe

służących znikł, trzymając w dłoni ocalały but Bourne'a.

Duży, kamienny, kryty płytkami łupkowymi dom, stojący samotnie wśród dzikiej przyrody Wirginii, dokąd na jego życzenie Jason odwiózł profesora, zupełnie nie przypominał skromnego mieszkańka, które Specter utrzymywał w mieście, niedaleko uniwersytetu. Bourne odwiedził go tam kilkakrotnie, tutaj był po raz pierwszy. No i ta służba, równie zaskakująca, jak i prowokująca pytania.

— Wyobrażam sobie, że bardzo cię to interesuje. — Mogło się wydawać, że Specter czyta w jego myślach. Uśmiechał się. — Wszystko we właściwym czasie, przyjacielu. Pozwól, że najpierw podziękuję ci za ratunek.

— Kim byli ci ludzie? Dlaczego chcieli pana porwać?

Lekarz kończył opatrywać stopę. Posmarował ją leczniczą maścią, okrył gazą, zalepił plastrem, zabandażował opaską elastyczną. Wręczył Bourne'owi krem z antybiotykiem. Przyszła pora na drugiego z pacjentów.

— To długa historia. Jeśli wolno, opowiem ci ją przy śniadaniu, którym nie było nam dane nacieszyć się wcześniej.

Profesor skrzywił się przeraźliwie. Lekarz, niski, śniady, wąsaty mężczyzna o gładko zaczesanych do tyłu czarnych włosach, podobnie jak i służący wyglądający na Turka, obmacał jego rany.

— Siniaki, stłuczenia, żadnych złamań i pęknięć kości — orzekł głosem bez wyrazu. Wręczył Specterowi małą paczuszkę. — Środki przeciwbólowe nie zaszkodzą, ale proszę je brać tylko przez najbliższe czterdzieści osiem godzin.

Podczas opatrywania gospodarza Bourne zadzwonił z telefonu komórkowego do Derona, genialnego fałszerza, u którego regularnie zaopatrywał się w dokumenty podróżne. Odczytał mu numer rejestracyjny czarnego cadillaca, który skonfiskował niedoszłym porywaczom.

— Potrzebuję informacji, jak najszybciej — zakończył.

— Wszystko w porządku, Jason? — spytał Deron swym dźwięcznym głosem z londyńskim akcentem. Wspomagał Bourne'a w wielu niebezpiecznych misjach. Zawsze zadawał to pytanie.

— U mnie tak, ale nie można tego powiedzieć o ludziach z samochodu.

— Świetnie!

Bourne wyobraził go sobie w jego laboratorium w północno-wschodniej części Waszyngtonu: energicznego czarnego mężczyznę o umyśle czarodzieja.

Doktor wyszedł, nareszcie zostawiając ich samych.

— Ja wiem, kto usiłował mnie porwać — powiedział Specter.

— Lubię doprowadzać sprawy do końca. Rejestracja coś nam przecież powie, być może dowiemy się nawet czegoś, o czym nie ma pan pojęcia.

Profesor skinął głową. Był pod wrażeniem.

Jason usiadł na kanapie, położył nogę na stoliku do kawy. Specter usiadł naprzeciw niego, na krześle. Przewiewane wiatrem chmury ściagały się po niebie, ich cienie malowały perski dywan w zmienne wzory. Cień przemknął także po twarzy Spectera.

— O co chodzi?

Profesor tylko potrząsnął głową.

— Jestem ci winien najszersze, najpokorniejsze przeprosiny. Obawiam się, że zachęciłem cię do powrotu na uniwersytet, kierując się także prywatnymi, egoistycznymi motywami. — Choćby po oczach widać było, że to wyznanie sprawia mu ból. — Myślałem o tym, że to może być dla ciebie najlepsze, oczywiście, nie kłamałem. Ale chciałem też mieć cię obok siebie, ponieważ... — pomachał ręką, jakby próbował oczyścić atmosferę z kłamstw — ...ponieważ bałem się, że nastąpi coś, co właśnie się stało. Obawiam się, że przez moje samolubstwo twoje życie jest w niebezpieczeństwie.

Wraz z jajkami, wędzoną rybą, gruboziarnistym chlebem i ciemno-żółtym, cudownie pachnącym masłem podano turecką herbatę, mocną i aromatyczną.

Bourne i Specter siedzieli przy stole przykrytym białym, ręcznie wykończonym lnianym obrusem. Porcelana i stołowe srebra były w najlepszym gatunku, kolejne dziwo w akademickim świątku. Milczeli, gdy młody, smukły i wytworny mężczyzna usługiwał im podczas tego doskonale przyrządzonego, nienagannie podanego śniadania. Jason próbował wprawdzie czegoś się dowiedzieć, ale gospodarz nie chciał do tego dopuścić.

— Najpierw musimy coś zjeść, odzyskać siły, dopiero wtedy będziemy pewni, że potrafimy jasno myśleć.

Nie rozmawiali aż do końca posiłku. Dopiero gdy stół uprzątnięto i pozostała na nim tylko miseczka ogromnych daktyli Medjool i pokrojonych na połówki granatów, dopiero gdy napełniono im filiżanki świeżą herbatą i gdy zostali sami, Specter powiedział bez wstępu:

— Dwa dni temu, późnym wieczorem, dowiedziałem się, że jeden z moich byłych studentów, z którego ojcem wiązała mnie bliska przyjaźń, nie żyje. Został zamordowany w najbardziej podły sposób. Ten młody człowiek, Piotr Zilber, był kimś wyjątkowym. Prócz tego, że się u mnie uczył, prowadził także sieć informacyjną obejmującą kilka krajów. Po wielu trudnych, niebezpiecznych miesiącach na przemian podstępów i negocjacji otrzymał dokument najwyższej wagi, na którym szczególnie mi zależało. Został zdemaskowany, konsekwencje były oczywiste. O tym incydencie myślałem, wspominając, że się lękam. Być może zabrzmiało to melodramatycznie, ale zapewniam cię, że to prawda: wojna, w której walczyłem przez niemal dwadzieścia lat, wchodzi w decydującą fazę.

— Jaka to wojna, profesorze? Przeciw komu?

— Za chwilę do tego dojdę. — Specter pochylił się na krześle. — Wyobrażam sobie, że jesteś zdumiony, może nawet szokowany tym, że stateczny profesor może być wmieszany w sprawy leżące raczej w gestii Jasona Bourne'a. Ale jak zapewne zauważyłeś — uniósł ręce, rozłożył je, jakby tym krótkim gestem obejmował dom — nie jestem

tym, za kogo mógłbym uchodzić. — Uśmiechnął się niewesoło. — Można powiedzieć, że jest nas dwóch, prawda? Tak jak ty prowadzę podwójne życie, więc rozumiem cię lepiej niż inni. Na uniwersytecie wcielam się w pewną postać, tu jestem kimś zupełnie innym. — Postukał grubym palcem w nos. — Umie patrzeć. Gdy tylko się spotkaliśmy, zauważyłem w tobie coś znajomego. Obserwowałeś i zapamiętywałeś wszystko, co widziałeś: ludzi, otoczenie.

Odezwął się telefon komórkowy Bourne'a. Przyjął rozmowę, wysłuchał, co Deron ma mu do powiedzenia, rozłączył się.

— Cadillac został skradziony na godzinę przedtem, nim pojawił się przed restauracją.

— Tego właśnie należało się spodziewać.

— Kto próbował pana porwać, profesorze?

— Wiem, że niecierpliwie czekasz na fakty, tak jak ja bym na nie czekał na twoim miejscu. Uwierz mi jednak, że znaczenie zyskają dopiero wtedy, kiedy poznasz najważniejsze okoliczności. A więc, kiedy powiedziałem, że nie jestem tym, za kogo wszyscy mnie mają, miałem na myśli właśnie to: zajmuję się, polowaniem na terrorystów. Od wielu lat, działając pod pokrywką szanowanego naukowca, wykorzystując pozycję, jaką zdobyłem na uniwersytecie, kieruję stworzoną przeze mnie siatką wywiadowczą, trochę podobną do twojej Centrali Wywiadu. Jednakże mnie interesuje specjalny wycinek wywiadu. Pewni ludzie zabrali mi żonę. Porwali ją z domu w środku nocy, kiedy mnie przy niej nie było, torturowali, zabili, ciało porzucili na progu. Jako ostrzeżenie, rozumiesz?

Bourne poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Kto jak kto, ale on wiedział, co to znaczy kierować się zemstą. Kiedy zmarł Martin, Jason marzył tylko o tym, by pozabijać mężczyzn, którzy go torturowali. Poczuł, jak rodzi się w nim jakaś nowa, bliższa więź ze Specterem, a jednocześnie jego tożsamość Umacniała się i opanowywała go napędzana potężną falą adrenaliny. Nagle sam pomyśli, by poświęcić się karierze akademickiej, wydał mu się absurdalny. Moira miała rację, już dusił się

w klatce. Jak by się czuł po miesiącach spędzonych na uniwersytecie, bez szans na przygodę, pozbawiony adrenaliny, bez której Jason Bourne nie potrafił już żyć?

— Ojciec został porwany, bo planował obalenie głowy organizacji nazywającej samą siebie Braterstwem Wschodu.

— Czy to nie oni opowiadają się za pokojową integracją muzułmanów z zachodnią cywilizacją?

— Takie jest oczywiście ich oficjalne stanowisko. Ich literatura jest bardzo przekonująca, każdy w to chętnie uwierzy. — Specter odstawił filiżankę. — W rzeczywistości nic nie jest dalsze od prawdy. Znam ich jako Czarny Legion.

— Więc Czarny Legion zdecydował się obrócić przeciwko tobie?

— Gdyby to było takie proste. — Profesor przerwał, słysząc ciche pukanie do drzwi. — Wejść!

Wszedł młody człowiek, który dostał pewne zadanie do wykonania. Przyniósł pudełko dla Bourne'a.

— Przymierz — zaproponował Specter, wykonując zapraszający gest.

Bourne zdjął nogę ze stołu. Otworzył pudełko. W środku znalazł parę znakomitych włoskich mokasynów oraz skarpetki.

— Lewy jest o pół numeru większy. Żeby nie trzeba było zdejmować opatrunku na pięcie — powiedział po niemiecku chłopak.

Okazało się, że buty pasują idealnie. Specter nie musiał nawet pytać. Wystarczył jeden gest, by służący wyszedł bez słowa.

— Mówi po angielsku? — spytał Bourne.

— Oczywiście. Jeśli to konieczne. — Profesor skrzywił twarz w figlarnym uśmiechu. — A teraz, drogi Jasonie, z pewnością zadajesz sobie pytanie, dlaczego mówi po niemiecku, skoro jest Turkiem?

— Przypuszczam, że znam powód. Twoja sieć obejmuje wiele krajów, między innymi Niemcy będące, podobnie jak Anglia, wylęgarnią muzułmańskiej aktywności terrorystycznej.

Specter uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Jesteś jak skała. Można na ciebie liczyć w każdych okolicznościach — powiedział z uznaniem. Podniósł dłoń z wyciągniętym palcem. — Ale jest jeszcze jeden powód. Ma wiele wspólnego z Czarnym Legionem. Chodź. Koniecznie musisz coś zobaczyć.

Filia Pietrewicz, kurier Piotra w Sewastopolu, mieszkał w anonimowym, zaniedbanym bloku, pozostałości z czasów, gdy Sowieci przerobili miasto na koszary swego największego kontyngentu marynarki. Samo mieszkanie, niezmienione od lat siedemdziesiątych, miało wdzięk i urodę chłodni.

Arkadin otworzył drzwi kluczem, który zabrał martwemu właścicielowi. Pchnął Dewrę do środka, wszedł za nią. Zapalił światło, zamknął drzwi. Dziewczyna opierała się oczywiście, ale nie miała w tej kwestii nic do powiedzenia, tak jak nie miała nic do powiedzenia, kiedy zmusił ją do pomocy przy wynoszeniu ciała Filii przez tylne wejście do nocnego klubu. Usadzili je przy końcu zaułka, oparte o ścianę wilgotną od płynów, których natury lepiej było nie dociekać. Leonid oblał go połową butelki taniej wódki, zacisnął martwą dłoń na jej szyjce. W ten sposób Filia stał się jednym więcej pijakiem wśród mnóstwa pijaków. Jego śmierć zostanie zmieciona szcztoką nieefektywnej, przepracowanej biurokracji na stos podobnych jej śmieci.

Dewra stała pośrodku pokoju dziennego, przyglądając się metodycznym poszukiwaniom.

— I co ty niby chcesz znaleźć? — spytała. Roześmiała się piskliwie, histerycznie. — Dokument? Już dawno go tu nie ma.

Arkadin podniósł głowę znad pociętej ostrzem noża sofy.

— A gdzie jest? — spytał.

— Wystarczająco daleko, żebyś go nie dosięgnął, to z pewnością.

Leonid złożył nóż. Wystarczył jeden krok, by znalazł się tuż Przy dziewczynie.

— Myślisz, że to żart? Że gramy tu w jakieś gierki?

Dewra skrzywiła usta w szyderczym grymasie.

— Masz zamiar znów się nade mną znęcać? Uwierz mi, cokolwiek wymyślisz i tak nie będzie gorsze od tego, co przeszłam.

Choć krew mu się wzburzyła, Arkadin zdołał się opanować. Wiedział, że mówiła prawdę. Bóg zapomniał o Ukraincach jęczących pod sowieckim butem. Zwłaszcza o młodych, ładnych Ukrainkach. Leonid wiedział, że musi zmienić podejście. Odwrócił się na pięcie, usiadł na drewnianym krześle, odchylił się, przecesał palcami włosy.

— Nie mam zamiaru cię skrzywdzić, mimo że dołączyłaś do złych ludzi. Za wiele gówna w życiu widziałem, dwa razy trafiłem do pierdła. Potrafię sobie wyobrazić, jak cię systematycznie terroryzowano.

— Mnie i matkę, niech Bóg ma w opiece jej duszę.

Okna rozjaśniły się blaskiem reflektorów przejeżdżającego samochodu i ponownie ściemniały. W zaułku zaszczekał pies, jego melancholijne ujadanie odbiło się głośnym echem. Przechodząca obok para kłóciła się zajadle. W plamach na przemian cienia i światła, rzucanego przez uliczne latarnie o lampach albo uszkodzonych, albo po prostu zbitych, Dewra sprawiała wrażenie rozpaczliwie wręcz słabej i niezdolnej do obrony. Arkadin się wyprostował, przeciągnął, prężąc mięśnie, podszedł do okna, wyjrzał na ulicę. Zwracał uwagę na każdy skrawek cienia, każdy błysk światła, choćby najśłabszy. Wiedział, że ludzie Piotra prędzej czy później pójną jego tropem. Tak musiało być i tę możliwość przedyskutował z Ikupowem przed opuszczeniem jego willi. Ikupow zaproponował nawet, że wyśle do Sewastopola paru twardzieli, którzy przyczają się tam i wyjdą z ukrycia wówczas, kiedy będą potrzebni, ale Leonid nie zgodził się, argumentując, że zawsze pracuje sam.

Upewniwszy się, że w tej chwili ulica jest czysta, odwrócił się, przeszedł na środek pokoju.

— Moja matka zmarła straszną śmiercią — powiedział. — Brutalnie pobitą wsadzili ją do szafy i zostawili na żer szczurom. Tyle wiem od koronera.

— Gdzie był ojciec?

— A kto go tam wie? — Arkadin wzruszył ramionami. — Sukin-syn mógł już być w Szanghaju... albo martwy. Matka wiedziała tyle, że był marynarzem marynarki handlowej, ale osobiście bardzo w to wątpię. Wstydziła się tego, że puściła się z obcym mężczyzną.

Dziewczyna wysłuchiwała jego przemowy, siedząc na wałku sofy równie poszarpanym jak cały mebel.

— Do bani tak nie wiedzieć, skąd się pochodzi. Czujesz się zupełnie tak, jakbyś dryfował po szerokim oceanie. Nie rozpoznasz domu, choćbyś przed nim stanął.

— Dom — powtórzył Leonid. — Nigdy o tym nie myślałem. Dewra zwróciła uwagę na dziwny ton jego głosu.

— Ale chciałbyś, prawda?

Arkadin zrobił kwaśną minę. Znów sprawdził ulicę z typową dla siebie dokładnością.

— I po co? — spytał.

— Bo tylko wiedząc, skąd pochodzimy, wiemy, kim jesteśmy. — Uderzyła się w pierś zaciśniętą pięścią. — Nasza przeszłość jest częścią nas samych.

Odczuł te słowa jak ukłucie igły.

— Moja przeszłość jest wyspą, której brzegi dawno znikły za horyzontem!

— A jednak pozostała z tobą, nawet jeśli nie jesteś tego świadomy. — W głosie didżejki brzmiała całkowita, absolutna pewność, jakby długo rozmyślała, nim doszła do tego wniosku. Nie przegonimy jej, choćbyśmy nie wiem jak próbowali.

W odróżnieniu od niego wydawała się chętna do rozmowy o przeszłości. Dziwne, bardzo dziwne. Czyżby sądziła, że ten temat wytworzy między nimi nić porozumienia? Jeśli tak, lepiej będzie kontynuować rozmowę, nie zrywając kontaktu.

— A twój ojciec?

— Urodziłam się tu i tutaj dorastałam. — Dewra opuściła wzrok, wpatrzyła się w swe dłonie. — Ojciec był inżynierem. Pracował w stoczni. Rosjanie wyrzucili go z roboty. A potem, pewnej nocy, przyszli do niego. Oskarżyli go o szpiegostwo, o to, że informuje Amerykanów o szczegółach konstrukcyjnych statków. Wtedy widzieliśmy go po raz ostatni. Rosyjskiemu oficerowi bezpieczeństwa spodobała się matka. Kiedy ją wykorzystał, zabrał się do mnie. Łatwo było to sobie wyobrazić.

— Zabił go Amerykanin. — Dziewczyna spojrzała Leonidowi w oczy. — Co za pieprzona ironia losu! Bo on był szpiegiem. Miał sfotografować sowiecką flotę. Zrobił, co mu kazali, i powinien był wrócić, ale został. Zaopiekował się mną, leczył, czekał, aż wrócę do zdrowia.

— I oczywiście się w nim zakochałaś?

Doczekał się jedynie wybuchu śmiechu.

— Gdybym była bohaterką powieści, jasne, oczywiście. Tak naprawdę był dla mnie bardzo miły. Traktował mnie jak córkę. Kiedy odjechał, płakałam.

Leonid uświadomił sobie, że jej wyznania go zawstydzają. Żeby o tym nie myśleć, jeszcze raz dokładnie obejrzał doprowadzone do ruiny mieszkanie. Dewra obserwowała go uważnie.

— Hej, słuchaj — powiedziała niespodziewanie. — Wiesz, umieram z głodu.

Tym razem on się roześmiał.

— Nie ty jedna.

I znów ogarnął ulicę swym jastrzębim wzrokiem. Tym razem gdy podchodził do okna, poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Samochód, który usłyszał wcześniej, zatrzymał się przed tym właśnie domem. Wyczuwając nagły wzrost napięcia, dziewczyna podeszła i stanęła za jego plecami. Szczególną uwagę zwracało to, że choć silnik nadal pracował, wszystkie światła były zgaszone. Z samochodu wysiedli trzej mężczyźni. Podeszli do drzwi budynku. Najwyższy czas się stąd wynosić.

— Idziemy — powiedział, odwracając się. — Już!

Ku jego wielkiemu zdumieniu, kiedy wypychał ją z mieszkania, Dewra nie protestowała. Schody tęniły prymitywnym rytmem wybijanym przez uderzające w beton buty.

Okazało się, że chodzenie, choć nieprzyjemne, nie jest bynajmniej nieznośne. W swoim czasie Bourne radził sobie z gorszymi ranami niż obtarta pięta. Idąc przed profesorem po żelaznych, prowadzących do piwnicy schodach, myślał o tym, że oto właśnie potwierdziło się jego przekonanie: jeśli chodzi o ludzi, po prostu nie ma nic pewnego. Zakładał przecież, że Specter prowadzi skromne, uporządkowane, ciche, nudne życie, toczone się w całości na uniwersyteckim kampusie. Trudno byłoby znaleźć coś dalszego od prawdy.

W połowie drogi schody zmieniły się w kamienne, nierówne stopnie, wydeptane przez dziesięciolecia używania. Drogę oświetlał im jasny, bijący z dołu blask.

Weszli do w pełni wykończonej piwnicy przegrodzonej ruchomymi ściankami tworzącymi coś w rodzaju stanowisk, biurowych; w każdym znajdował się laptop z podłączonym szybkim modemem. Wszystkie były zajęte. Profesor zatrzymał się przy ostatnim z nich. Na jego widok pracujący tam młody człowiek zdjął z tacy drukarki kartkę, wręczył mu ją bez słowa. Specter przesunął po niej wzrokiem i jego zachowanie zmieniło się w jednej chwili. Wprawdzie twarz miał nadal nieprzeniknioną, lecz z całej jego postaci biło napięcie.

Dobra robota — powiedział, klepiąc chłopaka po ramieniu po czym poprowadził Bourne'a do pokoju przypominającego małą bibliotekę. Podszedł do jednego z regałów, dotknął grzbietu wyboru haiku dokonanego przez wielkiego poetę Matsuo Bashō. Kwadratowa sekcja półek przesunęła się, ukajac ukryte za nią szuflady. Z jednej z nich profesor wyjął coś, co do złudzenia przypominało album fotograficzny. Jego strony sprawiały wrażenie starych, oprawiono je nawet w specjalny,

zapobiegający zniszczeniu plastik używany w archiwach. Wybrał jedną, podał przyjacielowi.

Na górze karty widniał znajomy znak: orzeł trzymający w dziobie swastykę, wojenny symbol Trzeciej Rzeszy. Tekst napisany był w języku niemieckim. Tuż pod orłem widniały słowo „Ostlegionen” oraz kolorowe zdjęcie tkanego owalu, najprawdopodobniej wzór oznaki mundurowej przedstawiającej swastykę w wieńcu laurowym. Wokół centralnego symbolu biegły słowa: „Treu”, „Tapir”, „Gehorsam”, które Bourne przetłumaczył jako „lojalny”, „dzielny” i „wytrwały”. Niżej znajdowało się drugie kolorowe zdjęcie tkaney głowy wilka stojącego na tylnych łapach, pod nim zaś nazwa: „Ostmanische SS-Division”.

Była na niej także data: 14 grudnia 1941 roku.

— Nigdy nie słyszałem o Legionach Wschodnich — zdziwił się Jason. — Kim oni byli?

Profesor przewrócił kartkę. Po drugiej stronie przypięty był do niej kawałek oliwkowego materiału z naszytą niebieską tarczą o czarnej krawędzi. Na górze widniało słowo „Bergkaukasien” — góry Kaukaz, a bezpośrednio pod nim jaskrawo-żółty symbol trzech końskich głów opisanych na znanej już Bourne’owi trupiej czaszce, symbolu Nazi Schutzstaffel, Szwadronu Ochronnego, popularnie znanego jako SS. Wyglądało to tak samo jak tatuaż na ręce człowieka z rewolwerem.

— Nie byli. Są. — Oczy Spectera błyszczały. — Właśnie oni próbowali mnie porwać. Chcą mnie przesłuchać i zabić. Teraz już wiedzą o tobie i ty też jesteś na ich liście.

Rozdział 8

— Dach czy piwnica? — spytał Arkadin.

— Dach — odparła bez wahania dziewczyna. — Do piwnicy jest tylko jedno wejście.

Pobiegli ku schodom i dalej, jak mogli najszybciej, po dwa stopnie w górę. Leonid czuł, jak wali mu serce, tłocząc krew w żyły; z każdym ruchem wzrastał poziom adrenaliny. Słyszał, ciężkie kroki pogoni, wiedział, że pętla zaczyna się zaciskać. W końcu wąskiego korytarza ściągnął prowadzącą na dach metalową drabinkę. Sowieckie budowle tamtych czasów sływały z nędznych drzwi, więc wiedział, że z łatwością wydobędzie się na dach. A z dachu tego budynku mógł bez problemu przeskoczyć na następny i jeszcze następny, potem zbiec na ulicę i uciec pościgowi.

Najpierw przepchnął Dewrę, potem sam wydobył się przez prostokątny otwór na małą platformę. Dobiegły go podniesione głosy trzech mężczyzn; mieszkanie Filii zostało przeszukane, pościg trwał. Przed nim były drzwi prowadzące na dach. Pchnął poziomą żelazną sztabę. Nic. Spróbował jeszcze raz, mocniej. Bez skutku. Wyciągnął z kieszeni kilkanaście cienkich wytrychów na kółku, wypróbował kilka i niczego nie osiągnął. Nic dziwnego; kiedy przyjrzał się drzwiom z bliska, okazało się że tandemy zamek po prostu doszczętnie zardzewiał.

Odwrócił się, spojrzął w dół. Pościg docierał do drabiny, a on nie miał gdzie uciekać.

— Dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Niemcy zaatakowali sowiecką Rosję — rozpoczął profesor Specter. — No i od razu wpadli na dosłownie tysiące nieprzyjacielskich żołnierzy, którzy albo poddawali się bez walki, albo po prostu dezertowali. Do sierpnia owego roku Niemcy internowali pół miliona jeńców wojennych. Wielu z nich było muzułmanami: Tatarzy z Kaukazu, Turcy, Azerowie, Kazachowie, Uzbeki i różni inni członkowie plemion Uralu, Turkiestanu, Krymu. Tym, co łączyło wszystkich tych tak różnych ludzi, była nienawiść do Sowietów, przede wszystkim do Stalina. Mówiąc możliwie najkrócej: muzułmanie, jeńcy wojenni, oferowali swe usługi nazistom. Chcieli walczyć na froncie wschodnim, gdzie mogli być najbardziej skuteczni, zwłaszcza przez infiltrację przeciwnika i zdobywanie informacji wywiadowczych. Führer był zachwycony, a Ostlegionen doczekały się szczególnego zainteresowania Reichsführera SS Heinricha Himmlera, dla którego islam był religią męską, bojową, mającą pewne ważne cechy wspólne z filozofią SS, przede wszystkim ślepe posłuszeństwo, pochwałę poświęcenia życia dla sprawy i całkowity brak współczucia dla ofiar.

Bourne chłonał każde słowo, każdy szczegół fotografii.

— Czy wyznawanie islamu nie jest wyzwaniem rzuconym nazistowskiemu porządkowi rasowemu? — spytał.

— Znasz ludzi lepiej niż większość z nas, Jasonie. Doskonale wiesz, że jako gatunek mamy rzadką zdolność racjonalizowania rzeczywistości tak, by odpowiadała naszym osobistym przekonaniom. Przypadkiem typowym jest właśnie Himmler, który zdołał przekonać sam siebie, że Słowianie i Żydzi to podludzie. Azjatyckie narody Rosji, spadkobiercy wielkich wojowników: Attyli, Dzyngis-chana, Tamerlana

wypełniali jego kryteria wyższości. Przygarnął więc miejscowych mużłmanów, potomków Mongołów. Stali się oni jądrem nazistowskich Ostlegionen, ale tych naprawdę dobrych, prawdziwą śmietankę, wziął do siebie. Ćwiczyli w sekrecie z jego najlepszymi przywódcami SS, doskonaląc umiejętności nie tylko żołnierza, lecz także wojownika, szpiega i zabójcy, a wszyscy wiedzieli, że marzył o takich ludziach w swoim otoczeniu. Właśnie tę jednostkę nazwał Czarnym Legionem. Jak widzisz, długo studiowałem historię nazistów i ich Ostlegionen. — Profesor wskazał oznakę: trzy końskie głowy i trupa czaszką. — To ich emblemat. Sławny od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, budzący większy strach niż błyskawice SS i jego wsparcia, gestapo.

— Trochę za późno na to, żeby mówić o nazistach jak o poważnym zagrożeniu, prawda?

— Związki Czarnego Legionu z nazizmem to pieśń dalekiej przeszłości. Teraz to najpotężniejsza i najbardziej wpływowa siatka islamskich terrorystów działająca całkowicie tajnie. Anonimowość jest oczywiście świadomym wyborem. Fundusze zbierane są poprzez legalną przybudówkę, Braterstwo Wschodu.

Specter wyjął kolejny album wypełniony wycinkami prasowymi dotyczącymi największych ataków terrorystycznych na całym świecie: w Londynie, Madrycie, Karaczi, Fallujah, Afganistanie, Rosji. Przerzucając kolejne strony, Bourne szybko się zorientował, że lokalizacji jest znacznie więcej.

— Jak widzisz — mówił dalej profesor — odpowiedzialność za niektóre zamachy wzięły na siebie inne grupy, są też takie, których nikt się nie przyznał i nikomu nie dało się ich przypisać. Ja jednak wiem z moich źródeł, że stoi za nimi Czarny Legion. I wiem, że przygotowuje teraz największą, najbardziej spektakularną akcję. Sądzymy, że cel znajduje się w Nowym Jorku. Jak już powiedziałem, Piotr Zilber, ten młody człowiek, którego zamordowali, był kimś wyjątkowym. Czarodziejem. Jakimś cudem udało mu się przejąć plany. Zazwyczaj coś takiego przygotowuje się oczywiście ustnie, ale ta operacja jest najwyraźniej tak

skomplikowana, że Legion poczuł się zmuszony do zdobycia prawdziwych danych celu. To naprowadziło mnie na myśl, że chodzi o duży budynek w którymś z wielkich miast. Odnalezienie tego dokumentu jest sprawą zasadniczej wagi. Tylko w ten sposób dowiemy się, gdzie zamierzają uderzyć terroryści.

Arkadin siedział na posadzce małej platformy, z nogami po obu stronach otworu, z widokiem na korytarz najwyższego piętra budynku.

— Krzycz — szepnął. Teraz, kiedy miał, jeśli wolno tak powiedzieć, przewagę wysokości, zależało mu na sprowokowaniu napastników. — No, już. Niech wiedzą, gdzie jesteś.

I Dewra zaczęła krzyczeć. A Leonid usłyszał brzęk metalowej drabiny. Ktoś się po niej wspinał, pojawiła się jego głowa, ręka z bronią... Arkadin uderzył kostkami nóg w uszy mężczyzny, a kiedy ten zaczął tracić przytomność, wyrwał mu pistolet, zaparł się i jednym ruchem skrzył kark.

Puścił martwe ciało; spadło, obijając się o drabinkę. Jak było do przewidzenia, przez otwór posypała się lawina kul, z sufitu opadła chmura pyłu. Arkadin wyczekał stosownej chwili, a kiedy ogień nieco ustał, wypchnął dziewczynę i zjechał za nią drabiną, zapierając się wewnętrzną stroną butów o metalowe pręty.

Spełniła się jego nadzieja, dwaj pozostali mężczyźni byli tak zdumieni śmiercią towarzysza, że na widok jego ciała wstrzymali ogień. Pierwszemu Arkadin przestrzelił mózg przez oko, drugi w ostatniej chwili schronił się za rogiem korytarza. Leonid chwycił dziewczynę, posiniaczoną, lecz poza tym całą, podbiegł do pierwszych drzwi, zabębnił w nie pięściami. Usłyszał zrzędczący głos protestującego mężczyzny, zaczął dobijać się do mieszkania naprzeciwko. Tym razem nie usłyszał odpowiedzi. Przestrzelił zamek.

Tu nikogo nie było. Od dłuższego czasu, sądząc po złożach kurzu i wszechobecnym brudzie. Arkadin podbiegł do okna.

Nagle usłyszał znajomy pisk. Stanął na kupce śmieci, wypłaszając z niej szczura. I następnego! I kolejne! Aż się tu od nich roiło. Zastrzelił pierwszego, odzyskał panowanie nad sobą, szarpnął okno w górę, przesunął je jak najwyżej się dało. Uderzyły w niego krople lodowatego deszczu, ściekały po ścianie budynku.

Trzymając dziewczynę przed sobą, usiadł okraciem na parapecie. Usłyszał, jak ostatni pozostały przy życiu mężczyzna prosi o posiłki, trzykrotnie wystrzelił przez to, co pozostało z drzwi. Siłą przepchnął Dewrę przez okno na wąski gzyms. Przesunęli się w lewo, w stronę drabiny przeciwpożarowej przykręconej do betonowej ściany prowadzącej na dach.

Z wyjątkiem kilku światełek awaryjnych Sewastopol był czarniejszy od samego Hadesu. Porywisty wiatr niósł kłujące strugi deszczu bijące go w twarz i ramiona. Niemal sięgał drabiny, gdy pręty z kutego żelaza, po których stapał ostrożnie, puściły.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. Wylądowali na poręczy drogi przeciwpożarowej piętro niżej. Poręcz nie zniosła ich ciężaru, oberwała się z jednej strony, przechyliła. Poturlali się bezwładnie; w ostatniej chwili Arkadin zdołał złapać lewą ręką za szczebel drabiny, prawą trzymał Dewrę. Wisieli tak, za wysoko, by zaryzykować skok, zwłaszcza że nie było tu stojących w dogodnym miejscu, wypełnionych po brzegi wielkich pojemników na śmieci, w których zawsze miękko się ląduje.

Ręka Dewry powoli wysuwała się z jego uścisku.

— Podciągnij się — powiedział. — Otocz mnie nogami.

— Co?

Powtórzył, krzycząc ile sił w płucach, i skrzywił się przeraźliwie, kiedy zrobiła, co kazał.

— Teraz otocz mnie w pasie nogami.

Tym razem spełniła polecenie natychmiast.

— W porządku. A teraz złap drabinę. Sięgniesz najniższego szczebla. Nie tak. Obiema dłońmi.

Wilgoć sprawiła, że za pierwszym razem ręka ześlizgnęła się jej z metalu.

— Jeszcze raz! — krzyknął Leonid. — I tym razem nie puszczaj!

Przerażona dziewczyna złapała się szczebla z taką siłą, że aż pobielaty jej palce. Arkadin zaś miał wrażenie, że lada chwila prawe ramię oderwie mu się od ciała. Jeśli coś się nie zmieni, i to szybko, to już po nich.

— Co teraz? — spytała Dewra.

— Trzymaj się mocno, a kiedy będziesz pewna, że nie spadniesz, podciągnij się i przenieś nogi na najniższy szczebel. Spróbuj stanąć.

— Nie wiem, czy wystarczy mi sił.

Arkadin się podciągał, póki nie przełożył ramienia przez szczebel. Lewe ramię miał martwe, nieczułe. Poruszył palcami, strzały bólu przeszły mu bark.

— No, już — powiedział, podsadzając ją. Dziewczyna nie powinna widzieć, jak cierpi. Ramię płonęło teraz żywym ogniem, ale nadal jej pomagał. Wreszcie zdołała stanąć. Spojrzała w dół.

— Teraz ty.

Stracił czucie w całej lewej części ciała. Teraz prawa bolała nieznośnie.

Dewra wyciągnęła rękę.

— Chodź!

— Nie mam po co żyć. Umarłem dawno temu.

— Pieprz się!

Przykucnęła i teraz mogła go już uchwycić, ale kiedy spróbowała, poślizgnęła się i uderzyła go stopą z taką siłą, że omal nie spadli oboje.

— Ratunku! — krzyknęła.

— Obejmij mnie nogami w pasie! — Arkadin odzyskał siły. Krzyczał. — Tak, w porządku. Teraz puść szczeble, powoli, najpierw jedna ręka, potem druga. Trzymaj się mnie.

Zrobiła, co kazał, a on powoli zaczął się wspinać. Po bardzo długiej chwili mógł już oprzeć stopy na szczeblach, zyskując pewniejsze oparcie. Ignorował przeraźliwy ból lewego ramienia, potrzebował przecież obu rąk.

Udało im się dotrzeć na dach. Przetoczyli się przez jego krawędź, padli bezwładnie na mokrą od deszczu smołę. Nagle Arkadin zorientował się, że deszcz nie chłószcze go już po twarzy. Podniósł wzrok. Nad nim stał ostatni z trójki ścigających ich mężczyzn. Uśmiechnięty.

— Pora umierać, sukinsynu.

Profesor Specter odłożył albumy. Z tej samej szuflady wyjął dwa zdjęcia. Bourne uważnie przyjrzał się twarzom widniejących na nich mężczyzn. Pierwszy był mniej więcej w wieku profesora, łysy jak kolarz. Okulary niemal komicznie powiększały jego i tak wielkie, wodniste oczy ocienione wyjątkowo krzaczastymi brwiami.

— To Siemion Ikupow, przywódca Czarnego Legionu.

Opuścili podziemną bibliotekę i przez tylne drzwi wyszli na świeże powietrze. Znaleźli się w formalnym angielskim ogrodzie otoczonym niskim żywopłotem z bukszpanu. Niebo było bladobłękitne, wysokie, czyste, pełne obietnic bliskiej wiosny. Pomiędzy nagimi gałęziami wierzby polatywał ptaszek niepewny, skąd wzbić się do dalekiej wyprawy.

— Jasonie, musimy ich powstrzymać, a jedynym sposobem, żeby to osiągnąć, jest zabicie Ikupowa. Straciłem człowieka, który miał tego dokonać. Potrzebuję kogoś lepszego niż on. Potrzebuję ciebie.

— Nie jestem kontraktowym zabójcą.

Dąsanie się do niczego nas nie doprowadzi. Ktoś musi nu pomóc powstrzymać terrorystów. Ikupow wie, gdzie znajdują się plany.

W porządku. Znajdę go. Znajdę plany. — Bourne potrząsnął głową. — Ale do tego nie trzeba nikogo zabijać.

Specter potrząsnął głową ze smutkiem.

— Szlachetne słowa, ale ja znam tego człowieka lepiej od ciebie. Jeśli go nie zabijesz, on z całą pewnością zabije ciebie. Może wyda ci się to nieprawdopodobne, ale ja próbowałem ująć go żywcem. Żaden z moich ludzi nie wrócił z zadania. — Zapatrzył się na staw. — Wiesz — powiedział z namysłem — nie mam się do kogo zwrócić. Nie znam fachowca wystarczająco dobrego, by znalazł Ikupowa i skończył z tym szaleństwem raz na zawsze. Śmierć Piotra oznacza, że między mną a Legionem zaczyna się ostateczna rozgrywka. Albo powstrzymamy ich teraz, skutecznie, albo odniosą triumf, atakując nieznaną nam cel, który sobie wybrali.

— Jeśli to, co mówisz, jest prawdą...

— Jest, przyjacielu. Przysięgam.

— Co robi Ikupow?

— Nie wiemy. Ostatnie czterdzieści osiem godzin poświęciliśmy na próby wytropienia go, jednak nie odnieśliśmy sukcesu. Ostatnio przebywał w swej willi w Campione d'Italia, w Szwajcarii. Naszym zdaniem tam właśnie zginął Piotr. Jednak obecnie go tam nie ma.

Bourne wrócił do studiowania fotografii.

— Dlaczego dałeś mi zdjęcie tego młodszego mężczyzny?

— To Leonid Daniłowicz Arkadin. Jeszcze kilka dni temu sądziliśmy, że to niezależny morderca do wynajęcia, zatrudniany przez rodziny rosyjskiej grupperowki. — Profesor postukał palcem miejsce między oczami Rosjanina. — To on doprowadził Piotra do Ikupowa. Jakimś cudem, nadal nie wiemy jak, Ikupow dowiedział się, kto skradł jego plany. Tak czy inaczej, przesłuchiwali go i zamordowali we dwóch.

— Wygląda na to, że w pańskiej organizacji jest zdrajca, profesoro.

Specter skinął głową.

— Niechętnie, ale doszliśmy do tego samego wniosku.

Nagle Bourne uświadomił sobie, co go dręczyło. Potrafił to nazwać.

— Zaraz... ktoś zadzwonił podczas śniadania. Kto to był?

— Jeden z moich ludzi. Trzeba było zweryfikować pewną informację. Materiały miałem w samochodzie. Dlaczego pytasz?

— Ten telefon wywabił pana na ulicę. Wprost pod czarnego cadillaca. Trudno to uznać za przypadek.

Profesor zmarszczył brwi.

— Tak, rzeczywiście. Chyba masz rację.

— Proszę mi podać jego nazwisko i adres. Dowiemy się, jak to rzeczywiście było.

Mężczyzna miał na policzku znamię czarne jak grzech. Arkadin skoncentrował się na tej skazie, podczas gdy on poderwał Dewrę na równe nogi i odciągnął ją na bok.

— Powiedziałaś mu coś? — spytał, nie odrywając wzroku od ofiary.

— Oczywiście, że nie — odpowiedziała oburzona dziewczyna. — Za kogo mnie masz!

— Za słabe ogniwo. Mówilem Piotrowi, żeby cię nie używał. A teraz Filia nie żyje. Przez ciebie.

— Filia był idiotą.

Mężczyzna spojrzął na nią, skrzywił się szyderczo.

— Byłaś za niego odpowiedzialna, suko.

Leonid gwałtownie rozstawił nogi, uderzając łydkami w kostki napastnika i pozbawiając go równowagi. Szybki jak kot, skoczył na niego, uderzył raz, potem drugi. Facet próbował się bronić, on sam zaś, atakując, robił co w jego mocy, by nie zdradzić się z przeszywającym bólem lewego, wybitego i pozbawionego sprawności barku. Gdy mężczyzna zorientował się że ma przewagę, uderzał z całej siły.

Arkadin słabł z chwili na chwilę. Stracił oddech. Usiadł, oszołomiony, niemal nieprzytomny z bólu. Mężczyzna ze znamieniem na policzku rozejrzał się w poszukiwaniu broni... i znalazł pistolet, własność Arkadina. Uniósł lufę, wymierzył, już miał pociągnąć za spust, kiedy dosięgła go kula wystrzelona z jego własnego rewolweru. Dewra trafiła go w tył głowy.

Padł, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Dziewczyna stała w klasycznej pozycji, na rozstawionych nogach, lewą dłonią podpierając prawą, trzymającą broń. Klęczący z podniesioną głową Leonid, na moment sparaliżowany z bólu, patrzył, jak obraca się powoli, celuje właśnie w niego. Jej oczy miały dziwny wyraz, było w nich coś, czego nie mógł zrozumieć, nawet zidentyfikować.

I nagle z westchnieniem wypuściła powietrze z płuc. Mięśnie ramion się rozluźniły, lufa opadła ku ziemi.

— Dlaczego... — wyszeptał Arkadin — ...dlaczego go zastrześliłaś?

— Był głupcem. Pieprzył mnie, nienawidzę ich wszystkich.

Deszcz bił w nich, bębnił w dach. Czarne niebo odgradzało ich od świata. Równie dobrze mogli stać na najwyższej górze, na Dachy Świata. Leonid przyglądał się podchodzącej do niego dziewczynie. Szła sztywno, ostrożnie stawiała nogę za nogą. Przypominała dzikie zwierzę: rozgniewane, napięte, źle czujące się w cywilizowanym świecie. Jak on. Był z nią związany, lecz jej nie rozumiał. Nie mógł zaufać.

Kiedy wyciągnęła do niego rękę, ujął ją.

Rozdział 9

— Coraz częściej pojawia się ten koszmar — poskarżył się sekretarz obrony Ervin Reynolds „Bud” Halliday. — Siedzę sobie tu, w Aushak, w Bethesda, kiedy do środka wkracza Jason Bourne, strzela mi w gardło i poprawia między oczy. Jak w Ojcu Chrzestnym.

Siedzieli przy stoliku z tyłu restauracji: on, Luther LaValle, i Rob Batt. Aushak, restauracja położona mniej więcej w połowie drogi między Narodowym Centrum Medycznym Marynarki a Chevy Chase Country Club, była ulubionym lokalem pana sekretarza. Znajdowała się w Bethesda, to po pierwsze, a po drugie i ważniejsze, specjalizowała się w kuchni afgańskiej, mało prawdopodobne było więc, by pojawił się tu ktoś, kogo znał i przed kim miałby coś do ukrycia. Zresztą czuł się najlepiej w miejscach oddalonych od wydeptanych ścieżek. Gardził Kongresem, a jeszcze bardziej gardził kongresowymi komisjami grzebiącymi nieustannie w sprawach, które ich nie obchodziły i na których zupełnie się nie znały, zwłaszcza jeśli chodzi o wiedzę fachową.

Zamówili danie, któremu restauracja zawdzięczała swą nazwę: plasty makaronu nadziewane porem, polane sosem poborowym z dodatkiem mięsa, z nieodłącznym środkowo wschodnim jogurtem doprawionym

niewielką ilością mięty. Wszyscy trzej zgadzali się, że to idealne danie na zimę.

— Już wkrótce zapomni pan o tym szczególnym koszmarze — zapewnił LaValle tak uniżenie, że od samego tonu jego głosu Batta rozboleły zęby. — Prawda, Rob?

— Ależ oczywiście — przytaknął, energicznie kiwając głową. — Mam plan, który po prostu nie może się nie udać.

Nie była to chyba zadowolająca odpowiedź, bo Halliday zmarszczył brwi.

— Każdy plan może się nie udać, panie Batt. Zwłaszcza jeśli dotyczy Jasona Bourne'a.

— Zapewniam, że nikt nie wie tego lepiej ode mnie, panie sekretarzu.

Jako najstarszy z szefów siedmiu dyrektoriatów Batt nie lubił, kiedy mu się zaprzeczano. Był typowym drugoliniowym zawodnikiem: sztukę powstrzymywania chętnych wyrwywających do biegu z piłką po przyłożeniu miał opanowaną do perfekcji. Mimo to miał też świadomość, że wkroczył na terra incognita będącą jednocześnie polem bitwy o władzę, której zwycięzca pozostawał nieznany.

Odsunął talerz. Wiedział, że wchodząc w układy z tymi ludźmi, prowadzi niebezpieczną grę, czuł jednak siłę emanującą z Hallidaya. Znalazł się w gronie ludzi dysponujących prawdziwą władzą, tam, gdzie bardzo pragnął się znaleźć, choć utrzymywał to w tajemnicy; poczuł potężną falę radosnego uniesienia.

— Ponieważ najważniejszą osobą z punktu widzenia mojego planu jest dyrektorka Centrali Wywiadu Hart, spodziewam się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Bud uciszył go władczym gestem.

— Ani słowa więcej — rozkazał. — Ja i Luther musimy utrzymać zgodnie z prawdą, że nic nie wiedzieliśmy. Nie możemy pozwolić, by pańska operacja nagle zwróciła się przeciw nam i ugryzła nas w tyłek. Czy to jasne?

— Ależ oczywiście, sir. Ta operacja jest moja i tylko moja.

Sekretarz uśmiechnął się łaskawie.

— Synu, te słowa brzmią jak muzyka w tych wielkich teksańskich uszach. — Dla ilustracji tego stwierdzenia pociągnął się za ucho. — A teraz... zakładam, że Luther powiedział ci o Typhonie?

Batt spojrział na niego, potem na LaValle'a i znów na Hallidaya.

— Nie, sir. Nie powiedział.

— Przeoczenie — wtrącił gładko LaValle.

— Przeoczenia najlepiej naprawiać od razu. — Sekretarz nie przedstawiał się uśmiechać.

— Naszym zdaniem jednym z problemów CI jest Typhon — rozpoczął LaValle. — Wygląda na to, że właściwa rehabilitacja Centrali, codzienne zarządzanie nią i pilnowanie Typhona to za dużo dla jednego dyrektora. Zdejmujemy ci ciężar z barków. Będę kontrolował sekcję osobiście.

Sprawę przeprowadzono gładko, ale Batt wiedział, że dostał w łeb i tak to sobie zaplanowali. Tym ludziom od początku chodziło o kontrolę nad Typhonem, o nic więcej.

— Przecież to dzieło Centrali Wywiadu — powiedział. —, A dokładnie: twór Martina Lindrosa.

— Martin Lindros nie żyje — zwrócił mu uwagę LaValle, zupełnie niepotrzebnie. — Typhonem kieruje kolejna baba. Trzeba się tym zająć, na jego przyszłość wpłynie wiele decyzji. Ty, Rob, będziesz też podejmował kluczowe decyzje dotyczące całej Centrali Wywiadu. Z pewnością nie chcesz ugryźć więcej, niż możesz połknąć, prawda?

Nie było to bynajmniej pytanie. Batt poczuł, że stąpa po bardzo cienkim lodzie i że lód ten niebezpiecznie pęka. Spróbował jakoś odzyskać kontrolę, ale była to żałosna próba.

— Typhon jest częścią Centrali... Panie Batt — wtrącił Halliday — my już podjęliśmy decyzję. Jest pan z nami czy też mamy zacząć szukać nowego dyrektora?

Mężczyzna, którego telefon wywołał profesora Spectera na ulicę, nazywał się Michaił Tarkanian. Bourne zaproponował spotkanie w zoo. Profesor zadzwonił do Michaiła, a potem, również telefonicznie, poinformował swą sekretarkę, że on i profesor Webb biorą dzień wolny. Wsiadli do samochodu Spectera, który do posiadłości przyprowadził jeden z jego ludzi, i pojechali na spotkanie.

— Twój problem, Jasonie, polega na tym — stwierdził profesor — że potrzebujesz ideologii. Ideologia sprowadza na ziemię, wyznacza terytorium. Jest podstawą wszelkiego poświęcenia.

Bourne zajęty prowadzeniem zdecydowanie potrząsnął głową.

— Odkąd pamiętam, manipulowali mną ideolodzy. Opierając się na własnym doświadczeniu, mogę powiedzieć, że ideologia obciąża człowieka widzeniem tunelowym. Wszystko, co nie mieści się w granicach, które sobie wyznaczyłeś, jest ignorowane lub niszczone.

— Teraz wiem z całą pewnością, że rozmawiam z Jasonem Bourne'em, bo przecież Davidowi Webbowi próbowałem wszczepić poczucie misji, które zagubił gdzieś po drodze. Kiedy do mnie przyszedłeś, nie tyle dryfowałeś bez celu, ile byłeś poważnie okaleczony. Starłem się pomóc ci przez wyrobienie w tobie odruchu odwracania się od tego, co wcześniej zraniło cię tak głęboko. Teraz widzę, że popełniłem błąd...

— Nie popełnił pan żadnego błędu, profesorze.

— Chwileczkę, daj mi skończyć. Zawsze mnie bronisz, wierzysz, że nigdy się nie mylę... nie myśl, że nie doceniam tego, jak dobrą masz o mnie opinię. Nie zmieniałbym tego za żadne skarby świata. Niemniej jednak od czasu do czasu popełniam błędy, a to był jeden z nich. Nie wiem, z czego stworzono tożsamość Bourne'a, i uwierz mi, nie chcę wiedzieć. Ale jedno jest jasne, przynajmniej dla mnie. Choćbyś nie wiem jak się sprzeciwiał, czuję, że gdzieś głęboko jest w tobie coś tajemniczego, lecz związanego z tą tożsamością. To właśnie czyni cię

człowiekiem wyjątkowym. Drugiego takiego jak ty ze świecą szukać.

Jasonowi nie podobał się tok tej rozmowy. Czuł się lekko zażenowany.

— Mam rozumieć, że sercem i duszą jestem Jasonem Bourne'em? Że David Webb stałby się mną niezależnie od okoliczności?

— Ależ skąd. Jednak z tego, co mi mówisz, wynika, że gdyby nie interwencja w jego życie, gdyby nie tożsamość Bourne'a, David Webb byłby bardzo nieszczęśliwym człowiekiem.

Ta myśl nie uderzała nowością, ale Jason zawsze sądził, że pojawia się, bo on tak cholernie mało wie o tym, kim był. David Webb był dla niego tajemnicą znacznie większą niż Jason. Ta świadomość przesładowała go, jakby Webb był upiorem, zbroją z cienia, którą wypełniono nową tożsamością ożywioną przez Aleksa Conklina.

Jechał Connecticut Avenue, minął skrzyżowanie z Cathedral Avenue. Byli już przy wejściu do zoo.

— Prawdę mówiąc, nie sądzę, by David Webb przetrwał do końca roku akademickiego.

— W takim razie cieszę się, że pozwoliłem ci poznać moją prawdziwą pasję. — W głosie Spectera brzmiał nowy ton, zdecydowania. — Nieczęsto człowiek ma szansę naprawienia swych błędów.

Dzień był wystarczająco ciepły, by rodzina goryli mogła wyjść na wybieg. Dzieciaki tłoczyły się przy jego końcu, gdzie zasiadł patriarcha w otoczeniu swego potomstwa. Stary dostojnie ignorował zgromadzenie, a gdy nie mógł go już znieść, powoli przeszedł w przeciwny róg. Wytrzymał, ile mógł, a gdy ruch i hałas dostatecznie mu dokuczyły, również godnie wrócił na poprzednie miejsce. Rodzina posłusznie towarzyszyła mu w tych wędrówkach.

Tu właśnie czekał na nich Michaił Tarkanian. Obejrzał Spectera od stóp do głów, cmoknął ze współczuciem na widok jego podbitego oka, następnie wziął go w ramiona i ucałował w oba policzki.

— Allach jest dobry, mój przyjacielu. Widzę cię żywego i w dobrym zdrowiu.

— Tylko dzięki Jasonowi. Uratował mnie. Jestem mu winien życie — powiedział profesor, po czym dokonał prezentacji.

Tarkanian powtórzył rytuał pocałunków. Dziękował Jasonowi wylewnie i kwieciście.

Goryle zmieniły miejsce. Sprzątano ich wybieg.

— Cholernie smutne życie — zauważył, wskazując kciukiem staro samca. Bourne zauważył, że jego niezdarny angielski nosi ślad akcentu slumsów Sokolniki leżących w północno-wschodniej części Moskwy, na samej granicy miasta. — Tylko popatrzcie na tego biednego sukinsyna.

Rzeczywiście, goryl sprawiał wrażenie przybitego, raczej zrezygnowanego niż zbuntowanego.

— Jason pragnie poznać kilka faktów — powiedział Specter.

— Doprawdy? — Michaił był potężny, lecz nie gruby, wyglądał raczej na byłego atletę. Miał byczą szyję i uważne oczy, niemal tonące w fałdach żółtej skóry. Głowę chował aż po uszy w szerokich ramionach, chroniąc ją w ten sposób przed niespodziewanym uderzeniem. Wspomnienie cięgów wziętych w Sokolnikach pozostaje w człowieku na całe życie.

— Chcę, żebyś odpowiedział na jego pytania.

— Oczywiście. Zrobię wszystko, co tylko będę mógł.

— Rzeczywiście, potrzebuję twojej pomocy — przyznał Bourne. — Opowiedz mi o Piotrze Zilberze.

Tarkianiana wyraźnie to zaskoczyło. Zerknął na Spectera, który pragnąc, by cała jego uwaga skupiła się na Bournie, cofnął się o kilka kroków. Wzruszył ramionami.

— Jasne. Pytaj.

— Skąd dowiedzieliście się, że nie żyje?

— Z informacji od jednego z naszych kontaktów, oczywiście — Tarkanian potrząsnął głową. — Byłem zdruzgotany. — Piotr to przecież jeden z naszych najważniejszych ludzi. A w dodatku uważałem go za przyjaciela.

— A jak go zdemaskowali? Twoim zdaniem?

Minęła ich grupa roześmianych uczennic. Jason doczekał się odpowiedzi dopiero wtedy, gdy dziewczęta znalazły się poza zasięgiem głosu Michaiła.

— Chciałbym wiedzieć. Jedno jest pewne: niełatwo go było dorwać.

— Miał przyjaciół?

— Oczywiście. Od razu powiem ci, że żaden z jego przyjaciół by go nie zdradził, jeśli to cię interesuje. — Tarkanian wyduł wargi. — Chociaż...

Bourne spojrział mu prosto w oczy, przykuł jego wzrok.

— No... Piotr spotykał się z tą dziewczyną. Gałą Niemiatawą. Zakochał się w niej bez pamięci.

— Zakładam, że ją odpowiednio prześwietlono?

— Oczywiście. Ale... cóż, jak by to powiedzieć... o, już wiem! Piotr był odrobinę uparty, jeśli chodzi o kobiety.

— I wszyscy o tym wiedzieli?

— W to akurat wątpię.

Błąd, pomyślał Bourne. Przyzwyczajenia i skłonności przeciwnika zawsze są na sprzedaż, wystarczy znaleźć sprzedawcę i wykazać się odrobiną sprytu oraz uporą. Facet powinien powiedzieć: „nie wiem, być może”. Odpowiedź tak neutralna, jak to tylko możliwe, a bliższa prawdy.

— Kobiety bywają słabym ogniwem — powiedział. Pomyślał o Moirze i o cieniu podejrzenia rzuconym na nią przez śledztwo CI. Sam pomyśl, że Martina można było skusić, przekonać do zdradzenia sekretów Centrali, miał gorzki smak, nie do przełknięcia. Jasonowi pozostała tylko nadzieja, że kiedy pozna odkryte przez Sorayę zapisy jej rozmów, będzie mógł wreszcie przestać się nad tym zastanawiać.

— Śmierć Piotra doprowadziła do mdłości nas wszystkich — powiedział Tarkanian nie pytany i zerknął na Spectera.

— Niewątpliwie. — Jason uśmiechnął się bez przekonania. — Morderstwo to poważna sprawa, zwłaszcza w tym wypadku. Pytam wszystkich, nic więcej.

— Oczywiście, rozumiem.

— Bardzo mi pomogłeś. — Potrząsnął dłonią Tarkaniana, lecz jednocześnie spytał ostro: — A ludzie Ikupowa? Ile ci zapłacili za wyciągnięcie profesora na ulicę?

Zamiast zdumieć się lub zaniepokoić, muzułmanin wyraźnie się odprężył.

— A to co za gówniane pytanie? Jestem i zawsze byłem lojalny.

Po chwili spróbował uwolnić dłoń, ale Bourne nie zwalniał uścisku. Patrzyli sobie w oczy.

Nagle usłyszeli chrząknięcie zaniepokojonego starego goryla. Był to niski, niemal niesłyszalny dźwięk, jak nagły powiew wiatru w polu pszenicy. Informował o czymś, lecz tak dyskretnie, że tylko Bourne odebrał wiadomość. Jednocześnie kątem oka, na samej granicy pola widzenia, zaobserwował i przez kilka sekund śledził ruch. Pochylił się w kierunku profesora, powiedział cichym, napiętym głosem:

— Odejdź. Przejdź przez Dom Małych Ssaków, skręć w lewo. Sto metrów dalej jest kiosk z kanapkami. Poproś ich, żeby ci pomogli wrócić do samochodu. Jedź do domu i czekaj. Odezwę się.

Profesor odszedł. Jason ruszył w przeciwnym kierunku, pchając przed sobą Tarkaniana. Dołączyli do polowania na padlinożerne w habitacie Słodki Dom, czyli do grupy rozbrykanych dzieciaków i ich rodziców. Dwaj mężczyźni, których obserwował, zbliżali się pospiesznie. To właśnie ich pośpiech i wyraźne zaniepokojenie wzbudziły czujność starego goryla, który z kolei zaalarmował Bourne'a.

— Dokąd idziemy? — denerwował się Tarkanian. — Dlaczego zostawiłeś profesora bez ochrony?!

Dobre pytanie. Zareagował błyskawicznie, ale instynktownie. Mężczyźni interesowali się muzułmaninem, nie Specterem. Odłączyli się od grupy idącej Olmsted Walk, przeszli do Centrum Gadów. Tu światło było przyciemnione. Mijali szklane baseny ze śpiącymi aligatorami, krokodylami o ślepiach jak szparki, niezdarnymi żółwiami, groźnymi jadowitymi węzami i jaszczurkami o szorstkiej skórze, wszystkich rozmiarów, wszystkich kolorów, wszelkich możliwych temperamentów. Przed nimi znajdowały się terraria węży. Jedno z nich było otwarte, pracownik zoo właśnie dostarczył kolację z gryzoni trzem wielkim zielonym pytonom wyrwanym przez głód z otępienia i ześlizgującym się po gałęziach sztucznego drzewa. Pytony, dysponujące zmysłem podczerwieni, reagują na ciepło potencjalnej ofiary.

Ścigający ich mężczyźni przebijali się właśnie przez grupkę dzieci. Byli śniadzi, ale poza tym nie wyróżniali się niczym szczególnym. Ręce trzymali w kieszeniach wełnianych płaszczy, z pewnością kryli w nich broń. Już się nie spieszyli. Po co niepokoić gości?

Minęli terrarium padalca, skęcili do działu węży. W tym momencie Tarkanian postanowił wykonać swój ruch. Obrócił się, ruszył w stronę nadchodzących mężczyzn, udało mu się nawet pociągnąć Bourne'a, ale tylko o krok. Powstrzymał go potężny cios w głowę.

Przed pustym terrarium klęczał technik majstrujący przy kratce systemu wentylacji. Bourne wyjął kawałek sztywnego drutu z jego skrzynki na narzędzia.

— Kawaleria cię dziś nie uratuje — warknął, ciągnąc więźnia w stronę wpuszczonych w ścianę między terrariami drzwi prowadzących do pomieszczeń obsługi. Udało mu się sforsować zamek drutem, choć jeden ze ścigających ich mężczyzn był już bardzo blisko. Zatrzasnął mu je dosłownie przed nosem.

Drzwi zdrząły od potężnych uderzeń. Znajdowali się w wąskim korytarzu oświetlonym długimi lampami fluorescencyjnymi umieszczonymi

za terrariumami. Na prawej ścianie, w regularnych odstępach, umieszczono klapy prowadzące do terrariów i, w przypadku jadowitych węży, także specjalne szczeliny na pokarm.

Rozległo się ciche „puf”; to zamek oderwał się od drzwi, przez które weszli faceci uzbrojeni w małe rewolwery z tłumikami. Przed jednym z nich, tym, który właśnie się pojawił, Bourne osłonił się Tarkanianem, ale gdzie drugi? Nie wątpił, że wie, więc całą uwagę skupił na przeciwnym krańcu korytarza, w którym powinien się pojawić lada chwila.

Tarkanian wyczuł, że Jason odwrócił od niego uwagę. Wykonał szybki obrót w tył, z całej siły uderzył go swym potężnym barkiem. Bourne się poślizgnął, potknął, wpadł do otwartego terrarium pytonów. Muzułmanin roześmiał się ochryple i pobiegł.

Zajmujący się pytonami herpetolog gorąco zaprotestował przeciw obecności nieoczekiwanego gościa i został oczywiście zignorowany. Jason chwycił najbliższego węża, który wyczuwając ciepło, natychmiast owinał się wokół jego ramienia. Bourne się odwrócił i wyskoczył na korytarz. Błyskawicznie wykorzystując okazję, uderzył pierwszego z mężczyzn w splot słoneczny. Pyton ześlizgnął się po jego wyprostowanym ramieniu, owinał wokół piersi skulonego faceta, który na jego widok wrzasnął przeraźliwie, i zacisnął na nim swe cielsko.

Bourne pobiegł za Tarkanianem uzbrojony w rewolwer wyrwany z bezwładnej ręki prześladowcy. Był to glock, nie taurus. Jak podejrzewał, ci dwaj należeli do innej grupy niż porywacze, a więc... kim byli? Członkami Czarnej Legii, którzy mieli wyciągnąć Tarkianiana? Jeśli tak, skąd wiedzieli, że został zdemaskowany? Nie pora szukać odpowiedzi, nie teraz. Tak jak podejrzewał, drugi facet już był w korytarzu. Przyklęknął z pistoletem w wyciągniętej ręce, gestem kazał Tarkanianowi przytulić się do ściany.

Bourne'owi pozostało już tylko jedno. Osłaniając twarz, z trzaskiem rozbijając szkło, głową naprzód skoczył do terrarium... i stanął oko w oko ze żmiją gabońską, wężem o najdłuższych zębach jadowych i najgroźniejszym dla człowieka jadzie ze wszystkich znanych nauce żmij. Ta była czarna i żółtobrunatna. Wzniosła potworny, trójkątny łeb, wysunęła język. Próbowała ocenić, czy zakłócające jej spokój stworzenie jest zagrożeniem.

Jason Bourne leżał nieruchomy jak głaz. Wąż to syczał, to cichł, wyciągając i chowając łeb w regularnym rytmie. Widoczne po obu stronach paszczy wyrostki w kształcie rogów drżały. Bez wątpienia był zaniepokojony. Bourne, który niejedną raz gościł w Afryce, wiedział co nieco o zwyczajach tego stworzenia. Rzadko atakowało bez wyraźnej, jednoznacznej prowokacji, ale w tym groźnym momencie człowiekowi nie wolno było ryzykować najdrobniejszego ruchu.

Świadom, że zagrożony jest z dwóch stron, Bourne bardzo powoli podniósł lewą rękę. Rytm syku się nie zmienił. Nie spuszczać oczu z węża, przesunął dłoń tak, że znalazła się dokładnie nad głową bestii. Słyszał o pewnym sposobie łagodzenia żmij, ale nie miał pojęcia, czy jest on skuteczny. Bardzo delikatnie dotknął palcem wierzchu przerażającego łba i syk umilkł. Opowieści nie kłamały!

Puścił pistolet i zacisnął dłoń tuż za nim. Podparł ciało prawą dłonią. Żmija nie protestowała. Wstał niezręcznie. Na oczach gapiących się na niego z drugiej strony szklanej ściany dzieciaków przeszedł przez terrarium i złożył gada w najdalszym kącie, po czym cofnął się, nie spuszczać z niego wzroku. Klęknął na odłamkach szkła, podniósł glocka.

— Odłóż ten pistolet i odwróć się. Żadnych gwałtownych gestów — powiedział głos za jego plecami.

— Cholera, wybite — powiedział Arkadin. Dewra spojrzała na jego zdeformowane ramię. — Będziesz musiała je nastawić.

Przemoczeni do suchej nitki siedzieli w otwartej całą noc kawiarni po przeciwnej stronie Sewastopola, robiąc co w ich mocy, by rozgrzać się choć odrobinę. Gazowy piecyk w lokaliku syczał i prychał groźnie, jakby sam nabawił się zapalenia płuc. Na stoliku stały na pół opróżnione szklanki gorącej herbaty. Od szaleńczej ucieczki dzieliła ich zaledwie godzina, oboje byli skrajnie wyczerpani.

— Żartujesz!

— Nie mam ochoty na żarty. Przecież nie mogę iść do normalnego lekarza!

Zamówił jedzenie dla obojga. Dziewczyna pochłaniała to, co przed nią postawiono, niczym dzikie zwierzę; palcami wpychała do ust kawałki gulaszu. Jakby głodowała od tygodni! I być może tak właśnie było, pomyślał Arkadin. Widząc, jak rozprawia się z kolejnymi daniami, zamówił więcej. Sam jadł spokojnie, niespiesznie, świadom smaku każdego kęsa. Tak było zawsze po zabójstwie: wszystkie jego zmysły pracowały na zwiększonych obrotach. Barwy wydawały się jaskrawsze, zapachy ostrzejsze, smak bogatszy, posiłek bardziej sycący. Słyszał ostrą polityczną dyskusję, którą toczyli siedzący w przeciwnym rogu dwaj starsi mężczyźni. Przesunął palcami po policzku, drapały go jak papier ścierny. Był w pełni świadom pracy własnego serca, wyraźnie słyszał szum krwi w żyłach. Był, mówiąc najkrócej, niczym odsłonięty nerw.

Kochał ten stan, a jednocześnie go nienawidził. Przeżywał uczucia bliskie ekstazy. Doskonale pamiętał tę chwilę, kiedy w jego ręce trafił zniszczony egzemplarz *Nauk don Juana Carlosa Castanedy* w miękkiej oprawie; nauczył się z tej książki angielskiego, a była to długa i trudna droga. Wcześniej pojęcie ekstazy nie istniało dla niego. Po lekturze myślał nawet o tym, by wzorem samego Castanedy spróbować peyotlu, gdyby dało się go znaleźć, ale wstrząsała nim sama myśl o narkotykach. Już i tak był wystarczająco zagubiony, nie zależało mu na tym, by znaleźć miejsce, z którego nie ma powrotu.

Jednak ekstaza, którą przeżywał, była nie tylko błogosławieństwem, lecz także ciężarem, a Leonid wiedział, że niedługo wytrzyma, będąc jak odstonięty nerw. Wszystko, poczynawszy od strzału z rury wydechowej samochodu, a na ćwierkaniu świerszczy w polu skończywszy, uderzało w niego tak boleśnie, jakby nie istniała przed tym żadna ochrona.

Dewrę obserwował z niemal obsesyjnym skupieniem. I dostrzegł coś, czego nie zauważył wcześniej; zapewne jej gesty, całe jej zachowanie skutecznie to ukryły. Jednak teraz przestała się maskować, a może była po prostu zmęczona albo poczuła się w jego towarzystwie spokojniej i pewniej? W każdym razie drżały jej dłonie. Rozregulowany system nerwowy. Obserwował je, myśląc, że czynią ją tym łatwiejszym łupem.

— Nie rozumiem — powiedział nagle. — Dlaczego zwróciłaś się przeciw własnym ludziom?

— Myślisz, że Piotr Zilber, Oleg Szumienko czy Filia to byli moi ludzie?

— Jesteś oczkiem w sieci Zilbera. Co innego mam myśleć?

— Tam na dachu słyszałaś, co mówiła do mnie ta świnią. Kurwa, wszyscy byli jak on! — Wierchem dłoni Dewra wytarła tłuszcz z ust i brody. — Nigdy nie lubiłam Szumienki. Najpierw płaciłam jego długi karciane, bo musiałam. Potem były narkotyki.

— Mówiłaś mi... — głos Leonida był spokojny, obojętny — ...mówiłaś, że nie wiesz, po co mu była ta ostatnia pożyczka.

— Kłamałam.

— Powiedziałaś Piotrowi?

— Chyba kpisz! Z nich wszystkich to on był najgorszy.

— Tak czy owak, utalentowany mały sukinyń.

Dziewczyna skinęła głową.

— Ja też tak myślałam, w jego łóżku. Uchodziło mu płazem mnóstwo gówna, bo przecież to on był szefem. Chłanie, ubaw... Jezu, i te wszystkie dziewczyny! Czasami po dwie, trzy na noc. Doprowadzał mnie do mdłości, no i poprosiłam o przeniesienie. Nie ma jak w domu.

A więc była jego dziwką, przynajmniej przez jakiś czas, pomyślał Arkadin, a głośno powiedział:

— Przecież takie igraszki to część jego pracy. Umacnia kontakty, ludzie zawsze wracają po więcej...

— Jasne. Problem w tym, że trochę za bardzo to lubił. No i oczywiście jego nastawienie wpływało na tych, którzy byli najbliżej. Jak myślisz, gdzie Szumienko nauczył się tak żyć? Przy Piotrze, oczywiście!

— A Filia?

— Och, on myślał, że jest moim właścicielem. Należałam do jego majątku ruchomego. Kiedy wychodziliśmy gdzieś razem, zachowywał się jak mój alfons. Nienawidziłam go z całego serca!

— To dlaczego się go nie pozbyłaś?

— Bo to on dostarczał Szumience kokainę.

Błyskawicznie jak kot Leonid skoczył na równe nogi, groźnie pochylił się nad stolikiem.

— Posłuchaj, lapoczka! Gównu mnie obchodzi, kogo lubisz, a kogo nie, ale okłamywać mnie... no, to zupełnie inna sprawa!

— A czego się spodziewałeś? Wpadłeś do mojej garderoby jak jakaś pieprzona siła natury!

Po prostu musiał się roześmiać; groźące gwałtem napięcie prysło. Ta dziewczyna miała poczucie humoru, a to oznaczało, że jest nie tylko sprytna, lecz wręcz inteligentna. W pamięci szybko porównał ją z kobietą, która kiedyś była mu bliska.

— Nadal czegoś nie rozumiem — przyznał. — Przecież w tym konflikcie stoimy po przeciwnych stronach!

— I tu się właśnie mylisz, bo w tym konflikcie ja nigdy nie byłam stroną. To wszystko bardzo mi się nie podoba, więc udaję, i tyle. Na początku postawiłam sobie pewien cel. Chciałam sprawdzić, czy potrafię oszukać Piotra i innych. No więc oszukałam, a potem już miałam z górki. Były z tego niezłe pieniądze, uczyłam się szybciej niż inni. Dostawałam coś, czego nie dostałabym nigdy jako zwykła didżejka.

— Mogłaś odejść, kiedy ci się tylko spodoba.

— Doprawdy? — Dziewczyna przechyliła głowę, spojrzała na niego spod oka. — Gdybym spróbowała, rzuciliby się na mnie, tak jak rzucili się na ciebie.

— Ale... teraz jednak podjęłaś decyzję. Zrywasz z nimi. — Leonid spojrzał na Dewrę tak, jak przed chwilą ona patrzyła na niego. — Tylko mi nie mów, że to przeze mnie.

— Dlaczego? Siedzieć tak sobie pod opieką siły natury... to bardzo pokrzepiające. — Arkadin chrząknął, nie po raz pierwszy zawstydzony. — A poza tym dowiedziałam się, co planują, i to była kropla, która przepełniła czarę.

— Pomyślałaś o swym amerykańskim zbawcy?

— Pewnie nie potrafisz tego zrozumieć, ale jeden człowiek naprawdę może zmienić czyjeś życie.

Skinął głową, myśląc o Siemionie Ikupowie.

— Pod tym względem jesteśmy prawie identyczni — powiedział.

— Nie najlepiej wyglądasz.

— Chodź.

Wstał od stolika. Poszli w stronę męskiej toalety; po drodze Arkadin zjrzał jeszcze na chwilę do kuchni. Z toalety wyrzucił faceta, który właśnie mył ręce, i sprawdził kabiny, upewniając się, że są sami.

— Teraz powiem ci, co masz zrobić z tym moim cholernym barkiem.

Dziewczyna wysłuchała instrukcji zaniepokojona.

— Będzie bolało? — spytała.

Zamiast odpowiedzieć, Arkadin zacisnął zęby na drewnianej łyżce, którą podwędził z kuchni.

Bourne powoli, bardzo niechętnie odwrócił się plecami do żmii gabońskiej. Przez głowę przeleciało mu naraz wiele myśli; jedna z nich poświęcona była Michaiłowi Tarkanianowi. To on był kretem w organizacji Spectera. Kto wie, ile informacji zdołał zgromadzić i jakie? Nie wolno dopuścić do jego ucieczki!

Stojący przed nim mężczyzna miał płaską i lśniącą, jakby tłustą twarz. Szpeciły ją dwudniowy zarost i popsute zęby. Jego oddech śmierdział tytoniem i zgniłym jedzeniem. Tłumik na lufie glocka mierzył wprost w pierś Jasona.

— Wyjdź — powiedział cicho.

— Nie ma znaczenia, czy wyjdę, czy nie. Facet z obsługi z pewnością zawiadomił ochronę. Zaraz przymkną nas obu.

— Wyłaż. Już!

Mężczyzna popełnił niewybaczalny błąd: poparł słowa gestem dłoni trzymającej pistolet. Bourne płynnym ruchem lewego ramienia odtrącił przedłużoną tłumikiem lufę, po czym rzucił przeciwnika na ścianę korytarza, kopnął go w jądra, a kiedy ten skulił się, charcząc, Jason wytrącił mu broń, złapał go za płaszcz i wepchnął do terrarium z taką siłą, że facet wylądował tuż przed jego prawowitym mieszkańcem.

Naśladując gada, Jason zasyczał z zapamiętanymi przerwami. Wąż podniósł łeb. W jednej chwili usłyszał syk drugiego węża i wyczuł coś żywego na swoim terytorium. Z szybkością błyskawicy zaatakował przerażonego człowieka.

Bourne biegł korytarzem w stronę szeroko otwartych drzwi. Wyskoczył na światło dzienne. Tarkanian już na niego czekał, przewidział, że zdoła wymknąć się mordercom, a nie miał ochoty kontynuować pościgu. Rozpoczął od ciosu pięścią w twarz, poparł go zdradliwym kopniakiem, lecz Bourne złapał go za stopę i przekręcił ją, pozbawiając Michaiła równowagi. Usłyszał krzyki, stukot i skrzyp podszew tandetnych butów po betonie. Ochrona przybywała, choć jeszcze jej nie widział.

— Tarkanian — powiedział cicho i silnym ciosem pozbawił mużłamanina przytomności. Natychmiast przykleknął przy nim i kiedy ochroniarze wybiegli zza rogu, ratował go metodą usta-usta.

— Przyjaciel zemdłał, kiedy pojawili się ci uzbrojeni złoczyńcy — wyjaśnił, kiedy podbiegli do niego, i podał dokładne opisy sprawców.

Gestem wskazał otwarte drzwi prowadzące do Centrum Gadów. — Możecie sprowadzić pomoc? Przyjaciel ma alergię na musztardę. Pewnie było jej trochę w sałatce ziemniaczanej, którą zjadł na lunch.

Dwaj ochroniarze z wyciągniętą bronią znikli w pawilonie, trzeci dotrzymywał mu towarzystwa aż do przyjazdu karetki. Sanitariusze sprawdzili, czy nieprzytomny zdradza oznaki życia, załadowali go na nosze. Bourne siedł obok „przyjaciela” wśród gapiących się na nich gości zoo aż do karetki czekającej na Connecticut Avenue. Opisywał jego reakcję alergiczną, powiedział także, że w tym stanie jest nadwrażliwy na światło.

Pojechał razem z nim. Jeden sanitariusz zamknął za nim drzwi, drugi przygotował wkłucie kroplówki z fenotiazyną.

Zawyła syrena. Ruszyli.

Po twarzy Arkadina płynęły łzy, ale nawet nie syknął. Zniósł straszliwy ból nastawianego barku i teraz przynajmniej mógł już poruszyć palcami lewej ręki. Dobra wiadomość była taka, że zamiast odrętwienia czuł mrowienie, jakby jego krew zmieniła się w szampana.

Dewra odebrała mu drewnianą łyżkę.

— Chryste — powiedziała zdumiona. — Omal jej nie przegryzłeś. Musiało cię cholernie boleć.

Leonid, półprzytomny, walczący z mdłościami, skrzywił się przerażliwie.

— Teraz nie byłbym w stanie nic zjeść — przyznał.

Dziewczyna wyrzuciła łyżkę zaraz po wyjściu z toalety.

Leonid uregulował rachunek. Mogli opuścić lokal. Deszcz przestał padać, ulice lśniły wilgocią; pamiętał ten widok ze starych amerykańskich filmów z lat trzydziestych i czterdziestych.

— Możemy pójść do mnie — zaproponowała. — To niedaleko stąd.

— Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

Włóczyli się, pozornie bez celu, aż znaleźli mały hotel. Arkadin zamówił pokój. Zaniedbany nocny recepcjonista nie pofatygował się nawet na nich spojrzeć. Interesowały go wyłącznie pieniądze. Pokój był nędzny: łóżko, krzesło, komoda na trzech nóżkach, czwartą zastępował stos książek. Na środku podłogi leżał okrągły dywan, przetarty, brudny, pełen dziur powypalanych papierosami. To, co wydawało się szafą ścienną, okazało się toaletą. Łazienka z umywalką i prysznicem obsługiwała całe piętro.

Arkadin przede wszystkim podszedł do okna. Specjalnie poprosił o pokój od frontu, bardziej hałaśliwy, ale dający dobry widok na wszystkich wchodzących do budynku i wychodzących z niego. Ulica okazała się pusta, w polu widzenia nie było ani człowieka, ani samochodu. Mroczny Sewastopol oddychał tak wolno i niesłyszalnie, że wydawał się martwy.

Arkadin się odwrócił.

— Najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali szczerze — powiedział.

— Teraz? Nie dałoby się trochę później? — Dewra leżała w poprzek łóżka. — Padam z nóg.

Leonid zastanawiał się przez chwilę. Była późna noc. On sam był wprawdzie wyczerpany, ale jeszcze nie gotów na sen. Zrzucił buty, położył się. Dziewczyna usiadła, żeby zrobić mu miejsce, ale zamiast położyć się obok niego, wróciła do poprzedniej pozycji. Złożyła mu głowę na brzuchu. Przymknęła oczy.

— Chcę iść z tobą — powiedziała cicho, sennie.

I natychmiast obudziła jego czujność.

— Dlaczego? Dlaczego miałabyś chcieć iść ze mną?

Nie doczekał się odpowiedzi. Dewra spała.

Leonid Arkadin leżał nieruchomo, słuchając jej regularnego oddechu. Nie wiedział, co począć z tą dziewczyną, jedynym kontaktem z

siatką Zilbera, który mu pozostał. Przez dłuższy czas analizował to, co mu powiedziała o Szumience, Filii i Piotrze. Szukał przekłamań i niekonsekwencji. Nieprawdopodobne wydawało mu się to, czego dowiedziało się od niej o Zilberze i o tym, jak się prowadził, ale w końcu zdradziła go chwilowa przyjaciółka pracująca dla Ikupowa. Dowodziło to, że nie potrafił się kontrolować i że jego obyczajami mogli przejąć podwładni. Arkadin nie miał pojęcia, czy to kwestia dziedziczenia, lecz biorąc pod uwagę, po kim Piotr dziedziczył, nie było to bynajmniej wykluczone.

A Dewra? Dziwna dziewczyna. Pozornie niczym nie różniła się od innych przedstawicielek młodego pokolenia, które Leonid spotykał na swej drodze: twardych, cynicznych, zrozpaczonych i rozpaczających, w rzeczywistości była jednak zupełnie inna. Potrafił przedrzeć się przez zbroję, dostrzec pod nią małą, zagubioną dziewczynkę, którą była i zapewne jest nadal. Położył dłoń na jej szyi, poczuł powolne bicie pulsu. Mógł się mylić, oczywiście. Może nabiera się na specjalnie zagrane dla niego przedstawienie? Ale choćby od tego zależało jego życie, nie potrafił powiedzieć, jakie naprawdę jest jej nastawienie. A to nie wszystko. Było w niej coś wynikającego bezpośrednio z delikatności, z umyślnej wrażliwości. Wiedział, że dziewczyna potrzebuje tego, czego przecież potrzebujemy wszyscy, choćbyśmy nie wiem jak tłumaczyli sobie, że jest inaczej. Tego, czego potrzebował on sam, tyle że świadomie nie chciał o tym myśleć. Ojca. Brakowało jej ojca, tego nie dało się ukryć. Nie potrafił się pozbyć wrażenia, że w Dewrze jest coś, czego nie dostrzegł, coś, o czym mu nie powiedziała; chciała, żeby to znalazł sam. I znał odpowiedź na tę zagadkę. Polatywała mu w myślach jak motyl, nie potrafił jej jednak złapać. Była tuż, sięgał po nią, a gdy niemal dotykał jej czubkami palców, odlatywała. To uczucie wydawało mu się nieznośne, jak seks z kobietą nie przynoszący spełnienia.

Naraz Dewra się poruszyła, wypowiedziała jego imię i było to jak

błyskawica rozświetlająca wnętrze pokoju. Znow był na wilgotnym dachu, nad nim stał zabójca z myszką na policzku, znow słuchał rozmowy między nim a Dewrą. „Ty za niego odpowiadałaś” — powiedział mężczyzna o Filii.

Leonid poczuł, jak jego serce przyspiesza biegu. „Odpowiedzialność”. Niby czemu facet z myszką użył tego słowa, jeśli to Filia był kurierem w Sewastopolu? Jakby z własnej woli jego palce znow dotknęły aksamitnej skóry. Sprytna suka. Ten biedak był tylko żołnierzem, ochroniarzem, kurierką zaś — ona. To ona przekazała dokument następnemu ogniwu. Wiedziała, dokąd Arkadin powinien się teraz skierować.

Przytulił ją mocno i wreszcie poddał się potędze nocy, hotelowego pokoju, terażniejszości. Popłynął w sen na fali radosnego uniesienia, a fala ta zaniósła go w krwawe objęcia przeszłości.

Leonid Arkadin nie wątpił, że gdyby nie interwencja Siemiona Ikupowa, popełniłby samobójstwo. Jego najlepszy przyjaciel Misza Tarkanian w trosce o jego życie zwrócił się o pomoc do człowieka, dla którego pracował. Z niesamowitą wręcz jasnością wspominał dzień, w którym Ikupow go odwiedził. Wszedł do jego mieszkania jak do siebie, a on, na pół oszalały z samobójczej żądzy, przyłożył mu do głowy lufę makarowa PM, tego samego rewolweru, z którego przed chwilą chciał przestrzelić swoją.

Nie sposób odmówić Ikupowowi zimnej krwi. Ani drgnął. Stał w ruinie czegoś, co było moskiewskim mieszkaniem Leonida, i nawet na niego nie patrzył. A on, więzien przeszłości rodem z piekła, nie potrafił już znaleźć sensu w niczym. Zrozumiał dopiero później, znacznie później. Nie wolno patrzeć w ślepią niedźwiedzia, bo zaatakuje. I dlatego Ikupow patrzył gdzie indziej: na połamane ramy obrazów, na okruchy kryształów, na przewrócone krzesła, na popioły fetyszystycznego ogniska, które strawiło ubrania gospodarza.

— Misza powiedział mi, że przechodzisz trudne chwile.

— Misza powinien trzymać gębę na kłódkę.

Ikupow rozłożył ręce.

— Ktoś musi ocalić ci życie.

— A co ty możesz o tym wiedzieć?

— Rzeczywiście, nie wiem nic o tym, co przeszedłeś.

Leonid, nie opuszczając pistoletu opartego lufą o skroń gościa, zbliżył się do niego.

— To zamknij mordę.

— Interesuje mnie tylko tu i teraz. — Ikupow ani drgnął, nawet nie mrugał. — Do kurwy nędzy, synu, tylko na siebie popatrz! Jeśli nie chcesz cofnąć się znad krawędzi dla siebie, zrób to dla Miszy. Nawet brat nie kochałby cię bardziej niż on.

Leonid odetchnął głęboko. Zacharczał, jakby wypluwał truciznę. Opuścił dłoń trzymającą makarowa. Siemion wyciągnął rękę i widząc jego wahanie, powiedział bardzo łagodnie:

— To nie Niżny Tagił, Leonidzie Daniłowiczu. Tu nikt nie zasłużył sobie na to, żeby z nim walczyć.

Arkadin skinął głową i dał się rozbroić. Gość wezwał dwóch potężnych facetów; stali w korytarzu, a na wezwanie podeszli bezszelestnie. Oddał im broń. Zagrali Leonidowi na nerwach, bo nie wyczuł obecności ochroniarzy, a w tej chwili każdy z nich mógł go przewrócić chuchnięciem. Spojrzał na Ikupowa, widział, jak kiwa głową; to w owej chwili narodziła się ta więź pomiędzy nimi.

— Dla ciebie jest tylko jedna droga. — Siemion usiadł swobodnie na sofie pośrodku zdewastowanego mieszkania. Jeden drobny gest wystarczył, by ochroniarz podał makarowa właścicielowi. A on zignorował broń, po raz pierwszy i ostatni w życiu. Cały zamienił się w słuch. — Nie? — Ikupow wzruszył ramionami. — Wiesz, co myślę, Leonidzie Daniłowiczu? Myślę, że czerpiesz coś w rodzaju pociechy z przekonania, że twoje życie jest pozbawione sensu. Na ogół rozkoszujesz się tą myślą, to ona skłania cię do działania, ale bywa też, że nagle chwyta cię

za gardło, potrząsa tobą, aż mózg obija ci się o czaszkę. To jest właśnie taka chwila. — Ubrany był w ciemne luźne spodnie, szarą koszulę z delikatnym odcieniem różu i długi, czarny skórzany płaszcz, w którym wyglądał złowrogo, niczym niemiecki Sturmbannführer SS. — Ze mną jest odwrotnie, ja jestem pewien, że szukasz sensu życia.

Ciemna skóra lśniła jak polerowany brąz. Nie można się było pomylić: ten człowiek wiedział, co robi, i nie wolno było traktować go lekko.

Arkadin usiadł obok niego na sofie.

— Jaka droga? — spytał tępo.

Ikupow rozłożył ręce, jakby obejmował tornado, które przetoczyło się przez ten pokój.

— Przeszłość umarła, prawda? Chyba się ze mną zgodzisz, Leonidzie?

— Bóg mnie pokarał. Bóg mnie opuścił. — Tak żaliła się bezustannie jego matka.

Siedzący obok niego mężczyzna uśmiechnął się z dziecięcą niewinnością; jego uśmiechu nie można było zinterpretować źle.

— O jakim Bogu mówimy?

Na to pytanie Leonid nie potrafił odpowiedzieć, bowiem Bóg, którego wymienił, był Bogiem jego matki, Bogiem dzieciństwa, Bogiem, który pozostawał dla niego tajemnicą, Bogiem gniewu, agresji, połamanych kości, rozlanej krwi.

— Nie, nie. Bóg, jak niebo, to słowo na papierze. Piekło jest tu i teraz.

Ikupow potrząsnął głową.

— Nie wiesz, co to Bóg, Leonidzie. Nigdy nie wiedziałeś. Oddaj się w moje ręce. Przy mnie znajdziesz Boga i dowiesz się, jaką obdarzył cię przyszłością.

— Nie mogę być sam! — jęknął Arkadin. Dopiero po długiej chwili uświadomił sobie, że to najprawdziwsze twierdzenie, jakie kiedykolwiek wypowiedział.

— I nie będziesz.

Pojawił się ochroniarz z tacą. Oni rozmawiali, on zaparzył herbatę. Ikupow napełnił szklanki, pośłodził, podał jedną Arkadinowi.

— Napij się ze mną, Leonidzie Daniłowiczu — poprosił, podnosząc swoją, z której unosiły się kłęby pary. — Za zdrowie i za przyszłość tak jasną, jaką ją sobie stworzysz.

Milczeli, pijąc herbatę, którą inteligentny ochroniarz doprawił sporą porcją wódki.

— Żeby nigdy już nie być samotnym — powiedział Leonid Daniłowicz Arkadin.

Było to bardzo dawno temu, na przystani nad rzeką, której wody zostały zbrukane krwią. Czy od tamtej pory bardzo się zmienił, czy też pozostał tym oszalałym człowiekiem, który przyłożył lufę pistoletu do głowy Siemiona Ikupowa? Któż to wie? Ale w deszczowe dni, dni burzy i grzmotu, dni zmierzchu o południu, kiedy świat wyglądał ponuro, wspomnienia przeszłości wypływały na powierzchnię jak trupy niesione prądem rzeki wyrzyganej przez jego pamięć... i wówczas Leonid znów był sam.

Tarkanian powoli odzyskiwał przytomność, ale podana mu fenotiazyna robiła, co do niej należy; działała uspokajająco i upośledzała funkcje umysłowe do tego stopnia, że kiedy Bourne pochylił się nad nim i powiedział po rosyjsku: „Bourne nie żyje, właśnie cię stąd wyciągamy”, wziął go za jednego z mężczyzn z gadziarni.

— Ikupow cię wysłał. — Tarkanian podniósł rękę do twarzy, namacał bandaż na oczach. Nie wiedział, że cierpi na fotofobię. — Dlaczego nic nie widzę?

— Nie ruszaj się — nakazał Jason cicho. — Tu są ludzie. Sanitariusze. Właśnie tak cię wyciągamy. Zostaniesz przez kilka godzin w szpitalu, tam będziesz bezpieczny, a my załatwimy drugi etap podróży.

Mahometanin skinął głową.

— Ikupow wyjechał. Wiesz dokąd?

— Nie.

— Chce, żebyś złożył raport w możliwie najwygodniejszych warunkach. Dokąd mamy cię zabrać?

Tarkanian oblizał wargi.

— Do Moskwy, oczywiście. Od wieków nie byłem w domu. Mam mieszkanie przy bulwarze Frunzeńskim. — Wydawało się, że zaczyna mówić do siebie. — Z okna salonu widać przejście dla pieszych do parku Gorkiego. Tak tam spokojnie. Od wieków nie byłem w domu.

Dotarli do szpitala; Jason musiał przerwać przesłuchanie. A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Drzwi karetki otworzyły się z trzaskiem, sanitariusze przystąpili do akcji. Wyciągnęli nosze, pobiegli do szklanych, przesuwanych drzwi, z korytarza skręcili na szpitalny oddział ratowniczy wypełniony po brzegi pacjentami. Tu jeden z nich wdał się w rozmowę ze zmęczonym stażystą. Na jego polecenie umieścili pacjenta w małym pokoju, jednym z wielu w korytarzu. Przez otwarte drzwi widać było, że wszystkie są zajęte.

Na odchodnym ratownicy sprawdzili jeszcze kroplówkę i oznaki życiowe pacjenta.

— Lada chwila oprzytomnieje — powiedział jeden z nich. Uśmiechnął się zawodowym, a mimo to sympatycznym uśmiechem. — Proszę się nie obawiać, z pańskim przyjacielem wszystko będzie w porządku.

Zostali sami. Bourne natychmiast wykorzystał sytuację.

— Michaił, dobrze znam bulwar Frunzeński. Gdzie dokładnie jest twoje mieszkanie?

— Nic ci nie powie.

Jason Bourne odwrócił się błyskawicznie. Zabójca, ten, wokół którego owinął się pyton, zaatakował. Rzucił się na Jasona, który stracił równowagę. Cofnął się chwiejnie, uderzył plecami w ścianę, zdołał jednak wyprowadzić mocny cios w twarz. Jego przeciwnik osłonił się, odpowiedział uderzeniem w splot słoneczny. Bourne się skulił i zarobił drugie, w bok głowy.

Opadł na kolana. Z tej pozycji wyraźnie widział, jak napastnik wyciąga nóż, jak bierze zamach. Skulił się, odchylił. Morderca atakował, nie tnąc, lecz próbując pchnąć. Dostał mocny cios z prawej; trzask pękającej kości policzkowej wydawał się bardzo głośny. Wściekły napastnik zmienił taktykę. Ciął szeroko, ostrze noża przecięło koszulę i ciało. Trysnęły krople krwi, jak korale nawleczone na niewidzialną nitkę.

Bourne odrzucił go potężnym ciosem wprost na wózek, na którym leżał Tarkanian budzący się powoli z wywołanego lekami oszołomienia. Jego przeciwnik sięgnął po pistolet z tłumikiem. Jason zwarł się z nim; jedyne, co mu pozostało, to uniemożliwić zabójcy wymierzenie i oddanie strzału.

Muzułmanin zdarł z oczu mające je ochraniać bandaże, zamrugał półprzymkniętymi oczami, rozejrzał się.

— Co tu się, do diabła, dzieje? — Spojrzał na uzbrojonego bandytę. — Powiedziałeś mi, że Bourne nie żyje.

Morderca był zbyt zajęty walką, by mu odpowiedzieć. Zorientował się już, że broń palna nie spełni swojej funkcji, więc rzucił pistolet i kopnął go do kąta. Znów spróbował noża, ale najwymyślniejsze finty na nic mu się nie przydały. Jego kolejny atak został odparty.

Tarkanian usiadł. Ześlizgnął się z wózka. Ciągle miał kłopoty z mówieniem. Opadł na kolana i na czworakach ruszył do kąta, w którym spoczął pistolet.

Napastnik trzymał Bourne'a za kark. Próbował uwolnić nóż, był gotów uderzyć w żołądek.

— Odsuń się. — Tarkanian wymierzył do dwóch zmagających się mężczyzn. — Muszę mieć czysty strzał.

Mężczyzna usłyszał i zrozumiał. Nasadę prawej ręki wparł w gardło Bourne'a, zaczął go dusić. Odchylił się nagle. W momencie kiedy mułmanin pociągnął za spust, Bourne uderzył napastnika obiema dłońmi w nerki. Usłyszał jęk, odwrócił bezradnego przez chwilę przeciwnika, osłonił się nim. Ciche Kasznięcie było dowodem na to, że kula trafiła go w pierś.

Muzułmanin zaklął, wymierzył ponownie. Jednocześnie Bourne wyszarpnął nóż z bezwładnej dłoni, rzucił nim ze śmiertelną celnością. Siła uderzenia poderwała Tarkaniana w powietrze. Padł na wznak.

Bourne odepchnął bezwładne ciało, Podszedł do muzułmanina konającego w kałuży krwi. Nóż wbił się w jego pierś aż po rękojeść. Nie było wątpliwości: ostrze przebiło płuco. Lada chwila ten człowiek udusi się własną krwią.

Tarkanian spojrział na niego i... roześmiał się.

— Już jesteś martwy — powiedział.

Rozdział 10

Rob Batt załatwił sprawę przez generała Kendalla, zastępcę LaValle'a. W ten sposób zyskał dostęp do kilku wybranych agentów Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Żadnego kongresowego nadzoru, żadnego zamieszania, żadnego kręcenia. Jeśli chodzi o rząd federalny, ci ludzie po prostu nie istnieli, chyba że jako personel pomocniczy Pentagonu.. Oficjalnie siedzieli w pokojach bez okien, zanurzonych głęboko w trzewiach potwora, i przekładali papiery z kupki na kupkę.

Tajne służby tak właśnie powinny funkcjonować, powtarzał sobie, wyjaśniając szczegóły tajnej operacji ośmiu młodym ludziom siedzącym na ustawionych w półkole krzesłach w jednej z sal odpraw Pentagonu, do której dostęp Batt również zawdzięczał Kendallowi. Żadnego nadzoru i nie trzeba się tłumaczyć przed wścibskimi komisjami Kongresu.

Jego plan był tak prosty jak niemal wszystkie opracowywane przez niego plany. Może u innych cała para idzie w gwizdek, ale nie u niego, nie ma mowy. Kendall coś tam narzekał, że to „za słodkie”, ale według Batta im bardziej coś się rozbudowywało, tym więcej rzeczy mogło pójść nie tak. Poza tym prostych planów się nie pieprzy, a jeśli zachodzi taka konieczność, można je przebudować i wprowadzić w życie w ciągu

zaledwie kilku godzin, nawet z nowymi ludźmi. Ale fakt faktem, polubił tych agentów NSA, być może dlatego, że wszyscy byli wojskowymi. Chwyłali w lot, uczyli się jeszcze szybciej, nie trzeba było mówić dwa razy tego samego. Wszyscy bezbłędnie zapamiętywali wszystko, co usłyszeli, i niczego nie trzeba im było powtarzać.

Najlepsze w nich było jednak co innego. Jako żołnierze wykonywali rozkazy, o nic nie pytając i niczego nie kwestionując. W tym najbardziej różnili się od agentów Centrali Wywiadu, choćby takich jak Soraya Moore, pewnych, że zawsze wiedzą lepiej, co zrobić i jak. I jeszcze jedno: ci źli chłopcy nie wahali się doprowadzać spraw do końca. Nie przerażała ich konieczność pociągnięcia za spust. Wystarczy właściwy rozkaz, a zabijają każdego bez namysłu i bez żalu.

Batt czuł swego rodzaju uniesienie na myśl o tym, że nikt nie zagląda mu przez ramię, że z tego, co robi, nie będzie musiał tłumaczyć się nikomu, nawet nowej pani dyrektor. Znalazł się na całkowicie nowym terenie należącym tylko do niego; tu mógł podejmować ważne decyzje, planować operacje terenowe i wcielać je w życie, wiedząc z całą pewnością, że będzie popierany aż do końca, że żadna z jego operacji nie wybuchnie mu w twarz, że nigdy nie stanie przed komisją kongresową, nigdy nie zostanie zhańbiony. Przedstawiał więc misję zarumienioną, z mocno bijącym sercem. Uczucie rozgrzewające mu całe ciało mógł niemal nazwać podnieceniem.

Próbował nie myśleć o rozmowie z sekretarzem obrony, nie myśleć o Lutherze LaValle'u kierującym Typhonem. Miał robotę i musiał ją wykonać. Rozpaczliwie nie chciał wypuszczać z ręki tak potężnej broni antyterrorystycznej, ale Halliday nie zostawił mu wyboru.

Drobnymi krokami do przodu. Jeśli istnieje jakiś sposób na pokrzyżowanie szyków Hallidayowi i LaValle'owi, to on znajdzie go z pewnością. Na razie ma co robić. Nikt nie spieprzy mu planu schwywania Jasona Bourne'a. Wiedział to z całą pewnością. To tylko kwestia

godzin. Złapie go i wsadzi w takie miejsce, z którego nawet Houdini by się nie wydostał.

Kiedy Soraya Moore podeszła do drzwi gabinetu Veroniki Hart, wychodziło z niego właśnie dwóch mężczyzn: Dick Symes, szef wywiadu, i Rodney Feir, szef wsparcia w terenie. Symes był niski, grubutki, a jego okrągła głowa o rumianej twarzy wyglądała tak, jakby wyrastała wprost z ramion. Jasnowłosy Feir, znacznie od niego młodszy, atletycznie zbudowany, miał twarz do złudzenia przypominającą zamknięty sejf bankowy. Obaj powitali ją serdecznie, ale uśmiech Symesa był wręcz odstręczająco protekcyjalny.

— A więc zamierzasz stawić czoła lwicy w jej legowisku? — zartował Feir.

— Jest w bardzo złym humorze? — spytała Soraya. Feir wzruszył ramionami.

— Za wcześnie, żeby wyrokować.

— Musi minąć trochę czasu, nim dowiemy się, czy zdoła, unieść ciężar świata na tych jakże delikatnych ramionach. — Symes nadal się uśmiechał. — Już raz czekaliśmy, pani dyrektor.

Soraya rozluźniła mięśnie szczęk, odpowiedziała mu uśmiechem.

— Panowie, jesteście dla mnie zbyt uprzejmi.

— Mam nadzieję, że nasza szczerość przyniosła pani wiele radości — roześmiał się Feir.

Soraya obserwowała, jak odchodzili, tacy różni, a podobni do siebie jak krople wody, po czym odwróciła się i weszła do legowiska lwicy.

W odróżnieniu od swych poprzedników Veronica Hart prowadziła politykę otwartych drzwi, przynajmniej wobec najwyższej postawionych podwładnych. Rodziło to poczucie wspólnoty i zaufania, a tych — powtarzała Sorai przy każdej okazji — w przeszłości bardzo Centrali brakowało. Prawdę mówiąc, z gigantycznej ilości elektronicznych danych,

nad którymi ślęczała przez ostatnie kilka dni, coraz jaśniej wynikało, że to syndrom obłądzonej twierdzy, któremu ulegali poprzedni dyrektorzy CI, rodził atmosferę cynizmu i wyobcowania kulturowaną z kolei przez szefów dyrektoriatów. Sam Stary był zwolennikiem dawnych zasad; pozwalał siedmiu walczyć ze sobą nawzajem każdą dostępną bronią, od obłudy do wbitego w plecy noża. Jeśli o nią chodzi, były to zachowania pod każdym względem niedopuszczalne.

Veronica była bowiem produktem nowej ery. Ery, której hasło brzmiało: „Współpraca”. Wydarzenia 2001 roku bardzo dobitnie udowodniły, że — przynajmniej jeśli chodzi o instytucje wywiadowcze — konkurencja oznacza śmierć. Jeśli chodzi o Sorayę, sytuacja zdecydowanie zmieniała się na lepsze.

— Jak długo nad tym ślęczysz?

Veronica wyjrzała przez okno.

— To już rano? Wysłałam Roba do domu przed dobrymi kilkoma godzinami.

— Rano minął jakiś czas temu. — Soraya się uśmiechnęła. — Co powiesz na lunch? Musisz w końcu wyjść z tego pokoju.

Veronica rozłożyła ręce. Wskazała komputer; obraz na monitorze nie pozostawiał wątpliwości, co jeszcze ją czeka.

— Tyle jest do zrobienia...

— Nic nie zrobisz, jeśli zejdziesz mi tu z głodu i odwodnienia.

— W porządku. Kantyna...

— Taki piękny dzień. Myślałam raczej o mojej ulubionej restauracji.

Słyszając nutę ostrzeżenia w jej głosie, Veronica spojrzała na Sorayę nieco uważniej. Tak, oczywiście, dyrektorka Typhona bardzo chciała z nią o czymś porozmawiać, koniecznie poza siedzibą Centrali Wywiadu. Skinęła głową.

— To chyba dobry pomysł. Tylko wezmę płaszcz.

Soraya wyjęła telefon komórkowy, który pobrała z zasobów Centrali dziś rano. Poprzedni znalazła w rynsztoku obok samo chodu, naprzeciw

domu, w którym mieszkała Moira Trevor. Pozbyła się go w biurze. Szybko wypisała SMS-a. Niemal w tej samej chwili odezwała się komórka Veroniki. Na wyświetlaczu widniała krótka wiadomość: „Van p ulica”. Furgonetka po przeciwnej stronie ulicy.

Veronica Hart złożyła telefon. Zaczęła opowiadać jakąś długą i najwyraźniej wesołą historię, bo kiedy skończyła, obie kobiety roześmiały się wesoło. Potem podyskutowały jeszcze na temat obuwia, rozważyły wady i zalety skóry w porównaniu z wadami i zaletami zamsszu, pokłóciły się o to, które buty od Jimmy’ego Choo by kupiły, gdyby zarabiałały tyle, żeby w ogóle było je stać na tak ekstrawaganckie obuwie. A przy tym przez cały czas obserwowały półciężarówkę, choć nikt by nie powiedział, że ją w ogóle zauważyły.

W pewnej chwili obie skrzyły w boczną uliczkę; samochód nie mógł tam za nimi wjechać, zbytńio rzucały się w oczy. Wychodziły powoli z zasięgu jego elektroniki.

— Przyszłaś z sektora prywatnego — powiedziała Soraya. — Jednego nie rozumiem: dlaczego zrezygnowałaś z naprawdę dużych pieniędzy, żeby zostać dyrektorką Centrali Wywiadu. To taka niewdzięczna praca.

— A ty dlaczego zgodziłaś się zostać dyrektorką Typhona?

— Bo dla mnie to był wielki awans. Nie tylko pod względem prestiżowym, finansowym też

— Ale nie to zdecydowało, prawda?

Soraya skinęła głową.

— Nie to — przyznała. — Czuję się zobowiązana wobec Martina Lindrosa. Tkwiłam w tym od początku. Jestem półkwi Arabką i pewnie dlatego Martin szukał mojej rady przy jego tworzeniu i rekrutacji personelu. Zamierzał uczynić z Typhona narzędzie zbierania informacji wywiadowczych różne od wszystkich istniejących. Potrzebował ludzi rozumiejących, jak myślą i Arabowie, i muzułmanie. Uważał, i tu całkowicie się z nim zgadzałam, że przeróżne organizacje terrorystyczne można zwalczyć wyłącznie wtedy, kiedy zrozumie się, co tych ludzi

motywuje. Musisz to pojąć, bo tylko wtedy potrafisz przewidywać ich działania.

Hart skinęła głową. Jej pociągła twarz nie wyrażała nic, choć kobieta głęboko pograżyła się w myślach.

— Moje motywy były bardzo podobne do twoich. Cyniczne podejście prywatnych agencji wywiadowczych powoli doprowadzało mnie do mdłości. Mam na myśli nie tylko Black River, wszystkie firmy obchodzi tylko to, ile forsy można wyciągnąć z całego tego bałaganu na Środkowym Wschodzie. Kiedy wybucha wojna, rząd rozbija świnkę skarbonkę, ciska świeżo wydrukowanymi pieniędzmi gdzie się da, jakby pieniądze załatwiały wszystko. Tak czy inaczej, zainteresowani mogą łupić i kraść, ile tylko się im podoba. Co się stało w Iraku, pozostaje w Iraku. Nikt nikogo za nic nie skaże. Wszyscy są z góry zabezpieczeni przed konsekwencjami ściągnięcia nieszczęścia na Bogu ducha winnych ludzi.

Soraya skręciła do sklepu z ubraniami. Zaczęły przebierać w bluzeczkach na ramiączkach; dobra przykrywka dla tak poważnej rozmowy.

— Przeszłam do CI, bo nie mogłam zmienić zasad panujących w Black River, a czułam, że tu mogę spowodować jakieś zmiany. Prezydent dał mi mandat na zmianę organizacji w stanie upadku. Centrala już dawno zeszła na złą drogę.

Wyszły na ulicę, przyspieszyły kroku. Przeszły przecnicę, skręciły w prawo, później w lewo, na następnym skrzyżowaniu znów w prawo, minęły kolejne i ponownie poszły w lewo. Weszły do dużej, zatłoczonej restauracji. Idealne miejsce! Dobiegające zewsząd głosy, rozmowy na wszelkie możliwe tematy, tu nikt nie będzie mógł ich podsłuchać.

Na prośbę Veroniki zaprowadzono je do stolika z tyłu, przy ścianie. Miały stamtąd doskonałą widoczność na całe wnętrze oraz na drzwi wejściowe, mogły bez najmniejszego problemu sprawdzić wzrokiem każdego wchodzącego.

— Dobra robota — powiedziała Hart, gdy tylko zajęły miejsca. — Widzę, że już to ćwiczyłaś.

— Raz i drugi. Kiedy pracowałam z Jasonem Bourne'em, parę razy musiałam gubić ogon Centrali.

— I myślisz — skryła się za wielkim menu, zza którego przyglądała się Sorai — że to był wóz Centrali?

— Nie.

— No to się zgadzamy.

Zamówiły pstrąga, rzecznego, nie z hodowli, sałatkę cesarską i wodę mineralną. Na zmianę obserwowały wchodzących.

— Przechwyciliśmy dziwne rozmowy prowadzone w ciągu kilku ostatnich dni — powiedziała Soraya w połowie sałatki. — Nie sądzę, by określenie „alarmujące” było mocno przesadzone.

Veronica natychmiast odłożyła widelec.

— Jak to?

— Wydaje się całkiem prawdopodobne, że w ostatnim stadium przygotowań znajduje się plan ataku na terytorium Ameryki.

Zachowanie Hart zmieniło się w jednej chwili. Widać było, że ta informacja nią wstrząsnęła.

— To co, do diabła, tu robimy? — spytała gniewnie. — Powinniśmy być w biurze, tam przynajmniej mogłabym zmobilizować ludzi...

— Zaczekaj, aż powiem ci więcej — powstrzymała ją Soraya. — Pamiętaj, że prawie wszystkie linie i częstotliwości monitorowane przez Typhona znajdują się za granicą. W odróżnieniu od skanowanych przez inne agencje pogaduszek nasze zainteresowania są wprawdzie znacznie bardziej wybiórcze, ale z tego, co widziałam, także znacznie bardziej dokładne. Sama doskonale wiesz, ile zazwyczaj odbiera się szumu w takich skanach. Przy naszych podsłuchach terrorystów jest zupełnie inaczej. Oczywiście sprawdzamy uzyskane w ten sposób informacje, i to bynajmniej nie raz, ale póki nie zdobędziemy odpowiednich dowodów, przyjmujemy, że są prawdziwe. Poza tym mamy dwa problemy i z tego powodu angażowanie Centrali w tej chwili nie byłoby najmądrzejszym posunięciem.

Do restauracji weszły trzy rozplotkowane kobiety. Kierownik sali powitał je jak dobre znajome, zaprowadził do okrągłego stolika pod oknem. Panie rozsiadły się, nie przestając rozmawiać.

— Po pierwsze, znamy granice czasowe. To znaczy mamy tydzień, maksimum dziesięć dni. Niestety, nie wiemy prawie nic o celu; wyłapałiśmy tyle, że jest duży i skomplikowany, zakładamy więc, że chodzi o budynek. Opierając się na naszych doświadczeniach z muzułmanami, przyjmujemy, że ma wielkie znaczenie zarówno ekonomiczne, jak i symboliczne.

— Ale lokalizacja pozostaje nieznana?

— Wschodnie Wybrzeże, najprawdopodobniej Nowy Jork.

— Nic z tego nie przeszło przez moje biurko, a to oznacza, że siostrzane agencje nie wpadły na żaden trop.

— Właśnie o tym mówię. To tylko nasza sprawa. Typhona. Po to zostaliśmy stworzeni.

— Ciągle czekam, aż mi wyjaśnisz, dlaczego mam nie zawiadomić Bezpieczeństwa Wewnętrznego i nie mobilizować CI.

— Ponieważ ta informacja pochodzi z zupełnie nowego źródła. Czy ty naprawdę sądzisz, że BW czy NSA przyjęłyby nasze informacje, gdybyśmy je im przekazały tak po prostu? Będą potrzebować potwierdzenia i po pierwsze, ich źródła nie potwierdzą niczego, a po drugie, zaczną błędzić po omacku, zdeptując przy okazji te ścieżki, które sobie wydeptaliśmy.

— Tu możesz mieć rację. Przecież są mniej więcej tak subtelni jak słoń na Manhattanie.

Soraya pochyliła się nad stolikiem.

— Problem w tym, że przygotowująca atak grupa jest nam zupełnie nieznana. Oznacza to, że nie wiemy nic o jej motywacji, nastawieniu umysłowym, metodach działania.

W drzwiach pokazali się dwaj mężczyźni. Szli jeden za drugim. Mimo cywilnych ubrań na pierwszy rzut oka rozpoznawało się w nich żołnierzy. Usiedli przy osobnych stolikach, w dwóch przeciwległych kątach sali.

— NSA — powiedziała Veronica.

Soraya zmarszczyła brwi.

— Niby czemu ludzie z NSA mieliby nas śledzić?

— Zaraz ci wszystko wyjaśnię, załatwmy najpierw to, co najpilniejsze. A więc... twierdzisz, że mamy do czynienia z całkowicie nieznaną, niepowiązaną organizacją terrorystyczną, zdolną do zaplanowania ataku na naprawdę dużą skalę? Mnie wydaje się to trochę naciągane.

— To pomyśl, co by na ten temat powiedzieli szefowie dyrektoriatów. W dodatku nasi agenci nie mają wątpliwości: zachowanie absolutnej tajemnicy to jedyny sposób na zdobycie dodatkowych danych. Jeśli ci ludzie zorientują się, że się mobilizujemy, po prostu odłożą operację na korzystniejszą porę.

— Przyjmując znane nam granice czasowe... czy mogą przerwać lub przełożyć akcję? W tak późnym stadium?

— Nam by się nie udało. — Soraya uśmiechnęła się szyderczo. — Ale terroryści nie muszą walczyć z infrastrukturą i biurokracją, więc kto wie? Największym kłopotem z ich lokalizacją i likwidacją jest ta cholerna nieograniczona elastyczność. Martin chciał zaszczyć tę ich wyjątkową metodologię Typhonowi. Na to właśnie dostałam mandat.

Kelner zabrał niedojedzone sałatki, przyniósł zamówioną rybę. Hart poprosiła o drugą butelkę wody mineralnej. Czowała suchość w ustach. Znalazła się w nieciekawej sytuacji: z jednej strony NSA, z drugiej samodzielna organizacja terrorystyczna, gotowa przypuścić atak na jakiś nieokreślony, ale wielki budynek na Wschodnim Wybrzeżu. Między Scyllą a Charybdą. Jeśli choćby otrze się o którąś, obojętnie którą, jej kariera w Centrali Wywiadu skończy się, nim się zaczęła. Nie wolno jej do tego dopuścić.

Nie ma zamiaru do tego dopuścić!

— Przepraszam na chwilę — powiedziała, wstając.

Soraya znów rozejrzała się po sali, ale tak, by jednocześnie, nieprzerwanie, co najmniej jeden z agentów pozostawał w jej polu widzenia. Dostrzegła, jak ten, którego obserwowała, nieruchomieje na widok

wybierającej się do toalety dyrektor CI. Wstał i właśnie miał pójść za nią, kiedy Veronica zawróciła. Widząc to, on też wrócił na miejsce. Hart usiadła. Spojrzała Sorai w oczy.

— Ponieważ uznałaś za stosowne przekazać mi informacje wywiadowcze w restauracji, a nie w biurze, zakładam, że wiesz już, co robić.

— Posłuchaj mnie. Mamy gorącą sytuację, za to brakuje nam informacji pozwalających choćby na mobilizację zasobów, nie wspominając o działaniu. W niespełna tydzień musimy dowiedzieć się wszystkiego o grupie terrorystycznej bazującej Bóg jeden wie gdzie i mającej Bóg jeden wie ilu członków. To nie czas ani miejsce na stosowanie zwyczajowych protokołów. Nic nam nie dadzą. — Soraya spojrzała na podaną im rybę, jakby była to ostatnia rzecz, jaką miałyby ochotę włożyć do ust. Podniosła wzrok. — Potrzebujemy Jasona Bourne'a. On potrafi ich znaleźć. My zajmiemy się resztą.

Veronica spojrzała na nią, jakby miała do czynienia z wariatką.

— Nie ma mowy.

— Sprawa jest tak pilna, że tylko on ma szansę wytropić tych ludzi i ich powstrzymać.

— Gdyby rozeszło się, że korzystam z usług Bourne'a, natychmiast wyleciałabym z roboty.

— Tylko że jeśli nie podejmiesz działań w związku z otrzymanymi informacjami i jeśli ta grupa przeprowadzi atak, wylecisz z roboty, nim zdążysz odetchnąć.

Pani dyrektor parsknęła śmiechem.

— Naprawdę jesteś niesamowita. Chcesz, żebym autoryzowała skorzystanie z pomocy agenta, który się zerwał ze smyczy, faceta w najlepszym razie niezrównoważonego, którego większość najwyższych rangą pracowników CI uważa za niebezpiecznego właśnie dla organizacji, w misji mogącej mieć tragiczne konsekwencje dla kraju i istnienia Centrali takiej, jaką znamy? Tego chcesz?

Soraya drgnęła. To były skrajnie niepokojące słowa.

— Zaraz, chwileczkę, o co chodzi? Co to znaczy „istnienie Centrali takiej, jaką znamy”?

Veronica spojrzała najpierw na jednego, potem na drugiego agenta NSA. Odetchnęła głęboko i opowiedziała o wszystkim, co zdarzyło się od chwili, gdy dostała wezwanie do Gabinetu Owalnego, w którym oprócz prezydenta zastała Luthera LaValle’a i generała Kendalla.

— Po tym, jak przekonałam prezydenta — zakończyła — LaValle mnie zaczepił. Powiedział, że jeśli nie będę dla niego miła, zaatakuje, strzelając ze wszystkich dział. On chce przejąć Centralę, rozumiesz? Chce ją włączyć w swe stale rozrastające się imperium usług wywiadowczych. Ale nie z LaValle’em walczymy, tylko z jego szefem, sekretarzem obrony Hallidayem. Cały ten plan wręcz cuchnie Budem Hallidayem. Black River miała z nim do czynienia, kiedy tam pracowałam, i uwierz mi, to nie było miłe. Jeśli mu się uda, jeśli Pentagon przejmie CI, to możesz być pewna, że wkroczy armia i zrujnuje wszystko z tą swoją militarną mentalnością.

— No to mamy kolejny powód, żeby wciągnąć w sprawę. Jasona. — Ton głosu Sorai nie pozostawiał wątpliwości: tę kwestię należało rozstrzygnąć natychmiast. — Odwali robotę, której nie potrafią wykonać nasi agenci. Możesz mi wierzyć, ja z nim pracowałam dwukrotnie. Cokolwiek mówią o nim w Centrali, to kłamstwo. Jasne, tacy zupacy jak Rob Batt nienawidzą go z całego serca. Czemu tu się dziwić? Jason to wolny duch i właśnie tej wolności najbardziej mu zazdroszczą. By już nie wspomnieć o zdolnościach, o których oni mogą tylko marzyć.

— Posłuchaj mnie. W wielu raportach znajdujemy opinię, że miałś z nim kiedyś... romans. Proszę, powiedz mi prawdę. Muszę wiedzieć, czy motywuje cię wyłącznie interes kraju i Centrali Wywiadu.

Soraya wiedziała, że to pytanie musi paść, i była na nie przygotowana.

— A myślałam, że Martin położył kres tym biurowym plotom. Nie

ma w nich ani krzty prawdy! Zaprzyjaźniliśmy się, kiedy byłam szefem placówki w Odessie. Dawno temu, on tego nie pamięta. Kiedy w zeszłym roku wrócił ratować Martina, nawet mnie nie poznał.

— W zeszłym roku znów byłeś z nim w terenie.

— Dobrze nam się razem pracuje. Nic więcej. — Zabrzmiało to bardzo stanowczo.

Veronica Hart nie zaprzestała obserwacji facetów z NSA. Nie przeszkadzało jej to w rozmowie.

— Nawet gdybym wierzyła, że to, co proponujesz, przyniesie spodziewane zyski, nic z tego. On nigdy nie zgodzi się na współpracę. Wszystko, co o nim słyszałam i czytałam od chwili podjęcia pracy dla Centrali, dowodzi, że Bourne nas po prostu nienawidzi.

— To prawda. Ale kiedy pozna naturę zagrożenia, chyba uda mi się go przekonać, żeby zgodził się na współpracę jeszcze ten jeden raz.

Veronica potrząsnęła głową.

— No... nie wiem. Sama rozmowa z nim to ryzyko, którego wolałabym nie podejmować.

— Pani dyrektor, jeśli nie wykorzysta pani tej okazji, nie wykorzysta pani żadnej. Będzie za późno.

Decyzja nie należała do najprostszych: iść prostą, sprawdzoną ścieżką albo podjąć działania niekonwencjonalne. Nie, więcej niż niekonwencjonalne. Szalone.

Niemniej... coś trzeba było zrobić.

— Moim zdaniem to miejsce już wykorzystaliśmy — powiedziała, nagle zmieniając temat. Skinęła na kelnera. — Moja droga — zwróciła się do Sorai — musisz koniecznie przypudrować nos. A kiedy go już przypudrujesz, proszę, zadzwoń na policję miejską. Z automatu, sprawdziałam, działa. Powiedz im, że w tej restauracji jest dwóch uzbrojonych mężczyzn. Potem wróć do stolika, ale bądź gotowa do natychmiastowego wyjścia.

Soraya uśmiechnęła się szelmowsko, choć bardzo dyskretnie, wstała i poszła do toalety. Do stolika podszedł kelner, spojrzął, zmarszczył brwi.

— Czyżby pstrąg paniom nie smakował?

— Wręcz przeciwnie, był doskonały — uspokoiła go Veronica, a kiedy zaczął sprzątać talerze, dyskretnie wsunęła mu do kieszeni pięć dwudziestodolarowych banknotów. — Chodzi o tego mężczyznę, tam. Ma szeroką twarz i bary futbolisty.

— Oczywiście, widzę go, proszę pani.

— To proszę się potknąć, kiedy będzie pan obok niego przechodził.

— Jeśli to zrobię, pstrągi wylądują mu na kolanach.

— No właśnie. — Veronica uśmiechnęła się uroczo.

— Może mnie to kosztować pracę.

— Proszę się nie obawiać. — Pokazała mu legitymację. — Porozmawiam z pańskim szefem.

Kelner skinął głową. Odwrócił się. Soraya wróciła do stolika. Hart rzuciła na stół kilka banknotów, ale wstała dopiero wtedy, gdy kelner wpadł na chłopca sprząającego ze stołów, zatoczył się, puścił talerze, a agent skoczył na równe nogi. Wyszły z restauracji szybkim, energicznym krokiem. Ofiara kelnerskiej niezdarności robiła koszmarną awanturę, kelner uwijał się wokół, niej, czyszcząc ubranie serwetkami, sąsiedzi gadali jeden przez drugiego i gestykulowali, ci najbliżsi zaś relacjonowali własne wersje wydarzeń. Chaos rozprzestrzenił się w zadowalającym tempie, drugi z agentów NSA ruszył na pomoc towarzyszowi, ale kiedy zobaczył, że obserwowane zbliżają się do niego, zmienił zamiar.

Veronica wraz z przyjaciółką wychodziły już na ulicę. Poszedł za nimi... i wpadł w ramiona dwóch potężnych policjantów, którzy właśnie weszli do środka.

— Hej, o co chodzi?! — krzyknął do nich.

Z piskiem opon hamowały kolejne dwa radiowozy. Policjanci wyskakiwali z nich jeszcze w biegu. Hart i Soraya trzymały w dłoniach legitymacje.

— Nie możemy się spóźnić na spotkanie — powiedziała Veronica ostro, autorytatywnie. — Sprawy bezpieczeństwa narodowego.

Te słowa podziały jak zakłęcie. „Sezamie, otwórz się”. Gliniarze puścili je natychmiast.

— Fajne. — Na Sorai zrobiło to spore wrażenie. Veronica skinęła głową w podziękowaniu za komplement, ale twarz miała poważną. Zwycięstwo w tak małej potyczce nic nie znaczyło, tyle że sprawiało chwilową przyjemność. Musiała przygotować się do wojny.

Przeszły kilka przecznic i kiedy upewniły się, że nie śledzą ich już cwaniaczki LaValle’a, Soraya powiedziała:

— Przynajmniej pozwól mi zorganizować spotkanie z Bourne’em. Dowiemy się, co o tym sądzi.

— Szczerze wątpię, czy to się uda.

— Jason mi ufa. Zrobi, co powinien zrobić. — Soraya była pewna swego. — Jak zawsze.

Veronica się zamyśliła. Scylla i Charybda nie dawały o sobie zapomnieć. Utopić się czy spłonąć, co lepsze? Ale nawet teraz nie żałowała, że została dyrektorką Centrali. Na tym etapie życia jednemu nie potrafiła się oprzeć: wyzwaniu. A nie umiała wyobrazić sobie większego niż to.

— Bez wątplenia wiesz — powiedziała — że Bourne chce dostać zapisy rozmów między Lindrosem a Moirą Trevor. — Przerwała, przyjrzała się Sorai, sprawdzając, jakie wrażenie wywarło na niej imię najnowszej przyjaciółki Jasona Bourne’a. Twarz przyjaciółki nie zmieniła wyrazu. — Wyraziłam zgodę. Spotykam się z nim dzisiaj po południu, o piątej. — Przerwała, widać było, że ciągle nie podjęła decyzji. Nagle energicznie skinęła głową. — Pójdziemy razem. Zobaczymy, co powie na twoje najnowsze odkrycie.

Rozdział 11

— Wspaniała robota — zachwycił się profesor Specter. — Doprawdy, brak mi słów, żeby opisać, jak bardzo zaimponowała mi twoja reakcja i w zoo, i w szpitalu.

— Michaił Tarkanian nie żyje. — Bourne nie sprawiał wrażenia zadowolonego. — Nie chciałem, żeby tak się stało.

— A jednak. — Opuchlizna schodziła powoli z twarzy profesora, za to sińce nabrały jaskrawych kolorów. — Znów jestem twoim dłużnikiem, drogi Jasonie. Wydaje się oczywiste, że Tarkanian był zdrajcą. Gdyby nie ty, doprowadziłby do tego, że byłbym torturowany, a po torturach zamordowany. Wybacz więc, że po nim nie płacę.

Poklepał przyjaciela po plecach. Spacerowali w tej chwili po ogrodzie posiadłości Spectera, przechodzili pod wierzbą płaczącą. W polu widzenia mieli asekurujących ich młodych mężczyzn uzbrojonych w karabiny szturmowe. Biorąc pod uwagę wydarzenia tego dnia, trudno było dziwić się ich obecności. Co więcej, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, dzięki nim mógł pożegnać profesora z lekkim sercem.

Stojąc pod prawdziwą płataniną delikatnych żółtych gałązek, obaj mężczyźni zapatrzyli się na staw, lustro wody płaskie jak arkusz stali.

W powietrze poderwało się rozkrzyczane stadko gwarków i skręciło w stronę zachodzącego słońca. Ich skrzydła rozbłysły wszystkimi barwami tęczy.

— Jak dobrze znasz Moskwę? — spytał Specter. Bourne zdążył już zrelacjonować mu słowa Tarkaniana; zgodzili się obaj, że poszukiwania morderców Piotra należy rozpocząć właśnie tam.

— Dość dobrze. Byłem tam parę razy.

— Mimo wszystko. Mam w Moskwie przyjaciela, nazywa się Lew Baronow. Wyjedzie po ciebie na Szeremietiewo. Załatwi wszystko, co może ci być potrzebne. Łącznie z bronią.

— Pracuję sam. Nie potrzebuję i nie chcę partnera.

Specter skinął głową ze zrozumieniem.

— Lew ma cię tylko wspierać. Obiecuję, że nie będzie przeszkadzał. — Przerwał, zamyślił się. — Ale jedno mnie martwi, Jasonie. Twój związek z panią Trevor. — Odwrócił się, stanął tyłem do domu. Zniżył głos. — Nie zamierzam wtrącać się w twoje prywatne życie, skoro jednak ruszasz za morze...

— Oboje ruszamy — przerwał mu Bourne. — Wieczorem Moira odlatuje do Monachium. Rozumiem pański niepokój, profesorze, ale to najtwardsza ze znanych mi dziewczyn. Potrafi się o siebie zatroszczyć.

Profesor skinął głową. Nie ukrywał ulgi.

— No to wszystko w porządku. Pozostaje tylko kwestia informacji o Ikupowie. — Wyciągnął z kieszeni niewielki pakiet. — Tu masz bilety lotnicze do Moskwy oraz dokumenty, których będziesz potrzebował. Pieniądze już na ciebie czekają. Lew wie, w którym banku, zna numer skrytki bankowej i powiązanego z nią konta. Fałszywe dokumenty też są u niego. Konto zostało założone na tamto nazwisko, nie twoje.

— To wymagało dłuższego planowania.

— Wszystko załatwiłem nocą, z nadzieją, że jednak zgodzisz się pojechać. Pozostaje nam już tylko jedno: musimy zrobić ci zdjęcie do paszportu.

— A jeśli powiem: „nie”?

— Mamy już ochotnika. — Specter uśmiechnął się nieśmiało. — Ale ja wierzyłem, Jasonie. I moja wiara została nagrodzona.

Odwrócili się, ruszyli w stronę domu. Gospodarz przystanął nagle.

— I jeszcze jedno. Jeśli chodzi o grupperówkę, tamtejsze mafijne rodziny, to sytuacja jest zmienna, a w tej chwili napięcie doszło do punktu kulminacyjnego. Kazachowie i Azerowie rywalizują o monopol w handlu narkotykami. To gra o niewyobrażalną stawkę, miliardy dolarów. Więc... nie wchodź im w drogę. Jeśli dojdzie do jakiegoś kontaktu, nie zaczepiaj. Nadstaw drugi policzek. Tam tylko w ten sposób da się przeżyć.

— Zapamiętam to.

Z domu wybiegł jeden z pracowników profesora.

— Jest tu kobieta, Moira Trevor. Chce się zobaczyć z panem Bourne'em — powiedział po turecku z ciężkim niemieckim akcentem.

Specter spojrział na Jasona, unosząc brwi. Był zaskoczony, a może zaniepokojony. Albo jedno i drugie naraz. Bourne wzdrygnął ramionami.

— Nie miałem wyboru — wyjaśnił. — Muszę się z nią zobaczyć przed jej wyjazdem, a po tym, co zaszło rano, postanowiłem zostać tu do ostatniej chwili.

Gospodarz skinął głową ze zrozumieniem.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, Jasonie. Doprawdy, bardzo wdzięczny. — Wskazał drogę zapraszającym gestem. — Idź, proszę, spotkaj się z przyjaciółką. Przygotowania możemy zakończyć później.

Spotkali się w holu wejściowym.

— Jadę na lotnisko — powiedziała Moira. — Za dwie godziny mam samolot.

Szybko przekazała mu wszystkie istotne informacje.

— Ja lecę innym lotem — wyjaśnił Bourne. — Muszę coś załatwić dla profesora.

Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz rozczarowania... i znikł niemal natychmiast.

— Oczywiście. Musisz robić to, co dla ciebie najlepsze.

Jason wyczuł w jej głosie dystans, jakby między nimi wyrosła szklana ściana.

— Odchodzę z uniwersytetu — oznajmił. — W tej sprawie miałaś rację.

— Kolejna dobra wiadomość.

— Moiro, nie chcę, żeby moja decyzja skomplikowała nasze sprawy.

— To się nigdy nie zdarzy, Jasonie. Obiecuję. — Pocałowała go w policzek. — Wiesz, tam w Monachium mam się spotkać z paroma osobami. Specjaliści od bezpieczeństwa, nawiązałam z nimi takie nieformalne kontakty. Dwaj Niemcy, Żyd z Izraela i niemiecki muzułmanin, z którego będę pewnie miała największy pożytek.

W holu pojawiło się dwóch młodych ludzi Spectera, przeszli więc do jednego z dwóch pokojów dziennych. Mosiężny zegar okrętowy stojący na marmurowym kominku wybijał właśnie zmianę wachty.

— Niezłe miejsce jak na dziekana uniwersytetu — zauważyła Moira.

— Profesor pochodzi z bogatej rodziny. Ale nie lubi się tym chwalić.

— Moje usta są zamknięte na wieki. A skoro już o nim mowa... dokąd cię wysła?

— Do Moskwy. Jego przyjaciele mają drobne kłopoty.

— Mafia, co?

— Coś w tym rodzaju.

Lepiej, żeby wierzyła w najprostsze wyjaśnienia, myślał Bourne. Przyglądał się jej twarzy, oświetlonej blaskiem lampy, próbując odczytać malujące się na niej wrażenia. Obłuda nie była mu obca, serce bolało go jednak na myśl, że dziewczyna może nim grać, tak jak podobno

grała Martinem. Kilkakrotnie zastanawiał się dziś nad tym, czy nie wykręcić się przed spotkaniem z panią dyrektor, musiał jednak przyznać sam przed sobą, że znajomość treści jej wątpliwych rozmów stała się dla niego bardzo ważna. Kiedy już pozna dowody, będzie wiedział, jak z nią postępować. Był Martinowi winien odkrycie prawdy o ich stosunkach. A w ogóle nie ma się co oszukiwać: sprawa ta miała także podtekst osobisty. Niedawno ujawnione uczucia, jakie budziła w nim Moira, komplikowały życie wszystkim, a jemu może najbardziej. Dlaczego za przyjemność płaci się tak drogo? — spytał sam siebie z goryczą. Cóż, teraz nie było już odwrotu, musiał lecieć do Moskwy i musiał się dowiedzieć, kim naprawdę jest Moira.

A Moira właśnie przysunęła się do niego, położyła mu dłoń na ramieniu.

— Co się stało, Jasonie? Jesteś taki zmartwiony.

Bourne próbował nie okazać niepokoju. Tak jak Marie ta kobieta miała niesamowitą zdolność odgadywania jego nastrojów, a przecież nikomu innemu nigdy nie udało się odczytać, jego uczuć. Teraz najważniejsze było nie kłamać, bo kłamstwo rozpozna w ułamku sekundy.

— Ta misja jest szalenie delikatna. Profesor już zdążył mnie ostrzec, że wkroczę w sam środek wojny dwóch moskiewskich rodzin.

Moira zacisnęła dłoń.

— Doprawdy, twoja lojalność wobec niego jest godna podziwu. No tak, Martin cenił w tobie przede wszystkim tę cechę. — Zerknęła na zegarek. — Oho! Muszę lecieć.

Podniosła głowę, spojrzała Jasonowi prosto w oczy. Usta miała miękkie, gorące jak topniejące masło. Całowali się długo, bardzo długo.

— Nie martw się, Jasonie — powiedziała na pożegnanie. — Nie należę do kobiet pytających mężczyzn: „Kiedy cię znowu zobaczę?”.

Wyszła, nie czekając, aż odprowadzi ją do drzwi. Chwilę później prychnął budzący się do życia silnik samochodowy. Opony zazgrzytały na żwirze podjazdu prowadzącego do niedalekiej drogi.

Leonid Arkadin obudził się brudny i zeszywniały. Po nocnym koszmarze koszulę miał przepoconą na wylot. Szare światło dnia przenikało przez krzywo wiszące żaluzje. Zatoczył głowę krąg w jedną, potem w drugą stronę, próbując rozluźnić mięśnie karku. Pomyślał, że w tej chwili najbardziej potrzebna mu jest długa, gorąca kąpiel; niestety, hotel dysponował tylko prysznicem. Jednym na piętro.

Obrócił się na bok i stwierdził, że jest sam. Dewra znikła. Usiadł, ześlizgnął się z wygniecionej, wilgotnej pościeli, przeciągnął nasadą dłoni po policzkach szorstkich od niedogolonego zarostu. Ramię pulsowało mu bólem, było spuchnięte i gorące.

Sięgał po klamkę, kiedy drzwi nagle się otworzyły. Dziewczyna wróciła, przynosząc ze sobą dużą papierową torbę.

— Stęskniłeś się za mną? — spytała, uśmiechając się kpiąco. — Nic nie mów, z twojej twarzy można czytać jak z książki. Myślałeś, że związałam.

Weszła, kopnięciem zamknęła drzwi. Spojrzała na niego tymi swoimi wielkimi, nieruchomymi oczami; nawet nie mrugnęła. Wyciągnęła wolną rękę, ścisnęła jego lewy bark, delikatnie, lecz wystarczająco mocno, by sprawić ból.

— Przyniosłam kawę i świeże bułki — powiedziała spokojnie. — Nie poniewieraj mną.

Jeszcze przez chwilę Leonid patrzył na nią gniewnym wzrokiem. Ból nic dla niego nie znaczył, w przeciwieństwie do lekceważenia. Miał rację — ta dziewczyna więcej ukrywała, niż ujawniała.

Puścił ją, a ona puściła jego.

— Wiem, kim jesteś — powiedział. — To nie Filia był kurierem Piotra, tylko ty.

Na wargi Dewry powrócił kpiący uśmiech.

— Właśnie zastanawiałam się, ile czasu minie, nim dojdiesz do tego wniosku.

Podeszła do komody, postawiła na niej papierowe kubki z kawą, bułeczki wyłożyła na torbę. Rzuciła mu niewielką torebkę lodu.

— Nadal ciepłe — powiedziała, powoli żując jedną z bułek.

Leonid przyłożył lód do spuchniętego barku i z trudem stłumił westchnienie ulgi. Swoją bułkę pożarł w trzech kęsach, jednym łykiem uporał się z kubkiem niemal wrzącej kawy.

— Żeby to przebić, następnym razem włożysz rękę w ogień. — Dewra otwarcie drwiła z Arkadina. — Mężczyźni!

— Dlaczego wróciłaś? Przecież mogłaś bezpiecznie uciec.

— Dokąd? Zastrzeliłam człowieka Piotra.

— Musisz mieć jakichś przyjaciół.

— Nie ufam im.

W ten nieco okrężny sposób dała do zrozumienia, że ufa jemu. Instykt podpowiadał Arkadinowi, że w tym wypadku nie kłamie. Zmyła grubą warstwę tuszu do rzęs, który rozmazał się wczoraj wieczorem; dziwne, ale dzięki temu jej oczy wydawały się jeszcze większe. Teraz, kiedy pozbyła się tego, co musiało być białym teatralnym makijażem, miała delikatnie zaczerwienioną twarz.

— Zabiorę cię do Turcji — powiedziała. — Do małego miasteczka, nazywa się Eskişehir. To tam posłałam dokument.

Biorąc pod uwagę to, co wiedział o Turcji, tej antycznej pośredniczce między Wschodem a Zachodem, jej propozycja miała sens. Dewra mogła mówić prawdę.

Arkadin dopadł jej jednym skokiem, nie zważając na to, że torba z lodem zsuwa mu się z barku. Złapał ją za bluzkę na piersiach, popchnął do okna, otworzył je szeroko. Poczuł przeszywający ból w barku, ale to go nie powstrzymało.

Poranny hałas miasta ogarnął go niczym zapach piekącego się chleba. Przechylił dziewczynę tak, że jej ciało zawisło nad ulicą, stopy ledwie dotykały podłogi.

— Zdaje się, że mówiłem ci coś o okłamywaniu mnie? — Powiedział groźnie.

— Jeśli chcesz, możesz mnie zabić — odparła głosem małej dziewczynki. — Nie znoję, żebyś mną poniewierał.

Leonid wciągnął ją do pokoju i puścił.

— A jak mi przeszkodzisz? — spytał ze złośliwym uśmiechem. — Wskoczysz przez okno?

Zaledwie to powiedział, dziewczyna rzeczywiście podeszła do okna. Usiadła na parapecie, po czym, cały czas patrząc mu w oczy, przechyliła się na zewnątrz. Ledwie zdążył chwycić ją za nogi i wciągnąć do pokoju.

Stali naprzeciw siebie, dysząc ciężko. Serca biły im w szalonym rytmie, usuwając nadmiar adrenaliny.

— Wczoraj, tam, na drabinie, powiedziałeś mi, że nie masz po co żyć. — Dewra nie spuszczała wzroku z Arkadina. — Mnie to dotyczy tak samo jak ciebie. No to masz. Jesteśmy identyczni, chociaż się różnimy. Mamy tylko siebie.

— Skąd mam wiedzieć, że kolejnym ogniwem łańcucha jest właśnie Turcja?

Dewra odgarnęła włosy, które opadły jej na twarz.

— Mam dość kłamania ci, to jakbym okłamywała samą siebie. Po co?

— Słowa nic nie kosztują.

— Chcesz dowodu, będziesz miał dowód. Doprowadzę cię do dokumentu. W Turcji.

Leonid bardzo starał się nie myśleć o tym, co mówi. Przy pieczętował ich niepewny rozejm skinieniem głowy.

— Odtąd nie ruszę cię palcem — obiecał i pomyślał: „Póki cię nie zabiję”.

Rozdział 12

Galeria Sztuki Freer znajdowała się po południowej stronie parku National Mail. Na zachodzie sąsiadował z nią pomnik Waszyngtona, na wschodzie Staw Lustrzany, wejście do ogromnego gmachu Kapitolu. Stała przy rogu Jefferson Drive i 12th Street, koło zachodniej granicy Mail.

Sam budynek w stylu florenckiego renesansu, z fasadą wyłożoną granitem Stony Creek importowanym z Connecticut, powstał za sprawą Charlesa Freera, z przeznaczeniem na jego ogromną kolekcję sztuki Bliskiego Wschodu i wschodniej Azji. Fasada od północy, gdzie znajdowało się główne wejście, składała się z trzech łuków opartych na doryckich półkolumnach flankujących centralnie umieszczoną loggię. Ponieważ architektura budynku miała podkreślać walor wnętrza, wielu krytyków uważało ją za surową, zwłaszcza w porównaniu z wybujałą ekstrawagancją pobliskiej Narodowej Galerii Sztuki.

Tak czy inaczej, Freer było w swej dziedzinie wiodącym muzeum w kraju. Soraya kochała je nie tylko ze względu na niekwestionowane walory zbiorów, lecz także z uwagi na wytworne linie samego pałacu. Szczególnie ceniła sobie wewnętrzny dziedziniec za to, że był oazą ciszy i spokoju nawet teraz, kiedy Mail przewalały się hordy turystów

wylewających się falą ze stacji metra Smithsonian i tak samo się do niej wlewających. Kiedy w pracy wszystko się waliło, kiedy nie było czasu na nic, przychodziła do Freer, by odetchnąć głęboko, pozbyć się napięcia. Dziesięć minut w towarzystwie jadeitów i lak dynastii Sung było kojącym balsamem dla jej duszy.

Przystanąła po północnej stronie Mail. Przeszukała wzrokiem tłumy przed wejściem. Przez chwilę, ale tylko przez chwilę miała wrażenie, że wśród barczystych mężczyzn z akcentem ze Środkowego Zachodu, dokazujących dzieci i ich śmiejących się matek, wśród nastolatków, głuchych na świat, podłączonych do iPodów, widzi smukłą, elegancką sylwetkę Veroniki Hart wchodzącej do galerii i natychmiast z niej wychodzącej.

Zamierzała przejść przez ulicę, zeszła z krawężnika, ale klakson zbliżającego się samochodu zmusił ją do odwrotu. Jednocześnie odezwał się telefon komórkowy.

— Co ty sobie właściwie myślisz? — spytał Jason Bourne.

— Jason?!

— Dlaczego przyszedłeś na to spotkanie?

Rozejrzała się dookoła. Głupio zrobiła; nie zobaczy go, jeśli on sam tego nie zechce, co do tego nie mogła mieć wątpliwości.

— Hart mnie zaprosiła. Muszę z tobą porozmawiać. Obie musimy.

— O czym?

Soraya odetchnęła głęboko.

— Nasłuch Typhona wyłapał serię niepokojących sesji łączności wskazujących na możliwość bliskiego ataku terrorystycznego w którymś z miast Wschodniego Wybrzeża. Problem w tym, że tylko tyle wiemy. Gorzej, na tych nagraniach rozmawiają dwaj kadrowi członkowie grupy, o której nic nie wiemy. Miałam taki pomysł... no, żeby cię zatrudnić. W ten sposób powstrzymać atak.

— Niewiele, nawet jak na początek. Nie szkodzi. Ta grupa nazywa się Czarny Legion.

— W szkole średniej uczyłam się o powiązaniach między gałęzią muzułmańskiego terroryzmu a Trzecią Rzeszą, ale to nie może być ten Czarny Legion. Kiedy naziści upadli, jego członków albo pozabijano, albo rozpędzono na cztery wiatry.

— To może być Czarny Legion i jest. Nie wiem, jak zdołał przetrwać, ale faktem jest, że mu się to udało. Dziś rano trzech jego członków próbowali porwać profesora Spectera. Widziałem ich znak wytatuowany na ramieniu jednego z bandytów.

— Trzy końskie łby i trupia czaszka?

— Tak. — Bourne pokrótce opisał całe zdarzenie. — Ciało możesz obejrzeć w kostnicy — zakończył.

— Obejrę — odparła Soraya. — Ale... jakim cudem ktoś mógł się zakopać tak głęboko, żeby go nie odkryto przez te wszystkie lata?

— Stworzyli potężny międzynarodowy front. Braterstwo Wschodu.

— Wydaje się to mocno naciągane. Braterstwo Wschodu. praktycznie kształtuje stosunki między islamem a Zachodem.

— Wątp, ile chcesz. Moje źródło jest pewne.

— Mój Boże, coś ty robił od czasu, kiedy odszedłeś z Centrali Wywiadu?!

— Nigdy nie byłem w CI — powiedział krótko Bourne. — Zaraz poznasz jedną z przyczyn. Twierdzisz, że chcesz ze mną porozmawiać, ale wątpię, czy potrzebna ci jest do tego banda agentów.

Soraya zamarła. Była już na Mail i teraz musiała siłą woli opanować odruch rozejrzenia się dookoła.

— Agentów? Nie ma tu agentów Centrali.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Hart by mi powiedziała...

— A dlaczego miała ci coś mówić? Przecież wie, że znamy się od dawna.

To prawda. — Soraya ruszyła przed siebie. — Ale dziś rano stało

się coś, co skłania mnie do podejrzeń, że ci twoi agenci są raczej z NSA. — Opowiedziała o tym, jak były śledzone w drodze do restauracji, a także o sekretarzu Hallidayu i Lutherze LaValle’u, gotowych na wszystko, byle włączyć Centralę do wywiadowczego imperium Pentagonu.

— To brzmi całkiem sensownie — przyznał Bourne. — Może i dałbym się przekonać, gdyby było ich dwóch, ale sześciu? Tu dzieje się coś innego. Coś, o czym nie mamy pojęcia.

— Na przykład?

— Rozstawiono ich bezbłędnie, w trójkąt. Przy wejściu do Freer. To oznacza, że wiedzieli o spotkaniu z odpowiednim wyprzedzeniem i że nie wysłano ich za Veronica Hart. Jeśli nie chodzi o nią, musi chodzić o mnie. To jej robota.

Te słowa sprawiły, że Sorai ciarki przeszły po plecach. Czyżby szefowa Centrali od początku ją okłamywała? Czyżby od początku wiodła Bourne’a w pułapkę? Rzeczywiście, gdyby nowa pani dyrektor na swój pierwszy oficjalny krok w CI wybrała zatrzymanie Jasona Bourne’a, miałyby to sens. Z pewnością ustawiłoby ją na przyjaznej stopie z Robem Battem i innymi, nienawidzącymi Jasona i nieznoszącymi jej. Poza tym zarobiłaby sporo punktów u prezydenta oraz, przynajmniej do pewnego stopnia, przeszkodziła Hallidayowi w zdobywaniu wpływów. Ale... zapraszając ją na spotkanie, ryzykowała spapranie swojej pierwszej operacji. Nie. W końcu ogon mógł być pomysłem NSA.

— Nie wierzę — powiedziała zdecydowanie.

— Powiedzmy, że dobrze robisz. Inna możliwość jest równie złowieszcza. Jeśli to nie Hart zastawiła pułapkę, to zastawił ją ktoś inny. Wysoko postawiony w Centrali. Rozmawiałem z nią osobiście.

— Owszem. Korzystając z mojego telefonu. Serdeczne dzięki.

— Znalazłaś go? Bo teraz korzystasz z nowego?

— Znalazłam. W rynsztoku.

— Nie masz się na co skarżyć — stwierdził Bourne nawet dość przyjaźnie. — W każdym razie nie sądzę, by Hart na prawo i lewo rozpowiadała o naszym spotkaniu... a jednak dowiedział się o nim ktoś, kto pracuje przeciwko niej. Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że jeśli przeciw niej, to dla LaValle'a, prawda?

Jeśli miał rację... ależ oczywiście, że miał rację!

— Jasonie, jesteś nieoceniony! Gdyby LaValle dopadł ciebie, którego nie mogła dopaść cała Centrala, z miejsca stałby się bohaterem. I przejąłby CI bez problemu. — Na czoło Sorai wystąpiły drobne kropelki potu. — W tych okolicznościach... sądzę, że powinieneś się wycofać.

— Muszę zapoznać się z komunikacją między Martinem a Moirą. Jeśli pułapka jest dziełem Hart, to nie będę miał drugiej szansy na dotarcie do tych materiałów. Zaryzykuję, ale musisz być pewna, że ona je w ogóle ma.

Soraya, która była już przy wejściu do galerii, odetchnęła głęboko.

— To ja wyodrębniłam ich rozmowy. Mogę wszystko ci o nich powiedzieć.

— Tak? Zacytujesz je słowo w słowo? Zresztą... to nie takie proste. Karim al-Jamil zdążył sfalszować setki akt. Znam metodę, którą stosował, żeby je zmienić. Muszę zapoznać się z nimi osobiście.

— No tak. Już widzę, że cię nie przekonam.

— Oczywiście. Kiedy upewnisz się, że te materiały są autentyczne, wyślij mi przez komórkę jeden sygnał. Potem musisz wyprowadzić Hart na loggię, jak najdalej od właściwego wejścia.

— Dlaczego? — zdziwiła się Soraya. — Przecież dla ciebie to dodatkowa trudność... Jason? Jason!

Ale Bourne przerwał rozmowę.

Ze swojego dogodnego punktu obserwacyjnego na dachu Forrestal Building przy Independence Avenue, dzięki potężnej lornetce noktowizyjnej, Jason Bourne doskonale widział Sorayę, podchodzącą do Veroniki Hart. Następnie przesunął wzrokiem po tłumach turystów spieszących tu i tam aż do agentów rozstawionych po zachodniej części Mail. Dwaj zajęli miejsce przy północno-wschodnim narożniku północnego gmachu Departamentu Rolnictwa; nudzili się najwyraźniej przeraźliwie i skracali sobie czas pogawędką. Trzeci, z rękami głęboko w kieszeniach płaszcza, przechodził właśnie na ukos, z południa na zachód, z Madison Drive do Smithsonian. Czwarty siedział za kierownicą samochodu nieprawidłowo zaparkowanego przy Constitution Avenue. To właśnie on ujawnił operację; nieco wcześniej Bourne zauważył ten wóz niemal dokładnie w chwili, gdy zatrzymała się przy nim policja. Opuszczono szyby w oknach, odbyła się krótka rozmowa, kierowca błysnął znacznikiem i policja oddaliła się posłusznie.

Agenci piąty i szósty znajdowali się na wschód od Freer, jeden mniej więcej pośrodku między Madison a Jefferson, drugi naprzeciw gmachu Arts Industries. Bourne wiedział, że gdzieś musi być jeszcze co najmniej jeden, najprawdopodobniej kilku.

Była już prawie piąta, nadszedł krótki zimowy zmierzch, któremu z pomocą przybyły światełka skrzące się wesoło wokół zapalonych latarni. Zapamiętawszy pozycję każdego z agentów, Bourne zszedł po parapetach okien.

W chwili gdy się im pokaże, agenci zaczną się przemieszczać. Ocena odległości, w której znajdowały się Hart i Soraya, prowadziła do wniosku, że na zdobycie akt będzie miał nie więcej niż dwie minuty.

Ukryty w cieniu, czekając na sygnał Sorai, wyteżał wzrok, pragnąc zlokalizować pozostałych. Nie mogli sobie pozwolić na pozostawienie bez straży Independence Avenue. Jeśli Hart nie ma akt przy sobie, postąpi zgodnie z sugestią Sorai i wyniesie się stąd po cichu.

Wyobraził ją sobie przy wejściu do Freer, rozmawiającą z Veronicą Hart. Odrobina nerwów podczas powitania, potem trzeba zrećnie skierować rozmowę na te akta. Musi jakoś skłonić panią dyrektor, żeby je pokazała, upewnić się, że są autentyczne.

Telefon odezwał się... raz. Zapisy rozmów okazały się autentyczne.

Przez komórkę połączył się z Internetem, na stronie DC Metro sprawdził najnowsze dane o ruchu podawane z niemal sekundową dokładnością. Określił granice swych możliwości. Zajął mu to więcej czasu, niżby chciał. Prawdziwe i największe w tej chwili zagrożenie prezentowali agenci, pod warunkiem że mieli kontakt ze swą centralą, obojętnie, czy CI, czy Pentagonem. Współczesne, skomplikowane urządzenia telemetryczne bez problemu namierzyłyby jego komórkę i, co gorsza, były też w stanie wykryć, co ściąga z sieci. Na to nic jednak nie mógł poradzić. Musiał uciec się do pomocy Internetu przy planowaniu i zapewne skorzysta z niego także wtedy, gdyby pojawiło się nieprzewidziane opóźnienie.

Bourne przestał się martwić, skoncentrował na tym, co musi zrobić. Najważniejsze będzie najbliższe pięć minut.

Pora ruszać.

— Obawiam się, że możemy mieć problem — Soraya poinformowała Veronicę Hart chwilę po nadaniu sygnału. Tłum wokół Freer zgęstniał, ludzie tłoczyli się przy wejściu na stację metra Smithsonian, żeby zdążyć do hotelu przed kolacją.

— Jaki to problem?

— Mam wrażenie, że widziałam tu jednego z cieni z NSA. Tego z restauracji.

— O cholera, nie chcę, żeby LaValle dowiedział się o moim spotkaniu z Bourne'em. — Veronica się odwróciła. — Chyba powinnyśmy wyjść, zanim się tu zjawi.

— A co z moimi informacjami? Jakie mamy szanse bez niego? Twierdzę, że powinniśmy jednak poczekać. Te twoje materiały zaskarbiają nam jego życzliwość.

— Mnie to się nie podoba. — Hart była wyraźnie zdenerwowana.

— Najważniejszy jest czas. — Soraya wzięła ją za ramię. — Chodź, wyjdziemy — dodała, wskazując loggię. — Cienie nas tam nie zobaczą.

Veronica niechętnie wyszła na otwartą przestrzeń. Loggia była szczególnie zatłoczona, krążyli tu ludzie dyskutujący o dziełach sztuki, które właśnie zobaczyli, i planach na wieczór. Galeria była czynna do wpół do szóstej, budynek pustoszał powoli.

— A właściwie to gdzie on się podziewa? — spytała, wyraźnie zła.

— Spokojnie, przyjdzie. Przecież chce poznać materiały.

— Pewnie, że chce. W końcu dotyczą jego przyjaciół.

— Zawsze bardzo mu zależało na oczyszczeniu imienia Martina.

— Myślałam raczej o Moirze Trevor.

Nim Soraya zdążyła wymyślić odpowiedź, przez frontowe drzwi weszła grupa ludzi. W jej środku siedł Bourne, dla Sorai widoczny, lecz dobrze ukryty od strony ulicy.

— No, jest — powiedziała cicho.

Jason podszedł do nich szybko, bezszelestnie. Musiał jakimś cudem dostać się na Independence Avenue, wejść do środka przez południowe wejście, zamknięte dla publiczności, i przejść przez galerię.

Pani dyrektor odwróciła się, przygwoździła go przenikliwym spojrzeniem.

— A więc, mimo wszystko, jesteś — powiedziała.

— Obiecałem. — Ani mrugnął, nawet nie drgnął. Soraya pomyślała, że taki jest najgroźniejszy, wcielona siła woli. — Masz coś dla mnie.

— Powiedziałam, że możesz przeczytać. — Veronica podała mu niewielką szarą kopertę.

— Żałuję, że nie mam czasu zrobić tego tu i teraz.

Z tymi słowy Jason Bourne odwrócił się i wtopił w tłum ciągle wypełniający galerię Freer.

— Zaczekaj! — krzyknęła Hart. — Zaczekaj.

Ale było już za późno. Do środka wpadli trzej agenci NSA. Zderzyli się wprawdzie ze ścianą ludzi wychodzących z galerii i trochę ich to zwolniło, przedarli się jednak przez nich, nie patrząc, ilu przewracają. Dwaj minęli kobiety, jakby nie istniały, trzeci wszedł na loggię, przyjrzał się im i uśmiechnął lekko.

Bourne szedł przez galerię najszybciej, jak uznał to za rozropne. Drogę znał na pamięć z turystycznej broszury, przeszedł nią już raz w drugą stronę, nie zmarkował więc ani kroku. Obawiał się tylko jednego: do tej pory nie spotkał żadnego z agentów, a to oznaczało, że najprawdopodobniej będzie musiał poradzić sobie z nimi po wyjściu.

Przed sobą miał ochroniarza sprawdzającego sale przed, zamknięciem. Skręcił za róg; tu znajdowały się przycisk alarmu przeciwpożarowego i gaśnica. Słyszał cichy głos strażnika wskazującego jakiejś rodzinie właściwą drogę. Już miał ruszyć dalej, gdy nagle rozległy się inne głosy, ostre, urywane. Jednocześnie Bourne dostrzegł dwóch dystygowanych, chudych, siwych Chińczyków pogrążonych w sporze o wartość porcelanowej wazy Tang. Szli w stronę Jefferson Avenue, ich głosy i kroki cichły powoli.

Nie zwalniając ani na chwilę, Bourne sprawdził obejście na instalacji alarmowej, które zrobił wcześniej. Na razie wszystko wydawało się w porządku. Pchnął drzwi; zimny wiatr uderzył go w twarz. Jason dostrzegł dwóch uzbrojonych agentów wbiegających po granitowych schodach. Zauważył jeszcze ich dziwnie wyglądającą broń, po czym cofnął się błyskawicznie, Podbiegł do gaśnicy.

Agenci wpadli do galerii z impetem. Pierwszy dostał fontannę piany w twarz, nim zdążył zrobić cokolwiek, drugiemu udało się wystrzeżić na oślep, zmuszając Bourne'a do wykonania uniku. Usłyszał tylko trzask pękającego na wysokości jego ramienia białego marmuru z Tennessee i stuk, kiedy coś spadło na podłogę. Rzucił w strzelca pustą już gaśnicą, trafiając go w czoło i pozbawiając przytomności. Zbił szybkę alarmu przeciwpożarowego, szarpnął czerwoną dźwignię. Przerażliwy pisk przeszył każdy zakątek galerii.

Bourne zbiegł po schodach, kierując się na zachód, w kierunku 12th Street. Spodziewał się spotkać kolejnych agentów na południowo-zachodnim rogu budynku, ale kiedy skręcał z Independence Avenue, trafił na prawdziwą ludzką powódź; sygnał alarmu zwabił ciekawskich. Wycie syren, głośniejsze niż gwar podnieconych głosów, wskazywało na to, że wozy strażackie są w pobliżu.

Pobiegł przez ulicę w stronę wejścia do stacji metra Smithsonian. Wszedł do Internetu z komórki. Trwało to dłużej, niżby chciał, ale już po chwili, wcisnąwszy ikonkę „Ulubione”, znalazł się na stronie metra. Znalazł odpowiednią stację, link przerzucił go na rozkład jazdy pociągów odświeżany co trzydzieści sekund. Trzy minuty do szóstki linii Orange, kierunek Vienna/Fairfax. Szybko wybrał z klawiatury wiadomość tekstową „FB”, wysłał ją pod numer uzgodniony wcześniej z profesorem Specterem.

Od wejścia na stację, dosłownie zatkanego ludźmi, którzy zatrzymali się na schodach ciekawi widowiska, dzieliło go zaledwie pięćdziesiąt metrów. Usłyszał syreny policyjne, dostrzegł kawalkadę nieoznaczonych samochodów jadących 12th Street w kierunku Jefferson Avenue. Na skrzyżowaniu skręciły w lewo... wszystkie z wyjątkiem jednego kierującego się na południe.

Bourne spróbował biec, lecz w tłumie okazało się to niemożliwe.

Wyrwał się wreszcie, znalazł kawałek wolnego miejsca, w którym, co za ulga, nikt nikogo nie pchał i nie szturchał. Jednocześnie otworzyło się okno od strony kierowcy jadącego powoli samochodu. Tęgi mężczyzna o groźnie wyglądającej twarzy i niemal tysej czaszce wymierzył do niego z innego dziwnie wyglądającego pistoletu.

Obrócił się, ukrył za jednym ze słupów przy wejściu. Nie usłyszał nic, nawet najcichszego dźwięku, tak jak nie słyszał nic w galerii, poczuł tylko ułknięcie w lewą łydkę. Spojrzał w dół; na ulicy leżała mała strzałka. Lekko otarła mu nogę, to wszystko.

Jednym, doskonale kontrolowanym ruchem Bourne ominął słup, zbiegł po schodach, przepychając się wśród gapiów. Miał niespełna dwie minuty do wybranego pociągu, następny przyjeżdżał cztery minuty po nim, a czekanie cztery minuty na peronie, gdy jest się ściganym przez agentów, to zdecydowanie za długo. Nie, musiał zmieścić się w tych dwóch minutach.

Kupił bilet, przeszedł przez bramkę. Tłum to zagęszczał się, to rozrzedzał, był jak fale biegnące do brzegu. Jason zaczął się, pocić. Poślizgnął się, lewa stopa odmówiła mu posłuszeństwa. Odzyskał równowagę, uświadomił sobie, że czymkolwiek nasyciona była strzałka, czuje teraz skutek rany, choć przecież było to zaledwie muśnięcie. Podniósł wzrok, by sprawdzić numer peronu; znaki na elektronicznej tablicy informacyjnej były zamazane. Parł przed siebie, nie ufał sobie na tyle, by się zatrzymać, odpocząć nawet krótką chwilę, choć raptem nabrał wielkiej ochoty na odpoczynek. Usiądź, zamknij oczy, zaśnij, odpocznij. Podszedł do automatu, znalazł drobne w kieszeni, wykupił wszystkie batoniki czekoladowe.

Stanął w kolejce do ruchomych schodów.

W połowie schodów zachwiał się, potknął, nie trafił na stopień, potracił stojących przed nim ludzi. Na moment stracił przytomność. Na peron dotarł wyraźnie osłabiony, poruszał się powoli. Betonowy sufit, wznoszący się wysokim łukiem, tłumiał odgłosy setek ludzi.

Jeszcze niespełna minuta. Czuł już wibracje zbliżającego się pociągu. Poczł podmuch powietrza wypchanego przez jadące metro.

Zjadł batonik i właśnie zabierał się do drugiego, kiedy przed nim zatrzymał się wagon. Wsiadł, pozwalając się nieść ludzkiej fali. Tuż przed zamknięciem do tego samego wagonu, tylko przeciwnym wejściem, wskoczył wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna w czarnym płaszczu.

Pociąg ruszył powoli.

Rozdział 13

Na widok mężczyzny w czarnym płaszczu przebijającego się w jego kierunku Bourne poczuł nieprzyjemny przypływ klaustrofobii. Aż do najbliższej stacji zamknięty był w tej ograniczonej przestrzeni, co więcej, mimo początkowego błogosławionego wpływu czekolady czuł także znużenie i zubożenie ogarniające go, w miarę jak krew roznosiła po ciele środek z wystrzelonej przez agenta igły. Zerwał celofan z kolejnego batonika, pożarł go łąpczywie. Im szybciej dostarczy organizmowi cukru i kofeiny, tym lepiej poradzi on sobie z działaniem narkotyku. Efekt będzie jednak czasowy, poziom cukru w końcu spadnie, wyczerpując zasoby adrenaliny.

Metro dojechało do Federal Triangle, stanęło, otworzyły się drzwi. Mnóstwo ludzi wysiadło, mnóstwo wsiadło na ich miejsce. Czarny płaszcz wykorzystał chwilę luzu, zbliżył się do Bourne'a trzymającego się kurczowo chromowanego pręta. Pociąg ruszył, zaczął przyspieszać. Czarnemu płaszczowi zastawił drogę wielki facet z tatuażami na grzbiecie dłoni; prześladowca Jasona spróbował się koło niego przepchnąć, ale gniewne spojrzenie zatrzymało go w miejscu. Agent

wprawdzie mógł użyć swej rządowej legitymacji — jej widok prawdopodobnie skłoniłby olbrzyma do przesunięcia się — ale jej nie wyciągnął, z pewnością dlatego, że obawiał się wywołania paniki wśród pasażerów. To, czy jest z NSA, czy z Centrali, nadal pozostawało tajemnicą. Jason, walcząc ze sobą, próbując zachować przytomność, zapatrzył się w twarz swego najnowszego przeciwnika, w niej szukając rozwiązania tej zagadki. Była to twarz szeroka, bez wyrazu, lecz niepozabawiona śladu obojętnego okrucieństwa, którego armia wymaga od swych agentów. A więc jednak NSA. Chociaż nie mógł jasno myśleć, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że musi uporać się z czarnym płaszczem przed Foggy Bottom, gdzie wyznaczył spotkanie.

Na zakręcie wpadło na niego dwoje dzieci. Przytrzymał je, oddał matce, która podziękowała mu uśmiechem, i objęła oboje. Kolejna stacja, Metro Center. Ostro błysnęła lampa: to kilku robotników naprawiało ruchome schody. Stojąca obok młoda blondynka ze słuchawkami MP3 w uszach oparła się o niego, wyjęła tanią plastikową puderniczkę, przejrzała się w lusterku. Coś jej się nie spodobało, bo zacisnęła wargi, sięgnęła po błyszczak. Bourne wykorzystał tę chwilę i ukraść jej puderniczkę niczym zręczny kieszonkowiec. Zastąpił ją dwudziestodolarowym banknotem. Po czym z grupką ludzi wyszedł na peron. Czarny płaszcz, stojący pośrodku wagonu, musiał się bardzo spieszyć, wyskoczył za nim dosłownie w ostatniej chwili. Obaj, jakby wiążąca ich niewidzialna lina, ruszyli w stronę windy, przeciskając się wśród ludzi. Większość wychodzących skierowała się w stronę schodów.

Bourne upewnił się, gdzie dokładnie ustawiono lampy, i poszedł w ich kierunku, nie przyspieszając kroku. Zależało mu na tym, by jego prześladowca zmniejszył dzielący ich dystans. Musiał założyć, że on też ma do dyspozycji pistolet strzałkowy. Najmniejsza ranka, choćby kolejne muśnięcie w kończynę dla Bourne'a oznaczało koniec. Kofeina nie kofeina, zemdleje i NSA dostanie go w swe łapy.

Na windę czekała kolejka starszych i niepełnosprawnych, w tym kilka osób w wózkach inwalidzkich. Drzwi się otworzyły, Jason pobiegł, jakby koniecznie musiał dostać się do środka, ale gdy tylko znalazł się w blasku lamp, odwrócił się szybko i lusterkiem z puderniczki oślepił będącego już blisko agenta.

Czarny płaszcz stanął jak wmurowany. Podniósł ręce osłaniając oczy przed blaskiem. Kilka kroków wystarczyło, by znaleźć się tuż obok niego. Cios w splot nerwowy za prawym uchem pozbawił go równowagi, dzieła dokonała strzałka z jego własnego pistoletu, trafiając go w bok.

Agent przechylił się niebezpiecznie, Bourne podtrzymał go, przysunął do ściany. Parę przechodzących obok osób obejrzało się, to wszystko. Tłum nie zmniejszył tempa nawet na sekundę.

Jason zostawił faceta, przedarł się przez ludzką ścianę z powrotem na peron linii Orange. Cztery minuty i dwa batoniki później wsiadał już do następnej szóstki. Jego stan się nie pogarszał, ale Bourne potrzebował wody, tyle wody, ile zdoła wypić. Tylko woda mogła wypłukać truciznę z jego organizmu.

Wysiadł dwie stacje dalej, w Foggy Bottom. Zatrzymał się na krańcu peronu, poczekał, aż wysiedli wszyscy. Dopiero wówczas poszedł na górę, po dwa stopnie, bo wysiłek mógł nieco rozjaśnić mu w głowie. Wydostał się na powierzchnię i przede wszystkim odetchnął głęboko chłodnym powietrzem wieczoru. Co za radosne doświadczenie! Od razu poczuł się lepiej, pozostały tylko lekkie mdłości spowodowane zapewne przedłużonymi zawrotami głowy.

Prychnął włączany silnik samochodu, zapłonęły lampy granatowego audi. Bourne podszedł do niego, otworzył drzwi od strony pasażera.

— Jak poszło? — spytał profesor Specter, włączając się ostrożnie w gęsty uliczny ruch.

— Spotkała mnie pewna nieprzyjemna niespodzianka. — Jason

oparł głowę na zagłówek. — No i nastąpiła drobna zmiana planów. Ktoś będzie mnie szukał na lotnisku. Lecę z Moirą, przynajmniej do Monachium. Specter spojrział na niego zatroskany.

— Uważasz, że to mądre posunięcie?

Bourne przyglądał się miastu przez okno.

— To nie ma znaczenia — powiedział, myśląc o Martinie... i o Moirze. — Z mądrością pożegnałem się dawno temu.

Księga druga

Rozdział 14

— Zdumiewające — powiedziała Moira.

Jason Bourne uniósł głowę znad akt, które wyrwał Veronice Hart.

— Co takiego? — spytał zdziwiony.

— To, że siedzisz naprzeciw mnie w luksusowym korporacyjnym odrzutowcu. — Moira ubrana była w elegancki czarny kostium z plecionej wełny i wygodne buty na płaskim obcasie. Na szyi miała złoty łańcuszek. — Zdaje się, że miałaś lecieć do Moskwy?

Jason napił się wody z butelki stojącej na stoliku obok jego fotela. Zamknął akta. Potrzebował więcej czasu, by się zorientować, jakie zmiany w zapisy rozmów wprowadził Karim al-Jamil, choć już teraz miał swoje podejrzenia. Nie wątpił, że Martin był o wiele za sprytny na to, by przekazać komukolwiek coś, co uznano za tajne, czyli, przynajmniej w CI, prawie wszystko.

— Nie mogłem bez ciebie wytrzymać — powiedział, patrząc, jak Moira uśmiecha się lekko. Odczekał chwilę i następnie spuścił bombę: — A poza tym NSA mnie śledzi.

Wesoła twarz Moiry natychmiast spoważniała.

— Co? Powtórz.

— NSA. Luther LaValle wybrał mnie na swój cel. — Machnął ręką, powstrzymując lawinę pytań. — To tylko polityka. Jeśli mnie załatwi, dokona czegoś, co nie udało się całej CI. Udowodni potęgą tego świata, że miał rację, upierając się przy jedynym sensownym rozwiązaniu: przekazaniu Centrali pod swoją komendę. Zwłaszcza że po śmierci Martina zapanował tam niezły bałagan.

Moira zacisnęła wargi.

— A więc Martin miał rację. Na końcu tylko on w ciebie wierzył.

Bourne miał ochotę wspomnieć imię Sorai, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

— Teraz nie ma to żadnego znaczenia.

— Ma znaczenie dla mnie — powiedziała stanowczo, gniewnie.

— Bo go kochałaś.

— Obydwoje go kochaliśmy. — Spojrzała na Jasona uważnie, przechyliła głowę. — Chwileczkę... chcesz powiedzieć, że jest w tym coś złego? Tak?

— Żyjemy na granicy społeczeństwa, w świecie tajemnic. — Zaliczyła ją do obywateli tego świata z premedytacją. — Jeśli ludzie tacy jak my pokochają kogoś, zawsze za to płacą.

— Jak na przykład?

— Rozmawialiśmy o tym. Miłość jest słabością, którą mogą wykorzystać wrogowie.

— Powiedziałam wtedy, że to straszny sposób na życie.

Bourne wyglądał przez okno, w otaczający samolot mrok.

— Jedyny, który znam — powiedział spokojnie.

— Nie wierzę. — Moira się pochyliła, ich kolana się zetknęły. — Przecież musisz wiedzieć, że jest w tobie coś jeszcze. Kochałeś żonę. Kochasz dzieci.

— Jakim mogę być dla nich ojcem? Jestem wspomnieniem. I niebezpieczeństwem. Wkrótce będę duchem.

— Możesz coś z tym zrobić. I... jakim byłeś przyjacielem dla Martina? Najlepszym. Tylko to się liczy. — Próbowwała sprawić, żeby się

odwrócił, spojrział na nią. — Czasami jestem prawie pewna, że szukasz odpowiedzi na pytania, na które nie ma odpowiedzi.

— Co to znaczy?

— Że niezależnie od tego, co robiłeś w przeszłości, niezależnie od tego, co zrobisz w przyszłości, nigdy nie stracisz człowieczeństwa. — Odwrócił wzrok w jej stronę, powoli, enigmatycznie. — I to cię właśnie przeraża, prawda?

— Co się z tobą dzieje? — spytała Dewra.

Arkadin, siedzący za kierownicą wypożyczonego w Stambule samochodu, prychnął zirytowany.

— A o co ci chodzi?

— O to, ile mam czekać, nim mnie wreszcie wyruchasz.

Ponieważ nie było lotów bezpośrednich z Sewastopola do Turcji, spędzili długą noc w zatłoczonej do granic możliwości kabine statku „Bohaterowie Sewastopola”, przemierzającego Morze Czarne na południowy zachód.

— Dlaczego miałoby mi na tym zależeć? — spytał, wyprzedzając powolną, hałaśliwą ciężarówkę.

— Bo nie spotkałam jeszcze mężczyzny, któremu by na tym nie zależało. Czyżbyś był inny od wszystkich? — Przeczesła włosy palcami, jej drobne piersi poruszyły się kusząco. — Zdaje się, że sama mówiłam coś w tym rodzaju. Co się z tobą dzieje? — Na jej wargach pojawił się kpiący uśmiešek. — A może nie jesteś prawdziwym mężczyzną? O to chodzi?

Leonid roześmiał się serdecznie.

— Jesteś taka przewidywalna. — Rzucił jej krótkie spojrzenie. — W co ty właściwie grasz? Próbujesz mnie sprowokować?

— Lubię prowokować reakcje moich mężczyzn. Jak inaczej bym ich poznawała?

— Nie jestem twoim mężczyzną — warknął groźnie.

Teraz roześmiała się Dewra. Położyła smukłe palce na jego ramieniu, zaczęła je masować.

— Jeśli ci dokuczają, poprowadzę.

Na spodniej stronie jej nadgarstka dostrzegł znajomy symbol, wyglądający tym groźniej, że wytatuowano go na porcelanowobiałej skórze.

— Od kiedy go masz? — spytał.

— Czy to dla ciebie ważne?

— Szczerze? Nie. Ważniejsze jest to, dlaczego go masz. — Na szosie zrobiło się pusto. Przycisnął gaz. — Pytam, bo jak inaczej bym cię poznał?

Dziewczyna potarła nadgarstek, jakby tatuaż poruszył się pod skórą.

— Piotr mnie namówił. Powiedział, że to część inicjacji. I że nie pójdzie ze mną do łóżka, jeśli będę się opierać.

— A ty chciałaś pójść z nim do łóżka?

— Nie aż tak, jak chciałabym pójść do łóżka z tobą.

Powiedziawszy to, Dewra się odwróciła, zapatrzyła na przesuwający się za oknem krajobraz, jakby zawstydziło ją to wyznanie. I może nawet zawstydziło? — pomyślał Leonid. Na widok znaku wskazującego wjazd na parking włączył migacz, ściał przez dwa pasy, zatrzymał się z dala od dwóch stojących tu już samochodów. Wysiadł, zszedł z asfaltu i odwrócony plecami wysikał się długo, z przyjemnością.

Było tu pogodnie i cieplej niż w Sewastopolu. Wiejący od morza wiatr niósł w sobie wilgoć osiadającą na skórze jak pot. Wracając do samochodu, Arkadin podwinął rękawy koszuli. Ich kurtki wisiały na oparciu tylnych foteli.

Usiadł za kierownicą.

— Lepiej cieszymy się ciepłem, póki możemy — poradziła mu Dewra. — Kiedy wjedziemy na Wyżynę Anatolijską, góry odetną dopływ gorącego powietrza. Zrobi się zimno jak między cyckami wiedzmy.

Zachowywała się tak, jakby poprzedniej rozmowy nie było, niemniej zdołała wzbudzić jego zainteresowanie. Nabrał przekonania, że dowiedział się o niej czegoś ważnego, a dokładniej: przez nią dowiedział się czegoś ważnego o sobie. Teraz, kiedy wreszcie jakoś to sobie

poukładał, wyszło mu, że dotyczy to także Gali. Otóż najwyraźniej miał coś w rodzaju władzy nad kobietami. W każdym razie wiedział, że Gala kocha go całą duszą i całym ciałem, a nie była bynajmniej pierwsza. A teraz ta chuda chłopczyca, twarda diewoczka, naprawdę groźna, jeśli i kiedy tego chce, także poddała się jego czarom. A to oznacza, że ma na nią sposób, którego do tej pory bezskutecznie szukał.

— Ile razy byłaś w Eskişehir? — spytał.

— Tyle, żeby wiedzieć, czego się spodziewać.

Aż go odrzuciło.

— Gdzie się nauczyłaś odpowiadać tak, żeby nic nie powiedzieć?

— Jeśli jestem zła, wyssałam to z mlekiem matki.

Leonid się odwrócił. Miał kłopoty z oddychaniem. Bez słowa otworzył drzwiczki, wyskoczył z samochodu. Chodził szybko, po ciasnym okręgu, jak lew w zoo.

„Nie mogę być sam”, powiedział i Siemion Ikupow uwierzył, mu na słowo. Do willi, w której go zainstalował, zaprosił także młodego człowieka, a kiedy tydzień później Arkadın pobił go tak, że chłopak omal nie wpadł w śpiączkę, zmienił taktykę. Spędzał z nim długie godziny, starając się dociec, co powoduje wybuchy niekontrolowanej furii... i nic nie osiągnął. Jego gość nie tylko nie potrafił wyjaśnić, skąd się biorą. Gorzej — on nawet nie umiał ich zapamiętać!

— Nie wiem, co z tobą zrobić — powiedział w końcu Ikupow. — Nie chcę cię zamykać, ale muszę się jakoś chronić.

— Tobie nigdy nie zrobię krzywdy.

— Świadomie być może nie — zgodził się jego gospodarz z głębokim namysłem.

W następnym tygodniu pojawił się przygarbiony mężczyzna z kocią bródką i bezbarwnymi wargami. Spędzali razem każde popołudnie. On siedział w obitym pluszem fotelu, zakładał nogę na nogę, zapisywał

coś schludnym, pajęczym pismem w notesie, którego strzegł jak ukochanego dziecka. Leonid leżał na ulubionym szezlongu gospodarza, z głową na wałku, i odpowiadał na pytania. Mówił długo o wielu różnych rzeczach, ale te, które truły mu umysł, spychał w jego najczarniejsze głębie i nigdy o nich nie wspominał. Te drzwi zamknięte były na zawsze.

Po trzech tygodniach psychiatra przekazał raport Ikupowowi i znikł tak nagle, jak się pojawił. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Koszmary nadal prześladowały Arkadina, pojawiały się pośrodku nocy, budził się na krawędzi krzyku, zdumiony światem jawy, przekonany, że słyszy drapanie szczurzych łap, że widzi błysk czerwonych ślepi. Wiedza, że w luksusowej willi Ikupowa nie może być szczurów, nie była mu w owych chwilach żadną pociechą. Szczury żyły w nim, wiły się, skrzeczały, żarły.

Następną osobą zatrudnioną do grzebania w przeszłości Leonida, by uleczyć go z wybuchów furii, była kobieta, którą, w zamyśle Ikupowa, zmysłowość i niewątpliwa uroda miały chronić przed skutkami tych wybuchów. Marlene wiedziała, jak traktować mężczyzn wszystkich rodzajów i wszelkich upodobań. Posiadała niesamowity wręcz talent odgadywania, czego od niej chcą... i dawania im tego, czego pragnęli.

Początkowo Arkadin jej nie ufał. Bo i dlaczego miałby ufać? Czym różniła się od tego psychiatry? Czy nie była tylko kolejnym analitykiem mającym wydobyć z niego sekrety przeszłości? Marlene dostrzegła to oczywiście i postanowiła zmienić jego nastawienie. Rzeczywistość widziała w ten sposób: Leonid został otruty, zresztą może sam się otruił, a jej zadaniem jest przygotować antidotum.

— To musi potrać — powiedziała po spędzonym w jego towarzystwie tygodniu.

Ikupow jej uwierzył.

Arkadin obserwował dziewczynę idącą przez życie kocim krokiem. Podejrzywał, że dysponuje rozsądkiem wystarczającym, by zdawała sobie sprawę z tego, że jeden, choćby najdrobniejszy fałszywy krok

będzie miał dla niego wagę przemieszczenia płyt tektonicznych, że każda odrobina zaufania, jaką udało się jej zdobyć, wyparuje jak alkohol nad płomieniem. Wydawała mu się czujna, aż nazbyt świadoma tego, że w każdej chwili może się obrócić przeciwko niej. Zachowywała się tak, jakby zamknięto ją w klatce z niedźwiedziem. Z każdym dniem tresury niedźwiedź staje się posłuszniejszy, ale to nie znaczy, że nie skorzysta z okazji, by się na ciebie rzucić.

Leonida musiało to bawić; ta troska, którą otaczała go pod każdym względem. Powoli zaczynał sobie jednak uświadamiać coś jeszcze: Marlene obdarzała go coraz większym uczuciem.

Dewra przyglądała mu się przez przednią szybę. W końcu nie wytrzymała, wysiadła i podeszła do niego. Dłonią osłoniła oczy przed słońcem królującym na wysokim, bladym niebie.

— O co chodzi? — spytała. — Co ja takiego powiedziałam?

Leonid rzucił jej mordercze spojrzenie. Wydawało się, że rządzi nim furia, że opanowuje się z największym trudem. Dziewczyna musiała zadać sobie pytanie, co będzie, jeśli pozwoli sobie na wybuch, no i oczywiście, jeśli miałyby do tego dojść, wołałaby być jak najdalej stąd.

Miała ochotę dotknąć go, przemówić uspokajająco, doprowadzić go do normalności. Wyczuwała jednak, że jeśli zaryzykuje, tylko bardziej go rozwścieczy. Wróciła więc do samochodu i czekała cierpliwie, aż opanuje się sam.

I rzeczywiście, opanował się. Usiadł na siedzeniu pasażera, ale bokiem, z nogami na zewnątrz, jakby miał zamiar lada chwila wstać znówu.

— Nie zamierzam cię ruchać — powiedział — ale to nie znaczy, że nie mam ochoty.

Miała wrażenie, że chce powiedzieć coś jeszcze, lecz nie może, że czymkolwiek to było, tkwiło zbyt głęboko w dalekiej przeszłości.

Żartowałam — powiedziała cicho. — Pozwoliłam sobie na głupi żart.

— Był czas, kiedy w ogóle bym się nie zastanawiał. — Wydawało się, że Arkadin przemawia sam do siebie. — Seks nie ma znaczenia.

Mówił o czymś innym, o jakimś wydarzeniu, o którym wiedział tylko on. Teraz dopiero Dewra zrozumiała, do jakiego stopnia samotny jest ten człowiek. Podejrzewała, że nawet w tłumie, nawet wśród przyjaciół — jeśli ma jakichś przyjaciół — czuje się sam. Uznała, że broni się przed seksualnym związkiem, bo takie zaangażowanie tylko podkreślałoby jego odosobnienie. Arkadin był jak planeta bez księżyca i słońca, wokół którego mogłaby krążyć. Pustka jak okiem sięgnąć... pustka.

To wówczas zorientowała się, że go kocha.

— Od kiedy tu jest? — spytał Luther LaValle.

— Od sześciu dni — odparł generał Kendall. Nie miał na sobie kurtki, tylko koszulę z podwiniętymi rękawami, ale i to nie ochroniło jej przed plamami krwi. — Ale gwarantuję, że dla niego te sześć dni to jak sześć miesięcy. Jest zdezorientowany w najwyższym dostępnym człowiekowi stopniu.

LaValle chrząknął. Przez jednostronne lustro przyglądał się brodatemu Arabowi wyglądającemu jak polec surowego mięsa. Nie obchodziło go, czy jest sunnitą, czy szyitą. Dla niego było to bez różnicy, miał przed sobą terrorystę usiłującego zniszczyć jego sposób życia. Takie sprawy traktował bardzo osobiście.

— Powiedział coś?

— Wystarczająco wiele, żebyśmy wiedzieli, że zapisy przechwyconych przez Typhona rozmów, które dostaliśmy od Batta, to dezinformacja.

— Niemniej pochodzą wprost z Typhona.

— Zajmuje bardzo wysoką pozycję, jego tożsamość nie podlega najmniejszym wątpliwościom, ale nie zna zaawansowanego planu zamachu na jakiś istotny nowojorski budynek.

— Samo w sobie może to być dezinformacja — zauważył LaValle. — Sukinsyny są mistrzami tego rodzaju gówna.

Słusznie. — Kendall wytarł ręce w ręcznik, który miał przewieszony przez ramię; wyglądał jak kucharz przy kuchni — Nic nie cieszy ich bardziej niż widok nas ganiających za własnym ogonem, a to właśnie zrobimy, ogłaszając alarm.

Luther LaValle skinął głową, jakby potwierdzał coś sam sobie.

— Chcę, żeby zajęli się tym nasi najlepsi ludzie. Zweryfikujcie to, co przechwycił Typhon.

— Zrobimy co w naszej mocy, ale czuję się w obowiązku poinformować, że kiedy spytałem o tę grupę, więzień roześmiał mi się w twarz.

LaValle zaczął strzelać z palców.

— Jak się nazywa, bo zapomniałem?

— Czarny Legwan, Czarny Legion, coś w tym rodzaju.

— I w naszej bazie danych nie ma o nich wzmianki?

— Ani w naszej, ani w żadnej siostrzanej agencji. — Kendall rzucił brudny ręcznik do kosza, którego zawartość spalano co dwanaście godzin. — Coś takiego nie istnieje.

— Jestem skłonny się z tobą zgodzić, ale chciałbym mieć pewność.

Odwrócił się od okna. Obaj mężczyźni wyszli z sali przesłuchań. Przeszli betonowym tunelem o szorstkich ścianach, pomalowanych na instytucjonalny brudnozielony kolor, oświetlonym świetłówkami, rzucającymi na linoleum ich ruchome, fioletowe cienie. LaValle czekał cierpliwie, podczas gdy Kendall się przebierał, po czym poszli dalej. Korytarz kończył się schodami prowadzącymi do wzmocnionych metalowych drzwi. Położył dłoń na czytniku linii papilarnych, rozległ się trzask cofających się bolców podobnych do tych, jakie zamykają skarbcie bankowe.

Znaleźli się w kolejnym korytarzu będącym całkowitym zaprzeczeniem pierwszego. Tu ściany wyłożone były polerowanym mahoniem, kinkiety jarzyły się miękkim, żółtawym blaskiem, pomiędzy nimi zaś wisały obrazy historyczne przedstawiające bitwy morskie, falangi rzymskich legionów, pruskich huzarów i angielską lekką kawalerię.

Pierwsze drzwi po lewej prowadziły do pokoju żywcem przeniesionego z luksusowego klubu dla mężczyzn: ściany w tonacji leśnej zieleni, kremowe sztukaterie, skórzane meble, antyczne szafki na książki i drobiazgi, drewniany bar ze starego angielskiego pubu. Sofy i fotele stały w wygodnej odległości od siebie, tak by goście mogli rozmawiać w warunkach równie komfortowych jak prywatnych. W wielkim kominku tańczyły potrzaskujące wesoło płomienie.

Kamerdyner w liberii zastąpił im drogę, nim zdążyli zrobić trzy kroki po grubym, tłumiącym najcichszy szmer dywanie. Poprowadził ich do ulubionego miejsca, dyskretnego kącika z dwoma fotelami o wysokich oparciach, stojących przy mahoniowym stoliku karcianym, opierającym się na dwóch szerokich nóżkach. Wysokie, wielodzielne okno z zebranymi po bokach ciężkimi kotarami wychodziło na dziki wirginijski krajobraz. Tek „klubowy” pokój, znany pod nazwą biblioteki, mieścił się w ogromnym kamiennym domu, który NSA przejęła dziesiątki lat temu. Służył jako bezpieczne schronienie, miejsce odpoczynku, tu także odbywały się formalne przyjęcia dla generałów i szefów organizacji. Jego trzewia pograżone głęboko pod ziemią służyły jednak zupełnie innym celom.

Zamówili przekąski i drinki.

— Mamy już coś na Bourne’a? — spytał LaValle, kiedy znów zostali sami.

— Tak i nie. — Kendall założył nogę na nogę, wygładził fałdy spodni. — Jak meldowałem na poprzedniej odprawie, wpadł w sieć wczoraj wieczorem o godzinie szóstej trzydzieści siedem. Przeszedł przez kontrolę na Dulles. Miał rezerwację na lot Lufthansy do Moskwy. Gdyby nim polecał, dalibyśmy mu McNally’ego do towarzystwa.

— Na to jest o wiele za sprytny. Już wie, że na niego polujemy. Cholera, straciliśmy element zaskoczenia!

— Niemniej dowiedzieliśmy się, że trafił na pokład prywatnego odrzutowca należącego do NextGen Energy Solutions.

LaValle zeszywniał niczym myśliwski pies, który złapał trop.

— Co? Wyjaśnij!

— Samolotem tym leciała także pracowniczka szczebla kierowniczego, niejaka Moira Trevor.

— Kim jest dla Bourne'a?

— Na to pytanie ciągle szukamy odpowiedzi. — Kendall nie sprawiał wrażenia szczęśliwego. Nienawidził rozczarowywać szefa. — Za to dostaliśmy plan lotu. Punkt docelowy: Monachium. Mam włączyć do akcji naszego lokalnego człowieka?

— Szkoda czasu. — LaValle tylko machnął ręką. — Stawiam wszystko na Moskwę. Skoro to był jego cel, w końcu tam doleci.

— Zaraz to załatwię. — Generał otworzył telefon komórkowy.

— Potrzebuję Anthony'ego Prowessa.

— Jest w Afganistanie.

— Więc nie opieprzaj się, tylko go stamtąd wyciągnij. Wojskowym śmigłowcem. Chcę go mieć w Moskwie, nim zjawi się tam Bourne.

Kendall skinął głową, wybrał zaszyfrowany numer i wypisał zakodowane wezwanie dla agenta. LaValle tymczasem uśmiechnął się do podchodzącego kelnera, który przykrył stół wykrochmalonym białym obrusem, ustawił szklaneczki do whisky, małe talerzyki przekąsek, sztucce. Podziękował mu i kelner odszedł tak bezszelestnie, jak się pojawił. On sam zapatrzył się na jedzenie.

— Zdaje się, że postawiliśmy na złego konia.

Generał nie miał wątpliwości, kogo ma na myśli. Cholerny Rob Batt!

— Soraya Moore była świadkiem tego fiaska. Niewiele trzeba czasu, żeby dodać dwa do dwóch. Batt powiedział nam, że wie o spotkaniu Hart z Bourne'em, bo był u niej, kiedy Bourne zadzwonił. Komu miała powiedzieć o spotkaniu oprócz tej Moore? Nikomu, oczywiście. Więc pani Hart ma swojego zastępcę jak na widelcu.

Odstaw go. Załatw.

— No to czas na plan „B”. — Kendall podniósł szklaneczkę. LaValle zapatrzył się w orzechowy płyn.

— Zawsze dziękuję Bogu za plan „B”.

Stuknęli się szklaneczkami. LaValle utonął w myślach. Po półgodzinie, przy drugiej whisky, powiedział:

— A jeśli chodzi o Sorayę Moore, to moim zdaniem pora z nią pogadać.

— Prywatnie?

— Och, oczywiście. — Luther LaValle wlał odrobinę wody do whisky, zaciągnął się jej złożonym zapachem. — Spotkajmy się tutaj.

Rozdział 15

— Opowiedz mi o Jasonie Bournie.

Harun Iliew, ubrany w dres firmy Nike identyczny z tym, który miał na sobie jego dowódca, skreślił wraz z nim na naturalnym lodowisku w sercu wioski Grindelwald. Od przeszło dziesięciu lat pełnił funkcję zastępcy Ikupowa. Kiedy był małym chłopcem, adoptował go ojciec Siemiona, Farid, po tym jak jego rodzice zginęli, kiedy prom Sambuł—Odessa przewrócił się do góry dnem. Miał wtedy cztery lata i wraz z matką i ojcem odwiedzał babcię. Na wieść o śmierci córki i zięcia babcia dostała zawału, co wszyscy zainteresowani uznali za błogosławieństwo losu, bo brak jej było sił i wytrzymałości koniecznych do wychowania czterolatka. Farid Ikupow wkroczył do akcji, ponieważ ojciec chłopca pracował dla niego i nawet się przyjaźnili.

— Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie, głównie dlatego, że nie ma jednej odpowiedzi. Niektórzy gotowi są przysiąc, że to agent amerykańskiej CI, inni, że międzynarodowy płatny zabójca. To chyba oczywiste, że nie może być jednym i drugim. Natomiast absolutną prawdą jest to, że trzy lata temu zapobiegł zagazowaniu uczestników Międzynarodowej Konferencji Antyterrorystycznej w Rejkiawiku, a w

zeszłym roku zlikwidował rzeczywiste nuklearne zagrożenie Waszyngtonu. Plan przygotowała Dujja, grupa terrorystyczna kierowana przez braci Wahhib, Fadiego i Karima al-Jamila. Plotka głosi, że Bourne zabił obu.

— Imponujące... jeśli prawdziwe. Ale to, że nikt niemal nic o nim nie wie, jest bardzo interesujące samo w sobie. — Ikupow jechał pewnie, rytmicznie poruszając ramionami. Policzki miał zaczerwienione, uśmiechał się ciepło do mijanych dzieci, śmiejąc się, kiedy one się śmiały, dodając odwagi tym, którym zdarzyła się wywrotka. — Jak taki człowiek związał się z naszym przyjacielem?

— Przez uniwersytet w Georgetown.

Harun był szczupły, miał wygląd księgowego. Nie poprawiały go ziemista cera i ciemnooliwkowe, głęboko zapadnięte oczy. Jazda na łyżwach nie przychodziła mu tak łatwo jak szefowi.

— Podobno poza zabijaniem ludzi zajmuje się także lingwistyką i jest w tej dziedzinie kimś w rodzaju geniusza.

— Doprawdy?

Jeździli już przeszło czterdzieści minut, a Ikupow nawet się nie zdyszał. Harun wiedział, że dopiero się rozgrzewa. Okolica, w której się znajdowali, urzekła pięknnością. Uzdrowisko Grindelwald leżało jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Berna. Nad ich głowami wznosiły się trzy najstynniejsze góry Szwajcarii: Jungfrau, Mönch i Eiger, lśniące śniegiem i lodem.

— Zdaje się, że słabym punktem Bourne'a jest zależność od mistrza, mentora. Pierwszym był niejaki Alexander Conklin, który...

— Wiem. Alex — przerwał mu szef. — Inne czasy... nieraz wydaje mi się nawet, że inne życie. — Skinął głową. — Kontynuuj, proszę.

— Wydaje się, że nasz przyjaciel poczynił pewne wysiłki, by zostać jego nowym mentorem.

— Muszę ci przerwać. To się wydaje nieprawdopodobne.

— Więc dlaczego zabił Michała Tarkianiana?

— Misza... — Twarz Ikupowa posmutniała nagle. — Niech nas Allah zachowa! Czy Leonid Daniłowicz wie?

— W tej chwili nie mamy z nim kontaktu.

— Jakie czyni postępy?

— Był w Sewastopolu. Wyjechał.

— To już coś. Ale... zaczyna nam brakować czasu.

— Arkadin o tym wie.

— Nie chcę, żeby dowiedział się o Tarkanianie, rozumiesz? Mówimy o jego najlepszym przyjacielu, byli sobie bliżsi niż bracia. Pod żadnym warunkiem nie możemy go teraz odciągnąć od bieżącego zadania.

Śliczna dziewczyna jadąca równo z nimi wyciągnęła rękę. Ikupow ujął ją i na chwilę pograżył się w tańcu na lodzie, dzięki któremu poczuł się tak, jakby znowu miał dwadzieścia lat. Potem wrócił i znów jechali dostojnie, w kółko. Ikupow wyznał kiedyś Harunowi, że w swobodnym, rytmicznym ruchu łyżwiarza jest coś, co pomaga mu myśleć.

— Po tym, czego się od ciebie dowiedziałem — powiedział teraz — jestem skłonny przypuszczać, że ten Jason Bourne, może przysporzy nam nieprzewidzianych kłopotów.

— Możesz być pewny, że nasz przyjaciel zwerbował go dla tej sprawy, wyznając, że to ty spowodowałeś śmierć... — Harun przerwał ostrzeżony krótkim spojrzeniem.

— Zgadzam się. Teraz pytanie, na które musimy znaleźć odpowiedź, brzmi: ile zaryzykował? Ile prawdy powiedział Bourne'owi?

— O ile go znam, bardzo niewiele. Jeśli w ogóle.

— Owszem. — Ikupow postukał palcem w rękawiczkę o wargi. — Jeśli tak jest rzeczywiście, nie sądzisz, że możemy użyć prawdy przeciwko niemu?

— Jeśli zbliżymy się do Bourne'a, to tak — powiedział Harun ostrożnie. — I jeśli skłonimy go, żeby nam uwierzył.

Och, uwierzy nam, uwierzy. Już ja tego dopilnuję. — Ikupow wykonał doskonały piruet. — Twoje nowe zadanie, Harun, to dopilnowanie, byśmy dotarli do niego, nim wyrządzi jeszcze jakies szkody. Nie

możemy przecież pozwolić sobie na to, żeby stracić oko w obozie naszego przyjaciela. Kolejne zabójstwa są nie do zaakceptowania.

W Monachium padał zimny deszcz. W najlepszą pogodę miasto jest szare, teraz jakby skuliło się pod ciężarem potoków lejących się z nieba. Jak żółw wsunęło łeb w betonową skorupę, obróciło się tyłem do odwiedzających.

Jason i Moira siedzieli w przepastnym wnętrzu boeinga 747 należącego do NextGen. Bourne rozmawiał przez komórkę. Rezerwował sobie miejsce na lot do Moskwy.

— Szkoda, że nie mogę cię tam wysłać naszym samolotem — powiedziała Moira, kiedy zakończył rozmowę.

— Wcale tego nie żałujesz. Chciałabyś, żebym został tutaj, z tobą.

— Przecież już mówiłam, dlaczego byłby to kiepski pomysł. Moim zdaniem. — Spojrzała na mokry pas lśniący wszystkimi kolorami tęczy dzięki światłu załamującemu się w kroplach wody i oleju. Po oknach ściekały nitki deszczu, jak ścigające się samochody, pędzące każdy swoim pasem. — A w ogóle to ja wcale nie chcę tu być.

Bourne podał jej akta otrzymane od Veroniki.

— Chciałbym, żebyś na to zerknęła — powiedział.

Wzięła je od niego, zaczęła przeglądać. Nagle zainteresowała się czymś, podniosła głowę.

— Więc to Centrala Wywiadu wzięła mnie pod obserwację?

— Jason skinął głową. — Och, cóż za ulga!

— Nie rozumiem. Ulga?

Moira zważyła akta w dłoniach.

— Wszystko tu to dezinformacja. Pułapka. Dwa lata temu, kiedy walka o terminal LNG w Long Beach sięgała szczytu, moi szefowie nabrali podejrzeń, że nasz główny konkurent, AllEn, monitoruje łączność wewnętrzną NetGen, żeby dowiedzieć się czegoś o zastrzeżonych

rozwiązaniach czyniących jego ofertę unikalną. Martin wyświadczył mi przysługę. Poszedł do Starego i zyskał pozwolenie na zastawienie pułapki. Warunkiem powodzenia było jednak utrzymanie absolutnej tajemnicy. Centrala jako instytucja o niczym nie wiedziała. Odnieśliśmy sukces. Monitorowanie naszych komórek wykazało, że AllEn rzeczywiście nas podsłuchiwał.

— Pamiętam, że doszło do ugody.

— Zdobyliśmy z Martinem tak mocne dowody, że AllEn nie miał ochoty iść do sądu.

— I dostaliście ośmiocyfrowe odszkodowanie, tak?

Moira skinęła głową.

— Oraz wygraliśmy przetarg na budowę terminalu. A ja zostałam wicedyrektorem wykonawczym.

Bourne odebrał jej akta. On też czuł ulgę. Dla niego zaufanie było jak dziurawa łódź, nabierająca wody przy każdym zwrocie, w każdej chwili grożąca zatonięciem. Moirze oddał część siebie, utratę kontroli czuł jednak jak cios nożem w serce.

Kobieta spojrzała na niego dość smutno.

— Podejrzewałeś, że jestem jakąś Matą Hari?

— Bardzo ważne było to, żebym się mógł upewnić.

Jej twarz znieruchomiała.

— Jasne. Rozumiem. — Zaczęła chować papiery do cienkiej skórzanej teczki gwałtowniej, niż było to potrzebne. — Myślałeś, że zdradziłam Martina, a teraz zamierzam zdradzić ciebie.

— Sprawilo mi wielką ulgę, że to nieprawda.

— No to bardzo się cieszę. — Moira przeszła go ostrym spojrzeniem.

— Posłuchaj...

— Co? — spytała, odgarniając włosy z twarzy. — Co chciałeś mi powiedzieć, Jasonie?

— Posłuchaj... ciężko mi to mówić.

Pochyliła się, spojrzała mu w oczy.

— Po prostu mi powiedz.

— Ufałem Marie. Polegałem na niej, pomogła mi, kiedy cierpiałem na amnezję. Zawsze była przy mnie. A potem, nagle, już jej nie było.

— Wiem.

Bourne wreszcie na nią spojrział.

— W samotności nie ma niczego dobrego. Ale dla mnie to wyłącznie kwestia zaufania.

— Wiem. Myślisz, że nie powiedziałam ci prawdy o Martinie i o mnie. — Moira ujęła jego dłoń. — Nie byliśmy kochankami, Jasonie. Już lepiej pasowało do nas określenie „rodzeństwo”. Brat i siostra. Wspieraliśmy się. Zaufanie nie przychodziło łatwo ani jemu, ani mnie. Moim zdaniem to dobrze, że teraz ci o tym powiedziałam. Dla nas obojga.

Jason rozumiał, że mówi także o nich, nie tylko o sobie i Martinie. W całym swoim życiu ufał tak niewielu ludziom: Marie, Aleksowi Conklinowi, Mo Panowowi, Martinowi, Sorai. Widział tyle rzeczy niepozwalających mu po prostu żyć. Prawie nie miał przeszłości, trudno mu było uwalniać się od obecności ludzi, których znał i którzy go obchodzili.

Poczuł dotkliwe ukłucie smutku.

— Marie nie żyje. Należy do przeszłości. A dzieciom lepiej jest z dziadkami. Mają normalne, szczęśliwe życie. To dla nich najlepsze.

Wstał. Pora coś zrobić. Moira, świadoma, że czuje się niepewnie, zmieniła temat.

— Wiesz, ile czasu zajmie ci pobyt w Moskwie? — spytała.

— Powiedziałbym, że tyle samo, ile tobie pobyt w Monachium.

Uśmiechnęła się, wstała, podeszła do niego.

— Oby nic ci się nie stało, Jasonie. Bądź bezpieczny. — Obdarzyła go długim, namiętym pocałunkiem. — I nie zapomnij o mnie.

Rozdział 16

Sorayę z uprzedzającą grzecznością wprowadzono do biblioteki, w której niespełna dwadzieścia cztery godziny temu Luther LaValle i generał Kendall uczcili rozmową przy kominku dzień ciężkiej, lecz owocnej pracy. To właśnie Kendall podjechał po nią i jako kierowca przywiózł do położonego w głębi wirginijskiej dziczy bezpiecznego domu NSA, który widziała oczywiście po raz pierwszy.

W ciemnogrnatowym garniturze w dyskretne śnieżnobiałe prążki, błękitnej koszuli z białymi mankietami i kołnierzykiem oraz w pasiastym uniwersyteckim krawacie Yale LaValle wyglądał jak poważny, bogaty bankier. Na widok gościa wstał z miejsca, które zajmował przy oknie. Przy antycznym stoliczku karcianym stały trzy krzesła.

— Dyrektor Moore, witam panią z prawdziwą przyjemnością. Tyle o pani słyszałem. — Uprzejmym gestem wskazał jedno z krzeseł. — Proszę.

Soraya nie widziała powodu, by odrzucić zaproszenie, choć nie wiedziała, czy bardziej ją zdziwiło, czy zaniepokoiło. Teraz, zdziwiona, rozejrzała się dookoła.

— A gdzie sekretarz Halliday? Generał Kendall poinformował mnie, że zaproszenie wyszło od niego.

— Och, oczywiście — przytaknął LaValle. — Niestety, sekretarza obrony w ostatniej chwili wezwano na spotkanie w Gabinetcie Ovalnym. Prosił mnie telefonicznie, żebym przeprosił panią w jego imieniu, a także nalegał, by nie odwoływać spotkania.

Mogło to oznaczać tylko jedno: Halliday od początku nie zamierzał uczestniczyć w tym miłuśkim tête-à-tête. Być może nawet o nim nie wiedział.

Kendall zajął miejsce.

— W każdym razie — mówił dalej LaValle — skoro już się spotkaliśmy, wykorzystajmy w pełni tę okazję. — Podniósł rękę. Willard pojawił się przy nim niemal w tej samej chwili, jak czarodziej. — Napije się pani czegoś, pani dyrektor? Wiem, że jako muzulmanka nie spożywa pani alkoholu, ale upewniam, że i bez niego jest się tu czym rozkoszować.

— Poproszę herbatę — powiedziała Soraya, zwracając się wprost do Willarda. — Cejlońską, jeśli macie.

— Oczywiście, proszę pani. Mleko? Cukier?

— Nie, dziękuję. — Jakoś nigdy nie przyjęła brytyjskiego obyczaju.

Willard skłonił się i znikł bezgłośnie. Nadszedł właściwy czas, żeby się czegoś dowiedzieć.

— Panowie, w czym mogę wam pomóc?

— Sądziłem, że to raczej my możemy pomóc pani — odezwał się Kendall.

Soraya spojrzała na niego spod oka.

— Jak pan do tego doszedł? — zdziwiła się.

LaValle natychmiast przyszedł z pomocą generałowi.

— Prawdę mówiąc, w CI panuje takie zamieszanie, że wydaje się, jakby agencja walczyła z jedną ręką zawiązaną na plecach.

Pojawił się Willard z herbatą i szklaneczkami whisky na tacy z czarnej laki. Artystycznie zastawił stół. Odszedł.

Luther odczekał, aż gość naleje sobie herbatę, po czym mówił dalej:

— Wydaje mi się, że dla Typhona bardzo opłacalne byłoby wykorzystanie środków będących do dyspozycji NSA. Powiem więcej, możemy nawet pomóc w rozszerzeniu zasięgu jego działania. Soraya wypija łyk herbaty. Okazała się wyśmienita.

— A mnie się wydaje, że wiesz więcej o Typhonie, niż my, w CI, skłonni byliśmy przypuszczać.

LaValle roześmiał się cicho.

— W porządku, skończmy z owijaniem w bawełnę. Mieliśmy u was wtyczkę. Teraz już wiecie, o kim mówię. Facet popełnił fatalny w skutkach błąd: próbował dopaść Bourne'a... i poległ.

Tego ranka Veronica Hart zwolniła Roba Batta ze stanowiska. Luther musiał o tym wiedzieć, zwłaszcza że następcą Roba, Peter Marks, był jednym z największych zwolenników Veroniki i nigdy swych poglądów nie ukrywał. Soraya znała go doskonale, sama wysunęła jego kandydaturę, uważając, że w pełni zasługuje na awans.

— Czyżby Batt pracował teraz dla NSA?

— Pan Batt stał się bezużyteczny — zadeklamował Kendall.

— Nie myślał pan, generale, że podobny los pisany jest i panu?

Widać było, jak facet tężeje, ale jego szef niemal niewidocznie skinął głową, więc przygryzł wargi, tłumiąc cisnącą mu się na usta odpowiedź.

— Jest oczywiście prawdą, że życie w służbie wywiadu to ciężki kawałek chleba — LaValle gładko wtrącił się do rozmowy — ale niektórzy członkowie tej społeczności są, jeśli wolno mi tak powiedzieć, bardziej uodpornieni na tak nieszczęśliwe okoliczności niż inni.

Soraya nie spuszczała wzroku z Kendalla.

— Zakładam, że mogę awansować na „niektórego członka tej społeczności”?

— Och, oczywiście. Twoja wiedza o sposobie myślenia i zachowaniach mahometan oraz doświadczenie, którego nabrałaś jako prawa ręka Martina Lindrosa podczas tworzenia Typhona, są przecież nieocenione.

— No i widzi pan, jak to jest, generale? Prędzej czy później ktoś tak nieoceniony jak ja zajmie pańską pozycję.

LaValle odchrząknął znacząco.

— Czy to oznacza, że zajmujesz stanowisko dyrektorskie?

Soraya odstawiła filiżankę. Uśmiechnęła się słodko.

— Jedno muszę ci przyznać. Wiesz, jak zmienić cytrynę w lemoniadę.

— Och... — LaValle odpowiedział uśmiechem, jakby odbierał trudny tenisowy serw. — Mam wrażenie, że można to zaliczyć do mych specjalności.

— Co ci pozwala sądzić, że odejdę z Centrali Wywiadu?

— Znajomość ludzi każe mi uznać cię za osobę pragmatyczną. Wiesz lepiej od nas, w jak fatalnym stanie jest CI. Jak sądzisz, ile czasu zajmie nowej pani dyrektor podniesienie tego wraku? Czy masz powody przypuszczać, że to w ogóle możliwe? — Luther LaValle ostrzegawczo podniósł palec, który przedtem przyłożył do nosa. — Bardzo interesuje mnie twoja opinia na ten temat, ale nim mi ją przekażesz, powiedz, proszę, jak niewiele czasu dzieli nas od uderzenia tej hipotetycznej nieznannej organizacji terrorystycznej?

Soraya poczuła się tak, jakby dostała mocny cios w żołądek. Skąd, do ciężkiej cholery, NSA wie o tym, czego Typhon dowiedział się, monitorując łączność terrorystów? W tej chwili jednak nie była to sprawa najważniejsza. Najważniejszą sprawą była reakcja na naruszenie bezpieczeństwa.

Nim znalazła odpowiednie słowa, LaValle znów przemówił.

— Tylko jedno wydaje mi się bardzo dziwne. Dlaczego pani dyrektor Hart uznana za wskazane zatrzymać tę wiedzę dla siebie, zamiast podzielić się nią z Bezpieczeństwem Wewnętrznym, FBI i NSA?

— A to już moje dzieło. — Jestem w to wplątana, pomyślała Soraya, więc równie dobrze mogę się wplątać do końca. — Aż do zdarzenia w Freer nasze informacje były do tego stopnia fragmentaryczne, że w mojej opinii włączenie instytucji trzecich tylko zaciemniłoby sprawę.

— To znaczy tyle — Kendall miał okazję wtrącić swoje trzy grosze i radośnie z niej skorzystał — że zwyczajnie nie chcieliście, żebyśmy dorwali marchewkę.

LaValle nie skomentował jego uwagi.

— Sytuacja jest bardzo poważna — powiedział tylko. — Sprawa bezpieczeństwa narodowego...

— Jeśli ta islamska grupa... teraz już wiemy, że nazywa się Czarny Legion... nabierze podejrzeń, że monitorujemy jej kanały informacyjne, zatoniemy, nim zdążymy wystrzelić choćby raz.

— Mogę sprawić, że pójdziesz w odstawkę i nigdy nie wrócisz.

— I stracić moje nieocenione doświadczenia? — Soraya potrząsnęła głową. — Nie sądzę, doprawdy, nie sądzę.

— Co my tu mamy? — nie wytrzymał Kendall.

— Pat. Mamy pata. — LaValle przesunął dłonią po czole. — Jak sądzisz, czy mógłbym zobaczyć akta Typhona? — Mówił teraz zupełnie innym, pojednawczym tonem. — Wierz albo nie, ale nie jesteśmy Imperium Zła. Bardzo prawdopodobne, że zdołamy wam pomóc.

Musiała się przez chwilę zastanowić.

— Sądzę, że jest to możliwe — powiedziała w końcu.

— Doskonale.

— Pod klauzulą „Tylko dla twoich oczu”.

— Zgoda.

— W ograniczonym i ściśle kontrolowanym miejscu. — Soraya do końca wykorzystywała chwilową przewagę. — Biura Typhona w siedzibie Centrali nadawałyby się doskonale.

LaValle rozłożył ręce.

— Dlaczego nie tutaj? — spytał.

— Nie sądzę, by było to rozsądne — odpowiedziała z uśmiechem.

— Biorąc pod uwagę obecny... klimat... rozumiesz chyba, dlaczego niechętnie myślę o spotkaniu właśnie tam.

Owszem, rozumiem. — Zastanawiała się przez chwilę. — Jeśli mam przynieść materiały, to nie sama. W towarzystwie.

— Ależ oczywiście! — LaValle energicznie pokiwał głową. — Jeśli dzięki temu będziesz się lepiej czuła...

Wydawał się zachwycony w odróżnieniu od Kendalla, który przyglądał się jej przez stół, jakby z okopu patrzył na wroga.

— Szczerze mówiąc, nic tu nie sprawia, żebym się lepiej czuła. — I Soraya znów rozejrzała się po bibliotece.

— Budynek jest odpluskwany trzy razy na dobę — pospieszył z wyjaśnieniami Luther LaValle. — Poza tym mamy tu najbardziej skomplikowany system obserwacyjny, będący w gruncie rzeczy skomputeryzowanym układem monitoringu, sterującym dwoma tysiącami kamer przemysłowych, zainstalowanych i tu, i na terenie posiadłości, porównujących obrazy w poszukiwaniu anomalii. Oprogramowanie DARPA ma dostęp do bazy danych ponad miliona obrazów umożliwiającą mu podejmowanie decyzji w ciągu nanosekund. Na przykład stado lecących ptaków zostanie zignorowane, biegnący człowiek już nie. Nie masz się czego obawiać.

— W tej chwili obawiam się już tylko ciebie, Lutherze LaValle.

— Doskonale rozumiem. — LaValle dopił whisky. — Przecież w gruncie rzeczy taki właśnie jest sens tego ćwiczenia. Ma zrodzić między nami trwałe zaufanie. Jak inaczej moglibyśmy współpracować?

Generał Kendall odesłał Sorayę Moore samochodem prowadzonym przez jednego z jego kierowców. Kazała mu zatrzymać się tam, gdzie umówiła się z Kendallem, przed budynkiem, w którym mieściło się niegdyś Narodowe Historyczne Muzeum Figur Woskowych stojącym przy E Street. Odczekała, aż czarny ford włączy się do ruchu i zniknie, po czym odwróciła się i zwykłym, spokojnym krokiem przeszła kwartał przecznic. Nim skończyła okrążenie, zdążyła się zorientować, że tym razem nikt jej nie śledzi, ani NSA, ani żadna inna organizacja, zatrzymała się więc i wysłała trzyliterowego SMS-a. Dwie minuty

później pojawił się młody człowiek na motocyklu, w dzinsach, czarnej skórzanej kurtce i błyszczącym czarnym kasku z przyciemnioną osłoną na twarz. Zatrzymał się tylko na chwilę, wystarczająco długą, by Soraya zajęła miejsce, dał jej drugi kask i z rykiem silnika popędził ulicą.

— Mam dobre kontakty w DARPA — powiedział Deron. Skrót ten oznaczał Defense Advanced Research Projects Agency, czyli Agencję Zaawansowanych Projektów Obronnych, gałąź Departamentu Obrony. — I dobrze wiem, jak w praktyce działa oprogramowanie nadzorujące system obserwacyjny NSA. — Wzruszył ramionami. — Dzięki temu mogę utrzymać się na rynku.

— Musimy wymyślić sposób, żeby je obejść, albo znaleźć w nim jakąś dziurę — westchnął Tyrone. Nie zdjął jeszcze czarnej motocyklowej kurtki, a jego kask leżał na stole obok kasku, który dał Sorai na krótki czas podróży do siedziby Derona. Obu, Tyrone'a i gospodarza, poznała, kiedy Bourne, przywiózł ją do tego nie rzucającego się w oczy, oliwkowego domu, laboratorium przy 7th Street.

— Żartujesz, prawda? — Deron, przystojny mężczyzna o skórze koloru jasnego kakao, spojrzał na niego, potem na gościa. — Powiedzcie mi, że oboje żartujecie.

— Gdybyśmy żartowali, toby nas tu nie było. — Soraya przyłożyła dłoń do skroni, pomasaowała ją lekko. Próbowwała zignorować ból głowy wywołany przerażającą rozmową z LaValle'em i Kendallem.

Deron oparł dłonie na biodrach.

— To po prostu niemożliwe. Ich oprogramowanie to najwyższa światowa klasa. I jeszcze dwa tysiące kamer! Niech mnie pokręci!

Usiedli na płóciennych krzesłach w jego laboratorium, podwójnej wysokości pokoju wypełnionym monitorami, klawiaturami i urządzeniami elektronicznymi, których funkcje znał tylko sam gospodarz.

Na ścianach wisiały obrazy, same arcydzieła pędzla Tycjana, Seurata, Rembrandta, van Gogha. Sorai najbardziej podobały się Lilie wodne, Zielone odbicie i Lewa strona. Ze zdumieniem dowiedziała się już podczas pierwszych odwiedzin, że wszystkie namalował w sąsiednim atelier sam Deron. Jakim cudem udało mu się do złudzenia naśladować odcień kobaltowego błękitu Moneta, było dla niej nie do pojęcia. Nic dziwnego, że jeśli chodzi o fałszowanie dokumentów, Bourne polegał tylko na nim, zwłaszcza że w dzisiejszych czasach to zadanie stawało się coraz trudniejsze. Wielu fałszerzy dało sobie spokój, uznali, że rząd uniemożliwił im pracę. Ale nie Deron. To była jego specjalność. Nic dziwnego, że tak się przyjaźnią z Bourne'em, pomyślała Soraya. Skrojeni na jedną miarę.

— Lustra? — spytał Tyrone.

— To byłyby najprostsze — przytaknął Deron. — Ale oni potrzebują tylu tych cholernych kamer między innymi po to, by system dostał różne obrazy tego samego wycinka terenu. I to przekreśla lustra.

— Szkoda, że Bourne załatwił tego pierdolca Karima al-Jamila. Facet zdołałby pewnie przepisać program od nowa w pięć minut, tak jak to zrobił z bazą danych Centrali.

Soraya spojrzała na Derona.

— Czy to się da zrobić? Czy ty potrafiłbyś to zrobić?

— Hakerstwem się nie zajmuję. Zostawiam je mojej pani. Nawet nie wiedziała, że Deron ma przyjaciółkę.

— Dobra jest?

— Proooszę cię...

— Możemy z nią porozmawiać?

— Bo ja wiem? Mówimy o NSA, a ci pierdolcy nie lubią takich igraszek. Powiem ci szczerze, że moim zdaniem nie powinnaś się w to plątać.

— Niestety, nie mam wyboru.

— To oni pieprzą się z nami — warknął Tyrone — i jeśli nie skończymy im na dupę, przejadą jak walec i załatwią nas na amen.

Deron tylko potrząsnął głową.

— No i widzisz, Soraya, nauczyłaś młodego człowieka tego i owego. Niepotrzebnie. Nim się pojawiłaś, był najlepszym ulicznym wojownikiem na świecie. Wymarzona ochrona. A teraz tylko na niego popatrz. Miesza się w sprawy dużych chłopców spoza getta. — Nie ukrywał, że jest dumny z Tyrone'a, ale w jego głosie brzmiał także wyraźny ton ostrzeżenia. — W Bogu nadzieja, że wiesz, w co się pakujesz, Tyrone. Jeśli coś nie wypali, choćby drobiazg, idziesz do federalnego pierdła. I wyjdiesz dopiero wtedy, kiedy zagrają trąby Gabriela.

Tyrone ani drgnął. Tyle że skrzyżował ramiona na piersiach. Gospodarz westchnął ciężko.

— No to w porządku. W końcu wszyscy jesteśmy dorośli. — Sięgnął po komórkę, powiedział cicho kilka słów. — Kiki jest na górze, w swojej jaskini — wyjaśnił. — Nie lubi, żeby jej przeszkadzać, ale ten przypadek chyba ją zainteresuje.

Już po chwili w pracowni pojawiła się szczupła kobieta o pięknej murzyńskiej twarzy i ciemnoczekoladowej skórze.. Była wysoka, dorównywała wzrostem Deronowi, nosiła się dumnie, świadoma starożytnego dziedzictwa krwi. Na widok Tyrone'a uśmiechnęła się drapieźnie. Powitali się jednym słowem: „Hej”. Najwyraźniej to im wystarczało.

— Kiki, poznaj Sorayę.

Murzynka uśmiechnęła się oślniewająco.

— Właściwie mam na imię Esiankiki — wyjaśniła. — Jestem Masajką. Ale w Ameryce nie przejmuję się formami. Tu wszyscy mówią mi po prostu Kiki.

Wyciągnęła dłoń, chłodną i suchą. Spojrzała na Sorayę wielkimi oczami koloru kawy. Skórę miała cudownie gładką, wzbudzającą natychmiastową zazdrość. Włosy ścinała bardzo krótko; wspaniale podkreślały kształt jej wydłużonej czaszki. ubrana była w sięgającą kostek brązową szatę prowokująco przylegającą do smukłych bioder.

Deron szybko wyjaśnił jej, na czym polega problem, następnie wywołał architekturę programu DARPA na jeden z monitorów. Kiki przeglądała ją, on zaś tłumaczył niektóre szczegóły.

— Potrzebujemy czegoś, co przejdzie przez firewall, ale pozostanie niewykryte — zakończył.

— To pierwsze wcale nie jest takie trudne. — Smukłe palce dziewczyny tańczyły na klawiaturze. Eksperymentowała z kodem. — Co do tego drugiego, to jeszcze nie wiem.

— Niestety, to jeszcze nie koniec. — Gospodarz zaglądał jej przez ramię. Ciekawił go postęp pracy. — To szczególne oprogramowanie kontroluje pracę dwóch tysięcy kamer. Nasz przyjaciel musi wejść na teren i wyjść nie wykryty.

— Innymi słowy — dziewczyna nie okazała zdziwienia — musimy je wszystkie oślepić?

— Owszem — przytaknęła Soraya.

— Ty nie potrzebujesz hakerki, kochanie. Potrzebny ci niewidzialny człowiek.

— Potrafisz uczynić ich niewidzialnymi, prawda, Kiki? — Deron objął ją, przytulił mocno. — Prawda?

— Hm... — Kiki jeszcze raz przestudiowała kod. — Wiesz, wygląda mi na to, że mamy tu powtarzalny wariant, który być może, uda się wykorzystać. — Przygarbiła się na stołku. — Zajmę się tym na górze.

Deron puścił oko do Sorai, co miało znaczyć: „A nie mówiłem?”. Tymczasem Masajka skopiowała kilka plików na swoje komputery pracujące poza siecią, po czym obróciła się na stołku, oparła dłonie na udach i wstała.

— No to widzimy się później — rzuciła niezobowiązująco.

— Kiedy „później”? — spytała Soraya, ale hakerka znikła. Wbiegła na górę po trzy stopnie.

Bourne’a, wychodzącego z samolotu linii Aerofłot na lotnisku Szeremietiewo, Moskwa przyjęła śniegiem. Lot opóźnił się o czterdzieści minut; maszyna krążyła, podczas gdy obsługa próbowała oczyścić oblodzony pas. Bez problemu przeszedł kontrolę paszportową i celną i

natychmiast po wyjściu wpadł na niskiego, przypominającego nieco kota mężczyznę: Lwa Baronowa, kontakt profesora Spectera.

— Nie masz bagażu, jak widzę — powiedział Baronow łamaną angielszczyzną z wyraźnie słyszalnym akcentem. Był żyłasty i przesadnie ruchliwy, niczym angielski terier. Odpychał łokciami polujących na klienta lewych taksówkarzy. Smutny był widok tej zbieraniny z Kaukazu, Azji i tak dalej, której pochodzenie uniemożliwiło znalezienie w Moskwie przyzwoitej pracy za przyzwoite pieniądze. — Załatwimy to po drodze do miasta. Moskiewska zima wymaga odpowiednich ubrań. Dziś wyjątkowo mamy łagodne minus dwa stopnie Celsjusza.

— Bardzo dziękuję za troskę — odpowiedział Bourne nienaganym rosyjskim.

Baronow spojrział na niego, unosząc brwi.

— Mówisz po naszymu, jakbyś się tutaj urodził, gospodin.

— Miałem doskonałych nauczycieli.

Bourne przez cały czas obserwował tłoczących się w terminalu pasażerów, zapisywał w pamięci tych, którzy zwalniali przy kiosku z gazetami lub wystawie sklepu wolnoćowego, i tych, którzy stali pod ścianami. Przekonanie, że ktoś go śledzi, pojawiło się, gdy tylko postawił stopę na lotnisku. Nie mógł się go pozbyć. Oczywiście wiedział o wszechobecnych kamerach, ale to szczególne mrowienie skóry głowy wyrobione przez lata pracy w terenie było nieomyślne.

Czuł się jednocześnie zaniepokojony i uspokojony; to, że już ma ogon, znaczyło, że ktoś z góry wiedział o jego przylocie do Moskwy. NSA miała dostęp do list pasażerów tam, w Nowym Jorku, bez problemu mogła dostać jego nazwisko od Lufthansy; zabrakło mu czasu, żeby się z niej wykreślić. Rozglądał się na boki wyłącznie krótkimi spojrzeciami turysty, nie zależało mu na tym, żeby jego cień zorientował się, że został zauważony.

— Śledzą mnie — powiedział do Baronowa, kiedy już jechali jego dychawicznym zilem drogą M10.

Żaden problem. — Mogło się wydawać, że gość był śledzony od urodzenia, że dla niego to stan normalny. Nie zapytał, kto się w to bawi.

Bourne przypomniał sobie słowa Spectera, jego zapewnienie, że moskiewski kontakt nie będzie mu wchodził w drogę.

Szybko przejrzał zawartość dostarczonej mu przez niego koperty: nowa tożsamość, klucz, numer skrytki w Banku Moskwa, gdzie znajdowały się przeznaczone dla niego pieniądze. Zjeżdżali już z M10.

— Potrzebny mi plan tego banku — powiedział.

— Żaden problem.

Był teraz Fiodorem Ilianowiczem Popowem, średniego szczebla funkcjonariuszem Gazpromu, gargantuicznego państwowego konglomeratu energetycznego.

— Jak dobra jest ta tożsamość?

— Nie masz się o co martwić. — Baronow uśmiechnął się szeroko. — Profesor ma przyjaciół w Gazpromie. Już oni wiedzą, jak się wami opiekować, Fiodorze Ilianowiczu Popow.

Anthony Prowess włożył sporo pracy w to, żeby utrzymać się za leciwym zilem, i nie miał zamiaru go zgubić, choćby jego kierowca uciekł się do wszystkich możliwych manewrów, żeby pozbyć się ogona. Rozpoznał Bourne'a, gdy tylko ten przeszedł przez kontrolę, Kendall przesłał mu jego aktualne zdjęcie na komórkę. Zdjęcie było ziarniste, dwuwymiarowe, zrobione teleobiektywem, za to ukazywało zbliżenie, więc nie sposób się było pomylić.

Dla niego najważniejsze było kilka najbliższych minut. Nie łudził się, wiedział, że jego tożsamość wkrótce przestanie być tajemnicą, więc przez te kilka chwil, które mu zostały, musiał uchwycić każdy tik Bourne'a, każdy ruch, sposób zachowania, niezależnie od tego, jaki by był drobny i pozornie nieważny. Z gorzkiego doświadczenia wiedział, że właśnie takie drobiazgi okazują się nieocenione, im dłużej trwa obserwacja, zwłaszcza wtedy, gdy dochodzi do zaangażowania obiektu i wyeliminowania go.

Prowess nie czuł się w Moskwie obco. Urodził się w tym mieście, jego ojciec był brytyjskim dyplomatą, matka attache kulturalnym. Miał piętnaście lat gdy zorientował się, że jej praca to tylko przykrywka. W rzeczywistości była szpiegiem MI6, pracowała w Tajnej Służbie Jej Królewskiej Mości. Cztery lata później wpadła i pracodawca musiał ją wycofać. Ponieważ była ścigana, jej syna wysłano do Ameryki, gdzie zaczął nowe życie pod nowym nazwiskiem. Z grożącym mu niebezpieczeństwem zżył się do tego stopnia, że nie pamiętał już swego „prawdziwego” nazwiska. Był wyłącznie Anthonyem Prowessem.

Gdy tylko zdobył odpowiednie wykształcenie, młody Anthony zgłosił się do NSA. Marzył o pracy w wywiadzie od chwili, gdy poznał tajemnicę mamy, pozostał więc głuchy na błagania rodziców. Ponieważ z łatwością opanowywał języki obce i doskonale znał obce kultury, NSA wysłała go za granicę, najpierw do Rogu Afryki, gdzie uczył się rzemiosła, potem do Afganistanu. Tam związał się z miejscowymi górskimi plemionami zwalczającymi talibów. Był twardym facetem, wiedział, co to. trudne życie i trudna śmierć. Znał więcej sposobów zabicia człowieka, niż jest dni w roku. Biorąc pod uwagę, gdzie był i co robił przez ostatnie dziewiętnaście miesięcy, bieżące zadanie było dla niego niczym. Małe piwo.

Rozdział 17

Bourne i Baronow pędzili szosą Wołokołamską. Miasto Krokusów było ogromną galerią handlową. Wybudowane w 2002 roku na pierwszy rzut oka wydawało się prawdziwym labiryntem eleganckim butików, restauracji, salonów samochodowych i marmurowych fontann.

No i doskonale nadawało się do zgubienia ogona.

Jason Bourne kupował odpowiednie ubrania, Baronow tymczasem rozmawiał przez telefon komórkowy. Nie warto przecież znikać z oczu cieniowi tylko po to, by wrócić do znanego mu już ziła. Kumpel Baronowa miał przyjechać na miejsce, odjechać jego samochodem i zostawić im swój.

Bourne zapłacił i przebrał się w nowe rzeczy. Poszli do Franck Müller Cafe, wypili kawę i zjedli po kanapce.

— Opowiedz mi o ostatniej kobiecie Piotra — polecił Baranowski.

— Gali Niemiatowej? — Rosjanin wzruszył ramionami. — Nie wiele da się o niej powiedzieć. To tylko kolejna ładna dziewczyna z tych, co to kręcą się koło najnowszych moskiewskich klubów. Można ich dostać tuzin za rubla.

— Gdzie ją znajdę?

— Tam, gdzie można spotkać oligarchów. Możemy tylko zgadywać. — Baronow roześmiał się dobrodusznie. — Jeśli mnie chodzi, na takie miejsca jestem już trochę za stary, ale z przyjemnością oprowadzę cię po nich dziś wieczorem.

— Wystarczy mi twój samochód.

— Ależ proszę bardzo.

Po chwili Baronow poszedł do toalety; uzgodnił z przyjacielem, że tam wymienią się kluczami do samochodów. Wrócił z kawałkiem papieru, na którym wyrysowany był plan budynków Banku Moskwa.

Opuścili kawiarnię wyjściem po drugiej stronie prowadzącym na przeciwny parking. Wsiedli do antycznej czterodrzwiowej wołgi, która ku wielkiej uldze Jasona zapaliła natychmiast.

— No widzisz? Żaden problem. — Rosjanin roześmiał się wesoło. — Co wy byście beze mnie zrobili, gospodin Bourne?

Bulwar Frunzeński znajdował się po południowo-zachodniej stronie moskiewskiego kręgu ogrodów. Michaił Tarkanian powiedział, że z okna pokoju dziennego swego mieszkania widzi kładkę dla pieszych prowadzącą do parku Gorkiego. Nie kłamał.

Budynek, w którym znajdowało się to mieszkanie, położony był niedaleko Chlastekowa, restauracji, która według Baronowa serwowała doskonałe rosyjskie dania. Ze swoim dwupiętrowym portykiem na prostokątnych kamiennych kolumnach i dekoracyjnymi, betonowymi balkonikami sam budynek był typowym przykładem stalinowskiego empiry, stylu, który pobił niemal na śmierć pastoralną, romantyczną przeszłość.

Bourne polecił Rosjaninowi pozostać w wołdze, sam zaś wspiął się po kamiennych schodach, przeszedł pod kolumnadą i wszedł do środka przez szklane drzwi. Znalazł się w niewielkim westybulu, z którego do środka prowadziły wewnętrzne drzwi, jak się okazało — zamknięte. Po prawej stronie, na ścianie, na mosiężnej tablicy umieszczono przyciski;

każdy z nich odpowiadał jednemu lokalowi. Bourne znalazł ten, przy którym widniało nazwisko Tarkaniana. Zapamiętał numer jego mieszkania, po czym dzięki małemu, sprężystemu ostrzu oszukał zamek, każąc mu wierzyć, że dysponuje kluczem. Udało mu się, wewnętrzne drzwi stanęły otworem.

Po lewej od wejścia znajdowała się mała, rachityczna winda, po prawej okazałe schody prowadziły na piętro. Pierwsze trzy biegi klatki schodowej zbudowano z marmuru, dalej był już tylko beton, stary, kurzący drobnym pyłem.

Mieszkanie Tarkaniana znajdowało się na trzecim piętrze, w głębi mrocznego korytarza wypełnionego odorem gotowanej kapusty i duszonego mięsa. Podłoga wyłożona była cienkimi sześciobocznymi kafelkami, wytartymi i popękkanymi. Bourne bez problemu znalazł właściwe drzwi. Przyłożył do nich ucho, nasłuchiwał odgłosów ze środka. Nic nie usłyszał, więc otworzył zamek. Powoli przekreślił szklaną gałkę, uchylił drzwi. Słabe promienie światła przenikały przez zasłony na pół zaciągnięte na oknie z prawej strony. Przez wszechwładnie panujący tu zapach zaniedbania i pustki przebijał inny, męski: wody kolońskiej, kremu do golenia. Tarkaniana nie pozostawił wątpliwości. Nie mieszkał tu od lat. Więc... kto używał jego mieszkania?

Bourne poruszał się ostrożnie, bezgłośnie. Tam, gdzie powinien leżeć kurz, nie było go ani odrobiny. Meble powinny być okryte... i nie były. Za to w lodówce znajdowało się jedzenie, choć chleb na stole pokrywał się już pleśnią. Ktoś tu mieszkał jeszcze tydzień temu, to więcej niż pewne. Gałki otwierające drzwi do pokoi były, podobnie jak w drzwiach wejściowych, szklane i w większości wydawały się niepewnie osadzone na mosiężnych trzonach. Ściany zdobiły fotografie, pretensjonalne czarno-białe ujęcia parku Gorkiego o różnych porach roku.

Łóżko Tarkaniana nie zostało posłane. Kołdra leżała z boku, zwinęta, pognieciona, jakby ten, kto w nim spał, zerwał się nagle albo został zmuszony do szybkiego opuszczenia lokalu. Prowadzące do łazienki drzwi były uchylone.

Obchodząc łóżko, Bourne dostrzegł oprawioną fotografię pięć na siedem przedstawiającą młodą blondynkę z tą jakże charakterystyczną dla modelek całego świata pretensją urody. Zastanowił się przelotnie, czy to przypadkiem nie Gala Niemiętowa, i w tym momencie pochwycił kątem oka jakiś ruch.

Zaatakował go mężczyzna, który jeszcze przed chwilą krył się za otwartymi drzwiami do łazienki. W rękę miał rybacki nóż o szerokim ostrzu, którego czubkiem przede wszystkim spróbował pchnięcia. Bourne odtoczył się, napastnik podążył za nim. Był niebieskooki, jasnowłosy i potężnie zbudowany. Szyję i grzbiety jego dłoni zdobiły tatuaże, pamiątka z rosyjskiego więzienia.

Najlepszym sposobem zneutralizowania niebezpieczeństwa noża jest zmniejszenie dystansu do walczącego nim człowieka. Bourne odwrócił się, chwycił przeciwnika za koszulę, jednocześnie szarpnął i uderzył go czołem w nasadę nosa. Trysnęła krew, rozległo się ochryple stęknięcie i rosyjskie gardłowe przekleństwo: Bładź!

Jason dostał cios pięścią w bok. Blondyn próbował wyrwać rękę z jego uścisku. Odpowiedział naciskiem, blokując nerw u podstawy kciuka. Uderzenie w splot słoneczny poderwało go z łóżka, rzuciło na półotwarte drzwi łazienki. Trafił grzbietem na gałkę drzwi, poczuł przenikliwy ból, wygiął się w krzyżu. Drzwi otworzyły się do końca; wpadł do łazienki, przeleciał po zimnych kafelkach. Wolną dłonią Rosjanin sięgnął po steczkina APS 9 mm. Bourne kopnął go w goleń, a kiedy przeciwnik upadł na kolano, zadał mu cios w twarz. Steczkin upadł na podłogę z hałasem.

Potężny blondyn odpowiedział lawiną ciosów, Bourne znów wpadł na drzwi i znów poczuł ból. Przeciwnik już zwyciężał, już trzymał w dłoni steczkina, lecz Jasonowi udało się namacać za plecami gałkę, która kilkakrotnie boleśnie go zraniła. W momencie gdy Rosjanin wymierzył lufę w jego serce, Bourne wyrwał gałkę i cisnął nią potężnie, trafiając go w same czoło. Z przyjemnością patrzył, jak nieprzytomny napastnik osuwa się na podłogę.

Już po wszystkim. Najpierw oczywiście podniósł pistolet, potem odczekał, aż oddech wróci do normy. Zebrał siły i wreszcie podczołgał się do Rosjanina. Oczywiście nie znajdzie przy nim żadnego konwencjonalnego dowodu tożsamości, ale wcale nie oznaczało to, że nie dowie się, skąd przybył ten facet.

Ściągnął z niego kurtkę i koszulę, okiem znawcy ogarnął konstelację tatuaży. Na piersi tygrys. Wymuszanie. Lewe ramię: ociekający krwią sztylet. Morderca. Najbardziej interesujący okazał się trzeci symbol, dżin ulatniający się ze wschodniej lampy. W rosyjskich więzieniach oznaczano nim kogoś, kto trafił tu za przestępstwa powiązane z narkotykami. A Specter powiedział przecież, że dwie rosyjskie rodziny mafijne, Kazachowie i Azerowie, walczą o panowanie na rynku narkotykowym. „Nie wchodź im w drogę — ostrzegł. Błagam, żebyś ich nie prowokował. Jeśli zajdzie taka konieczność, nadstaw drugi policzek. Tylko w ten sposób można tam przeżyć”.

Bourne zamierzał zakończyć badania, gdy dostrzegł coś po wewnętrznej stronie lewego łokcia: mały tatuaż przedstawiający mężczyznę z głową szakala. Anubis, egipski bóg podziemi. Ten symbol miał chronić przed śmiercią, lecz ostatnio Kazachowie przyjęli go za swój. Co członek tak potężnej rosyjskiej rodziny robił w mieszkaniu Tarkaniana? Czyżby polecono mu go znaleźć i zabić? Jeśli tak, to dlaczego? Koniecznie musiał się tego dowiedzieć.

Rozejrzał się po łazience: umywalka z ciekącym kranem, słoiczki kremu pod oczy i pudru, ołówki do makijażu, poplamione lustro. Odsunął zasłonę prysznicza, na kratce ściekowej znalazł kilka blond włosów, długich, niewątpliwie kobiecych. Czyżby należały do Gali Niemiatowej?

Poszedł do kuchni. Tak długo grzebał w szufladach, aż w jednej z nich znalazł niebieski długopis. W łazience dobrał do niego jeden z ołówek do makijażu. Przykucnął przy Rosjaninie i przerysował jego tatuaż na swoją rękę pod łokciem, a gdy któraś z linii źle mu wyszła, natychmiast ją zmazywał.

Wreszcie, zadowolony z rezultatu, dokończył dzieła długopisem. Wiedział, że nie wytrzyma bliższych oględzin, uznał jednak, że dla potrzeb identyfikacji to, co zrobił, wystarczy. Następnie dokładnie opłukał ołówek, a tatuaż utrwalił, przyskajac nań lakierem do włosów.

Zajrzał za spłuczkę i do niej, w końcu tam najczęściej ukrywano pieniądze, dokumenty czy co tam ktoś uznał za warte schowania. Niczego nie znalazł. Miał już wyjść, ale zatrzymał się i jeszcze raz obejrzał lustro. Przyjrzał mu się bliżej; tu i tam widniały ślady czerwieni. Szminka, starannie wytarta, jakby ktoś, być może ten facet od Kazachów, przyłożył się do roboty. Dlaczego tak mu na tym zależało?

Bourne miał wrażenie, że pozostałe ślady układają się jednak w jakiś rozpoznawalny wzór. Dmuchnął na nie pudrem. Wyprodukowany na bazie ropy przylegał do śladów produkowanej w podobny sposób szminki.

Skończył, odstawił puder i cofnął się o krok. Kilka słów dało się odczytać.

— Będę w Kitajskim Liotcziku. Gdzie ty? Gala.

A więc jednak! Gala Niemiatowa, ostatnia dziewczyna Piotra, rzeczywiście tu mieszkała. Czy Piotr używał tego mieszkania, kiedy Michaił wyjeżdżał z Moskwy?

Już wychodząc, sprawdził puls blondyna. Bił powoli, lecz regularnie. Bourne'a męczyło podstawowe pytanie: dlaczego Kazachowie wysłali twardziela i byłego więźnia do mieszkania, w którym ta Gala żyła wraz z Piotrem? Czy istniał jakiś związek między Ikupowem a potężną rodziną grupperowki?

Jeszcze raz spojrział na zdjęcie dziewczyny i wyślizgnął się z mieszkania tak cicho, jak do niego wszedł. Zatrzymał się w korytarzu, wycężył słuch. W jednym z mieszkań drugiego piętra płakało dziecko, poza tym panował święty spokój. Zszedł na dół. W holu mała dziewczynka, ściskająca kurczowo rękę mamusi, próbowała wciągnąć ją na schody. Wymienił z kobietą obojętny uśmiech obcych sobie ludzi spotykających się w przypadkowym miejscu. Wyszedł na dwór i stanąłszy

pod kolumnadą, przyjrzał się ulicy. Z wyjątkiem starej babci, stąpającej ostrożnie po zdradliwym śniegu, nie dostrzegł nikogo.

Podszedł do wołgi, otworzył drzwiczki, usiadł na siedzeniu pasażera. I dopiero teraz zauważył, że po szyi Baronowa spływa krew. Jednocześnie zaciśnięty na jego krtani sznur wbił mu się boleśnie w jabłko Adama.

Cztery razy w tygodniu, po pracy, szef wsparcia w terenie Centrali Wywiadu Rodney Feir ćwiczył na siłowni w klubie odległym zaledwie kilka minut spacerem od jego domu w Fairfax w Wirginii. Spędzał jedną godzinę na bieżni, drugą — ćwicząc z ciężarami, potem brał zimny prysznic i szedł do łaźni.

Tego wieczoru czekał na niego generał Kendall. Choć niewyraźnie, dostrzegł jednak, jak otwierają się szklane drzwi. W męskiej szatni pojawiły się kłęby pary. We mgle zamajaczyła szczupła, muskularna sylwetka Feira.

— Miło cię widzieć, Rodney — powitał go generał.

Feir w milczeniu skinął głową i usiadł obok niego.

Był planem „B”, gotowym do działania, na wypadek gdyby Rob Batt nawalił. Zresztą, prawdę mówiąc, z Battem szło im znacznie gorzej niż z Rodneyem. Podjął pracę w systemie bezpieczeństwa nie dlatego, że uważał to za patriotyczny obowiązek. Nie, on lubił taki styl życia. Był po prostu leniwy. Nie chodziło o to, że nie wykonywał swej pracy, wręcz przeciwnie, wykonywał ją doskonale. Praca dla rządu i wszystkie kwestie z nią związane pasowały do niego jak ulał. Warto było stale pamiętać o tym, że cokolwiek Feir robi, robi to tylko po to, by przysłużyć się Feirowi. Najprościej mówiąc, był oportunistą i lepiej niż ktokolwiek inny w Centrali widział słowa wypisane na ścianie. Dlatego właśnie nawrócenie go na NSA okazało się tak proste i odbyło się tak gładko. Ze śmiercią Starego nadszedł kres pewnej epoki. Rodney nie miał lojalności Batta, nie trzeba było z nią walczyć.

Tylko że taka ślepa wiara w ludzi nigdy się nie opłaca i właśnie dlatego Kendall spotykał się nim od czasu do czasu. Korzystali z łaźni, brali prysznic, po czym szli na kolację do którejś z nędznych knajp specjalizujących się w barbecue, których w południowo-zachodniej części miasta Kendall znał wiele.

Były to zwykłe budy. Liczyła się tylko dziura w ziemi gdzieś, za budynkiem, w której właściciel z uczuciem piekł godzinami kawałki mięsa: żeberka, mostki, zwłaszcza ich co miększe kawałki, kiełbaski na słodko i na ostro, czasami całe wieprze. Stare, odrapane stoliki piknikowe, na których królowały sosy różnego rodzaju i różnej ostrości, ustawiano jako dekorację, bo większość ludzi kupowała tu jedzenie na wynos. Ale nie oni. Oni siadali przy stoliku, jedli, pili piwo, a wokół nich rosły stopy kości oraz zgniecionych serwetek i kawałków białego chleba, tak delikatnego, że w zetknięciu z kilkoma kroplami sosu po prostu zniknął. Od czasu do czasu Feir przerywał jedzenie i przekazywał generałowi fakty i plotki kursujące po biurach Centrali Wywiadu. Generał zamykał je w swym zmilitaryzowanym umyśle jak w stalowej klatce. Bywało, że zadawał też pytania pomagające wyjaśnić lub wzmocnić pewne kwestie, zwłaszcza jeśli dotyczyły działań Veroniki Hart i Sorai Moore.

Najadłszy się i napiwszy, po przystawkach jechali do opuszczonej biblioteki, gdzie czekało na nich główne danie. Ten budynek w stylu renesansowym kupił po cenie pogorzelniska Drew Davis, miejscowy biznesmen, znany w tej dzielnicy miasta, ale w samym mieście już nie; zależało mu na tym i ciężko na to pracował. Należał do nielicznej kategorii ludzi wystarczająco mądrych, by latać poniżej zasięgu radaru miejskiej policji, osiągnięcie tym chwalebniejsze, że, jak prawie wszyscy tutaj, Davis był czarny. Od większości miejscowych różniło go także to, że miał wysoko postawionych przyjaciół. Zawdzięczał ich biznesowi, który prowadził pod nazwą „Szklany Pantofelek”.

Pod każdym oczywistym względem był to klub muzyczny, nie tylko legalny, lecz nawet cieszący się doskonałą sławą i przyciągający najslawniejszych artystów rhythm and bluesa. Prawdziwe atrakcje poznawało się jednak za sceną, gdzie mieścił się elegancki dom publiczny specjalizujący się w kolorowych dziewczynach. Wtajemniczeni mogli tu liczyć na kobietę dowolnego pochodzenia i dowolnej rasy lub mieszanki ras; kosztowna przyjemność, owszem, ale to bywalców nie raziło, tym bardziej że dziewczyny świetnie zarabiały.

Kendall poznał lokalne rozkosze w ostatniej klasie szkoły policealnej, dzięki grupie dobrze ustawionych kumpli, którzy zabrali go ze sobą dla draki. Wcale nie chciał iść, praktycznie go zmusili, wiedział, że jeśli odmówi, będą go wyśmiewali do końca świata. Ironia losu sprawiła, że po pierwszej wizycie w Szklanym Pantofelku zakochał się w tym miejscu. Spodobało mu się tu, wyrobił sobie odpowiednie gusta, lubił mawiać, że pasuje do niego „odrobina dzikości”. Na początku powtarzał sobie, że to wyłącznie pociąg fizyczny, nieco później zrozumiał, że po prostu dobrze czuje się tu, gdzie nikt go nie zaczepia i nikt się z niego nie śmieje. A jeszcze później przyjazdy do Pantofelka stały się dla niego odtrutką na wszystko, co łączyło się z rolą giermka przy człowieku tak zakochanym we władzy jak Luther LaValle. Chryste, nawet strącony z piedestału Rob Batt był w Yale, był członkiem klubu Skull & Bones. A moim klubem jest Szklany Pantofelek, pomyślał Kendall, wchodząc do środka. Wejście na zaplecze odbywało się według przesadnie tajnego rytuału, z gatunku tych, które obowiązują wewnątrz Obwodnicy. Kendall miał tu swoje własne schronienie, tu był sam. O tym „klubie” nie wiedział nawet Luther. Dobrze było mieć przed nim sekrety.

Generała i Feira posadzono na obitych fioletowym aksamitem krzesłach; Kendall nie omieszkał zwrócić Feirowi uwagi, że fiolet jest „purpurą królów”, po czym przeprowadzono przed nimi paradę kobiet wszystkich kolorów i o różnych rozmiarach swych wdzięków. Kendall wybrał Imani, jedną z jego faworytek, Feir śniadą dziewczynę z Eurazji, półkwi Indiankę.

Przeszli do obszernych pokoi urządzonych w stylu sypialni europejskich willi: łóżka z baldachimami, tony brokatu, aksamity, girlandy, draperie. Kendall z rozkoszą przyglądał się, jak jednym zdumiewająco zręcznym ruchem Imani wyślizguje się z długiej, jedwabnej, czekoladowej szaty przewiązanej w pasie sznurkiem. Pod szatą była naga. Jej skóra lśniła w blasku lamp.

Rozłożyła ramiona. Z głębokim, chrapliwym westchnieniem generał Richard P. Kendall zanurzył się w chłodnej rzece jej nieskazitelnego ciała.

Nie mógł zaczerpnąć oddechu. Nim zaczął się dusić, wyprężył całe ciało i podciągnął nogi tak, by najpierw jedną stopą, potem drugą oprzeć się o deskę rozdzielczą. Następnie gwałtownie wyprostował kolana, rzucając się skosem na tylne siedzenie. Wylądował za nieszczęsnym Baronowem. Napastnik zmuszony był obrócić się w prawo, inaczej nie mógłby zaciskać mu drutu na szyi. Znalazł się w niezręcznej pozycji, nie miał oparcia, z którego mógł korzystać, kiedy ofiara siedziała tuż przed nim.

Bourne przycisnął stopą jego krocze, nacisnął najmocniej, jak mógł, dusił się jednak i zaczynało mu już brakować sił.

— Umieraj, pierdolcu — syknął mężczyzna. Mówił z ciężkim akcentem ze Środkowego Zachodu.

Przed oczami Jasona Bourne'a zatańczyły białe światełka, jaskrawe w gęstniejącym mroku. Było tak, jakby patrzył w tunel przez odwrotną stronę teleskopu. Nic nie wyglądało realnie, perspektywa wydawała się skrzywiona. Widział mordercę, jego ciemne włosy, okrutną twarz i to spojrzenie utkwione gdzieś wdał, typowe dla amerykańskiego żołnierza w walce. Wiedział, tez najmniejszych wątpliwości, że NSA go znalazła.

Chwilowa utrata koncentracji Jasona pozwoliła napastnikowi uwolnić się, znów zacisnąć drut z całą mocą. Bourne nie mógł już zaczerpnąć powietrza, po szyi spływała mu krew. Wydawał dziwne,

zwierzęce dźwięki. Zamrugał, próbując oczyścić oczy z łez i potu. Wszystkich pozostałych mu sił użył, by wbić kciuk w oko zabójcy. Utrzymał nacisk mimo silnych ciosów w tułów. Doznał chwilowej ulgi, bo drut już nie dusił go tak bezlitośnie.

Ulga okazała się dłuższa, niż przypuszczał. Już nie umierał. Twarz znikła, trzasnęły drzwiczki. Rozległ się tupot nóg, ucichł w oddali. Nim zdołał odwinąć drut, zaczerpnąć powietrza w pękające płuca, ulica opustoszała. Facet z NSA znikł. Pozostawił go w starej wołdze z trupem do towarzystwa.

Bourne był słaby, oszołomiony, pozbawiony nadziei.

Rozdział 18

— Nie mogę tak po prostu skontaktować się z Haydarem — powiedziała Dewra. — Po tym, co zdarzyło się w Sewastopolu, wiedzą, że na nich polujesz.

— Jeśli to prawda, to dokumentu od dawna tu nie ma — stwierdził Arkadin.

— Niekoniecznie. — Dziewczyna zakręciła łyżeczką w filiżance kawy gęstej jak soła. — Wybrali tę dziurę, bo jest tak trudno dostępna. Ale to działa w obie strony. Jest duża szansa, że nie zdążyli jeszcze przekazać dokumentu dalej.

Siedzieli w maleńkiej, całkowicie zasypanej pyłem kawiarence w Eskişehir, na zakamieniałej prowincji, nawet jak na tureckie standardy. Pełno tu było owiec, zapachów zaniedbania, nawozu i uryny — i niczego więcej. Na górskiej przełęczy hulał zimny wiatr, północne ściany szop, noszących zbiorczo dumne miano wioski, pokrywał śnieg, a sądząc po wiszących nisko ciemnych chmurach, wkrótce miało go przybyć.

— Zapomniana przez Boga i ludzi to komplement dla tej dziury — burknął Leonid. — Koniec świata. Nawet komórki nie łapią tu zasięgu!

— Śmieszne, że akurat tobie się to nie podoba. Przecież sam pochodzisz z takiej dziury, nie?

Arkadin odczuł niemal nieopanowaną żądzę wyciągnięcia jej za budynek i pobicia do nieprzytomności. Powstrzymał jednak dłoń i gniew; hodował je na inny czas, na chwilę, gdy spojrzy na Dewrę z góry, jakby dzieliły ich dziesiątki kilometrów, i wyszepta jej do ucha: „Nie obchodzisz mnie. Twoje życie nic dla mnie nie znaczy. Jeśli masz nadzieję na jeszcze chwilę życia, choćby krótką jak mgnienie, już nigdy nie spytasz mnie, gdzie się urodziłem, kim byli moi rodzice, nie zapytasz o nic, co dotyczy mnie osobiście”.

Okazało się, że wśród wielu talentów Marlene jest jeden nieoczekiwany: była zdolną hipnotyzerką. Oznajmiła, że chce zahipnotyzować Arkadina i w ten sposób dotrzeć do korzeni jego gniewu.

— Słyszałem o ludziach, których nie można zahipnotyzować. Są tacy? — zainteresował się Leonid.

— Bywają, owszem.

Okazało się, że on jest właśnie jednym z nich.

— Ty po prostu nie przyjmujesz sugestii — westchnęła dziewczyna. — Wybudowałeś mur między sobą a przeszłością. To mur nie do przebycia.

Rozmawiali w ogrodzie za willą Siemiona Ikupowa. Natura terenu — strome zbocza wzgórz — sprawiała, że wydawało się, jakby ogród był rozmiarów znaczka pocztowego. Siedzieli na kamiennych ławach pod cienistym figowcem, którego dojrzewające owoce miały wkrótce przygiąć gałęzie ku kamienistej ziemi.

— To co teraz zrobimy? — zainteresował się Leonid.

— Pytanie winno brzmieć: co ty teraz zrobisz? — Marlene przebrała, straciła liść z uda. Ubrana była w amerykańskie dżinsy i rozpiętą pod szyją koszulę, na stopach miała sandały. — Badanie twojej przeszłości miało pomóc ci odzyskać kontrolę nad samym sobą.

— Mówisz o skłonności do mordu?

— Dlaczego użyłeś tego słowa?

Leonid spojrzął jej głęboko w oczy.

— Ponieważ to prawda.

Oczy Marlene pociemniały.

— To dlaczego tak niechętnie rozmawiasz ze mną o tym, w czym mogłabym ci pomóc?

— Ty tylko chcesz zagnieździć się w mojej głowie. Myślisz, że kiedy dowiesz się o mnie wszystkiego, będziesz mieć nade mną kontrolę.

— Popęlniasz błąd. Nie chodzi o moją kontrolę nad tobą. Arkadin się roześmiał.

— A więc o co?

— O to samo co zawsze. Jak pomóc ci w uzyskaniu samokontroli.

Lekki wiatr rozwiał jej włosy; przyglądała je niecierpliwie. Zauważał takie rzeczy, nadawał im psychologiczne znaczenie. Marlene przyjmowała je po prostu, bezrefleksyjnie.

— Byłem smutnym małym chłopcem. Potem byłem złym małym chłopcem. Potem uciekłem z domu. Masz, co chciałaś? Czy to cię satysfakcjonuje?

Dziewczyna uniosła głowę, by złapać promienie słońca padające przez rzadkie liście figowca.

— Jak zmieniłeś się ze smutnego w złego? — spytała.

— Dorosłem.

— Pozostałeś dzieckiem.

— W pewnym sensie.

Przyjrzał się jej uważnie. Ręce trzymała skrzyżowane na kolanach; podniosła dłoń, dotknęła jego policzka czubkiem palca, przesunęła nim aż na brodę. Obróciła ją, przyciągnęła do swojej; poczuł jej miękkie wargi na swoich wargach. Rozchyliła je jak płatki kwiatu, dotyk języka był jak eksplozja.

Leonid stłumił groźną burzę uczuć, zdołał nawet uśmiechnąć się ujmująco.

— To bez znaczenia. Nigdy się nie cofam.

— Zgadzam się z tobą bez zastrzeżeń. — Dewra skinęła głową. Wstała. — Najwyższy czas znaleźć jakieś przyzwoite miejsce do spania. Nie wiem jak ty, ale ja chętnie wzięłabym prysznic. Potem spróbujemy skontaktować się z Haydarem tak, żeby nikt o tym nie wiedział.

Zamierzała się odwrócić, ale Arkadin chwycił ją za łokieć, przytrzymał.

— Chwileczkę.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Jeśli nie jesteś moim wrogiem, jeśli nie kłamiesz i jeśli chcesz ze mną zostać, musisz mi udowodnić swą wierność.

— Przecież mówiłam, że zrobię wszystko, czego zażadasz.

— Być może trzeba będzie zabijać. Haydar z pewnością ma ochronę.

Nie wahała się ani sekundy.

— Daj mi pieprzoną broń.

Veronica Hart miała mieszkanie na osiedlu w Langley, w Wirginii. Jak na wielu tego rodzaju osiedlach na całym świecie tak i tu mieszkali, czasowo, tysiące pracowników rządowych, w tym szpiedzy wszystkich barw i rodzajów, najczęściej przebywający akurat za granicą, a przynajmniej w innych częściach kraju.

Veronica od dwóch lat zajmowała jedno mieszkanie. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia; od czasu kiedy przeniosła się do okręgu stołecznego przed siedmiu laty, polegała wyłącznie na wynajmie. Powoli zaczynała wątpić w to, czy czułaby się szczęśliwa, gdyby znalazła sobie jakieś własne, przytulne gniazdko. W każdym razie o tym myślała, wpuszczając do budynku Sorayę Moore. Chwilę później rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

— Jestem czysta — przywitała ją Soraya, zrzucając płaszcz w przedpokoju. — Specjalnie się upewniłam.

Veronica odwiesiła płaszcz do szafy, zaprosiła ją do kuchni.

— Na śniadanie mam zimne płatki i — otworzyła lodówce — no tak, zimną chińszczyznę. To, co pozostało z zeszłego wieczoru.

— Nie jestem wielbicieleką konwencjonalnych śniadań.

— To świetnie, bo ja też.

Wyjęła z lodówki kilka kolorowych pudełek, powiedziała gościowi, gdzie znajdzie talerze, łyżeczki do nakładania dań i pałeczki. Przeniosły się do dużego pokoju, ustawiły dania na szklanym stoliku do kawy stojącym między dwiema sofami.

— Nie jesz wieprzowiny, prawda? — spytała Veronica.

Soraya uśmiechnęła się, sprawiło jej przyjemność, że szefowa zna nakazy islamu.

— Herbata? Mam earl greya i oolong.

— Dla mnie oolong, proszę.

Gospodyni zaparzyła herbatę, wróciła z kuchni z dwoma kubkami bez ucha. Zasiadły do posiłku po przeciwnych stronach stołu, na dywanie w abstrakcyjny wzór, ze skrzyżowanymi nogami. Soraya rozejrzała się dyskretnie. Na ścianach wisiało kilka obrazków, najzupełniej przeciętnych, takich, jakie widuje się w pokojach przyzwoitych hoteli bez pretensji do luksusu. Meble były najwyraźniej wynajęte i równie anonimowe jak wszystko inne. Nie dostrzegła żadnych zdjęć, ani jednego śladu czegoś mówiącego o gospodyni, o jej rodzinie. Jediną niezwykłą rzeczą było pianino.

— Tylko ono jest moje własne — powiedziała Veronica, dostrzegając zainteresowanie gościa. — To steinway K pięćdziesiąt dwa, lepiej znany jako hamburg chippendale. Ma płytę rezonansową większą niż wiele fortepianów koncertowych, co daje doprawdy rewelacyjny dźwięk.

— Grasz?

Zamiast odpowiedzi Hart podeszła do instrumentu. Zagrała pierwsze takty Nokturnu b-moll Chopina, płynnie przeszła do zmysłowej Malagueña Isaaca Albeniza, popis zakończyła krzykliwą interpretacją Purple Haze Jimmy’ego Hendriksa. Soraya zaczęła bić jej brawo.

— To mój jedyny talent, jeśli pominąć talent do pracy w wywiadzie. — Veronica wróciła na miejsce, otworzyła jeden z kartonów, nałożyła sobie kurczaka generała Tso. — Uważaj — ostrzegła gościa. — Zamawiam najostrzejsze.

— Mnie to pasuje. — I rzeczywiście, Soraya wzięła sobie sporą porcję. — Wiesz, zawsze chciałam grać na fortepianie.

— Tak? Mnie się marzyła gitara elektryczna. Ojciec się nie zgodził. Uważał, że dziewczynie nie wypada.

— Był bardzo surowy, prawda? — To pytanie zostało zadane z wyraźną sympatią.

— A pewnie. Sto procent pułkownika wojsk powietrznych. Był pilotem myśliwca, latał, kiedy to wszystko dopiero się zaczynało. Nie mógł znieść, że jest za stary na latanie, cholernie mu brakowało tego śmierdzącego olejem kokpitu. Komu miał się skarżyć, kolegom? Frustracje wyładowywał na mnie i na mamie.

Soraya skinęła głową.

— Za to mój to muzułmanin, taki ze starej szkoły. Bardzo poważny, bardzo surowy. Jak wielu ludzi z jego pokolenia we współczesnym świecie czuje się zdezorientowany. Niepewność budzi gniew. Czułam się w domu jak w pułapce. Kiedy odchodziłam, powiedział, że nigdy mi nie wybaczy.

— Wybaczył?

Soraya patrzyła przed siebie niewidzącym spojrzeniem.

— Spotykam się z mamą. Raz na miesiąc. Chodzimy razem na zakupy. Z tatą też rozmawiam, nieczęsto, ale to zawsze coś. Nigdy nie powiedział, że mogę wrócić. Więc nie wracam.

Veronica odłożyła pałeczki.

— Bardzo mi przykro.

— Niepotrzebnie. Jest tak, jak powinno być. A ty? Widujesz się z ojcem?

— Tak. Ale on już nie wie, kim jestem. Mama odeszła. Dla niej to błogosławieństwo. Nie zniosłaby jego widoku. W tym stanie...

Musi ci być ciężko. Niezwyciężony rycerz, pan przestworzy, zredukowany do szpitalnego łóżka.

— W życiu każdego człowieka nadchodzi chwila, kiedy musi pozwolić rodzicom odejść. — Hart znów jadła, choć powoli. — W tym łóżku leży ktoś, ale to nie jest mój ojciec. On zmarł przed wieloma laty.

Przez dłuższą chwilę Soraya patrzyła w talerz, po czym podniosła głowę.

— Opowiedz mi, kiedy dowiedziałas się o bezpiecznym domu NSA — poprosiła.

— Ach, to! — Veronica momentalnie odzyskała humor. Rozmowa na tematy służbowe wyraźnie jej odpowiadała. — Kiedy pracowałam w Black River, NSA często nas wynajmowała. Wówczas nie prowadzili jeszcze własnych tajnych operacji, wyhodowali je sobie później. Odpowiadaliśmy im, bo nie musieli nikomu tłumaczyć, po co dokładnie go angażują. Wystarczyło, że „pracujemy w terenie”, przygotowujemy pole bitwy dla naszych żołnierzy. Dalej nie sięgał już nikt z Capitol Hill. — Otarła usta serwetką. — Tak czy inaczej, po jednej z misji to ja wyciągnęłam krótszą słomkę i z całego zespołu właśnie mnie przypadło w udziale poinformowanie NSA o jej rezultatach. Ponieważ zadanie było tajne, zdawałam raport w bezpiecznym domu w Wirginii. Nie w tej ich pięknej bibliotece, którą znasz, ale w pokoiku w piwnicy: takim bez okien, bez ozdób, zwykły szorstki beton. Dosłownie bunker.

— Widziałas coś?

— Nie chodzi o to, co widziałam, tylko o to, co słyszałam. Te pokoiki są dźwiękoszczelne, z wyjątkiem drzwi. Pewnie dlatego, żeby strażnicy na korytarzach wiedzieli, co się dzieje. Muszę ci powiedzieć, że to było raczej nieprzyjemne doświadczenie. Głosy w niczym nie przypominały ludzkich.

— Powiedziałaś o tym swoim szefom?

— Po co? Przecież ich nic to nie obchodzi, a gdyby nawet obchodziło, co mogliby zrobić? Zażądać przesłuchań kongresowych, bo ktoś

podobno coś słyszał? NSA podcięłaby im skrzydła i w mgnieniu oka wypchnęła z biznesu. — Hart potrząsnęła głową. — Nie, ci chłopcy to tylko biznesmeni. Kierują się prostą ideologią: wydoić z rządu, ile się da.

— Więc teraz mamy szansę zrobić to, czego nie mogłaś zrobić wcześniej? Czego nie zrobiła Black River?

— No właśnie. Chcę mieć zdjęcia, nagrania, niepodważalne dowody na to, co NSA robi w tych swoich piwnicach. Osobiście dostarczę je prezydentowi. I tu wkraczacie oboje z Tyrone'em. — Zdecydowanym gestem odsunęła pudełka z chińszczyzną. — Chcę głowy Luthera LaValle'a... na półmisku. Na Boga, to jedyne właściwe dla niej miejsce!

Rozdział 19

Trup i mnóstwo krwi zmusiły Bourne'a do porzucenia wołgi, tyle że wzbogacił się o pieniądze i telefon komórkowy Baronowa. Zrobiło się przeraźliwie zimno. Wraz z przedwczesnym zimowym zmierzchem przyszedł śnieg okrywający ziemię coraz grubszym płaszczem. Jason wiedział, że musi wynosić się stąd tak szybko, jak to tylko możliwe. Przełożył kartę SIM ze swojego telefonu, który wrzucił do studzienki kanalizacyjnej, do telefonu Rosjanina. Fiodor Ilianowicz Popow nie miał prawa do aparatu amerykańskiej firmy telekomunikacyjnej.

Ruszył przed siebie pochylony pod wiatr. Przeszedł sześć przecznic, skrył się w bramie i zadzwonił do swojego przyjaciela Borisa Karpowa.

— Pułkownik Karpow nie pracuje w FSB — oznajmił głos zimny jak lód.

Zrobiło mu się jeszcze chłodniej. Rosja nie zmieniła się aż tak, by w przeszłość odeszły błyskawicznie wymierzane kary za spreparowane zarzuty.

— Popów Muszę się z nim skontaktować.

— Pracuje w Państwowej Agencji do Walki z Narkotykami — Głos wyrecytował moskiewski numer telefonu i połączenie zostało przerwane.

Teraz przynajmniej wiem, dlaczego potraktowano mnie tak przyjaźnie, pomyślał Bourne. Państwowa Agencja do Walki z Narkotykami kierowana przez Wiktora Czerkiesowa była zdaniem wielu czymś więcej niż tylko policją antynarkotkową. Niektórzy mieli ją nawet za FSB-2. Jakiś czas temu między siłowikami kierującymi jeden nią, drugi FSB, spadkobierczynią niesławnego KGB, dowodzoną przez Mikołaja Patruszewa wybuchła wojna. Jej zwycięzca miał wielkie szanse na objęcie stanowiska prezydenta Rosji. Najwyraźniej Karpow z własnej woli przeszedł z FSB do FSB-2, co oznaczało, że górę bierze Czerkiesow.

Zadzwonił pod numer agencji. Powiedziano mu, że Karpow wyjechał i nie ma z nim kontaktu.

Przez chwilę Jason Bourne zastanawiał się, czy nie zadzwonić do przyjaciela Baronowa, który wymienił się z nimi na ziła, ale odrzucił tę możliwość. Jednego człowieka już zabił, nie życzył sobie mieć więcej śmierci na sumieniu.

Ruszył dalej. Szedł tak długo, aż trafił na przystanek tramwajowy. Wsiadł do pierwszego tramwaju, który wyłonił się z mroku. Owinął szyję kupioną w Mieście Krokusów chustą, ukrywając w ten sposób pręgę po drucie, który omal nie zakończył jego życia. Krew przestała sączyć się z cienkiej ranki, gdy tylko Jason wyszedł na mróz.

Tramwaj jechał powoli, szarpiąc na zakrętach. Samotny wśród cuchnącego, hałaśliwego tłumu Bourne myślał. To, co się właśnie stało, wstrząsnęło nim do głębi. W mieszkaniu Tarkaniana wpadł na zabójcę Kazachów, a jego moskiewski kontakt nie żył, zamordowany przez zabójcę z NSA, który miał pozbawić życia jego samego. Czuł się samotny w stopniu dotychczas niespotykanym. Dzieci hałasowały, mężczyźni szeleścili gazetami, kobiety plotkowały niepowstrzymanie, starszy pan z wielkimi, sękatymi rękami wspartymi na główce laski łakomym wzrokiem przyglądał się dziewczynie zaczytanej w komiksie manga. Dookoła toczyło się życie, ale jego burzliwy nurt opływał go niczym skałą i podążał dalej, on zaś tkwił w miejscu, nieporuszony, wiecznie sam.

Wspominał Marie, jak zawsze, gdy nawiedzały go takie myśli. Ale ona odeszła i jedyną jego pociechą pozostały wspomnienia. Tęsknił za dziećmi i pytał sam siebie, czy to osobowość Davida Webba w ten sposób próbuje wydostać się na powierzchnię. Ogarnęła go rozpacz, znana, lecz odległa, wywodząca się z czasów, gdy Alex Conklin wydobył go z rynsztoka, stworzył dla niego tożsamość Bourne'a, którą ten wdział jak rycerz zbroję. Przygniotło go życie, smutne i samotne; życie, które mogło zakończyć się tylko w jeden sposób.

Wspominał także Moirę i to, jak strasznie trudne było dla niego ich ostatnie spotkanie. Gdyby okazała się szpiegiem, gdyby rzeczywiście zdradziła Martina i zamierzała zdradzić jego, jak by postąpił? Czy wydałby ją Sorai i Veronice Hart?

Okazało się jednak, że kobieta nie jest szpiegiem. Bourne nie musi łamać sobie głowy, zastanawiać się, co by zrobił, a czego by nie zrobił. Bo jeśli o nią chodzi, jego osobiste uczucia splatały się z obowiązkami wynikającymi z natury wykonywanej pracy. Wiedział, że Moira go kocha, a rozpacz, którą czuł tak dotkliwie, nie pozostawiała wątpliwości. Odwzajemniał jej miłość. Przy Moirze czuł się całością, lecz ulepioną na całkiem nową modłę. Nie była Marie... i nie chciał, żeby była Marie. Była sobą i takiej jej pragnął.

Kiedy dojechał do centrum Moskwy, śnieżycza się kończyła, porywy wiatru przewiewały już po wielkich, pustych przestrzeniach placów wyłącznie pojedyncze śnieżynki. Światła miasta szykowały się do walki z ciemną zimową nocą, czyste niebo sprawiło, że zrobiło się jeszcze chłodniej. Ulice zapchane były taksówkami Cyganów, tanimi samochodami, wyprodukowanymi w erze Breżniewa, przesuwanymi się powoli, zderzak przy zderzaku, byle tylko skasować od klienta. W miejscowym slangu nazywano je „bombilami”, te, które bombardują ze względu na doprowadzające do rozstroju żołądka prędkości, którą rozwijały, gdy tylko udało się im zdobyć pasażera.

Bourne wszedł do kawiarenki internetowej, zapłacił za dostęp komputera na piętnaście minut, wpisał „Kitajskij Liotczik”.

Okazało się, że „Kitajskij Liotczik Zhao-Da”, bo taka była pełna nazwa, po angielsku „Chiński Pilot”, to znany elitarny klub mieszczący się przy przejeździe Łubiańskim 25.

Bourne wysiadł z metra na stacji Kitaj-Gorod usytuowanej przy końcu przecznicy. Po jednej stronie znajdował się kanał, w tej chwili zamrożony na kamień, po drugiej rząd budynków różnego rodzaju i różnego przeznaczenia. Chińskiego Pilota nie sposób było przegapić, a to dzięki niemal blokującym ulicę bmw, mercedesom, SUV-om porsche oraz oczywiście mnóstwu bombili, przede wszystkim żiguli. Potężnie zbudowani faceci, wyspecjalizowani w okrutnym wyrazie nieruchomych twarzy, tak skutecznie odpychali tłum napierający na drogę do wejścia, odgradzoną aksamitnym sznurem, że czekający na okazję do zabawy goście jak pijacy spadali z chodnika. Bourne podszedł do czerwonego porsche cayenne, zastukał w szybę, a kiedy kierowca mu ją otworzył, pokazał mu trzysta dolarów.

— Kiedy wyjdę przez te drzwi, to będzie mój samochód — powiedział rozkazującym tonem.

W oczach kierowcy błysnęła chciwość.

— Oczywiście, proszę pana — przytaknął uniznienie. W Moskwie amerykańskie dolary nadal przemawiały dobitniej od słów.

— A jeśli twój klient wyjdzie wcześniej ode mnie?

— Nie ma mowy, proszę pana. Siedzi w pokoju szampańskim co najmniej do czwartej. Na ogół dłużej.

Kolejne sto dolarów wydobyło Bourne'a z rozkrzyczanego, niespokojnego tłumu. W klubie zjadł bardzo przeciętną pierś kurczaka z migdałami podaną z orientalną sałatką. Ze swego miejsca doskonale widział tonący w jaskrawym świetle bar i rosyjskich siłowików podchodzących do niego regularnie wraz ze swymi obwieszonymi diamentami, otulonymi futrami dziewczkami w minispódniczkach; dziewczkami, czyli, dokładnie mówiąc, młodymi dziewczętami, które jeszcze nie urodziły dziecka. To była rosyjska nowość; tyle że Bourne wiedział, kto tu rządzi. Przy władzy pozostali w większości ci sami ludzie, którzy

rzządzili wcześniej: albo siłowiki z KGB, albo ich potomkowie maszerujący w jednym szeregu z młodymi z Sokolnik którzy jednym krokiem przeszli drogę między straszną nędzą a nieopisanym bogactwem. Do siłowików — nazwa ta pochodzi od rosyjskiego słowa oznaczającego potęgę, władzę — zaliczali się pracownicy tak zwanych ministerstw siłowych, w tym bezpieczeństwa i wojska, którzy dorwali się do koryta w erze Putina. Ta młoda gwardia obaliła jelicynowskich oligarchów. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Siłowiki czy mafiosi, wszyscy, tak czy inaczej, byli kryminalistami. Zabijali, wymuszali, okaleczali, szantażowali; nie było wśród nich takiego, który nie miałby krwi na rękach, a żaden nie znał znaczenia słowa „sumienie”.

Wzrok Jasona Bourne’a wędrował od stolika do stolika w poszukiwaniu Gali Niemiatowej. Zdumiewające wydawało się to, że bardzo szybko wypatrzył co najmniej kilka kobiet, które z powodzeniem mogły być nią, zwłaszcza w stłumionym świetle. Bourne czuł się dziwnie, jakby miał przed sobą łań wysokich, wiotkich blondynek, jedna piękniejsza od drugiej. Popularna teoria, coś w rodzaju niekanonicznej wersji darwinizmu: przetrwanie najładniejszych — wyjaśniała, dlaczego w Rosji i na Ukrainie jest tyle niezwykle atrakcyjnych kobiet. W tych krajach każdy, kto w 1947 roku był dwudziestoparoletnim mężczyzną, musiał przeżyć jedną z najkrwawszych łaźni w historii ludzkości. Co oznacza, że należąc do zdecydowanej mniejszości społeczeństwa, mógł przebierać w kobietach. Z kim żenili się ci szczęściarze? Z kim mieli dzieci? Odpowiedź jest tak oczywista jak wyjaśnienie, skąd zarówno w tym klubie, jak i we wszystkich innych wzięły się tysiące diewoczek.

Tańczący na parkiecie gnietli się w niesamowitym tłoku, dokonanie tam jakiegokolwiek identyfikacji z tej odległości było niemożliwe. Jason wypatrzył samotną, rudowłosą dziewczynę. Podeszedł do niej i gestem zaprosił ją do tańca; bijąca z potężnych kolumn głośnikowych muzyka czyniła jakąkolwiek rozmowę niemożliwą. Nieznajoma skinęła głową, wzięła go za rękę.

Wspólnymi siłami: rozpychając się łokciami, depcząc po nogach tancerzy i odpychając ich z całej siły, zdobyli sobie kawałek wolnego miejsca.

Dwadzieścia minut tańca można było porównać z wyteżonym aerobikiem. Muzyka szła non stop, non stop migwały światła, serce non stop atakował przeraźliwy łomot basów. Tę wysokooktanową mieszankę produkowała lokalna kapela Tequilajazz.

Wodząc oczami po sali nad rudą głową dziewczynki, Jason wypatrył kolejną blondynkę; ta jednak różniła się od wszystkich innych. Chwycił partnerkę za rękę, węzowym ruchem wślizgnął się głębiej w tłum. Już dawno przestał czuć zapachy perfum, wody kolońskiej, kwaśnego potu i rozżarzonego metalu, pozostał tylko ryk produkowany przez monstrualne wzmacniacze.

Nadal tańcząc, Bourne obracał się i przesuwał, póki nie zyskał pewności. Blondyneczką tańczącą z bykowskim gangsterem była oczywiście Gala Niemiatawa.

— Już nigdy nie będzie takie jak kiedyś — powiedział doktor Mitten.

— Co to ma, do diabła, znaczyć? — Anthony Prowess siedział na niewygodnym krześle w gabinecie okulisty, mieszczącym się w bezpiecznym domu NSA, wybranym przez agencję ze względu na bliskość Moskwy. Wściekły powarkiwał na pochylającego się nad nim lekarza.

— Panie Prowess, biorąc pod uwagę pański stan ogólny, w tej chwili wolałbym nie stawiać ostatecznej diagnozy. Zaczekajmy, aż minie szok i...

— Po pierwsze, nie jestem w szoku — skłamał agent. — A po drugie, nie mam czasu na czekanie. — To akurat było prawdą; stracił trop Bourne'a i musiał odnaleźć go jak najszybciej.

Doktor Mitten westchnął. Spodziewał się takiej reakcji. Prawdę mówiąc, każda inna mocno by go zdziwiła. Niemniej ponosił zawodową odpowiedzialność za pacjenta i do diabła z tym, że wszyscy jego pacjenci pracowali dla NSA.

— W takim razie diagnoza brzmi następująco: już nigdy nie będzie pan widział na to oko. A z pewnością nie na tyle, by było to w jakiś sposób użyteczne.

Oko Prowessa znieczulone było jakimiś kroplami. Tylko po to, żeby mógł przy nim dłużej bez przeszkód cholerny konował, wysoki, chudy, kruchy, z resztkami włosów przykrywającymi łysinę, z cienką szyją i wielkim jabłkiem Adama podskakującym komicznie, kiedy przełykał albo coś mówił.

— Może jakieś szczegóły?

— Z jednej strony sądzę, że dostrzeże pan ruch oraz potrafi odróżnić światło od ciemności.

— To wszystko?

— Z drugiej zaś... — doktor zachowywał olimpijski spokój — ...kiedy opuchlizna zejdzie, może się okazać, że jest pan na to oko całkowicie ślepy.

— Świetnie! Przekazał mi pan dobrą nowinę i złą nowinę. A teraz doprowadź mnie pan do porządku, żebym mógł się stąd wynieść w cholerę.

— Rekomenduję raczej...

— Gównu mnie obchodzą jakieś rekomendacje! — Prowess nawet nie próbował się opanować. — Do roboty albo skręć ci tę twoją szyjkę kurczaka, człowieku!

Oburzony lekarz wydał policzki, ale nawet nie próbował kłócić się z agentem. Jego zdaniem ludzie tacy jak on rodzili się z umiejętnością odpowiadania ogniem na wszystko, co ich spotyka, a trening tylko szlifował tę umiejętność. Wziął się do roboty, Prowess zaś tymczasem aż się gotował. Nie udało mu się załatwić Bourne'a, to po pierwsze. Po drugie: pozwolił, by Bourne go okaleczył. Wściekał się na siebie za to, że podkulił ogon i zwiął, choć doskonale wiedział, że jeśli ofiara zyskuje przewagę, należy usunąć się z pola bitwy, i to im szybciej, tym lepiej.

Mimo tej wiedzy nie potrafił wybaczyć sam sobie. Nie żeby jakoś szczególnie cierpiał, cechowała go bardzo wysoka tolerancja na ból. Nie przejmował się także porażką, uważał ją za chwilową i miał zamiar zaradzić jej natychmiast. Chodziło o oko, wyłącznie o oko. Od dzieciństwa panicznie bał się ślepoty. Jego ojciec stracił wzrok w wypadku: przewrócił się, wysiadając z autobusu dalekobieżnego, wstrząs spowodował odklejenie siatkówek. Było to w czasach, gdy okulistyka nie dorobiła się jeszcze umiejętności ich przyklejania. Anthony miał wówczas sześć lat i przerażenie, z jakim obserwował ojca degenerującego się z pełnego życia, przemieniającego się z optymistycznego mężczyzny w gorzkiego starca, zamknięty w sobie strzęp człowieka, odcisnęło się w jego pamięci na zawsze. Paniczny strach powrócił, gdy Bourne wbił mu kciuk w oko.

Siedział teraz niewygodnie, wdychał zapach chemikaliów, którymi posługiwał się lekarz, i czuł, jak twardnieje w nim na kamień postanowienie: nie tylko dopadnie Bourne'a, ale każe mu zapłacić za swe kalcetwo. Zapłacić drogo, bardzo drogo.

A potem go zabije.

Profesor Specter prowadził zebranie rady rektorskiej, kiedy poczuł wibracje telefonu komórkowego. Natychmiast ogłosił piętnastominutową przerwę, opuścił salę i wyszedł z budynku. Dopiero gdy nabrał pewności, że nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby go podsłuchać, przyjął rozmowę. Dzwonił Niemiec, przyjaciel Baronowa, ten, z którym wymienili się na samochody. Specter słuchał go przez chwilę, z trudem wierząc swym uszom.

— Baronow nie żyje? Jak to się stało?

Rosjanin przedstawił mu przebieg wypadków.

— Agent NSA — zakończył. — Czekał na Bourne'a. On też miał zostać zaduszony garotą.

— Jason...?

— Przeżył. Ale mordercy udało się uciec.

Co za ulga!

— Znajdźcie tego człowieka, nim on znajdzie Jasona. I zabijcie go.
Czy to jasne?

— Oczywiście. Ale... czy nie powinniśmy także poszukać kontaktu z Bourne'em?

Specter zastanawiał się tylko przez chwilę.

— Nie! On osiąga najlepsze wyniki, kiedy pracuje sam. Zna Moskwę, doskonale mówi po rosyjsku, ma nasze lewe dokumenty. Zrobi to, co musi zrobić.

— Pokłada pan wiarę w jednym człowieku?

— Ty go nie znasz, Niemców, bo inaczej nie zadawałbyś głupich pytań. Żałuję tylko, że Jason nie może być nasz na zawsze.

Gdy tylko Gala Niemiętowa i jej kochaś spoceni i mocno do siebie przytuleni zeszli z parkietu, opuścił go także Bourne. Obserwował parę podchodzącą do stolika, przy którym siedzieli dwaj mężczyźni, gorąco przez nich powitana. Cała czwórka zamówiła szampana i piła go jak wodę. Odczekał, aż ponownie napełnią wysokie kieliszki, po czym podszedł do nich pewnym krokiem tak charakterystycznym dla nowego pokolenia gangsterów. Pochylił się nad ramieniem przyjaciela dziewczyny.

— Hej! — krzyknął jej do ucha. — Mam dla ciebie ważną wiadomość.

— Hej! — odkrzyknął Rosjanin, demonstrując bardzo wojowniczy nastrój. — A ty, kurwa, kto?

— Złe pytanie. — Bourne spojrział na niego wrogo. Podciągnął rękaw marynarki, na zaledwie sekundę i akurat tak wysoko, by na skórze zdażył błysnąć Anubis z lewego tatuażu. Rosjanin przygryzł wargi i usiadł grzecznie, a on szarpnięciem poderwał Galę na równe nogi.

— Wychodzimy pogadać — powiedział, odciągając ją od stolika. Dziewczyna natychmiast spróbowała mu się wyrwać.

— Zwariowałeś? Chcesz zamarznąć?

— W limuzynie będzie nam ciepło.

— No, to już coś. — Gala, wyraźnie niezadowolona, wyszczerzyła zęby w fałszywym uśmiechu. Bardzo białe zęby, wyglądające tak, jakby zaczyszczała je prawie na śmierć. Oczy miała piwne, niemal brązowe, wielkie i lekko skośne, dowód na odrobinę azjatyckiej krwi w żyłach.

Kanał i ulicę przewiewał lodowaty wiatr, gęstwa luksusowych wozów i bombili osłaniała przed nim tylko częściowo. Bourne zastukał w szybę porsche, a kierowca, który rozpoznał go natychmiast, otworzył je przed nimi bardzo uprzejmie. Wsiedli. Gala, drżąc na całym ciele, owinęła się kusym, wyłącznie dekoracyjnym futerkiem. Jason polecił włączyć ogrzewanie, kierowca spełnił jego prośbę i otulił się aż po uszy obszerną futrzaną szubą.

— Nie obchodzi mnie, co to za wiadomość — zaczęła dziewczyna wojowniczo. — Czegokolwiek chcesz, odpowiedź brzmi: „nie”.

— Jesteś pewna?

Ciekawe, do czego to prowadzi, pomyślał.

— Oczywiście, że jestem pewna. Mam dość was wszystkich próbujących dowiedzieć się ode mnie, gdzie jest Leonid Daniłowicz.

Leonid Daniłowicz. Tego imienia profesor nawet nie wymienił.

— Polujemy na ciebie, bo on jest pewien, że wiesz. — Bourne nie miał pojęcia, co mówi. Prowadził ten dialog z nadzieją, że w którymś momencie dziewczyna się przed nim otworzy.

— Nic nie wiem. — Tym razem Gala użyła głosu rozżłoszczonej małej dziewczynki. — Ale nawet gdybym wiedziała, to bym wam nie powiedziała. Możecie to powtórzyć temu waszemu Masłowowi. — Niemal splunęła nazwiskiem przywódcy Kazachów Dimitrija Masłowa.

A jednak dokądś zmierzamy, pomyślał Bourne. Tylko... dlaczego Masłow ściga tego jakiegoś Leonida Daniłowicza i co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Piotra? Warto spróbować zadać jeszcze parę pytań.

— Ty i Leonid używaliście mieszkania Tarkaniana. Dlaczego?
Nim skończył mówić, wiedział, że popełnił błąd. Wyraz twarzy Gali zmienił się raptownie, oczy się zwęziły, głos stał się bardziej gardłowy.

— Co, do cholery! Przecież wiesz! Musisz wiedzieć!

Musiał improwizować. Bez wahania.

— Chcę to usłyszeć od ciebie. Do tej pory miałem relacje z trzeciej ręki. Ktoś mógł coś pominąć.

— A co tu jest do pominięcia? Leonid i Michał byli najlepszymi przyjaciółmi.

— I tam spędzałaś nocę z Piotrem?

— Aha! O to wam chodzi? Piotr zlecił zabójstwo Borii Maksa, i to gdzie? W więzieniu. W Kolonii Karnej o Zaostrzonym Rygorze Trzy-naście. Kto mógł tego dokonać? Wślizgnąć się do środka, załatwić ich mordercę, kontraktowego zabójcę sprytnego i silnego jak byk, po czym wyjść jak gdyby nigdy nic?

— Właśnie to interesuje Masłowa — powiedział Bourne, bo przy-najmniej tyle mógł powiedzieć bezpiecznie. Gala zaczęła dłużyć pod tipsami, zorientowała się, co robi, i przerwała zawstydzona.

— Podejrzewa, że to robota Leonida, bo on jest znany z takich po-pisów. Nikt inny nie dałby rady, to pewne.

Najwyższa pora trochę ją przycisnąć.

— No to trafił w dziesiątkę.

Gala tylko wzruszyła ramionami.

— Dlaczego chronisz Leonida Daniłowicza?

— Kocham go.

— Tak jak kochałaś Piotra?

— Dureń z ciebie. — Rosjanka roześmiała się perliście. — Nigdy nie kochałam Piotra. Siemion Ikupow nieźle mi zapłacił za tę robotę.

— A Piotr zapłacił za twoją zdradę życiem.

Dziewczyna spojrzała na niego zupełnie inaczej niż poprzednio.

— Kim ty jesteś? — spytała nagle. Zignorował to pytanie.

— Gdzie w tym czasie spotykałaś się z Ikupowem?

— Nigdy się z nim nie spotkałam. Leonid był pośrednikiem.

Bourne myślał intensywnie. Gala dostarczyła mu klocków... czy potrafi zbudować z nich właściwą konstrukcję?

— Przecież musisz wiedzieć, że to Leonid zamordował Piotra. — Sam oczywiście nic nie wiedział, ale to akurat wydawało się bardzo prawdopodobne.

Gala pobladła.

— Nie! To niemożliwe!

— Tylko mi nie mów, że nie wiesz, co zaszło. Ikupow nie załatwił go własnoręcznie, to powinno być jasne nawet dla ciebie. — Widział, jak w oczach dziewczyny pojawia się wyraz panicznego strachu. — A skoro nie palił się do roboty sam, jak myślisz, komu zaufał? Tylko Leonid wiedział, że szpiegujesz Piotra dla niego.

Trafił. Powiedział prawdę i ta prawda wypisana była na twarzy dziewczyny tak wyraźnie, jak wyraźnie widać wyłaniający się z mgły drogowskaz. Jason wykorzystał to, że nadal odczuwa skutki szoku.

— Podaj mi nazwisko Leonida.

— Co?!

— Rób, co każę! To może być jedyny sposób, żeby ocalić go od śmierci z rąk Kazachów.

— Przecież... ty jesteś Kazachem.

Bourne podciągnął rękaw marynarki i tym razem pozwolił jej dokładniej przyjrzeć się tatuażowi.

— Czekali dziś na niego w mieszkaniu Tarkaniana — powiedział.

— Nie wierzę ci. — Gala patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. — A ty... co tam robiłeś?

Na to pytanie też nie dostała odpowiedzi.

— Misza Tarkanian nie żyje. Chcesz pomóc mężczyźnie, którego, jak twierdzisz, kochasz?

— Kocham Leonida! Nic mnie nie obchodzi, co zrobił!

Nagle kierowca zaklął szpetnie, obrócił się w fotelu.

— Mój klient idzie — oznajmił.

— No, już — naciskał Bourne. — Zapisz mi jego nazwisko!

— Coś musiało się stać w tej części dla VIP-ów! Cholera, jest strasznie wkurzony. Wysiadka, kochani. Już!

Bourne chwycił Gałę, otworzył drzwi od ulicy, omal nie trafiając nimi w błotnik mijającej ich bombili. Zatrzymał ją, machając garścią rubli, i jednym krokiem przekroczył przepaść dzielącą zachodnie bogactwo od wschodniej nędzy. Kiedy wsiadał do żiguli, Gała zdołała się mu wyrwać. Zdażył jeszcze złapać ją za futerko, ale zrzuciła je i pobięła przed siebie. Taksówkarz przycisnął gaz, wewnątrz samochodu wypełnił dym diesla tak gęsty, że trzeba było pospiesznie otworzyć okno. Bourne zobaczył przez nie wybiegających z klubu dwóch mężczyzn, którzy poprzednio siedzieli przy stoliku dziewczyny. Rozejrzeli się, jeden z nich dostrzegł uciekającą, kiwnął na drugiego i obaj rzucili się w pogoń.

— Za tymi ludźmi — krzyknął Bourne. Taksówkarz o płaskiej twarzy Azjaty, gruby, spocony, mówiący po rosyjsku tak podle, że nie mógł to być jego rodzinny język, bardzo się zdziwił.

— Żartujecie, nie?

— Nie żartuję!

Na przednie siedzenie posypały się kolejne ruble. Taksówkarz wzruszył ramionami, z wysiłkiem wbił pierwszy bieg, wcisnął gaz.

Dwaj mężczyźni z klubu dogonili Gałę Niemiatawą.

Rozdział 20

Dokładnie w tej samej chwili Leonid Daniłowicz i Dewra zastanawiali się, jak zbliżyć się do Haydara tak, by ludzie Dewry się o tym nie dowiedzieli.

— Najprościej byłoby znaleźć go tam, gdzie bywa regularnie — stwierdził Leonid. — Ale musielibyśmy wiedzieć, dokąd zazwyczaj chodzi i co robi, a to wymaga czasu.

— Mam sposób.

Siedzieli obok siebie na łóżku, w pokoju, który wynajęli w małej gospodzie. Pokój ten, znajdujący się na parterze, nie reprezentował sobą niczego szczególnego, ot, łóżko, krzesło, kulawa komoda, ale należała do niego łazienka, w łazience zaś był prysznic, z którego skorzystali po kolei. Najprzyjemniejszą niespodzianką było to, że leciała z niego ciepła woda. Bez ograniczeń!

— Haydar jest graczem. Niemal co wieczór chodzi do kawiarni, mają tam własny pokój na tyłach lokalu. Właściciel nie każe im płacić. Raz na tydzień nawet do nich dołącza. — Dziewczyna zerknęła na zegarek. — Założę się, że właśnie tam siedzi.

— I co nam z tego przyjdzie? Jego ludzie z pewnością go pilnują.

— Oczywiście. I dlatego nawet się do tej kawiarenki nie zbliżymy.

Dwie godziny później siedzieli już w wynajętym samochodzie zaparkowanym na poboczu dwupasmowej szosy z wygaszonymi światłami i powoli zamarzali na kość. Śnieżycą, która wydawała się nieunikniona, przeszła gdzieś bokiem. Na niebie wisiał księżyc w pierwszej kwadrze, najstarsza latarnia Starego Świata; blask jego promieni oświetlał pasma chmur i lśniące błękitnawo, zamarznięte pryzmy śniegu.

— Tędy jeździ sobie pograć i wraca. — Dewra wygięła dłoń tak, by móc odczytać godzinę w księżycowym świetle. — Lada chwila...

— Tylko wskaż mi samochód — przerwał jej Leonid. Palcami jednej ręki ścisnął tkwiący w stacyjce kluczyk, drugą trzymał na dźwigni biegów. — Resztę zostaw mnie. I lepiej być przygotowanym na wszystko. Może mieć eskortę.

— Nawet jeśli go pilnują, to ochrona jedzie razem z nim. Te drogi są tak fatalne, że niemal nie sposób się za kimś utrzymać.

— Jeden samochód? Tym lepiej.

Niemal w tej samej chwili dostrzegli błysk światła niżej, u stóp wzgórza. Dewra wyprostowała się na siedzeniu.

— Ktoś jedzie. To ten kierunek.

— Znasz jego samochód?

— Nie martw się, poznam. Tutaj prawie nic nie jeździ. Jeśli już, to stare furgonetki z dostawami.

Łuna na dole robiła się coraz jaśniejsza. Wreszcie dostrzegli reflektory wozu, który wspiał się właśnie na szczyt wzgórza. Świeciły nisko, to musiał być samochód osobowy.

— Jedzie — powiedziała Dewra.

— Wskakuj. Już! I biegnij.

— Ruszaj — polecił taksówkarzowi Bourne. — Na pierwszym biegu. I czekaj, co ci powiem.

— Nie sądzę, aby...

Bourne ani myślał go słuchać. Wyskoczył na chodnik, pobiegł za mężczyznami, którzy złapali Galę. Jeden z nich trzymał ją mocno, drugi obracał się właśnie, unosząc rękę, prawdopodobnie chciał przywołać jeden z parkujących samochodów. Dostał w brzuch splecionymi dłońmi, a kiedy złożył się wpół, zarobił także cios kolanem w szczękę. Jego zęby stuknęły o siebie tak głośno, że słysząc je było mimo hałasów ulicy. Bezwładnie osunął się na beton. Jego kumpel się obrócił i zasłaniając się dziewczyną, próbował wyciągnąć broń. Bourne był dla niego za szybki. Zdążył go chwycić, facet spróbował uniku i w tym momencie dziewczyna mocno przydepnęła mu nogę. To najzupełniej wystarczyło. Jedną ręką Jason przyciągnął Galę do siebie, drugą wymierzył potężny hak w krtań faceta. Dławiąc się, walcząc o oddech, mężczyzna instynktownie podniósł ręce w spóźnionym, obronnym geście. Dwa szybkie proste na tułów jego też pozbawiły przytomności.

— Biegiem!

Ciągnąc za sobą Galę, Bourne podbiegł do starego żiguli jadącego powoli z otwartymi drzwiami. Wepchnął dziewczynę do środka, wskoczył za nią, zatrzasnął drzwi.

— Jazda! — krzyknął. — Szybko.

Trzęsąca się z zimna Gala przede wszystkim zamknęła okno.

— Nazywam się Jakow — przedstawił się uprzejmie taksówkarz, wyciągając szyję, żeby obejrzeć ich sobie we wstecznym lusterku. — Dobrze mnie zabawiliście, dobry wieczór. Będzie jeszcze trochę? Do kąd chcecie?

— Wystarczy, że trochę pojeździsz w kółko.

Kilka przecznic dalej Bourne zorientował się, że Gala Niemiętowa nie spuszcza z niego wzroku.

— Nie kłamałeś — powiedziała zdyszana.

— Ty też powiedziałaś mi prawdę. Kazachowie są pewni, że wiesz, gdzie jest Leonid. To widać.

— Leonid Daniłowicz Arkadin. — Przerwała. Nadal z trudem łapała oddech. — No to już znasz jego nazwisko. Tego chciałeś, prawda?

— Tak naprawdę to chcę się spotkać z Dimitrijem Masłowem.

— Przywódcą Kazachów? Oszalałeś?

— Leonid bawił się z bardzo złymi chłopcami. I przy okazji udało mu się mocno narazić ciebie. Muszę przekonać Masłowa, że nie wiesz, co się z nim dzieje. Tylko wtedy będziesz bezpieczna.

Drżąca na całym ciele dziewczyna z trudem włożyła futrzaną kurtkę, otuliła nią drobne ciało.

— Dlaczego mnie uratowałeś? Dlaczego to robisz?

— Nie pozwolę, żeby Arkadin rzucił cię lwom na pożarcie.

— To nie jego wina! On by tego nie zrobił!

— Jak nazwiesz to, co zrobił?

Gala otworzyła usta, zamknęła je, mocno przygryzła wargi, jakby w bólu mogła znaleźć odpowiedź.

Dojechali do ulicy Ogrodowej, po której samochody pędziły z oszalamiającą prędkością. Taksiarz miał wreszcie zasłużyć na określenie „bombila”.

— Dokąd? — rzucił przez ramię.

Odpowiedziała mu cisza. Przerwała ją Gala, podając mu adres.

— A to, do diabła, gdzie?

Była to kolejna charakterystyczna cecha tutejszych kierowców. Ponieważ prawie nikt z nich nie był moskwaninem, większość nie miała pojęcia, co się gdzie znajduje. Dziewczyna spokojnie wyjaśniła mu, jak ma jechać. Żiguli plunął kłębem dymu i z hukiem i brzękiem włączył się w szalony moskiewski ruch.

— Nie możemy wrócić do mieszkania Miszy — wyjaśniła — więc prześpimy się u mojej przyjaciółki. Jej to nie przeszkadza.

— Kazachowie coś o niej wiedzą?

— Nie... nie sędzę.

— Nie możemy ryzykować. — Bourne wymienił nazwę jednego z nowych, prowadzonych przez Amerykanów hoteli niedaleko placu Czerwonego. — To ostatnie miejsce, w którym będą cię szukać.

Taksówkarz ze zgrzytem zmienił biegi. Pędzili przez gwiaździstą moskiewską noc.

Kiedy Arkadin został sam w aucie, włączył silnik. Przydepnął gaz tak mocno, że aż tyłem głowy uderzył w zagłówek. Tuż przed uderzeniem w prawy tylny błotnik samochodu Haydara na moment włączył światła. Ochroniarze siedzieli na tylnym siedzeniu, w momencie zderzenia właśnie się odwracali.

Kierowca stracił panowanie nad wozem, tył uciekł w lewo. Leonid przyhamował gwałtownie, wspomógł obrót, uderzając w prawe drzwi pasażera i wgniatając je głęboko. Haydar, do tej pory walczący z kierownicą, już nie zareagował. Zatrzymał się po obrocie o sto osiemdziesiąt stopni; maska wskazywała teraz kierunek, z którego przyjechał, tył rąbnął w drzewo. Zderzak pękł na pół, bagażnik osiadł na ziemi. Nie mieli szansy ruszyć się w którąkolwiek stronę.

Arkadin zjechał na pobocze, wrzucił luz, zaciągnął ręczny. Bardzo ostrożnie podszedł do samochodu Haydara oświetlonego reflektorami jego wozu. Kierowca przeżył, chyba nawet nic mu się nie stało, choć niewątpliwie był w szoku. Leonid widział tylko jednego z ochroniarzy siedzącego z głową odrzuconą do tyłu i przechyloną na bok; jego twarz była zalana krwią. W ostrym świetle wydawała się czarna, błyszcząca.

Podszedł bliżej; na jego widok Haydar skulił się przerażony. Ale Arkadin tylko sprawdził tylne drzwi. Ani jedno, ani drugie nie dały się otworzyć, więc łokciem wybił najbliższe okno. Zajrzał do środka. Jednego z ochroniarzy siła uderzenia przerzuciła przez całą szerokość samochodu. Półleżał na kolanach tego z zakrwawioną twarzą. Obaj się nie ruszali.

W momencie kiedy Leonid sięgał po kierownicę, żeby wyciągnąć go z samochodu, z mroku zaatakowała Dewra. Rzuciła się szczupakiem na Leonida z takim impetem, że zdołała go przewrócić. Haydar rozpoznał ją, ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

Przed jego autem toczyła się walka; przeciwnicy to wpadali w krąg nadal świecących reflektorów, to znikali w mroku. Dziewczynie udało się kilka razy uderzyć znacznie od niej większego przeciwnika, było jednak jasne, że przewaga zaskoczenia nie starczy jej na długo. Nagle się cofnęła. Błysnął nóż. Kilkakrotnie pojawiał się w błysku światła, by po chwili zniknąć w ciemności.

A potem jego oczom ukazała się Dewra. Oddychała ciężko, dłonie miała puste; nóż zostawiła pewnie w ciele przeciwnika. Zatoczyła się, zmęczona i zszokowana walką, po czym powoli podeszła do Haydara. Szarpnięciem otworzyła drzwi.

— Nic ci nie jest? — spytała.

Skurczył się i cofnął, ale skinął głową.

— Powiedzieli mi, że obróciłaś się przeciwko nam, grasz dla drugiej strony.

— Jasne! — Dziewczyna się roześmiała. — Sukinsyn w to właśnie miał uwierzyć. Dopadł Szumienkę, potem zabił Filię. Wtedy uznałam, że przeżyję tylko wówczas, kiedy będę tańczyła, jak mi zagra, i czekała na okazję, żeby go zabić.

Haydar skinął głową.

— To ostatnia walka. Decydująca — powiedział. — Myśl, że możesz stać się naszym wrogiem, była przygnębiająca. Wiem, niektórzy twierdzą, że awansowałaś pod Piotrem, ale nie ja. Nie ja.

Szok ustępował powoli, w jego oczach zabłysł dawny spryt.

— Gdzie przesyłka? — spytała dziewczyna. — Jest bezpieczna?

Dziś wieczorem dałem ją Heinrichowi. Przy kartach.

— Wyjechał do Monachium?

— A po cholere miałby tu zostawać choćby minutę dłużej niż to konieczne? Przecież nienawidzi tego miejsca. Zakładam, że pojechał do Stambułu na lot późnym popołudniem, jak zwykle. — Widać było, że te pytania zaczynają go dziwić. Przymrużył oczy. — Do czego zmierzasz?

Nagle krzyknął cienko; to z ciemności wyłonił się Arkadin. Haydar ze strachem spoglądał to na niego, to na Dewrę.

— Co to znaczy? Przecież widziałem, jak pchnęłaś go nożem!

— Widziałeś to, co chcieliśmy, żebyś widział. — Leonid podał Dewrze pistolet. Bez wahania strzeliła Haydarowi między oczy i oddała Arkadinowi broń kolbą do przodu.

— Miałam udowodnić, co jestem warta, tak? — spytała głosem, w którym wyraźnie zabrzmiała nuta wyzwania. — To ci wystarczy?

Bourne wynajął pokój w hotelu Metropol jako Fiodor Ilianowicz Popow. Nocny recepcjonista nawet nie mrugnął na widok Gali, nie poprosił jej o dokumenty; dowód tożsamości Popowa w zupełności mu wystarczył. Hol, z jego połączanymi kinkietami, mnóstwem równie złotych, dekoracyjnych drobiazgów oraz kryształowymi kandelabrami, wyglądał jak żywcem przeniesiony z czasów carskich. Projektanci zagrali na nosie architekturze sowieckiego brutalizmu.

Jedną z, obitych jedwabiem wind pojechali na siedemnaste piętro. Bourne otworzył drzwi do pokoju specjalną kodowaną kartą, wszedł pierwszy, sprawdził, czy wszystko w porządku, i gestem zaprosił Galę do środka. Dziewczyna zrzuciła futerko, usiadła na łóżku; jej minispódniczka podjechała jeszcze wyżej, ale tym się szczególnie nie przejęła. Pochyliła się, oparła łokcie na kolanach.

— Dziękuję za uratowanie mi życia — powiedziała. — Ale, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co będę teraz robić.

Jason przyciągnął sobie krzesło stojące przy biurku. Rozsiadł się w nim wygodnie.

— Pierwszą rzeczą, którą teraz zrobisz, będzie szczere wyznanie: wiesz, gdzie jest Arkadin, czy nie?

Rosjanka zapatrzyła się w dywan między stopami. Potarła dłońmi ramiona, jakby nadal marzła, choć w pokoju było przyjemnie ciepło.

— W porządku — przerwał milczenie Bourne. — Porozmawiajmy o czymś innym. Słyszałaś coś o Czarnym Legionie?

Gala podniosła głowę, zmarszczyła brwi.

— Wiesz, to trochę dziwne, że zadajesz to pytanie właśnie teraz.

— Dlaczego?

— Leonid o nich wspominał.

— Należy do Legionu?

Nie trafił, wywołał tylko wybuch śmiechu.

— To chyba jakiś żart. Nie, to nie tak, żeby akurat mnie o nich opowiadał. To znaczy... no... wymieniał tę nazwę od czasu do czasu. Kiedy szedł do Iwana.

— Kim jest ten Iwan?

— Iwan Wołkin. To jego stary przyjaciel. Kiedyś był w grupce rowce. Wiem od Leonida, że przywódcy pytają go czasami o to i owo, więc zna wszystkich graczy. Teraz jest kimś w rodzaju oficjalnego kronikarza podziemia. W każdym razie Leonid często do niego wpadał.

Interesujące.

— Możesz mnie z nim skontaktować?

— Czemu nie? Wiem, że jest nocnym markiem, Leonid odwiedzał go zwykle bardzo późno. — Gala wygrzebała telefon Komórkowy z torebki, przejrzała spis numerów, znalazła właściwy. Rozmawiała z kimś przez dobrych kilka minut, wreszcie przerwała połączenie. — Spotka się z nami za godzinę — oznajmiła.

— To świetnie.

— No nie wiem. Jeśli sądzisz, że Iwan wie, gdzie on teraz jest, to grubo się mylisz. Leonid nikomu nie powiedział, dokąd jedzie. Nawet mnie.

— Musisz go bardzo kochać.

— Kocham.

— On ciebie też?

Gala podniosła wzrok. Oczy miała pełne łez.

— Tak. On też mnie kocha.

— I dlatego wzięłaś pieniądze za szpiegowanie Piotra? I dlatego tak szampańsko bawiłaś się dziś z tym facetem w Chińskim Pilocie?

— Chryste, przecież to nie ma żadnego znaczenia!

— Nie rozumiem. — Bourne spojrział na nią zdziwiony. — Dlaczego to nie ma żadnego znaczenia?

Rosjanka przyglądała mu się przez bardzo długą chwilę. Wreszcie przerwała milczenie.

— Co się z tobą dzieje? Naprawdę nic nie wiesz o miłości? — Po policzku spłynęła jej łza, najpierw jedna, potem było ich już więcej. — Nieważne, jak zarabiam; pieniądze pozwalają mi żyć. Jakkolwiek traktuję swe ciało, nie ma to nic wspólnego z miłością. Miłość to sprawa serca i tylko serca, a moje serce należy do Leonida. Jest święte, czyste. Nikt nie zdoła go skalać.

— Być może znamy różne definicje miłości. Potrząsnęła głową.

— Nie masz prawa mnie sądzić.

— Oczywiście. I wcale nie zamierzałem. Jakoś nie potrafię zrozumieć miłości, to wszystko.

— Tak? Dlaczego?

Bourne się zawahał, ale odpowiedział:

— Straciłem dwie żony, córkę i wielu przyjaciół.

— Czy straciłeś także miłość swojego życia?

— Nie wiem, co to znaczy.

— Miałam brata... zginął w mojej obronie. — Gala zadrżała, nie mogła się uspokoić. — Tylko jego. Nikt nigdy nie będzie mnie kochał tak jak on. Po śmierci rodziców byliśmy nierozłączni. Przysiągł, że nie dopuści, by stało mi się coś złego. Spełnił tę obietnicę, choć zaprowadziło go to do grobu. — Rosjanka wyprostowała się dumnie, w jej

spojrzeniu pojawiło się wyzwanie. — Czy wreszcie mnie rozumiałeś?

Jason Bourne uświadomił sobie, jak wielki błąd popełnił, nie doceniając tej dziewczynki. Czy tak samo pomylił się w ocenie Moiry? Bo przecież, choć przyznał, co do niej czuje, podświadomie zdecydował, że nie ma na świecie kobiety tak silnej i niewzruszonej jak Marie, a to przekonanie okazało się błędne. Za zrozumienie, jak bardzo się pomylił, powinien podziękować tej Rosjance.

A ona tymczasem przyglądała mu się uważnie. Jej nagły gniew chyba się wypalił.

— Pod wieloma względami bardzo przypominasz Leonida. Już nigdy nie podejmiesz tego wyzwania, już nigdy nie zaufasz miłości. Tak jak on zostałeś kiedyś strasznie skrzywdzony. I przez to, rozumiesz, twoja terażniejszość jest równie ponura jak przeszłość. Ocalenie znajdziesz wyłącznie w miłości.

— Kiedyś je znalazłem. Moja miłość nie żyje.

— Nie masz nikogo?

— Mam. — Bourne skinął głową. — Może...

— A więc przyjmij miłość, zamiast przed nią uciekać. — Dziewczyna mocno zacisnęła dłonie. — Przytul ją do serca. Gdyby zamiast ciebie siedział tu Leonid Daniłowicz, powiedziałabym mu to samo.

Trzy przecznice dalej przy krawężniku stała taksówka. Jej kierowca Jakow wyjął telefon komórkowy, wcisnął przycisk szybkiego wybierania, a kiedy usłyszał znajomy głos, powiedział:

— Niecałe dziesięć minut temu wysadziłem ich przed Metropolem.

— To teraz ich pilnuj. Jeśli wyjdą z hotelu, najpierw mnie o tym zawiadomisz, a potem pojedziesz za nimi. Taksówkarz przyjął polecenie, zawrócił, znalazł sobie miejsce dokładnie naprzeciw wyjścia. Po

czym wybrał inny numer i tę samą wiadomość przekazał innemu klientowi.

— Niewiele brakowało, a już mielibyśmy tę przesyłkę — powiedziała Dewra. Szli do swojego samochodu, zostawiając za sobą wrak i trupy. — Powinniśmy jak najszybciej ruszać do Stambułu. Kolejny kontakt Heinrich ma nad nami ładnych kilka godzin przewagi.

Ruszyli przez noc, pokonując serpentyny, skręty, rozjazdy. Towarzyszyły im dostojne, milczące wyniosłe góry ustrojone w białe etole śniegu. Droga była dziurawa, jakby przed chwilą przeszedł tędy sztorm. Trafili na połać czarnego lodu, stracili przyczepność, ale Arkadin zachował spokój. Skontrolował poślizg, wrzucił luz, kilkakrotnie łagodnie przycisnął hamulec, wreszcie wyłączył silnik. Zatrzymali się tuż przy pryzmie śniegu.

— Mamy tylko nadzieję, że Heinricha spotkało to samo — powiedziała Dewra.

Leonid spróbował ruszyć, ale brakowało mu przyczepności. Posadził dziewczynę za kierownicą, a sam poszedł po coś, co mógłby podłożyć pod tylne koła. W bagażniku nie znalazł niczego użytecznego, zdecydował się więc ułamać w niedalekim lesie kilka sporych gałęzi. Podłożył je pod prawą tylną oponę. Dwukrotnie klepnął błotnik, dziewczyna dodała gazu, silnik rzeził. Koła zabuksowały, wyrzucając w powietrze ostre odłamki śniegu, chwyciły przyczepność, przetoczyły się przez gałęzie.

Zamienili się miejscami i Arkadin pojechał dalej. Niebo zasnuły chmury, na przełęczu zrobiło się bardzo ciemno. Byli sami, w promieniu wielu kilometrów gęsty mrok rozpraszały tylko światła ich reflektorów. A potem zza chmur wypłynął księżyc i ich fragment światła zapłonął upiorną, błękitnąwą poświatą.

— W takich chwilach tęsknię za moim Amerykaninem — powiedziała Dewra rozmarzonym głosem. Pótleżała w fotelu, z głową na zagłówku. — Pochodził z Kalifornii. Najbardziej kochałam jego opowieści o surfingu. Mój Boże, cóż to za dziwny sport! Wyłącznie amerykański, co? Pamiętam, jak myślałam sobie, że cudownie byłoby żyć w krainie czystego nieba i słońca, jeździć kabrioletem po niekończącej się autostradzie, pływać w oceanie, gdy tylko przyjdzie ci na to ochota.

— Amerykański sen — powiedział Arkadin kwaśno.

Dewra westchnęła.

— Kiedy dowiedziałam się, że wyjeżdża, bardzo chciałam, żeby wziął mnie ze sobą.

— Mój przyjaciel Misza bardzo chciał, żebym ja go wziął ze sobą, ale to było dawno temu.

— Dokąd? — zainteresowała się dziewczyna.

— Do Ameryki. — Arkadin się roześmiał, w jego śmiechu nie było jednak wesołości. — Ale nie do Kalifornii. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia, oszalał na punkcie Ameryki. Dlatego go nie zabrałem. Jedziesz gdzieś do pracy, zakochujesz się w tym miejscu i już nie chce ci się pracować. — Przerwał na chwilę, musiał przeprowadzić samochód przez ostry, niebezpieczny zakręt. — Tego mu oczywiście nie powiedziałem. Nie potrafiłbym go tak skrzywdzić. Obaj dorastaliśmy w slumsach, wiesz? Cholernie ciężkie życie. Bili mnie tak często, że w końcu przestałem liczyć. I nagle on się pojawił. Był większy ode mnie, ale nie o to chodziło. Nauczył mnie, jak posługiwać się nożem, nie tylko wyprowadzać pchnięcia, rozumiesz, ale także miotać. Potem zaprowadził mnie do jednego faceta, którego dobrze znał, małego, chudego, bez odrobiny tłuszczu pod skórą. Na dzień dobry padłem, bolało tak, że aż oczy zaszyły mi łzami. Zapytał mnie, czy chciałbym tak umieć, a ja zapytałem jego: „Kurwa, gdzie mam się zapisać?”

Nagle błysnęły światła jadącej z przeciwną ciężarówki, niemal całym ich oślepiając. Arkadin zwolnił, odczekał, aż ich minie, po czym mówił dalej:

— Misza to mój najlepszy przyjaciel. A właściwie jedyny przyjaciel, którego mam. Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

— Spotkam się z nim, kiedy wrócimy do Moskwy?

— Teraz jest w Ameryce. Ale zabiorę cię do jego mieszkania, z którego korzystam. To przy bulwarze Frunzeńskim. Z okna dużego pokoju widać park Gorkiego. Piękny widok. — Nie martwiło go, że mieszka tam teraz Gala. Wiedział, jak się jej pozbyć. Żaden problem.

— Z pewnością mi się spodoba. — Dewrze sprawiło wielką ulgę, że Leonid wreszcie zaczął mówić o sobie. Zacheęcona tym, że się otworzył, spytała: — A co robiłeś w Ameryce?

Nagle, bez widocznego powodu, nastrój przysł. Arkadin wcisnął hamulec.

— Ty prowadzisz — powiedział krótko.

Dziewczyna przyzwyczaiła się już do jego nagłych zmian nastroju, obserwowała jednak uważnie, jak obchodzi samochód dookoła. Następnie przesunęła się na siedzenie kierowcy. Ruszyła, gdy tylko zajął miejsce obok niej i zatrzasnął drzwiczki. Nie miała pojęcia, w jaki chwili punkt udało się jej trafić.

— Wkrótce wyjedziemy na przyzwoitą szosę — powiedziała wyłączenie po to, by przerwać niezręczne milczenie. — Marzę tylko o tym, by wpełznąć do ciepłego łóżka.

Arkadin musiał kiedyś przejąć inicjatywę w ich stosunkach, ta chwila była nieunikniona. Przyszła, kiedy Marlene spała. Podkraść się korytarzem do drzwi jej pokoju. Otwarcie zamka za pomocą drutu od korka do szampana, który pili podczas kolacji z Ikupowem, było dla niego dziecięcą igraszką. Jako muzułmanin sam gospodarz nie spożywał oczywiście alkoholu, ich jednak nie obowiązywały religijne restrykcje. Butelkę otwierał Leonid i tak oto zaopatrzył się w narzędzie włamywacza.

Pokój pachniał dziewczyną: cytrynami i piżmem; kombinacja, która zawsze go podniecała. Księżyc w pełni niemal dotykał horyzontu, wyglądał tak, jakby Bóg ścisnął go między palcami.

Przez chwilę stał nieruchomo, słuchając jej głębokiego, równego oddechu, od czasu do czasu przerywanego chrapnięciem. Zaszleściła pościel; Marlene odwróciła się na prawy bok, plecami do niego. Odczekał jeszcze chwilę, a gdy rytm jej oddechu pozostał niezmienny, podszedł bliżej. Klęknął na łóżku, nad jej nieruchomym ciałem. Promienie księżycy oświetlały głowę i ramiona Marlene, szyja pogrążona była w cieniu; sprawiało to takie wrażenie, jakby Leonid już pozbawił ją głowy. Z jakiegoś powodu ta wizja go zaniepokoiła i choć próbował oddychać głęboko, lekko i cicho, czuł się tak, jakby wielki ciężar uciskał mu pierś. Zakręciło mu się w głowie, omal nie stracił równowagi.

Nagle poczuł coś zimnego, twardego i w mgnieniu oka odzyskał panowanie nad sobą. Marlene nie spała. Patrzyła na niego, a w rękę miała glocka 20 kaliber 10 mm.

— Magazynek jest pełny — powiedziała.

To oznaczało, że jeśli chybi pierwszą kulą, będzie miała ich jeszcze czternaście. A nie chybi, to skrajnie nieprawdopodobne, glock jest jednym z najpotężniejszych pistoletów na rynku. Cokolwiek by powiedzieć, nie żartowała.

— Cofnij się!

Leonid posłusznie zszedł z łóżka. Marlene usiadła, księżycowy blask padł na jej białe piersi. Nagość zupełnie jej nie przeszkadzała.

— Nie spałaś. — Było to twierdzenie, nie pytanie.

— Nie śpię od czasu, kiedy tu przyjechałam. Czekałam na tę chwilę, spodziewałam się, że nadejdzie. Wiedziałam, że włamiesz się do mojego pokoju. — Odłożyła broń. — Chodź do łóżka. Ze mną jesteś bezpieczny, Leonidzie Daniłowiczu.

Spełniał kolejne polecenia, jakby go zaczarowała. Niczym dziecko złożył głowę na miękkiej poduszce jej piersi, a Marlene, jak matka,

kołysała go w objęciach, przytulała mocno, robiła co w jej mocy, by choć odrobinę ciepła przekazać temu zimnemu, marmurowemu ciału. Wreszcie, a trwało to bardzo długo, jego serce przestało bić jak szalone.

Nieco później obudziła go, szepcząc mu do ucha. Nie było to trudne, Leonid chciał się wyzwolić z koszmaru. Drgnął, patrzył na nią przez bardzo długą chwilę. Usta i gardło paliły go od panicznego krzyku we śnie. Wreszcie powrócił do rzeczywistości, rozpoznał Marlene, poczuł uścisk otaczających go ramion, rozkoszną miękkość ciała. Ku zdumieniu i zachwytowi dziewczyny zdołał się rozluźnić.

— Nikt i nic nie zrobi ci tu krzywdy — szepnęła. — Nawet twe koszmary.

Leonid Daniłowicz patrzył na nią dziwnym, martwym spojrzeniem, nawet nie mrugał. Przeraziłoby ono każdego... ale nie Marlene.

— Dlaczego krzyczałeś? — spytała.

— Pełno krwi... wszędzie... nawet na łóżku.

— Twoim łóżku? Ktoś cię pobił, Leonidzie?

Leonid Arkadin mrugnął... i czar przestał działać. Odwrócił się plecami do dziewczyny, czekał na martwe światło poranka.

Rozdział 21

Było piękne, pogodne popołudnie. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, gdy Tyrone wioził Sorayę Moore do bezpiecznego domu NSA ukrytego wśród łagodnych wzgórz Wirginii. Gdzieś w Waszyngtonie, w jakiejś anonimowej kawiarence internetowej Kiki siedziała przy komputerze, czekając na właściwą chwilę. Miała wpuścić wirusa własnej produkcji oślepiającego dwa tysiące kamer przemysłowych monitorujących obiekt i jego otoczenie.

— Sprzegłam obrazy, każda kamera powtarza własny w nieskończoność — wyjaśniła. — To było łatwe. Ale żeby kod pozostał niewidzialny, może działać przez dziesięć minut, nie dłużej. Najprościej mówiąc, po dziesięciu minutach ulegnie autodestrukcji, zmieni się w małe pakiety nieszkodliwego kodu, który nie będzie anomalią dla systemu.

Teraz wszystko zależało od tego, jak uda się im zmieścić wydarzenia w czasie. Ponieważ z terenu NSA nie sposób było wysłać sygnał elektroniczny, zostałyby bowiem natychmiast zarejestrowany i potraktowany jako zagrożenie, opracowali schemat działań z zewnątrz, co oznaczało, że jeśli coś pójdzie nie tak, na przykład Tyrone z jakiegoś powodu się spóźni, dziesięć minut minie i plan upadnie. To była jego pięta achillesowa. Innego wyjścia jednak nie znaleźli, więc postanowili zaryzykować.

Deron miał też dla nich trochę urzędzeń, które udało mu się stworzyć po przestudiowaniu uzyskanego jakimś cudem planu architektonicznego budynku. Soraya próbowała, bez skutku. Z jej punktu widzenia NSA wydawała się pozbawiona wszelkich dokumentów dotyczących tej posiadłości.

Kiedy już wszystko omówili i stali przed frontowymi drzwiami, spytała Tyrone'a:

— Jesteś pewien, że chcesz się w to mieszać?

Tyrone skinął głową. Twarz miał nieruchomą, jak wyciosaną z kamienia.

— Idziemy czy nie? — spytał.

Był wściekły jak cholera tylko dlatego, że zadała to pytanie. Na ulicy, gdyby któryś z chłopaków ośmielił się zakwestionować jego odwagę i zdecydowanie, byłby skończony. Tyrone często musiał przypominać sam sobie, że już nie jest na ulicy. Doskonale wiedział, jakie ryzyko podjęła, postanawiając go stamtąd zabrać. „Ucywilizować”, jak czasami nazywał ten proces, zwłaszcza wówczas, gdy szczególnie krępowwały go zasady i przepisy białych, o których wiedział tak niewiele.

Zerknął na Sorayę spod oka. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek postanowiłby wstąpić w świat białych, gdyby się w niej nie zakochał. Oto kolorowa kobieta, a w dodatku muzułmanka, pracująca dla nich. Nie tam dla kogoś, tak zwyczajnie, dla białasa, tylko dla nich, podniesionych do kwadratu, do potęgi czy jak to się tam nazywało. Jeśli ona nie miała nic przeciwko temu, dlaczego jemu takie życie nie miałoby się spodobać? Co prawda wychowywali się w zupełnie innych światach. Z tego, co mu powiedziała, wynikało, że rodzice ją rozpieszczali. On właściwie nie miał rodziców, a kiedy byli, to albo nie chcieli dać mu niczego, albo nie mogli dać czegokolwiek. Ona odebrała najlepsze możliwe wykształcenie, on miał Derona, który choć był dobrym nauczycielem, nie mógł się przecież równać z elitarnymi szkołami białych.

Co za ironia, że jeszcze parę miesięcy temu wydrwiłby tę całą edukację. Dopiero kiedy spotkał Sorayę, zaczął rozumieć, jak wielkim jest

ignorantem. Zgoda, był ulicznym cwaniakiem pierwsza klasa i pod tym względem mało kto mógł się z nim równać, ale zawsze peszyli go absolwenci szkół czy uczelni. Im częściej obserwował, jak manewrują w labiryncie swego świata, jak rozmawiają, negocjują, jak zachowują się wobec siebie, tym lepiej rozumiał, jak przerażająco ograniczone było do tej pory jego życie. Uliczne cwaniactwo i nic więcej to fajna rzecz, zgoda, to właśnie recepta na królowanie w dzielnicy, ale poza tą dzielnicą jest przecież cały pieprzony świat! Gdy tylko Tyrone to sobie uświadomił, jak Deron zechciał zbadać ów świat. I tak jak Deron zdawał sobie sprawę z tego, że musi stać się innym człowiekiem.

O tym właśnie myślał, kiedy zobaczył zbudowany z kamienia dom otoczony wysokim ogrodzeniem z żelaznych prętów. Dzięki zdobytym przez Derona planom wiedział, że jest idealnie symetryczny, z czterema wysokimi kominami i ośmioma szczytowymi pokojami. Jediną anomalią był zespół spiczastych anten, odbiorników i anten satelitarnych na dachu.

— Doskonale ci w tym garniturze — powiedziała Soraya.

— Jest cholernie niewygodny. Taki... sztywny.

— Wszyscy agenci NSA czują się sztywno w garniturach. Tyrone roześmiał się niczym rzymski gladiator wchodzący na scenę Koloseum.

— I o to właśnie chodzi — dodała Soraya. — Masz identyfikator od Derona?

Poklepał się po piersi.

— Jest. Cały i zdrowy.

— No to wchodzimy.

Tyrone wiedział, że może już nigdy nie wyjść z tego domu, ale zupełnie się tym nie przejmował. Bo i czemu miałby się przejmować? Co warto było jego dotychczasowe życie? W cholerę z nim. Postawił się tak jak Deron, dokonał wyboru. Tylko tego może oczekiwać od życia mężczyzna.

Soraya przedstawiła zaproszenie, które rano przysłał jej przez posłańca LaValle. Mimo to przeszukało ich dokładnie dwóch sztywnych

jak kije goryli o kwadratowych szczękach, ubranych w garnitury, pilnie stosujących się do zakazu choćby cienia uśmiechu. Nie oblali musztry, za co nagrodą było niedbale machnięcie ręką.

Prowadząc wyspaną trzeszczącym pod kołami żwirem drogą dojazdową, Tyrone słuchał monologu Sorai wskazującej mu elementy groźnego systemu obserwacyjnego, z którym musiałyby poradzić sobie intruz próbujący sforsować zabezpieczenia z zewnątrz. Pocieszało go tylko to, że nie musiał się nimi martwić, zaproszenie LaValle'a likwidowało przynajmniej to niebezpieczeństwo. Teraz jeszcze muszą dostać się do domu. A potem się z niego wydostać, ale to już zupełnie inna sprawa.

Podjechał pod portyk. Nim zdążył wyłączyć silnik, pojawił się słuchający, który zdjął mu z barków ciężar opieki nad samochodem; kolejny żołnierz z kwadratową szczęką z tych, którzy nigdy nie wyglądają normalnie w cywilnych ciuchach.

Punktualny jak zwykle generał Kendall już czekał na nich w drzwiach. Niedbale potrząsnął dłonią Sorai, za to uważnie przyjrzał się przedstawionemu mu Tyrone'owi.

— Twój ochroniarz, prawda? — powiedział tonem, którym ktoś inny mógłby kogoś ganić. — Ale nie wygląda na standardowy materiał Centrali.

— Bo to nie jest standardowe spotkanie — odpowiedziała ostro Soraya.

Generał tylko wzruszył ramionami. Kolejny niedbały uścisk dłoni i formalności zostały załatwione. Obrócił się na pięcie, poprowadził ich w głąb ogromnego budynku. Przechodzili przez sale powszechnie dostępne, urządzone luksusowo, z wyrafinowanym smakiem i tak drogo, że trudno to sobie nawet wyobrazić, przez eleganckie, ciche korytarze, ozdobione dziełami malarstwa bitewnego, mijali wielodzietne okna, przez które wpadały poprzecinane kratką promienie styczniowego słońca, rzucając cienie na miękkie błękitne dywany. Pozornie znudzony Tyrone widział to, czego nie zauważyłby nikt inny, i zapamiętywał

każdy szczegół, jakby przygotowywał plany wielkiego rabunku, co też wcale nie było takie dalekie od prawdy. Przeszli przez drzwi prowadzące do pomieszczeń piwnicznych. Wyglądały dokładnie tak, jak Soraya narysowała je z pamięci u Derona.

Wreszcie otworzyły się przed nimi drzwi z orzecha prowadzące do biblioteki. Na kominku płonął ogień. Cztery krzesła czekały już na nich w tym samym miejscu, w którym tak niedawno spotkali się we trójkę. I jak wówczas Willard pojawił się przy nich, gdy tylko przekroczyli próg.

— Dzień dobry, pani Moore — przywitał gościa ze swym zwykłym, sztywnym ukłonem. — Jakże miło, że wróciła pani do nas tak szybko. Z pewnością zechce pani wypić filiżankę cejlońskiej herbaty.

— Z największą przyjemnością.

Tyrone miał zamiar poprosić o coca-colę, ale rozmyślił się w ostatniej chwili. Wymienił ją na cejlońską, nie mając pojęcia, jak to coś smakuje.

— Doskonale. — Willard znów się uklonił i znikł.

— Tędy, proszę — powiedział Kendall zupełnie niepotrzebnie, prowadząc ich do stolika, przy którym królował LaValle wpatrzony w okno i świetlisty owal wiszący nisko nad wzgórzami, na zachodzie. Być może usłyszał ich niemal bezgłośnie kroki, bo wstał, gdy tylko się zbliżyli. Jego zachowanie wydało się Sorai sztuczne, było jak gierka pod publikę, w czym wiernie naśladowało jego uśmiech. Przedstawiła mu Tyrone'a, po czym wszyscy zajęli miejsca.

LaValle złożył dłonie tak, że stykały się czubkami palców. Nim zaczniemy, pani dyrektor Moore, uważam za swój obowiązek nadmienić, że nasz wydział archiwum znalazł fragmentaryczne informacje wiążące się z tak zwanym Czarnym Legionem. Najwyraźniej istniał on pod tą nazwą w czasach Trzeciej Rzeszy. W jego skład wchodził jeńcy wojenni wyznający islam, ujęci i przetransportowani w głąb Rzeszy po jej pierwszych zwycięstwach nad Związkiem Radzieckim. Muzułmanie

ci, w większości pochodzenia tatarskiego, wywodzący się z Krymu, nienawidzili Stalina do tego stopnia, że dla obalenia jego władzy gotowi byli na wszystko, nawet zostać nazistami. — Potrzęsął głową jak profesor historii wykładający szczególnie trudny okres zachwyconym nim studentom. — To szczególnie przykry epizod bardzo przykrych czasów. Ale wróćmy do interesującego nas tematu. Jeśli chodzi o sam Czarny Legion, to brak jakichkolwiek dowodów, by przetrwał on reżim, który go stworzył. Warto także nadmienić, że jego dobroczyńca Himmler był mistrzem propagandy, zwłaszcza tej propagandy, która miała postawić go wysoko w oczach Hitlera. Poboczne wzmianki wskazują na to, że Czarny Legion nie odegrał żadnej znaczącej roli na froncie wschodnim, jego udział w walkach był minimalny. Jego przerażającą reputację stworzyła wyłącznie fantastycznie sprawna maszyna propagandowa Himmlera, a nie cokolwiek, czego mogli dokonać jego członkowie. — LaValle uśmiechnął się promiennie, jakby zapragnął być słońcem wytłaniającym się zza burzowych chmur. — Teraz, kiedy wszyscy znamy już podstawowe fakty, proszę o transkrypcję łączności.

Soraya zniosła ten raczej protekcyjny wywód, którego jedynym celem było zdyskredytowanie źródła informacji... przed zapoznaniem się z tymi informacjami. Oburzenie i wstyd spłynęły po niej bez śladu, pozostała spokojna, skupiona wyłącznie na swej misji. Położyła na kolanach cienką teczkę, otworzyła cyfrowy zamek, wyjęła czerwony folder, na którego okładce, na czarnym pasku w górnym prawym rogu, widniał napis: „Tylko do wiadomości dyrektora”, oznaczający materiał o najwyższym stopniu utajnienia. Podała go LaValle’owi, patrząc mu prosto w oczy.

— Przepraszam, pani dyrektor. — Tyrone wyciągnął rękę. — Taśma elektroniczna.

— A tak, zapomniałam. Panie LaValle, proszę przekazać akta panu Elkinsowi.

LaValle dokładniej przyjrzał się teczce, dostrzegł pieczętujący ją pasek lśniącego metalu.

— To nie kłopot — powiedział. — Mogę ją zerwać sam.

— Nie... jeśli chce pan zapoznać się z zawartością — pospieszył z uprzejmym wyjaśnieniem Tyrone. — Jeśli nie użyje pan tego — pokazał mały kawałek plastiku — dokumenty zmieniają się w pył w ciągu kilku sekund.

Luther LaValle skinął głową z uznaniem. Tego rodzaju środki ostrożności wyraźnie mu się spodobały. Tymczasem Soraya przekazała teczkę swemu „ochroniarzowi”.

— Po naszym ostatnim spotkaniu — powiedziała — moi ludzie przechwycili dodatkowe dane płynące z tego samego źródła. Prawdopodobieństwo, że jest to ośrodek dowódczy, wzrosło.

— Ośrodek dowódczy? — zdziwił się LaValle. — To niespotykane w przypadku organizacji terrorystycznych, które niejako ze swej natury składają się z wielu odrębnych komórek.

— Między innymi dlatego zgromadzone przez nas dane robią tak wielkie wrażenie.

— I są do tego stopnia podejrzane, przynajmniej dla mnie. Z tego też powodu tak mi zależy, by zapoznać się z nimi osobiście.

Tyrone zdążył już bezpiecznie otworzyć teczkę. Przekazał ją teraz, wstał.

— Muszę skorzystać z łazienki — oznajmił.

— Proszę bardzo. — LaValle już zdążył pogрузić się w lekturze.

Kendall odprowadził go wzrokiem; uspokoił się jednak, widząc, jak podchodzi do Willarda, balansującego tacą z drinkami, i pyta o toaletę. Soraya obserwowała ich obu kątem oka. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka minut chłopak stanie przed drzwiami do piwnicy... dokładnie w chwili gdy Kiki wyśle wirusa do systemu bezpieczeństwa NSA.

Iwan Wołkin bardziej przypominał włochatego niedźwiedzia niż człowieka. Czarne, przyprószone siwizną włosy sterczały mu na głowie

jak u szaleńca, brodę miał jednolicie siwą, a jego małe, wesołe oczka były koloru nieba po burzy. Krzywe nogi sugerowały, że całe życie spędził w siodle. Pobrużdżona ciemna twarz dodawała mu godności, jakby oczekiwał, że każdy spotkany człowiek obdarzy go zasłużonym szacunkiem.

Przywitał ich ciepło i natychmiast zaprosił do mieszkania sprawiającego wrażenie maleńkiego z powodu książek i czasopism zajmujących każdy kawałek powierzchni poziomej, wliczając w to kuchenny piec i łóżko. Poprzedzani przez gospodarza przeszli wąskim, krętym korytarzem z przedpokoju do salonu. Po usunięciu trzech chwiejnych stosów książek znalazło się nawet dla nich miejsce na kanapie.

— A teraz... czym mogę wam służyć?

— Muszę wiedzieć wszystko o Czarnym Legionie — powiedział Bourne.

— Doprawdy? A czemu interesuje cię tak nieważny przypis do historii? — Wołkin spojrział na niego, nie kryjąc cynizmu. — Nie wyglądasz mi na historyka.

— Ty też nie.

Reakcją na te słowa był wybuch zdrowego śmiechu.

— Cóż, trudno odmówić ci racji. Krótkie żołnierskie słowa, co? — Gospodarz sięgnął za siebie, przyciągnął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, z rękami opartymi na prostym drewnianym oparciu. — W porządku. Co dokładnie chcesz wiedzieć?

— Jak udało im się dotrzeć do dwudziestego pierwszego wieku.

W jednej chwili Wołkin spoważniał, jakby nie śmiał się nigdy w życiu.

— Kto ci powiedział, że przetrwali?

Bourne nie miał zamiaru użyć nazwiska profesora Spectera.

— Mam sprawdzone źródło informacji.

— Tak? To przyjmij do wiadomości, że twoje źródło informacji się myli.

— Czemu protestujesz? Coś ci to da?

Zamiast odpowiedzieć, Wołkin wstał i poszedł do kuchni. Trzasnęły drzwi lodówki, zagrzecotało szkło. Kiedy wrócił, w jednej ręce trzymał oszronioną butelkę wódki, w drugiej trzy szklanki. Otworzył butelkę, napełnił szklanki do połowy, dwie wręczył gościom i usiadł, stawiając wódkę przed sobą, na wytartym dywanie. Uniósł swoją szklankę w charakterystycznym geście.

— Na zdrowie. — Opróżnił ją dwoma łykami, mlasnął, nalał ponownie. — Posłuchaj mnie uważnie — powiedział z naciskiem. — Gdybym choćby przyznał, że Czarny Legion nadal istnieje, nie miałbym za co wznosić toastu.

— A skąd ktoś miałby wiedzieć, co przyznajesz?

— Skąd? Zaraz ci to wytłumaczę. Załóżmy, że powiem ci, co wiem. Podejmiesz działania, opierając się na tym, czego się dowiedziałeś. A na kogo polecisz gówno, w które wrzucisz granat, co? — Stuknął w potężną pierś pięścią, w której ścisnął szklankę, wychlapując wódkę na i tak poplamioną koszulę. — Każda akcja wywołuje reakcję, mój przyjacielu, a pozwól sobie powiedzieć, że kiedy Czarny Legion reaguje, to dla kogoś. zawsze się to źle kończy.

Ponieważ Rosjanin de facto przyznał, że Czarny Legion przeżył porażkę nazistowskich Niemiec, Bourne pozwolił sobie na zmianę tematu na ten, który naprawdę go interesował.

— Dlaczego wmieszani są w to Kazachowie?

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Z jakichś przyczyn, których jeszcze nie rozumiem, Kazachów interesuje Michaił Tarkanian. W jego mieszkaniu wpadłem na jednego z ich kontraktowych morderców.

Wołkin zrobił kwaśną minę.

— Czego szukałeś w jego mieszkaniu?

— Tarkanian nie żyje.

— Co?! Nie wierzę!

— Byłem przy nim, kiedy umierał.

— A ja ci mówię, że to niemożliwe.

— Wręcz przeciwnie. To fakt. Jego śmierć jest bezpośrednio związana z tym, że należał do Czarnego Legionu.

Wołkin splótł ręce na piersi. Wyglądał jak stary goryl w zoo.

— Przecież widzę, co się dzieje. Na ile sposobów będziesz kierował rozmowę na Czarny Legion?

— Na tyle, ile będę musiał. Kazachowie działają wspólnie z nimi, a to jest bardzo niepokojące.

— Może i wyglądam, jakbym wiedział wszystko, ale to nieprawda. — Wołkin patrzył na Bourne'a wyzywająco, jakby prowokował go, wręcz oczekiwał, że zostanie nazwany kłamcą. A Bourne, choć pewien, że stary nie mówi mu wszystkiego, nie miał zamiaru się do tego posunąć. Wiedział, że popełniłby błąd. Miał do czynienia z człowiekiem, którego nie da się zastraszyć, więc po co próbować? Specter ostrzegał go, by broń Boże nie wplątał się w wojny grupperówek, ale żył bardzo daleko od Moskwy i jego informacje mogły być tylko tak dokładne jak pracujący dla niego ludzie. Instynkt ostrzegał Bourne'a, że coś tu jest bardzo poważnie nie tak; przynajmniej na razie widział tylko jedną drogę prowadzącą do prawdy.

— Powiedz mi, jak załatwić spotkanie z Masłowem.

Wołkin potrząsnął głową.

— To byłoby bardzo nierozsądne. W decydującym momencie wojny między Kazachami i Azerami...

— Pracuję pod nazwiskiem Popow — przerwał mu Bourne — ale tak naprawdę jestem konsultantem Wiktora Czerkiesowa. Szefa Federalnej Agencji do Walki z Narkotykami, jednego z dwóch lub trzech najpotężniejszych siłowików w Rosji.

Rosjanin drgnął, jakby te słowa go użądliły. Rzucił Gali oskarżycielskie spojrzenie, jakby to za jej sprawą w jego mieszkaniu zagnieżdżył się skorpion.

— Możesz tego dowieść?

— Nie gadaj bzdur. Jedyne, co mogę ci powiedzieć, to nazwisko człowieka, któremu składam meldunki. Boris Iljicz Karpow.

— Doprawdy? — W wielkiej łapie Wołkina pojawił się makarow. Oparł go o prawe kolano. — Jeśli kłamiesz... — W śmieciach, jakby cudem, Rosjanin znalazł telefon komórkowy. — To nie miejsce dla amatorów.

Wybrał numer i po chwili odezwał się do telefonu.

— Borisie Iljiczu, mam tu człowieka, który twierdzi, że pracuje dla pana. Zamieńcie ze sobą kilka słów, jeśli wolno prosić.

Podał gościowi telefon, twarz miał nieprzeniknioną.

— Boris? Mówi Jason Bourne.

— Ach, Jason, mój drogi przyjacielu! — Dźwięczny głos Karpowa mógłby obudzić umarłego. — Nie widzieliśmy się od czasu Rejkiawiku!

— Rzeczywiście, wydaje się, że to było tak dawno...

— Zbyt dawno, mój drogi Jasonie, zbyt dawno.

— Gdzie się podziewałeś?

— W Timbuktu.

— A co robiłeś w Mali?

— Nie pytaj, to nie skłamię — roześmiał się Karpow. — Rozumiem, że dziś pracujesz dla mnie?

— Słusznie.

— Mój drogi chłopcze, jak ja tęskniłem za tą chwilą. — Rosjanin najwyraźniej nie mógł przestać się śmiać. — Musimy uczcić ją wódką, ale nie dziś, niestety, nie dziś. A teraz daj mi tego starego kozła Wołkina, dobrze? Rozumiem, że czegoś od niego chcesz?

— Właśnie.

— I oczywiście nie uwierzył w ani jedno twoje słowo, co? No, to przynajmniej mogę zmienić w jednej chwili. Proszę, zapamiętaj mój numer telefonu i zadzwoń, kiedy będziesz sam. A więc... do następnej rozmowy, przyjacielu.

— Chce z tobą rozmawiać — powiedział Bourne, oddając telefon właścicielowi.

— To rozumiałe. — Wołkin podniósł komórkę do ucha... i zmienił się w jednej chwili. Zagapił się na gościa z roz chylonymi ze

zdumienia ustami. — Tak, Borisie Iljiczu. Tak, oczywiście. Tak, rozumiem.

Przerwał połączenie. Milczał przez chwilę, która wydawała się bardzo długa.

— Zaraz zadzwonię do Dimitrija Masłowa — oznajmił w końcu. — W Bogu tylko nadzieja, że wiesz, co robisz, człowieku. Bo jeśli nie wiesz, nikt cię już nigdy nie zobaczy. Ani żywego, ani martwego.

Rozdział 22

Tyrone wszedł do jednej z kabin w męskiej toalecie. Wyciągnął z kieszeni plastikowy identyfikator, który zrobił dla niego Deron. Przypiął go do zewnętrznej kieszonki marynarki garnituru identycznego z tymi, które aprobował rząd i które nosili wszyscy lokalni szpiedzy. Według identyfikatora był agentem specjalnym Damonem Riggsem z terenowego biura NSA w Los Angeles. Jeśli chodzi o Damona Riggsa, to facet rzeczywiście istniał. Identyfikator miał swój pierwowzór w kadrach NSA.

Splukał toaletę, wyszedł z kabiny, uśmiechnął się chłodno do innego agenta myjącego właśnie ręce. Mężczyzna spojrzał na jego identyfikator.

— Masz daleko do domu — zauważył.

— I w dodatku wpadłem w środek zimy — powiedział Tyrone mocnym, zdecydowanym głosem. — Cholera, brakuje mi knajp ze striptizem w Santa Monica.

— Potrafię to zrozumieć. Trzymaj się. — Wytarł ręce i wyszedł. Tyrone przez chwilę przyglądał się zamkniętym drzwiom,

Po czym odetchnął głęboko i otworzył je powoli. Na razie wszystko w porządku. Ruszył korytarzem, patrząc przed siebie, szedł nieprzesadnie szybkim, pewnym krokiem. Minął czterech, może pięciu agentów, niektórzy zerkali na jego identyfikator, Mówili „cześć”, inni całkowicie go ignorowali.

— Chodzi o to — tłumaczył mu Deron — żebyś sprawiał wrażenie właściwego człowieka na właściwym miejscu. Zachowuj się zdecydowanie, unikaj wahania. Jeśli będziesz wyglądał, jakbyś wiedział, dokąd idziesz i co chcesz zrobić, wtopisz się w tło i nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

Bez problemu dotarł do drzwi. Przekroczył próg w momencie, gdy mijają go dwóch pogrążonych w rozmowie agentów. Rozejrzał się szybko, zawrócił. Szybkim ruchem wyjął coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się kawałkiem zwykłej, czystej taśmy, przyłożył ją do czytnika linii papilarnych. Spojrzał na zegarek, odczekał, aż wskazówka sekundowa dotknie dwunastki. Wstrzymując oddech, położył palec na taśmie tak, by jednocześnie przylegał do czytnika. Drzwi się otworzyły. Odkleił taśmę, schował ją do kieszeni. Był na niej odcisk kciuka LaValle'a, który Tyrone zdjął z tylnej okładki teczeki, manipulując jednocześnie urządzeniem neutralizującym taśmę zabezpieczającą. Soraya rozmawiała z LaValle'em, by odwrócić jego uwagę.

Tyrone zszedł po schodach, zatrzymał się na chwilę. Nie słyszał wycia syren alarmowych, tupotu nóg strażników pędzących w jego kierunku. Program Kiki spełnił swoją funkcję. Teraz wszystko zależało od niego.

Szybko i cicho szedł obskurnym betonowym korytarzem, którego jedyną dekorację stanowiły brzęczące, migające lampy fluorescencyjne rzucające na ściany chore cienie. Nie widział nikogo i niczego nie słyszał z wyjątkiem szumu maszyn.

Na dłoniach miał rękawiczki chirurgiczne. Próbował otworzyć kolejne drzwi, większość była jednak zamknięta, choć nie wszystkie. Pierwsze, które otworzyły się pod naciskiem dłoni, prowadziły do małego pokoiku ze szklaną szybą zamiast jednej ze ścian; zdarzyło mu się bawić na wielu posterunkach, więc wiedział, że to jednostronne lustro. Widać było przez nie pokój niewiele większy od tego, w którym był, wyposażony wyłącznie w metalowe, wpuszczone w podłogę krzesło,

pod którym był wylot studzienki ściekowej. Na prawej ścianie znajdowało się blisko metrowej głębokości koryto długości człowieka, z kajdankami po obu stronach, nad nim zaś zwinięty wąż strażacki, którego końcówka wydawała się ogromna w tak ograniczonej przestrzeni. Ze zdjęć Tyrone wiedział, że to urządzenie do tortury topienia. Zrobił tyle zdjęć, ile tylko możliwe: oto miał w ręku tak potrzebny Sorai dowód na to, że NSA angażuje się w praktyki zakazane i niehumanitarne. Używał dziesięciomegapikselowego miniaparatu, w który go wyposażyła; karta pamięci o dużej pojemności umożliwiała nagranie sześciu trzyminutowych filmów wideo.

Poszedł dalej; zdawał sobie sprawę z tego, że ma niewiele czasu. Uchylił drzwi na kilka centymetrów, spojrzął w prawo i w lewo. Korytarz nadal był pusty. Poszedł dalej, cierpliwie sprawdzając następne. Po pewnym czasie znalazł kolejną salkę przesłuchań, tym razem jednak widział także klęczącego za stołem mężczyznę. Ręce miał wyciągnięte, związane dłonie leżały na blacie. Na głowę naciągnięto mu czarny kapтур. Cała jego postawa kojarzyła się z pokonanym żołnierzem zmuszonym do całowania butów zwycięzcy. Tyrone poczuł falę gniewu tak ogromną jak jeszcze nigdy. Z wielką siłą narzucił mu się obraz jego ludu z wybrzeża wschodniej Afryki, na który polowały wrogie plemiona, sprzedawały białym z Ameryki. Deron polecił mu nauczyć się tej strasznej historii, poznać, skąd przybył, zrozumieć, co budziło uprzedzenia w jego duszy, skąd brała się nienawiść, jaki jest rodowód motywujących go ciemnych sił.

Opanował się, choć z trudem. Wreszcie dysponował tym, co mieli nadzieję zdobyć: dowodami na to, że NSA poddawała jeńców zabronionym formom tortur. Zrobił jeszcze trochę zdjęć, zaryzykował nawet nagranie krótkiego filmu.

I znów okazało się, że na korytarzu jest zupełnie sam. To go zaniepokoiło. Powinien spotkać jakichś ludzi, a przynajmniej ich słyszeć. A tu... nic. Nagle poczuł mrowienie skóry na karku. Wycofywał się, niemal biegnąc. Serce biło mu mocno, w uszach szumiała wzburzona

kw. Ogarnęły go złe przeczucia, z każdym krokiem coraz gorsze. Biegł ile sił w nogach.

Luther LaValle oderwał się od lektury.

— Co to za zabawa, pani dyrektor? — spytał groźnie. Soraya zdołała powstrzymać drgnięcie.

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Miałem dość czasu, by dwukrotnie przeczytać te transkrypcje rzekomo dokumentujące istnienie Czarnego Legionu. I jakoś nie udało mi się znaleźć w nich tej nazwy. Prawdę mówiąc, nie udało mi się znaleźć tu żadnej nazwy.

Pojawił się Willard, wręczył generałowi Kendallowi złożoną kartkę papieru. Generał przeczytał wiadomość, nie zmieniając wyrazu twarzy, przeprosił ich uprzejmie, wstał i wyszedł. Soraya odprowadziła go wzrokiem. Zaczynała się bać.

LaValle zwrócił na siebie jej uwagę, machając teczką jak czerwoną płachtą przed oczami byka.

— Powiedz mi prawdę. Wiesz akurat tyle, że nawet dla ciebie mogły to być rozmowy dwóch jedenastolatków bawiących się w terrorystów.

Udało mu się ją rozdrażnić.

— Moi ludzie zapewniają, że mamy do czynienia z materiałem autentycznym. A oni należą do najlepszych w swojej specjalności. Jeśli mi nie wierzysz, nie przyjmuję, dlaczego chcesz dostać Typhona.

Luther skinął głową, przyznając jej rację. Miał jednak coś do dodania.

— No dobrze... ale skąd wiesz, że to dzieło Czarnego Legionu?

— Z niezależnych materiałów wywiadowczych.

— A cóż to, do diabła, oznacza? — LaValle siedział sztywno wyprostowany, nawet nie tknął stojącego na stoliku drinka. — Co to za „niezależne materiały wywiadowcze”?

— Niezależne źródło, niezwiązane z procesem przechwytywania informacji, które ma wiedzę o bliskim ataku terrorystycznym na amerykańskiej ziemi. Ataku przygotowywanym przez Czarny Legion.

— Na którego istnienie nie mamy żadnych konkretnych dowodów.

Soraya czuła się coraz bardziej niezręcznie. Ta rozmowa zaczynała za bardzo przypominać przesłuchanie.

— Przyniosłam akta na twoją prośbę. Chodziło mi tylko o to, by do naszych wzajemnych stosunków wprowadzić element zaufania.

— Być może. Jednak, szczerze mówiąc, te anonimowe rozmowy, choć na pierwszy rzut oka wydają się groźne, mnie nie przekonują. Pani dyrektor coś przede mną ukrywa. Chcę poznać źródło tych twoich „niezależnych materiałów wywiadowczych”.

— Obawiam się, że niestety nie mogę go ujawnić. Jest ono absolutnie nietykalne. — Soraya nie mogła mu oczywiście powiedzieć, że jej źródłem jest Jason Bourne. — Jednakże... — sięgnęła do cienkiej teczki, wyjęła z niej kilka fotografii, wręczyła mu.

— Widzę trupa. Nie pojmuję, jakie to ma znaczenie...

— Spójrz na drugie zdjęcie. To zbliżenie wewnętrznej części łokcia. Co widzisz?

— Tatuaż przedstawiający trzy konie na... a to co? Trupia czaszka, jak na emblematach nazistowskiego SS?

— No właśnie. — Soraya podała mu kolejne zdjęcie. — To formalna oznaka Czarnego Legionu, którego przywódcą był Heinrich Himmler.

LaValle zacisnął wargi. Uporządkował akta i zwrócił teczkę właścicielce. Postukał palcem w zdjęcia.

— Jeśli ty mogłaś znaleźć te insygnia, każdy mógł. Możemy mieć do czynienia z grupą, która po prostu symbol Czarnego Legionu przyjęła za swój, tak jak niemieccy skinheadzi przyjęli za swój symbol swastyki. Poza tym to żaden dowód, że przechwycono rozmowy właśnie

Czarnego Legionu. Zresztą nawet gdyby, to i tak mam problem. I nie jest to tylko mój problem. Powiedziałaś mi, powołując się zresztą na to samo święte źródło, że Czarny Legion reprezentowany jest na zewnątrz przez Braterstwo Wschodu. Jeśli na podstawie tej informacji NSA podejmie odpowiednie działania, doświadczymy koszmaru marketingowego we wszelkich jego wymiarach i rodzajach. Z pewnością wiesz o tym, że Braterstwo Wschodu to organizacja potężna, mająca niezwykle wpływy w prasie, zwłaszcza zagranicznej. Jeden błąd, jeden najmniejszy błąd wystarczy, by prezydent i ten kraj zostali upokorzeni w stopniu wręcz niewyobrażalnym. A nas na to w tej chwili nie stać. Czy mówię wystarczająco jasno?

— Mówi pan wystarczająco jasno, panie LaValle. Ale... jeśli zignorujemy ostrzeżenie, a Ameryka zostanie zaatakowana ponownie, jak wówczas będziemy wyglądać?

Luther potarł twarz dłonią.

— No to znaleźliśmy się między młotem a kowadłem.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że lepiej działać, niż biernie czekać, zwłaszcza w sytuacji tak niestabilnej jak ta.

Luther LaValle wyglądał tak, jakby zamierzał skapitulować, ale przy ich stoliku znów pojawił się Willard, cichy jak duch. Pochylił się, wyszeptał mu coś do ucha.

— Dziękuję ci, Willard. To wszystko. No cóż, pani dyrektor, niestety właśnie otrzymałem pilne wezwanie. — Wstał. Spojrzał na nią z uśmiechem, ale w jego głosie dźwięczała stal. — Proszę za mną.

Serce Sorai zabiło gwałtownie, bo to nie była prośba.

Do Jakowa, kierowcy bombili, parkującego według rozkazu w alei naprzeciw wejścia do hotelu Metropol, czterdzieści minut temu dołączył mężczyzna wyglądający tak, jakby wdał się w bójkę z maszynką do mielenia mięsa. Mimo wysiłków, jakie niewątpliwie podjął, by to

zamaskować, twarz miał spuchniętą i siną jak bitki. Jego jedno oko zasłaniała srebrna opaska. Cholerny sukinsyn, pomyślał Jakow, jeszcze nim mężczyzna rzucił mu garść pieniędzy. A przy tym nic nie powiedział, tylko wślizgnął się na tylne siedzenie i natychmiast na nim położył, tak że nawet czubek jego głowy nie byłby widoczny dla kogoś, komu zechciałoby się przespacerować obok taksówki.

Atmosfera w środku bombili zrobiła się wkrótce tak toksyczna, że Jakow poczuł się zmuszony do zamienienia względnie ciepłego wnętrza taksówki na mróz moskiewskiej nocy. Kupił sobie coś do jedzenia u przechodzącego akurat obok tureckiego handlarza i następne pół godziny spędził, posilając się i rozmawiając z Maksem, który zatrzymał się za nim, leniwym sukinsynem, wykorzystującym każdą okazję, żeby nic nie robić.

Dyskutowali właśnie gorąco o wydarzeniu z zeszłego tygodnia: wysoko postawionego urzędnika banku RAB znaleziono w garażu jego luksusowej daczy związanego i uduszonego. Ślady wskazywały na to, że mężczyzna był także torturowany. Zastanawiali się, dlaczego biuro prokuratora generalnego i szef nowo powołanego Komitetu Dochodzeniowego walczą o prawo do prowadzenia śledztwa w tej sprawie.

— To czysta, prosta polityka — zdecydował Jakow.

— To brudna polityka — dodał Max. — W niej nie ma niczego czystego i prostego.

W tym momencie Jakow dostrzegł Bourne'a wysiadającego z bombili w towarzystwie seksownej dziewczki. Trzykrotnie klepnął w karoserię wozu, bardziej wyczuł, niż usłyszał jakiś nich. Otworzyło się tylne okno.

— On tu jest — powiedział.

Bourne zamierzał pomóc wysiąść Gali, kiedy przez okno dostrzegł taksówkę, którą wcześniej jechali do hotelu z Chińskiego Pilota. Kierowca Jakow oparty o błotnik tego swojego grata jadł coś tłustego, rozmawiając z innym taksówkarzem, który zaparkował za nim. Jason

zauważył też, że kiedy wysiedli i ruszyli w stronę wejścia, odprowadził ich wzrokiem.

Gdy weszli przez obrotowe drzwi, kazał się jej zatrzymać. Po lewej mieli wejście służbowe używane przez obsługę do wnoszenia i wynoszenia bagaży gości. Widział, jak Jakow nachyla się do otwartego okna, konwersuje z kimś siedzącym na tylnym siedzeniu. W windzie, po drodze do pokoju, Bourne spytał:

— Może byśmy coś zjedli? Jestem przeraźliwie głodny.

Harun Iliew, człowiek, którego Siemion Ikupow wysłał na poszukiwanie Jasona Bourne'a, spędził frustrujące godziny na negocjacjach i kłótniach, brnął w kolejne ślepe uliczki, no i oczywiście wydał mnóstwo pieniędzy. Nie było przypadkiem, że to właśnie one doprowadziły go w końcu do Jakowa, kierowcy bombili, Jakow bowiem był człowiekiem ambitnym, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nigdy nie wzbogaci się, jeżdżąc po Moskwie, wojując z innymi taksjarami i wkurzając ich podbieraniem klientów, przez co, zarabiając sam, innym odbierał możliwość zarobku. Tymczasem... czy istnieje biznes bardziej lukratywny od szpiegowania? Zwłaszcza kiedy twoim głównym klientem jest Amerykanin? Jakow miał różnych klientów, więc doskonale wiedział, że nikt nie potrafi tak szastać forszą jak Amerykanie. Jak w Boga wierzyli w to, że za odpowiednie pieniądze można kupić wszystko. I na ogół mieli rację. Tylko że jeśli akurat się mylili, drogo im to wypadło.

Większość innych klientów Jakowa śmiała się z Amerykanów i ich pieniędzy, ale to pewnie dlatego, że im zazdrościli, w każdym razie on był takiego zdania. Pewnie lepiej śmiać się z tego, czego nie masz i nigdy nie będziesz miał, niż rozpaczać z tego powodu.

Tylko ludzie Ikupowa potrafili płacić jak Amerykanie, tyle że znacznie rzadziej korzystali z jego usług. Jakow jednak dostawał od nich szmal po prostu za gotowość. Dobrze znał Haruna Iliewa, lubił go, a że kilka razy prowadzili wspólne interesy, miał do niego zaufanie.

Poza tym obaj byli muzułmanami. Z tym że Jakow nie przyznawał się do swej religii, nie w Moskwie, a już zwłaszcza ukrywał ją przed Amerykanami, bo gdyby się o niej dowiedzieli, rzuciliby go jak fałszywego rubla. Głupi ludzie.

Zaraz po tym, gdy amerykański attache zlecił mu robotę, Jakow zadzwonił do Iliewa. A Iliew już zdążył zatrudnić się w Metropolu, dzięki swemu kuzynowi pracującemu w kuchni jako jeden z koordynatorów, który przekazywał zamówienia kucharzom poszczególnych specjalności. Gdy tylko zauważył zamówienie z 1728, pokoju Bourne'a, natychmiast wezwał Haruna.

— Brakuje nam pracowników — powiedział. — Jeśli zjawisz się w ciągu pięciu minut, dopilnuję, żebyś ty do niego pojechał.

Iliew oczywiście zjawił się na czas i oczywiście dostał wózek elegancko przykryty śnieżnobiałą, wykrochmaloną lnianą serwetą, zastawiony przykrytymi miseczkami, talerzykami, półmiskami, srebrnymi sztuczkami i serwetkami. Podziękował kuzynowi za uprzejmość i dojście do Bourne'a, potoczył wózek do windy służbowej. W windzie ktoś już był. Wziął go za jednego z menedżerów, póki facet nie odwrócił się przodem do niego; dopiero wówczas dostrzegł sińce na twarzy i srebrną opaskę zasłaniającą jedno oko.

Wcisnął przycisk siedemnastego piętra. Mężczyzna jechał na osiemnaste. Winda zatrzymała się jeszcze na czwartym piętrze, wsiadła pokojówka ze swoim wózkiem z akcesoriami do sprzątania i czyszczenia, wysiadła na piątym.

Minęli piętnaste piętro. Jednooki wyciągnął rękę, wcisnął duży, czerwony przycisk „Stop”. Harun spojrział na niego zdziwiony, chciał spytać, o co chodzi... i dostał wprost w czoło z wyjątkowo cichego, dziewięćmilimetrowego welroda wyposażonego w tłumik. Kula przeszła kości czaszki, przeorała mózg. Zginął, nim upadł na podłogę.

Anthony Prowess wytarł nieliczne plamy krwi serwetką z wózka, a potem szybko przebrał się w hotelowy uniform ofiary. Po raz drugi wcisnął „Stop” i winda ruszyła posłusznie. Kiedy dotarła na miejsce, korzystając z tego, że korytarz jest pusty, Prowess zerknął na plan piętra, zaciągnął ciało do schowka na środki czystości i podjechał z wózkiem pod pokój 1728.

— Może wzięłabyś prysznic? Długi i gorący? — zaproponował Bourne.

Gala spojrzała na niego figlarnie. Zaczęła majstrować przy mini-spódniczce.

— Może i brzydko pachnę — powiedziała — ale z pewnością nie aż tak brzydko jak ty. Dlaczego nie mielibyśmy wziąć prysznic razem?

— Może kiedy indziej. Mam coś do załatwienia.

Dziewczyna komicznie wydeła dolną wargę.

— Boże, czy na świecie jest coś nudniejszego?

Śmiejąc się, Jason odprowadził ją wzrokiem do drzwi łazienki. Usłyszał szum lejącej się wody, wkrótce przez szczelinę przy podłodze zaczęły wydobywać się kłęby pary. Włączył telewizor, zapatrzył się na jakiś straszny program po rosyjsku.

Telewizor nastawiony był bardzo głośno, ale Bourne usłyszał pukanie do drzwi. Wstał z łóżka, wpuścił do pokoju kelnera w hotelowym uniformie, w krótkiej marynarce i czapeczce nasuniętej głęboko na oczy, pchającego przed sobą wyładowany wózek. Podpisał rachunek, kelner już miał wychodzić, kiedy odwrócił się nagle, błyskawicznie, unosząc dłoń, w której trzymał nóż. Na to Bourne był jednak przygotowany. Uniósł pokrywkę podgrzewanego półmiska, osłaniając się nią przed lecącym do celu ostrzem. Rzucił nią w napastnika, który uchylił się w ostatniej chwili, choć ten dziwny pocisk otarł się o jego głowę i stracił mu czapeczkę kryjącą napuchniętą twarz. Twarz człowieka, który uduślił Baronowa i próbował zabić także Jasona.

Facet wyciągnął welroda. Zdażył wystrzelić dwukrotnie, nim dostał w brzuch krawędzią pchniętego z całej siły stolika. Cofnął się, zatoczył, omal nie tracąc równowagi. Bourne skoczył przez wózek, złapał go za kłapy kelnerskiej kurtki, przewrócił na podłogę. Kopnął pistolet pod ścianę. Prowess odpowiedział lawiną ciosów zadawanych rękami i stopami, zmusił go, by cofnął się o krok; próbował odzyskać pistolet. Bourne widział opaskę zasłaniającą oko, ale mógł się tylko domyślać, jaką szkodę udało mu się wyrządzić.

Prowess zrobił zwód i zaatakował, wymierzając potężny cios w twarz. Jego przeciwnik się zatoczył; napastnik wykorzystał tę okazję, rzucając się na Jasona ze swym ulubionym narzędziem śmierci w rękę: kawałkiem drutu. Udało mu się zarzucić Bourne'owi pętlę na szyję. Zacisnął ją, poderwał go na równe nogi. Bourne zatoczył się, uderzył bokiem w stół. Nim odjechał, zdołał porwać podgrzewany garnek i jego zawartością oblać agenta. Wrząca zupa parzyła jak ogień, Prowess krzyknął, ale nie puścił linki. Wręcz przeciwnie, zacisnął ją mocniej, przyciągając ofiarę ku sobie, aż oparła się plecami o jego pierś.

Bourne klęczał z boleśnie wygiętym kręgosłupem. Jego płuca krzyczały o powietrze, mięśnie słabły w przerażającym tempie, coraz trudniej było mu się skoncentrować. Wiedział, że lada chwila może stracić przytomność. Z całą pozostałą mu siłą wbił łokieć w krocze Prowessa. Zabójcza pętla na moment zwolniła uścisk, co pozwoliło Bourne'owi wstać. Tyłem głowy uderzył agenta w twarz, usłyszał radujący serce stuk; to jego głowa uderzyła w ścianę.

Uścisk pętli znów osłabł, do tego stopnia, że udało mu się zdjąć ją przez głowę. Kilka razy odetchnął głęboko, odwrócił się, zarzucił drut na szyję agenta. Ich sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni.

Prowess kopał, machał rękami, walczył jak szaleniec. Nic mu to nie pomogło. Bourne zaciskał pętlę coraz mocniej, aż poczuł, że ciało

agenta słabnie i wreszcie opada bezwładnie. Nie zwolnił jednak uścisku, póki nie upewnił się, że serce przestało bić. Puścił końce drutu, głowa Prowessa uderzyła o podłogę.

Stał nad ciałem pochylony, z rękami opartymi na udach, oddychając ciężko, powoli. W takim stanie zobaczyła go Gała, wychodząca z łazienki w chmurze zapachu lawendy, kompletnie nieświadoma zakończonej właśnie walki.

— Jezu Chryste — wyszeptała i zwymiotowała na swe nagie drobne, różowe stopki.

Rozdział 23

— Jakkolwiek byś na to patrzyła, cokolwiek byś zrobiła, ten człowiek już jest trupem — powiedział Luther LaValle.

Przez jednostronne lustro Soraya wpatrywała się posepnym wzrokiem w Tyrone'a, stojącego w pokoiku rozmiarów celi, złowrogo wyposażonym w przypominające trumnę koryto z pasami do unieruchomienia rąk i nóg po obu stronach i węzem strażackim u góry. Poza korytem w sali znajdowało się tylko stalowe, wpuszczone w nagą betonową podłogę krzesło, pod nim zaś kratka ściekowa odprowadzająca wodę i krew.

LaValle trzymał w ręku aparat cyfrowy.

— Generał Kendall znalazł to przy twoim współpracowniku — powiedział i nacisnął przycisk odtwarzania. Na ekranie pojawiły się zdjęcia. — Złapaliśmy go, że tak powiem, z dymiącym rewolwerem w ręku. To wystarczy, żeby go skazać za zdradę.

Ciekawe, pomyślała, ile tych zdjęć zdążył zrobić, nim złapano go na gorącym uczynku.

— Obciąć mu głowę! — Kendall wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Sorayę mdliło. Oczywiście, niebezpieczeństwo to dla Tyrone'a nie nowego, ale tym razem to przez nią znalazł się w śmiertelnie groźnej

sytuacji. Wiedziała, że jeśli coś mu się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczy. Co jej do głowy strzeliło, żeby aż tak go narażać? Popęłała błąd... i dopiero teraz zdała sobie sprawę z ogromu tego błędu. Za późno; przecież nic nie mogła już zrobić.

— Masz czego żałować — przyznał LaValle. — Nic łatwiejszego niż zrobić z tego sprawę także przeciwko tobie.

O sobie nie myślała ani przez chwilę, całą uwagę skupiła na chłopaku, któremu wyrządziła tak wielką krzywdę.

— To był mój pomysł — powiedziała głucho. — Puśćcie go.

— Chodzi ci o to, że tylko wykonywał rozkazy, co? — szydził Kendall. — Nie jesteśmy w Norymberdze. A w ogóle wy oboje nie możecie przedstawić żadnej sensownej linii obrony. Wyrok skazujący i egzekucję macie jak w banku. *Fait accompli*.

Zabrali ją z powrotem do biblioteki. Widząc jej szarą jak popiół twarz, Willard bez pytania przyniósł filiżankę cejlońskiej herbaty. Siedzieli we trójkę przy stoliku pod oknem, jak zawsze. Czwarte, puste krzesło było dla Sorai widocznym symbolem i przyczyną nieustannych wyrzutów sumienia. Świadomość, że kobieta aż tak nie doceniła LaValle'a, czyniła żalosne fiasko misji tym bardziej nieznośnym. Jego manifestacyjne zadowolenie z siebie i przesadnie agresywne zachowanie uśpiło ją przyjęła za pewnik, że ten człowiek nie potrafi jej docenić. I w tym najbardziej się pomyliła.

Soraya usilnie walczyła z bolesnym uciskiem w piersiach, z rosnącą paniką, z poczuciem, że oboje z Tyrone'em wpadli w pułapkę, znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Rytuał picia herbaty wykorzystwała, by jakoś odzyskać panowanie nad sobą. Po raz pierwszy w życiu postodziła ją i dodała śmietanki; jej ukochana herbata stała się czymś w rodzaju lekarstwa, jej picie — formą pokuty.

Robiła co w jej mocy, by odblokować sparaliżowany strachem

mózg, zmusić go do normalnej pracy. Jednego była pewna: żeby pomóc Tyrone'owi, musi jakoś się stąd wydostać. Gdyby LaValle rzeczywiście chciał ją oskarżyć, już siedziałyby w sąsiedniej celi. Tymczasem wrócili do biblioteki i było to jak słabe światełko nadziei rozjaśniające otaczający ją mrok. Postanowiła, że na razie pozwoli wydarzeniom toczyć się według scenariusza przygotowanego przez LaValle'a i Kendalla. Gdy tylko odstawiła filiżankę, LaValle wzniósł topór do ciosu.

— Jak już powiedziałem, prawdziwym nieszczęściem jest udział pani dyrektor w tej aferze. Nie mogę znieść myśli, że stracę w tobie sojusznika... choć zaczynam rozumieć, że nigdy nie byłaś moim sojusznikiem. — To małe przemówienie wydawało się lekko nieświeże, jakby LaValle przeżuł każde słowo przed jego wypowiedzeniem. — Szczerze mówiąc — kontynuował — teraz, kiedy patrzę w przeszłość, widzę, że okłamywałaś mnie od samego początku. Ani przez chwilę nie zamierzałaś przejść na stronę NSA, prawda? — Westchnął niczym dziekan do spraw studenckich zmuszony do zdyscyplinowania zdolnego, lecz notorycznie sprawiającego kłopoty studenta. — I właśnie dlatego nie potrafię uwierzyć, że wymyśliłaś to zupełnie sama.

— Gdybym grał — wtrącił Kendall — postawiłbym niezłą sumkę na to, że dostałaś rozkazy z samej góry.

— Prawdziwym problemem jest Veronica Hart. — Jego szef rozłożył ręce w teatralnym geście. — Może to, co się dziś zdarzyło, pozwoli ci spojrzeć na całą sytuację tak, jak my ją widzimy?

Soraya nie potrzebowała prognozy pogody, żeby wiedzieć, z której strony zawieje wiatr. Głosem, który miał nie wyrażać żadnych uczuć, powiedziała:

— Jak mogę wam pomóc?

Luther LaValle uśmiechnął się bardzo przyjaźnie.

— A nie mówiłem, Richardzie? — zwrócił się do Kendalla. — Pani dyrektor jest skłonna z nami współpracować, mimo że tak bardzo w to wątpiłeś. — Natychmiast odwrócił się do Sorai, już skupiony i bardzo poważny. — Generał pragnie oddać was w ręce wymiaru

sprawiedliwości, który, tego nie muszę chyba wyjaśniać, w tym wypadku byłyby rzeczywiście surowy.

Ta zabawa w złego i dobrego gliniarza byłaby nawet nudna, pomyślała Soraya, gdyby nie była prawdziwa. Wiedziała, że generał nienawidzi jej z całego serca i nawet nie próbuje ukrywać, jak bardzo nią pogardza. W końcu był żołnierzem; perspektywa zdawania raportów przewyższającej go rangą kobiecie musiała być dla niego czymś nie do zniesienia, całkowicie absurdalnym. Tyrone'a też nie cenił zbyt wysoko; tym trudniej mu było przełknąć jego schwytanie.

— Rozumiem, że moja pozycja jest nie do utrzymania — powiedziała, pogardzając sobą za to, że okoliczności zmusiły ją do płaszczenia się przed tak nikczemnym człowiekiem.

— Doskonale. I od tego zaczniemy.

LaValle zapatrzył się w sufit, udając kogoś, kto musi się głęboko zastanowić, by podjąć trudną decyzję: co teraz. Jednak bez wątplenia wiedział, co robi, realizował precyzyjnie przygotowany plan. Spojrzał jej prosto w oczy.

— Według mnie nasz problem składa się w istocie z dwóch problemów. Pierwszy to twój przyjaciel siedzący tam, w celi. Drugim jesteś ty.

— Na nim bardziej mi zależy. Jak mogę go wyciągnąć?

Luther poruszył się na krześle.

— Najpierw rozważmy twoją sytuację. Możemy wytoczyć ci proces poszlakowy, ale bez zeznań twojego przyjaciela...

— Tyrone'a. On nazywa się Tyrone Elkins.

Jej uwaga została zignorowana, co miało nauczyć ją, kto tu rządzi.

— ...bez zeznań twojego przyjaciela nie zajedziemy daleko.

— I będziemy je mieli — powiedział pewnie Kendall. — Gdy tylko go przytopimy.

— Nie! Nie możecie!

— A niby czemu? Bo to nielegalne? — Ta myśl wyraźnie rozbawiła generała. Ale dla niej jedynym rozmówcą był jego szef. — Istnieje

inny sposób. Oboje wiemy jaki.

LaValle milczał, pozwalając napięciu rosnać.

— Powiedziałaś mi, że twoje źródło, które dokonało atrybucji przechwyconych przez was rozmów, jest nietykalne. Czy to twoja ostateczna decyzja?

— Puścisz Tyrone'a, jeśli ci powiem?

— Nie. Ale puszcę ciebie.

— Co z nim?

LaValle założył nogę na nogę.

— Drobnyimi krokami do przodu, dobrze?

Soraya skinęła głową. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że póki tu siedzi, nie ma żadnego pola manewru.

— Moim źródłem jest Bourne.

— Jason Bourne?! Żartujesz!

— Nie żartuję. Wie o Czarnym Legionie i o tym, że to oni kryją się za Braterstwem Wschodu.

— A skąd się wzięła ta jego wiedza?

— Nie miał czasu, żeby mi to powiedzieć, nawet gdyby chciał. Za wielu agentów NSA było w pobliżu.

— Ach, ten incydent w Freer — zauważył Kendall. LaValle uniósł rękę.

— Pomogłaś mu uciec.

Soraya potrząsnęła głową.

— Wręcz przeciwnie. Był pewien, że obróciłam się przeciwko niemu.

— Interesujące... Nadal tak sądzi?

Uznała, że najwyższa pora na odrobinę oporu, jakieś drobne kłamstwo.

— Nie wiem. Ale Jason ma tendencję do paranoi, więc niewykluczone.

— A więc... być może uda się to wykorzystać.

Kendall przysłuchiwał się tej wymianie zdań, nie kryjąc obrzydzenia.

— Więc całkiem możliwe, że ta cała bajeczka o Czarnym Legionie to nic więcej tylko wymysł szaleńca, co?

— Raczej celowa dezinformacja — zauważył LaValle. — To bardziej prawdopodobne.

— Dlaczego miały nas dezinformować? — zaprotestowała Soraya.

— A kto wie, dlaczego on robi cokolwiek? — LaValle wypił łyk whisky, mocno rozcieńczonej, kostki lodu bowiem dawno stopniały. — Nie zapominajmy, że kiedy mówił o Czarnym Legionie, był wściekły. Sama przyznałaś, że miał cię za zdrajczynię.

— Słusznie.

Soraya wiedziała, że nie ma sensu bronić Jasona. Nie wobec tych ludzi. Im częściej się im zaprzeczało, tym bardziej okopywali się na swych pozycjach. Cały ich sprzeciw wobec wszystkiego, co robił Bourne, brał się wyłącznie ze strachu i nienawiści. A przy tym nie chodziło wcale o jego rzekomo zachwianą równowagę psychiczną, choć o tym krzyczeli najgłośniej, lecz o to, że najzwyczajniej w świecie nie obchodziły go ich przepisy i regulaminy. Zamiast lekceważyć je, świadomie łamać lub obchodzić, w czym doświadczenie ma każdy szef, on je po prostu unicestwiał.

— Oczywiście. — LaValle odstawił szklanke. — Przejdźmy teraz do twojego przyjaciela. Sprawa przeciw niemu jest pewna, z góry wygrana, bez szans na apelację ani złagodzenie kary.

— Niech je ciastka — wtrącił Kendall.

— Maria Antonina nigdy tego nie powiedziała — poprawiła go Soraya.

Generał spojrzął na nią wściekle. Luther mówił dalej:

— Kara odpowiadająca winie, te słowa doskonale pasują do sytuacji. Albo też, w twoim przypadku, niech pokuta odpowiada winie. — Gestem powstrzymał zbliżającego się Willarda. — Od pani, pani dyrektor, oczekujemy jednego: dowodu, i to dowodu nie do podważenia, że nielegalnie wtargnęliście na teren NSA za wiedzą i na polecenie Veroniki Hart.

Ten wywód zrozumiała doskonale.

— A więc mówimy o wymianie jeńców: Hart za Tyrone'a?

— Pojmujesz w lot.

— Muszę to sobie przemyśleć.

— Oczywiście. To rozsądna propozycja. Willard przygotowuje ci coś do zjedzenia. — LaValle zerknął na zegarek. — Za piętnaście minut mamy z Richardem ważne spotkanie. Wrócimy za jakieś dwie godziny. Masz sporo czasu na myślenie.

— Nie. Jeśli to nikomu nie przeszkadza, wolałabym raczej zmienić otoczenie.

— Dyrektor Moore, jest pani znana jako kobieta nie unikająca podstępów. Zgadając się na tę prośbę, popełnilibyśmy poważny błąd.

— Obiecaliście, że jeśli zdradzę moje źródło informacji, będę mogła odejść.

— I będziesz mogła... po przyjęciu moich warunków. — Luther wstał, Kendall natychmiast poszedł w jego ślady. — Przyszliście do nas razem, ty i twój przyjaciel. No to zostaniecie razem... jak syjamskie bliźnięta.

Bourne poczekał, aż Gala dojdzie do siebie. Ubrała się nawet, drżąc i ani razu nie patrząc na leżące na podłodze ciało.

— Przykro mi, że cię w to wciągnąłem — powiedział.

— Kłamiesz. Beze mnie nigdy nie dotarłbyś do Iwana. — Rozłoszczona dziewczyna tupąła, wkładając buty. — To jakiś koszmar — powiedziała, jakby do siebie. — Lada chwila obudzę się we własnym łóżku i okaże się, że to wszystko nigdy się nie zdarzyło.

Jason poprowadził ją w kierunku drzwi; Gala przypomniała sobie o trupie, drgnęła, obeszła go szerokim łukiem.

— Obracasz się w złym towarzystwie.

— Ha, ha! — Szli korytarzem w stronę windy. — Takim jak ty, co?

Jeszcze krok i Bourne powstrzymał ją gestem. Przyklęknął, czubkami palców dotknął wilgotnej plamy na dywanie.

— A to co? — zdziwiła się Rosjanka.

Czerwone plamy na palcach nie pozostawiały wątpliwości.

— Krew.

— Skąd... skąd się tu wzięła?

— Dobre pytanie. — Bourne rozejrzał się uważnie, zrobił kilka kroków. Przed wąskimi drzwiami dostrzegł kolejną, większą plamę. Otworzył je, włączył światło.

— Chryste! — Gala wyglądała tak, jakby znów zebrało się jej na mdłości na widok nagiego ciała z dziurą w czole. W kącie leżało nie dbale ciśnięte na kupkę ubranie z pewnością należące do agenta NSA. Bourne obmacał je szybko w poszukiwaniu jakiegoś dowodu tożsamości; na próżno. — Co ty wyprawiasz! — denerwowała się dziewczyna, ale okazało się, że Jason wcale nie marnuje czasu. Dostrzegł wystający spod ciała kawałek brązowej skóry. Bezceremonialnie obrócił zwłoki. Znalazł portfel. Zabrał go, oczywiście. Nowa tożsamość miała mu się przydać, ponieważ właśnie utracił swoją; gdy tylko ktoś znajdzie trupa w pokoju Fiodora Iljanowicza Popowa, rozpocznie się polowanie.

Wstał, chwycił Rosjankę za rękę. Niemal pobiegli do kuchennej windy. Z hotelu wydostali się tylnym wyjściem.

Znów padał śnieg. Od placu wiał mroźny, przenikliwy wiatr. Bourne zatrzymał bombilę. Miał zamiar podać kierowcy adres przyjaciółki Gali, kiedy przypomniał sobie, że przecież Jakow je zna!

— Wsiadaj — powiedział cicho. — Ale przygotuj się na to, że będziesz musiała szybko wsiąść, i rób dokładnie to, co ci powiem.

Soraya nie potrzebowała dwóch godzin na zastanowienie, nie potrzebowała nawet dwóch minut.

— W porządku — powiedziała. — Zrobię wszystko, żeby wyciągnąć Tyrone'a.

LaValle się odwrócił i przyjrzał jej uważnie.

— No proszę, proszę... taka bezwarunkowa kapitulacja uradowała by me serce, gdybym nie wiedział, że jesteś taką cholerną dwulicową

suką. Niestety, twoja werbalna kapitulacja nie jest aż tak przekonująca jak innych. Z tego też powodu obecny tu generał dopilnuje, byśmy już nigdy nie stali się przedmiotami twojej zdrady, ukazując ci dobitnie wszystkie jej konsekwencje.

Wstała. Jednocześnie wstał Kendall. Powstrzymał ją stanowczy głos LaValle'a.

— I jeszcze jedno, droga dyrektor. Kiedy już stąd wyjdiesz, będziesz musiała podjąć decyzję do jutra rana, do godziny dziesiątej. Oczekuję cię o tej godzinie, tutaj. Mam nadzieję, że wyraziłem się wystarczająco jasno?

Generał poprowadził ją korytarzem do drzwi do piwnicy. Gdy tylko Soraya zorientowała się, dokąd idą, zaprotestowała gorąco.

— Nie! Nie róbcie tego, proszę. Nie ma potrzeby!

Generał, wyprostowany jak na musztrze, całkowicie ją zignorował, a kiedy się zawahała, ujął ją pod rękę i poprowadził, jakby była dzieckiem.

Poszli oczywiście do tego samego pokoju przesłuchań, w którym byli wcześniej. Tyrone klęczał z rękami skrępowanymi na plecach i położonymi na blacie stołu sięgającym mu powyżej barków. Była to pozycja równie bolesna jak upokarzająca, tułów miał wychylony do przodu, jego łopatki niemal się o siebie ocierały.

W sercu Sorai był tylko strach.

— Dość — powiedziała mimo to stanowczo. — Rozumiem. Jeśli chcieliście mi coś udowodnić, to właśnie się wam udało.

— Ależ oczywiście — odparł Kendall z gryzącą uprzejmością.

Oprócz chłopaka w celi znajdowali się jeszcze dwaj mężczyźni; ciemne, upiorne sylwetki. Tyrone także był świadom ich obecności. Próbował się obrócić, sprawdzić, co się dzieje. Jeden z mężczyzn nałożył mu worek na głowę.

Boże! — westchnęła Moore w myśli, do siebie. Co ten drugi ma w ręku?!

Kendall niemal rzucił ją na jednostronne lustro.

— Jeśli chodzi o twojego przyjaciela, to dopiero się rozgrzewamy — zakpił.

Dwie minuty później mężczyźni zabrali się do zapełniania zbiornika, a Soraya zaczęła krzyczeć.

Bourne kazał taksjarszowi przejechać przed frontem hotelu. Wszystko wydawało się w całkowitym porządku, nie działo się nic niezwykłego. A więc nikt nie znalazł jeszcze trupa z siedemnastego piętra. Nie miało to trwać długo, lada chwila ktoś zainteresuje się zaginięciem kelnera z obsługi hotelowej.

Spojrzał w drugą stronę, poszukał wzrokiem Jakowa. Okazało się, że stoi tam, gdzie stał, i nadal rozmawia z kumplem. Obaj wymachiwali rękami, podtrzymując krążenie krwi. Wskazał go Gali i okazało się, że dziewczyna go zna. Gdy tylko przejechali przez plac, kazał kierowcy stanąć przy krawężniku.

— Wrócisz do Jakowa i każesz mu zawieźć się na plac Uniwersytecki w Worobiowych Górach — polecił. Mówił o jedynym wzgórzu w tym mieście leżącym na równinie. Na jego szczycie spotykali się zakochani i studenci; kochali się, pili i palili trawkę, podziwiając panoramę stolicy. — Czekaj na mnie i cokolwiek by się działo, nie wysiadaj z samochodu. Kierowcy powiedz, że się z kimś umówiłaś.

— Ale to przecież on nas szpiegował — zaprotestowała dziewczyna.

— Nie bój się. Będę tuż za tobą.

Widok ze szczytu Worobiowych Gór wcale nie był taki wspaniały. Po pierwsze, szpeciła go rozciągająca się poniżej bryła ohydneho stadionu na Łużnikach leżącego mniej więcej w połowie drogi między wzgórzem a centrum miasta. Po drugie, bijące w niebo wieże Kremla z całą pewnością nie mogły służyć za natchnienie nawet najbardziej żarliwym kochankom.

Niemniej noc tworzyła romantyczną atmosferę, a przynajmniej tak romantyczną, jak to jest możliwe w Moskwie.

Bourne, który nakazał swemu kierowcy śledzić bombilę Jakowa, poczuł ulgę. Jak się okazało, Jakow miał tylko obserwować i informować. W każdym razie to on interesował NSA, nie młode, śliczne blondynki.

Dojechawszy na punkt widokowy, zapłacił uzgodnioną wcześniej sumę, przeszedł chodnikiem do taksówki Jakowa, wślizgnął się do środka.

— Hej, o co chodzi? — Poznawszy go, Jakow sięgnął pod brudną, poszarpaną deskę rozdzielczą, gdzie na uchwycie domowej roboty trzymał makarowa.

Bourne wyciągnął rękę, unieruchomił go na siedzeniu, jednocześnie odbierając mu broń.

— Komu donosisz? — spytał, kierując wylot lufy w jego stronę.

— To spróbuj sam — głos taksówkarza był cienki, płacziwy — siedzieć w tej ruinie dzień i noc, jeździć po pierścieniu Ogrodowej, tam i z powrotem Twerską, ustępować przed jakimiś cholernymi kamikadze, którzy ci odbierają klientów, i zarabiać tyle, że ledwie starczy na życie.

— Nie obchodzi mnie, dlaczego wynająłeś się NSA. Chcę tylko wiedzieć, komu donosisz.

Jakow podniósł rękę w obronnym geście.

— Posłuchaj, ja jestem z Biszkeku, to w Kirgistanie. Tam nie jest zbyt fajnie, nie zarobisz, choćby nie wiem co. No więc spakowałem rodzinę i powędrowaliśmy do Rosji, bijącego serca nowej federacji, gdzie ulice wybrukowane są rublami. Ale tu wszyscy traktują mnie jak śmiecia. Na ulicy ludzie opluwają mi żonę. Dzieci dostają lanie, muszą znosić wstrętne wyzwiska. A ja nigdzie nie dostanę pracy. „Moskwa dla moskwan”, słyszę to bez przerwy. No więc prowadzę bombilę, bo nie mam wyboru. A pan, szanowny panie, nie ma zielonego pojęcia, co to za życie. Czasami po dwunastu godzinach pracy wracam ze stu rublami,

a czasem bez grosza. Nie możesz mieć do mnie pretensji o to, że biorę forszę od Amerykanów. Rosja jest skorumpowana, a Moskwa jeszcze bardziej. Nie ma słów, którymi dałoby się opisać, co się tu właściwie dzieje. Rządzą same bandziory i kryminaliści. Okradają Rosję z dóbr naturalnych, ropy, gazu, uranu. Wszyscy tylko biorą, biorą, biorą, żeby mieć na wielkie zagraniczne wozy, dziewczyny na wszystkie dni tygodnia, dacje w Miami Beach. Dla nas co zostaje? Ziemniaki i buraki... pod warunkiem że pracujemy po osiemnaście godzin na dobę i jeszcze mamy szczęście.

— Nie żywię do ciebie urazy i nie mam cię za wroga. Wolno ci zarabiać na życie. — Bourne wręczył mu garść dolarów.

— Nigdy nikogo nie widziałem, przysięgam. Słyszę tylko głos w telefonie komórkowym. Pieniądze znajduję w skrytce pocztowej...

Powoli, uważnie, Bourne wcisnął mu w ucho lufę makarowa. Jakow skulił się, spojrzął na niego żałośnie.

— Proszę... błagam... co ja takiego zrobiłem?

— Widziałem cię przed Metropolem z człowiekiem, który próbował mnie zabić.

Jakow pisnął jak przebity na wylot szczur.

— Zabić? Ja tam mam tylko obserwować i donosić. Nic nie wiem o...

Bourne uderzył go mocno.

— Przestań kłamać i powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

— W porządku, dobrze. — Taksówkarz drżał ze strachu. — Amerykanin... ten, który mi płaci... on się nazywa Low. Harris Low.

Podał opis Lowa oraz bez oporu numer swego telefonu komórkowego.

— A teraz wynoś się z samochodu — rozkazał Bourne.

— Ale przecież... przecież odpowiedziałem na wszystkie pytania. Zabrałeś mi wszystko. Czego jeszcze chcesz?

Bourne pochylił się, otworzył drzwi i bezceremonialnie wypchnął go z samochodu.

— Sam tu nie będziesz — powiedział. — Bombile przyjeżdżają jedna za drugą. Jesteś teraz bogatym człowiekiem. Dałem ci tyle, że możesz sobie pozwolić na powrót taksówką do domu.

Wślizgnął się za kierownicę żiguli, wrzucił bieg i ruszył z powrotem do miasta.

Harris Low był szykownym facetem z wąsami cienkimi jak sznurawadło, przedwcześnie osiwiiałym i rumianym, jak to się zdarza przedstawicielom wielu arystokratycznych rodzin z amerykańskiego północnego wschodu. To, że przez ostatnie jedenaście lat pracował w Moskwie dla NSA, było swego rodzaju hołdem złożonym ojcu, który wydeptał mu tę niebezpieczną ścieżkę. Harris ubóstwiał ojca; od kiedy pamiętał, chciał być taki jak on. I jak ojciec nosił wytatuowaną na sercu amerykańską flagę. Na studiach grał w ataku, przeszedł rygorystyczny trening agenta terenowego, tropił terrorystów w Afganistanie i Rogu Afryki. Umiał walczyć wręcz, nie wahał się zabić przeciwnika. Robił to dla Boga i ojczyzny.

Podczas tych jedenastu lat zawarł wiele przyjaźni, także w synami przyjaciół ojca. Innymi słowy, stworzył siatkę aparatczyków i siłowników, dla których dewiza „coś za coś” była rzeczą najnormalniejszą w świecie. Harris wszędzie widział interes. Dla swojej ojczyzny gotów był dogodzić każdemu, pod warunkiem że ten ktoś z wdzięczności dogodzi jemu.

O morderstwach w hotelu Metropol dowiedział się od przyjaciela w biurze prokuratora generalnego, do którego dotarły Policyjne krzyki. Spotkał się z nim w hotelu, był więc w pierwszej grupie obecnej na miejscu przestępstwa.

Trup w komórce na środki czystości nie wzbudził jego zainteresowania, za to natychmiast rozpoznał Anthony’ego Prowessa. Wycofał się uprzejmie, wyszedł na klatkę schodową i wystukał numer na swej komórce. Chwilę później rozmawiał z Lutherem LaValle’em.

— Mamy problem — powiedział. — Prowess wypadł z gry. Bezpowrotnie.

— To bardzo niepokojące — odparł LaValle. — Mamy w Moskwie zbuntowanego agenta, który teraz zamordował jeszcze jednego ze swoich. Sądzę, że wiesz, co robić?

Low rozumiał, oczywiście. Nie było już czasu, by ściągnąć do Moskwy kolejnego specjalistę od mokrej roboty, więc wykończenie Bourne'a stało się automatycznie jego zadaniem.

— Zabił obywatela amerykańskiego — mówił dalej LaValle — więc mogę wciągnąć do współpracy rosyjską policję i biuro prokuratora generalnego. Dostaną jego zdjęcie, to, które w ciągu godziny będziesz miał na swoim telefonie komórkowym.

Low zastanawiał się przez krótką chwilę.

— Problemem jest znalezienie go — przyznał. — Moskwa nie jest światowym centrum kamer obserwacyjnych.

— Bourne będzie potrzebował pieniędzy. Nie przeniósł fortuny przez cło, co oznacza, że ma rachunek w którymś z moskiewskich banków. Natychmiast ściągnij sobie miejscowych do pomocy.

— Możesz uznać to za załatwione.

— I jeszcze jedno, Harris. Jeśli chodzi o Bourne'a... nie powtórz błędu Prowessa.

Bourne zabrał Galę do mieszkania jej przyjaciółki, luksusowego nawet według amerykańskich standardów. Przyjaciółka miała na imię Lorraine i była Amerykanką pochodzenia ormiańskiego. Ciemne włosy, oczy oraz śniada cera podkreślały jej egzotykę. Na powitanie objęła i przytuliła Galę, a Bourne'a zaprosiła na herbatę.

— On się boi o moje bezpieczeństwo — powiedziała dziewczyna.

Bourne tymczasem wędrował z pokoju do pokoju.

— A co się stało? — zainteresowała się Lorraine. — Nic ci nie jest?

— Wszystko będzie w porządku — uspokoił ją Jason, wchodząc do salonu. — Za parę dni wszystko się skończy.

Mieszkanie było bezpieczne. Na pożegnanie ostrzegł jeszcze dziewczyny, by nie otwierały drzwi nikomu, kogo nie znają.

Zgodnie z instrukcją Iwana Wołkina Bourne pojechał na Nowoswobodzką 20; tam miało odbyć się jego spotkanie z Dimitrijem Masłowem. Zachwytiło go, że złapał bombilę, której kierowca nie pytał go o drogę, ale kiedy dojechali na miejsce, zrozumiał. Pod tym adresem mieścił się Motorhome, nowy klub wypełniony młodymi, doskonale się bawiącymi moskwanami. Ogromne płaskie ekrany nad umieszczonym pośrodku kolistym barem pokazywały transmisje amerykańskiego baseballu, amerykańskiego futbolu, amerykańskiej koszykówki, angielskiego rugby i meczów piłkarskich mistrzostw świata. Całą największą salę zajmowały stoły do bilardu, rosyjskiego i amerykańskiego. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami skierował się do jednego z pokoiów z tyłu, stylizowanego na arabski rodem z Baśni z tysiąca i jednej nocy: grube dywany, poduszki w kolorach wszelkich klejnotów i oczywiście kolorowe mosiężne nargile, które na leżąc palili mężczyźni i kobiety.

Zatrzymali go dwaj szczególnie wyrośnięci członkowie ochrony. Powiedział im, że jest umówiony z Dimitrijem Masłowem. Wskazali mężczyznę, palącego jak inni, siedzącego w kącie po lewej stronie.

Podszedł do niego.

— Masłow? — spytał.

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Mów mi Jewgienij. Masłowa nie ma. Usiądź, proszę — gestem wskazał poduszki otaczające niski mosiężny stół.

Bourne się zawahał, po czym usiadł naprzeciw niego.

— Gdzie jest Masłow? — spytał.

— Myślałeś, że to będzie takie proste? Jeden telefon i pufff! Pojawia się jak dżin po potarciu lampy? — Jewgienij potrząsnął głową, zaciągnął się, wydmuchnął kłęb dymu. — Czego od niego chcesz?

— To już moja sprawa. I jego. Jewgienij znów wzruszył ramionami.

— Jak sobie życzysz. Masłowa nie ma w mieście.

— Więc dlaczego kazali mi tu przyjść?

— Żeby cię ocenić. Zdecydować, czy zasługujesz na poważne traktowanie. Ocenić, czy Masłow zechce się z tobą zobaczyć.

— Do tego stopnia ufa ludziom, że pozwala im podejmować decyzje za siebie?

— Jest bardzo zajęтым człowiekiem. Musi myśleć o wielu sprawach.

— Na przykład o tym, jak zwyciężyć Azerów?

Jewgienij spojrzał na niego zwężonymi oczami.

— Być może uda ci się spotkać z nim w przyszłym tygodniu.

— Muszę spotkać się z nim dziś.

Kolejne wzruszenie ramion.

— Przecież powiedziałem, że nie ma go w Moskwie. Ale do jutra rana może wrócić.

— No to dopilnuj, żeby wrócił

— Mógłbym, owszem. To będzie kosztować.

— Ile?

— Dziesięć tysięcy.

— Dziesięć tysięcy dolarów za rozmowę z Dimitrijem Masłowem?

— Nie. — Jewgienij potrząsnął głową. — Amerykańskie dolary straciły na wartości. Mówię o frankach szwajcarskich.

Bourne myślał szybko. Nie miał przy sobie takich pieniędzy, a już z całą pewnością nie we frankach szwajcarskich. Jednakże Baronow wspomniał mu o skrzynce depozytowej w Banku Moskwa. Problem w tym, że jej właścicielem był Fiodor Iwanowicz Popow, który z pewnością poszukiwany był w związku z trupem znalezionym w jego hotelowym

pokoju. Na to nie było niestety żadnego sposobu. Trzeba ryzykować.

— Będę miał pieniądze jutro rano.

— Załatwione. — Jewgienij napisał coś na kawałku papieru, pokazał mu go, nie wypuszczając z ręki. — Proszę być pod tym adresem o dwunastej. — Zapalił zapałkę i czekał, aż jego notatka zmieni się w popiół.

Siemion Ikupow przebywał w swej tymczasowej kwaterze głównej w Grindelwaldzie. Wiadomość o śmierci Haruna Iliewa przeżył bardzo ciężko. Sama śmierć nie była dla niego nowością, oglądał ją wielokrotnie, ale Haruna traktował jak brata. Nie, lepiej niż brata, bo obaj nie mieli rodzeństwa, które pakowałoby nos w ich wzajemne stosunki, przeszkadzało im na każdym kroku. Polegał na jego mądrych radach. Smutne, bardzo smutne. Strata nie do odrobienia.

Łańcuch myśli przerwał mu otaczający go zorganizowany chaos. Co najmniej dwudziestu ludzi siedziało przy konsolach komputerowych podłączonych do komunikacji satelitarnej, sieci systemów bezpieczeństwa, kamer śledzących ruch w centrach komunikacyjnych na całym świecie. Zbliżał się decydujący moment ataku Czarnego Legionu; to, co ukazywał każdy monitor, trzeba było dokładnie obserwować i analizować, wybierać twarze podejrzanych, przeprowadzać przez skomplikowane programy komputerowe wspomagające identyfikacje jednostek. Ludzie Ikupowa tworzyli z tego obraz tła w czasie rzeczywistym; tła, przeciwko któremu atak miał się obrócić.

Zwrócił uwagę na trzech doradców stojących przy jego biurku. Najwyraźniej czekali na chwilę rozmowy. Najstarszy z nich, Ismail, odchrząknął.

— Chcieliśmy się dowiedzieć, kogo pošlesz za Bourne'em teraz, kiedy Harun...

Ikupow też długo o tym myślał. W pamięci układał listę tych, których mógłby wysłać, ale większość z nich musiał z tego lub innego powodu wykluczyć. Ich nazwiska powracały jednak w jego myślach i powoli uświadamiał sobie, że kierujące nim motywy były proste, trywialne. Znał odpowiedź na pytanie Ismaila, nim mężczyzna zadał je po raz drugi.

Spojrzał na zaniepokojone twarze doradców.

— Ja to załatwię. Bourne to teraz moja sprawa.

Rozdział 24

W Alter Botanischer Garten było przeraźliwie gorąco i wilgotno, zupełnie jak w tropikalnej dżungli. Potężne tafle szkła przyćmiewała mgła, ściekała po nich wielkimi kroplami. Moira już wcześniej zdjęła rękawiczki i długi, ciepły płaszcz, a teraz pozbyła się także swetra o grubym splocie miło grzejącego ją w wilgotne monachijskie poranki, których chłód potrafił przeniknąć aż do kości.

A jeśli już o niemieckich miastach mowa, o wiele bardziej lubiła Berlin od Monachium. Po pierwsze, Berlin od lat maszerował w awangardzie współczesnej muzyki. To tu wielcy i sławni w rodzaju Davida Bowie, Briana Ena czy Lou Reeda przyjeżdżali ładować swe twórcze baterie, słuchając, co mają do przekazania muzycy znacznie młodszy od nich. Po drugie, miasto nadal dźwigało ciężar wojny i lat powojennych, nie zapomniało o nich, było żywym muzeum, z każdą chwilą i każdym oddechem odkrywającym od nowa swe istnienie.

Wolała Berlin także ze względów czysto osobistych. Przyjeżdżała tu z tego samego powodu co David Bowie: by oderwać się od skostniałych zwyczajów, odetchnąć świeżym powietrzem miasta innego niż te, które znała. Moirę bardzo wcześnie zaczęło nudzić wszystko, co znane.

Gdy czuła się zmuszona dołączyć do grupy tylko dlatego, że tak postępowali przyjaciele, miała wrażenie, że traci część samej siebie. Stopniowo, powoli, coraz jaśniej zdawała sobie sprawę z tego, że jej przyjaciele przestają być indywidualnościami, stapiają się w jakąś grupę „ich”, stają się, przynajmniej dla niej, wręcz odpychający. Uciec przed nimi można było tylko w jeden sposób: wyjeżdżając ze Stanów Zjednoczonych. Mogła wybrać Londyn lub na przykład Barcelonę, jak to robiło wielu studentów drugiego roku, ale uwielbiała Davida Bowie i Velvet Underground, więc wybrała Berlin.

Ogród Botaniczny rozpoczął swój żywot w połowie XIX wieku jako sala wystawowa. Osiemdziesiąt lat później, kiedy ogrody zniszczył pożar, rozpoczął nowe życie parku publicznego. Stojąca poza jego granicą przedwojenna, wielka i obrzydliwa fontanna Neptuna rzucała cień na miejsce, po którym spacerowała. Piękno wspaniałych gatunków roślin podkreślało tylko charakter miasta bez werwy, nerwu i iskry bożej, nudnego miasta *üntermenschów*, biznesmenów tak szarych jak ich garnitury i fabryk buchających chmurami dymu w niskie, groźnie zachmurzone niebo. Miasta, w którym jak w soczewce skupiała się aktywność europejskich muzułmanów, a także, w zgodzie z odwiecznym prawem akcji i reakcji, stolica neonazistów, skinheadów.

Moira zerknęła na zegarek. Było dokładnie wpół do dziesiątej rano, właśnie pojawił się Noah i siedł w jej kierunku. Był to mężczyzna chłodny, zawsze bardzo skuteczny w działaniu, wstrzemięźliwy, nawet skryty, ale w zasadzie dawał się lubić. Nie pracowałaby pod jego kierunkiem, gdyby było inaczej, w końcu znała się na robocie na tyle, że zasługiwała na szacunek, ale Noah szanował ją i nie zamierzał tego ukrywać, więc wszystko było w porządku.

Pod wieloma względami przypominał jej Johanna, mężczyznę, który zwerbował ją, gdy była jeszcze studentką. Oczywiście nie spotkał się z nią na uczelni, na to był o wiele za sprytny. Pierwszy kontakt nawiązała jego dziewczyna; założył — i miał rację — że Moira chętniej

przyjmie zaproszenie, jeśli wyjdzie ono od kobiety. W końcu doszło jednak do spotkania ich obojga. Zaintrygowało ją to, co miał do zaferowania, a reszta... cóż, reszta to już historia. Chociaż nie do końca. Nigdy nie powiedziała nikomu, nawet Martinowi, nawet Bourne'owi, dla kogo rzeczywiście pracuje. Byłoby to pogwałcenie kontraktu z firmą.

Zatrzymała się przy różowych, uroczych kwiatach orchidei, piegowatych niczym nosek podlotka. To właśnie w Berlinie Moira przeżyła swą pierwszą wielką, namiętą przygodę miłosną z rodzaju tych, które pochłaniają całego człowieka, niszczą wszelkie poczucie odpowiedzialności, każdą myśl o przyszłości. Przygoda ta omal jej nie zniszczyła, przede wszystkim dlatego, że wciągnęła ją jak wir, nie pozwoliła jej ani przez chwilę myśleć o sobie. Stała się seksualnym instrumentem, na którym grał jej kochanek. Pragnęła tylko tego, czego pragnął on. Przestała istnieć jako osoba.

W końcu to właśnie Johann ją uratował, lecz proces oddzielania rozkoszy od istoty osobowości okazał się niezwykle bolesny. Zwłaszcza przez to, że dwa miesiące później jej kochanek zmarł. Przez długi czas bezgranicznie nienawidziła swego zbawcy; znikły gdzieś przyjaźń i zaufanie, którymi się darzyli. Tej lekcji miała nie zapomnieć nigdy. Między innymi dlatego nie pozwoliła sobie zakochać się w Martinie, choć jakaś jej część nie potrafiła żyć bez jego dotknięcia. Z Jasonem Bourne'em było zupełnie inaczej, bo znów porwał ją wir. Tym razem jednak nie dała się poniżyć. Częściowo dlatego, że była już dorosła i bogatsza o pewną wiedzę, ale przede wszystkim dlatego, że Bourne niczego od niej nie żądał. Nie próbował przewodzić, nie robił nic, by ją zdominować. Z nim wszystko było jasne i czyste.

Przeszła do następnej orchidei, czarnej jak noc, z małą plamką żółci pośrodku kwiatu. Co za ironia, pomyślała. Nigdy jeszcze nie spotkałam człowieka, który choć ma tak wielkie problemy, zachowuje tak

doskonałą samokontrolę. Ta jego pewność siebie była wspaniałym afrodyzjakiem, a także wspaniałym antidotum na jej wrodzoną melancholię.

Na tym jednak nie koniec. Bourne z pewnością uważał się za pesymistę, ale ona jako pesymistka potrafi rozpoznać optymistę na pierwszy rzut oka. Bourne wkraczał do akcji, kiedy wszyscy byli pewni, że nic się już nie da zrobić, i jakimś cudem znajdował rozwiązanie. Dokończyć czegoś takiego potrafią wyłącznie najwięksi optymiści.

Usłyszała ciche kroki, odwróciła się. Noah był już blisko, zgarbiony w swym tweedowym płaszczu. Choć urodził się w Izraelu, mógł spokojnie uchodzić za Niemca, zapewne dlatego, że tak długo mieszkał w Berlinie. Był protegowanym Johanna; uchodzili za nierozłącznych przyjaciół. Kiedy jego mistrz zginął, w sposób naturalny zajął jego miejsce.

— Cześć, Moira — przywitał ją. Miał szczupłą twarz i czarne, przyprószone przedwczesną siwizną włosy. Długi nos oraz prosty wykrój poważnych ust dowodziły niezwykłego poczucia absurdalności świata.

— Zrobiłam, co mogłam, żeby wciągnąć Bourne'a do zarządu NextGen.

Uśmiechnął się rozbrajająco.

— Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

Wyciągnął rękę w zapraszającym geście i dalej szli już razem. Ponury ranek odstraszył gości, wokół było zaledwie kilka osób, nie musieli się więc martwić, że ktoś ich podsłucha.

— Powiedzmy to sobie uczciwie: z tego, co mi mówiłaś, wynikało, że to bardzo mało prawdopodobne.

— Nie jestem rozczarowana — powiedziała Moira spokojnie. — Tak czy inaczej, było to cholernie przykre doświadczenie.

— Pewnie dlatego, że coś do niego czujesz.

— I co z tego? — Instynktownie zajęła pozycję defensywną. Najbardziej zdziwiło to ją samą.

— Ty mi powiedz. — Noah przyglądał się jej bardzo uważnie. — Wspólnicy są zgodni w jednym: emocje przeszkadzają ci w pracy.

— Kto to powiedział, do cholery?!

— Chcę, żebyś wiedziała, że jestem po twojej stronie. — Noah mówił głosem psychoanalityka uspokajającego coraz bardziej nerwowego pacjenta. — Problem w tym, że powinnaś przyjechać dobre parę dni temu. — Minęli robotnika pracującego przy stanowisku fiołków afrykańskich. Kiedy byli już wystarczająco daleko, by nie mógł ich usłyszeć, mówił dalej: — I nagle pojawiaasz się... z Bourne'em.

— Przecież ci powiedziałam, że próbowałam go zwerbować.

Noah założył ręce na piersiach. Każde jego słowo miało swoją wagę.

— Nie okłamuj kłamcy. Panuje powszechne przekonanie, że pomyliły ci się priorytety. Masz pracę do wykonania i nie jest to praca błaha. Firma nie może sobie pozwolić na to, żebyś myślała o niebieskich migdałach.

— Dajesz mi do zrozumienia, że chcesz mnie zastąpić?

— Taka możliwość była tematem rozmowy.

— Gówno prawda! Nikt nie zna projektu tak dobrze jak ja! W tym stadium zaawansowania?

— Pojawiła się także inna możliwość: rezygnacja z projektu.

To był prawdziwy wstrząs.

— Nie odważysz się!

Noah nie spuszczał z niej wzroku.

— Wspólnicy uznali, że na tym etapie lepiej się wycofać, niż ponieść klęskę.

Moira czuła, jak burzy się w niej krew.

— Nie możesz się wycofać, Noah. Poradzę sobie!

— Obawiam się, że nie ma już o czym dyskutować. Decyzja została podjęta. Dzisiaj rano, punktualnie o godzinie siódmej, Poinformowaliśmy NextGen, że wycofujemy się z projektu. — Podał jej kopertę. — Dziś po południu wylatujesz do Damaszku.

Leonid i Dewra wjechali do Stambułu mostem przerzuconym przez Bosfor niemal dokładnie o wschodzie słońca. Zjeżdżając z okrutnych, zasypanych śniegiem gór, tworzących kręgosłup Turcji, zdejmowali kolejne warstwy ubrań, a teraz już wstał ranek, wyjątkowo pogodny i ciepły. Prywatne jachty i gigantyczne tankowce cięły spokojne wody zatoki w drodze na miejsce przeznaczenia. Dobrze było móc wreszcie otworzyć okno. Świeże, wilgotne powietrze, rzeźwiące zapachem soli i minerałów, stanowiło mile widzianą odmianę po suchej, przesyconej kurzem, jałowej atmosferze wnętrza kraju.

Tej nocy zatrzymywali się na każdej stacji benzynowej, w każdym zapchlonym motelu, w każdym otwartym sklepie (choć te otwarte stanowiły zdecydowaną mniejszość), z nadzieją, że znajdą gdzieś Heinricha, kolejne ogniwo w kurierskim łańcuchu Piotra.

Kiedy przyszła jego kolej, by usiąść za kierownicą, dziewczyna posłusznie przesiadła się na miejsce pasażera, oparła się głową o drzwi, zapadła w głęboki sen. I śniła. Była wielorybem pływającym w ciemnych, lodowatych wodach oceanu. Nie docierał do niej najmniejszy promyk słońca. Niżej rozciągała się niezgłębiona otchłań, a przed sobą widziała coś na kształt sylwetki. Nie wiedziała dlaczego, ale wydawało się jej koniecznością śledzenie tej sylwetki, dogonienie jej, zidentyfikowanie. Czy to przyjaciel, czy wróg? Od czasu do czasu wypełniała głowę i gardło dźwiękiem, wysyłała go w ciemność. Nie dostawała odpowiedzi. W pobliżu nie było wielorybów, więc cóż takiego ścigała? Cóż takiego tak desperacko próbowała odnaleźć? Nikt nie przychodził jej na pomoc. Zaczynała się bać, jej strach rósł, rósł...

Drgnęła, obudziła się w samochodzie, przy boku Leonida. Ale jej strach trwał. Szarawy poblask wczesnego świtu sprawiał, że każdy fragment krajobrazu za oknem wydawał się jej obcy... i groźny.

Dwadzieścia pięć minut później znaleźli się w pulsującym życiem, mocno bijącym sercu Stambułu.

— Heinrich lubi przed lotem zawadzić o Kilyos, osiedle przy plaży na północnych przedmieściach miasta — powiedziała. — Wiesz, jak tam dojechać?

Leonid skinął głową.

— Znam okolicę — powiedział krótko.

Przejechali przez Sultanahmet, centrum Starego Stambułu, przeprawili się na drugą stronę Złotego Rogu mostem Galata, wreszcie znaleźli się w Karaköy na północy. W dawnych czasach, gdy Stambuł nazywał się Konstantynopol i był stolicą cesarstwa bizantyjskiego, Karaköy należał do Genui jako jej kolonia handlowa i nazywał się Galata. Pośrodku mostu Dewra najpierw spojrziała na zachód, w kierunku Europy, a potem, poprzez Bosfor, na Uskudar w Azji.

Byli w Galacie, otoczonej potężnym murem obronnym, z wyrastającą z niego wieżą o stożkowym hełmie, pomnikiem architektury, dominującym linię nocnego nieba współczesnego miasta, wraz z pałacem Topkapi i minaretami Błękitnego Meczetu.

Kilyos rozciąga się wzdłuż wybrzeża Morza Czarnego, trzydzieści pięć kilometrów na północ od granic miasta. W lecie to popularny ośrodek wypoczynkowy rojący się od turystów opalających się na pięknych plażach, pływających w morzu, posilających się w restauracjach, których pełno nad brzegiem, kupujących okulary przeciwsłoneczne oraz słomkowe kapelusze albo po prostu marzących. W zimie jest to miejsce smutne, nawet podejrzone, jak wdowa, niedołęzniejąca i coraz bardziej zdziwaczała. Mimo to rankiem pod ciemnoniebieskim, bezchmurnym niebem po plaży spacerują ludzie: trzymające się za ręce młode pary, matki z małymi dziećmi ze śmiechem podbiegającymi aż do linii wody i uciekającymi z okrzykami rozkosznego strachu przed wdzierającą się na piasek falą. Starzy mężczyźni siedzą na składanych krzeselkach, paląc krzywe, ręcznie zwijane cygara wypuszczające w powietrze dym tak śmierdzący, jakby były kominami farbiarni.

Arkadin zaparkował, wysiadł i przeciągnął się, jak każdy kierowca po długich godzinach spędzonych w drodze.

— Pozna mnie na pierwszy rzut oka. — Dewra pozostała w samochodzie. Dokładnie opisała Heinricha, a nim Leonid zszedł na plażę, dodała jeszcze: — Lubi stać w wodzie. Mówi, że dopiero wtedy czuje grunt pod nogami.

Nad morzem było tak ciepło, że niektórzy spacerowicze odważyli się zdjąć kurtki, a jakiś starszy pan rozebrał się nawet do pasa. Siedział, otaczając dłońmi podciągnięte do piersi kolana, z twarzą zwróconą ku słońcu, jak heliotrop. Dzieci kopaly dołki w piasku łopatkami w kształcie ptaszka Tweety, wsypywały go do wiaderek różowych jak świnka Petunia. Jakaś para całowała się namiętnie.

Leonid minął ich obojętnie. Widział już stojącego w wodzie mężczyznę w podwiniętych spodniach. Jego buty z wetkniętymi w nie skarpetkami leżały na kupce piasku. Na horyzoncie, w który się wpatrywał, tkwiły niemal nieruchome gazowce; z tej odległości wydawały się małe jak klocki lego.

Opis Dewry był nie tylko dokładny, lecz także zdumiewająco trafny. Nie pozostawiał wątpliwości: mężczyzną stojącym w wodzie był Heinrich.

Bank Moskwa mieścił się w ogromnym, ozdobnym budynku, który w każdym innym mieście byłby wspaniałym pałacem, w tym jednak nie uchodził za nic wyjątkowego. Stał przy rogu ruchliwych arterii komunikacyjnych biegnących o rzut kamieniem od placu Czerwonego. Ulicami i chodnikami przelewały się tłumy zarówno moskwian, jak i turystów.

Bourne krążył po okolicy od dobrych dwudziestu minut. Sprawdzał, czy nie jest śledzony. Nie dostrzegł nic podejrzanego, ale też o niczym to nie świadczyło. Po pokrytych śniegiem ulicach jeździły samochody policyjne, być może było ich więcej niż zwykle?

Szedł ulicą w pobliżu banku, kiedy pojawił się kolejny radiowóz, tym razem z włączonym kogutem. Ukrył się w bramie, wejściu do sklepu, odprowadził go wzrokiem. W połowie przecznicy auto zatrzymało się przy prywatnym samochodzie parkującym na drugiego. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, po czym dwaj gliniarze wysiedli i podeszli do niego charakterystycznym, pewnym krokiem.

Bourne wykorzystał okazję, ruszył zatłoczonym chodnikiem, w tłumie ludzi okutanych w futra po oczy, jak dzieci. Szli szybko, skuleni i przygarbieni, z ich ust i nosów biły kłęby pary. Podchodząc do radiowozu, pochylił się, zajrzał do środka. A stamtąd odpowiedziało mu jego własne spojrzenie. Patrzył w swoje oczy, uwiecznione na liście gońcym, który dostali pewnie wszyscy moskiewscy gliniarze. Tekst obok zdjęcia głosił, że jest podejrzanym w sprawie zabójstwa przedstawiciela amerykańskiego rządu. Odwrócił się i znikł za najbliższym rogiem, nim funkcjonariusze mieli szansę wrócić.

Zadzwonił do Gali, które siedziała w poobijanym ziguli Jakowa trzy przecznice dalej, czekając na jego sygnał. Otrzymałszy go, wrzuciła migacz i włączyła się do ruchu. Skręciła w prawo i jeszcze raz w prawo. Jak przewidzieli, jechała powoli; o tej porze na ulicach co chwila tworzyły się korki.

Dziewczyna zerknęła na zegarek. Jason potrzebował jeszcze dwięćdziesięciu sekund. Podjeżdżając do skrzyżowania tuż obok banku, zwolniła. Pozostały czas wykorzystwała na znalezienie pasującego jej celu. Pod odpowiednim kątem i w odpowiedniej odległości zbliżała się w jej kierunku lśniąca limuzyna żół. Na jej masce i dachu nie było nawet płatka śniegu.

Jeszcze raz spojrzała na zegarek. Już czas. Wcisnęła gaz do dechy. Opony bombili, które razem obejrżeli wczoraj, kiedy wrócili do Lorraine, kompletnie łyse, z niemal niewidoczną rzeźbą bieźnika, poślizgnęły się raz i drugi. Gwałtownie wciska hamulec, a wtedy zapiszczały przeźrażliwie, zablokowały się i zaczęły ślizgać po pokrywającym ulicę lodzie.

Żiguli uderzyło maską w przedni zderzak ziła.

Ruch na całej ulicy zamarł w jednej chwili. Rozległo się przerażliwe trąbienie, przechodnie zawracali w pół kroku, ciekawi, co się stało. Na miejscu wypadku znalazły się momentalnie aż trzy radiowozy.

Korzystając z rosnącego z chwili na chwilę chaosu, Jason Bourne wślizgnął się do banku przez drzwi obrotowe. Przemierzył hol po marmurowej podłodze, przeszedł pod jednym z trzech połączanych kandelabrow zwisających z wysokiego, sklepionego sufitu. Ogrom i wspaniałość sali bankowej pomniejszały człowieka, ten i ów czuł się tu zapewne tak, jakby odwiedzał członka rodziny w jego marmurowej krypcie.

W dwóch trzecich długości salę tę przegradzała niska lada, za którą siedzieli urzędnicy, zgarbieni, z głowami pochylonymi nad pracą. Bourne przystanął na chwilę, sprawdzając, czy ktoś nie zachowuje się podejrzanie. Następnie wyjął paszport Popowa i zapisał numer sejfu na kartce małego notatnika, specjalnie przeznaczonego do tego celu. Urzędniczka przyjrzała mu się, wzięła paszport i kartkę, zamknęła szufladę, uprzejmie poprosiła klienta, by chwilę poczekał. Bourne obserwował ją, gdy podchodziła do jednego z wyższych funkcjonariuszy, którzy też siedzieli rzędem, za identycznymi biurkami. Przekazała mu dokumenty. Facet sprawdził numer na swojej liście sejfów, potem zajął do paszportu. Zawahał się, sięgnął po telefon, lecz kiedy zauważył, że jest obserwowany, odłożył słuchawkę na widelki. Powiedział coś podwładnej, wstał, podszedł do lady.

— Pan Popow? — spytał uprzejmie, zwracając paszport. — Wasilij Legiew, do usług. — Był śliskim moskwianinem; cały czas zacierał ręce, jakby uznał, że powinien raczej ukrywać dłonie. Jego uśmiech był mniej więcej tak autentyczny jak banknot trzydolarowy. W każdym razie uniósł ladę, zaprosił klienta do środka. — Pan pozwoli, że zaprowadzę pana do pańskiego sejfu. Cała przyjemność po mojej stronie.

Poszli razem w głąb sali. Uchyliły się przed nimi niemal niewidoczne drzwi na wytłumiony, wyłożony miękkim dywanem korytarz, po którego bokach wznosiły się prostokątne kolumny. Na ścianach wisiały kiepskie reprodukcje słynnych pejzaży wielkich mistrzów. Słychać było stłumione brzęczenie dzwonek telefonicznych i terkot drukarek komputerowych wypływających rzędy cyfr i listy. Skarbiec znajdował się na wprost. Prowadzące do niego masywne drzwi były już uchylone, marmurowe schody po lewej kończyły się gdzieś na górze.

Legiew uprzejmie przepuścił Bourne'a przodem przez okrągłe wejście. Kłapa wyposażona była w zawiasy mające dobrze ponad pół metra długości, a grube jak biceps silnego mężczyzny. Ściany prostokątnej sali od podłogi po sufit wypełniały metalowe boksy, przy czym widoczne były wyłącznie ich przednie ścianki.

Podeszli do oznaczonego odpowiednim numerem sejf, zamkniętego na dwa zamki otwierane dwoma kluczami. Legiew włożył swój w lewą dziurkę, Bourne w prawą. Przekręcili je jednocześnie i sejf można już było wysunąć jak szufladę. Urzędnik zaniósł go teraz do jednego z niewielkich pokojów gwarantującego klientowi prywatność przy przeglądaniu zawartości. Postawił go na kontuarze, skinął głową i wyszedł, zasuwając za sobą zastonę.

Bourne nawet nie pofatygował się, żeby usiąść. Odchylił pokrywę. W środku było mnóstwo pieniędzy: amerykańskich dolarów, euro, franków szwajcarskich i innych walut. Schował do kieszeni dziesięć tysięcy franków, trochę dolarów i euro, zamknął sejf i wyszedł do sali skarbcza.

Wasilij Legiew znikł. Zastąpili go dwaj policjanci w cywilu. Zajęli strategiczną pozycję między nim a wejściem. Jeden z nich wymierzył w Bourne'a z makarowa. Drugi uśmiechnął się złośliwie.

— Proszę z nami, gospodin Popow — powiedział.

Arkadin szedł wyginając się półkolistą plażą z rękami w kieszeniach. Minął rozszczekanego z radości psiaka, którego właściciel spuścił ze smyczy, odpowiedział uśmiechem dziewczynie, która uśmiechnęła się do niego, gdy się mijali, odgarniając z twarzy kasztanowate włosy.

Gdy tylko zbliżył się do Heinricha, przystanął, zrzucił buty, zdjął skarpetki, podwinął spodnie i wszedł do morza. W wodzie piasek był ciemny, grubszy i ostry. Zbliżał się do kuriera pod kątem, wkrótce znalazł się tak blisko niego, że mogli słyszeć się bez problemu. Wyczuwając jego bliskość, mężczyzna się obrócił, osłonił oczy dłonią, niedbale skinął mu głową i znów zapatrzył się w horyzont.

Arkadin udał, że zachwiała nim fala, zbliżył się jeszcze o krok.

— Dziwne. Nie sądziłem, że ktoś oprócz mnie lubi morze zimą — powiedział.

Nie doczekał się odpowiedzi. Heinrich nadal patrzył przed siebie.

— Często zastanawiałem się, dlaczego tak mi się podoba, kiedy woda obmywa mi stopy, opływa je w jedną stronę, potem w drugą...

Tym zwrócił na siebie uwagę.

— Przepraszam bardzo, ale próbuję medytować.

— Pomedytuj o tym — powiedział i pchnął mężczyznę nożem w bok.

Oczy Heinricha rozwarły się szeroko. Zatoczył się, ale Leonid był blisko i podtrzymał go. Usiedli razem; dwaj starzy przyjaciele, wspólnie przeżywający komunie z naturą. Heinrich zaczął się krztusić. Próbował odetchnąć, kurczowo łapał powietrze. Przypominał wyjętą z wody rybę.

— Co... ja...?

Leonid objął go jedną ręką, a drugą przesunął pod popelinową kurtkę. Nie, nie pomylił się, kurier miał przesyłkę przy sobie, nie chciał ani na chwilę spuszczać jej z oka. Zwinięty kartonowy cylinder. Jak coś tak małego może być tak potężne?

— Wielu za to zginęło — powiedział.

— I wielu jeszcze zginie. Kim... jesteś?

— Twoją śmiercią. — Arkadin pchnął nóż głębiej, obrócił ostrze w ranie między żebrami.

— Och... och, och — sapnął kurier. Dusił się, płuca wypełniała mu jego własna krew. Oddech miał płytki, przerywany. A po chwili już wcale nie oddychał.

Arkadin nadal podtrzymywał go przyjacielskim ramieniem, a kiedy martwe ciało się osunęło, podparł je, nie pozwolił mu przewrócić się w fale, szmerzące wokół nich, rozbijające się na piasku. Patrzył daleko, na horyzont, jak przedtem jego ofiara pewien, że za tą cieniutką linią nie ma nic, tylko czarna otchłań, nieskończona i niepoznawalna.

Bourne posłusznie wyszedł ze skarbcza wraz z policjantami, lecz już w korytarzu kantem dłoni uderzył w przegub tego, który trzymał makarowa, wytrącając mu broń; upadła na podłogę i poślizgnęła się aż pod ścianę. Drugiego kopnięcie rzuciło na narożnik czworobocznej kolumny. Poderwał rękę tego, który jeszcze przed chwilą był uzbrojony, zadał mu cios łokciem w żebra i drugi w kark.

Pozbywszy się w ten sposób przeciwników, pobiegł korytarzem. Nim dotarł do sali ogólnej, drogę zastąpił mu kolejny przeciwnik. Sądząc po opisie Jakowa, był to sam Harris Low.

Bourne skręcił w kierunku schodów z białego marmuru. Biegł w górę, przeskakując po trzy. Skręcił na podest drugiego piętra. Nauczył się na pamięć planów, które dostarczył mu przyjaciel Baronowa, a przychodząc do banku, brał pod uwagę wszystkie możliwości; nie mógł liczyć tylko na to, że załatwi swoje sprawy i nie zostanie przy tym zidentyfikowany. Wydawało się oczywiste, że Legiew, rozpoznawszy gospodina Popowa, naśle na niego policję. gdy będzie on zajęty swym depozytem.

Na korytarzu oczekiwał na niego jeden z bankowych strażników.

Bourne chwycił go za mundur na piersiach, poderwał, obrócił face-
ta i cisnął nim na klatkę schodową wprost na wspinającego się nią agen-
ta NSA.

Przebiegł korytarz, szarpnięciem otworzył drzwi prowadzące na
schody pożarowe. Jak w wielu budynkach tej epoki i one bieły spiral-
nie zawieszane na ścianie, pozostawiając w środku pustą przestrzeń.

Wyżej, jeszcze wyżej! Trzecie piętro, czwarte. Drzwi trzasnęły,
budząc echo, zatupotały kroki. Spadający po schodach strażnik zwolnił
pogoń, ale jej nie zatrzymał.

Pierwszy strzał huknął, kiedy Jason był w połowie drogi między
czwartym a piątym, ostatnim piętrem. Przytulił się do ściany, usłyszał
ostry trzask rykoszetu. Drugi strzał także chybił. Chwilę potem Bourne
szarpnięciem otworzył klapę, wydostał się na dach, zatrzasnął ją za
sobą.

Harris Low był wściekły. Miał tylu ludzi, z których usług mógł
skorzystać... a Bourne ciągle był na wolności. Biegąc po schodach,
powtarzał sobie, że tak jest zawsze, kiedy liczy się na pomoc Rosjan i
zostawia szczegóły im. Wspaniale posługiwali się brutalną siłą, ale
kiedy w grę wchodziły subtelności tajnej pracy, byli więcej niż bezuży-
teczni. Choćby ci dwaj gliniarze w cywilu! Mimo że sprzeciwiał się
temu ze wszystkich sił, nie zaczekali na niego, postanowili sami za-
trzymać Popowa, zesłi do skarbcza. Narobili bałaganu, a kto będzie po
nich sprzątał? On, oczywiście. Bo któżby inny?

Dotarł do wychodzących na dach drzwi, obrócił klamkę, otworzył
je kopniakiem. Płaska, smołowana powierzchnia, wiszące nisko zimowe
niebo... nic poza tym. Gotów na wszystko, trzymając w wyciągniętej
ręce walthera PPK/S, zrobił krok przed siebie, zatrzymał się na ugiętych
nogach.

Nagle, bez ostrzeżenia, skrzydło drzwi uderzyło go i wyrzuciło z
powrotem na niewielki podest.

Bourne szarpnął je i skoczył. Zadał Lowowi trzy ciosy: dwa w żołądek, trzeci w prawy nadgarstek, wytrącający mu z ręki walthera, który wylądował na pierwszym stopniu między czwartym a piątym piętrem.

Wściekły jak nigdy Low odpowiedział dwoma uderzeniami w nerki. Bourne opadł na kolana, otrzymał cios stopą w bok, po czym przeciwnik usiadł mu na piersi, unieruchamiając jego ramiona nogami i z całej siły zaciskając mu palce na szyi. Jason rozpaczliwie próbował uwolnić ręce, brakowało mu jednak punktu podparcia. Usiłował zaczerpnąć powietrza, lecz nie zdołał, palce Lowa całkowicie odcięły jego płuca od dostępu tlenu. Dał więc temu spokój i opierając się na dolnej części kręgosłupa, poderwał nogi do pionu, po czym opuścił je i ujął głowę agenta łydkami. Facet bronił się, oczywiście, mocno pracował ramionami, ale na próżno. Nagle, wykorzystując całą swą niezwykłą siłę, Bourne szarpnął nim w lewo. Low uderzył głową w ścianę, oswo-badzając jego ręce, i wyprostowane dłonie spadły mu na uszy.

Krzyknął z bólu, odwrócił się, zaczął pełznąć po schodach. Nie było wątpliwości: próbował dosięgnąć walthera. Wyciągał ręce po broń, gdy Bourne skoczył na niego z góry. Wylądował miękko i natychmiast otrzymał cios lufą w twarz. Cofnął się, a agent przechylił go przez balustradę, za którą były cztery piętra pustki i betonowa podłoga parteru.

Mocowali się w milczeniu, niemal nieruchomi, tylko lufa walthera powoli przesuwiała się w stronę twarzy Jasona Bourne'a, który z kolei nasadą dłoni odpychał twarz Lowa.

Nagle agent wyrwał się z uścisku, zaatakował, próbując uderzeniem pistoletu pozbawić przeciwnika przytomności. Bourne ugiął nogi w kolanach i używając jego własnego impetu, unióśł go, trzymając za spodnie między nogami. Low spróbował jeszcze wymierzyć w niego, nie zdołał, cofnął rękę do kolejnego ciosu.

Używając całej pozostałej mu jeszcze siły, Bourne po prostu przeczucił go nad balustradą schodów. Low spadł, bezwładnie wymachując

rękami i nogami. Jego ciało z trzaskiem uderzyło w beton.

Amerykanin odwrócił się i powoli wyszedł na dach. Słyszał już aż za dobrze mu znane wycie syren policyjnych samochodów. Grzbietem dłoni otarł krew z policzka. Stał na gzymsie budynku, przeskoczył na dach sąsiedniego. Powtórzył ten wyczyn jeszcze dwukrotnie, nim uznał, że może bezpiecznie zejść na ulicę.

Rozdział 25

Soraya nigdy nie potrafiła zrozumieć natury paniki, choć dorastała w towarzystwie ciotki, która aż nazbyt często ulegała jej atakom. Opowiadała, że kiedy nachodzą, czuje się tak, jakby ktoś nałożył jej na głowę plastikową torbę do prania chemicznego, jakby ją powoli duszono, a ona obserwowała ciotkę, skuloną na krześle albo zwiniętą w kłębek na łóżku, i zastanawiała się, jak, do diabła, coś takiego można w ogóle czuć. W jej domu plastikowe torby były w ogóle zakazane. Jak ktoś może mieć wrażenie, że dusi się na śmierć, choć przecież nie ma niczego na twarzy?

No to teraz dowiedziała się, jak to możliwe.

Kiedy wyjeżdżała z bezpiecznego domu NSA sama, bez Tyrone'a, kiedy zamknęła się za nią potężna brama ze wzmocnionego metalu, ręce drżały jej na kierownicy, a serce boleśnie tłukło się w piersiach. Nad górną wargą pojawiły się drobne kropelki potu, pocila się pod pachami i na karku, ale najgorsze było to, że nie mogła złapać oddechu. Myśli krążyły jej po głowie, dziko jak szczur w klatce. Oddychała nierówno, ciężko chwytając powietrze. Czyli, krótko mówiąc, była pewna, że się dusi.

Aż wreszcie zbuntował się jej żołądek. Natychmiast zjechała na

pobocze, wyskoczyła z samochodu, klęknęła wśród drzew, podpierając się dłońmi, i zwymiotowała słodką cejlońską herbatą z mlekiem.

Jason, Tyrone i Veronica Hart... wszyscy oni znaleźli się w strasznym niebezpieczeństwie, ponieważ podjęła pospieszną, nieprzemyślaną decyzję. Na tę myśl drżała jak w chorobie. Być szefem oddziału terenowego w Odessie to jedno, być dyrektorem zupełnie co innego. Czyżby odgryzła więcej, niż zdoła przełknąć? Być może nie ma jednak nerwów ze stali niezbędnych przy podejmowaniu trudnych decyzji? Gdzie się podziała jej legendarna pewność siebie?

Pozostawiła ją za sobą, w celi czekającego na przesłuchanie Tyrone'a.

Zdołała jakoś dotrzeć do Alexandra i zaparkować samochód. Siedziała nieruchomo, opierając wilgotne czoło na kierownicy. Próbowała myśleć w spójny, logiczny sposób, ale miała nieodparte wrażenie, że jej mózg oblano szybkoschnącym cementem. W końcu popłakała się gorzkimi łzami.

Musiała zadzwonić do Derona, przerażała ją jednak jego możliwa reakcja na wiadomość, że dopuściła do ujęcia jego protegowanego zapewne w tej chwili torturowanego przez NSA. Spieprzyła wszystko, co było do spieszenia, i — co najgorsze — nie miała pojęcia, jak naprawić popełnione błędy. Bo alternatywa, wobec której postawił ją LaValle: Veronica Hart lub chłopak, była przecież nie do przyjęcia.

Uspokoiała się wreszcie, przynajmniej na tyle, żeby wysiąść z samochodu. Szła niczym lunatyczka w tłumie ludzi nieświadomych jej cierpienia. Wydawało się jej w jakiś sposób niewłaściwe to, że świat kręci się jak zwykle, obojętny na jej los.

Weszła do małej herbaciarni, sięgnęła po telefon komórkowy. Jej wzrok zatrzymał się na paczce papierosów. Papieros z pewnością by ją uspokoił, ale gdyby zapaliła przed wejściem, na chodniku, poczułaby się jeszcze gorzej, jeszcze bardziej zagubiona. Uznała, że zrobi to dopiero wówczas, kiedy będzie wracać do samochodu. Położyła telefon komórkowy na blacie stolika, zapatrzyła się w niego, jakby był żywą

istotą. Zamówiła herbatę rumiankową, która nieco ją uspokoiła, przynajmniej na tyle, że mogła już zadzwonić.

Połączyła się z Deronem, ale kiedy usłyszała jego głos, nie mogła wykrztusić słowa, jakby język przyrósł jej do podniebienia. W końcu, choć z trudem, zdołała się przedstawić i nie dopuszczając go do głosu, poprosiła o rozmowę z Kiki. Nie miała pojęcia, skąd ten pomysł, z przyjaciółką fałszerza spotkała się zaledwie dwa razy w życiu. Może instynktownie odwołała się do kobiecej solidarności i wołała przyznać się do błędu przed nią niż przed mężczyzną?

Usłyszała głos Murzynki. Poprosiła ją, by przyjechała do kawiarenki w Alexandria a kiedy Kiki spytała, o co chodzi, odparła: „Jak najszybciej. Proszę”.

— Po pierwsze, przestań się obwiniać — powiedziała Kiki, wysłuchawszy relacji o tym, co zaszło w bezpiecznym domu NSA, wraz ze wszystkimi bolesnymi szczegółami. — Paraliżuje cię poczucie winy, a uwierz mi, że będziesz potrzebowała. wszystkich szarych komórek, aż po najmniejszą, żeby wyciągnąć Tyrone’a z bagna, w którym tkwi po szyję.

Soraya podniosła głowę znad filiżanki cienkiej herbatki. Hakerka się uśmiechnęła. W ciemnoczerwonej sukni, ze zwiniętymi w loki włosami i kolczykami z kutego złota wyglądała jeszcze bardziej majestatycznie niż zwykle, jak prawdziwa królowa. Przewyższała najbardziej roślących klientów herbaciami o dobre piętnaście centymetrów.

— Wiem, że będę musiała powiedzieć o wszystkim Deronowi. Nie mam pojęcia, jak zareaguje.

— Nie aż tak gwałtownie, jak się obawiasz — zapewniła Kiki uspokajająco. — A poza tym Tyrone jest pełnoletni. Znał ryzyko równie dobrze jak my wszyscy. Dokonał świadomego wyboru. Mógł powiedzieć: „nie”.

Soraya potrząsnęła głową.

— Chodzi właśnie o to, że nie mógł. Problem w tym, że on inaczej widzi pewne sprawy. — Zamieszała herbatę, jakby chciała zyskać na czasie. Oblizwała wargi. — Bo widzisz... on coś do mnie czuje.

— Też mi nowina!

— Co? Ty o tym wiesz?

— Wszyscy wiedzą, kochanie... przynajmniej wszyscy ci, którzy go znają. Wystarczy na niego popatrzeć, kiedy jesteście razem.

Soraya poczuła, że się czerwieni.

— Przypuszczam, że zrobiłby wszystko, o co proszę, popełniłby nawet szaleństwo, choćby wcale nie miał na to ochoty.

— Ale wiesz, że w tym wypadku miał ochotę.

Oczywiście, pomyślała. Był podekscytowany. Zdenerwowany, być może, ale przede wszystkim podekscytowany. Trudno uznać za tajemnicę to, że od kiedy Deron wziął chłopaka pod swe skrzydła, irytowało go, że tak długo musiał kisić się na tej swojej nędznej uliczce. Inteligencji mu nie brakowało, o czym jego opiekun wiedział doskonale, ale nie interesowało go nic z tego, w czym Deron był prawdziwym mistrzem.

I wtedy pojawiła się ona. Tyrone powiedział jej otwarcie, że dla niego jest biletem w jedną stronę z getta.

Jej serce ścisnęło się nadal, wciąż czuła ciężar w żołądku. Nie potrafiła zapomnieć obrazu Tyrone'a na kolanach, zakapturzonego, ze związanymi na plecach rękami.

— Strasznie zbladłaś — zauważyła Kiki. — Wszystko w porządku?

Soraya skinęła głową. Chętnie powiedziałaby hakerce, co widzi, gdy tylko przymknie oczy, lecz nie potrafiła. Sama rozmowa na ten temat z pewnością przywołałaby rzeczywistość tak potężną i tak przerażającą, że znów wpędziłaby Sorayę w panikę.

— Więc powinniśmy już iść — zawyrokowała Kiki. Serce kobiety na chwilę przestało bić.

— Rzeczywiście, nie ma na co czekać — przyznała.

Przy drzwiach przystanąła na chwilę. Sięgnęła do torebki, wyrzuciła do kosza nie odpieczętowaną paczkę papierosów. Już ich nie potrzebowała.

Tak jak uzgodnili to wcześniej, Gała podjechała po Bourne'a bombiłą Jakowa, po czym oboje wrócili do mieszkania Lorraine. Właśnie minęła dziesiąta rano, a spotkanie z Masłowem zostało umówione na dwunastą. Bourne musiał się wykapać, ogolić i choć przez chwilę odpocząć.

Lorraine uprzejmie zatroszczyła się o wszystko, co potrzebne do życia. Dała Jasonowi ręczniki, jednorazową maszynkę do golenia, obiecała też, że wypierze i wysuszy mu ubranie. Rozebrał się w łazience i wręczył je kobiecie przez uchylone drzwi.

— Nastawię pranie i pójdziemy z Gałą kupić coś do jedzenia. Masz jakieś specjalne zamówienie?

— Nie. Zdaję się na was — odpowiedział i podziękował jej uprzejmie, po czym odkręcił prysznic na pełną moc. Z szafki na lekarstwa wyjął spirytus salicylowy, gazę, plaster bez opatrunku i krem z antybiotykiem. Przeszedł do toalety, opuścił klapę, opatrzył otartą piętę. Ostatnio musiała wiele przejść, była czerwona i podrażniona. Położył na niej nasyconą kremem gazę, okleił ją plastrem.

Podniósł telefon komórkowy, który wcześniej, oddając ubranie, położył na krawędzi umywalki. Zadzwoił pod numer, który podał mu Boris Karpow.

— Słuchaj, nie mogłabyś zrobić zakupów sama? — spytała Gała. Stały w przedpokoju, Lorraine właśnie wyjmowała z szafy swoje futro. — Wiesz... nagle poczułam się jakoś słabo.

— Co ci się stało? — zaniepokoiła się dziewczyna.

— Coś... nie wiem. — Gała opadła bezwładnie na białą, skórzaną kanapę. — Kręci mi się w głowie.

Przyjaciółka położyła jej dłoń na karku.

— Pochyl się. Włóż głowę między kolana.

Postulnie spełniła polecenie. Tymczasem Lorraine podeszła do barku, naląła wódki do szklanki.

— Masz, wypij. To cię uspokoi.

Gala poruszyła się niezdarnie, z wdziękiem pijaka. Wódkę wypila jednym łykiem, omal się nie zakrztusiła. Po chwili poczuła żar w żołądku i wreszcie zaczęło się jej robić ciepło.

— W porządku?

— Lepiej — przyznała.

— To dobrze. Kupię ci trochę gorącego barszczu. Musisz się odżywiać. — Lorraine wyjęła futro z szafy. — Lepiej się połóż.

Ta rada także warta była tego, żeby się do niej zastosować. Jednak Gala wstała, gdy tylko przyjaciółka znikła jej z oczu. Jej kanapy nigdy nie uważała za wygodną. Z pewnym wysiłkiem utrzymując równowagę, poszła korytarzykiem do sypialni. Marzyło się jej przyzwoite łóżko.

Przechodziła koło łazienki, gdy usłyszała rozmowę, a przecież Bourne brał prysznic sam! Zatrzymała się zaciekawiona, przyłożyła ucho do drzwi. Prysznic hałasował, ale nie zagłuszał męskiego głosu. Jason rozmawiał pewnie przez telefon komórkowy.

— Miedwiediew, co? — No tak, mężczyźni. Rozmawiają tylko o polityce. Już miała pójść dalej, ale następne słowa ją zatrzymały. — Z Tarkanianem to był zwyczajny pech... Nie, nie, to ja go zabiłem. Musiałem... tak, nie miałem wyboru.

Gala odskoczyła, jakby przyłożyła ucho do rozgrzanego żelaza. Przez długą chwilę nie mogła oderwać wzroku od drzwi łazienki. A więc Bourne zabił Miszę! Jak mógł! To przecież najbliższy przyjaciel Arkadina!

O Boże!

Rozdział 26

Dimitrij Masłow miał oczy grzechotnika, bary zapaśnika i łapska murarza. Na spotkanie w magazynie, wielkim niczym lotniskowy hangar, przyszedł jednak w stroju bankiera: trzyczęściowy garnitur w jasne prążki z Saville Row, koszula z egipskiej bawełny, konserwatywny krawat. Potężne nogi kończyły się delikatnymi stopami, jakby pożyczonymi od innego, znacznie drobniejszego mężczyzny.

— Nie przedstawiaj mi się — powiedział, chowając do kieszeni dziesięć tysięcy franków. — Nazwiska z góry uważam za fałszywe.

Magazyn był jednym z wielu w tej brudnej, przemysłowej dzielnicy na peryferiach Moskwy, miał więc wielki atut anonimowości. Tak jak u jego najbliższych sąsiadów od frontu wypełniony był pudłami i skrzyniami na paletach ustawionymi w stopy sięgające sufitu. W rogu drzemał wózek widłowy, na ścianie obok niego wisiła tablica, cała pokryta kilkoma warstwami ulotek, ogłoszeń, faktur, reklam i wiadomości. Nagie żarówki na sznurach oświetlały wielką przestrzeń niczym miniaturowe słońca.

Bourne został szybko i sprawnie zrewidowany w poszukiwaniu broni i podsłuchu, a następnie odprowadzony do wyłożonej kafelkami toalety śmierdzącej uryną i zatęchłym potem.

Wyposażona była w koryto, którym ciekł nędzny strumyk wody, oraz rząd kabin. W ostatniej zamiast toalety znajdowały się drzwi. Przewadziły do wielu biur, z których jedno znajdowało się wyżej od innych, na stalowej platformie. Dwóch potężnie zbudowanych Rosjan stało na niej, pełniąc funkcję wartowników, jak się było można domyślić. On sam wszedł do środka. Masłow siedział za ozdobnym biurkiem, mając po bokach dwóch mężczyzn, takich samych jak ci, którzy zostali przed drzwiami. Trzeci siedział w kącie; pod okiem miał bliznę, ale nie zwracałby na siebie szczególnej uwagi, gdyby nie krzykliwa hawajska koszula. Obecność czwartego Bourne tylko wyczuwał — zapewne facet stał za jego plecami, prawdopodobnie swobodnie oparty o drzwi wejściowe.

— Jak rozumiem, chciałeś mnie widzieć — powiedział Rosjanin. Jego oczy grzechotnika błyszczały żółtawo w ostrym świetle lamp. Wykonał gest lewą ręką, z dłonią wyciągniętą i obróconą w górę, jakby odsuwał od siebie brud. — Jest tu jednak ktoś, kto chciał zobaczyć ciebie.

Stojący przy drzwiach mężczyzna zaatakował jak błyskawica. Bourne obrócił się w przysiadzie; był to ten sam człowiek, z którym starł się w mieszkaniu Tarkaniana. Nie miał czasu na sparowanie ciosu nożem, więc uchylił się w bok, chwycił napastnika lewą ręką za przegub prawej i korzystając z impetu ataku, pociągnął go, wystawiając jednocześnie łokieć wycelowany wprost w jego twarz.

Mężczyzna upadł. Bourne nadepnął na jego nadgarstek, zmuszając go do wypuszczenia noża. Podniósł go i w tym momencie obaj goryle jak na komendę wyciągnęli glocki. Zignorował ich. Demonstracyjnie trzymając nóż za ostrze, podał go siedzącemu za biurkiem Masłowowi, który spojrzał na mężczyznę w hawajskiej koszuli. A on wstał i przyjął nóż.

— To ja jestem Dimitrij Masłow — oznajmił.

Wielki mężczyzna w eleganckim garniturze podniósł się zza biurka, z szacunkiem skinął głową człowiekowi w kolorowej koszuli, odebrał nóż i ustąpił miejsca.

— Zabierzcie stąd Jewsieja — powiedział prawdziwy Masłow, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności — i załatwcie mu nowy nos.

Gigant bez słowa wyszedł, ciągnąc nieprzytomnego.

— Zamknijcie drzwi. — To polecenie również zostało wydane w przestrzeń. Wykonał je jeden z goryli. Nie wrócił do szefa, po prostu oparł się o framugę i wytrząsnął z paczki papierosa.

— Siadaj. — Tym razem Masłow zwrócił się bezpośrednio do Burne'a. Otworzył szufladę, wyjął z niej mausera, położył go na blacie w zasięgu ręki, znów spojrzął mu w oczy. — Od mojego dobrego przyjaciela Wani wiem, że pracujesz dla Borisa Karpowa. Twierdzisz, że masz informacje, których mógłbym użyć przeciwko pewnym grupom wdzierającym się na moje terytorium. — Postukał palcami w kolbę pistoletu. — Byłoby jednak niewybaczalną naiwnością z mojej strony, gdybym wierzył, że udzielisz mi owych informacji, nie wyznaczając ceny. Doskonale. Podaj mi swą cenę.

— Chcę wiedzieć, co cię łączy z Czarnym Legionem.

— Mnie? Nic.

— Ale o nim słyszałeś?

— Oczywiście, że o nim słyszałem. — Masłow zmarszczył brwi.

— Dokąd ma prowadzić ta rozmowa?

— Posłałeś tego swojego Jewsieja do mieszkania Michaiła Tarkaniana. Tarkanian był członkiem Czarnego Legionu.

— Zaraz, chwileczkę. Gdzieś o tym usłyszał?

— Pracował przeciwko pewnym ludziom... moim przyjaciołom.

Masłow wzruszył ramionami.

— Może tak, może nie... w każdym razie ja nic o tym nie wiem. Jedno mogę ci powiedzieć: Tarkanian nie należał do Czarnego Legionu.

— Więc po co Jewsiej?

— Ach, docieramy wreszcie do sedna. — Rosjanin przesunął kciukiem po wskazującym i dużym palcu w geście doskonale znanym na

całym świecie. — „Pokaż mi coś za coś”, by użyć słów Jerry’ego Maiguire’a. — Uśmiechnął się, ale jego żółte oczy pozostały nieruchome i złe. — Chociaż, prawdę mówiąc, mam poważne wątpliwości, czy w ogóle są w tym jakieś pieniądze. No bo po co Federalna Agencja do Walki z Narkotykami miałaby pomagać komuś takiemu jak ja? Toż to się w pieprzonej głowie nie mieści!

Bourne przyciągnął sobie wreszcie krzesło. Usiadł. W myśli powtarzał długą rozmowę telefoniczną z Borisem przeprowadzoną z telefonu Lorraine. Karpow przedstawił mu wówczas realia polityczne Rosji.

— Bo to nie ma nic wspólnego z narkotykami, a wszystko z polityką — powiedział. — Agencją antynarkotykową kieruje Czerkiesow, który w tej chwili prowadzi wojnę niemal identyczną z twoją, wojnę siłowników. Wygląda na to, że prezydent już wybrał jego następcę.

— Tego palanta Mogilowicza — skinął głową Masłow. — Słusznie. I co?

— Czerkiesow za nim nie przepada i mogę ci nawet powiedzieć dlaczego. Otóż dawno temu Mogilowicz współpracował z prezydentem w administracji miejskiej Petersburga. Z jego nadania objął departament prawny VM Drewno i Papier. Pod jego kierownictwem VM zdominowała rosyjski rynek produkcji papieru, w tej dziedzinie stała się potęgą przynoszącą niewyobrażalne zyski. A teraz firma amerykańska kupuje pięćdziesiąt procent jej udziałów za setki milionów dolarów.

Masłow słuchał tego wykładu, czyszcząc szczyrzykiem wymanikirowane paznokcie. Nudził się ostentacyjnie, tylko tego brakowało, żeby zaczął ziewać.

— Wszyscy to wiedzą — zauważył. — Dla mnie nic ciekawego.

— Natomiast nie wszyscy wiedzą, że Mogilowicz zrobił dobry interes i kiedy firmę prywatyzowano przez RAB Bank, przejął część jej akcji. Jednocześnie zaczęto kwestionować jego związki z bankiem, ale

oskarżenia jakoś nagle ucichły. W zeszłym roku VM wykupiła od RAB-u dwadzieścia pięć procent własnych akcji mających gwarantować gładkie przeprowadzenie prywatyzacji. Transakcję pobłogosławił Kreml.

Masłow wyprostował się nagle. Odłożył szczyryk.

— To znaczy prezydent — zauważył.

— Słusznie. A więc nasz Mogilowicz zrobi fortunę na sprzedaży Amerykanom w sposób, którego prezydent wolałby nie rozgłaszać.

— Bo kto wie, jaki jest jego udział w transakcji?

Bourne skinął głową.

— Zaraz, sekundkę. — Rosjanin coś sobie przypomniał. — W zeszłym tygodniu jednego z urzędników RAB Banku znaleziono w garażu jego daczy. Był związany, torturowano go i uduszono. Pamiętam, bo biuro prokuratora generalnego uznało to za samobójstwo. Nieźle się wtedy uśmialiśmy.

— Tak się przypadkowo złożyło, że nadzorował on pożyczki dla przemysłu drzewnego.

— Kowboj z dymiącym rewolwerem. Mógł zniszczyć Mogilowicza, a tym samym prezydenta — zauważył Masłow.

— Moi szefowie poinformowali mnie, że facet miał dojście do dymiącego rewolweru, jednak nigdy nie był jego właścicielem. Jego asystent ukradł go i zbiegł. Do dziś nie został ujęty — Bourne podciągnął krzesło do biurka. — Jeśli go dla nas znajdziesz, jeśli przekażesz nam kompromitujące Mogilowicza dokumenty, mój szef zobowiązuje się raz na zawsze zakończyć twoją wojnę z Azerami. W sposób najzupełniej cię satysfakcjonujący oczywiście.

— A jak sukinsyn ma zamiar tego dokonać?

Jason Bourne wyjął komórkę i odegrał plik MP3 przysłany mu przez Borisa. Było to nagranie rozmowy pana i władcy Azerów z jednym z jego podwładnych, podczas której padło polecenie zabicia kierownika banku. Przejaw klasycznego rosyjskiego zachowania: trzymać informacje jak broń gotową do użycia we właściwej chwili, zamiast wykorzystywać je w interesie prawa.

Masłow uśmiechnął się szeroko.

— O kurwa! — westchnął. — Jak ja lubię takie rozmowy.

Upłynęło sporo czasu, nim Arkadin uświadomił sobie, że stoi nad nim Dewra. Nie patrząc na nią, podniósł w dłoni cylinder, który zabrał Heinrichowi.

— Wyjdź z wody — powiedziała.

Nawet nie drgnął, więc usiadła na piasku.

Heinrich leżał na wznak, jakby opalał się i zapadł w sen. Woda zmyła ślady krwi.

Arkadin wreszcie wstał. Wyszedł z wody, podszedł do dziewczyny siedzącej z podciągniętymi nogami i brodą opartą na kolanach. To wówczas dostrzegła, że Leonid nie ma trzech palców lewej stopy.

— Mój Boże — powiedziała. — Co ci się stało?

To właśnie przez tę jego stopę zginęła Marlene. Przez trzy brakujące palce lewej stopy. Marlene popełniła błąd, spytała, co się stało.

— Wypadek — odparł gładko. W opowiadaniu tej kłamliwej historyjki zdążył już nabrać wprawy. — Zdarzył się, gdy pierwszy raz siedziałem w więzieniu. Stemplownica się rozleciała i bęben spadł mi na nogę. Zmiażdżyła palce tak, że nic z nich nie zostało. Trzeba było amputować.

Łgał oczywiście, ale podobny wypadek zdarzył się naprawdę, kiedy siedział po raz pierwszy. Jeden z więźniów ukradł mu paczkę papierosów schowaną pod pryczą. To on pracował przy stemplownicy. Arkadin pomajstrował przy maszynie, bęben rzeczywiście się oberwał, a rezultat nie był bynajmniej piękny, krzyki tego człowieka słychać było na całym terenie więzienia. Prawą nogę trzeba mu było amputować w kolanie.

Od tego dnia w obecności Marlene Leonid bardzo się pilnował.

Nie było wątpliwości, że pociągał dziewczynę. Zeszła z piedestału obiektywizmu, nie wykonywała już pracy zleconej przez Ikupowa. Jego za nic nie winił. Pragnął upewnić go raz jeszcze, że nigdy nie zrobi mu krzywdy, ale wiedział, że szkoda słów. Bo i czemu Ikupow miałby w to uwierzyć? Przecież dysponował dowodami, które miały wszelkie prawo go niepokoić. A jednak wyczuwał, że ten człowiek nigdy nie obróci się przeciwko niemu, że zawsze, bezwarunkowo dotrzyma obietnicy i będzie się nim opiekował.

Tak czy inaczej, z Marlene coś trzeba było zrobić. Nie chodziło tylko o to, że widziała jego lewą stopę, Ikupow też ją oglądał, i to niejednemu raz. Wydawało się oczywiste, że podejrzewała jej związek z gnębiącymi go strasznymi koszmarami i że jest jedną z tych tajemnic, których nie chce jej zdradzić. Nie zadowalały jej już kłamstwa, nawet te wygłaszane z przekonaniem. Kto inny pewnie by uwierzył, ona — nie. Nie przesadzała, twierdząc, że ma niezwykłą zdolność odczytywania uczuć klientów i znajdowania sposobów, by im pomóc.

Problem w tym, że jemu nie mogła pomóc. Że nikt nie mógł mu pomóc. Że nikt nie potrafił się dowiedzieć, czego doświadczył Leonid Arkadin. Było to wręcz nie do pomyślenia!

— Opowiedz mi o swojej matce, o ojcu — prosiła Marlene. — Tylko nie wciskaj mi kitu, który wciskałeś tym swoim poprzednim psychiatrom.

Wyłynęli na jezioro Lugano. Był łagodny, letni dzień. Marlene miała na sobie dwuczęściowy kostium kąpielowy, czerwony w duże różowe kropki, na nogach gumowe różowe klapki, daszek osłaniał jej oczy przed słońcem. Rzucili kotwicę małej motorówki. Od czasu do czasu kołysały nią drobne fale, wznoszone przez stateczki wycieczkowe, tnące krystalicznie czystą, błękitną toń. Mała wioska Campione d'Italia wznosiła się na wzgórzu niczym góra lukru na weselnym torcie.

Leonid obrzucił dziewczynę złym spojrzeniem. Gniewało go, że

nie potrafi jej onieśmielić. Z większością ludzi nie miał najmniejszych problemów; w ten sposób radził sobie po śmierci rodziców.

— A co? Myślisz, że moja matka miała złą śmierć?

— Interesuje mnie to, jaka była przed śmiercią — wyjaśniła Marlene spokojnie. — Więc jaka?

— Prawdę mówiąc, całkiem podobna do ciebie.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, już by nie żył.

— Poważnie — zapewnił ją. — Twarda jak stal. Wiedziała, jak postawić się ojcu.

Doskonale! Zaczął się otwierać, to był dobry znak.

— Dlaczego musiała mu się stawiać? Ojciec zachowywał się gwałtownie?

Arkadin wzruszył ramionami.

— Chyba jak każdy ojciec. Kiedy coś mu nie poszło w pracy, wyżywał się na niej.

— Uważasz to za normalne?

— Nie wiem, co to znaczy „normalne”.

— Ale jesteś przyzwyczajony do złego traktowania?

— Czy nie nazywa się to „naprowadzaniem świadka”, pani mecnas?

— Czym się zajmował ojciec?

— Był consiglieri, takim jakby prawnikiem, doradcą Kazachów, rodziny moskiewskiej grupperowki zajmującej się przemytem narkotyków i handlem zagranicznymi samochodami w Moskwie i okolicach.

Kolejne łgarstwo. Ojciec Leonida był hutnikiem, biednym, zrozpaczone i pijanym dwadzieścia godzin na dobę, jak wszyscy inni w Niżnym Tagile.

— Więc gwałtowne zachowania i maltretowanie innych było dla niego naturalne?

— To nie był poziom ulicy — nadal łgał Leonid.

Marlene uśmiechnęła się bez przekonania.

— W porządku. Więc jak myślisz, skąd biorą się twoje ataki furii?

— Gdybym ci to powiedział, musiałbym cię zabić.

Tym razem roześmiała się wesoło.

— Daj spokój, Leonidzie. Nie chciałbyś stać się użytecznym dla pana Ikupowa?

— Oczywiście. Bardzo pragnę, żeby mi zaufał.

— Więc powiedz mi wszystko.

Przez dłuższą chwilę Arkadin siedział w milczeniu. Przyjemnie było tak czuć ciepło słońca na ramionach, wydawało się, że jego promienie ściągają skórę, napinają mięśnie. Bicie serca było jak muzyka. W chwilach takich jak ta czuł się wolny od dźwiganego ciężaru, jakby niósł go ktoś inny, być może udręczony bohater rosyjskiej powieści? Ale przeszłość wróciła nagle, jak zawsze, z siłą ciosu. Poczł gwałtowny atak mdłości.

Bardzo powoli, bardzo spokojnie rozwiązał sznurowadła. Zdjął tenisówki i białe sportowe skarpetki, obnażył lewą stopę: dwa palce i trzy małe kikuty, różowe jak kropki na kostiumie kąpielowym Marlene.

— To było tak — zaczął. — Kiedy miałem czternaście lat, matka pobiła ojca patelnią. Uderzyła go w tył głowy. Wrócił do domu pijany w sztok, śmierdząc inną kobietą. Padł na łóżko twarzą w dół, zasnął i chrapał. Nagle: bam, bam, barn! Zdjęła ciężką, żeliwną patelnię z kołka w kuchni. Dziesięć razy w to samo miejsce. Potrafisz sobie wyobrazić, jak wyglądała po tym jego czaszka?

Marlene siedziała wyprostowana. Oddychała z trudem, nie mogła wykrztusić słowa.

— Słuchaj... — powiedziała po długiej chwili milczenia. — To nie jest jedna z tych twoich fantastycznych opowieści, prawda?

— Nie. To nie jest jedna z moich fantastycznych opowieści.

— Gdzie wtedy byłeś?

— A jak myślisz? W domu. Widziałem to na własne oczy.

— O Boże! — szepnęła dziewczyna, zakrywając usta dłonią.

Pozbawszy się tej trucizny, Arkadin doznał radosnego uczucia wolności, choć wiedział, co musi nadejść.

— A potem? — spytała, odzyskując równowagę.

— Związałem jej ręce na plecach i zakneblowaną wepchnąłem do szafy.

— I?

— Wyszedłem. Nigdy nie wróciłem do naszego mieszkania.

— Jak... — Na twarzy dziewczyny pojawiło się nieklamane przeżalenie. — Jak mogłeś!

— Teraz budzę w tobie obrzydzenie, co? — Arkadin nie czuł gniewu, raczej rodzaj rezygnacji. Dlaczego nie miałby budzić w niej obrzydzenia? Gdyby tylko знаła całą prawdę!

— Opowiedz mi dokładniej o tym wypadku w więzieniu.

Oczywiście! Poszuka sprzeczności w jego opowieści. Klasyczna technika przesłuchującego.

Nigdy nie pozna prawdy.

— Chodźmy się wykąpać — zaproponował nagle. Zrzucił szorty i koszulkę.

Marlene potrząsnęła głową.

— Nie mam nastroju. Ale ty...

— Och, daj spokój.

Wypchnął ją za burtę i sam skoczył do wody. Otworzył oczy. Mocno pracowała nogami, próbując wypłynąć na powierzchnię. Uchwycił jej głowę udami, splótł nogi w kostkach, zacisnął uchwyt. Potem wypłynął, chwycił się łodzi, przetaił oczy. Walczyła, czuł to. Obok przemykały łodzie, nikt nie zainteresował się tym, co robi. Pomachał dwu młodym dziewczynom o włosach rozwianych jak końskie grzywy. Bardzo chciał zanucić jakąś piosenkę miłosną, ale pamiętał wyłącznie motyw z Mostu na rzece Kwai.

Mijał czas, Marlene przestała walczyć. Jej ciało poruszało się powoli, dostojnie, w rytm ruchów wody. Nie chciał tego, naprawdę tego nie chciał, ale obrazy jego starego mieszkania pojawiły się w jego pamięci nieproszone. To była nora, obrzydliwa wałaca się nora epoki sowieckiej rojąca się od robactwa.

Bieda nie powstrzymywała ojca od pieprzenia się z innymi kobietami. Jedna z nich zaszła w ciążę i postanowiła urodzić dziecko. Stary

był za tym całym sercem. Obiecał, że jej pomoże w każdy dostępny mu sposób, ale tak naprawdę pragnął tylko dziecka, którego nie mogła mu dać jego bezpłodna żona. Kiedy urodził się Leonid, wyrwał go z ramion dziewczyny, przyniósł go do domu.

— To dziecko, którego zawsze pragnąłem. Ty nie mogłaś mi go dać — powiedział.

Jego żona wychowała chłopca. Nie protestowała, nie skarżyła się; co innego mogła zrobić? Dokąd mogła pójść bezpłodna kobieta w Niżnym Tagile? Ale kiedy jej męża nie było w domu, na długie godziny zamykała chłopca w jego pokoju, w szafie. Dostawała napadów furii, nie potrafiła jej opanować. Nienawidziła owocu nasienia męża, czuła się zmuszona karać Leonida, bo nie mogła ukarać jego.

Pewnego dnia zasnął podczas odbywania kary. Obudził go straszny ból lewej stopy. Nie był w szafie sam. Po podłodze biegało kilka szczurów, wielkich jak buty jego ojca. Piszczwały obrzydliwie, zgrzytały zębami. Pozabijał je w końcu, ale przedtem zdążyły skończyć, co zaczęły.

Pożarły mu trzy palce u nogi.

Rozdział 27

— Wszystko zaczęło się od Piotra Zilbera — powiedział Masłow. — A raczej od jego brata Aleksieja. To był cwany chłopak. Próbował przejąć jedno z moich źródeł zachodnich samochodów. Zginęło wielu ludzi, w tym niektórzy z moich. I źródło. Za to go zabiłem.

Siedzieli obaj, on i Bourne, w szklarni wybudowanej na dachu magazynu, w którym Masłow miał swoje biuro. Otaczały ich wspaniałe tropikalne kwiaty: plamiaste orchidee, jaskrawo-karminowe anturium, białe lilie, helikonie. Powietrze przesycił zapach kwiatów Lei i białego jaśminu. Było tu tak gorąco i wilgotno, że aż przestała razić hawajska koszula gospodarza. Bourne podwinął rękawy. Na stole stały butelka wódki i dwa kieliszki. Pierwsza kolejkę zdążyli już wypić.

— Zilber pociągnął za sznurki i mój człowiek Boria Maks trafił do Kolonii Karnej o Zaostrozonym Rygorze Trzynaście w Niżnym Tagile. Słyszałeś o niej?

Jason Bourne skinął głową. Conklin kilkakrotnie wspominał mu o tym więzieniu.

— Więc wiesz, że życie tam to nie piknik. — Masłow napełnił kieliszki, jeden podał gościowi, drugi wziął sam. — Ale jemu to nie wystarczało. Wynajął kogoś bardzo, bardzo dobrego. Ten ktoś dostał się

do więzienia i zabił Borię. — Popijający wódkę, otoczony tą orgią kolorów, Masłow sprawiał wrażenie absolutnie pewnego siebie i całkowicie rozluźnionego. — Tylko jeden człowiek mógł dokonać czegoś takiego i ująć z życiem: Leonid Daniłowicz Arkadin.

Wódka doskonale służyła Bourne'owi. Rozgrzała jego przemęczone ciało, wróciła mu siły. Na szczycie jego policzka pozostała wprawdzie plamka krwi, już wyschłej, ale gospodarz nie komentował jej obecności, nawet na nią nie patrzył.

— Opowiedz mi o tym Arkadinie.

Masłow chrząknął jak zwierzę.

— Wystarczy ci wiedzieć, że skurwysyn zabił Piotra Zilbera, niczego więcej ci nie potrzeba. Po cholere, nie wiemy. Potem znikł z powierzchni ziemi. Kazałem Jewziejowi zacząć się w mieszkaniu Miszy Tarkaniana, bo miałem nadzieję, że się tam pojawi. Ale zamiast niego pojawiłeś się ty.

— A czym jest dla ciebie śmierć Zilbera? — zdziwił się Bourne. — Z tego, co sam mi powiedziałaś, wynika, że nie kochaliście się przesadnie.

— Hej, nie trzeba kochać faceta, żeby robić z nim interesy!

— Jeśli chciałeś robić interesy z Zilberem, nie powinieneś był mordować mu brata.

— Cieszę się pewną reputacją i muszę o nią dbać. — Masłow napił się wódki. — Piotr wiedział, że jego braciszek wpadł w gówno, i co? Czy coś z tym zrobić? W każdym razie zamach na Aleksieja to był czysty biznes, a on to wziął osobiście. Przesadził. Bracia okazali się równie nierozważni.

I znów, pomyślał Bourne. Nie on jeden ma coś przeciwko Piotrowi Zilberowi. Jak taki facet mógł prowadzić tajną siatkę?

— Czego od niego chciałeś? — spytał.

— Zazdrościłem mu tej jego siatki. Mam na głowie wojnę z Azerami, szukałem nowych, pewniejszych sposobów transportu narkotyków. Jego system był niemal perfekcyjny.

Bourne odstawił kieliszek.

— A niby czemu Zilber chciałby mieć cokolwiek wspólnego z Kazachami?

Masłow spojrzął na gościa dziwnym wzrokiem.

— Teraz przemawia przez ciebie ogrom twojej ignorancji — zauważył. — Przecież potrzebował forsy dla swojej organizacji.

— Masz na myśli jego siatkę.

— Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem. — Rosjanin mierzył Bourne'a twardym, nieprzyjaznym spojrzeniem. — Piotr Zilber jest członkiem Czarnego Legionu.

Niczym żeglarz wyczuwający zbliżający się nieuchronnie sztorm Dewra powstrzymała się od powtórzenia pytania o kaleką stopę Leonida. Było w nim to niemal niedostrzegalne drżenie, jak w napiętej do ostatecznych granic cięciwie łuku. Zamiast na niego patrzyła więc na martwego Heinricha leżącego na słońcu, które nigdy już nie miało sprawić mu przyjemności. Wyczuwała bliskie niebezpieczeństwo, pamiętała sen: pościg za nieznanym stworem, poczucie ostatecznej pustki i rozpacz, strach narastający do niewyobrażalnych wręcz rozmiarów.

— Zdobyłeś przesyłkę — powiedziała. — Czy to już koniec?

Arkadin nie odpowiadał; dziewczyna musiała się wręcz zastanowić, czy nie za późno zadała to obronne pytanie, czy w następnej chwili nie zginie z jego ręki tylko dlatego, że powiedziała coś tam o tej nieszczęsnej nodze. A on trząśł się w nieprzytomnej furii, od której aż szcząkał zębami. Tak łatwo byłoby obrócić się przeciwko tej dziewczynie! Popatrzeć na nią, uśmiechnąć się... i skrócić jej kark. Takie to proste, że nie ma chyba nic prostszego. Coś go jednak powstrzymywało, coś go uspokajało. Jego własna wolna wola. Nie chciał jej zabić. W każdym razie jeszcze nie teraz. Podobało mu się, że tak zwyczajnie siedzi obok niej na plaży, a przecież mało było na świecie rzeczy, które mu się podobały.

— Muszę... muszę jeszcze zlikwidować siatkę — powiedział wreszcie. — Chociaż moim zdaniem w tej chwili nie ma to już żadnego znaczenia. Chryste, przecież złożył ją do kupy nieopanowany dowódca,

zbyt młody, by choćby mieć pojęcie, czym jest ostrożność. Wciągnął do niej narkomanów, niepoprawnych hazardzistów, słabeuszy i ludzi pozbawionych jakichkolwiek przekonań. To cud, że w ogóle funkcjonowała. Prędzej czy później musiała się zawalić pod własnym ciężarem.

Ale... co on właściwie wiedział? Był tylko żołnierzem, walczącym w niewidzialnej wojnie. Nie on miał wiedzieć dlaczego.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy, zadzwonił do Ikupowa.

— Gdzie jesteś? — spytał go szef. — Robi się niespokojnie.

— Na plaży — powiedział po prostu.

— Co? Jak to „na plaży”?

— Po prostu. W Kilyos. To przedmieście Stambułu.

— Mam nadzieję, że dobrze się bawisz? Bo my powoli odchodzimy od zmysłów.

A więc... nie czas na żarty.

— Co się stało?

— Sukinsyn zabił Haruna. To się stało.

Arkadin wiedział, kim był dla Ikupowa Harun Iliew. Tym, kim Mi-sza Tarkanian dla niego. Skałą, kotwicą zapobiegającą dryfowaniu na niekontrolowane głębie wyobraźni.

— A teraz dobra wiadomość — powiedział. — Mam przesyłkę.

Ikupow aż westchnął.

— No wreszcie! Otwórz ją! Sprawdź, czy w środku są dokumenty.

Leonid wykonał rozkaz. Złamał woskową pieczęć, zdjął plastikową nakładkę zamykającą cylinder. Ciasno zwinięte arkusze bładniebieskiej kalki rozwinęły się jak żagle. Policzył je: cztery.

Przyjrzał się im i pot wystąpił mu na czoło.

— Właśnie patrzę na komplet planów architektonicznych.

— To cel ataku!

— To... to plany Empire State Building w Nowym Jorku.

Księga trzecia

Rozdział 28

Dziesięć minut zajęło Bourne'owi uzyskanie przyzwoitego połączenia z profesorem Specterem, a jego ludziom pięć na wyciągnięcie go z łóżka. W Waszyngtonie była piąta rano. Masłow zszedł na dół pilnować interesów, pozostawiając gościa samego w oranżerii, by mógł spokojnie pozatapiać telefony. Jason wykorzystał ten czas na spokojne przemyślenie tego, czego się dowiedział. Jeśli to prawda, że Piotr Zilber należy do Czarnego Legionu, wówczas pojawiały się dwie możliwości. Pierwsza to ta, że prowadzi własną operację pod nosem profesora, i to już byłoby bardzo źle. Druga wydawała się jednak znacznie gorsza, bo sam profesor też mógł należeć do organizacji. Lecz jeśli tak, to czemu Legion go zaatakował? Przecież Bourne na własne oczy widział tatuaż na ramieniu mężczyzny, który go zaczepił, pobił, porwał z ulicy.

W słuchawce rozległ się głos Spectera. Mocno zdyszany.

— Jason? Co się stało?

Opowiedział mu o tym, co zaszło, kończąc informacją, że Piotr należał do Czarnego Legionu.

Odpowiedziała mu cisza.

— Profesorze... wszystko w porządku?

— Wszystko w porządku — usłyszał zapewnienie wypowiedziane ochryplym głosem i chrząknięcie. Najwyraźniej nie wszystko było jednak w porządku. Bourne z uwagą starał się ocenić emocjonalny stan przyjaciela.

— Aha, przykro mi z powodu Baronowa. Morderca nie należał do Legionu, to był człowiek NSA, który miał zamordować mnie.

— Doceniam twoją szczerłość. Żałuję Baronowa, ale przecież wiedział, co ryzykuje. Poszedł na wojnę z szeroko otwartymi oczami, zupełnie tak jak ty.

I znów w słuchawce zapadła cisza, jeszcze bardziej krępująca od poprzedniej. Przerwał ją Specter.

— Jasonie — powiedział z westchnieniem — obawiam się, że zatrzymałem dla siebie dość istotną informację. Piotr Zilber był moim synem.

— Synem? Dlaczego od razu mi nie powiedziałeś?!

— Bałem się. Tak długo ukrywałem jego prawdziwe pochodzenie, że weszło mi to w nawyk. Musiałem chronić Piotra przed jego wrogami... moimi wrogami... ludźmi, którzy zabili mi żonę. Uznałem, że w tym celu powinien zmienić nazwisko, więc pewnego letniego dnia, kiedy miał sześć lat, Aleksiej Specter zginął wskutek tragicznego wypadku. Utonął, a w jego miejsce narodził się Piotr Zilber. Pozostałem go u przyjaciół, wraz ze wszystkim, co miałem, i przybyłem do Ameryki. Zacząłem nowe życie w Waszyngtonie. Była to jedna z najtrudniejszych decyzji, które podejmowałem w moim długim życiu. Ale... jak ojciec może się wyrzec syna, jeśli nie potrafi go zapomnieć?

Jason doskonale wiedział, co profesor ma na myśli. Omal nie wspomniał o otaczającej Piotra bandzie nieudaczników i popaprańców, ale ta chwila nie wydała mu się szczególnie sprzyjająca do przekazywania kolejnych złych nowin.

— Więc mu pomagałeś? W tajemnicy? — spytał.

— W największej tajemnicy. Nie mogłem pozwolić sobie na to, by ktoś się domyślił, co nas łączy. Nie chciałem dopuścić, by ktokolwiek

wiedział, że mój syn żyje. Przynajmniej tyle mogłem dla niego zrobić. Przecież po raz ostatni widziałem go, kiedy miał sześć lat! W głosie Spectera brzmiało straszne cierpienie.

— Co się stało?

— Popełnił niewybaczalny błąd. Z czystej głupoty sam zwrócił się przeciw Czarnemu Legionowi. Przez kilka lat infiltrował organizację. Odkrył, że planuje poważny atak terrorystyczny w Ameryce, i przez kolejne miesiące starał się czegoś o nim dowiedzieć. Wreszcie znalazł sposób na pokrzyżowanie ich planów: zdobył dokumentację celu. Ponieważ musieliśmy być wyjątkowo ostrożni, jeśli chodzi o komunikację bezpośrednią, zasugerowałem mu, żeby użył swej siatki w celu dostarczenia tych dokumentów, tak jak poprzednio przysyłał inne dane dotyczące Czarnego Legionu. To właśnie zamierzał robić.

— Przecież mógł po prostu sfotografować plany i przekazać ci je drogą elektroniczną.

— Próbował, ale to mu się nie udało. Papier, na którym je wydrukowano, pokryty jest jakąś substancją uniemożliwiającą wykonanie kopii jakkolwiek techniką. Musiałem dostać oryginały.

— Z pewnością powiedział ci, o co chodzi.

— Zamierzał. Niestety, został ujęty i przewieziony do willi Ikupowa. Arkadin torturował go tam i zabił.

Bourne rozważył implikacje pozyskanych właśnie informacji.

— I myślisz, że powiedział im, czym jest synem?

— Zastanawiam się nad tym od chwili, gdy otrzymałem wiadomość o porwaniu. Obawiam się, że Ikupow wiedział o naszym pokrewieństwie.

— W takim razie proszę być bardzo ostrożnym, profesorze.

— Zamierzam zrobić co w mojej mocy, Jasonie. W ciągu nieco ponad godziny opuścę Waszyngton. Tymczasem moi ludzie ciężko pracowali. Wiem już, że Ikupow wysłał Arkadina z zadaniem przejęcia dokumentów z siatki Piotra. Jego droga wybrukowana jest trupami.

— Gdzie przebywa w tej chwili? — spytał Bourne.

— W Stambule, ale ta wiadomość na nic ci się nie przyda. Nim dotrzesz na miejsce, jego już nie będzie. Odnalezienie go stało się ważniejsze niż kiedykolwiek, ponieważ wiemy, że przejął plany od kuriera w tym mieście, a następnie go zamordował. A nam zaczyna brakować czasu.

— Skąd przyjechał ten kurier?

— Z Monachium. Był ostatnim ogniwem w łańcuchu prowadzącym bezpośrednio do mnie.

— Z tego, co mi powiedziałeś — stwierdził Bourne — jasno wynika, że Arkadin otrzymał jednocześnie dwa zadania. Po pierwsze: zdobyć plany, po drugie: ostatecznie zlikwidować siatkę Piotra przez wymordowanie tworzących ją kurierów jednego po drugim. Dieter Heinrich, kurier z Monachium, to jej ostami żywy członek.

— Komu miał doręczyć przesyłkę w Monachium?

— Egonowi Kirschowi. To mój człowiek — odparł Specter. — Już poinformowałem go o zagrożeniu.

Bourne zastanawiał się przez chwilę, po czym spytał:

— Czy Arkadin wie, jak on wygląda?

— Nie. Nie wie tego także kobieta, z którą współdziała. Na imię ma Dewra. Pracowała dla Piotra, a teraz pomaga zabijać swych byłych towarzyszy.

— Co mogło ją do tego skłonić?

— Nie mam pojęcia. To dość tajemnicza postać. W Sewastopolu, gdzie zetknęła się z Arkadinem, nie miała przyjaciół, nie miała rodziny, sierota na państwowym garnuszku. Na razie moi ludzie nie znaleźli niczego użytecznego. Tak czy inaczej, zamierzam wyciągnąć Kirscha z Monachium.

Jason już oceniał szanse, już planował, jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach.

— Nie. Niech zostanie tam, gdzie jest. Przenieś go tylko z jego mieszkania do jakiegoś bezpiecznego lokalu. Złapię pierwszy lot do Monachium, ale przedtem musisz mi przysłać wszystko, co o nim

wiesz: gdzie się urodził i wychował, z kim przyjaźnił. Rodzina, szkoła, słowem wszystko, co ci wpadnie w ręce. Będę miał co poczytać w samolocie... a potem się z nim zobaczę.

— Nasza rozmowa przestaje mi się podobać — zaprotestował Specter. — Zdaje się, że wiem, co ci przyszło do głowy. Jeśli się nie mylę, chcesz zająć miejsce Kirscha. Zabraniam. Nie pozwolę, żebyś wystawił się na cel Arkadinowi. Lubisz ryzykować, ale to już przesada. On jest zdecydowanie zbyt niebezpieczny.

— Trochę późno na wątpliwości, profesorze. Sam pan twierdził, że musimy dostać te plany. Niech każdy z nas robi, co do niego należy.

— Dobrze, w porządku. — Specter zgodził się, choć nie od razu. — Ale do mnie należy też włączenie do tej akcji przyjaciela działającego poza Monachium.

To się Bourne'owi nie spodobało.

— Nie rozumiem...

— Wystarczająco dobitnie dałeś do zrozumienia, Jasonie, że pracujesz sam, ale Jens to ktoś, kogo chciałbyś mieć przy sobie w trudnej sytuacji. Mokłą robotę zna od podszewki.

Zapewne zawodowy zabójca pracujący na zlecenie.

— Dziękuję, ale nie.

— Ja cię nie proszę o pozwolenie. — W głosie profesora zabrzmiała groźna nuta. Nie miał zamiaru ustąpić. — Jeśli chcesz zająć miejsce Kirscha, zaakceptujesz Jensa. To mój warunek. Nie dopuszczę do tego, żebyś sam wlaź w pułapkę na niedźwiedzie. Moja decyzja jest nieodwołalna.

Stojąc, Bourne w milczeniu przyglądał się Masłowowi i Borisowi Karpowowi obejmującym się na powitanie niczym najlepsi przyjaciele. Jeśli chodzi o rosyjską politykę, to nic nie powinno go dziwić, niemniej jednak zdumiewający był widok wpływowego funkcjonariusza Federalnej Agencji do Walki z Narkotykami z niekłamaną radością pozdrawiającego bossa Kazachów, głowę jednej z dwóch największych rodzin

narkotykowych.

Do tego przedziwnego spotkania doszło w Bar-Dak, niedaleko Prospektu Lenina. Klub otworzono dla Masłowa natychmiast i bez dyskusji; nic dziwnego, skoro był jego właścicielem. Sama nazwa we współczesnym rosyjskim oznaczała zarówno „burdel”, jak i „chaos”, ale w tym Bar-Daku nie było nic ani z burdelu, ani z chaosu, choć miał dużą scenę doskonale wyposażoną do tańca erotycznego, z dość niezwykłą skórzaną huśtawką przypominającą końską uprzęż.

Odbywał się właśnie casting tancerek. Kolejka blondynek zbudowanych tak, że oczy wyłaziły z głowy, ciągnęła się wzdłuż wszystkich czterech ścian klubu pomalowanych na lśniąca czerń. Wystrój wnętrza uzupełniały masywne kolumny dźwiękowe, rzędy butelek wódki na szklanych półkach i wiszące u sufitu kule ze szlachetnego szkła.

Kiedy ci dwaj przestali się wreszcie poklepywać po plecach, Masłow poprowadził ich przez wielką salę, drzwi i korytarz wyłożony drewnianą boazerią. Woń cedru mieszała się tu ze słabym, ale wyczuwalnym zapachem chloru. Innymi słowy: siłownia. I rzeczywiście. Przeszli przez kolejne drzwi, tym razem z matowych taflí grubego szkła, znaleźli się w szatni.

— Sauna jest tam. — Masłow wskazał kierunek palcem. — Spotkamy się w środku za pięć minut.

Postawił warunek: jeśli ma kontynuować rozmowę z Bourne’em, musi przedtem spotkać się z Karpowem. Bourne nisko oceniał szanse takiego spotkania, ale kiedy zadzwonił do Borisa, ten zgodził się na nie wręcz entuzjastycznie. Masłow podał tylko nazwę, Bar-Dak, nic więcej. Karpow powiedział: „Wiem, gdzie to jest. Będę za półtorej godziny”.

Teraz, rozebrani do naga, owinięci w pasie białymi tureckimi ręcznikami, trzech mężczyźni zajęli miejsca w przesyconej parą saunie. Podobnie jak korytarz i ta mała salka wyłożona była boazerią z cedru. Przy trzech ścianach znajdowały się ławy z drewnianych listewek, w

rogu wznosiła się góra rozgrzanych kamieni, nad którymi wisiał sznur. Masłow pociągnął za niego, wchodząc, i na kamienie połała się woda. Chmury pary wzniosły się pod sufit i opadły ku podłodze, otaczając siedzących na ławce mężczyzn.

— Pułkownik zapewnił mnie, że zajmie się moimi problemami, jeśli ja zajmę się jego problemami. A może powinienem powiedzieć: zajmę się problemami Czerkiesowa?

Oczy Masłowa błyszczały wesoło. Teraz, kiedy zdjął za dużą hawajską koszulę, okazał się drobnym, lecz muskularnym mężczyzną bez grama tłuszczu pod skórą. Nie nosił złotych łańcuchów na szyi ani pierścionków z diamentem na palcach dłoni, jego biżuterią były pokrywające cały tors tatuaże. W niczym nie przypominały jednak prymitywnej, tandetnej więziennej roboty, tak często spotykanej u ludzi jego pokroju. Bourne nigdy nie widział dzieł tak skomplikowanych: azjatyckie smoki ziejące ogniem, ze zwiniętymi ogonami, rozpostartymi skrzydłami i groźnie wyciągniętymi szponami.

— Cztery lata temu spędziłem pół roku w Tokio — powiedział gospodarz. — To jedyne miejsce na świecie, gdzie warto robić tatuaż. Ale to wyłącznie moja opinia.

Karpow zaniósł się śmiechem.

— A więc tam siedziałeś, sukinsynu! A ja przetrząsałem Rosję, żeby ci przykopać w ten chudy tyłek!

— Dokładniej mówiąc, w Ginza. Wypiłem całkiem sporo martini na sake za zdrowie twoje i twoich pacholków z siłą prawa i porządku. Wiedziałem, że nigdy mnie nie znajdziecie. — Wykonał szeroki gest ręką. — Ale te drobne przykrości są już, na szczęście, poza nami, prawdziwy sprawca przyznał się do morderstw, które rzekomo ja miałem popełnić. Teraz mamy naszą własną, prywatną głośność.

— Chcę dowiedzieć się wszystkiego o Leonidzie Daniłowiczu Arkadinie — wtrącił Bourne.

Masłow szeroko rozłożył ręce.

— Kiedyś był jednym z nas. Ale całkiem nagle coś się z nim stało.

Nie wiem co. Odłączył od grupperowki. Ktoś, kto to zrobi, na ogół nie żyje długo, ale Arkadin jest klasą samą w sobie. Nikt nie ośmieli się tknąć go choćby paluszkami. Zrobił sobie tarczę z reputacji bezlitosnego mordercy. To człowiek, wybaczone mi te słowa, bez serca. Możesz powiedzieć: „Owszem, Dimitrij, ale czy nie dotyczy to wszystkich ludzi twojego pokroju?”. Na to pytanie musiałbym odpowiedzieć: „Tak”. On nie ma jednak także duszy. Tym najbardziej różni się od nas wszystkich. Drugiego takiego jak Leonid Daniłowicz nie ma na świecie, pułkownik może to potwierdzić. Boris Karpow poważnie skinał głową.

— Nawet Czerkiesow się go boi i nasz prezydent też. Osobiście nie znam nikogo z FSB i FSB dwa, kto ośmieliłby się rzucić mu wyzwanie i przeżyć. Jest jak wielki, biały rekin, zabójca morderców.

— Brzmi to bardzo melodramatycznie.

Masłow się wyprostował, oparł łokcie na kolanach.

— Posłuchaj, przyjacielu, jak się tam, w cholere, nazywasz. Człowiek, o którym mówimy, urodził się w Niżnym Tagile. Wiesz, co to znaczy? Nie wiesz? To pozwól, że ci opowiem. Ta pieprzona karykatura miasta, leżąca na wschód stąd, na południowym Uralu, to prawdziwe piekło na ziemi. Tonie w oparach siarkowych dymów z pobliskich stalowni. „Biedak” to nie jest właściwe słowo, by opisać nędzę życia mieszkańców, zapijających się bimbrem, będącym niemal czystym alkoholem, i padających, gdzie stoją. Policja, jeśli w ogóle można tam mówić o policji, jest równie brutalna i sadystyczna jak mieszkańcy. Jak gułag, otoczony wieżami strażniczymi, Niżny Tagił otoczony jest więzieniami o zastrzonym rygorze. Zwalnianym więźniom nie daje się nawet na bilet kolejowy, więc zostają na miejscu. Ty, Amerykanin, nie potrafisz sobie nawet wyobrazić brutalności i bezduszości mieszkańców tego ludzkiego szamba. Nikt oprócz najbrutalniejszych banów, bo tak nazywa się tam bandytów, nie ośmiela się pojawić na ulicy po dziesiątej wieczorem. — Wylał pot z policzków grzbietem dłoni. —

Tam właśnie urodził się i wychował Arkadin. To w tej dziurze wyrobił sobie nazwisko, wyrzucając ludzi z mieszkań na starych, sowieckich osiedlach i sprzedając je kryminalistom dysponujących groszem zarobwanym zwykłym, uczciwym obywatelom. Lecz cokolwiek spotkało go tam, w młodości, a ja nie będę nawet udawał, że wiem, co to było, prześladowuje go do dziś, niczym upiór z przeszłości. Twierdzą, że nigdy nie spotkałeś kogoś takiego jak on. Na swoje własne szczęście.

— Wiem, gdzie jest — powiedział Bourne. — I właśnie się do niego zabieram.

— Chryste! — Masłow tylko potrząsnął głową. — Życie musiało ci cholernie zbrzydnąć, przyjacielu.

— Nie znasz mojego przyjaciela — wtrącił Karpow.

Gospodarz uważnie przyjrzał się Jasonowi.

— Nie znam i nie mam ochoty poznać. — Wstał. — Cuchnie od niego śmiercią.

Rozdział 29

Mężczyzna, który wysiadł z samolotu na lotnisku w Monachium i spokojnie przeszedł przez kontrolę paszportową oraz celną w tłumie pasażerów takich jak on, przybyłych ze wszystkich zakątków świata mniej więcej o tej samej porze, w niczym nie przypominał Siemiona Ikupowa. Nazywał się Franz Richter, paszport potwierdzał, że ma niemieckie obywatelstwo, ale mimo makijażu i wszystkich możliwych środków zmieniających wygląd zewnętrzny człowieka nadal był Siemionem Ikupowem.

Czuł się nagi, wystawiony na bezlitosne spojrzenia wrogów, którzy, o czym wiedział doskonale, byli wszędzie. Czekali na niego cierpliwi jak jego własna śmierć. Zajmując miejsce w samolocie, już czuł tchnienie nieubłaganego losu, a pewność nieszczęścia towarzyszyła mu nadal. Miał nieodparte wrażenie, że przyleciał do Monachium spojrzeć śmierci w twarz.

Kierowca czekał na niego w sali bagażowej. Uzbrojony po zęby mężczyzna zdjął z taśmy walizkę, którą Ikupow wskazał mu gestem, po czym, zręcznie manewrując wśród tłumów, wyprowadził go z terminalu na szary świat zmierzchu. Nie było tu tak zimno jak w Szwajcarii, ale znacznie wilgotniej, chłód przenikał aż do głębi serca, podobnie jak przecucia.

Nie czuł strachu, raczej smutek. Smutek wywołany tym, że może

nie doczekać końca walki, że może ją wygrać jego zdeklarowany wróg i nemezis, że krzywdy sprzed lat nie zostaną naprawione, że pamięć jego ojca pozostanie pokalana, a morderca nie poniesie kary.

Oczywiście obie strony dopuszczały się okrucieństw, myślał, siedząc na tylnym siedzeniu jasnoszarego mercedesa. Rozpoczynała się ostateczna rozgrywka, a on był pewien, że już wkrótce znajdzie się w patowej sytuacji. Trudne, lecz konieczne było przyznanie, że wyma-newrowano go niemal na samym początku. Być może brakowało mu siły i mądrości, by udźwignąć wizję ojca, wizję Braterstwa Wschodu, być może korupcja i zanik ideałów poszły już za daleko? Tak czy inaczej, ziemia usuwała mu się spod stóp, nieprzyjaciele wkroczyli na jego teren i w końcu musiał dojść do ponurego wniosku, że została mu tylko jedna szansa zwycięstwa. Tą szansą był Arkadin, plan ataku Czarnego Legionu na Empire State Building w Nowym Jorku i... Bourne. Uświadomił sobie wreszcie, że odwieczny wróg posiadał zbyt wielką siłę. Bez pomocy Amerykanina jego sprawa jest bezpowrotnie stracona.

Wpatrywał się w panoramę Monachium przez przyciemniane okno mercedesa. Oto powróciłem tu, gdzie wszystko się zaczęło, pomyślał i zadrżał. W tym właśnie mieście Braterstwo Wschodu zaszło się, by uniknąć sądów wojskowych aliantów powstałych po upadku Trzeciej Rzeszy.

W tamtych czasach jego ojciec Farid Ikupow i Ibrahim Sewer dowodzili wspólnie tym, co pozostało ze Wschodniego Legionu. Aż do dnia kapitulacji Farid, intelektualista, prowadził siatkę wywiadowczą infiltrującą Związek Radziecki, podczas gdy Ibrahim, wojownik, miał pod swą komendą legiony walczące na froncie wschodnim.

Pół roku przed klęską spotkali się niedaleko Berlina. Widzieli koniec, którego nie potrafiły dostrzec oszalałe władze nazistów. Opracowali plan mający umożliwić niedobitkom ich ludzi ratunek po wojnie. Ibrahim przede wszystkim usunął swych żołnierzy na ubocze, tam gdzie byli mniej narażeni na wrogie działania. W tej krytycznej chwili biurokracja nazistów była już zdziesiątkowana, więc bez trudu przeniósł ich

do Belgii, Danii, Grecji i Włoch. Nie groziła im już furia pierwszych oddziałów nacierających aliantów.

I on, i Farid gardzili Stalinem, na własne oczy widzieli jego okrutne zbrodnie, jak nikt byli więc zdolni zrozumieć, dlaczego Zachód boi się komunizmu. Farid potrafił dowodzić przekonująco, że żołnierze nie będą potrzebni aliantom tak jak sieć wywiadu istniejąca już i działająca na terytorium Związku Radzieckiego. Jak nikt pojmował, że komunizm żyje w wielkiej opozycji do kapitalizmu i że Rosja i Ameryka to sojusznicy wyłącznie z konieczności. Nie wątpił, że z końcem wojny dawni przyjaciele staną się zagorzałymi wrogami.

Ibrahim nie miał wyboru, musiał zgodzić się z przyjacielem i rzeczywiście, sprawy potoczyły się właśnie tak. Na każdym kroku ta błyskotliwa para wymanewrowywała agencje powojennych Niemiec i utrzymywała kontrolę nad swoimi ludźmi. Wschodni Legion nie tylko przetrwał, ale w rzeczywistości kwitł.

Jednakże już wkrótce Farid zauważył niezwykłą prawidłowość, która natychmiast uczyniła go podejrzliwym. Niemieccy urzędnicy, którzy nie zgadzali się z nim mimo jego elokwencji i siły przedstawianych argumentów, odchodzili, a ci, którzy ich zastępowali, zgadzali się w stu procentach. Dziwna sprawa, ale jeszcze bardziej dziwiło kolejne odkrycie: ci odsunięci przestawali istnieć. Wszyscy, jak jeden mąż. Nikt ich więcej nie widział, nikt o nich nie słyszał. Jakby nigdy się nie urodzili.

Postanowił obejść frajerów z niemieckiej biurokracji, poszedł ze swoim problemem wprost do Amerykanów, Amerykanie zareagowali jednak w sposób, na który nie był przygotowany: po prostu wzruszyli ramionami. Los zaginionych Niemców nic ich nie obchodził. Byli zbyt zajęci broniem swego kawałka Berlina, by przejmować się drobiazgami.

Mniej więcej w tym czasie Ibrahim zgłosił propozycję przeniesienia głównej kwatery Wschodniego Legionu do Monachium, usunięcia

go na ubocze zaostrażającego się konfliktu amerykańsko-sowieckiego. Farid miał dość irytującej obojętności Amerykanów. Zgodził się chętnie.

Powojenne miasto okazało się beznadziejną ruiną wbitą w ziemię bombami, rojącą się od muzułmańskich emigrantów. Ibrahim nie tracił czasu, rekrutował wszystkich do organizacji, która w tym czasie zmieniła nazwę na Braterstwo Wschodu. Farid zaś stwierdził, że miejscowi Amerykanie z kręgów wywiadowczych chętniej go słuchają. Ba, mogło się wręcz wydawać, że rozpaczliwie potrzebują jego siatki. To go ośmieliło. Postawił warunek: jeśli chcą formalnej umowy ze Braterstwem Wschodu, mającym dostarczać im informacji zza żelaznej kurtyny, niech zbadają przypadki zniknięcia jego ludzi. Po czym wręczył im listę z nazwiskami niektórych niemieckich urzędników.

Minęły trzy miesiące. Pewnego dnia polecono mu stawić się przed pewnym mężczyzną, Brianem Folksem, którego oficjalny tytuł brzmiał: attache taki czy inny; w rzeczywistości był to szef oddziału biura służb strategicznych w Monachium. To on przejmował informacje siatki Braterstwa operującej w Związku Radzieckim.

Folks poinformował Farida o tym, że przeprowadzone na jego prośbę śledztwo zostało właśnie ukończone, a następnie, już bez słowa, wręczył mu cienką teczkę i spokojnie czekał, aż gość zapozna się z jej zawartością. W teczce znajdowały się fotografie wszystkich Niemców z dostarczonej mu listy, a przy każdej z nich szczegółowy raport. Żaden z tych ludzi już nie żył. Wszyscy zginęli od strzału w tył głowy.

Farid przerzucał kolejne kartki z rosnącym uczuciem frustracji. Dotarł do końca, spojrzął na Amerykanina i spytał:

— To wszystko? Nic więcej nie znaleźliście?

Folks przyglądał mu się znad swych druczianych okularów.

— To wszystko, co znajdzie się w raporcie — odparł spokojnie. —

Ale nie wszystko, co znaleźliśmy.

Wyciągnął rękę po teczkę, a kiedy ją otrzymał, wszystkie Papiery

przepuścił przez niszczarkę. Pustą wrzucił do kosza, którego zawartość palona była codziennie, punktualnie o godzinie piątej po południu. Ukończywszy ten rytuał, usiadł wygodniej, położył dłonie na blacie biurka.

— Z pewnością najbardziej zainteresuje cię to: zgromadzone przez nas dowody wskazują ponad wszelką wątpliwość, że wszystkich tych ludzi zamordował Ibrahim Sewer.

Tyrone leżał na nagiej betonowej podłodze, tak śliskiej od jego wydaliny, że gdy spróbował wstać, noga mu uciekła, uderzył o twardą podłogę kolanem i aż krzyknął z bólu. Oczywiście nikt nie udzielił mu pomocy; tu, w celi przesłuchań, w piwnicy bezpiecznego domu NSA, leżącego w wiejskiej okolicy Wirginii, był sam. Zmuszony był zorientować się w swoim położeniu jedynie za pomocą wyobraźni, w myśli odtworzyć drogę, jaką przyjechał tu z Sorayą. Kiedy? Trzy dni temu? Dziesięć godzin? Obróbka, której został poddany, pozbawiła go poczucia czasu, naciągnięty na głowę kaptur w każdej chwili groził pozbawieniem go także poczucia miejsca, więc chwilami powtarzał sobie: siedzę w celi przesłuchań bezpiecznego domu NSA w... i tu wymieniał nazwę ostatniego miasteczka, przez które przejechali. Kiedy?

Tak naprawdę w tym tkwił problem. Dezorientacja sięgała tak głęboko, okazała się tak kompletna, że chwilami nie wiedział już, gdzie jest góra, a gdzie dół. Co gorsza, chwile te zdarzały się coraz częściej i były coraz dłuższe.

Ból nie był prawdziwym problemem. Tyrone znał ból i był do niego przyzwyczajony, choć nie do tak wielkiego i tak rozciągającego w czasie. Największe zagrożenie stanowiła właśnie dezorientacja wdzierająca się w jego mózg jak nieubłagane chirurgiczne wiertło. Wydawało się wręcz, że przy każdym jej nawrocie traci coraz więcej z samego siebie, jakby ulepiony był z ziarenek piasku czy też soli osypującej się powoli, lecz nieubłaganie. Co się stanie, gdy osypią się wszystkie ziarna? A raczej: kim się stanie?

Myślał o DJ Tanku i reszcie kumpli z dawnych czasów. Myślał o Deronie, o Kiki. Ale te sztuczki nie działały. Obrazy znajomych osób pojawiały się na chwilę, a potem rozplywały niczym mgła. Pozostawała próżnia, w której, był tego coraz bardziej pewny, w końcu zginie i on. Przeniósł więc swe myśli na Sorayę. Odtwarzał w myślach jej portret, fragment po fragmencie, niczym rzeźbiarz formujący bryłę gliny. Odkrył, że jak długo odtwarzają w pamięci, pieczołowicie, z miłością, tak długo sam pozostaje nienaruszony. Cud.

Z wysiłkiem szukał pozycji, która powodowałaby ból łatwiejszy do zniesienia, gdy usłyszał zgrzyt metalu ocierającego się o metal. Podniósł głowę. Nim zdążyło nastąpić cokolwiek innego, poczuł zapach świeżo usmażonych jajek na bekonie i jego usta wypełniła ślina. Do tej pory karmiono go wyłącznie owsianką, i to w nieregularnych odstępach czasu, niekiedy raz za razem. Dezorientacja.

Usłyszał szuranie skórzanych zelówek. Słuch podpowiedział mu, że weszło dwóch ludzi.

— Postaw talerz na stole, Willard. — Rozkaz, charakterystyczny głos Kendalla. — Tak, tutaj. Dziękuję. To wszystko.

Kroki jednego człowieka, trzask zamykanych drzwi. Cisza. Zgrzyt krzesła po podłodze. Kendall je sobie przysuwa, pewnie siada.

— Co my tu mamy — mówi jak do siebie. — Ach, dokładnie to, co lubię. Jajecznicza, nie za gęsta, bekon, kukurydza na gorąco, z masełkiem, bułeczki na gorąco, sos. — Brzęk sztućców. — Lubisz kukurydzę, Tyrone? Lubisz bułeczki? I sos?

Nie było z nim jeszcze tak źle, żeby nie potrafił się wkurzyć.

— Tylko arbuza bardziej, biały panie.

— Nieźle naśladujesz swych braci, chłopcze. — Generał najwyraźniej jadł i mówił jednocześnie. — Pyszne żarcie. Chcesz trochę?

Tyrone'owi zaburczało w brzuchu tak głośno, że Kendall musiał to usłyszeć.

— Musisz tylko opowiedzieć mi wszystko o tym, co planowaliście ty i ta Moore.

— Na nikogo nie donoszę.

— Aha. — Generał chyba przełknął. — Oni wszyscy są tacy dzielni. Na początku. — Przerwał, pewnie jadł. — Rozumiesz, że to tylko początek, prawda, Tyrone? Pewnie, że rozumiesz. I doskonale wiesz, że Moore ci nie pomoże. Wystawi cię dupą do wiatru, takie to pewne jak fakt, że siedzę tu sobie i jem najpyszniejsze bułeczki w życiu. A wiesz, dlaczego jestem taki pewien siebie? Bo LaValle dał jej do wyboru: ty albo Jason Bourne. Znasz ją, nie? Może gadać, że się z nim nie pieprzyła, ale my obaj wiemy lepiej.

— Nie spała z Bourne'em — zaprotestował Tyrone, nim zdołał się powstrzymać.

— Jasne. Sama ci to powiedziała. — Chrupnięcie gniecionej zębami bekonu: jedno, drugie, trzecie. — Bo co ci miała powiedzieć? Jak myślisz?

Jasne, sukinsyn się z nim bawi. Nic innego, tylko rozgrywa te swoje gierki, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Problem w tym, że nie kłamał. Tyrone wiedział, co Soraya czuje do Bourne'a, miała to wypisane na twarzy, gdy była w jego towarzystwie, ba, gdy ktoś wymienił jego imię! Choć przed chwilą zaprotestował, wątpliwość, którą Kendall wyraził tak dobitnie, gryzła go tak, jak pies gryzie kość.

Trudno było nie zazdrościć Bourne'owi — z jego wolnością, encyklopedyczną wiedzą, znajomością z Deronem, z którym rozmawiał jak równy z równym. Ale z tym Tyrone radził sobie na swój własny sposób. Tylko z miłością do Sorai nie potrafił sobie poradzić.

Usłyszał szurnięcie krzesła po podłodze, poczuł obecność Kendalla, który przykucnął tuż obok niego. Zdumiewające, ile ciepła może wydzielać jeden człowiek!

— Muszę powiedzieć, Tyrone, że dostałeś straszne lanie. Przyjąłeś je tak dobrze, że moim zdaniem zasługujesz na nagrodę. Cholera, mieliśmy tu podejrzanych płaczących: „do mamusi, do mamusi” już po dwudziestu czterech godzinach. Ale nie ty, nie ty. — Głośny brzęk metalu

uderzającego o porcelanę. — Może trochę jajecznicy na bekonie? Człowieku, to była wielka porcja, przecież sam jej nie zjem. No to co, podzielimy się?

Generał podciągnął kaptur, odstawiając jego usta. Tyrone nie wiedział, co powinien zrobić. Rozsądek nakazywał odrzucić ofertę, skurczony żołądek rozpaczliwie domagał się choć odrobiny prawdziwego pożywienia. Czuł jego wspaniały zapach, a przy wargach ciepło, jak pocałunek. Och, pieprzyć to! — pomyślał. Smak niemal eksplodował mu w ustach. Omal nie jęknął z rozkoszy. Pierwsze kilka podanych mu na widelcu kęsów po prostu połknął, potem zmusił się, by powoli, metodycznie rozgryzać wędzone w dymie hikory mięso, cieszyć się bogactwem smaku żółtka.

— Smakuje, co? — Kendall wstał, jego głos dochodził z wysoka. — No, przyznaj, że ci smakuje.

Tyrone już miał skinać głową, gdy żołądek eksplodował mu bólem. Za drugim razem jęknął. Kopano go już wcześniej, więc wiedział, o co Kendallowi chodzi. Trzecie kopnięcie; próbował zatrzymać jedzenie, ale nie zdołał powstrzymać reakcji organizmu i zwymiotował wszystkimi tymi pysznymi rzeczami, którymi go poczęstowano.

— Kurier z Monachium jest ostatnim ogniwym łańcucha — powiedziała Dewra. — Nazywa się Egon Kirsch, poza tym nic o nim nie wiem. Nigdy go nie spotkałam, nikt z moich znajomych go nie spotkał. Piotr pilnował, żeby ludzie się nie znali. Jestem prawie pewna, tylko on się z nim kontaktował.

— A komu przekazywał materiały? — spytał Arkadin. — Kto jest po drugiej stronie łańcucha?

— Nie mam pojęcia.

Uwierzył jej bez zastrzeżeń.

— Czy on i Heinrich mieli jakieś własne, prywatne miejsce spotkań?

Dziewczyna tylko wzruszyła ramionami.

Siedzieli w samolocie ze Stambułu do Monachium ramie przy ramieniu, a on zastanawiał się, co, do cholery, robi. Dowiedział się od dziewczyny wszystkiego, czego mógł się od niej dowiedzieć, nie miała mu już nic ciekawego do powiedzenia. Zdobył plany, jego misja dobiegała końca. Pozostało tylko doręczyć przesyłkę Ikupowowi, znaleźć Kirscha i skłonić faceta, żeby doprowadził go do końca łańcucha po swojej stronie. Dziecko by sobie z tym poradziło.

Pozostało tylko pytanie: co z Dewrą? Postanowił ją zabić, tak jak zabił Marlene i tylu innych. Był to *fait accompli*, stały punkt, na zawsze zapisany w jego umyśle, diament, który wystarczyło przetrzeć ściereczką, by rozbłysnął jak nowy. Nawet teraz, w samolocie, słyszał huk strzału, widział liście opadające na jej martwe ciało i przykrywające je jak całun.

Dewra wstała. Miała miejsce od strony korytarza, nie musiała więc przeciskać się obok niego, żeby pójść do toalety. Arkadin przymknął oczy i znów znalazł się w zanieczyszczonym, zasmrodzonym Niżnym Tagile, wśród mężczyzn ozdobionych tandetnymi tatuażami i spróchniałymi zębami, przedwcześnie postarzałych, zgarbionych kobiet nalewających bimber z plastikowych butelek, pozbawionych szans na przyszłość dziewcząt o zapadłych oczach. I nagle... masowy grób...

Otworzył oczy. Oddychał ciężko, z trudem. Poszedł za Dewrą. Widział, jak otworzyły się harmonijkowe drzwi po prawej, obok nich przecisnęła się starsza kobieta. Dewra weszła do środka, zamknęła drzwi. Pojawił się napis: „Zajęte”.

Arkadin odczekał chwilę, a potem zapukał.

— Chwileczkę.

— To ja. Otwórz.

Otworzyła. Przez chwilę stali, mierząc się wzrokiem, próbując odczytać nawzajem swe intencje. To ona cofnęła się wreszcie, przycisnęła do małej umywalki. Leonid wszedł i nie bez trudności zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 30

— Dzieło sztuki — powiedział Gunter Müller. — Gwarantowane dzieło sztuki.

I on, i Moira mieli na głowie kaski. Szli pomiędzy na pół zautomatyzowanymi stanowiskami montażowymi Kaller Steelworks Gesellschaft, gdzie wyrabiano złącza do gazowców transportujących płynny gaz, który przyjmować miał terminal NextGen w Long Beach. Müller był szefem produkcji złącz, a także starszym wiceprezesem Kaller; niewysoki mężczyzna w nienagannie skrojonym trzyczęściowym garniturze w prążki, drogie buty, krawat czarny i złoty, kolory Monachium od czasu Cesarstwa Rzymskiego. Skórę miał różową, jakby właśnie oczyszczono mu twarz parą pod ciśnieniem, i gęste, brązowe włosy siwiejące na skroniach. Mówił powoli, wyraźnie, doskonałą szkolną angielszczyzną, wręcz uroczo pozbawioną współczesnych amerykańskich idiomów. Proces produkcji wyjaśniał dokładnie, nie szczędząc bolesnych wręcz szczegółów, najwyraźniej był dumny ze swego dzieła. Przed nimi leżały plany i opisy, do których odwoływał się od czasu do czasu.

Moirze jego objaśnienia wpadały jednym uchem, wypadały drugim. Jakże zmieniła się jej sytuacja teraz, kiedy firma usunęła się na bok, kiedy NextGen sama zajęła się bezpieczeństwem swego terminalu w Long Beach, kiedy czekała ją nowa praca.

Ale... im bardziej rzeczy się zmieniają, pomyślała, tym bardziej zostają takie same. Już w chwili gdy Noah dał jej przesyłkę do Damaszku, wiedziała, że nie zapomni sprawy Long Beach. Cokolwiek wymyślił wraz ze swymi szefami, ona nie narazi na niebezpieczeństwo ani NextGen, ani tego przedsięwzięcia. Müller, jak wszyscy z Kaller, a jeśli już przy tym jesteśmy, także z NextGen, nie miał pojęcia, że Moira pracuje dla firmy. Tylko ona wiedziała, że powinna właśnie lecieć do Damaszku, zamiast słuchać jego wykładu. Jeszcze kilka godzin łaski i jej kontakt w NextGen zacznie się dopytywać, dlaczego ciągle zajmuje się tym cholernym terminalem. Mogła tylko mieć nadzieję, że przez ten czas uda się jej przekonać prezesa do odmowy wykonania jasnych rozkazów firmy.

Dotarli do hali, w której odbywał się załadunek. Szesnaście części, z których składało się złącze, właśnie pakowano. Miały dotrzeć na miejsce drogą lotniczą, na pokładzie boeinga 747, którym Moira przyjechała do Monachium w towarzystwie Jasona Bourne'a.

— Zgodnie z brzmieniem umowy zespół naszych inżynierów będzie towarzyszył pani w drodze powrotnej. — Müller zwinął rysunki, zabezpieczył je gumką i uroczyście wręczył Moirze. — Dopilnują montażu na miejscu. Jestem przekonany, że wszystko pójdzie gładko.

— Oby się pan nie mylił. Pierwszy gazowiec ma pojawić się w terminalu za trzydzieści godzin. — W spojrzeniu Moiry nie było śladu życzliwości. — Inżynierowie nie będą mieli za wiele czasu.

— Nie ma powodu do obaw, Fraülein Trevor. — Müller nie tracił dobrego humoru. — Są więcej niż dobrzy w swoich specjalnościach.

— Mam szczerą nadzieję, że tak jest. To leży w interesie pańskiej firmy. — Moira wzięła rysunki pod pachę, przygotowując się do odejścia. — Czy mogę mówić szczerze, Herr Müller?

— Ależ oczywiście. Jak zawsze.

— W ogóle nie musiałabym tu przyjeżdżać, gdyby nie stałe opóźnienia z waszej strony zagrożające wręcz ciągłości naszego procesu wytwórczego.

Niemiec był nieporuszony, jak skała.

— Ależ droga Fraülein, jak już wyjaśniałem pani przełożonym, opóźnienia były nieuniknione. Proszę winić Chińczyków za chwilowe braki stali i Południowoafrykańczyków za niedobory energetyczne, przez które ich kopalnie platyny zmuszone były pracować połową mocy. — Rozłożył ręce w bezradnym geście, uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Zapewniam, że my robiliśmy wszystko co w naszej mocy. Jesteśmy już przy końcu naszej wspólnej drogi. Złącze dotrze do Long Beach w ciągu osiemnastu godzin, kolejne osiem zajmie jego montaż i przed czasem będzie gotowe na przyjęcie płynnego gazu z waszego gazowca. Czeka nas szczęśliwe zakończenie, prawda? — I przyjaźnie wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Prawda. — Moira ujęła jego dłoń. — Oczywiście. Dziękuję.

Müller wyprostował się i omal nie strzelił obcasami.

— Cała przyjemność po mojej stronie, Fraülein.

Wrócili razem przez fabrykę. W bramie pożegnali się jeszcze raz, po czym Moira wsiadła do czekającego na nią samochodu z kierowcą. Doskonały niemiecki silnik pracował niemal niesłyszalnie. Ruszyli. Wyjechali z terenu Kaller Steelworks, skręcili w lewo, wjechali na autostradę prowadzącą w kierunku miasta. Minęło zaledwie pięć minut, kiedy odezwał się kierowca:

— Ktoś nas śledzi, Fraülein.

Moira wyjrzała przez tylną szybę. Znajdujący się niespełna pięćdziesiąt metrów za nimi mały volkswagen zamigał światłami.

— Proszę zjechać na pobocze. — Podciągnęła rąbek długiej spódnicy, z kabury na kostce wyjęła SIG-sauera.

Kierowca posłusznie wypełnił polecenie. Zatrzymał samochód.

Volkswagen również stanął. Moira czekała, aż coś się zdarzy; za dobrze ją wyszkolono, żeby miała teraz wysiadać z samochodu.

Po kilku długich chwilach volkswagen ruszył, zjechał w krzaki, znikł. Jeszcze moment i na poboczu pojawił się jego kierowca, wysoki, szczupły, z cienkimi wąsikami, w spodniach na szelkach. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami; niemiecki chłód nie robił na nim wrażenia. Moira widziała, że nie trzyma broni... i właśnie o to mu chyba chodziło. Przechyliła się w siedzeniu, otworzyła mu drzwi. Skorzystał z zaproszenia.

— Nazywam się Hauser, Fraülein Trevor — przedstawił się uprzejmie. Był ponury, skwaszony. — Arthur Hauser. Przepraszam za zaaranżowanie tak niecywilizowanego spotkania, lecz zapewniam panią, że ten melodramat jest konieczny. — Jakby podkreślając znaczenie tych słów, z obawą spojrzął za siebie, w kierunku fabryki. — Niestety, mam niewiele czasu, więc od razu przejdę do rzeczy. Pani złącze jest wadliwe. Nie, nie, spieszę zapewnić, że nie jest to wada konstrukcyjna. Mogę z całą pewnością stwierdzić, że konstrukcja jest w porządku. Chodzi o oprogramowanie. Nie ma wprawdzie wpływu na funkcjonowanie złącza, nie, to raczej wada... zabezpieczenia. Otwarte okno, można powiedzieć. Istnieje oczywiście możliwość, że nigdy nie zostanie wykryte, ale jednak jest.

Obejrzał się. Widząc nadjeżdżający samochód, zacisnął wargi. Rozluźnił się dopiero wtedy, gdy wóz znikł im z oczu.

— Herr Müller nie mówił całej prawdy. Opóźnienia spowodowała właśnie ta dziura, nic innego. Wiem, co mówię, bo pracowałem w zespole, który napisał ten program. Próbowaliśmy stworzyć łąkę, ale okazało się to cholernie trudne i w końcu zabrakło nam czasu.

— Jak poważna jest ta wada?

— Odpowiedź zależy od tego, czy jest pani optymistką, czy pesymistką. — Hauser pochylił głowę. Był zawstydzony. — Jak powiedziałem, być może nigdy nie zostanie znaleziona.

Moira wyglądała przez okno. Myślała o tym, że nie powinna zadawać następnego pytania, bo Noah powiedział jej wprost, bez ogródek, że opieka nad NextGen nie należy już do kompetencji firmy. A potem je zadała.

— A jeśli jestem pesymistką?

Peter Marks znalazł Rodneya Feira, szefa wsparcia w terenie, w stołówce Centrali Wywiadu zajądającego rosół z małży Nowej Anglii. Feir wskazał mu wolne krzesło przy swoim stoliku. Peter awansował na stanowisko szefa operacji po tym, gdy wtyka NSA, pechowy Rob Batt, wyleciał z roboty.

— Co słychać?

— A jak myślisz? — Marks skorzystał z zaproszenia. — Prześwietlam kontakty Batta jeden po drugim, szukam możliwych związków z NSA. Cholernie dużo cholernie frustrującej roboty. Co u ciebie?

— Powiedziałbym, że mniej więcej to samo. — Feir spokojnie dosypał do zupy suszonych ostryg. — Mam przyjemność wprowadzać w obowiązki naszą nową pani dyrektor. Chce wiedzieć wszystko zarówno o agentach w polu, jak i o pracownikach firmy sprzątającej, którą zatrudniamy od dwudziestu lat.

— I co? Myślisz, że jej się uda?

Feir zdawał sobie sprawę z tego, że stąpa po bardzo cienkim lodzie.

— Jedno muszę jej przyznać — powiedział ostrożnie. — Ma dryg do szczegółów. Zagląda pod każdy kamień. Dla niej nie istnieje łut szczęścia.

— To pocieszające. — Marks bawił się widelcem, obracając go w palcach. — W tej chwili ostatnie, czego potrzebujemy, to nowy kryzys. Przyda nam się za to kapitan, który nie da łajbie zatonać.

— No to się zgadzamy.

— Ale... przychodzę do ciebie z inną sprawą. Mam braki kadrowe. Ubytki naturalne, rozumiesz? Niestety, to nieuniknione. Myślałem, że

dostanę jakichś nowych, absolwentów programu, ale wszyscy poszli do Typhona. Przydałoby mi się parę osób, tylko na krótki czas. Coś w rodzaju pożyczki.

Feir z namysłem żuł ziarniste ostrygi, zagryzał miękkimi kostkami ziemniaków. To on skierował nowy nabytek do Typhona. Tylko czekał, kiedy Marks zwróci się do niego o pomoc.

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— Chciałbym, żeby przeniosło się do mnie kilku ludzi Dicka Symesa. — Symes był szefem wywiadu. — Czasowo, oczywiście. Póki nowi nie przejdą przez trening i nie nabiorą odrobiny doświadczenia.

— Rozmawiałeś z Dickiem?

— Po co? Wiem, co powie: żebym się wynosił. Ty to co innego. Możesz wstawić się za mną u Hart. Przywalają ją papiery, więc masz do niej najlepsze dojście. Pewnie dasz radę skłonić ją, żeby mnie choćby posłuchała. Jeśli się zgodzi, Dick może sobie wrzeszczeć, ile chce. Nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Feir starannie wytarł wargi.

— Ilu ludzi potrzebujesz?

— Dwudziestu? Najwyżej dwudziestu kilku.

— Sporo. Dyrektor będzie chciała wiedzieć, co też ci chodzi po głowie.

— Mam gotową notatkę służbową ze wszystkimi szczegółami. Przyślę ci ją e-mailem, a ty załatwisz sprawę osobiście.

— Jasne. Nie powinno być problemu.

— Dzięki, Rodney. — Łatwo było poznać, jak wielką ulgę odczuł Marks.

— Nie ma o czym mówić. — Feir wrócił do jedzenia, lecz kiedy Marks miał już wstać, spytał: — Nie wiesz przypadkiem, gdzie się podziewa Soraya? Nie ma jej w biurze, a jej komórka nie odpowiada.

— Aha. A co, szukasz jej?

— Nie, tak pytam.

Coś w jego głosie zaniepokoiło Petera.

— Tak po prostu? — zdziwił się.
— No, sam wiesz, jakie krążą plotki.
— Nie mam pojęcia. Jakie?
— Jesteście blisko, nie?
— Ach, więc to właśnie miałeś na myśli?
— Właściwie... tak. — Feir skończył jedzenie, włożył łyżkę do miseczki. — Jeżeli to nieprawda...
— Nie wiem, gdzie jest Soraya — powiedział Marks, patrząc gdzieś w bok. — Nigdy nie byliśmy blisko, nie w ten sposób.
— Przepraszam. Nie zamierzałem wścibiać nosa gdzie nie trzeba.
— Nie ma sprawy. Przynajmniej dla mnie. Więc... o czym chciałeś z nią rozmawiać?

Wreszcie padło to pytanie! Przecież generał wyraźnie zaznaczył, że on i LaValle potrzebują przede wszystkim informacji o technice działania Typhona.

— O budżecie. Ma mnóstwo agentów w polu, dyrektor chce rozliczyć ich wydatki. Prawdę mówiąc, ostatni raz zrobiono to jeszcze za czasów Martina.

— Całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę, co się tu działo.

— Ja mógłbym to zrobić — w głosie Feira brzmiał szacunek. — Wyobrażam sobie, że Soraya ma dość zajęć i bez budżetu. Problem w tym, że nawet nie wiem, gdzie jest dokumentacja. — Chciał zapytać: „A ty wiesz?”, ale uznał, że to już byłaby przesada.

Peter Marks zastanawiał się przez chwilę.

— Jeśli o to chodzi, to chyba będę mógł ci pomóc.

— Ramię bardzo boli? — spytała Dewra.

Arkadin, mocno do niej przytulony, obejmował ją silnymi ramionami.

— Nie wiem, co ci powiedzieć. Mam bardzo wysoką tolerancję na ból.

W ciasnej samolotowej toalecie mógł skoncentrować się tylko na niej. Było tak, jakby naraz znaleźli się w trumnie, martwi trafili do innego świata, w którym byli tylko we dwoje.

Przesunął dłonią z jej karku na szyję. Dziewczyna się uśmiechnęła. Kciukiem uniósł lekko jej głowę, zacisnął dłonie na karku. Pochylił się, przyciskając ją do umywalki. Widział w lustrze tył jej głowy, swą własną twarz przysłaniającą twarz Dewry. Zablęśla w nim iskra uczucia, oświetlając martwą pustkę duszy.

Pocałował ją.

— Rób to łagodnie — szepnęła. — Takie masz twarde usta.

Jej wargi były wilgotne, miękkie. Językiem poszukiwała jego języka, najpierw z wahaniem, potem coraz gwałtowniej. A jemu wargi drżały. Ileż razy całował kobiety... i nie czuł nic. Prawdę mówiąc, robił, co mógł, żeby uniknąć pocałunków; nie wiedział, po co właściwie są, dlaczego kobiety pragną ich tak bardzo. Dla niego była to wyłącznie wymiana płynów, coś, co powinno się robić w gabinecie lekarskim. Jedyną ich zaletą było to, że nie bolały i trwały krótko.

Zaskoczył go niemal elektryczny szok przeszywający całe jego ciało. Taka wielka przyjemność była dla niego nowością, oszołomiła go i zdumiała. Inaczej było z Marlene, z każdą z nich było inaczej. Nie wiedział, co począc z drzeniem nóg. Słodkie, ciche jęki Dewry wnikały w niego z jej oddechem jak milczące krzyki ekstazy. Przyjmował je z rozkoszą i pragnął więcej.

Pragnienie nie było czymś, co Leonid Arkadin znał z życiowej praktyki. Nie, jego życiem rządził do tej pory przymus. Musiał zemścić się na matce, musiał uciec z domu, musiał sam się o siebie zatroszczyć, jakkolwiek, ale żyć na własny rachunek, musiał chować trupy rywali i wrogów, musiał zabić każdego, kto choćby otarł się o jego sekrety. Ale żeby pragnąć? To przecież coś zupełnie innego. Dewra pokazała mu, co to znaczy. A jego pragnienie ujawniło się, dopiero gdy nabrał pewności, że już jej nie potrzebuje.

Pragnienie.

Sięgnął pod spódnicę, ujął jej pośladki. Uniosła nogę. Z wielką wprawą, zręcznymi palcami odsłoniła to, co było zasłonięte. Przestał myśleć o czymkolwiek.

Powrócili na miejsca, przeciskając się wśród pasażerów stojących w kolejce do toalety i obrzucających ich niezyczliwymi spojrzeniami. Dewra usiadła i nagle roześmiała się wesoło. Leonid przyglądał się jej spod oka. Właśnie ujawniła swą kolejną niezwykłą cechę. Każda inna pytałaby: „Czy to twój pierwszy raz?”. Ona nie. Ona niczego nie chciała się o nim dowiedzieć, nie pragnęła jego tajemnic. Nie obchodziło jej, jak i po co żyje. Nie musiała wiedzieć. A ponieważ on zawsze musiał, nie znosił tej cechy u innych.

Był świadom jej obecności, jej bliskości w sposób, którego nie potrafił zrozumieć. Było tak, jakby mógł czuć bicie serca, krew krążącą w żyłach, w ciele, które wydało mu się tak drobne, choć przecież wiedział, jaka potrafi być twarda, skoro przeżyła to, co przeżyła. A jednak... jak łatwo byłoby połamać jej kości, z jaką łatwością ostrze noża prześlizgnęłoby się między jej żebrami, szukając serca, kula roztrzaskałaby czaszkę. Na tę myśl ogarnęła go szalona wściekłość. Przysunął się do niej, jakby potrzebowała obrony... i biorąc pod uwagę jej byłych kolegów, rzeczywiście jej potrzebowała. W owej chwili uświadomił sobie, że zabije każdego, kto próbowałby ją skrzywdzić, w jakikolwiek sposób.

Dewra poczuła, że się do niej przytula, odwróciła się i uśmiechnęła.

— Wiesz co, Leonid? Po raz pierwszy w życiu czuję się bezpieczna. A rzucam całym tym gównem, bo już w dzieciństwie nauczyłam się w ten sposób trzymać ludzi na dystans.

— Nauczyłaś się być twarda jak matka.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— A to już jest prawdziwe gówno. Matka była twarda, owszem,

ale tylko na powierzchni. Taka cienka skórka, rozumiesz? A pod nią tylko strach, strach, strach. — Oparła głowę na zagłówek lotniczego fotela. — Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o matkę, to najlepiej pamiętam właśnie strach. Unosił się wokół niej jak smród. Śmierdziała strachem, nawet kiedy się wykąpała. Oczywiście bardzo długo nie wiedziałam, co to takiego, i może tylko ja go czułam? Nie wiem, naprawdę nie wiem. W każdym razie opowiadała mi ukraińską bajkę. O Dziewięciu Kręgach Piekieł. O czym wtedy myślała? Czy próbowała mnie przestraszyć, czy może okiełznać swój strach, dzieląc się nim ze mną? Tego też nie wiem. W każdym razie mówiła tak: jest tylko jedno niebo, ale dziewięć kręgów piekła. Po śmierci trafiasz do tego, na które zasłużyłaś swoimi grzechami. Pierwszy krąg, najlepiej wszystkim znany i najłagodniejszy, to ten, w którym smażysz się w płomieniach. W drugim stoisz samotnie na szczycie góry. Każdej nocy zamarzasz na kamień, powoli, w cierpieniach, rankiem tajesz i wszystko zaczyna się od nowa. Trzeci krąg to kraina oślepiającego blasku, czwarty: nieprzeniknionej ciemności. W piątym lodowate wichry przecinają cię, całkiem dosłownie, jak nóż. W szóstym przebijają strzały. W siódmym giniesz pokryty armią mrówek. W ósmym: zostajesz ukrzyżowany. Ale matkę najbardziej przerażał dziewiąty krąg. Żyjesz w nim wśród dzikich bestii żywiących się ludzkim sercem.

Leonid rozumiał, jakim okrucieństwem jest opowiadanie dziecku takich historii. Nie wątpił, że gdyby jego matka była Ukrainką, słyszałby ją od niej wielokrotnie.

— Śmiałam się — mówiła dalej Dewra. — A przynajmniej próbowałam się śmiać. Walczyłam, żeby nie uwierzyć w te nonsensy. Ale było to przedtem, nim doświadczyliśmy męczarni piekła.

Słuchał jej i czuł, jak zajmuje coraz więcej miejsca w jego sercu. Rosła też potrzeba chronienia jej tym bardziej, im lepiej zdawał sobie sprawę z tego, co oznaczają jego uczucia. Czyżby znalazł właśnie coś wystarczająco wielkiego, jasnego, silnego, by uspokoić gnębiące go demony?

Po śmierci Marlene Ikupow odczytał wreszcie właściwie znak zwiastujący nieszczęście. Dał sobie spokój z próbami zajrzenia w przeszłość Arkadina. Za to wysłał go do Ameryki, na rehabilitację. Nazywał to „przeprogramowaniem”. Leonid spędził osiemnaście miesięcy w okolicy miasta Waszyngton, przechodząc unikalny, eksperymentalny trening, wynaleziony i nadzorowany przez przyjaciela Ikupowa. Zakończył go zmieniony pod wieloma względami, choć przeszłość z jej cieniami i demonami się nie zmieniła. A przecież tak bardzo pragnął, by została wymazana na zawsze! Ale nie na tym polegał program. Jego mistrz i opiekun przestał interesować się przeszłością. Obchodziła go przyszłość, a do niej Leonid przygotowany był w stopniu niemal doskonałym.

Zasypiał, myśląc o treningu, ale śnił o Niżnym Tagile. Waszyngton nigdy mu się nie śnił, bo w Waszyngtonie czuł się bezpiecznie. Na bezpieczeństwo nie było miejsca w jego snach, wyparło je wrażenie spadania z wielkiej wysokości.

W Niżnym Tagile późnym wieczorem napić się mogłeś tylko w podziemnym barze Crespi, śmierdzącym i zatłoczonym, pełnym wytatutowanych mężczyzn w dresach, ze złotymi łańcuchami na szyjach, i kobiet w minispódniczkach, tak wymalowanych, że wyglądały jak sklepowe manekiny. Ich szurcze oczka kryły pustkę w miejscu, gdzie zapewne były kiedyś dusze.

To w Crespi trzynastoletni Arkadin został przerobiony na miazgę przez czterech potężnych mężczyzn o oczach świń i czołach neandertalczyków. I do Crespi wrócił po trzech miesiącach, wylizawszy się z ran. Mózgi neandertalczyków udekorowały ściany, a kiedy piąty kryminalista próbował mu wyrwać broń, dostał w twarz praktycznie z przyłożenia. To powstrzymało resztę gości od prób nawiązania bliskich kontaktów z chłopcem, a także wyrobiło mu reputację — fundament przyszłego minikrólestwa w nieruchomościach.

Lecz w mieście płynnego żelaza i syczącej szlaki sukces niósł ze sobą pewne szczególne konsekwencje. W tym przypadku spowodował, że Staś Kuzin, jeden z lokalnych przestępczych szefów, zwrócił uwagę na Leonida. Spotkali się cztery lata później przy okazji bójki, którą chłopak sprowokował. Miał walczyć z potężnie zbudowanym tępakiem. O zakład. Stawką było jedno piwo.

Pobiwszy giganta do nieprzytomności, Arkadin sięgnął po piwo, wypił pół kufla jednym łykiem, odwrócił się i stanął oko w oko z Kuzinem. Od razu wiedział, z kim ma do czynienia, była to bowiem postać powszechnie znana w Niżnym Tagile. Gęste czarne włosy spadały mu na czoło aż po poziomą bliznę tuż nad brwiami. Głowa na jego barkach wyglądała jak kamyk na kamiennym murze. Złamaną szczękę złożono mu, zapewne w więzieniu, tak podle, że mówiąc, syczał w charakterystyczny sposób, jak wąż. Czasami nie sposób było pojąć, co mówi. Po obu stronach Stasia stali goryle, dwóch upiornych facetów o zapadniętych oczach, z tandetnymi tatuażami psów na dłoniach. Oznaczały one, że są związani ze swym panem na śmierć i życie.

— Porozmawiajmy — powiedział potwór, wskazując stolik gestem maleńkiej główki.

Siedzący przy tym stoliku mężczyźni wstali jak jeden mąż i błyskawicznie usunęli się w drugi kąt baru. Kuzin przysunął sobie krzesło nogą. Usiadł. Dłońmi obejmował się w pasie, co wyglądało dość niepokojąco, jakby w każdej chwili mógł wyciągnąć broń i zacząć strzelać.

Rozpoczął przemowę. Siedemnastoletni Leonid dopiero po kilku minutach zaczął rozumieć, o czym mówi. Miał nieodparte wrażenie, że słucha topiącego się faceta, idącego pod wodę już po raz trzeci. W końcu pojął jednak, że chodzi o propozycję biznesową: połowa jego udziałów w rynku nieruchomości w zamian za dziesięć procent udziałów w interesach rozmówcy.

Jakie to były interesy? Nikt nie mówił o tym otwarcie, choć i tak wszyscy wiedzieli. Sprzedaż zużytych prętów paliwowych z reaktorów

jądrowych dla dużych chłopców z dalekiej Moskwy, handel białymi niewolnikami, przemysł narkotyków, prostytutka; Kuzin podobno zajmował się wszystkim. Arkadin nad co fantastyczniejsze spekulacje przedkładał twardą rzeczywistość. W Niżnym Tagile najlepsze interesy robiło się na prostytutce i handlu narkotykami. Mężczyzna musi prześpać się z kobietą, przynajmniej od czasu do czasu, a jeśli ma jakieś pieniądze, znacznie chętniej wydaje na narkotyki niż piwo czy samogon.

Pragnienie nie wchodziło oczywiście w grę, to była tylko kwestia przymusu. Leonid musiał dokonać czegoś więcej niż przetrwanie w tym mieście wiecznej, wszechobecnej sadzy, gwałtu i pylicy płuc. Samotny osiągnął granice swych możliwości. Zarabiał wystarczająco wiele, by się utrzymać, ale nie tyle, by móc przenieść się do Moskwy, krainy wielkich, nieograniczonych możliwości. Tam, za drzwiami baru, rozciągały się kręgi piekieł: dymiące ceglane kominy entuzjastycznie pluące w powietrze kłębam trującego dymu, żelazne wieże więziennych zon najeżone lufami broni maszynowej, potężnymi reflektorami, przerażliwie wyjąłymi syrenami.

On zaś siedział w swej własnej, prywatnej zonie wraz ze Stasiem Kuzinem. Na jego pytanie była tylko jedna sensowna odpowiedź, powiedział więc „tak” i tym samym wkroczył w dziewiąty krąg piekieł.

Rozdział 31

Z kolejki do kontroli paszportowej na lotnisku w Monachium Bourne zadzwonił do Spectera i uzyskał zapewnienie, że wszystko jest przygotowane. Chwilę później znalazł się w zasięgu pierwszego rzędu lotniskowych kamer. Jego obraz natychmiast przechwyciło oprogramowanie zainstalowane w centrali Siemiona Ikupowa. Został zidentyfikowany, nim zdążył schować komórkę.

Niezwłocznie skontaktowano się z samym Ikupowem. Polecił wydać swym ludziom z Monachium rozkaz przejścia ze stanu gotowości do działania. Rozkaz ten dotarł do jego ludzi z personelu lotniska oraz pozostających pod jego kontrolą funkcjonariuszy kontroli paszportowej. Mężczyzna kierujący ludźmi do kolejek, ustawiających się pod stanowiskami oficerów imigracyjnych, zobaczył zdjęcie Bourne'a na monitorze swojego komputera w odpowiednim momencie. Skierował go do stanowiska numer trzy.

Funkcjonariusz na stanowisku trzecim słuchał głosu przemawiającego do niego z umieszczonej w uchu elektronicznej słuchawki. Kiedy mężczyzna, zidentyfikowany jako Jason Bourne, pokazał

paszport, przerzucając kolejno kartki dokumentu, zadawał mu zwyczajowe pytania: „Jak długo zamierza pan przebywać w Niemczech? Przyjechał pan w interesach czy dla przyjemności?”. Następnie odszedł od okna, przesunął zdjęcie pod pasmem szumiącego fioletowego światła, a jednocześnie wcisnął mały metalowy dysk grubości ludzkiego paznokcia w tylną okładkę, od środka. Po czym zamknął paszport, wygładził go i oddał właścicielowi.

— Życzę przyjemnego pobytu w Monachium — powiedział obojętnie, bez śladu zainteresowania. Wzrokiem już szukał kolejnego przyjeźdnego.

Jak wcześniej na Szeremietewie tak i teraz Bourne miał nieodparte wrażenie, że znajduje się pod bezpośrednią kontrolą. Nim dojechał do tłoczego centrum, dwukrotnie zmieniał taksówki. Na Marienplatz, wielkim, otwartym placu, na którym wznosi się historyczna kolumna maryjna, spacerował przed fasadami gotyckich kościołów, wśród stad gołębi, włączał się w wycieczki grupowe, jak ich członkowie posłusznie gapił się na przeładowaną detalami architekturę i podwójną kopułę Frauenkirche, katedry biskupa Monachium — Fryzyngi będącej symbolem miasta.

Jedna z tych grup stała przed budynkiem rządowym, na którym znajdowała się tarcza herbowa przedstawiająca mnicha z szeroko rozłożonymi ramionami. Przewodnik wyjaśnił, że nazwa „München” wywodzi się od staro-wysoko-niemieckiego słowa oznaczającego właśnie mnicha. Około 1158 roku ówczesny książę Bawarii i Saksonii zbudował most na rzece Izarze łączący opactwo benedyktynów z żupami solnymi mającymi wkrótce rozświetlić rozrastające się miasteczko. Przy wjeździe postawił budkę, w której zbierano myto z przeprawy, będącej częścią Szlaku Solnego prowadzącego na wysokie równiny Bawarii, gdzie stało Monachium, oraz z powrotu. Wzniósł także mennicę pełniącą funkcję skarbcza. Współczesne miasto godnie kontynuowało swą średniowieczną tradycję.

Kiedy Bourne upewnił się, że nie jest śledzony, zatrzymał taksówkę. Wsiadł z niej sześć przecznic przed pałacem Wittelsbachów. Według Spectera Kirsch powiedział, że wolałby spotkanie w miejscu publicznym. Wybrał Państwowe Muzeum Sztuki Egipskiej przy Hofgartenstrasse ukryte za potężną rokokową fasadą pałacu. Obszedł go dookoła, jeszcze raz sprawdzając, czy nie ma ogona. Nie pamiętał, by był tu kiedyś, w przeszłości. Nie doznawał owego przedziwnego *déjà vu* oznaczającego, że wrócił do miejsca, które zna, lecz go nie pamięta. A więc miejscowi szpiedzy będą mieli nad nim przewagę terenu. W najbliższej okolicy znalazłoby się pewnie kilkanaście dobrych kryjówek, o których nie miał pojęcia.

Wzruszył ramionami i wszedł do muzeum. Wykrywacz metali obsługiwali dwaj umundurowani strażnicy, którzy dodatkowo odkładali na bok plecaki i szperali w torebkach. Przy przeciwległych ścianach westybulu stały bazaltowe posągi egipskiego boga Horusa — sokoła ze słońcem na czole — oraz jego matki Izydy. Zamiast podejść do eksponatów, Bourne zatrzymał się przy posągu Horusa i przez dziesięć minut obserwował wchodzących i wychodzących ludzi. Zapamiętywał twarze wszystkich między dwudziestym piątym a pięćdziesiątym rokiem życia. Doliczył się siedemnastu osób z tego przedziału wiekowego.

Następnie, mijając strażniczkę, wszedł na sale wystawowe. Kirscha znalazł dokładnie tam, gdzie spodziewał się go znaleźć: Niemiec wyznaczył spotkanie przy starożytnej rzeźbie lwiej głowy. Bourne rozpoznał go ze zdjęcia przesłanego przez profesora Spectera przedstawiającego dwóch mężczyzn stojących na terenie uniwersyteckiego kampusu. Kurier był niski, lecz muskularny, miał lśniąca łysą głowę i czarne brwi, grube jak włochate gąsienice. Jego bladoniebieskie oczy nieustannie biegały tu i tam, jakby osadzono je na przegubach. Przeszedł obok niego i udając zainteresowanie sarkofagami, dyskretnie sprawdził salę. Nie dostrzegł nikogo spośród zapamiętanych wcześniej siedemnastu osób.

Podszedł do Kirscha, który nie dając po sobie poznać, że go zauważył, powiedział:

— Wiem, że zabrzmi to śmiesznie, ale czy ta rzeźba niczego ci nie przypomina?

— Różową Panterę — odparł Bourne. Był to właściwy odzew na hasło, ale i szczerą prawdą. Egipski lew rzeczywiście do złudzenia przypominał znaną postać ze współczesnego komiksu.

Kirsch skinął głową.

— Cieszę się, że obyło się bez jakichś nieprzyjemnych incydentów. — Oddał Bourne'owi klucze do mieszkania, podał kod domofonu i dokładną instrukcję, jak dojechać na miejsce. Wyglądało na to, że robił to z ulgą, jakby pozbywał się raczej uciążliwego życia niż domu. — Jest tam kilka elementów, o których chciałbym porozmawiać.

Przeszli do posągu klęczącego Senenmuta, pochodzącego z czasów osiemnastej dynastii.

— Starożytni Egipcjanie wiedzieli, jak żyć — zauważył Kirsch. — Nie bali się śmierci. Dla nich to była tylko jeszcze jedna podróż, poważna i trudna, owszem, ale konieczna, bo wiedzieli, że czeka każdego, po najdłuższym życiu. — Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć rzeźby, być może przejąć część jej mocy? — Przyjrzyj się tylko temu posągowi. Minęły tysiące lat, a w nim nadal płonie ogień życia. Egipcjanie nie mieli sobie równych przez stulecia.

— Póki nie zostali podbici przez Rzymian.

— Mimo wszystko... sto lat po tym, kiedy w Aleksandrii rządili Ptolemeusze i Juliusz Cezar, obywatele Cesarstwa Rzymskiego już wielbili Izydę, egipską boginię zemsty i buntu. W rzeczywistości jest więcej niż prawdopodobne, że pierwsi twórcy Kościoła chrześcijańskiego, nie umiając poradzić sobie z nią i jej wyznawcami, przekształcili ją, zmienili jej wojenną naturę, uczynili z niej doskonale pokojową Dziewicę Maryję.

— Leonid Arkadin powinien przejść podobną przemianę: mniej Izydy, więcej Dziewicy — powiedział Bourne z zastanowieniem.

Kirsch uniósł brwi.

— Co wiesz o tym człowieku? — spytał.

— Wiem, że panicznie boi się go wielu niebezpiecznych ludzi.

— I nie bez powodu. To niebezpieczny dla otoczenia szaleniec. Morderca. Urodził się i dorastał w Niżnym Tagile, kolebce wielu szalonych zabójców.

— Owszem, mówiono mi o tym.

— I tam by pozostał, gdyby nie Tarkanian.

Robiło się coraz ciekawiej! Bourne zakładał, że Masłow ulokował swojego człowieka u Tarkianiana, bo tam mieszkała Gala.

— Zaraz, chwileczkę. Co Tarkanian ma z nim wspólnego?

— Wszystko. Gdyby nie on, Arkadin zgniłby w rodzinnym bajorku. W życiu nie przeniósłby się do Moskwy.

— I obaj są członkami Czarnego Legionu?

— Owszem, dano mi do zrozumienia, że tak. Ale ja jestem zaledwie człowiekiem sztuki, a tajnemu życiu agenta zawdzięczam wyłącznie wrzody żołądka. Jako biedny, wyjątkowo biedny artysta potrzebuję niestety pieniędzy. Gdyby nie to, już dawno bym się wycofał. To ostatnia przysługa, jaką wyświadczam Specterowi. — Kirsch przez cały czas rozglądał się niespokojnie dookoła. — Teraz, kiedy Arkadin zamordował Dietera Heinricha, słowa „ostatnia przysługa” nabrały nowego, przerażającego znaczenia.

Bourne znów był czujny, gotów na wszystko. Profesor zakładał, że Tarkanian był członkiem Czarnego Legionu, co właśnie zostało potwierdzone. Masłow zaprzeczał jednak jego członkostwu w organizacji terrorystycznej. Ktoś tu kłamał.

Już miał poprosić Kirscha o wyjaśnienie tej rozbieżności, kiedy kątem oka dostrzegł jednego z kilku mężczyzn, którzy weszli do muzeum zaraz po nim. Zatrzymał się w westybulu, jakby próbując zorientować

się w układzie wnętrza, a potem zdecydowanym krokiem wszedł do sali. Ponieważ znalazł się wystarczająco blisko, by ich podsłuchać, choć mówili ściszonymi głosami, Bourne szybko ujął Kirscha pod ramię.

— Tędy — powiedział, prowadząc go do sąsiedniej sali zdominowanej przez kalcytowy posąg bliźniaków pochodzący z czasów ósmej dynastii, wyszczerbiony, nadgryziony zębem czasu, datowany na 2390 rok p.n.e. Wepchnął za niego Niemca, sam zatrzymał się i niczym wartownik obserwował ruchy intruza, który zorientowawszy się, że przy posągu Senenmuta nie ma nikogo, zaczął się nieznacznie rozglądać.

— Zostań — szepnął.

— Co... co się stało? — Kirsch trzymał się nieźle, poza tym, że głos drżał mu lekko. — Jest tu Arkadin?

— Cokolwiek się stanie, zostań na miejscu. Będziesz bezpieczny. Przyjdę po ciebie.

Mężczyzna wszedł do sali, a Bourne w tej samej chwili przesunął się za bliźniakami i przeszedł do sąsiedniej. Pociągnął za sobą ogon, który udał, że tu akurat nie widzi nic interesującego.

W następnej galerii znajdowało się kilka szklanych gablot, jednak górowała nad nimi licząca pięć tysięcy lat kamienna postać kobiety pozbawionej połowy głowy. Sam wiek czynił to dzieło wyjątkowym, Bourne nie miał jednak czasu na analizę jego wartości artystycznych i historycznych. Przeszli już na tył muzeum; być może z tego powodu byli tu tylko oni dwaj, przy czym mężczyzna zagradzał mu jedyne wyjście.

Bourne skrył się za gablotą, w której na umieszczonej wewnątrz planszy wisiały drobne eksponaty: święte niebieskie skarabeusze i złota biżuteria. Ponieważ plansza miała w środku dziurkę, widział śledzącego go człowieka, sam zaś pozostał niewidoczny. Całkowicie nieruchomy czekał, aż mężczyzna podejdzie do gabloty z prawej strony. Następnie szybko przesunął się w swoją prawą, w przeciwnym kierunku, obszedł gablotę i zaatakował.

Rzucił przeciwnika na ścianę, ale nie zdołał pozbawić go równowagi. Mężczyzna przyjął postawę defensywną, z kabury pod pachą wyjął ceramiczny nóż. Przeciął ostrzem powietrze, najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

Bourne nie pozwolił się powstrzymać. Zrobił zwód w prawo, na nisko ugiętych nogach przesunął się w lewo. Prawą ręką uderzył rękę trzymającą nóż, lewą chwycił przeciwnika za gardło. Unikając kopnięcia w brzuch, obrócił się, ale w tej pozycji nie mógł już blokować ciosu. Ostrze niemal dotknęło jego szyi. Zdołał je zatrzymać w ostatniej chwili.

Stali nieruchomo. Nikt nie miał przewagi.

— Bourne — powiedział nieoczekiwanie mężczyzna. — Nazywam się Jens. Pracuję dla Dominica Spectera.

— Udowodnij to.

— Spotkałeś się z Egonem Kirschem. Masz zająć jego miejsce, bo będzie go szukał Leonid Arkadin.

Jason osłabił uścisk.

— Odłóż nóż.

Jens wykonał rozkaz. Cofnęli się obaj.

— Gdzie jest Kirsch? Mam zapewnić mu bezpieczeństwo i wsadzić go do samolotu do Bostonu.

— Tutaj. — Weszli do sąsiedniej galerii, tej z posągami bliźniąt. — Hej, wychodź! Wszystko w porządku!

Niemiec się nie pojawił. Bourne zajrzał za posąg. I znalazł go... leżącego na podłodze, z dziurą od kuli w potylicy.

Na małym ekranie urządzenia odbiorczego Siemion Ikupow śledził sygnał nadajnika umieszczonego w paszporcie Jasona Bourne'a. Widząc, że obiekt zbliża się do muzeum egipskiego, nakazał kierowcy zwolnić. Przeszył go dreszcz oczekiwania. Postanowił porozmawiać z Bourne'em, pod groźbą pistoletu, we własnym samochodzie. W tej chwili wydawało się to najlepszym sposobem na zmuszenie go do wysłuchania, co Ikupow ma do powiedzenia.

W tym momencie jego telefon komórkowy odezwał się sygnałem, który przypisał numerowi Arkadina, i choć teraz interesowało go coś zupełnie innego, przyjął rozmowę.

— Jestem w Monachium — usłyszał. — Wynająłem samochód. Jadę z lotniska.

— Świetnie. Mam elektroniczny zamiar na Jasona Bourne'a, człowieka, którego nasz przyjaciel przysłał po plany.

— Gdzie jest? Ja się nim zajmę. — Arkadin jak zawsze natychmiast przechodził do rzeczy.

— Nie. Nie chcę, żeby zginął. Bourne to moja sprawa. Ty bądź w ruchu. Ja się z tobą skontaktuję.

Jason Bourne przyklęknął przy ciele Kirscha, przyjrzał mu się uważnie.

— Przecież wchodzi się przez wykrywacz metali — powiedział Jens. — Jakim cudem ktoś przemycił tu broń? Poza tym nikt nic nie słyszał.

Bourne obrócił głowę Kirscha do światła.

— Widzisz? — spytał, wskazując ranę wlotową. — I tu? Nie ma rany wylotowej, a byłaby, gdyby strzał padł z bliska. — Wstał. — Ktośkolwiek go zabił, używał tłumika. — Wyszedł z galerii energicznym krokiem. — Zabójca pracuje jako strażnik — dodał. — Tylko strażnicy mogą wejść tu z bronią.

— Jest ich trójka — powiedział idący obok niego Jens.

— Słusznie. Dwóch przy wykrywaczu metalu i jeden pilnujący sal wystawowych.

Strażnicy przy wykrywaczu w westybulu byli na miejscu. Bourne podszedł do jednego z nich.

— Gdzieś w muzeum zgubiłem telefon komórkowy — powiedział. — Strażniczka z drugiej galerii powiedziała, że pomoże mi go znaleźć, ale gdzie znikła.

— Petra — odparł strażnik. — No tak, właśnie zrobiła sobie przerwę na lunch.

Bourne i Jens wyszli szybko. Zbiegli schodami na ulicę. Rozejrzeli

się. To Bourne pierwszy dostrzegł kobietę w mundurze, idącą szybkim krokiem, oddalającą się od gmachu muzeum.

Znikła za rogiem. Pobiegli, a kiedy już mieli skręcić za nią, pojawił się obok nich wytworny czarny mercedes.

Ikupowa wytrącił z równowagi widok Bourne'a wychodzącego z muzeum w towarzystwie Franza Jensa; obecność tego ostatniego świadczyła o tym, że przeciwnik nie pozostawia nic przypadkowi. Jego zadaniem było trzymanie ludzi Ikupowa z dala od Bourne'a, by mu umożliwić zdobycie planów ataku. Było to wręcz przerażające, bo jeśli mu się uda, wszystko stracone. Wróg zwycięży.

Nie wolno do tego dopuścić.

— Przyspiesz — polecił kierowcy.

Zapał się o drzwi, wyczekał do ostatniej chwili, wreszcie wcisnął przycisk otwierający okno. Wymierzył do biegnącego Jensa. Niemiec wyczuł jego obecność, zwolnił, zaczął się obracać. Został kilka kroków z tyłu, Ikupow mógł strzelać bezpiecznie.

Wystrzelił dwukrotnie.

Franz Jens przykłęknął na jedno kolano, upadł, ześlizgnął się z chodnika. Dostał trzecią kulę, dla pewności.

Okno się uniosło, kierowca otrzymał nowe polecenie. Mercedes przyspieszył gwałtownie, na ulicy pozostało bezwładne, zakrwawione ciało.

Rozdział 32

Rob Batt siedział w swoim samochodzie. Przyglądał się światu przez lornetkę noktowizyjną, obracając w myślach wydarzenia niedawnej przeszłości, jakby były gumą do żucia, która dawno straciła smak.

W chwili gdy Veronica Hart wezwała go do swego gabinetu i postawiła twarzą w twarz z jego zdradą Centrali Wywiadu, Batt popadł w odrętwienie. Nie czuł nic. Jeśli już, jego wrogość wobec Hart zmieniła się w żal. A może, myślał, żałuję samego siebie? Wpadłem w pułapkę jak nowicjusz, zaufałem ludziom, którym nigdy nie powinienem był zaufać. LaValle i Halliday dostaną, czego chcą, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Pełen obrzydzenia do samego siebie Rob pił całą noc. Rano obudził się z potwornym kacem... i świadomością, że coś jednak może zrobić. Zastanawiał się nad tym, walcząc z bólem głowy kolejnymi aspirynami popijanymi wodą i gorzkimi ziółkami mającymi uspokoić zbuntowany żołądek.

W jego głowie zrodził się plan, rozkwitł jak kwiat w promieniach słońca. Dzięki niemu zemści się za upokorzenia, jakich doznał od Kendall i LaValle'a, ale prawdziwie piękne było to, że jeśli mu się uda, nie tylko strąci ich z piedestału, lecz robiąc to, ożywi swą karierę, której pilnie potrzebne było sztuczne oddychanie.

Teraz, siedząc za kierownicą wypożyczonego samochodu, przyglądał się ulicy naprzeciw Pentagonu, szukając wzrokiem generała Kendalla. Był zbyt sprytny, by wierzyć, że uda mu się złapać na czymś LaValle'a, cwaniaka nie popełniającego błędów. O Kendallu nie można już było tego powiedzieć. Jednego Batt nauczył się podczas samobójczej skądinąd współpracy z tymi dwoma: kto tu jest słabym ogniwem. Generał dosłownie wisi na zwierzchniku, zachowywał się jak jego niewolnik. Musiał mieć przy sobie kogoś, kto powie mu, którą nogą ruszyć z miejsca. Chęć zrobienia szefowi przyjemności jest słabością podwładnych, sprawia, że popełniają błędy, których nie popełniliby szefowie.

Nagle Batt spojrzął na życie oczami Jasona Bourne'a. Wiedział o robocie, którą wykonywał on w Rejkiawiku dla Martina Lindrosa, wiedział, do jakiego stopnia narażał się, by znaleźć Martina i wrócić z nim do domu. A jednak, jak większość swych współpracowników, lekceważył te jego zachowania jako uboczne, w zasadzie przypadkowe, jak inni wierząc głęboko, że ma do czynienia z niekontrolowalnym paranoiakiem, którego trzeba koniecznie powstrzymać, nim popełni jakieś ohydne przestępstwo kompromitujące Centralę Wywiadu. A jednak ci sami ludzie, pracownicy CI, gdy tylko sytuacja robiła się beznadziejna, bez wahania i skrupułów wykorzystywali Bourne'a, zmuszając go, by był pionkiem w grze.

Ale przynajmniej on, Batt, nie był pionkiem w żadnej grze.

Pojawił się Kendall; wyszedł z budynku bocznymi drzwiami. Skulony, otulając się trenczem, pospieszył przez parking do swojego samochodu. Nie spuszczając wzroku z generała, Rob odczekał, aż wsiądzie do wozu i włączy silnik. Po omacku namacał kluczyk w stacyjce; przekreślił go w tym samym momencie co generał, tak że obserwowany nie miał szansy zorientować się, że ktoś jeszcze zamierza odjechać.

Oba samochody ruszyły niemal jednocześnie. Noc wydawała się cicha, bardzo spokojna, ale może takie wrażenie narzucał nastrój Batta,

w końcu był jej strażnikiem. A uczył go sam Stary, co mogło być wyłącznie powodem do dumy. Potrzeba było upadku, by zorientował się, że to właśnie duma zakłóciła mu jasność myślenia, wpłynęła na proces podejmowania decyzji. Duma sprawiła, że zbuntował się przeciwko Veronice Hart — nie dlatego, że zrobiła coś złego, coś powiedziała, na to nie miała szansy, lecz dlatego, że wyprzedziła go awansem. Duma była jego słabością, którą LaValle dostrzegł i natychmiast wykorzystał. Jaki ja mądry jestem po szkodzie, pomyślał gorzko, jadąc za Kendalllem przez Fairfax. O, ale przynajmniej nauczyło go to pokory, dzięki której poznał, jak daleko zбочzył z prostej ścieżki wytyczonej przysięgą składaną Centrali.

Trzymał się w przyzwyczajonej odległości od jadącego przed nim samochodu, zmieniając dystans, zjeżdżając z pasa na pas, robiąc wszystko, by uniknąć wykrycia. Mocno wątpił, czy generał w ogóle bierze pod uwagę, że może być śledzony, no ale ostrożność zawsze popłaca. Był zdecydowany zadośćuczynić za grzechy popełnione przeciw własnej organizacji i pamięci Starego.

Śledzony obiekt zatrzymał się przed anonimowym, nowo, czesnym domem, którego parter zajmowała w całości siłownia In-Tune. Kendall wysiadł, w reku trzymał małą sportową torbę. Wszedł do budynku. Jak na razie nic użytecznego, ale Rob Batt dawno temu nauczył się cierpliwości. Kiedy czekasz w zasadzce, nic nie przychodzi ci łatwo i szybko.

Chwilowo był bezrobotny, więc gapił się bezmyślnie na neon In-Tune, pogryzając snickersa. Dlaczego akurat ta siłownia wydawała mu się znajoma? Przecież nigdy nie był w środku, w ogóle nigdy w życiu nie był w tej części Fairfax. Być może chodzi wyłącznie o nazwę? Tak, zdecydowanie tak. Nazwę znał, ale skąd? Na to pytanie nie umiałby odpowiedzieć, nawet gdyby zależało od tego jego życie.

Minęło pięćdziesiąt minut, pora uzbroid się w lornetkę. Przeróżni ludzie wchodzili i wychodzili, przeważnie sami, ale widział też kilka par kobiet, a nawet jedno małżeństwo.

Kolejny kwadrans... i ani śladu Kendalla. Batt na chwilę opuścił lornetkę, pozwalając oczom odpocząć. W tym czasie drzwi otworzyły się jeszcze raz. Pojawił się w nich Rodney Feir. To jakies żarty? — pomyślał Rob.

Feir przeciągnął dłonią po wilgotnych włosach... a zagadka znajomości nazwy In-Tune znalazła swoje rozwiązanie. Wszyscy dyrektorzy CI mieli obowiązek informować o miejscu pobytu po godzinach, tak by oficer dyżurny wiedział, ile czasu zajmie im przyjazd do firmy, jeśli akurat okażą się potrzebni.

Batt obserwował idącego do samochodu Rodneya, przygryzając wargi. Oczywiście to czysty przypadek mógł sprawić, że korzysta z tej samej siłowni co Kendall, ale doświadczenie podpowiadało Robowi, że w tym zawodzie nie ma miejsca na przypadek. Dodatkowo umocnił się w podejrzeniach, widząc, że Feir nie włącza silnika, tylko siedzi nieruchomo, za kierownicą. Czekał na coś... ale na co? A może właściwsze byłoby pytanie: „Na kogo?”

Dziesięć minut później z domu wyszedł Kendall. Nie spojrzął ani w prawo, ani w lewo, tylko wszedł do wozu i natychmiast ruszył. Feir jakby się obudził; włączył silnik, nim generał zdążył opuścić parking. Pojechał za nim.

Zaczynamy! — pomyślał Batt, czując, jak krew szybciej krąży mu w żyłach.

Kiedy Jensa trafiły dwie pierwsze kule, Jason Bourne się odwrócił, zamierzając ruszyć mu na pomoc. Trzecia, trafiająca ofiarę wprost w głowę, zmieniła jego plany. Biegł dalej, wiedząc, że jego towarzysz nie żyje, że nic nie można dla niego zrobić. Musiał założyć, że Arkadin szedł za nim aż do muzeum, gdzie zastawił pułapkę.

Skręcił w tę samą przecnicę, w którą przed nim skierowała się strażniczka. Dostrzegł ją, widział, że zatrzymała się na odgłos strzałów, ale na jego widok znów rzuciła się do ucieczki. Skręciła w alejkę, Bourne pobiegł za nią. Zgrabnie wspięła się na płot z blachy falistej, za

którym rozciągał się teren budowy pełen ciężkich maszyn; podciągnęła się i przewinęła na drugą stronę.

On też przeskoczył płot, wylądował na twardej, ubitej ziemi i odłamkach betonu. Widział, jak kobieta znika za ubłoconym buldożerem, jak wspina się do kabiny, zasiada na miejscu operatora.

Kiedy potężny silnik zaskoczył, był blisko. Strażniczka wrzuciła wsteczny bieg, ruszyła wprost na niego. Wybrała sobie ciężką, niezwrrotną maszynę, więc Bourne uskoczył bez problemu, sięgnął do uchwyty, podciągnął się na schodek. Buldożer się zatrząsł, silnik zadławił, zgrzytnęła skrzynia biegów; kobieta próbowała wrzucić pierwszy bieg, lecz Jason już był w kabinie.

Sięgnęła po broń, ale jednocześnie próbowała jakoś opanować maszynę, więc bez problemu wytrącił jej pistolet, a kiedy upadł na podłogę, kopnięciem usunął go z jej zasięgu, po czym wyłączył silnik.

Strażniczka ukryła twarz w dłoniach i wybuchła płaczem.

— To twoje bagno — stwierdził Deron.

Soraya skinęła głową.

— Wiem.

— Ty przyszedłeś do nas, do Kiki i do mnie.

— Biorę na siebie całą odpowiedzialność.

— Skoro już o tym mówimy — powiedział gospodarz z zastanowieniem — to odpowiedzialnością możemy się podzielić. Mogliśmy powiedzieć: „nie”, ale tego nie zrobiliśmy. Nie tylko Tyrone i Jason, ale my wszyscy jesteśmy poważnie zagrożeni.

Spotkali się w domu Derona, w pokoju wypoczynkowym, bardzo przytulnym, z wygodną sofą w narożniku naprzeciw kominka, nad którym wisiał wielki telewizor plazmowy. Na niskim stoliku stały drinki, ale nikt po nie nie sięgał. Deron i Soraya siedzieli naprzeciw siebie, Kiki skuliła się w rogu sofy jak kot.

— Tyrone jest już spieprzony — stwierdziła Soraya. — Widziałam, co mu robią.

— Chwileczkę — zaprotestował gospodarz. — Istnieje spora różnica między tym, co widzimy, a tym, co się rzeczywiście dzieje. Nie daj im spieprzyć siebie. Nie zaryzykują zrobienia chłopakowi krzywdy, jest im potrzebny, żeby zmusić cię do wystawienia Jasona.

Soraya, której strach nie po raz pierwszy spletał myśli, nalała sobie scotcha. Zakręciła szklaneczką, odetchnęła zapachem drogiego alkoholu, zapachem wrzosu i kajmaku. Przypomniała sobie Jasona i to, jak twierdził, że widoki, zapachy, idiomy, nawet odcienie głosu mogą przywołać ukryte wspomnienia.

Pociągnęła łyk whisky, poczuła, jak spływa jej płomieniem przez przetyk do żołądka. Bardzo chciała być w tej chwili gdziekolwiek, byle nie tu. Chciała innego życia, ale sama je sobie wybrała i podjęła takie, a nie inne decyzje. Nic nie można było na to poradzić... nie porzuci przyjaciół, musi zapewnić im bezpieczeństwo. Tylko jak to zrobić? Takie było dręczące ją pytanie.

Co do Kendalla i LaValle'a Deron miał rację. Pokazanie jej celi przesłuchań było prostym chwytem psychologicznym. Jeśli bliżej się nad tym zastanowić, to przecież widziała tyle co nic. Liczyli na to, że najgorsze sobie wyobrazi, że wyobraźnia będzie ją zżerać, aż się podda, wezwie Jasona, a oni już go zatrzymają i jak wystawowego psa z dumą pokażą prezydentowi. To będzie dowód na to, że osiągnąwszy to, czego CI nie mogła osiągnąć, choć nieraz próbowała, LaValle zasługuje, by w nagrodę dostać posadę jej szefa.

Wypiła drugi łyk whisky. Deron i Kiki w milczeniu, cierpliwie czekali, aż pogodzi się z pomyłką, przemyśli sobie jej skutki i wreszcie zostawi ją za sobą. Musiała przecież przejąć inicjatywę, opracować plan kontrataku. Deron to właśnie miał na myśli, mówiąc: „To twoje bagno”.

— Jedno musimy zrobić — powiedziała z namysłem, ostrożnie. — Pobić LaValle'a jego własną bronią.

— A jak zamierzasz tego dokonać?

Soraya zapatrzyła się w resztę whisky w szklaneczce. W tym właśnie problem. Nie miała pojęcia.

Cisza wlokła się nieznośnie, z każdą sekundą stawała się coraz cięższa i coraz trudniejsza do zniesienia. Wreszcie Kiki wyprostowała się, wstała i powiedziała:

— Osobiście mam dość tej nieznośnej atmosfery. Będziemy tak siedzieć, wściekli i sfrustrowani? To nie pomoże ani Tyrone'owi, ani nam; w ten sposób nie znajdziemy rozwiązania. Więc mam zamiar zabawić się w klubie przyjaciółki. — Spojrzała najpierw na Sorayę, potem na Derona. — Idziecie ze mną?

Bourne, siedząc w kabinie buldożera obok strażniczki z muzeum, słyszał wycie policyjnych syren, to wznoszące się, to opadające. Z bliska kobieta wyglądała młodziej, niż sobie wyobrażał. Jej włosy, niedawno związane w groźnie wyglądający kok, teraz opadły swobodnie, otaczając bladą twarz. Oczy miała wielkie, przejrzyste, zaczerwienione od płaczu. Było w nich coś, co kazało Jasonowi pomyśleć, że urodziła się smutna.

— Zdejmij kurtkę — powiedział.

— Co? — Dziewczyna spojrzała na niego zmieszana.

Na gadanie nie było czasu, więc Bourne po prostu jej pomógł. Podciągnął też rękawy koszuli dziewczyny, sprawdził ramiona po wewnętrznej stronie łokcia; nie nosiła tatuażu Czarnego Legionu. W jej oczach, oprócz wrodzonego smutku, pojawił się także strach.

— Jak się nazywasz? — spytał cicho.

— Petra-Alexandra Eichen — odparła drżącym głosem. — Ale wszyscy mówią mi po prostu Petra. — Wytarła oczy grzbietem dłoni, spojrzała na niego z ukosa. — Zabijesz mnie?

Policyjne syreny wyły głośno. Lepiej znaleźć się tak daleko od nich jak to tylko możliwe.

— Dlaczego miałbym cię zabijać?

— Bo... — Głos się jej załamał, jakby zdusiły go słowa, które miała wypowiedzieć, lub uczucia, które w niej wzbierały. — ...Bo zastrzeliłam twój przyjaciela.

— Dlaczego go zastrzeliłaś?

— Dla pieniędzy. Potrzebuję pieniędzy.

To było wiarygodne wyjaśnienie. Dziewczyna nie zachowywała się i nawet nie mówiła jak profesjonalistka.

— Kto ci zapłacił?

Strach zniekształcił rysy jej twarzy, powiększył oczy, kazał im wpatrzeć się w Bourne'a nieprzytomnie.

— Nie... nie mogę ci powiedzieć. Kazał mi obiecać... powiedział, że jeśli go zdradzę, zabije mnie.

Bourne usłyszał podniesione głosy mówiące z twardym akcentem, tak charakterystycznym dla policjantów na całym świecie. Lada chwila zaczną ich ścigać. Zabrał Petrze pistolet, walthera P22; jedynie mały kaliber dawał gwarancję zabicia kogoś po cichu, w zamkniętym wnętrzu. Nawet jeśli dysponuje się tłumikiem.

— Gdzie tłumik?

— Wrzuciłam go do studzienki kanalizacyjnej. Tak jak mi kazali.

— Wykonywanie kolejnych rozkazów w niczym ci nie pomoże. Ludzie, którzy cię wynajęli, i tak nie pozwolą ci długo żyć. — Ściągnął dziewczynę z buldożera. — Nie masz pojęcia, w jakie towarzystwo wpadłaś.

Petra jęknęła. Próbowwała mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

— Jeśli chcesz, pozwolę ci iść wprost do glin. Mogą tu być w każdej chwili.

Poruszyła wargami, lecz nie powiedziała nic.

Głosy stawały się coraz donośniejsze. Policja znajdowała się po drugiej stronie blaszanego ogrodzenia. Jason pociągnął kobietę w przeciwną stronę.

— Jest stąd jakieś wyjście?

Skinęła głową, wskazała kierunek wyciągniętą ręką. Przebiegli skosem przez teren budowy, klucząc pomiędzy ciężkimi maszynami, ślizgając się po rumowisku i próbując nie wpaść do głębokich dziur w ziemi. Bourne nie musiał się nawet odwracać, by wiedzieć, że policjanci sforsowali płot. Zmusił Petrę do pochylenia głowy i sam się pochylił, próbując w ten sposób uniknąć wykrycia.

Za dźwiękiem na betonowych blokach stała przyczepa szefa budowy. Biegły do niej przewody tymczasowego zasilania doprowadzone do blaszanego dachu. Petra wślizgnęła się pod nią, Bourne poszedł w jej ślady. Miejsca mieli akurat tyle, by móc się czołgać. Po przeciwnej stronie widniała wycięta w siatce ogrodzeniowej dziura. Skorzystali z niej natychmiast i znaleźli się w cichej alejce wypełnionej przemysłowymi pojemnikami na śmieci. Stał tu także jeden większy, pełen pokruszonych płytek, lastryko oraz kawałków metalu pochodzących zapewne z budynku, który zburzono pod nową inwestycję.

— Tędy — szepnęła Petra.

Skręcili w ulicę. Za rogiem stał samochód. Otworzyła go.

— Ja poprowadzę — powiedział Bourne. — Oni będą szukali ciebie.

Dziewczyna rzuciła mu kluczyki; złapał je zręcznie. Przecnicą dalej wyprzedzili jadący powoli radiowóz policyjny. Petra zeszywniała, zacisnęła złożone na kolanach ręce.

— Spokojnie. Tylko na nich nie patrz. Minęła długa chwila.

— Zawrócili — przerwał milczenie Bourne. — Jadą za nami.

Rozdział 33

— Mam zamiar gdzieś tu cię wysadzić. Nie chcę, żebyś wplątała się w to, co ma się zdarzyć.

Dewra, siedząca obok Arkadina w wynajętym bmw, spojrzała na niego, nie kryjąc sceptycyzmu.

— To mi zupełnie do ciebie nie pasuje.

— Doprawdy? A do kogo pasuje?

— Przecież musimy dopaść Egona Kirscha.

Skręcili za rogiem. Znajdowali się w centrum miasta, miejscu pełnym starych kościołów i pałaców. Wyglądało jak przeniesione tu z baśni braci Grimm.

— Były pewne komplikacje. Na szachownicę wkroczył król przeciwnika. Nazywa się Jason Bourne i jest tu, w Monachium.

— Kolejny powód, żebym z tobą została. — Dewra sprawdziła mechanizm jednego z lugerów, które dostali od miejscowego agenta Ikupowa. — Ogień krzyżowy ma jednak swoje plusy.

Arkadin się roześmiał.

— Ognia ci nie brakuje.

To też go do niej przyciągało: nie bała się męskiego ognia płonącego w jej brzuchu. Ale przysięgł Dewrze — i sobie — że będzie ją chronił; po raz ostatni złożył takie przyrzeczenie bardzo dawno temu.

Obiecał sobie nawet, że nigdy już nie wypowie tych słów... a jednak je wypowiedział. Dziwne, lecz czuł się z tym dobrze. Więcej: teraz, kiedy był obok niej, miał wrażenie, że wychodzi z cienia, w którym się urodził i który wytatuowała mu na ciele doznana przemoc. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że można czerpać przyjemność z padających na twarz promieni słońca, z wiatru rozwiewającego włosy Dewry jak grzywę, że może iść z nią ulicą i nie czuć się tak, jakby żył w innym wymiarze, jakby przed chwilą przyleciał z innej planety.

Zerknął na nią, kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle. Słońce oświetlało samochód, w jego blasku twarz dziewczyny nabrała najdelikatniejszego koloru różu. Dokładnie w tej chwili poczuł, jak coś z niego wnika w nią, głęboko, a ona odwróciła się, zupełnie jakby poczuła to samo. Uśmiechnęła się promiennie.

Zapaliło się zielone światło. Przeskoczyli przez skrzyżowanie. Odezwął się jego telefon komórkowy. Wyświetlony numer należał do Gali. Nie przyjął rozmowy; nie miał na to ochoty, ani teraz... ani nigdy.

Trzy minuty później otrzymał SMS-a. „Misza nie żyje. Zamordował go Jason Bourne”.

Jadąc za Rodneyem Feirem i generałem Kendallem przez Key Bridge do Waszyngtonu, Rob Batt upewnił się, że w jego nikonie SLR z teleobiektywem znajduje się czuły film. Oczywiście zrobił mnóstwo zdjęć małym aparatem cyfrowym, ale mogły one służyć wyłącznie jako punkt odniesienia, bo przy zdjęciach cyfrowych zbyt łatwo jest majstrować. Jako dowód, że nie chodzi o fotomontaż, powinien przedstawić niewywołany film... ale komu? To był prawdziwy problem. Pod każdym praktycznym względem w Centrali Wywiadu był persona non grata. Zdumiało go, jak łatwo kończą się wieloletnie znajomości, ale szybko zrozumiał, że po prostu mylił poczucie koleżeństwa, łączące go

niegdyś z innymi dyrektorami, z przy jaźnią. Jeśli o nich chodzi, nie istniał, więc próba dostarczenia im wątpliwych dowodów na to, że NSA kupiło kolejnego funkcjonariusza, zostanie w najlepszym razie zignorowana, a w najgorszym — wyśmiana. Z podobnych powodów nie mógł pójść wprost do Veroniki Hart. Nawet założywszy, że by się do niej dostał, co wydawało się mało prawdopodobne, wszystko, co mógł powiedzieć, wyglądałoby na płaszczenie się, nic więcej, a on nigdy się przed nikim nie płaszczył i nie zamierzał zaczynać teraz.

Roześmiał się głośno na myśl o tym, jak łatwo człowiek oszukuje sam siebie. Dlaczego sądził, że dawni kumple chcieliby mieć z nim coś wspólnego? Przecież zdradził ich, przeszedł do obozu wroga. Gdyby był teraz na miejscu któregoś z nich — a jakże żałował, że nie jest! — czułby tę samą jadowitą niechęć do człowieka, który go wystawił do wiatru. W końcu dlatego właśnie postanowił zniszczyć Kendalla i LaValle'a. Wystawili go, puścili w trąbę, gdy tylko odpowiadało to ich interesom. A ledwie się z nimi związał, już zabrali mu Typhona.

Jadowita niechęć. Pomyślał, że to doskonałe określenie idealnie opisujące jego stosunek do tych dwóch. W głębi duszy doskonale wiedział, że nienawidząc ich, nienawidzi siebie. Ale nie potrafił nienawidzić siebie, to nic mu nie dawało. W tej chwili nie potrafił wręcz uwierzyć, że upadł tak nisko, by sprzedać się NSA. Obracał tę myśl w głowie raz za razem i teraz miał nieodparte wrażenie, że ktoś inny, ktoś całkowicie mu obcy podjął za niego tę decyzję. To nie on, to nie mógł być on, a więc zmusili go do tego LaValle i Kendall. I za to zapłacił najwyższą możliwą cenę.

Dwa samochody ruszyły, Batt pojechał za nimi. Dziesięć minut później zatrzymały się na zatłoczonym parkingu Szklanego Pantofelka. Przejeżdżając obok, widział, jak Feir i Kendall wchodzi do środka. Objechał kwartał przecznic, zaparkował w bocznej uliczce. Ze skrytki wyjął małą leicę, taką, jaką obsługiwał się Stary w swych młodszych czasach w terenie. Wśród szpiegów uchodziła za standard, nie

psuła się nigdy i łatwo było ją ukryć. Włożył czuły film, schował aparat do kieszeni na piersi, tam gdzie trzymał cyfrówkę, i wysiadł z samochodu.

Wiał zimny, dokuczliwy wiatr, w powietrzu wirowały wywiane z rynsztoka śmieci, odlatywały i opadały kawałek dalej. Batt wsadził ręce głęboko w kieszenie, ruszył prosto do Szklanego Pantofelka. Na scenie gitarzysta, przesuwający po strunach tuleją, łąkał bluesa. Po nim miała wystąpić główna atrakcja wieczoru, zespół mający w dorobku kilka nagrodzonych płyt.

Ten klub znał wyłącznie z reputacji. Wiedział na przykład, że jego właścicielem jest Drew Davis, głównie zresztą dlatego, że Davis był postacią imponującą i znaną, maczającą paluchy we wszystkich politycznych i ekonomicznych sprawach Afroamerykanów dystryktu. Jego wpływom przypisać należało to, że schroniska dla bezdomnych stały się bezpieczniejsze, że budowano ośrodki przejściowe; nie krył też, że chętnie zatrudnia ludzi po odsiadce. Tak sprytnie informował o tym opinię publiczną, że choćby nic nie mówił, wszyscy o wszystkim wiedzieli, a byli więźniowie nie mieli wyboru i musieli się zachowywać przyzwoicie.

Batt nie miał natomiast pojęcia o istnieniu pokoików od tyłu, toteż bardzo się dziwił, że choć obszedł salę i odwiedził męską toaletę, nie znalazł śladu ani Feira, ani generała. Przestraszył się nawet, bo mogli wejść i zaraz ulotnić się tylnym wyjściem, więc sprawdził parking. Ich samochody stały spokojnie. Wrócił i przeszukał salę jeszcze raz przekonany, że poprzednio jakoś ich przegapił. I tym razem nie odniósł sukcesu, ale przynajmniej dostrzegł mężczyznę rozmawiającego z umięśnionym Murzynem wielkości mniej więcej lodówki. Po krótkiej choć gwałtownej rozmowie Murzyn otworzył drzwi, których Batt przedtem nie dostrzegł, i wpuścił go do środka. Zakładając, że to tam znikła śledzona para, ruszył w kierunku pana Mięśniaka.

I wówczas zobaczył wchodzącą do Pantofelka Sorayę.

Bourne omal nie rozwalił skrzyni biegów, próbując uciec policyjnemu radiowozowi, który siedział im na ogonie.

— Spokojnie — powiedziała Petra. — Bo mój biedny samochódzik się rozleci.

Żałował, że bliżej nie przyjrzał się planowi miasta. Po lewej pojawiła się ulica zablokowana drewnianymi kozłami. Zerwano z niej nawierzchnię, pozostawiając dziurawą, spękaną spodnią warstwę izolującą, której część zaczęto już wymieniać.

— Trzymaj się — ostrzegł Bourne. Wrzucił wsteczny, cofnął wóz, ruszył przed siebie i nagle skręcił. Staranował kozły, złamał jeden z nich, pozostałe rozrzucił. Zjechał na pozbawioną nawierzchni ulicę. Samochód podskakiwał i miotał się na boki, pędząc z prędkością, która w tych warunkach z pewnością była niebezpieczna; mieli wrażenie, że obrywa kafarem walącym z szybkością karabinu maszynowego. Bourne czuł, jak obłuzowane zęby z trzaskiem obijają się mu po czaszce, Petra robiła wszystko, by nie krzyżeć.

Jadący za nimi samochód policyjny miał jeszcze więcej kłopotów z utrzymaniem się w korycie ulicy. Kierowca szarpał nim w prawo i w lewo, próbując uniknąć najgłębszych dziur. Bourne dodał gazu, odległość między nimi zwiększyła się nieco, ale z przodu pojawiła się betoniarka. Zamykała ulicę, mogli tylko albo zatrzymać się, albo w nią uderzyć.

Nie zwolnili. A policja była coraz bliżej.

— Co ty wyprawiasz! — krzyknęła Petra. — Upadłeś na ten swój pieprzony łeb?

W tej chwili Bourne wrzucił luz i z całej siły przydepnął hamulec. Po czym wrzucił wsteczny, dodał gazu. Samochód się zatrząsł, silnik zawył, koła złapały przyczepność. Popędzili do tyłu. Radiowóz nie zwolnił, nie skręcił, jego kierowca zapewne doznał szoku. Wyminęli go w ostatniej chwili. Nie patrzyli, jak rozbija się o betoniarkę, Bourne zbyt był zajęty prowadzeniem. Minął rozrzucone kozły, wyjechał na ulicę. Ruszyli przed siebie.

— Co ty tu, do diabła, robisz? — spytał Noah. — Przecież powinnaś być w drodze do Damaszku!

— Odlatuję za cztery godziny. — Moira włożyła ręce do kieszeni, by nie dostrzegł, że zacisnęła je w pięści. — Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Noah westchnął.

— To nie robi żadnej różnicy.

Roześmiała się, ale był to gorzki śmiech.

— Dlaczego nie jestem zaskoczona?

— Nie jesteś zaskoczona, ponieważ pracowałaś w Black River wystarczająco długo, by wiedzieć, jak działamy.

Szli wzdłuż Kaufingerstrasse, tłocznej ulicy, położonej w centrum Monachium, niedaleko Marienplatz. Skręcili do Augustiner Bierkeller i znaleźli się w długim, mrocznym, katedralnym wnętrzu, gdzie czuć było tylko zapach piwa i gotowanej kiełbasy. Hałas panował tu akurat taki, że miejsce doskonale nadawało się do przeprowadzenia ściszonej, prywatnej rozmowy. Przeszli po czerwonej, kamiennej podłodze, w jednej z sal znaleźli wolny stolik, usiedli na drewnianych ławach. Ich najbliższym sąsiadem był starszy, palący fajkę mężczyzna pogrążony bez reszty w lekturze gazety.

Oboje zamówili hefeweizen, piwo pszeniczne, mętne od niefiltrowanych drożdży, u kelnerki w regionalnym Dirndlkleid: głęboko wyciętej bluzce i długiej białej spódnicy przepasanej w talii fartuszkciem oraz pasem z dekoracyjną sakiewką.

— Słuchaj — powiedziała Moira, gdy kelnerka postawiła przed nimi kufle. — Doskonale wiem, dlaczego robimy to, co robimy, ale jakim cudem możesz spodziewać się, że zignoruję informacje, które mam bezpośrednio ze źródła?

Noah wypił łyk piwa, po czym metodycznie otarł pianę z warg. Odpowiedział, zaznaczając najważniejsze punkty na palcach.

— Po pierwsze, ten Hauser powiedział ci wyraźnie, że wada software'u jest praktycznie nie do odkrycia. Po drugie, tego, co powiedział, nie da się zweryfikować, zawsze możemy mieć do czynienia z

niezadowolonym pracownikiem pragnącym zemścić się na pracodawcy. Wzięłaś pod uwagę tę możliwość?

— Sami możemy przeprowadzić testy.

— Nie mamy czasu. Za niespełna dwa dni do terminalu przybije pierwszy gazowiec. Po trzecie — wyliczał dalej Noah — jeśli zrobimy cokolwiek, zaalarmujemy NextGen, która natychmiast doprowadzi do konfrontacji z Kaller. W ten sposób zostaniemy wmieszani w bardzo nieprzyjemną... sytuację. Po czwarte i ostatnie, który fragment zdania: „Oficjalnie poinformowaliśmy NextGen, że wycofujemy się z projektu” ciągle jest dla ciebie niezrozumiały?

Przez chwilę Moira siedziała nieruchomo i głęboko oddychała.

— Mamy do czynienia z poważną informacją z poważnego źródła — powiedziała wreszcie. — Może nas prowadzić do sytuacji, której najbardziej się obawialiśmy: ataku terrorystycznego. Jak możesz...

— Już przekroczyłaś dopuszczalne granice o kilka długich kroków — przerwał jej Noah, a w jego głosie nie było śladu poprzedniego spokoju. — Ładuj tyłek do samolotu i nie zapomnij głowy, bo przyda ci się przy nowym zadaniu. Albo to, albo wylatujesz z Black River.

— Lepiej będzie, jeśli na razie się nie spotkamy — powiedział Ikupow.

Arkadin aż gotował się z wściekłości. Powstrzymywał jej wybuch całą siłą woli, a i tak udawało mu się to tylko dzięki Dewrze, cwanej czarownicy, wbijającej mu paznokcie w dłoń. Przynajmniej ona go rozumiała: żadnych pytań, żadnego rozdrapywania ran, żadnego pożywania się przeszłością jak sęp padliną.

Siedzieli w marnym, zadymionym barze w nędznej dzielnicy miasta.

— Co z planami?

— Przejmę je od ciebie. — Głos Ikupowa w telefonie komórkowym był słaby, daleki, choć w rzeczywistości dzieliły ich zaledwie dwa, może trzy kilometry. — Tropię Bourne'a. Dopadnę go sam.

Arkadin nie miał ochoty tego słuchać.

— Myślałem, że to moja robota.

— Swoją robotę właściwie skończyłeś. Zdobyłeś plany, unieszkośliwiłeś siatkę Piotra.

— Pozostał Egon Kirsch.

— Pozbyliśmy się Kirscha.

— To ja jestem od pozbywania się celów. Dam ci plany, a potem zajmę się Bourne'em.

— Przecież mówiłem, Leonidzie Daniłowiczu, że nie chcę, żeby coś mu się stało.

Arkadin wydał z siebie cichy jęk, a może syk, jak cierpiące zwierzę. Przecież trzeba go załatwić, pomyślał. Dewra głębiej wbiła mu paznokcie w ciało, poczuł słodki, miedziany zapach własnej krwi. Muszę go załatwić. Zamordował Miszę.

— Słuchasz mnie? — spytał Ikupow szorstko.

Arkadin drgnął. Wściekłość więziła go jak sieć.

— Tak, oczywiście. Zawsze. Jednak muszę wiedzieć, gdzie nawiąże pan kontakt z Bourne'em. Nalegam. To kwestia bezpieczeństwa, pańskiego bezpieczeństwa. Nie będę stał z boku, kiedy pan naraża się na niebezpieczeństwo. Zawsze może zdarzyć się coś nieprzewidzianego.

— Zgoda — powiedział Ikupow po chwili wahania. — W tej chwili jest w ruchu, więc mam czas przejąć plany. — Podyktował adres. — Będę tam za piętnaście minut.

— Mnie zajmie to nieco więcej czasu.

— Zatem do zobaczenia w ciągu pół godziny. Gdy tylko dowiem się, gdzie przejmuję Bourne'a, natychmiast cię poinformuję. Czy to was zadawała, Leonidzie Daniłowiczu?

— Najzupełniej.

Arkadin wyłączył telefon, odsunął się od Dewry, podszedł do baru.

— Podwójny oban na lodzie — warknął.

Barman, wielki facet z potężnymi ramionami pokrytymi tatuażami, spojrzął na niego nieprzyjaźnie.

— A co to ten oban? — prychnął.

— Whisky single malt, kretynie.

Olbrzym tylko chrząknął. Zabrał się do polerowania staroświeckiego kufła.

— Rozejrzyj się — zaproponował. — Myślisz, że gdzie jesteś, co? W królewskim pałacu? Nie mamy żadnego single malta.

Leonid wyrwał mu kufel, rozbił go na jego nosie. Zakrwawionego wywłókł zza baru i pobił niemal na śmierć.

— Nie mogę wrócić do Monachium — powiedziała Petra. — Przynajmniej nie teraz. Sam mi to powiedział.

— Dlaczego ryzykowałeś pracę, żeby kogoś zabić? — spytał Bourne.

— Nie rozśmieszaj mnie. Chomik nie wyżyłby za to, co płacili mi w tej dziurze.

To ona prowadziła. Jechali autostradą, zdążyli już opuścić miasto. Bourne'owi to nie przeszkadzało, dobrze wiedział, że powinien trzymać się z dala od niego przynajmniej dopóty, dopóki nie uciszy się zamieszanie wokół śmierci Eгона Kirscha. Władze znajdują przy nim czyjeś dokumenty i choć nie wątpił, że dojdą w końcu, kim naprawdę był, miał nadzieję, że przez ten czas zdoła odebrać plany Arkadinowi i wrócić do Waszyngtonu. Na razie policja będzie go szukała jako świadka w sprawie zabójstwa zarówno Kirscha, jak i Jensa.

— Prędzej czy później będziesz musiała mi powiedzieć, kto cię wynajął — stwierdził.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale ręce drżały jej na kierownicy. Odczuwała jeszcze skutki niedawnej pogoni policji.

— Dokąd jedziemy?

Bourne'owi zależało na podtrzymywaniu rozmowy. Czuł, że Petra szuka z nim kontaktu na jakimś osobistym poziomie, że chce się otworzyć. Musiał znaleźć sposób na skłonienie jej do wyznania, kto zlecił zabójstwo Egona Kirscha. Wiedząc to, zapewne znalazłby odpowiedź na pytanie, czy ten sam człowiek był związany z mordercą Jensa.

— Do domu. Nigdy nie chciałam tam wrócić.

— Dlaczego?

— Urodziłam się w Monachium, ponieważ matka pojechała tam do szpitala. Pochodzę z Dachau. — Oczywiście miała na myśli miasto, od którego nazwę przejął istniejący niegdyś w jego sąsiedztwie nazistowski obóz koncentracyjny. — Rodzice nie chcą, żeby dzieci miały w metrykach „miejsce urodzenia: Dachau”, więc kiedy nadchodzi ich czas, kobiety zgłaszają się do szpitali w Monachium.

I trudno się dziwić. W obozie zamordowano niemal dwieście tysięcy więźniów. Jako pierwszy istniał on najdłużej i był prototypem wszystkich innych nazistowskich obozów koncentracyjnych.

Samo miasto, zbudowane na brzegu rzeki Amper, leży na północny zachód od Monachium i odległe jest od niego o jakieś dwadzieścia kilometrów. Urzeka niezwykłym spokojem i urodą ze swymi wąskimi, brukowanymi uliczkami, staroświeckimi latarniami i alejami ocienionymi drzewami. Bourne zauważył głośno, że większość mijanych przez nich ludzi sprawia wrażenie całkiem zadowolonych z życia. Petra roześmiała się nieprzyjemnie.

— Chodzą jak nieprzytomni. Nienawidzą tego, że ich małe miasteczko musi radzić sobie z tak morderczą reputacją.

Przejechali przez centrum, skręcili na północ. Dotarli na miejsce, gdzie znajdowała się kiedyś wioska Etzenhausen. Tu, na posępnym wzgórzu znanym pod nazwą Leitenberg, znajdował się cmentarz, samotny i opuszczony. Wysiedli z samochodu, przeszli obok kamiennej steli z wyrzeźbioną na niej gwiazdą Dawida. Była pokruszona, zielonobłękitna od porastającego ją mchu; rosnące wokół świerki i jodły zasłaniały niebo nawet w tak pogodne zimowe popołudnia jak to.

Przechadzali się z wolna między nagrobkami.

— To KZ Friedhof — wyjaśniła. — Cmentarz obozu koncentracyjnego. Przez prawie cały czas istnienia obozu ciała zamordowanych Żydów palono w piecach, ale pod koniec wojny zabrakło węgla, a coś trzeba było z nimi zrobić. Więc przywożono je tu. — Szeroko rozłożyła ramiona. — To jedyny pomnik, jakiego doczekały się ofiary.

Bourne znał wiele cmentarzy; odwiedzając je, doznawał niezwykłego uczucia spokoju. Ale nie tu. Zdawało się, że KZ Friedhof porusza się niezmordowanie; Bourne miał wrażenie, że słyszy szepty. Skóra mu cierpła. To miejsce żyło, wyło w swej niespokojnej ciszy. Przykucnął, przeciągnął palcami po literach wrytych na jednym z nagrobków. Niewiele z nich pozostało, nie zdołał odczytać nazwiska.

— Przyszło ci do głowy, że człowiek, którego dziś zastrzeliłaś, mógł być Żydem? — spytał.

— Mówiłam ci, że potrzebowałam pieniędzy. Zrobiłam to z konieczności.

— Naziści mówili to samo, kiedy grzebali tu swe ostatnie ofiary.

W smutnych do tej chwili oczach dziewczyny błysnął gniew.

— Nienawidzę cię!

— Nawet w przybliżeniu nie tak, jak nienawidzisz samej siebie. — Bourne wstał, oddał jej pistolet. — Masz. Możesz się zastrzelić i skończyć z tym wszystkim.

Petra wymierzyła mu w pierś.

— Dlaczego nie miałabym zastrzelić ciebie?

— Bo tylko pogorszyłyabyś swoją sytuację. Poza tym... — Wyciągnął rękę, pokazał jej pociski, które zdążył wyjąć z magazynka.

Tylko prychnęła rozczarowana. Schowała broń. W przenikającym przez gałęzie drzew świetle jej twarz i dłonie wydawały się zielonkawe.

— Możesz zadośćuczynić temu, co zrobiłaś. Powiedz mi, kto cię wynajął.

Przyjrzała mu się sceptycznie.

— Nie dostaniesz pieniędzy, jeśli o to ci chodzi.

— Nie interesują mnie twoje pieniądze. Ale... mężczyzna, którego zastrzeliłaś, miał mi powiedzieć coś, co muszę wiedzieć. Podejrzewam, że właśnie dlatego wydano na niego wyrok śmierci.

— Doprawdy? — To ją wyraźnie zainteresowało.

Bourne skinął głową.

— Nie chciałam go zabić. Rozumiesz to, prawda?

— Podeszłaś do niego, wymierzyłaś mu w głowę i pociągnęłaś za spust.

Petra spojrzała gdzieś w bok.

— Nie chcę o tym myśleć.

— A więc nie jesteś lepsza od tych z Dachau.

Rozpłakała się, zasłoniła oczy dłońmi. Jej ramiona drżały, szloch bardzo przypominał dźwięki, które słyszał na Leitenbergu. Długo to trwało, ale w końcu zdołała się opanować. Wytarła zaczerwienione oczy grzbietem dłoni.

— Chciałam być poetką, wiesz? A dla mnie każdy poeta to rewolucjonista. Ja, Niemka, chciałam zmienić świat albo przynajmniej zrobić coś, żeby świat patrzył na nas inaczej. Zdjąć z nas poczucie winy.

— Powinnaś zostać egzorzystką.

Miał to być żart, ale w tym nastroju dziewczyna nie dostrzegła w jego słowach nic zabawnego.

— To byłoby wspaniałe, prawda? — Podniosła wzrok, w jej oczach nadal błyszczały łzy. — Czy to takie naiwne: chcieć zmienić świat?

— Powiedziałbym raczej: „niepraktyczne”.

— Jesteś cynikiem, prawda? — Nie odpowiedział, więc ciągnęła: — Nie sądzę, by objawem naiwności była wiara, że napisane przez ciebie słowa mogą jednak coś zmienić.

— Więc dlaczego nie piszesz, zamiast zabijać ludzi dla pieniędzy? To nie jest sposób zarabiania na życie.

Milczała tak długo, że Bourne zwątpił, czy go usłyszała.

— Aaa, pieprzyć to! — powiedziała w końcu. — Facet, który mnie wynajął, nazywa się Spangler Wald. Właściwie to bardziej chłopak, ma jakieś dwadzieścia jeden lat, może dwadzieścia dwa. Widywałam go w pubach, parę razy wypiliśmy razem kawę. Powiedział, że studiuje, że specjalizuje się w ekonomii, będzie pisał pracę z ekonomii entropicznej, cokolwiek to jest.

— Nie sędzę, by ktokolwiek mógł napisać jakąkolwiek pracę z ekonomii entropicznej — zauważył Bourne.

— Pasuje. Powinam chyba wymienić mój czujnik gówna. — Pociągnęła nosem, a potem wzruszyła ramionami. — Nie za dobrze idzie mi z ludźmi, już lepiej porozumiewam się z martwymi.

— Nie możesz przejąć na siebie wściekłości i bólu tylu ludzi. Pogrzebią cię żywcem.

Petra spojrzała na rzędy starych nagrobków.

— A co innego mogę zrobić? — spytała retorycznie. — Wszyscy o nich zapomnieli. Tu leży prawda. Jeśli pominie się prawdę... czy nie jest to gorsze od kłamstwa? — Nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszyła ramionami. — No dobrze, tu już byliśmy. Teraz pokażę ci to, co oglądają turyści.

Pojechali obejrzeć muzeum w obozie Dachau. Nad tym, co pozostało po obozie, wisiała ciężka chmura, jakby trujący dym z opalanych węglem pieców nadal unosił się z kominów i płynął na prądach powietrza, niczym padlinożerny ptak wypatrujący martwych ciał. Przy wyjździe powitała ich metalowa rzeźba, wstrząsająca interpretacja sprowadzonych do szkieletów ciał, przerażająca podobnych do kolczastego drutu, który je więził. W środku budynku, który pełnił niegdyś funkcje administracyjne, urządzono cele, umieszczono gabloty z butami i innymi, nie do opisanania smutnymi pozostałościami po ludziach, po których nie zostało nic innego.

— Podpisy — powiedziała Petra. — Widziałeś może jakiś mówiący o tym, ilu Żydów torturowano i zabito? „Tu straciło życie sto dziewięćdziesiąt trzy tysiące ludzi”. Ludzi! Nie ma w tym ekspiacji. Nie ma

prośby o wybaczenie. Nadal ukrywamy prawdę sami przed sobą, nadal jesteśmy krajem antysemitów, niezależnie od tego, jak często tłumimy naszą nienawiść świętym gniewem, jakbyśmy to my mieli prawo do goryczy.

Bourne mógłby jej powiedzieć, że w życiu nic nie jest takie proste. Uznał jednak, że lepiej pozwolić, by jej gniew wypalił się sam. Najwyraźniej o tych sprawach nie miała z kim rozmawiać.

Pokazała mu piece, ciągle wyglądające groźnie, mimo że ostatni raz używano ich tak wiele lat temu. Wydawało się, że skrzą jak żywe, były częścią innego wszechświata, pełnego niewypowiedzianej grozy. Z krematorium przeszli do długiej sali o ścianach pokrytych listami pisanymi przez więźniów oraz przez rodziny rozpaczliwie szukające kontaktu z ukochanymi, a także notatkami, rysunkami i przykładami formalnej korespondencji urzędowej. Żaden z nich nie został przetłumaczony z niemieckiego.

Bourne czytał je jeden po drugim. Salę wypełniała atmosfera rozpacz, okrucieństw i śmierci, nie sposób było się od niej uwolnić. Panowała tu wszechobecna cisza, ale inna od tej na Leitenbergu, bo przecież słyszał szuranie butów zwiedzających, przechodzących od ekspozycji do ekspozycji. Było tak, jakby ta kumulacja nieludzkiej bezdusznosci odebrała obecnym mowę... a może to słowa, każde słowa, wydawały się jednocześnie niewystarczające i zbyt wiele?

Poruszali się powoli, krok po kroku. Petra czytała kolejne listy, poruszając ustami. A jemu jeden z nich, wiszący w końcu sali, dosłownie rzucił się w oczy. Na kartce, najwyraźniej z papeterii, widniał odręcznie napisany tekst skargi. Autor twierdził, że stworzył gaz znacznie skuteczniejszy od cyklonu B, ale nikt z administracji Dachau nawet mu nie odpowiedział. Możliwe, że pisał prawdę, ponieważ takiego gazu nigdy tu nie użyto. Jednak znacznie bardziej zainteresował Bourne'a widniejący na kartce znak: ułożone w kręgu trzy końskie głowy, a w środku trupa czaszka SS.

Przy jego boku pojawiła się Petra. Spojrzała na list i zmarszczyła brwi.

— Cholera, skądś to znam — powiedziała.

— Co?

— Znałam jednego takiego, starego Pelza. Twierdził, że tu mieszka, ale moim zdaniem był bezdomny. Najchętniej sypiał w schronie przeciwlotniczym Dachau, zwłaszcza w zimie. — Odgarnęła za ucho nieposłuszny kosmyk włosów. — Bełkotał przez cały czas, no wiesz, jak ludzie niespełna rozumu. Jakby z kimś rozmawiał. Pamiętam, jak pokazywał mi naramiennik z tymi samymi insygniami. I mówił o jakimś Czarnym Legionie.

Bourne poczuł, jak jego serce przyspiesza biegu.

— Co ci powiedział?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Milczała.

— Tak bardzo nienawidzisz nazistów. Czy wiesz, że niektóre ich dzieła żyją nawet dziś własnym życiem?

— Jasne. Choćby skinheadzi.

Wskazał palcem symbol w nagłówku listu.

— Czarny Legion istnieje. I nadal jest groźny, dziś bardziej niż w czasach, o których mówił Pelz.

Petra potrząsnęła głową.

— On tylko gadał i gadał. Nigdy nie dowiedziałam się, czy rozmawiał ze mną, czy sam ze sobą.

— Możesz mnie do niego zabrać?

— Jasne, ale kto wie czy jeszcze żyje. Pił jak smok.

Dziesięć minut później Petra prowadziła Augsburggerstrasse w stronę wzgórza o nazwie Karlsburg.

— Cholerna ironia — prychnęła. — Miejsce, którego nienawidzę najbardziej w świecie, jest teraz dla mnie najbezpieczniejszym, jakie znam.

Zatrzymała samochód przed kościołem Św. Jakuba, którego ośmiokątną barokową wieżę widać z każdego miejsca w miasteczku. Obok stał dom towarowy Horhammer's.

— Widzisz te schody tam z boku sklepu? — spytała, kiedy wysiadali. — Prowadzą do wielkiego schronu przeciwlotniczego wbudowanego we wzgórze. Ale tamtędy nie da się wejść.

Poprowadziła go do kościoła. Przeszli przez jego renesansowe wnętrze aż za prezbiterium. Przy wejściu do zakrystii znajdowały się skromne, nie rzucające się w oczy drzwi z ciemnego drewna. Schody prowadziły łukiem na dół, do krypty, zdumiewająco małej w porównaniu z ogromem znajdującego się nad nią budynku. I nie bez powodu: za nią rozciągał się prawdziwy labirynt sal i korytarzy.

— Bunkier — powiedziała Petra, naciskając włącznik światła. Zabłysł rząd nagich żarówek wiszących przy ścianie po prawej. — To tu uciekli moi dziadkowie, kiedy twój kraj próbował zrównać z ziemią nieoficjalną stolicę Trzeciej Rzeszy.

Mówiła o Monachium, ale Dachau leżało wystarczająco blisko, by odczuć siłę amerykańskich nalotów.

— Jeśli aż tak nienawidzisz swojego kraju, dlaczego nie wyjeżdżesz?

— Bo go kocham. Oto tajemnica bycia Niemcem: dumnym i nienawidzącym samego siebie. — Wzruszyła ramionami. — Co mogę zrobić? Grasz takimi kartami, jakie da ci los.

Bourne znał prawdę tych słów. Rozejrzał się.

— Znasz to miejsce?

Dziewczyna westchnęła ciężko, jakby gniew pozostawił ją zmęczoną.

— Kiedy byłam dzieckiem, rodzice co niedziela zabierali mnie tu na mszę. Byli bardzo bogobojnymi ludźmi. Chory żart! Czy Bóg nie odwrócił się od tego miejsca wiele lat temu? W każdym razie pewnej niedzieli tak się nudziłam, że się im wymknęłam. Miałam wtedy obsesję na punkcie śmierci. Będziesz mnie za to winił? Dorastałam, czując jej smród. — Spojrzała mu prosto w oczy. — Uwierzyłybyś, że o ile wiem, jestem jedyną mieszkanką, która kiedykolwiek odwiedziła muzeum? Myślałeś, że moi rodzice tu byli? Bracia, ciotki i wujkowie, koledzy z klasy? Wolne żarty! Oni nawet nie chcą wiedzieć, że to muzeum istnieje! — Nagle znów wydała się zmęczona. Położyła dłoń na ścianie,

przesunęła nią po szorstkich, nieobrobionych kamieniach tak delikatnie, jakby pieściła ciało kochanka. — Więc zeszałam tutaj, żeby poobcować z martwymi. Nie spotkałam ich, zaczęłam szukać i... odkryłam bunkier Dachau. Odnalazłam swoje miejsce, swój prywatny świat. Szczęśliwa jestem tylko pod ziemią, w towarzystwie stu dziewięćdziesięciu trzech tysięcy zamordowanych. Czuję ich obecność. Wierzę, że wszyscy razem i każdy z osobna są tu zamknięci jak w pułapce. Moim zdaniem to nie w porządku. Ileż czasu spędziłam, planując, jak ich wyzwolić!

— Moim zdaniem wyzwolisz ich tylko w jeden sposób: wyzwalając siebie.

Dziewczyna przerwała monolog.

— Meta starego Pelza jest tam — powiedziała, wskazując kierunek wyciągniętą ręką. Poprowadziła go tunelem. — Całkiem blisko. On lubił przebywać przy krypcie. Pewnie miał przyjaciół wśród tych, którzy zginęli; siedział i rozmawiał z nimi godzinami, pijąc cały czas. Zupełnie jakby ciągle żyli, jakby mógł ich widzieć. I kto wie, może mógł? Zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

Rzeczywiście, nie szli długo. Po kilku minutach tunel doprowadził ich do rzędu mniejszych pomieszczeń. Poczuli zapach whisky i zastarzałego potu.

— Trzeci po lewej — powiedziała Petra.

Nagle w progu pojawiła się potężna sylwetka, z głową jak kula do kręgli i włosami sterczącymi niczym kolce jeża. Stary Pelz zmierzył ich spojrzeniem szaleńca.

— Stój, kto idzie! — krzyknął głosem schrypniętym, tak niskim, jakby wydobywał się spod ziemi.

— To ja, Petra Eichen.

Stary, przerażony mężczyzna wpatrywał się w kaburę pistoletu na jej biodrze.

— Za cholerę uwierzę! — Wymierzył z karabinu i krzycząc: „Wielbicielie nazistów!”, ściągnął spust.

Rozdział 34

Do Szklanego Pantofelka weszła najpierw Kiki, za nią podążyli Soraya i Deron. Kiki zarezerwowała im miejsca telefonicznie, więc gdy tylko przekroczyli próg, Drew Davis wyszedł im na spotkanie, człapiąc niczym Sknerus McKwacz. Był to starszy, siwy dżentelmen, którego białe włosy jeżyły się na głowie, jakby zdumiewało je, że ich właściciel ciągle żyje. Miał ruchliwą twarz o wesołych oczach, nos jakby ulepiony z przeżutej gumy i szeroki uśmiech wyćwiczony do perfekcji telewizyjnymi wystąpieniami nie tylko z poparciem dla lokalnych polityków, lecz także w sprawie dzieł miłosierdzia, które spełniał w co biedniejszych dzielnicach dystryktu. Poza tym był jednak autentycznie ciepłym człowiekiem, a kiedy się do niego mówiło, potrafił zachować się tak, jakby słuchał wyłącznie swojego rozmówcy.

Przytulił Kiki, która pocałowała go w oba policzki i mówiła mu „papo”. Później, kiedy skończył się rytuał powitania i wymiany nazwisk, kiedy posadzono ich przy najlepszym stoliku, który Davis wybrał im osobiście, kiedy podano szampana oraz pyszności, wyjaśniła:

— Kiedy byłam małą dziewczynką, nasze plemię nawiedziła susza tak straszna, że starcy i dzieci chorowali i umierali. Biali ludzie przyjechali, żeby nam pomóc. Powiedzieli, że są z pewnej organizacji i co

miesiąc będą przysyłać nam pieniądze na program, który mają tu do wykonania. Przywieźli wodę, ale oczywiście było jej za mało. Kiedy wyjechali, popadliśmy w rozpacz, myśląc o złamanych obietnicach, ale dotrzyмали słowa, przysłali zapasy, a potem przyszły deszcze i już nie potrzebowaliśmy ich wody. Ale oni zostali. Sfinansowali lekarstwa i naukę. Co miesiąc jak wszystkie dzieci dostawałam list od naszego sponsora, człowieka, który przysyłał pieniądze. Kiedy byłam starsza, odpisałam Drew i tak rozpoczęła się nasza korespondencja. Wiele lat później zapragnęłam uczyć się dalej. Załatwił mi wyjazd do szkoły w Cape Town, a potem zasponsorował mnie na poważnie, sprowadził do Stanów, posłał na uniwersytet. I nigdy nie poprosił o nic w zamian, z wyjątkiem tego, żebym się dobrze uczyła. Jest dla mnie jak drugi ojciec.

Popijali szampana, oglądali taniec erotyczny, który ku zdumieniu Sorai okazał się niepozobawiony smaku, a w każdym razie nie aż tak prymitywny, jak się spodziewała. Tyle że w tej sali było więcej chirurgicznie udoskonalonych ciał, niż zdarzyło się jej widzieć przez całe dotychczasowe życie. Nie mogła pojąć, dlaczego kobiety przerabiają sobie piersi na balony.

Popijała szampana, świadoma tego, że sący go zbyt drobnymi łykami, przesadnie elegancko. Niczego nie pragnęła bardziej, niż zastosować się do rady Kiki, zapomnieć o problemach choćby na kilka godzin, rozluźnić się, upić, odreagować. Sęk w tym, że to nigdy nie miało się zdarzyć, z czego zresztą doskonale zdawała sobie sprawę. Była zbyt zamknięta w sobie, za dobrze się kontrolowała. Obserwując rudą, której biust nie uznawał prawa grawitacji, a biodra wydawały się niezwiązane z resztą ciała, myślała posepnie: „To właśnie powinnam zrobić. Zalać się, zerwać stanik i sama tam zatańczyć”. Absurdalność tej myśli sprawiła, że zaczęła się śmiać. Nigdy nie była tego rodzaju osobą, nawet w wieku odpowiednim do takiej zabawy. Dobra dziewczynka, po prostu dobra dziewczynka, chłodna, kalkulująca aż do przesady. Spojrzała na Kiki, której piękną twarz rozjaśniały nie tylko kolorowe stroboskopowe

świata, lecz także wielka, wspaniała radość. Czy w życiu dobrej dziewczynki nie brakuje przypadkiem koloru? Smaku? — spytała samą siebie.

Ta myśl przygnębiła ją jeszcze bardziej, ale i tak było to tylko preludium, bo kilka sekund później Soraya dostrzegła Roba Batta. O co tu chodzi? On też ją dostrzegł i oczywiście natychmiast ruszył w jej kierunku.

Soraya wstała, przeprosiła i poszła w przeciwną stronę, tam, gdzie znajdowały się toalety. Battowi udało się jakoś zastąpić jej drogę. Odwróciła się na pięcie, lawirowała między stolikami. On wybrał prostszą drogę, przejściem dla kelnerów, i udało mu się ją dogonić.

— Muszę z tobą porozmawiać — zaczął.

Ominęła go, wyszła na parking. Słyszała, że za nią biegnie. Padał deszcz ze śniegiem, ale wiatr ustał całkowicie; wilgoć osiadała jej na ramionach i nagiej głowie.

Nie miała pojęcia, dlaczego zdecydowała się wyjść; do klubu przywiozła ich Kiki, Soraya nie miała więc samochodu. Być może wstrętem napełniła ją obecność mężczyzny, którego znała i któremu nawet ufała, mężczyzny, który ją zdradził, przeszedł na ciemną stronę, jak prywatnie, dla siebie, nazywała NSA LaValle'a, ponieważ nie potrafiła już wypowiedzieć słów Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, nie czując mdłości. NSA stała się dla niej synonimem wszystkiego, co w Ameryce działo się źle przez ostatnie lata: chamskiej walki o władzę, panującego wewnątrz Obwodnicy przekonania, że „hulaj dusza, piekła nie ma”, można robić, co się chce, bądź nie robić nic i niech diabli wezmą prawo i demokrację. A wszystko to prowadzi do jednego, pomyślała. Pogardy. Ci ludzie byli tak pewni swych racji, mieli się za tak prawych, że z pogardą, a może nawet swego rodzaju litością patrzyli na każdego, kto próbował się im sprzeciwić.

Batt znów ją dogonił.

— Zaczekaj. Zaczekaj chwilę, proszę!

— Wynoś się — rzuciła przez ramię, nie zwalniając kroku.

— Ale... muszę z tobą porozmawiać!
— Idź do diabła. Nie mamy o czym rozmawiać.
— To kwestia bezpieczeństwa narodowego.
Potrzęsnęła głową z niedowierzaniem, roześmiała się gorzko.
Nie zamierzała się zatrzymać.
— Posłuchaj... w tobie moja jedyna nadzieja! Tylko ty jesteś wystarczająco otwarta, żeby mnie wysłuchać.
Przewróciła oczami, ale zatrzymała się i spojrzała na Batta.
— Cholernie bezczelny z ciebie facet, Rob. Wracaj i liź buty swojego nowego pana.
— LaValle mnie sprzedał i dobrze o tym wiesz. — Wzrokiem błagał, żeby go wysłuchała. — Ja wiem... popełniłem straszny błąd. Myślałem, że to, co robię, uratuje CI.
Było to stwierdzenie tak zdumiewające, że omal nie roześmiała mu się w twarz.
— Co? Spodziewasz się, że ci uwierzę?
— Jestem produktem Starego. Nie wierzyłem w Hart i...
— Tylko nie zaczynaj od Starego. Nie kupię gadki. Gdybyś rzeczywiście był jego dziełem, nigdy byś nas nie sprzedał. Zostałbyś i zamiast być problemem, stałbyś się częścią jego rozwiązania.
— Trzeba było posłuchać sekretarza Hallidaya. Ten facet jest jak jakaś cholerna siła natury. Wciągnął mnie na swoją orbitę. W porządku, popełniłem błąd. Sam się do niego przyznałem.
— Nic nie tłumaczy utraty wiary.
Batt rozłożył ręce w bezradnym geście.
— Masz całkowitą rację, ale... na litość boską, spójrz na mnie! Sama przyznasz, że poniosłem już odpowiednią karę.
— Nic o tym nie wiem. Ty mi powiedz.
— Nie mam pracy ani żadnych szans na pracę. Przyjaciele nie odpowiadają na moje telefony, a kiedy ich spotykam na ulicy albo w restauracji, zachowują się jak ty. Odwracają się do mnie plecami. Żona zabrała dzieci i się wyprowadziła. — Przesunął dłonią po mokrych włosach. — Cholera, słuchaj, praktycznie mieszkam w samochodzie. Mój

świat się zawalił. Wyobrażasz sobie gorszą karę?

Czy to wada charakteru, że ujął mnie tym wyznaniem? — Soraya spytała samą siebie. Nie okazała jednak śladu sympatii, po prostu stała, milcząc i czekając, co jeszcze ma do powiedzenia.

— Posłuchaj mnie, bardzo proszę...

— Nie mam ochoty cię słuchać.

Odwracała się już, kiedy wcisnął jej do ręki cyfrowy aparat fotograficzny.

— To przynajmniej spójrz na te zdjęcia.

Chciała oddać mu aparat, ale pomyślała, że przecież nie ma nic do stracenia. Ponieważ był włączony, wystarczyło wcisnąć „Review”. Na wyświetlaczu pojawiły się zdjęcia z inwigilacji Kendalla.

— Co, do diabła? — zdumiała się.

— Od kiedy wyleciałem z roboty, myślę tylko o jednym: jak załatwić LaValle’a. Założyłem, że może być za twardym orzechem do zgryzienia tak od razu, ale Kendall... no, to zupełnie inna historia.

Soraya spojrzała mu w oczy. Płoneła w nich gorączka, której kobieta nie widziała nigdy przedtem.

— Jak do tego doszedłeś?

— Kendall nie może sobie znaleźć miejsca. Gorzknieje, kręcąc się w kieracie LaValle’a. Chce większego kawałka tortu, niż dają mu on i Halliday. Omija go cała zabawa. A to go ogłupia, wystawia na strzał.

Wbrew jej samej zainteresowało ją to.

— Czego się dowiedziałeś?

— Czegoś, o czym mi się nawet nie śniło. Jedź dalej.

Posłuchała go. Przewijała kolejne zdjęcia i serce coraz mocniej biło jej w piersi.

— Czy to...? Dobry Boże, to przecież Rodney Feir!

Batt skinął głową.

— Spotkał się z Kendallem w swojej siłowni. Zjedli obiad i przyjechali tutaj.

— Są tu? W Szklanym Pantofelku?

— To ich samochody. — Wskazał je palcem. — A klub ma jakąś salę od tyłu. Nie wiem, co tam się dzieje, ale nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić. Generał to bogobojny, rodzinny człowiek, co nie-dziela, jak w zegarku, chodzi do kościoła z rodziną swoją i LaValle'a. Bierze znaczący udział w życiu parafii, jest tam bardzo aktywny, bardzo widoczny.

Soraya dostrzegła światło w swym własnym, prywatnym tunelu. Ma sposób na to, żeby zdjąć z haka siebie i Tyrone'a.

— Dwie pieczenie na jednym... zdjęciu — powiedziała.

— Owszem. Jedyne problem, to jak tam wejść i ich sfotografować. Wstęp tylko za zaproszeniami, sprawdziłem.

Długo po tym, jak Kendall skopał go aż do wymiotów, nie działa się nic. Jak długo? Tyrone zdążył już zaobserwować, że czas boleśnie zwolnił biegu, niemal się zatrzymał. Wydawało się, że minuta składa się z tysiąca sekund, godzina z dziesięciu tysięcy minut, dzień... nie, godzin w dniu po prostu nie dało się policzyć.

Kiedy zdejmowano mu kaptur, chodził szybko środkiem wąskiej celi, równoległe do krótszej ściany. Nie chciał podchodzić do złowrogiej wanny stosowanej przy torturze wody.

Gdzieś głęboko zrodziła się w nim pewność, że stracił poczucie czasu i że to część procesu mającego go zmiękczyć, otworzyć, wyrzucić na nice. Czuł, jak chwila po chwili ześlizguje się po zboczu tak śliskim i stromym, że choćby nie wiem jak próbował, robił wszystko co w jego mocy, nie mógł powstrzymać upadku. Spadał w ciemność, w otchłań, w której istniał tylko on.

Nie było to przypadkiem. Potrafił wyobrazić sobie jednego z pie-sków Kendalla mozolnie wyprowadzającego matematyczny dowód opisujący, w jakich granicach więzień powinien załamywać się każdej kolejnej godziny każdego kolejnego dnia. Kiedy zasugerował Sorai, że

może być dla niej przydatny, zaczął dużo czytać o tym, jak zachowywać się w najgorszych sytuacjach. Podczas lektury trafił na trik, który okazał się użyteczny w jego sytuacji: znaleźć w głębi umysłu miejsce, do którego można się wycofać, gdy robi się naprawdę ciężko, miejsce nienaruszalne, bezpieczne, choćby nie wiem co ci robiono.

Znalazł to miejsce, chronił się w nim kilkakrotnie, gdy ból, spowodowany klęceniem ze skrępowanymi na plecach rękami, stawał się nie do zniesienia nawet dla niego. Bał się tylko jednego: tego cholernego koryta po przeciwnej stronie celi. Jeśli go tam wsadzą, to koniec... bo jak daleko sięgał pamięcią, Tyrone bał się wody. Przerażała go możliwość utonięcia. Nie umiał pływać, nie potrafił nawet unosić się na powierzchni. Ilekroć próbował, zaczynał się dławić i musiano go wyciągać jak trzylatka. Spróbował parę razy i dał sobie spokój, uznawszy, że nie warto się przejmować. Bo co, mam zamiar żeglować albo choćby wylegiwać się na plaży? — pytał sam siebie. Nie ma mowy.

A teraz to nie on przyszedł do wody, lecz woda do niego. Cholerne koryto uśmiechało się jak wieloryb, tylko czekało, żeby go pożreć. A on nie był Jonaszem i doskonale o tym wiedział. Pieprzona cholera nie wypłuje go całego i zdrowego.

Wyciągnął rękę. Kiedy na nią spojrział, drżała. Odwrócił się, przycisnął ją do ściany, jakby betonowy blok mógł wchłonąć jego ślepy strach.

Drgnął. Trzask otwieranych drzwi odbił się echem w małym pomieszczeniu. Do celi weszło typowe zombi NSA o martwych oczach i martwym oddechu. Położyło na stole talerz i wyszło, nawet nie patrząc na więźnia. Było tylko drobną cząstką drugiego etapu planu złamania Tyrone'a przez przekonanie jego samego, że nie istnieje.

Podszedł bliżej. Zimna owsianka, jak zwykle, lepka i bez smaku. Zje ją, tak czy inaczej. Był głodny. Podniósł do ust plastikową łyżkę. Za drugim razem poczuł, że żuje coś innego, i omal się nie udławił. Świadom tego, że każdy jego ruch jest monitorowany, pochylił się, wypłuł to,

co miał w ustach, po czym widelcem otworzył zwinięty kawałek papieru. Ktoś coś na nim napisał.

Pochylił się, by odczytać małe litery.

„Nie poddawaj się”.

Nie od razu uwierzył własnym oczom. Przeczytał te trzy słowa powtórnie, a potem jeszcze raz. Wziął kartkę na łyżkę, powoli, metodycznie przeżuł ją wraz z owsianką i przełknął. Następnie usiadł na stalowej toalecie i zaczął się zastanawiać, kto napisał do niego ten liścik i jak mógłby się z nim skontaktować. Sporo czasu minęło, nim uświadomił sobie, że króciutka wiadomość, która tak nieoczekiwanie dotarła z zewnętrznego świata do maleńkiej celi, zdołała przywrócić mu utraconą równowagę. Czas powrócił do swego rytmu, krew znów popłynęła w jego żyłach.

Arkadin pozwolił Dewrze wyciągnąć się z baru, nim całkiem go zdemolował. Nie to, by martwił się o klientów i tak wyglądających na bandziorów, ogłupiałych, milczących, przyglądających się, jak sieje spustoszenie, jakby oglądali film w telewizji. Chodziło raczej o policję, której w tej nędznej okolicy nie brakowało. Choć nie siedzieli tu długo, radiowóz przejechał aż trzykrotnie.

Jechali w promieniach słońca zaśmieconą ulicą. Słyszał szczekanie psów, krzyki ludzi. Cieszył go ciepły dotyk biodra i ramienia Dewry. Jej obecność powstrzymywała go, tłumiała jego gniew do znośnego poziomu. Przytulił ją mocno, a jego gorączkowe myśli znów zwróciły się ku przeszłości.

Pierwszy krok Arkadina w dziewiąty krąg piekła wydawał się niewinny: Staś Kuzin potwierdził, że jego biznes to prostytutki i narkotyki. Leonid pomyślał, że to łatwe pieniądze, wpadł w pułapkę zwodniczego poczucia fałszywego bezpieczeństwa.

Początkowo jego rola była jasno zdefiniowana: dostarczał mieszkań rozrastającemu się imperium Stasia. Robił to z właściwą sobie sprawnością. Nie sposób prościej zarabiać na życie, więc przez dobrych kilka miesięcy, kąpiąc się w deszczu rubli, gratulował sobie podjęcia właściwej biznesowej decyzji. Poza tym jako partner Kuzina korzystał z premii: od darmowych drinków w barze po darmowe sesje z nastolatkami z jego rosnących w imponującym tempie zasobów.

I to właśnie one, bardzo młode prostytutki, stały się owym śliskim zbroczem, po którym Leonid osunął się w najniższy krąg piekieł. Trzymając się z daleka od burdeli lub co najwyżej odwiedzając mieszkania raz na tydzień, tylko po to, by sprawdzić, czy klienci ich nie demolują, łatwo było przymknąć oko na to, co tam się rzeczywiście dzieje. Zajmowało go głównie liczenie pieniędzy. A jednak, pozwalając sobie na korzystanie z przywileju zawodu, nie mógł nie zauważyć, jak młode są dziewczyny, jak bardzo się boją, jak posiniaczone mają ramiona, jakie puste oczy i, najczęściej, jak strasznie są znarkotyzowane. Stykając się z nimi, robił krok w krainę zombi.

Obserwacje mogły oczywiście spłynąć po Leonidzie jak woda po kaczce, budząc najwyżej przelotne zainteresowanie, gdyby nie to, że jedną z dziewcząt po prostu polubił. Jelena miała szerokie usta, skórę bladą jak śnieg, oczy płonące niczym węgiel. Uśmiechała się często, chętnie i w odróżnieniu od innych dziewcząt nie miała skłonności do ataków płaczu występujących bez żadnej szczególnej przyczyny. Śmiała się z żartów Arkadina, po wszystkim leżała z głową na piersi kochanka, a on lubił trzymać ją w ramionach. Jej ciepło grzało go niczym najlepsza wódka, przyzwyczał się do sposobu, w jaki zawsze znajdowała najlepszą pozycję tak, że jej ciało idealnie pasowało do jego ciała. Potrafił zasnąć, tuląc się do Jeleny, co można uznać za rodzaj cudu, bo nie pamiętał, kiedy przed ich spotkaniem udało mu się przespać noc.

Mniej więcej w tym czasie Kuzin wezwał go na spotkanie i poinformował, że idzie mu lepiej, niż się spodziewał, i że chce rozszerzyć

współpracę. Oferował Arkadinowi więcej udziałów.

— Oczywiście chcę, żebyś zaczął brać bardziej aktywny udział w przedsięwzięciu — powiedział swym niemal nie zrozumiałym głosem. — Interesy się rozwijają, teraz najbardziej potrzebuję nowych dziewcząt. Tu wkraczasz ty.

W ten sposób Arkadin został szefem zespołu, którego jedynym zadaniem było selekcjonowanie nastolatek z Niżnego Tagiłu. Robił to równie przerażająco skutecznie jak wszystko inne. Łóżko Jeleny odwiedzał często, jak przedtem, lecz wizyty te nie były już tak idylliczne. Dziewczyna zaczęła się bać. Powiedziała mu, że jej koleżanki znikają. Jednego dnia spotyka je jak co dzień, następnego nie pozostaje po nich ślad, jakby nigdy nie istniały. Nikt o nich nie mówi, nikt nie odpowiada na pytania. Arkadin zlekceważył jej obawy, w końcu młodzi znikają na całym świecie i nikt nie robi z tego wielkiej sprawy. Lecz Jelena była całkiem pewna, że Staś Kuzin miał coś wspólnego ze zniknięciami dziewcząt. Nie słuchała jego wyjaśnień, a uspokoiła się dopiero wtedy, gdy obiecał, że będzie się nią opiekował i pilnował, by nie stało się jej nic złego.

Minęło pół roku i Kuzin wziął go na bok.

— Odwalasz kapitalną robotę — powiedział. Wódka i kokaina sprawiły, że mówił jeszcze bardziej bełkotliwie niż kiedyś. — Ale ja potrzebuję więcej.

Byli właśnie w jednym z burdeli, który znającemu się już na rzeczy Leonidowi wydał się dziwnie wyludniony.

— Gdzie dziewczyny? — spytał.

Kuzin tylko machnął ręką.

— Odeszły, uciekły... kto, kurwa, może wiedzieć, gdzie są? Dostań trochę pieniędzy i zaraz pryskają jak zające.

— Zbiorę ludzi i ich poszukam — powiedział Leonid, pragmatyczny jak zawsze.

— Strata czasu. — Mała głowa kiwała się na szerokich ramionach. — Znajdź nowe.

— To się robi trudne. Niektóre dziewczyny się boją. Nie chcą iść z nami.

— No to je bierz.

— Nie rozumiem. — Arkadin zmarszczył brwi.

— W porządku, baranie, zaraz ci to wytłumaczę. Zwołaj swoich pieprzonych ludzi, wsadź do pieprzonej furgonetki i bierz dziewczyny z ulicy.

— Mam je porywać?

— O kurwa! Zrozumiał! — Kuzin zarechotał donośnie.

— A co z glinami?

To pytanie wywołało jeszcze głośniejszy wybuch śmiechu.

— Siedzą u mnie w kieszeni. A nawet gdyby nie siedzieli, to co? Myślisz, że im się płaci za robotę? Gównu ich wszystko obchodzi.

Przez kolejne trzy tygodnie Arkadin i jego zespół pracowali na nocną zmianę, dowożąc dziewczyny do burdelu, czy chciały tego, czy nie. Były najczęściej odporne, czasami wojownicze. Kuzin brał je do pokoju na tyłach budynku — pomieszczenia, do którego żadna z nich nie chciała wrócić. Nie oszpecał ich twarzy, to byłby kiepski interes, siniaki pozostawały wyłącznie na ramionach i nogach.

Leonid obserwował tę przemoc kontrolowaną jak przez trzymany odwrotnie teleskop. Wiedział, co się dzieje, ale udawał, że nie ma to z nim nic wspólnego. Ciągłe liczył pieniądze, których zarabiał coraz więcej i które pojawiały się coraz szybciej. To pieniądze i Jelena ogrzewały jego noce. Gdy tylko się z nią spotykał, sprawdzał, czy nie ma siniaków na rękach i nogach. Kazał jej obiecać, że nie będzie brała narkotyków. Roześmiała się: „Leonidzie Daniłowiczu, kto ma pieniądze na narkotyki?”.

Uśmiechnął się, wiedząc, co ma na myśli, bo Jelena miała ich więcej niż wszystkie pozostałe prostytutki razem wzięte. Wiedział o nich, bo dbał o Jelenę także w ten sposób.

— Kup sobie sukienkę, nowe buty — powiedział kiedyś, a ona,

skromna dziewczyna, uśmiechnęła się tylko i pocałowała go w policzek z wielką czułością. Uświadomił sobie, że ma rację, nie chcąc się w żaden sposób wychylać.

Pewnej nocy niedługo potem Kuzin zaczął go, kiedy wychodził z pokoju Jeleny.

— Pojawił się problem. Potrzebuję twojej pomocy — powiedział.

Przed wejściem do budynku czekała na nich duża furgonetka z pracującym silnikiem. Staś pierwszy wskoczył na budę, Leonid wsiadł za nim. Dwa jego dyżurne upiory pilnowały dwóch prostytutek.

— Próbowaly uciec — oznajmił Kuzin. — Właśnie je złapaliśmy.

— Trzeba dać im nauczkę — stwierdził Leonid, zakładając, że jego wspólnik czeka na te właśnie słowa.

— Na to już, kurwa, za późno.

Kuzin uderzył w dach szoferki i furgonetka ruszyła. Arkadin usiadł wygodniej, zastanawiając się, dokąd jadą. Nie odzywał się, wiedział, że gdyby teraz zaczął zadawać pytania, wyszedłby na durnia.

Po jakichś trzydziestu minutach zwolnili, skręcili w drogę gruntową. Kolejne kilka minut jechali czymś w rodzaju leśnej ścieżki, z pewnością bardzo wąskiej, bo gałęzie drzew drapały boki samochodu.

Zatrzymali się wreszcie, wysiedli. Noc była bardzo ciemna, rozświetlona tylko reflektorami samochodu, choć daleki blask hutniczych pieców wyglądał jak krew na niebie, a raczej na spodzie brudnych chmur wypływanych przez setki wysokich kominów. W Niżnym Tagile nikt nie widział nieba, nawet płatki śniegu padały tu na ziemię szare, a czasami nawet czarne od przesycających powietrze przemysłowych zanieczyszczeń.

Dwa upiory prowadziły dziewczyny wśród drzew, przez gęste chwasty i niskie krzaczki. Żywiczny zapach sosen był tak silny, że niemal maskował upiorną woń rozkładu.

Po jakichś stu metrach goryle Kuzina szarpnęły młode prostytutki

za kołnierze, zatrzymując je w miejscu. Staś wyjął pistolet i jednej z nich strzelił prosto w głowę; skuliła się i upadła na zasłaną liśćmi ziemię. Druga krzyknęła przeraźliwie, zaczęła się wić, próbowała uciec.

— Kiedy pociągniesz za spust — powiedział, wręczając broń Arkadinowi — będziemy współnikami na równych prawach.

W jego widzianych z bliska oczach było coś tak strasznego, że Leonid zadrżał. Miał nieodparte wrażenie, że uśmiechają się uśmiechem diabła, chłodno, bez śladu człowieczeństwa; wyrażały przyjemność — złą, wstrętną, perwersyjną. Pomyślał o otaczających miasto więzieniach, bo teraz, bez żadnej, najmniejszej wątpliwości, znalazł się we własnym więzieniu, w celi, do której nie miał klucza, a nawet gdyby miał, nie wiedziałby, jak go użyć.

Kolba starego lugera z emblematem nazistowskiej swastyki była śliska; podniecony Kuzin musiał się mocno pocić. Podniósł lufę, wymierzył w głowę zanoszącej się płaczem, jęczącej ofiary. W swym krótkim życiu wyrządził wiele krzywd, wiele z rzeczy, które zrobił, było niewybaczalne, ale nigdy nie zastrzelił z zimną krwią bezbronnej dziewczyny. A teraz, by prosperować, by przeżyć w więzieniu Niżnego Tagiłu, musiał zrobić właśnie to.

Czuł przeszywające go, przenikliwe spojrzenie płonących ognistą czerwinią oczu Kuzina. I czuł na karku dotyk zimnej lufy; wiedział, że to kierowca furgonetki posłusznie wypełnia rozkaz szefa.

— Zrób to — usłyszał. — Zrób to, bo tak czy inaczej, za dziesięć sekund ktoś strzeli.

Huk strzału w nieskończoność powtarzało echo, zagubione w ciemnym, złowrogim lesie. Ciało drugiej dziewczyny spoczęło na liściach obok ciała martwej przyjaciółki.

Rozdział 35

Trzask rygla ośmiomilimetrowego mausera K98 rozległ się donośnie w zamkniętej przestrzeni schronu przeciwlotniczego w Dachau. I na tym się skończyło.

— Cholera! — jęknął stary Pelz. — Zapomniałem nabić sukinsyna!

Petra wyjęła z kabury pistolet, wymierzyła w niebo, ściągnęła spust. Skutek był ten sam. Stary cisnął karabinem o ziemię.

— Scheisse! — krzyknął wyraźnie, z obrzydzeniem.

— Herr Pelz — głos dziewczyny brzmiał bardzo łagodnie — jestem Petra. Już mówiłam. Czy pan mnie pamięta?

Starzec przestał mamrotać do siebie, przyjrzał się jej uważniej.

— Jesteś strasznie podobna do Petry-Alexandry, którą kiedyś znałem.

Roześmiała się, cmoknęła go w policzek.

— No tak! To właśnie ja!

Pelz cofnął się, przyłożył dłoń do policzka. Sceptyczny do końca przeniósł spojrzenie na Bourne'a.

— Kim jest ten cholerny nazista? Zmusił cię, żebyś go do mnie przyprowadziła? — Zacisnął dłonie w pięści. — Już ja mu pokażę!

— Nie, Herr Pelz. To mój przyjaciel. Rosjanin. — Przedstawiła go nazwiskiem, które podał jej sam, na które wystawiony był paszport zorganizowany przez Borisa Karpowa.

— Dla mnie Rosjanie nie są lepsi od Niemców — stwierdził Pelz kwaśno.

— W rzeczywistości jestem Amerykaninem posługującym się rosyjskim paszportem — powiedział Bourne najpierw po angielsku, potem po niemiecku.

— Mówi pan świetną angielszczyzną. Jak na Rosjanina — powiedział stary. Doskonale władał tym językiem. Roześmiał się, okazując pożółkłe od wieku i tytoniu zęby. Widok Amerykanina ożywił go, wyrwał z ciągnącej się od dziesięcioleci drzemki. Taki właśnie był: królik wyciągnięty z cylindra tylko po to, by natychmiast wycofać się w cień, człowiek nie tyle szalony, ile żyjący jednocześnie w odpychającej teraźniejszości i tętniącej życiem przeszłości. — Przytulałem do serca Amerykanów, kiedy przybyli uwolnić nas od tyranii — oświadczył z dumą. — W swoim czasie pomagałem im wykurzać nazistów udających, że są dobrymi Niemcami. — Ostatnie słowa wypluł, jakby nie mógł znieść ich smaku w swych ustach.

— Więc co pan tu robi? — zdziwił się Bourne. — Nie ma pan do kąd pójść? Nie ma pan domu?

— Jasne, że mam. — Pelz mlasnął, jakby czuł smak życia swego młodszego wcielenia. — Prawdę mówiąc, mam śliczny dom w Dachau. Niebiesko-biały, z kwiatami przy drewnianym płocie. Z tyłu rośnie czereśnia latem rozpościerająca gałęzie jak skrzydła. Wynajmuje je małżeństwo z dwójką zdrowych dzieciaków, regularnie jak w zegarku płaci za wynajem mojemu bratankowi, który mieszka w Lipsku i jest znanym prawnikiem.

— Herr Pelz, czegoś nie rozumiem — wtrąciła Petra. — Dlaczego nie mieszka pan w swoim domu? Przecież tu nie da się żyć!

— Bunkier to moja polisa ubezpieczeniowa. — Mężczyzna spojrział na nią przekornie. — Masz pojęcie, co by się ze mną stało, gdybym wrócił do domu? Dopadliby mnie nocą, a potem nikt by mnie już nigdy nie zobaczył.

— Kto miałby to zrobić? — zainteresował się Bourne.

Wydawało się, że Pelz rozważał odpowiedź, jakby musiał sobie przypomnieć fragment książki, którą czytał w szkole.

— Mówiłem przecież, że byłem łowcą nazistów. I to cholernie do-
brym. Żyłem sobie jak król czy też, dokładniej mówiąc, książę. No nic,
tak było, zanim poczułem się na tyle pewny siebie, że popełniłem błąd.
Wystąpiłem przeciw Czarnemu Legionowi i ta lekkomyślna decyzja
spowodowała mój upadek. Przez nich straciłem wszystko, nawet zaufa-
nie Amerykanów, którzy w tym czasie potrzebowali tych przeklętych
ludzi bardziej, niż potrzebowali mnie. To Czarny Legion zepchnął mnie
do rynsztoka, jak śmieć, jak parszywego psa. A z rynsztoka już krótka
droga na dno, pod ziemię, gdzie teraz jesteśmy.

— I to właśnie o Czarnym Legionie chciałem z panem porozma-
wiać — powiedział Bourne. — Ja też jestem łowcą. Czarny Legion nie
jest już organizacją nazistowską. Zmienili się w muzułmańską siatkę
terrorystyczną.

Stary Pelz podrapał się po niechlujnej, siwej brodzie.

— Chciałbym powiedzieć, że jestem zaskoczony, ale to nieprawda.
Cholerne sukinsyny wiedziały, jak rozegrać wszystkie partie na wszyst-
kich stolikach: Niemców, Angoli, a przede wszystkim Amerykanów. Po
wojnie zwyczajnie się nimi bawili. Zachodnie służby wywiadowcze po
prostu zasypały ich pieniędzmi. Ślinoły się na myśl o tym, że za żelazną
kurtyną mogą mieć gotową siatkę wywiadowczą. Sukinsynom nie trze-
ba było wiele czasu, by zorientować się, że wygrywa Ameryka. A dla
czego wygrywa? Bo to Amerykanie trzymają w garści forszę i w odróż-
nieniu od Angoli chętnie ją wydają. — Zachichotał. — Amerykański
sposób na życie, nie? — Nie czekał na odpowiedź, w końcu wydawała
się oczywista. Parł przed siebie. — No więc Czarny Legion przylepił
się do maszyny amerykańskiego wywiadu. Najpierw bez większych
problemów przekonał jankesów, że nigdy nie było w nim żadnych nazi-
stów, że przez cały czas chodziło wyłącznie o walkę ze Stalinem. Z tym
Stalinem to akurat prawda, choć nie cała, ale po wojnie pojawiły się nowe

cele. W końcu chodzi o muzułmanów, nie? Ci ludzie nigdy nie pasowali do zachodniego społeczeństwa. Działali z myślą o przyszłości i jak wielu innych rebeliantów gmach swej potęgi zbudowali na fundamencie z amerykańskich dolarów. — Spojrzał na Bourne'a spod oka. — Jesteś Amerykaninem, biedny sukinsynu. Żadna ze współczesnych grup terrorystycznych nie zaistniałaby, gdyby nie pomoc twojego kraju. Pieprzona ironia, nie?

Stary zapomniał, o czym mowa. Zaczął bełkotać, zaśpiewał fragment jakiejś piosenki, tak smutnej, że z jego zaropiałych oczu popłynęły łzy.

— Herr Pelz... — Bourne spróbował naprowadzić go jakoś na właściwą ścieżkę — ...opowiadał pan o Czarnym Legionie.

— Mów mi Virgil. — Pelz skinął głową. Odzyskał kontakt z rzeczywistością. — No właśnie. Noszę chrześcijańskie imię Virgil i dla ciebie, Amerykaninie, uniosę mą lampę tak wysoko, że jej światło padnie na sukinsynów, którzy zmarnowali mi życie. Bo czemu nie? Jestem stary, powinienem komuś o wszystkim opowiedzieć, a tym kimś równie dobrze możesz być ty.

— Są z tyłu, obaj — powiedziała Drew Davisowi Bev, pięćdziesięcioparoletnia, korpulentna, bystra kobieta. Sama siebie nazywała kpiąco, lecz z humorem, „kowbojką Szklanego Pantofelka”, taką, która w potrzebie karze, a w trudnych chwilach jest dobrą mamusią.

— Chodzi głównie o generała, prawda, Kiki? — spytał Davis.

Skinęła głową. Po jej obu stronach stali Soraya i Deron, a wszyscy razem tłoczyli się w ciasnym gabinecie właściciela, do którego wchodziło się z głównej sali, po kilku schodkach. Fale basów i perkusji waliły w ściany niczym pięści rozwścieczonego giganta. Sam gabinet, pozbawiony okien, wyglądał jak poddasze czy wręcz strych, a jego ściany przenosiły obecnych w przeszłość niczym maszyna czasu, wytapetowane zdjęciami Drew z Martinem Lutherem Kingiem, Nelsonem Mandelą,

czterema różnymi prezydentami Stanów Zjednoczonych, mnóstwem hollywoodzkich gwiazd, dygnitarzami ONZ i ambasadorami dosłownie każdego afrykańskiego państwa. Obok nich znajdowały się też jego migawkowe zdjęcia z Kiki w Masai Mara; dziewczyna była na nich swobodna, rozluźniona, prawdziwa rodząca się królowa.

Po odbytej na parkingu rozmowie z Battem Soraya wróciła do stolika i przedstawiła swój plan jej oraz Deronowi. Występujący właśnie zespół grał tak głośno, że nie zdołałby podsłuchać ich nawet ktoś siedzący przy sąsiednim stoliku. Ze względu na wieloletnią przyjaźń to Kiki miała wykrzesać iskierkę, od której zatliłby się lont. Udało się jej i stąd to spotkanie.

— Żebym choć zaczął rozważać twoją prośbę, muszę mieć immunitet in blanco — powiedział Davis, zwracając się do Sorai. — Po drugie, żadnych nazw i nazwisk, chyba że chcesz mnie wkurzyć, a tego z pewnością nie pragniesz. Mnie i połowę pochodzących z wyboru urzędników dystryktu.

— Masz moje słowo. Chcemy tych dwóch, to początek i koniec sprawy.

Drew Davis spojrział na Kiki, która niemal niedostrzegalnie skinęła głową. Następnie skierował pytający wzrok na Bev. Zareagowała natychmiast.

— Oto, co wam wolno, a czego nie wolno. Nie wpuszczę na moje ranczo nikogo, kto nie ma dobrego powodu do odwiedzin, dopuszczalni są wyłącznie goście i pracujące dziewczyny. Jeden wyjątek i koniec, więc nie wyobrażajcie sobie, że wpakujecie się do środka jak gdyby nigdy nic. Raz na to pozwolę i jutro nie ma kwitającego biznesu.

Nawet nie patrząc bezpośrednio na Davisa, Soraya zorientowała się, że aprobująco kiwa głową, i jej serce upadło. Przecież wszystko zależało od dotarcia do generała, i to wówczas, gdy będzie figlował w najlepsze. I nagle wpadła jej do głowy pewna myśl.

— Pójdę jako pracowniczka — powiedziała głośno.

— Nie, nie pójdziesz — odparł Deron bez wahania. — Oni obaj cię znają, i generał, i Feir. Wystarczy im jedno spojrzenie, żeby się przestraszyli na śmierć.

— Mnie nie znają.

Wszyscy obecni odwrócili się jak na komendę i zagapili na Kiki. I tym razem Deron zareagował zdecydowanie.

— Nie ma mowy!

— Spokojnie! — Kiki roześmiała się wesoło. — Nie zamierzam iść na całość. Wystarczy wejść. — Udała, że robi zdjęcia. — Jak się dostać do prywatnego pokoju generała?

— Nijak. Z oczywistych powodów prywatne pokoje są właśnie takie: prywatne. Święte. To nasza kolejna zasada. I generał, i Feir wybrali już sobie partnerki na dziś. — Bev przerwała, postukała palcami w biurko szefa. — Ale jeśli o generała chodzi, może znajdzie się jakiś sposób.

Virgil Pelz poprowadził Bourne'a i Petrę w głąb bunkra. Nieco dalej toporny tunel o nierównych ścianach otwierał się na okrągłą salę. Były tu ławki, mała kuchenka gazowa, lodówka.

— Dobrze, że ktoś zapomniał odłączyć prąd — powiedział Bourne.

— Gówno prawda. Bratanek daje w łapę jakiemuś urzędnikowi, dlatego mam światło. — Stary rozsiadł się na jednej z ławek. Zaoferował im wino albo whisky, ale odmówili. Wypił sam, zapewne po to, żeby się wzmocnić, a może broniło go to przed ześlizgnięciem się z powrotem w mrok? Najwyraźniej lubił towarzystwo, obecność innych pozwalała mu zachować świadomość.

— Większość tego, co ci powiedziałem, znajdziesz w książkach historycznych, wystarczy dobrze poszukać. Ale żeby zrozumieć, jak Czarny Legion osiągnął sukces, po mistrzowsku manewrując na niebezpiecznym, powojennym terenie, trzeba poznać dwóch ludzi: Farida Ikupowa i Ibrahima Sewera.

— Zakładam, że Ikupow, o którym mówisz, to ojciec Siemiona.

Pelz skinał głową.

— No właśnie.

— Ibrahim Sewer miał syna?

— Miał dwóch... ale nie uprzedzajmy wydarzeń. Młasnął wargami, spojrzął na butelkę whisky, ale zrezygnował z kolejnej porcji.

— Farid i Ibrahim byli przyjaciółmi od serca — rozpoczęli opowieść. — Dorastali razem, jedyni synowie w dwóch dużych rodzinach, być może to ich złączyło w dzieciństwie. Ten silny związek trwał przez niemal całe ich życie, ale Ibrahim Sewer był urodzonym wojownikiem, a Farid Ikupow intelektualistą. Ziarna niezgody musiały zostać zasiane wcześniej i padły na żyzną glebę. Podczas wojny wspólne rządy dobrze się sprawdzały: Ibrahim dowodził żołnierzami Czarnego Legionu na froncie wschodnim, Farid stworzył siatkę szpiegowską w Związku Radzieckim i kierował nią osobiście. Problemy powstały po wojnie. Pozbawiony dowództwa oddziałami wojskowymi Sewer zaczął podejrzewać, że jego władza maleje. — Pelz cmoknął. — Postuchaj, Amerykaniu, jeśli uczyłeś się historii, musisz wiedzieć, jak wielcy przyjaciele i sojusznicy Gajusz Juliusz Cezar i Pompejusz Wielki stali się wrogami, zarażeni strachem, ambicjami, podstępami i walką o władzę tych, którzy pozostawali pod ich dowództwem. No więc z tymi dwoma było zupełnie tak samo. Po jakimś czasie Ibrahim przekonał sam siebie, niewątpliwie z pomocą swych co bardziej bojowych doradców, że jego stary, dobry przyjaciel planuje zagarnięcie całej władzy. W odróżnieniu od Cezara, który przebywał w Galii, kiedy Pompejusz wypowiedział mu wojnę, miał Farida pod bokiem, dosłownie w sąsiednim domu. Wraz ze swoimi ludźmi złożył mu więc wizytę, której biedak nie przeżył. Trzy dni później zginął z ręki jego syna, Siemiona, jadąc rano do pracy. Syn Ibrahima, Asher, napadł na Siemiona w monachijskim nocnym klubie. Wywiązała się strzelanina, w której Asher stracił młodszego

brata. — Pelz przesunął dłonią po twarzy. — Widzisz, jak to wygląda, Amerykaninie? Jak antyczna rzymska wendeta. Orgia krwi iście biblijnych rozmiarów.

— Wiedziałem o Siemionie Ikupowie, ale nic o Sewerze — powiedział Bourne z namysłem. — Gdzie w tej chwili przebywa Asher?

Stary wzruszył wątlými ramionami.

— Kto wie? Gdyby wiedział to Ikupow, Asher już dawno by nie żył.

Przez długą chwilę Bourne siedział w milczeniu. Myślał o ataku Czarnego Legionu na profesora i o tych wszystkich zagadkowych drobiazgach gromadzących się od dłuższego czasu: dziwna siatka Piotra, złożona z samych dekadentów i ignorantów, twierdzenie Spectera, że to jego pomysłem było dostarczenie mu planów przez siatkę, pytanie, czy Misza Tarkanian — i sam Arkadin — są członkami Czarnego Legionu, czy nie.

— Virgil, mam do ciebie kilka pytań.

— Tak, Amerykaninie? — Oczy starca były bystre i wyczekujące jak oczy drozda.

Lecz Bourne nadal się wahał. Jego instynkt sprzeciwiał się ujawnieniu obcemu choćby najdrobniejszego szczegółu misji lub jej szerszego kontekstu, nie pozwalało na to szkolenie, które przeszedł. Innego wyjścia jednak nie widział.

— Przyjechałem do Monachium, ponieważ mój przyjaciel, a raczej, powinienem powiedzieć, mentor, prosił mnie o zajęcie się Czarnym Legionem. Po pierwsze dlatego, że ta organizacja planuje atak przeciw mojemu krajowi, po drugie dlatego, że jej przywódca Siemion Ikupow rozkazał zamordować jego syna Piotra.

Pelz spojrział na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

— Asher Sewer budował swoją potęgę na bazie imponującego systemu wywiadowczego, który odziedziczył po ojcu, obejmującego swym zasięgiem Europę i Azję. Odsunął Siemiona. Ikupow nie rządzi

Czarnym Legionem od dziesięcioleci. Gdyby rządził, wątpię, czy ciągle siedziałbym pod ziemią. W odróżnieniu od Ashera z nim można było negocjować.

— Mam rozumieć, że jednego i drugiego znałeś osobiście?

— Jasne. — Stary skinął głową. — Dlaczego pytasz?

Bourne'owi zrobiło się zimno. Musiał wyobrazić sobie niewyobrażalne: czy profesor okłamywał go od samego początku? Ale jeśli tak, jeśli sam był członkiem Czarnego Legionu, czemu powierzył plany ataku nieudolnej, rozpadającej się siatce? Musiał wiedzieć, jak dalece niepewni są jej członkowie. Nic tu nie miało sensu.

Wiedział, że musi rozwiązać ten problem, postępując krok po kroku. Wyjął telefon komórkowy, przewinął zdjęcia, znalazł to, które przysłał mu Specter, przedstawiające Egona Kirscha. Przyjrzał się dwóm widocznym na nim mężczyznom, po czym oddał telefon Pelzowi.

— Rozpoznajesz któregoś z tych ludzi? — spytał. Pelz zmrużył oczy, podszedł do jednej z żarówek.

— Nie... — Zastanowił się, postukał palcem w wyświetlacz. — Nie wiem... wygląda zupełnie inaczej. — Podszedł do Bourne'a, pokazał mu jedną z postaci na fotografii, dla pewności jeszcze raz stuknął palcem. — No, niech mnie diabli! Mógłbym przysiąc, że to jest Asher Sewer.

Rozdział 36

Kiedy po nią przyszli, Peter Marks, szef operacji, siedział w gabinecie Veroniki Hart i wraz z nią przeglądał stopy akt osobistych. Luther LaValle w towarzystwie dwóch szeryfów federalnych przeszedł przez system bezpieczeństwa Centrali Wywiadu gładko i bezproblemowo: miał nakaz aresztowania. Cios padł niemal bez ostrzeżenia, tyle że do Veroniki zdążył zadzwonić strażnik z pierwszego posterunku na dole. Zawodowy świat kobiety zawalił się w jednej chwili, nie miała czasu uniknąć syjących się jej na głowę odłamków.

Zaledwie zdążyła poinformować o wszystkim Marksa, wstać i odwrócić się w stronę drzwi, a cała trójka już stała przed jej biurkiem.

— Veronico Rose Hart — wyrecytował starszy z szeryfów z kamienną twarzą — jest pani aresztowana pod zarzutem spiskowania z niejakim Jasonem Bourne'em, zbuntowanym agentem, w celu pozostającym w sprzeczności z regułami Centrali Wywiadu.

— Na jakiej podstawie?

— Na podstawie zdjęć zrobionych podczas obserwacji prowadzonej przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, ukazujących, jak wręcza pani pakiet wspomnianemu Bourne'owi na dziedzińcu Freer. — Martwy głos szeryfa nie zmienił się nawet odrobinę.

Marks, który także poderwał się na równe nogi, nie wytrzymał.

— Przecież to szaleństwo! — zaprotestował. — Czyżbyście uwierzyli, że...

— Zamknij się — przerwał mu LaValle. Wiedział, że jemu nikt się nie sprzeciwi. — Jeszcze słowo i obiecuję, że spowoduję wszczęcie sprawy przeciwko tobie.

Marks już otwierał usta do odpowiedzi, ale powstrzymało go ostre spojrzenie dyrektorki. Zacisnął zęby, aż zazgrzytały, jego oczy płonęły z furii. Tymczasem Veronica wyszła zza biurka. Młodszy szeryf skuł jej ręce na plecach.

— Czy to naprawdę konieczne... — nie wytrzymał Marks.

LaValle w milczeniu wymierzył w niego palec.

Wyprowadzana Hart powiedziała jeszcze od drzwi:

— Przejmij moje zadania, Peter. Od tej chwili jesteś pełniącym obowiązki dyrektora.

— Nie na długo, jeśli mam na ten temat coś do powiedzenia. — LaValle uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Kiedy wyszli, Marks padł na krzesło. Zorientował się, że ręce mu się trzęsą, więc zacisnął je, jak do modlitwy. Serce biło mu tak mocno, że wręcz przeszkadzało myśleć. Zerwał się z krzesła, podszedł do okna za biurkiem dyrektora, zapatrzył się w waszyngtońską noc. Pomniki były oświetlone, na ulicach i alejach panował normalny ruch, wszystko wyglądało tak, jak powinno wyglądać, a jednak nic nie wydawało się normalne i Peter czuł się tak, jakby nagle przeniósł się do wszechświata alternatywnego. Przecież nie mógł być świadkiem tego, co się zdarzyło, NSA nie może wchłonąć CI w swe gigantyczne cielsko... ale kiedy się odwrócił, gabinet był pusty i dopiero teraz z całą jasnością Marks uświadomił sobie, że dyrektor Hart rzeczywiście została wyprowadzona w kajdankach, że w gabinecie został tylko on. Nogi ugięły się pod nim z przerażenia, bezwładnie opadł na wielki fotel za biurkiem. Uspokoił się po chwili, zaczął myśleć. Musiał coś zrobić, więc najpierw zadzwonił do Stu Golda, prawnika CI.

— Siedź tam i nie ruszaj się. Zaraz będę — powiedział Gold, jak zwykle rzeczowy i spokojny. Czy tego człowieka nic nigdy nie wyprowadziło z równowagi?

Był to tylko pierwszy z długiej kolejki telefonów. Zapowiadała się męcząca noc.

Rodney Feir bawił się jak jeszcze nigdy w życiu. Idąc z Afrykanką do jednego z pokoi z tyłu Szklanego Pantofelka, czuł, że cały świat należy do niego. Prawdę mówiąc, zafundował sobie viagrę i postanowił poprosić dziewczynę o pokazanie kilku sztuczek, których nigdy w życiu nie próbował. Bo i czemu mnie?

Rozbierając się, myślał o informacjach o terenowych agentach Typhona dostarczonych mu przez Petera Marksa wewnętrzną pocztą firmy. Specjalnie o to prosił, nawet nalegał, twierdząc, że droga elektroniczna nie jest wystarczająco pewna. Teraz miał te akta w kieszeni marynarki, gotowe do przekazania Kendallowi, kiedy już będą wychodzić ze Szklanego Pantofelka. Wprawdzie mógł mu je dać wcześniej, w restauracji, uznał jednak, że wszystkie ich dzisiejsze osiągnięcia dobrze uczci wypita na pożegnanie butelka szampana.

Afrykanką czekała na niego w łóżku, wyciągnięta kusząco, sennie, z przymkniętymi wielkimi, pięknymi oczami, lecz gdy do niej dołączył, natychmiast wzięła się do roboty. Próbował się nie zatracić, myśleć o tym, co się dzieje, lecz gdy zorientował się, że zaangażowane jest ciało i tylko ciało, zrozumiał, że nie ma to większego sensu. Przywołał więc te wspomnienia, które czyniły go prawdziwie szczęśliwym, jak choćby wyrolowanie Marksa. Kiedy dorastał, życie obrzydzało mu tacy właśnie Marksowie i, nie ukrywajmy, Battowie, wysportowani intelektualiści górujący nad nim pod każdym względem. To oni mieli fajnych przyjaciół i wszystkie ładne dziewczyny, to oni rozjeżdżali się samochodami, kiedy on mógł sobie pozwolić zaledwie na skuter. Był oferumą, był tęgim, co tu ukrywać: grubym dzieciakiem, z którego kpiono, którym

poniewierano, ulubioną ofiarą wszystkich szkolnych żartów. Mimo wysokiego ilorazu inteligencji, nieśmiały, bełkoczący, nie potrafił nawet błyszczeć na lekcjach.

W CI był tylko biurokratą o dobrze brzmiącym tytule służbowym. Awansował, owszem, ale nie otarł się nawet o pracę w terenie czy kontrwywiad. Nie, zajmował się wsparciem działań terenowych, co oznaczało, że najpierw zbierał, a potem rozdzielał papiery generowane przez ludzi, którym zazdrościł i z którymi tak chętnie zamieniłby się na miejsca. Jego biuro było punktem centralnym, tu docierały zapotrzebowania i środki; były dni, kiedy sam siebie przekonywał nawet, że u niego skupiają się zakończenia nerwowe Centrali, ale przeważnie patrzył na siebie trzeźwo i nie ulegał złudzeniom. Jego zadaniem było przepychanie z miejsca na miejsce papierów, a dokładniej elektronicznych list, formularzy wprowadzania danych komputerowych, zamówień poszczególnych dyrektoriatów, tabel przydziałów i dyslokacji, arkuszy kalkulacyjnych budżetu, formularzy danych osobowych i ocen przydatności na stanowisku, listów przewozowych i magazynowych; prawdziwie oszłamiająca masa papierów grzejących do czerwoności firmowy intranet. Monitor informacji, oto on. Prawdziwy mistrz niczego.

Leżał w kokonie rozkoszy, ciepłe, wilgotne tarcie promieniowało z krocza na uda i piersi. Zamknął oczy i westchnął.

Początkowo bycie anonimowym trybikiem w maszynierii Centrali Wywiadu bardzo mu odpowiadało, ale przez lata i awanse dorobił się uznania wyłącznie Starego, bo to Stary go awansował. Nikt inny, a już z pewnością żaden inny dyrektor nigdy nie powiedział mu ciepłego słowa... póki czegoś nie potrzebował. Wówczas żądanie przylatywało przez cyberprzestrzeń, nim zdążysz powiedzieć: „Na wczoraj”. Jeśli zaspokajał potrzeby na wczoraj, nie działo się nic, nikt nawet nie skinął mu głową na korytarzu, lecz jeśli z jakiegokolwiek powodu nastąpiło jakiegokolwiek opóźnienie, zamawiający rzucali się na niego jak dzieciółki

na drzewo pełne gnieźdzących się w nim korników. Nudzili, męczyli, mordowali go prośbami, póki nie spełnił ich zachcianek... a potem oczywiście cisza. Wyjątkową goryczą napełniało go to, że nawet w takim rajku „swoich” jak Centrala Wywiadu on ciągle był „nie swój”.

Upokarzało go bycie stereotypowym Amerykaninem, któremu raz za razem sypie się w oczy piaskiem. Jakże nienawidził sam siebie za to, że jest chodzącym, oddychającym banałem. Dopiero wieczory spędzane z generałem Kendalllem dały jego życiu barwę, smak i cel: tajne spotkania w saunie, siłowni, kolacje w barach barbecue na peryferiach dystryktu i wreszcie rozkoszne czekoladowe desery w Szklanym Pantofelku, gdzie dla odmiany był tym „swoim”, a nie przechodniem, zagląającym do środka przez okno. Wiedząc, że się nie zmieni, pogodził się z tym, że szczytem będzie zapomnienie w łóżku Afrykanki.

Generał Kendall, palący cygaro w corralu, jak powszechnie nazywano salon, w którym prezentowano klientom dziewczęta, bawił się wyśmienicie. Jeśli w ogóle myślał o szefie, to tylko w kontekście ataku serca, jakiego dostałby niewątpliwie, widząc rozgrywającą się właśnie scenę, jeśli zaś o rodzinę chodzi, nie myślał o niej w ogóle. W odróżnieniu od Feira, który zawsze brał sobie tę samą dziewczynę, Kendall dawał upust różnorodności swych gustów objawiającej się z całą mocą właśnie w Szklanym Pantofelku. Bo i czemu nie, skoro nie miał nic do powiedzenia w żadnej innej dziedzinie życia?

Siedział wygodnie rozparty na fioletowej aksamitnej sofie, z jedną ręką przerzuconą przez oparcie. Zmrużonymi oczami obserwował paradę pięknych ciał. Dokonał już wyboru, dziewczyna była w pokoju, właśnie się rozbierała, ale kiedy pojawiła się Bev i zasugerowała, że może spróbować czegoś niecodziennego, choćby drugiej partnerki dla smaczku, nie wahał się ani przez chwilę. Już miał podjąć decyzję, gdy dostrzegł kogoś doprawdy wyjątkowego. Dziewczyna była niezwykle

wysoka, o skórze barwy najciemniejszego kakao, tak królewska w swej oszałamiającej piękności, że natychmiast zaczął się pocić.

Wzrokiem przywołał Bev. Podeszła natychmiast, doskonale znała jego upodobania.

— Chcę ją — powiedział, wyciągając rękę.

— Obawiam się, że Kiki jest niedostępna.

Ta odpowiedź tylko wzmogła jego pożądanie. Sprzedajna dziwka, znała go aż za dobrze. Pokazał jej pięć studolarówek.

— A teraz?

Bev, w pełnej zgodzie z przyjętymi formami, schowała pieniądze.

— Proszę zostawić to mnie.

Kendall przyglądał się, jak omijając dziewczęta, podchodzi do stojącej nieco z boku królowej. Podczas ich rozmowy serce biło mu jak wojenny bęben. Pocił się tak, że musiał wytrzeć dłoni o aksamitne obicie oparcia sofy. Co robi, jeśli usłyszy „nie”? Ale nie mówiła „nie”, tylko patrzyła na niego przez szerokość corralu z uśmiechem, który podnosił temperaturę o dobrych kilka stopni. Jezu, jak strasznie jej pragnął!

Niczym w transie patrzył, jak podchodzi do niego, kołyszac biodrami, z tym doprowadzającym do szaleństwa półuśmiechem na twarzy. Wstał; zaskoczyło go, że nawet taki drobiazg sprawił mu pewną trudność. Czuł się jak siedemnastoletni prawiczek. Kiki wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją, przerażony, że kobieta poczuje obrzydzenie, jeśli jego dłoni okaże się wilgotna, ale półuśmiech bogini pozostał na miejscu.

Było coś niezwykle przyjemnego w wyrazie zazdrości na twarzach innych dziewcząt i w tym, że pozwolił Kiki prowadzić się wśród nich.

— Który z pokojów jest twój? — spytała głosem słodkim jak miód.

Kendall, wdychający jej ostry, piżmowy zapach, nie mógł wykrzusić nawet słowa. Wskazał kierunek gestem i znów dał się prowadzić jak na smyczy. Stanęli przed drzwiami

— Jesteś pewien, że chcesz mieć dzisiaj dwie kobiety? — Otarła się biodrem o jego biodro. — W zupełności wystarczałam każdemu mojemu mężczyźnie.

Generał poczuł dreszcz rozkoszy, przesuwający się wzdłuż kręgosłupa, wbijający między uda niczym gorąca strzała. Otworzył drzwi. Lena obróciła się w łóżku, naga. Usłyszał, jak drzwi się zamykają. Rozebrał się, nie myśląc, nagi ujął dłoń Kiki, podszedł do łóżka. Klęknął, a kiedy uwolniła swą dłoń, padł na Lenę.

Czuł dotyk królowej na ramionach. Jęknął i pogrzyżył się w dorodnym, podatnym ciele. Rozkosz zwiększało jeszcze oczekiwanie na drugie, smukłe i ciemne. Niemal czuł jego ciepło na plecach.

Nie od razu uświadomił sobie, że następujące po sobie szybko, raz za razem błyski światła nie są produktem zakończeń nerwów wzrokowych. Oszołomiony seksem i pożądaniem powoli odwrócił głowę i jego oczy ostrzelała bateria kolejnych błysków. Nawet teraz, choć walczył z powidokiem tańczącym na siatkówce, jego oszołomiony mózg nie potrafił poskładać odbieranych informacji, zdefiniować tego, co się dzieje; jego ciało nadal poruszało się w rytmie narzuconym przez doświadczony ciało Leny.

Kolejny błysk. Kendall uniósł głowę, osłonił oczy i stanął twarzą w twarz z surową rzeczywistością. Kiki, w pełni ubrana, robiła mu zdjęcie za zdjęciem.

— Uśmiech, generale — powiedziała tym swoim słodkim, zmysłowym głosem. — Nic innego panu nie pozostało.

— Jest we mnie za wiele gniewu. To jak jedna z tych rozkładających ciało chorób, o których ciągle się czyta.

— Dachau służy ci... jak trucizna. Monachium też — zauważył Bourne. — Musisz wyjechać.

Petra przejechała na lewy pas autostrady, ostro dodała gazu. Wracali do Monachium samochodem, który kupił Pelzowi jego bratanek, na

własne nazwisko. Policja zapewne nadal szukała zarówno Jasona, jak i Petry, ale ich jedynym tropem było mieszkanie dziewczyny w Monachium, do którego nie mieli zamiaru się zbliżyć. Bourne uznał, że jak długo nie wysiądzie z samochodu, w miarę bezpiecznie może go odwiedzić do miasta.

— Niby dokąd?

— Za granicę. Opuść Niemcy. Roześmiała się; nie był to przyjemny dźwięk.

— Ogon pod siebie i w nogi, co?

— Dlaczego tak to odbierasz?

— Dlatego, że jestem Niemką. To jest moje miejsce na ziemi.

— Szuka cię monachijska policja.

— I jeśli mnie złapie, odsiedzę, ile trzeba, za zabicie twojego przyjaciela. — Błysnęła światłami, spędzając z pasa wolniejszy samochód. — Na razie mam pieniądze. Mogę żyć.

— I co będziesz robiła?

Petra uśmiechnęła się krzywo.

— Zamierzam zająć się Virgilem. Powinien przestać pić. Potrzebuje przyjaciela. — Byli już blisko miasta, ustawiła się do zjazdu z autostrady. — Gliny mnie nie znajdą — dodała tak pewnie, że zabrzmiało to nieco dziwnie. — Zabiorę go daleko stąd. Będziemy współczesnymi banitami uczącymi się zupełnie nowego życia.

Egon Kirsch mieszkał w północnej dzielnicy Schwabing, znanej też pod nazwą „dzielnicę młodych intelektualistów” ze względu na ogromną liczbę studentów, których pełno było na ulicach, w kawiarniach i barach. Gdy znaleźli się blisko głównego placu, Petra zatrzymała samochód.

— Kiedy byłam młodsza — powiedziała — często przychodziłam tu z przyjaciółmi. Byliśmy wtedy wszyscy strasznie bojowo nastawieni, agitowaliśmy za zmianami i czuliśmy się związani z tym miejscem, bo to właśnie stąd Freiheitsaktion Bayer, jedna z najsłynniejszych grup ruchu oporu, przejęła pod koniec wojny Radio Monachium. Nadawali

wezwania do ludności, by wyłapała i aresztowała wszystkich lokalnych przywódców nazistów i na znak sprzeciwu wobec reżimu wywiesiła z okien białe flagi; nawiasem mówiąc, za coś takiego groziła kara śmierci.

— Wreszcie znaleźliśmy w Monachium coś, z czego nawet ty możesz być dumna — zauważył Bourne.

— Chyba tak. — Petra roześmiała się niemal smutno. — Ale z nich wszystkich tylko ja pozostałam rewolucjonistką, a oni rządzą korporacjami albo są kurami domowymi. Mają smutne, szare życia. Spotykam ich czasami, jak idą do pracy albo z niej wracają. Kiedy się mijamy, nawet nie podnoszą głowy. Muszę powiedzieć, że bardzo mnie rozczarowali.

Mieszkanie Kirscha znajdowało się na najwyższym piętrze pięknego domu: stiuki w kolorze kamienia, łukowate okna, dach z płytek terakoty. W niszy pomiędzy dwoma oknami umieszczona była figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Petra zaparkowała na chodniku przed wejściem.

— Życzę ci dobrze, Amerykaninie — powiedziała, z rozmysłem używając słów Virgila Pelza. — I dziękuję... za wszystko.

— Możesz mi nie wierzyć — odparł Bourne, wysiadając — ale bardzo pomogliśmy sobie nawzajem. Powodzenia.

Odczekał, aż odjedzie, odwrócił się, wszedł po schodach i otworzył drzwi, używając kodu, który przekazał mu Kirsch. Wewnątrz dom sprawiał wrażenie eleganckiego, a przede wszystkim niepokalanie wręcz czystego; parkiet wyłożonego boazerią holu lśnił, świeżo wywoskowany. Wszedł rzeźbionymi, drewnianymi schodami na najwyższe piętro, otworzył drzwi kluczem gospodarza.

Choć mieszkanie było jasne, przestronne, z szeregiem wychodzących na ulice okien, królowała w nim cisza, jakby znajdowało się na dnie oceanu. Nie było tu telewizora ani komputera. Całą ścianę pokoju dziennego zajmował regał, na którym stały tomy Nietzschego, Kanta, Kartezjusza, Heideggera, Leibniza i Machiavellego, a także dzieła wielu wybitnych matematyków, biografów, powieściopisarzy,

ekonomistów. Pozostałe pokryte były oprawionymi, wiszącymi jeden obok drugiego rysunkami piórkiem, tak szczegółowymi i skomplikowanymi, że na pierwszy rzut oka wydawały się planami architektonicznymi, a potem, nagle, stawały się rozpoznawalne jako abstrakcje. Jak wszystkie dzieła prawdziwej sztuki istniały one w dwóch planach — rzeczywistości i jakiegoś innego, wymyślanego świata, gdzie wszystko jest możliwe.

Bourne obejrzał wszystkie pokoje, następnie usiadł za biurkiem. Długo, w skupieniu, rozważał zagadkę Dominica Spectera. Czy profesor jest, jak sam twierdzi, nemezis Czarnego Legionu, czy Asherem Sewerem, jego członkiem? Jeśli jest Sewerem, zaaranżował zamach na samego siebie; skomplikowany plan, którego realizacja kosztowała życie kilku osób. Czy jest winien temu irracjonalnemu wyczynowi? Jako przywódca Legionu, możliwe. Drugie pytanie, które zadał sobie Jason, brzmiało: dlaczego Specter powierzył ukradzione plany skrajnie nieodpowiedzialnym ludziom z siatki Piotra? Kryła się w rym kolejna tajemnica: jeśli jest Sewerem, dlaczego tak bardzo pragnie je dostać? Przecież powinien już nimi dysponować. Próbował podejść do problemu z każdej strony, nie potrafił jednak znaleźć rozwiązania. W sytuacji, w której się znalazł, wszystko wydawało się bez sensu, a to oznaczało, że brakuje mu najważniejszych fragmentów obrazu. A jednak bardzo poważnie podejrzewał, że — jak w przypadku dzieł Kirscha — stoi w obliczu dwóch rzeczywistości. Gdyby tylko umiał odróżnić tę prawdziwą od fikcyjnej.

Nie doszedłszy do niczego, wrócił pamięcią do wydarzenia, które niepokoiło go od czasu incydentu w Muzeum Egipskim. Wiedział, że do muzeum wszedł za nim tylko Franz Jens, więc skąd, do diabła, Arkadin wiedział, gdzie go znaleźć? Bo przecież Jensa zabił on, nikt inny. I to on rozkazał zabić Egona Kirscha, więc znów... skąd wiedział, gdzie jest Kirsch?

Odpowiedzi na oba pytania musiały pozostawać w bezpośrednim

związku z miejscem i czasem. Jeśli nie śledzono go w drodze do muzeum, to... Bourne zmarł. Nagle zrobiło mu się zimno. Jeśli nie fizyczny, to musi ciągnąć za sobą elektroniczny ogon. Lecz... kiedy i jak go umieszczono? No, zawsze ktoś mógł się o niego otrzeć na lotnisku. Wstał, rozebrał się powoli. Sprawdził każdą sztukę ubrania osobno. Nie znalazł niczego niezwykłego, więc ubrał się, usiadł i przywołał na pomoc zasoby swej ejdetycznej pamięci. Wspominał lot z Moskwy do Monachium, krok po kroku. Tak, podczas przeprawy na lotnisku na blisko pół minuty stracił kontrolę nad paszportem. Wyjął go z kieszeni na piersiach, powoli przewracał kartki, badając każdą z nich wzrokiem i dotykiem. I na trzeciej stronie okładki, tuż przy grzbiecie, znalazł małeńki nadajnik.

Rozdział 37

— Jak to cudownie móc odetchnąć powietrzem nocy na otwartej przestrzeni — powiedziała Veronica Hart zaraz po wyjściu z budynku Pentagonu.

— Zwłaszcza dymem diesli, choć nie tylko — dodał Stu Gold.

— Wiedziałam, że oskarżenia LaValle'a się nie utrzymają— prychnęła Veronica w drodze do samochodu. — Pusta gadanina, nikt nie da się na to nabrać.

— Ze świętowaniem jeszcze bym poczekał — ostrzegł ją prawnik. — LaValle oficjalnie poinformował mnie, że jutro przedstawi prezydentowi zdjęcia z prowadzonej przez NSA obserwacji, ukazujące ciebie i Bourne'a, i zażąda, by dekretem usunięto cię ze stanowiska.

— Daj spokój, Stu. Chodziło o prywatne rozmowy Martina Lindrosa i cywila, Moiry Trevor. Nic wielkiego. LaValle podpira się nadętą gadaniną.

— Ma po swojej stronie sekretarza obrony. W twojej sytuacji samo to wystarczy, żeby narobić kłopotów.

Powiał wiatr, Veronica odgarnęła włosy z twarzy.

— Wtargnął do nas, wyprowadził mnie w kajdankach... popełnił wielki błąd, robiąc takie przedstawienie. — Odwróciła się, przyjrzała

siedzibie NSA, gdzie była więziona przez trzy godziny, aż do pojawienia się Golda z wyrokiem sędziego nakazującym jej warunkowe zwolnienie. — Zapłacił za to, że chciał mnie upokorzyć.

Prawnik otworzył drzwiczki, niemal siłą wepchnął ją do samochodu.

— Nie rób nic bez zastanowienia — poprosił. — Jak znam LaValle'a, chce, żebyś wystąpiła przeciw niemu nieprzygotowana. Właśnie tak popełnia się fatalne w skutkach błędy.

Usiadł za kierownicą. Ruszyli. Hart kontynuowała rozmowę.

— Nie możemy pozwolić, żeby uszło mu to na sucho, Stu. Jeśli go nie zatrzymamy, porwie nam Centralę sprzed nosa. — Wjechali na Arlington Bridge. Przez chwilę w milczeniu patrzyła, jak noc wirginijska ustępuje miejsca miejskiej. Przed sobą mieli pomnik Lincolna. — Obejmując stanowisko, złożyłam przysięgę.

— Jak wszyscy dyrektorzy.

— Nie. Myślę o osobistej przysiędze.—Zaprzagnęła zobaczyć Lincolna, siedzącego w swym fotelu, kontemplującego czekającą każdego z nas, nieznaną przyszłość. Poprosiła Golda, żeby się zatrzymał. —Nie powiedziałam tego nikomu, ale kiedy oficjalnie zostałam dyrektorką Centrali, poszłam na grób Starego. Odwiedziłeś kiedyś Narodowy Cmentarz w Arlington? To miejsce powagi, ale w pewien sposób także radości. Tylu bohaterów, tyle odwagi... opoka naszej wolności, wolności każdego z nas.

Samochód zatrzymał się przed pomnikiem. Wysiedli, podeszli do oświetlonej, majestatycznej granitowej statui, zapatrzili się w poważną, mądrą twarz prezydenta. Ktoś położył mu u stóp bukiet kwiatów, teraz, wyschnięte, kołysały się na wietrze.

— Długo siedziałam przy jego grobie — mówiła dalej Veronica, cicho, z namysłem. — Przysięgam, że czułam jego obecność. I że coś się poruszało, najpierw obok mnie, potem we mnie. — Obróciła się, spojrzała na prawnika. — CI ma długą, chwalebłą historię, Stu. I wspinała tradycję. Przysięgłam wówczas i przysięgam teraz, że nie pozwolę nikomu i niczemu skazić tej tradycji. — Odetchnęła głęboko. — Za żadną cenę.

Gold odpowiedział jej nieruchomym wzrokiem.

— Wiesz, o co prosisz?

— Tak. Sądzę, że tak.

— A więc — powiedział prawnik po długiej chwili milczenia — w porządku. Ty decydujesz. Za żadną cenę.

Pełen energii, czując się niezwykcieżony po sesji wymagających, lecz jakże przyjemnych ćwiczeń fizycznych, Rodney Feir spotkał się z generałem Kendalllem w sali szampańskiej zarezerwowanej dla VIP-ów, którzy przyjemności łoża mieli już za sobą, a chcieli jeszcze posiedzieć sami lub w towarzystwie dziewcząt. Za spędzony z nimi czas płaciło się oczywiście znacznie więcej.

Salę urządzono w stylu pokoju środkowowschodniego paszy. Mężczyźni siedzieli na puchatych poduszkach, częstowani szampanem, którego sobie wybrali. To tu z rąk do rąk miały przejść akta agentów terenowych Typhona, ale Feir zamierzał nacieszyć się przedtem luksusem dostarczanym klientom w tylnych pokojach Szklanego Pantofelka. Przecież gdy tylko postawi stopę na chodniku przed wejściem, rzeczywisty świat spadnie mu na łeb, irytujący, lekceważący, upokarzający, szary i przyprawiony strachem, poprzedzającym każdy ruch, który miał poprawić pozycję LaValle'a jako przeciwnika Centrali Wywiadu.

Kendall, ściskając w garści telefon komórkowy, siedział sztywno, jak przystało na żołnierza; Feir pomyślał nawet, że w tak wykwinnym miejscu może czuć się niepewnie. Przez chwilę rozmawiali o tym i owym; popijali szampana, wymienili poglądy na temat sterydów, baseballu, szans Redskinów na przyszłoroczne play-off, skoków na giełdzie... dyskutowali o wszystkim z wyjątkiem polityki.

Kiedy butelka szampana była już niemal pusta, Kendall zerknął na zegarek.

— Co dla mnie masz?

Na te właśnie słowa czekał z utęsknieniem Feir. Pilno mu było zobaczyć wyraz twarzy generała, kiedy zorientuje się, jakie to materiały

wywiadowcze trafiły w jego ręce. Sięgnął do kieszeni ukrytej w podszewce marynarki, wyjął pakiet. Zwykły wydruk był najbezpieczniej-
szym sposobem wyniesienia danych z budynku Centrali, jako że system
bezpieczeństwa wykrywał każde urządzenie z twardym dyskiem wy-
starczająco dużym, by zmieściła się na nim znacząca ilość danych.
Uśmiechnął się szeroko.

— Oto komplecik — powiedział z dumą. — Jest tu każdy, nawet
najdrobniejszy szczegół, wszystko o wszystkich agentach Typhona na
całej Ziemi. — Wyciągnął rękę do generała. — A teraz porozmawiajmy
o tym, co dostanę w zamian.

— A czego chcesz? — W głosie Kendalla nie słyszało się przesad-
nego entuzjazmu. — Wyższego stopnia? Więcej władzy?

— Chcę szacunku! Chcę, żeby LaValle szanował mnie, tak jak ty
mnie szanujesz.

Generał uśmiechnął się dziwnie.

— Nie mogę mówić za Luthera, ale zobaczę, co da się zrobić.

Pochylił się po pakiet. Dopiero teraz Feir zastanowił się, dlaczego
jest taki uroczysty, nie, gorzej, po prostu ponury. Już miał go o to zapy-
tać, kiedy wysoka, elegancka Murzynka zaczęła im robić zdjęcia.

— Co, do diabła! — wykrztusił oślepiany błyskami lampy. Kiedy
odzyskał wzrok, pierwszym, co zobaczył, była stojąca obok nich Soraya
Moore. I to ona trzymała w ręku jego dane.

— To nie jest twój najszczęśliwszy dzień, Rodney. — Z tymi sło-
wami odebrała generałowi telefon komórkowy, wcisnęła klawisz. Na-
grana była cała ich rozmowa, każdy mógł dowiedzieć się z niej, kto
zdradzał kogo, jak i dlaczego. — Gorzej. Powiedziałabym, że biorąc
pod uwagę wszystko, co tu zaszło, to jest twój ostatni dzień.

— Nie boję się śmierci — powiedziała Dewra, odgryzając kawałek
czekoladowego lodu, którego kupił jej przed chwilą. — Jeśli to cię mar-
twi.

— Nic mnie nie martwi — odparł Arkadin. — Twoim zdaniem jestem zmartwiony?

— Masz tę głęboką zmarszczkę między oczami.

Marzyła o lodzie, chociaż był środek zimy. A może chodziło jej o czekoladę? — zastanowił się Arkadin. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia, sprawianie jej przyjemności w drobiazgach było dziwnie satysfakcjonujące, jakby radując ją, radował także sam siebie, choć to ostatnie wydawało mu się akurat niemożliwe.

— Nie jestem zmartwiony. Jestem cholernie wkurzony.

— Bo twój szef kazał ci trzymać się z dala od Bourne'a.

— Nie zamierzam trzymać się z dala od Bourne'a.

— No to wkurzysz szefa.

— Czasami trzeba. — I Arkadin przyspieszył kroku.

Znajdowali się w centrum Monachium, czyli dokładnie tam, gdzie chciał się znajdować, kiedy Ikupow zadzwonił do niego z informacją, gdzie spotyka się z Amerykaninem. Na miejscu spotkania musi znaleźć się jak najszybciej.

— Nie boję się śmierci — powtórzyła dziewczyna. — Tylko nie wiem, jak to jest, kiedy już nic nie pamiętasz.

— Co? — Leonid spojrzał na nią dziwnie.

— Kiedy patrzysz na trupa, co widzisz? — Znów odgryzła kawałek lodu, zostawiając na kulce ślad zębów. — Nic, prawda? Ni cholery. Życie dało nogę wraz ze wszystkimi wspomnieniami. Zbieranymi przez lata. — Spojrzała mu w oczy. — Giną wspomnienia, przestajesz być człowiekiem... i kim zaczynasz być?

— A kogo to, kurwa, obchodzi? To pieprzona ulga nic nie pamiętać.

Soraya podjechała pod bezpieczny dom NSA tuż przed dziesiątą rano, zdążyła więc bez pośpiechu przejść wszystkie poziomy zabezpieczeń i stawiała się w bibliotece dokładnie o czasie.

— Śniadanie, proszę pani? — spytał Willard, prowadząc ją po miękkim dywanie.

— Dziś chętnie. Omlet z ziołami poproszę. Macie bagietki?

— Oczywiście, proszę pani.

— Doskonale. — Przełożyła pogrążające Kendalla dowody z ręki do ręki. — I cejlońską herbatę, Willard.

Podeszła do stolika, przy którym czekał już na nią LaValle popijający poranną kawę i przyglądający się cynicznym wzrokiem wczesnowiosennemu krajobrazowi za oknem. Było ciepło, po ogniu w kominku pozostał tylko biały popiół. Mężczyzna się nie odwrócił, kiedy siadała Soraya położyła akta na kolanach.

— Przyszedłam zabrać Tyrone'a do domu — powiedziała bez wstępu.

Zignorował jej słowa, jakby ich nie słyszał.

— Nie ma żadnych danych o tym twoim Czarnym Legionie, nie ma informacji o jakiejś niezwyklej aktywności wśród grup terrorystycznych w Stanach. Niczego nie znaleźliśmy.

— Mam to powiedzieć jeszcze raz? Zabieram Tyrone'a.

— Nikogo nie zabierzesz.

Wyjęła telefon komórkowy Kendalla, odegrała rozmowę, którą przeprowadził z Feirem w pokoju szampańskim Szklanego Pantofelka.

„Jest tu każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, wszystko o wszystkich agentach Typhona na całej Ziemi — rozległ się głos Feira. — A teraz porozmawiajmy o tym, co dostanę w zamian”. I odpowiedź Kendalla: „A czego chcesz? Wyższego stopnia? Więcej władzy?”. „Chcę szacunku! Chcę, żeby LaValle szanował mnie, tak jak ty mnie szanujesz” — to znowu Feir.

— Kogo to obchodzi? — LaValle odwrócił się wreszcie od okna. Wzrok miał nieruchomy, mroczny, szklany. — To on ma problem, nie ja.

— Może. — Soraya podsunęła mu akta. — Ale z tym ty będziesz miał problem, nie on.

Przyglądał się jej przez chwilę spojrzeniem groźnym, jadowitym. Nie spuszczać wzroku, wziął akta, otworzył je i pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to zdjęcie generała Kendalla, nagiego jak grzech, uprawiającego seks z ciemnoskórą kobietą. Takich zdjęć było znacznie więcej.

— No i jak będzie wyglądał zawodowy oficer, głęboko wierzący chrześcijanin, obnoszący się ze swą miłością do rodziny, kiedy ta sprawa wyjdzie na jaw?

Pojawił się Willard ze śniadaniem, rozłożył wykrochmalony obrus, rozstawił porcelanę i srebra w doskonale precyzyjny wzór, a kiedy skończył, spytał: „Co dla pana, sir?”. LaValle odesłał go niecierpliwym gestem. Przez długą chwilę, w milczeniu, po raz kolejny przeglądał zdjęcia, po czym wyjął telefon komórkowy i przesunął go ku Sorai.

— Zadzwoń do Bourne’a — powiedział spokojnie. Zamarta z widelcem w pół drogi do ust.

— Przepraszam, nie zrozumiałam.

— Wiem, że jest w Monachium, nasz pododdział terenowy w tym mieście wyłapał go na telewizyjnym systemie bezpieczeństwa lotniska. Mam już na miejscu ludzi, którzy go zatrzymają. Wystarczy, że zatrzaśniesz pułapkę.

Soraya odłożyła widelec. Roześmiała się.

— Żyjesz w świecie marzeń, LaValle. To ja dorwałam ciebie, a nie ty mnie. Jeśli te zdjęcia ujrzą światło dzienne, twój najbliższy współpracownik, prawa ręka, zostanie zniszczony. Osobiście i zawodowo. Oboje wiemy, że nie możesz do tego dopuścić.

Luther LaValle zabrał zdjęcia, włożył je do koperty, a następnie wyjął wieczne pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki i napisał na niej adres. Przywołał Willarda.

— Zeskanuj to — powiedział, wręczając mu kopertę — i poślij drogą elektroniczną do „The Drudge Report”. Potem niech kurier dostarczy je do „The Washington Post”. Najszybciej jak to będzie możliwe.

— Doskonale. — Willard wsadził kopertę pod pachę i znikł w którymś z zakamarków biblioteki. LaValle wyjął telefon komórkowy, wybrał połączenie lokalne.

— Gus? To ja, tak, Luther. Doskonale, doskonale. Jak Ginnie? Świetnie, pozdrów ją ode mnie, dobrze? Dzieci też... Słuchaj, Gus, mam do ciebie taką sprawę. Otóż pojawiły się dowody w sprawie generała Kendalla, tak, od kilku miesięcy prowadzone było przeciw niemu wewnętrzne dochodzenie. Został zwolniony spod mojego dowództwa w trybie natychmiastowym. Wywalony z NSA. Cóż, sam zobaczysz, posłaniec jest już w drodze, wysłałem go, nim zadzwoniłem. Wyłącznie? No przecież, Gus. Komentarz? Jestem wstrząśnięty, naprawdę. Wstrząśnięty. Tobą też wstrząsną te materiały. Oficjalne oświadczenie dostaniesz w ciągu czterdziestu minut. Tak, oczywiście. Nie musisz mi dziękować, nie od dziś jesteś pierwszy na mojej liście.

Soraya przyglądała się temu przedstawieniu, czując mdłości. Żołądek zacisnął się jej w zimną kulę wielkości góry lodowej. Nie wierzyła własnym zmysłom.

— Jak mogłeś! — powiedziała, kiedy LaValle skończył rozmowę. — Przecież Kendall to twój zastępca, przyjaciel. Wasze rodziny co niedziela chodzą razem do kościoła!

— Nie mam przyjaciół ani sojuszników, tylko interesy. Gdybyś to rozumiała, byłabyś znacznie lepszym dyrektorem, niż jesteś.

Nie pozostało jej nic innego, niż wyjąć inny zestaw fotografii, na których Feir przekazywał Kendallowi akta.

— To szczegółowe dane o liczebności i rozlokowaniu agentów terenowych Typhona.

LaValle przyglądał się jej z niezmierzoną pogardą.

— A co ja mam z tym wspólnego? — spytał.

Soraya znów zdumiała się bezgranicznie.

— Jak to? Twój zastępca wchodzi w posiadanie tajnych materiałów wywiadowczych CI...

— W tej sprawie powinnaś się zwrócić do twych własnych ludzi.

— Więc zaprzeczasz, że polecisz generałowi Kendallowi opiekę nad kretem?

— Oczywiście.

Ta odpowiedź dosłownie odebrała jej oddech.

— Nie wierzę.

Uśmiechnął się lodowato.

— Nie ma znaczenia, w co pani wierzy albo nie wierzy, pani dyrektor. Liczą się wyłącznie fakty. — Lekceważąco pchnął zdjęcia palcem. — Cokolwiek robił generał Kendall, robił to na własny rachunek. Ja nic o tym nie wiem.

Soraya nie miała pojęcia, jak sprawy mogły pójść aż tak źle.

LaValle znów podsunął jej telefon.

— A teraz dzwoń do Bourne'a — polecił.

Czuła się tak, jakby na jej piersi zaciskała się stalowa obręcz. Szum krwi w uszach zagłuszał wszystko. Co teraz? — pomyślała z rozpaczą. Dobry Boże, co mam zrobić?!

Słyszała, jak ktoś pyta jej głosem:

— Co mam mu powiedzieć?

LaValle podał jej kartkę z zapisanymi godziną i adresem.

— Ma być o tej porze w tym miejscu — nakazał. — Powiedz mu, że jesteś w Monachium, że masz ważne informacje dotyczące ataku Czarnego Legionu i że musi sam je zobaczyć.

Wytarła spoconą rękę o serwetkę.

— Nabierze podejrzeń, jeśli nie skorzystam z mojego telefonu. Może nawet nie przyjąć rozmowy, bo przecież nie będzie wiedział, że to ja.

Skinął głową, lecz kiedy wyjęła swoją komórkę, ostrzegł:

— Będę słuchał każdego słowa. Jeśli spróbujesz go ostrzec, obiecuję, że twój przyjaciel Tyrone nie opuści tego budynku żywy.

Przytaknęła, ale siedziała nieruchomo. LaValle obserwował ją niczym żabę, której za chwilę będzie się robiło sekcję.

— Wiem, że tego nie chcesz — powiedział. — Wiem nawet, jak bardzo tego nie chcesz. Ale zadzwonisz do Bourne'a, zastawisz dla mnie pułapkę, ponieważ jestem silniejszy od ciebie. Rozumiem przez to silniejszą wolę. Zawsze dostaję to, czego chcę, droga pani dyrektor, bo

jestem gotów zapłacić każdą cenę. Ty nie. Tobie za bardzo zależy na długiej karierze w wywiadzie. Jesteś skazana na przegraną i dobrze o tym wiesz.

Soraya przestała go słuchać po pierwszych kilku słowach. Doskonale świadoma tego, że przyrzekała sobie przejąć kontrolę nad sytuacją, jakimś cudem obrócić klęskę w zwycięstwo, rozpaczliwie próbowała uporządkować sytuację. Krok po kroku, powtarzała sobie. Muszę oczyścić umysł, nie pamiętać w tej chwili o Tyronie, o klęsce rozgrywki z Kendallem, o tym, że to ja jestem wszystkiemu winna. Muszę myśleć o rozmowie, o tym, jak zadowolić LaValle'a, a jednocześnie uchronić Bourne'a przed pojmaniem.

Wydawało się to celem nie do osiągnięcia, ale o tym nie wolno jej już było myśleć. Przekonanie o klęsce nie prowadzi do zwycięstwa. Tylko... co teraz?

Milczenie przerwał LaValle.

— Po rozmowie pozostaniesz tu pod stałym nadzorem aż do momentu ujęcia Bourne'a.

Świadoma jego głodnego wzroku, którego od niej nie odrywał, czując się z tym źle, wybrała numer, a kiedy usłyszała znajomy głos, powiedziała:

— Cześć, to ja, Soraya.

Bourne odebrał rozmowę w mieszkaniu Egona Kirscha, wyglądając przez okno na ulicę. Widział ukazujący się na wyświetlaczu numer jej telefonu, słyszał, jak mówi: „Cześć, to ja, Soraya”.

— Gdzie jesteś? — spytał.

— W tej chwili właśnie tu. W Monachium.

Przysiadł na poręczy tapicerowanego krzesła.

— W tej chwili? W Monachium?

— Przecież powiedziałam.

Zmarszczył brwi. W jego głowie krążyły echa głosów dobiegających gdzieś z daleka.

— Jestem zaskoczony.

— Nie tak jak ja. Złapałeś się w naszą sieć na lotnisku.

— Na to nic nie można poradzić.

— Oczywiście. W każdym razie nie przyjechałam tu oficjalnie, z misją Centrali. Kontynuowaliśmy monitorowanie komunikacji Czarne-go Legionu i wreszcie mamy przełom.

Bourne poderwał się na równe nogi.

— Jaki?

— To nie jest bezpieczna linia. Powinniśmy się spotkać. — Podąła mu godzinę i adres. Spojrzał na zegarek.

— Czyli za niewiele ponad godzinę?

— No właśnie. Zdążę, nie ma sprawy. A ty?

— Powinno mi się udać. No to do zobaczenia.

Schował telefon. Podszedł do okna, oparł się o ramę. Powtarzał rozmowę w pamięci słowo po słowie. Miał wrażenie, że nagle coś się przesunęło i znalazł się poza ciałem, doświadczając czegoś, co zdarzyło się komuś innemu. Jego umysł, rejestrując sejsmiczny wstrząs neuronów, toczył walkę z pamięcią. Bo Jason wiedział, że prowadził już kiedyś tę rozmowę, ale choćby jego życie od tego zależało, nie potrafił sobie przypomnieć kiedy i gdzie, i jakie mogła mieć dla niego znaczenie.

Byłby trwał pogrążony w jałowych myślach, gdyby nie to, że na dole odezwał się dzwonek. Bourne odwrócił się od okna, przeszedł przez pokój, wcisnął przycisk zwalniający zamek. Przeszedł wreszcie czas na spotkanie twarzą w twarz z Arkadinem, legendarnym płatnym mordercą, zabójcą zabójców, umiejącym wślizgnąć się do rosyjskiego więzienia pod specjalnym nadzorem i uciec z niego niezauważony, zdolnym wyeliminować Piotra i całą jego siatkę.

Usłyszał pukanie do drzwi. Trzymając się z daleka od wizjera w drzwiach i samych drzwi, otworzył je, stojąc przy ścianie. Nikt nie strzelił, nie prysnęły w powietrze drewniane drzazgi i odłamki metalu. Drzwi otworzyły się do wewnątrz i stanął w nich drobny, elegancki mężczyzna o ciemnej skórze i brodzie jak łopata.

— Obróć się — powiedział Bourne.

Gość, trzymając ręce tak, by cały czas pozostawały na widoku, odwrócił się i spojrzął mu w oczy.

Siemion Ikupow.

— Bourne — powiedział tylko.

Jason pokazał mu paszport otwarty na ostatniej stronie. Ikupow skinął głową.

— Rozumiem. A więc tu zabijesz mnie na życzenie Dominica Spectera?

— Raczej Ashera Sewera.

— Ojej! Nici z niespodzianki. — Rosjanin się uśmiechnął. — Przyznaję, że jestem wstrząśnięty. Niemniej gratuluję panu, panie Bourne. Dotarł pan do wiedzy, której nie ma nikt inny. W jaki sposób, to dla mnie prawdziwa tajemnica.

— I niech tak pozostanie.

— Oczywiście. To bez znaczenia. Cieszę się tylko, że nie będę musiał tracić czasu na przekonywanie pana, że został pan wykorzystany. Skoro poznał się pan na kłamstwach Sewera, możemy od razu przejść do kolejnego etapu.

— Skąd wiara, że pana wysłucham, cokolwiek ma pan do powiedzenia?

— Wie pan, że go okłamywano, a więc zna pan współczesną historię Czarnego Legionu. Wie pan, że byliśmy kiedyś jak bracia, i zna głębię wrogości, która nas dzieli. Bo jesteśmy wrogami, on i ja. Istnieje tylko jeden sposób zakończenia wojny. Nietrudno to zrozumieć.

Bourne milczał.

— Pragnę pomóc panu w powstrzymaniu tych ludzi przed atakiem na pański kraj, czy to jasne? — Ikupow wzruszył ramionami. — Oczywiście ma pan prawo do sceptycyzmu, w każdym razie ja byłbym sceptyczny na pana miejscu. — Wsunął lewą rękę pod płaszcz, bardzo powoli, odchylił poję, ukazując podszewkę. Wycięta w niej kieszeń nie była bynajmniej pusta. — Być może, w trosce o uniknięcie niepożądanych zdarzeń, powinien pan przyjrzeć się temu, co tu mam.

Jason się pochylił, zabrał Rosjaninowi SIG-sauera, którego nosił on za paskiem spodni, następnie wyjął z kieszeni pakiecik. Otwierał go, gdy Ikupow powiedział:

— Odebranie tego śmiertelnemu wrogowi kosztowało mnie wiele trudu.

Bourne trzymał w ręku plany Empire State Building. Oderwał od nich wzrok i zobaczył, że Ikupow przygląda mu się uważnie.

— A więc to jest cel ataku Czarnego Legionu. Wie pan, kiedy ma nastąpić?

— Rzeczywiście, wiem. — Rosjanin spojrział na zegarek. — Za trzydzieści trzy godziny i dwadzieścia sześć minut. Dokładnie.

Rozdział 38

Kiedy Stu Gold wprowadzał do jej gabinetu generała Kendalla, Veronica Hart oglądała „The Drudge Report”. Siedziała przed biurkiem, monitor obróciła w stronę wejścia, tak że pierwsze, co zobaczył generał, były jego zdjęcia z kobietą ze Szklanego Pantofelka.

— To zaledwie jedna witryna — powiedziała, zapraszając gości do zajęcia miejsca naprzeciw niej. — A jest ich tyle... — przerwała na chwilę, czekając, aż usiądą, po czym zwróciła się bezpośrednio do Kendalla: — Co powie na to pana rodzina? Ksiądz? Kongregacja? — Twarz miała nieruchomą, bardzo pilnowała, by nie okazać triumfu nawet tonem głosu. — Jak wiem, spora jej część nie akceptuje Afroameerykanek nawet jako pokojówek i opiekunek do dzieci. Wolą kobiety z Europy Wschodniej, młode, jasnowłose Polki i Rosjanki. Mam rację?

Kendall milczał. Siedział sztywno wyprostowany, ściskając kolanami splecione dłonie, zupełnie jakby toczyła się przeciw niemu rozprawa przed sądem wojennym. Veronica żałowała, że nie ma z nią Sorai, która nie wróciła jeszcze z bezpiecznego domu NSA, co samo w sobie było niepokojące, zwłaszcza że nie przyjmowała rozmów na telefon komórkowy.

— Sugerowałem mu już, że najlepsze, co może teraz zrobić, to pomóc nam w dowiązaniu LaValle'a do planu kradzieży sekretów Centrali — wyjaśnił Gold.

Hart uśmiechnęła się słodko.

— I co pan sądzi o tej sugestii, generale?

— Rekrutacji Rodney a Feira dokonałem samodzielnie i był to wyłączone mój pomysł — oznajmił Kendall bezdźwięcznym, mechanicznym głosem.

Veronica wyprostowała się na krześle.

— Mamy uwierzyć, że zdecydował się pan na tak ryzykowne działanie, nie prosząc o zgodę przełożonych? — spytała z niedowierzaniem.

— Po upadku Batta musiałem dokonać czegoś, co dowodziłoby mojej wartości. Uznałem, że największe szanse da mi przekabacenie Feira.

— To nas do niczego nie prowadzi!

— Zgadzam się. — Gold wstał, podszedł do drzwi. — Pan generał postanowił paść na miecz w obronie człowieka, który sprzedał go bez wahania. Nie mam pojęcia, skąd ten pomysł, ale ludzie miewają różne pomysły.

— Czy to wszystko? — Kendall patrzył wprost przed siebie nieruchomym spojrzeniem. — Skończyliście?

— My tak — powiedziała Veronica — ale Batt nie.

Tym razem generał zareagował.

— Batt? A co on ma z tym wspólnego? Przecież nie należy do tej historii.

— Jestem odmiennego zdania. — Veronica wstała, podeszła do jego krzesła. — Wziął cię pod obserwację, gdy tylko zrujnowaliście mu życie. Zdjęcia was obu z Feirem wchodzących do siłowni i z niej wychodzących, siedzących w barze i bawiących się w Szklanym Pantofelku zrobił właśnie on.

— A to bynajmniej nie wszystko. — Gold znacząco uniósł teczkę.

— Obawiam się więc, że jeszcze przez jakiś czas pozostanie pan naszym gościem.

— Jak długo?

Hart wzruszyła ramionami.

— A cóż to za różnica? Przecież nie ma pan do czego wrócić, generale.

Kendall pozostał w towarzystwie dwóch agentów, a Veronica i prawnik przeszli do sąsiedniego pokoju, w którym kolejni dwaj pilnowali Rodneya Feira.

— Pan generał dobrze się bawi? — spytał, kiedy siadali naprzeciw niego. — Miał dziś czarny dzień — dodał i roześmiał się z własnego dowcipu. Nikt mu nie zawtórował.

— Masz pojęcie, w jak poważnej sytuacji się znalazłeś? — spytał go Gold.

Feir tylko się uśmiechnął.

— Sądzę, że panuję nad sytuacją — powiedział spokojnie.

Prawniki i Hart wymienili zdziwione spojrzenia. Nie wiedzieli, jak rozumieć tę beztroskę.

— Idziesz siedzieć na długo, bardzo długo, człowieku — powiedział Gold.

— Nie sądzą. — Feir założył nogę na nogę.

— No to się mylisz.

— Rodney — przejęła pałeczkę Veronica — przecież przyłapaliśmy cię na gorącym uczynku kradzieży akt Typhona i próbie przekazania ich rywalizującej z nami agencji wywiadowczej.

— Tylko bez kazań, proszę. Doskonale wiem, co zrobiłem i na czym mnie przyłapaliście. I twierdzą, że nie ma to żadnego znaczenia.

— Nadal mówił lekko, swobodnie, uśmiechając się jak Kot z Cheshire, jakby na ich karetę asów miał położyć królewskiego pokera.

— Wytlumacz — warknął Gold.

— Spieprzyłem sprawę. Ale nie żałuję tego, co zrobiłem, tylko tego, że dałem się złapać.

— Takie podejście do sprawy z pewnością ci pomoże — zakpiła Hart. Nie zamierzała dać się dłużej poniewierać LaValle'owi i jego ludziom.

— Nie jestem człowiekiem z natury skłonny do okazywania skruchy, dyrektorko, ale, podobnie jak twoje dowody, moje nastawienie nie ma najmniejszego znaczenia. Chodzi mi o to, że nawet gdybym żałował ze łzami w oczach jak Batt, to co? Zrobi wam to jakąś różnicę? — Potrząsnął głową. — Więc nie wciskajmy sobie gówna. To, co zrobiłem i jak się w związku z tym czuję, to pieśń przeszłości. Porozmawiajmy o przyszłości.

— Nie masz przyszłości.

— To się jeszcze okaże. — Feir nadal uśmiechał się tym swoim doprowadzającym do szału uśmiechem. — Proponuję wymianę.

— Chcesz zawrzeć układ? — zdumiał się prawnik.

— Nazwijmy to uczciwą wymianą usług. Wycofujecie wszystkie skargi przeciwko mnie, dajecie mi słoń odprawę i piszecie opinię, której nie wstyd pokazać firmom prywatnym.

— To wszystko? A co z letnim domem nad Chesapeake i jachtem do kompletu?

— Hojna oferta, dyrektorko, ale nie skorzystam. Nie jestem świnią. Gold nie wytrzymał.

— Nie zniosę takiego zachowania...!

— Niech pan nie wyskakuje z gaci, mecenasie. Pora dowiedzieć się, co ja mam wam do zaoferowania.

— Nie jestem zainteresowany. — Prawnik skinął na agentów. — Odprowadźcie go do celi.

Feir pozwolił chwycić się pod ramiona i unieść z krzesła. Nie próbował oporu.

— Na waszym miejscu bym tego nie robił. — Zwrócił się do Veroniki. — Czy nigdy nie zastanowiło cię, że Luther LaValle nie próbował zaczepiać CI póki żył Stary?

— Nie musiało. Wiem, że Stary był dla niego za mocny i miał za dobre koneksje.

— Co prawda to prawda. Ale był jeszcze jeden, konkretny powód.
— Spojrzał znacząco na jednego, a potem na drugiego agenta.

Veronica miała ochotę skrócić mu kark.

— Puśćcie go.

— Słuchaj, dobrze radzę... — wtrącił zaniepokojony Gold.

— Wystuchanie go nie może nam przecież zaszkodzić — uspokoiła go Veronica. — Pospiesz się, Rodney. Masz dokładnie minutę.

— Prawda wygląda tak, że LaValle kilkakrotnie usiłował nas podejść jeszcze za życia Starego. Ani razu mu się nie udało. Wiecie dlaczego? — Przerwał, przyjrzał się im, znów uśmiechnięty jak Kot z Cheshire. — Ano dlatego, że od lat miał w NSA głęboko zagrzebanego kreta.

— Co? — zdumiała się Hart.

— Gówno prawda — denerwował się Gold. — Puszczą nam dym w dupy!

— Całkiem nieźle, mecenasie, ale do kitu. Bo ja wiem, kto jest tym kretem.

— A niby skąd się tego dowiedziałeś?!

Feir roześmiał się wesoło.

— Czasami... przyznaję, że nieczęsto, ale jednak... opłaca się być głównym biurokratą instytucji.

— Przecież nie jesteś...

— Z całym szacunkiem tym właśnie jestem, pani dyrektor. — Rodney Feir z trudem opanował nagły atak gniewu. — I żaden godny tytuł służbowy nie zmieni tego faktu. — Uspokoił się niemal natychmiast, machnął ręką. — Nie ma sprawy. Chodzi o to, że dzięki temu dostrzegam rzeczy, których inni nie widzą. Stary był przygotowany na wszystko... ale o tym wie pan przecież lepiej ode mnie, prawda, mecenasie?

— To prawda — przyznał prawnik, zwracając się do Veroniki. — Pozostawił listy w załakowanych kopertach adresowane do dyrektorów. Mieli je otworzyć po jego śmierci.

— W jednym z tych listów, adresowanym do Roba Batta, podana była tożsamość kreta. Logiczne, był przecież szefem operacji. Już ja dopilnowałem, żeby go nigdy nie dostał.

— Ty...? — Hart była tak wściekła, że nie potrafiła dokończyć pytania.

— Mógłbym powiedzieć, że już wówczas podejrzewałem jego powiązania z NSA, ale byłoby to kłamstwo.

— Nic... nic nie powiedziałeś, nawet kiedy dostałam nominację!

— Argument w rękę, po prostu. Uznałem, że mogę kiedyś potrzebować żelaznej przepustki z więzienia.

Przez ten jego uśmiech miała ochotę zdzielić go pięścią w pysk. Powstrzymywała się z największym trudem.

— I pozwoliłeś, by LaValle wdeptał nas w ziemię. Przez ciebie wyprowadzono mnie z gabinetu w kajdankach, przez ciebie spuścizna po Starym jest o krok od pogrzebania na zawsze.

— Cóż... takie rzeczy się zdarzają. Co mogłem zrobić?

— Powiem ci, co ja mogę zrobić. — Jeden jej gest wystarczył, by agenci znów chwycili więźnia. — Mogę ci powiedzieć, żebyś wynosił się do diabła. Mogę ci powiedzieć, że resztę życia spędzisz w więzieniu.

Ale Feir nie stracił pewności siebie nawet w tych okolicznościach.

— Powiedziałem, że wiem, kto jest kretem. Ale to nie wszystko. Wiem także, gdzie pracuje. Zdaje się, że to może cię szczególnie zainteresować.

— Zabierzcie mi go sprzed oczu!

Już przy drzwiach Feir powiedział niedbale:

— Pracuje w tajnym domu NSA.

Veronica Hart miała wrażenie, że serce lada chwila wyskoczy jej z piersi. Ten cholerny uśmiech Kota z Cheshire stał się nagle doskonale zrozumiały. Więcej, on był usprawiedliwiony.

Trzydzieści trzy godziny, dwadzieścia sześć minut. Groźne słowa Ikupowa nadal dźwięczały echem w uszach Bourne'a, gdy nagle dostrzegł jakiś ruch. Obaj stali w przedpokoju, drzwi do mieszkania były

uchylone, na przeciwległej ścianie korytarza pojawił się i natychmiast znikł jakiś cień. Ktoś tam był, ktoś krył się za skrzydłem półotwartych drzwi.

Nie przerywając rozmowy, Bourne wziął Ikupowa za ramię. Przeszli przez pokój dzienny do prowadzącego do sypialni i łazienki korytarzyka. Nagle okno, przy którym właśnie przechodzili, implodowało pod ciężarem ciała mężczyzny, który w ten sposób dostał się do środka. Bourne obrócił się błyskawicznie, w dłoni trzymał wyrwanego Rosjaninowi SIG-sauera.

— Odłóż go! — rozległ się za jego plecami kobiecy głos. Spojrzał przez ramię: w korytarzu stała młoda, blada kobieta mierząca mu w głowę z lugera.

— Co tu robisz, Leonidzie?! — Ikupow był bliski apopleksji. — Przecież poleciłem ci...

— To on! — Arkadin podszedł bliżej, rozgniatając zaścielające podłogę szkło. — To on zabił Miszę!

— Czy to prawda? — Ikupow spojrzał na Amerykanina. — Zabijeś Michaiła Tarkaniana?

— Nie miałem wyboru.

— Rzuć broń — przypomniała o swoim istnieniu Dewra. — Rozkazuję po raz ostatni.

— Ja ją wezmę — zaproponował Ikupow.

— Nie ruszaj się — warknął Arkadin. Mierzył do niego ze swojego lugera.

— Co ty wyprawiasz, Leonidzie?

— Posłuchaj dziewczyny, Bourne. Rzuć SIG-a.

Bourne wykonał polecenie. Gdy tylko pistolet wypadł mu z dłoni, Arkadin odrzucił lugera i zaatakował Jasona z błyskawiczną szybkością. Cios kolaniem Bourne zdołał zablokować przedramieniem, lecz jego siłę poczuł aż w barku.

Rozpoczęła się wymiana miażdżących ciosów, pokaz zręcznych uników, festiwal błyskotliwych zasłon. Rosjanin miał właściwą odpowiedź na każdy zadany przez Amerykanina cios, Amerykanin umiejętnie bronił się przed atakami Rosjanina. Bourne spojrzał w oczy Arkadina; odbijały się w nich i promieniowały ku niemu nienawiść, groźba

śmierci i zniszczenia ciągnące się za tym człowiekiem. W owych nieubłaganych oczach kryła się próżnia czarniejsza niż bezgwiezdna noc.

Cofał się, walczyli pod łukiem oddzielającym pokój dzienny od reszty mieszkania, znaleźli się w kuchni. Arkadin chwycił tasak, zamachnął się nim. Bourne wykonał unik, sięgnął po deskę, w którą wsunięte były noże. Kolejne uderzenie tasakiem w dotykającą przez chwilę blatu rękę minęło jego palce o centymetry. Ciężar stali, poruszającej się niczym ostrze kosi w łanie zboża, uniemożliwiało powtórzenie próby.

W tym momencie Bourne znajdował się blisko zlewu. Ściągnął talerz z suszarki, cisnął nim jak frisbee, zmuszając przeciwnika do cofnięcia się i wykonania uniku. Jednocześnie z głośnym brzękiem tłukącego się o ścianę naczynia wyciągnął nóż jak rycerz miecz z pochwy. Stał uderzyła o stal. Bourne wymierzył pchnięcie w brzuch, Rosjanin uderzył tasakiem, mierząc w rękojeść. Zmusił Jasona do wypuszczenia broni.

Rozpoczęły się zapasy. Z ręką unieruchomioną w uścisku, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że tasak jest na tę odległość nieprzydatny, Arkadin upuścił go na podłogę.

Przez trzy długie minuty stali nieruchomo; jeden usiłował udusić drugiego. Żaden nie potrafił zyskać przewagi. Bourne nigdy jeszcze nie spotkał kogoś o fizycznej i psychicznej sile Arkadina, kogoś takiego jak on sam. Walczył z nim jak z samym sobą, takim, jakiego wolałby nie spotkać na swej drodze. Czuł się tak, jakby stał na krawędzi bezdennej otchłani wypełnionej niekończącym się strachem, gdzie życie nie może przetrwać w żadnej swej postaci. Arkadin wyciągnął ręce, próbował wciągnąć go w otchłań, jakby chciał pokazać mu spustoszenie i rozpacz kryjące się w głębi jego oczu, cisnąć w niego obrzydliwym obrazem swej własnej przeszłości.

Z największym wysiłkiem Bourne wyrwał się Leonidowi, wymierzył silny cios pięścią w skroń. Rosjanin zatoczył się, uderzył plecami w kolumnę, a on pobiegł korytarzem. Usłyszał niemożliwy do pomylenia

z niczym trzask przesuwającego się suwadła. Głową naprzód skoczył w drzwi sypialni. Huknął strzał, z framugi tuż nad nim posypały się odłamki.

Arkadin krzyknął do dziewczyny, żeby przestała strzelać. Bourne w dwóch krokach dopadł szafy. Gorączkowo rozgarnął ubrania, przesunął dłońmi po tylnej ścianie ze sklejki, namacał zatrzaski, o których Kirsch powiedział mu w muzeum. Usłyszał tupot, wiedział, że Rosjanin już jest w sypialni. Obrócił zatrzaski, zdjął płytę, skulił się i wkroczył w świat cały wypełniony mrokiem.

Po oddaniu strzału, który miał zranić Bourne'a, Dewra odwróciła się... i spojrzała wprost w lufę SIG-sauera, którego Ikupow zdążył podnieść z podłogi.

— Przeklećci głupcy — syknął. — Wszystko spieprzycie.

— To, co robi Leonid, jest jego własną sprawą.

— I tu właśnie bardzo się mylicie. On nie ma żadnych własnych spraw. Nawet to, że istnieje, zawdzięcza mnie.

Dziewczyna wyszła z cienia, z korytarza przeszła do pokoju dziennego. Lufa trzymanego przy biodrze lugera nie drgnęła.

— Skończył z tobą. Czas jego służby przeminął.

— Sam ci to powiedział?

— Ja mu to powiedziałam.

— Więc jesteś głupsza, niż myślałem.

Krążyli wokół siebie, śledząc swój najdrobniejszy ruch, a jednak Dewrę stać było jeszcze na lodowaty uśmiech.

— Od czasu wyjazdu z Moskwy bardzo się zmienił. Można powiedzieć, że stał się zupełnie innym człowiekiem.

Ikupow prychnął lekceważąco.

— Po pierwsze i najważniejsze: wbij sobie do głowy, że Leonid nie może się zmienić. Wiem o tym lepiej od innych, bo przez tyle lat starałem się uczynić go lepszym człowiekiem. Nie udało mi się, ale wszyscy, którzy tego próbowali, prędzej czy później ponosili klęskę. A wiesz dlaczego? Bo on nie jest kompletnym człowiekiem. Gdzieś, kiedyś, podczas spędzonych w Niżnym Tagile dni i nocy coś w nim pękło.

Wszyscy carscy konni i wszyscy dworzanie złożyć do kupy nie są go w stanie — wyrecytował. — Jego kawałki już do siebie nie pasują. — Machnął lufą SIG-a. — Wynoś się stąd. Wynoś się, póki jeszcze możesz, bo dam ci słowo, że w końcu zabiję cię jak tyle innych, które próbowały się do niego zbliżyć.

— Żyjesz złudzeniami. — Dewra dosłownie wypłuła te dwa słowa. — Jak oni wszyscy jesteś doszczętnie skorumpowany przez władzę i potęgę. Tyle lat spędziłeś odgradzony od życia na ulicy, że wreszcie stworzyłeś sobie swą własną rzeczywistość, taką, która słucha cię na skinienie. — Zrobiła krok w jego stronę, widziała, jak sztywnieje i zaciska palce na kolbie pistoletu. — Jesteś pewien, że zdążysz mnie zabić, nim ja zabiję ciebie? Na to bym nie liczyła. — Odrzuciła włosy z czoła. — W każdym razie to ty masz więcej do stracenia. Kiedy mnie znalazł, byłam bardziej martwa niż żywa.

— Ach, teraz rozumiem. — Ikupow skinął głową. — Uratował cię przed ulicą i tobą samą, czy tak?

— Jest moim obrońcą.

— Boże drogi, i to ja żyję złudzeniami!

Lodowaty uśmiech Dewry stał się nagle jeszcze zimniejszy.

— Jedno z nas strasznie się myli. Pozostaje tylko pytanie: które?

— Tam jest pełno manekinów — powiedział Kirsch, opisując swą pracownię. — Odcinam światło zasłonami, ponieważ te manekiny to moje dzieło. Stworzyłem je, jeśli wolno tak to określić, od fundamentów. Można powiedzieć, że będąc moją kreacją, są też moimi towarzyszami. W tym sensie mogą widzieć czy też, jeśli pan woli, w mojej opinii mają dar widzenia, a jakie stworzenie może spojrzeć na swego twórcę i nie oszaleć, a co najmniej nie oślepnąć?

Pamiętając plan pomieszczenia, Bourne szedł przez nie powoli,

unikając kontaktu z manekinami, by nie spowodować hałasu czy też, jak by powiedział Kirsch, nie zakłócając procesu ich narodzin.

— Ma mnie pan za szaleńca — mówił — ale to przecież bez znaczenia. Wszyscy artyści, niezależnie od tego, czy cieszą się sukcesem, czy też nie, uważają swe dzieła za żywe. A ja jestem artystą, tyle że przez lata próbowałem powołać do życia abstrakcję, aż wreszcie nadałem swym pracom ludzką formę.

Bourne usłyszał coś i zamarł. Ostrożnie wychylił się zza uda jednego z manekinów. Teraz, kiedy jego oczy przyzwyczyły się nawet do ciemności tak czarnej jak panująca w pracowni, zdołał dostrzec ruch. Arkadin znalazł przejście. Tropił go nadal.

Uznał, że tu ma znacznie większe szanse niż w salonie. Znał układ pracowni, a mrok mógł mu tylko pomóc. Jeśli zaatakuje teraz, w odróżnieniu od przeciwnika będzie widział.

Przyjąwszy tę strategię, wysunął się z ukrycia, zaczął czołgać w stronę Rosjanina. Pracownia Kirscha była jak pole minowe. Od przeciwnika dzieliły go trzy manekiny, każdy spoczywający pod innym kątem i w innej pozycji: jeden siedział, trzymając mały obrazek jak książkę, drugi stał na rozstawionych nogach, w klasycznej pozycji strzelca, trzeci biegł wychylony do przodu, jakby rzucał się na linię mety.

Bourne minął biegacza. Arkadin przykucnął, nieruchomy; mądrze nie decydował się na podjęcie akcji, póki oczy nie przyzwyczają mu się do ciemności. Zaledwie kilka chwil temu Jason zachował się podobnie. I znów z wielką siłą uderzyło go ich podobieństwo. Nie odczuwał przyjemności, lecz tylko prymitywny niepokój, patrząc na siebie samego próbującego znaleźć go i zabić.

Poruszając się nieco szybciej, dotarł do manekina siedzącego i oglądającego obraz. Świadom tego, że kończy mu się czas, jeszcze szybciej podczołgał się do strzelca. W momencie kiedy miał zaatakować Arkadina, zadzwonił jego telefon komórkowy, a na wyświetlaczu pojawił się numer Moiry.

Przekląwszy w myślach, Bourne skoczył przed siebie. Arkadin,

wyczulony na najdrobniejszy ruch i najcichszy dźwięk, zdążył się odwrócić i Amerykanin uderzył w masę twardych mięśni wypełnionych nieukrywaną, gwałtowną wolą śmierci. Otrzymał potężny cios, osunął się pod nogi strzelca. Rosjanin podążył za ciosem... i odbił się od biodra manekina. Przeklął, odskoczył, pchnął go; ostrze ugodziło akrylową skórę, utkwilo w znajdującym się pod nią metalu. Chciał je wyrwać, dostał kopniaka w pierś, na wysokości serca. Próbował się odtoczyć, lecz Bourne podparł strzelca ramieniem i choć kukła była bardzo ciężka, używając całej swej niebagatelnej siły, zdołał przewrócić ją na Rosjanina.

— Twój przyjaciel nie dał mi wyboru — powiedział. — Zabiłby mnie, gdybym go nie powstrzymał. Był za daleko, musiałem rzucić nożem.

Arkadin wydał dźwięk przypominający trzask płomienia; nie od razu można się było zorientować, że to śmiech.

— Założę się, że przed śmiercią powiedział ci: „Jesteś martwy”.

Nim Bourne zdążył odpowiedzieć, dostrzegł słaby błysk SIG-sauera mosquito w dłoni Rosjanina. Uchylił się i pocisk kalibru .22 przeleciał z gwizdem nad jego głową.

— I dobrze mówił.

Uskoczył i skrył się za manekinami. Kolejne trzy strzały oprószyły go odłamkami akrylu, gipsowym pyłem i drzazgami, kule przeleciały z gwizdem przy jego lewym ramieniu i uchu, ale w końcu zdołał ukryć się za warsztatem Kirscha. Słyszał, jak Arkadin z wysiłkiem próbuje wydostać się spod strzelca.

Z opisu Kirscha Bourne wiedział, że drzwi frontowe znajdują się po jego prawej ręce. Poderwał się, skrył za ścianą niemal w tej samej chwili, kiedy padł kolejny strzał; kula odłupała spory kawałek gipsu, szarpnęła siatkę podtynkową. Otworzył drzwi i wybiegł do korytarza. Drzwi do mieszkania Kirscha znajdowały się tuż obok, po lewej.

— Straszenie się bronią nic nam nie da — stwierdził Ikupow. — Spróbujmy może podejść do sprawy jakoś bardziej racjonalnie.

— To twój problem — odparła Dewra. — Życie nie jest racjonalne, to popieprzony chaos. Mówiłam, że masz urojenia. Władza daje ci złudzenie, że możesz kontrolować wszystko. Ale nie możesz. Nikt nie może.

— Oboje z Leonidem jesteście pewni, że wiecie, co robicie, i tu popełniacie błąd. Nikt nie działa w próżni. Jeśli zabijecie Bourne'a, reperkusje będą po prostu straszne.

— Dla ciebie, nie dla nas. Kolejne urojenie władzy: myślisz skrótami. Doraźne korzyści, polityczne okazje, korupcja bez końca.

W tej chwili usłyszeli strzały, lecz tylko Dewra zorientowała się, że to Leonid strzela ze swego pistoletu. Wyczuła, że palec Ikupowa zaciska się na spuście SIG-a, i przykucnęła, wiedziała bowiem, że jeśli pojawi się nie Arkadin, lecz Bourne, zastrzeli go bez wahania. Dotarli do punktu krytycznego, Ikupow był pełen obaw.

— Dewro, proszę, byś ponownie rozważyła sytuację. Leonid nie ogarnia jej w pełni. Potrzebuję Bourne'a żywego. Zabił Miszę, to oczywiście niewybaczalne, ale w tym równaniu nie ma miejsca na uczucia osobiste. Jeśli zginie, na marne pójdzie tak długie planowanie, tyle przelanej krwi... Musisz pomóc mi go powstrzymać. Dam ci wszystko... wszystko, czego pragniesz...

— Myślisz, że możesz mnie kupić? Pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Pragnę tylko Leonida.

W tym momencie w drzwiach pojawił się Jason Bourne.

Dewra i Ikupow obrócili się jak na komendę. Dziewczyna krzyknęła; wiedziała, czy raczej wydawało się jej to oczywiste, że Leonid nie żyje.

Wymierzyła w Amerykanina.

Bourne cofnął się w głąb korytarza. Dziewczyna ruszyła przed siebie, strzelając raz za razem. Skupiona na Amerykaninie zapomniiała o Ikupowie, nie zauważyła drgnięcia lufy SIG-a.

— Ostrzegałem cię — powiedział Ikupow.

Trafił ją w pierś, patrzył, jak pada na wznak.

— Dlaczego mnie nie posłuchałaś?

Dewra jęczała cicho. Jej ciało wygięto się w łuk. Rosjanin podszedł, stanął nad nią.

— Jak mogłaś dać się uwieść temu potworowi?

Przyglądała mu się zaczerwienionymi oczami. Krew wypływała z rany z każdym uderzeniem słabnącego serca.

— Jemu zadałam to samo pytanie — powiedziała z wysiłkiem.

Przy każdym oddechu walczyła z nieznośnym bólem. — Nie jest potworem, ale nawet gdyby nim był, i tak byłbyś od niego sto razy gorszy.

Jej ręka drgnęła. Ikupow, skupiony na tym, co Dewra mówi, nawet tego nie zauważył. Kula wystrzelona z lugera trafiła go w prawe ramię, obróciła i rzuciła na ścianę. Upuścił SIG-a, a widząc, że kobieta próbuje strzelić jeszcze raz, odwrócił się i uciekł z mieszkania. Po chwili znalazł się na ulicy.

Rozdział 39

Willard odpoczywał w pokoju dla pracowników przy bibliotece bezpiecznego domu NSA, ciesząc się poranną, słodką kawą z mlekiem i lekturą „The Washington Post”. Nagle odezwał się jego telefon komórkowy. Po numerze zidentyfikował syna Orena. Oczywiście to nie Oren się zgłaszał, ale o tym nie wiedział nikt oprócz niego.

Odłożył gazetę. Na wyświetlaczu pojawiła się fotografia. Dwoje ludzi stało na tle wiejskiego kościółka z wysoką wieżą, która nie zmieściła się w kadrze. Nie miał pojęcia, kim są ci ludzie i gdzie zrobiono zdjęcie, ale to było bez znaczenia. Pamiętał sześć cyfr, zdjęcie powiedziało mu, których użyć. Dwie postaci plus wieża oznaczały cyfrę trzy. Gdyby na przykład postaci te stały na tle łuku, zamiast dodawać, odejmowałby jeden od dwóch. Ceglany budynek oznaczał dzielenie liczby sfotografowanych osób przez dwa, most mnożenie przez dwa i tak dalej.

Usunął zdjęcie z telefonu, otworzył „Posta” na trzeciej stronie, pograżył się w lekturze pierwszego artykułu. Zaczynając od trzeciego słowa, zaczął rozszyfrowywać wiadomość będącą poleceniem rozpoczęcia akcji. Posuwając się coraz dalej, odejmując pewne litery od innych, tak jak dyktował schemat szyfru, czuł rosnące zainteresowanie,

wręcz fascynację. Od trzech dziesięcioleci był oczami i uszami Starego w NSA i jego nagła śmierć w zeszłym roku napełniła go głębokim smutkiem. Następnie, dosłownie na jego oczach, LaValle zaatakował Centralę Wywiadu, lecz przez wiele miesięcy pragnienie, by na wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie, pozostawało niespełnione. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego nowy dyrektor nie czyni z niego dobrego użytku. Czyżby zamieciono go gdzieś do kąta? Czyżby Veronica Hart nie wiedziała o jego istnieniu? Wszystko na to wskazywało, zwłaszcza po tym, gdy LaValle'owi udało się złapać Sorayę Moore i jej kolegę nadal siedzącego pod pokładem, jak prywatnie nazywał znajdujące się w piwnicy cele przesłuchań. Zrobił, co mógł, dla młodego człowieka o imieniu Tyrone, choć Bóg wie, że mógł niewiele. Wiedział jednak, że nadzieja, choćby cień nadziei, świadomość, że nie jesteś sam, wystarczyła, by pokrzepić niezłomne serce, a jeśli w ogóle potrafił ocenić charakter człowieka, Tyrone miał właśnie niezłomne serce.

Willard zawsze pragnął być aktorem, przez wiele lat uważał Oliviera za Boga, ale w najśmielszych marzeniach nigdy nie wyobrażał sobie samego siebie na scenie polityki. Trafił na nią przez przypadek, grając w studenckim teatrze rolę Henryka V, jednego z szekspirowskich wielkich, tragicznych polityków. Stary, który odwiedził go pewnego dnia po przedstawieniu, powiedział mu, że król zdradził Falstaffa z powodów politycznych, nie osobistych, i że odniósł sukces. Potem zapytał: „Miałbyś ochotę zrobić to w prawdziwym życiu, nie na scenie?”. Na uczelni szukał kandydatów na agentów, podobno odpowiednich ludzi znajdował w najbardziej nieoczekiwanych miejscach.

Rozszyfrował instrukcje do końca i podziękował wszystkim potęgom tego świata, istniejącym lub nie, że nie został zmieciony w kąt w porządkach po śmierci Starego. Czuł się jak swój dawny przyjaciel Henryk V, choć od ostatniego występu Willarda na deskach teatru minęło trzydzieści lat. Jeszcze raz miał odegrać największą ze swych ról, komfortową, bo wchodził w nią jak w swą drugą skórę.

Zwinął gazetę, wsadził ją pod pachę, schował telefon i wyszedł z sali. Zostało mu dwadzieścia minut przerwy, aż za dużo, by zrobić to, czego od niego wymagano; polecono mu znaleźć kamerę, którą Tyrone miał przy sobie, kiedy go schwytano. Zajrzał do biblioteki, upewnił się, że LaValle zajmuje swe ulubione miejsce i siedzi naprzeciw Sorai Moore, po czym poszedł korytarzem.

Zwerbował go Stary, lecz wyszkolił Alex Conklin. Conklin, powiedział mu Stary, był najlepszy w swojej specjalności: przygotowywaniu agentów do pracy w terenie. Niewiele czasu zajęło mu odkrycie, że choć słynął w CI z umiejętności uczenia ludzi mokrej roboty, równie dobrze umiał opiekować się śpiochami. Willard spędził z nim blisko rok, choć nigdy w siedzibie firmy; był częścią Treadstone, projektu Conklina tak tajnego, że nie wiedziała o nim większość pracowników Centrali. Nie bez znaczenia było to, by jego związki z CI nigdy nie wyszły na jaw. Ponieważ Stary przeznaczył go na kreta w NSA, wiadomo było, że zostanie bardzo dokładnie sprawdzony.

O tym myślał Willard, idąc świątymi i nietykalnymi korytarzami bezpiecznego domu. Mijał kolejnych agentów, za każdym razem upewniając się, że osiągnął doskonałość. Był niezastąpionym nikim, kimś zawsze obecnym, nigdy zauważanym.

Wiedział, gdzie jest aparat Tyrone'a, ponieważ był przy rozmowie LaValle'a i Kendalla, podczas której zastanawiali się, co z nim zrobić, ale nawet gdyby go przy rozmowie nie było, mógł z dużym prawdopodobieństwem określić, gdzie go schowano. Wiedział na przykład, że nikomu, nawet LaValle'owi, nie wolno było go wynieść, póki kompromitujące zdjęcia cel i urzędzeń do tortury wody nie zostały przeniesione na serwer NSA lub wymazane z modułu pamięci. Prawdę mówiąc, istniała szansa, że już zostały wymazane, ale bardzo w to wątpił. W posiadaniu agencji był krótko, Kendall znajdował się wówczas poza domem, a LaValle cały czas poświęcał załatwianiu sprawy, która stała się jego obsesją: zmuszeniu Sorai Moore do wydania mu Jasona Bourne'a.

O Bournie Willard wiedział wszystko. Czytał akta Treadstone, nawet te, które już nie istniały, przepuszczone przez niszcarki i spalone jako zbyt niebezpieczne i dla Conklina, i dla samej Centrali. Wiedzą przewyższał nawet Starego, właśnie dzięki Conklinowi, człowiekowi, dla którego tajemnica była świętym Graalem. Można się było tylko domyślać, czemu naprawdę miało służyć Treadstone.

Włożył klucz uniwersalny do zamka drzwi gabinetu LaValle'a, wpisał właściwy kod. Znał wszystkie kody; komu przydałby się jako agent-śpioch, gdyby ich nie znał? Drzwi otworzyły się do wewnątrz, a Willard wślizgnął się do środka i zamknął je za sobą. Podszedł do biurka, sprawdził wszystkie szuflady, ale w żadnej nie znalazł skrytki, ani przy tylnej ścianie, ani na spodzie, podobnie w dostawianej szafce na akta pełnej dokumentów i ciasno ustawionych butelek alkoholu. Żaden z wiszących na ścianie obrazów nie krył sejfu.

Usiadł na biurku. Przyglądając się gabinetowi, próbując odgadnąć, gdzie LaValle schował kamerę, nieświadomie machał nogą i w pewnym momencie kopnął tylną ściankę biurka. Natychmiast zeskoczył na podłogę, wszedł pod mebel na kolanach i zaczął go opukiwać, póki znów nie usłyszał charakterystycznego dźwięku. Tak, bez wątplenia skrytka znajdowała się właśnie tu. Wymacał małą zasuwkę, otworzył drzwiczki. Znalazł kamerę Tyrone'a. Sięgnął po nią, kiedy usłyszał zgrzyt metalu trącego o metal.

W drzwiach stał LaValle.

— Powiedz mi, że mnie kochasz, Leonidzie Daniłowiczu — Dewra uśmiechnęła się do klęczącego obok niej Arkadina.

— Co się stało, Dewro? Co się stało? — Tylko tyle potrafił powiedzieć.

Udało mu się w końcu wydostać spod manekina. Pobiegłby za Bournie'em, ale usłyszał dobiegający z mieszkania Kirscha huk wystrzałów, a potem szybkie kroki. Salon tonął we krwi. Dostrzegł leżącą na

podłódze dziewczynę nadal ściskającą w dłoni lugera. Jej sukienka za-farbowała na karminowo.

— Leonidzie Daniłowiczu... — wypowiedziała jego imię, gdy tyl-ko pojawił się w jej bardzo ograniczonym polu widzenia. — Leonidzie Daniłowiczu... czekałam...

Próbowała opowiedzieć mu, co się stało, ale w kącikach jej ust po-jawiły się bąbelki krwi. Wydała z siebie straszliwy bulgot. Arkadin złożył jej głowę na kolanach, szesał włosy z czoła i policzków, pozostawiając czerwone smugi jak wojenne barwy.

Chciała mówić dalej. Nie mogła. Jej spojrzenie się rozmyło, Arka-din był pewien, że ją stracił. A jednak zdołała skupić wzrok, uśmiechnę-ła się nawet i spytała:

— Kochasz mnie, Leonidzie?

Pochylił się, wyszeptał jej coś do ucha. Czy powiedział: „Kocham cię”? Szumiało mu w głowie, nie słyszał sam siebie. Czy ją kochał? A jeśli tak, co to oznaczało? I jakie miało znaczenie? Obiecał, że będzie jej strzegł, nie dotrzymał obietnicy. Spojrzał w oczy Dewry, spojrzął na jej uśmiechnięte usta, ale widział tylko własną przeszłość, powstającą, by znów zalać go całego.

— Potrzebuję więcej pieniędzy — powiedziała pewnej nocy Jele-na. Leżeli w łóżku mocno do siebie przytuleni.

— Po co? I tak dużo ci daję.

— Tu jest bardzo źle, jak w więzieniu, dziewczęta przez cały czas płaczą, są katowane, a potem znikają. Z niektórymi się zaprzyjaźniałam, w końcu trzeba coś robić w wolnym czasie, w dzień, ale teraz nawet się nie staram. Po co? Za tydzień ich nie będzie.

Arkadin pomyślał o tym, że nienasyconemu Kuzinowi ciągle mało było dziewcząt.

— I z tego powodu potrzebujesz więcej pieniędzy? — spytał.

— Jeśli nie mogę mieć przyjaciółek, chcę narkotyków.

Odsunął się od niej, usiadł.

— Powiedziałem: żadnych narkotyków.
— Jeśli mnie kochasz, to mnie stąd wyciągnij.
— „Kochasz”? — Obrócił się, spojrzął na nią zdumiony. — Ktoś mówił coś o kochaniu?

Dziewczyna się rozplakała.

— Chcę z tobą żyć, Leonidzie. Chcę być z tobą zawsze.

Arkadin poczuł, jak gardło ściska mu jakaś nieznana siła.

— Jezu! — westchnął, zbierając ubranie. — Skąd ty bierzesz takie pomysły?!

Zostawił ją chlipiącą załosnie i wyszedł poszukać dziewczyn. Nim zdążył dojść do drzwi frontowych burdelu, zatrzymał go Staś Kuzin.

— Ryki Jeleny przeszkadzają innym dziewczynom — powiedział swym syczącym głosem. — To nam psuje biznes.

— Chce żyć ze mną. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Roześmieli się obaj i Arkadin szybko zapomniał o sprawie.

Przez następne trzy dni pracował niezamordowanie, metodycznie przeszukując Niżny Tagił, uzupełniając braki kadrowe. Kiedy skończył, przespał dwadzieścia godzin, po czym poszedł wprost do pokoju Jeleny. Ale w jej łóżku spała inna dziewczyna pochodząca z ostatniej dostawy.

— Gdzie Jelena? — spytał, bezceremonialnie zrywając z niej kołdrę.

Spojrzała na niebo, mrugając jak nietoperz w promieniach słońca.

— A kto to? — spytała głosem ochryłym od snu.

Arkadin odwrócił się na pięcie i poszedł wprost do pokoju Kuzina. Wielki bandyta siedział za szarym metalowym biurkiem. Rozmawiał przez telefon, ale gestem pokazał współpracownikowi, że może usiąść i zaczekać. Leonid wolał stać. Zacisnął dłonie na krzyżowym oparciu, oparł się o nie.

— Co mogę dla ciebie zrobić, przyjacielu? — spytał Staś, odkładając słuchawkę.

— Gdzie Jelena?

— Kto? — Ściągnięte brwi sprawiły, że Kuzin upodobił się do cyklopa. — A tak, ta, która płakała? — Uśmiechnął się. — W porządku, już nigdy nie będzie zawracać ci głowy.

— Co to znaczy?

— Po co zadawać pytania, na które z góry zna się odpowiedź? — Zadzwoił telefon; podniósł słuchawkę, powiedział: „Masz, kurwa, czekać!”, i odłożył ją na bok. — Dziś wieczorem pójdziemy na kolację. Odzyskaliście wolność, Leonidzie Daniłowiczu. Trzeba to uczcić. Zabawimy się, nie? — I jak gdyby nigdy nic powrócił do interesów.

Arkadin czuł się zawieszony w czasie, jakby miał przeżywać tę chwilę aż do śmierci. Niczym niemy automat wyszedł z pokoju Kuzina, z burdelu, z domu, który był jego własnością. Nic nie myśląc, nad niczym się nie zastanawiając, wsiadł do samochodu, pojechał na północ, do lasu roniących łyzy jodeł i płaczących świerków. Na niebie nie było słońca, horyzont ograniczały bliskie kominy fabryczne. W powietrzu unosił się opar cząsteczek węgla i siarki, nadając mu upiorną czerwono-pomarańczową barwę, jakby świat wokół płonął żywym ogniem.

Zjechał z drogi, zatrzymał samochód, poszedł wzdłuż kolein, drogą, którą za pierwszym razem przejechał furgonetką. W którymś momencie uświadomił sobie, że biegnie najszybciej, jak potrafi, przeskakując niskie krzaki, jakby tęsknił za smrodem zgnilizny uderzającym w niego coraz silniejszymi falami.

Zatrzymał się na krawędzi dołu. W kilku miejscach wsypano do niego worki niegaszonego wapna przyspieszającego rozkład, lecz nie sposób było nie rozpoznać jego zawartości. Szukał wzrokiem zwłok Jeleny i znalazł je wreszcie, skulone w miejscu, w którym ciało zepchnięto kopniakami. Zbliżało się do niego kilka ogromnych szczurów.

Stojąc na granicy piekła, Arkadin ni to krzyknął, ni jęknął; tak piszczy szczeniak, gdy niechący nadeptnie mu się na łapę. Ignorując straszliwy smród, wycierając załzawione oczy, zbiegł na dół, wyciągnął zwłoki Jeleny i położył je na posłaniu z brązowych igieł, miękkim jak jej łóżko. Biegiem wrócił do samochodu, wyjął łopatę z bagażnika.

Leonid Arkadin pogrzebał Jelenę niespełna kilometr od dołu, w którym ją znalazł, na małej polance, cichej, zagubionej w lesie. Ciało niósł na ramieniu; nim skończył, przesiąkł wonią śmierci. W tej chwili, siedząc w kucki, z twarzą brudną od ziemi i potu, wątpił, czy kiedykolwiek zdoła pozbyć się tego zapachu. Gdyby znał jakąś modlitwę, odmówiłby ją teraz, ale umiał tylko przeklinać, więc klął z zapałem nawróconego. Nie był jednak nawrócony, lecz przeklęty.

Biznesmen uznalby, że pora na podjęcie decyzji. Arkadin nie był jednak biznesmenem i w tym momencie jego los został przypieczętowany. Wrócił do Niżnego Tagiłu z dwoma naładowanymi steczkinami i zapasową amunicją w kieszeniach koszuli. Wszedł do burdelu, zastrzelił dwa pełniące straże upiory. Żaden z nich nie zdążył wyjąć broni.

Staś Kuzin wybiegł ze swojego pokoju z pistoletem Korowin TK w garści.

— Co jest, kurwa, grane? — krzyknął.

Dostał po kulce w oba kolana i upadł, krzycząc. Próbował jeszcze unieść pistolet, Arkadin nastąpił mu na rękę, Staś stęknął ciężko, ale pistolet puścił dopiero wtedy, kiedy współnik kopnął go w zranione kolano. Straszny ryk wywabił resztę dziewcząt z ich pokoi.

— Wynoście się. — Arkadin nie spuszczał wzroku z potwornej twarzy. — Weźcie forszę, którą znajdziecie, i wracajcie do rodzin. Opowiedzcie im o dole z wapnem, na północ od miasta.

Słyszał, jak wychodzą pospiesznie, rozmawiając ze sobą podnieconymi głosami, po czym zapadła cisza.

— Pieprzony skurwysyn — warknął Kuzin.

Arkadin się roześmiał, strzelił mu w prawe ramię, a następnie schował pistolet do kabury i pociągnął Kuzina po podłodze. Musiał odepchnąć ciało jednego z upiorów, co kosztowało go trochę wysiłku, ale w końcu udało mu się zejść po schodach i wydostać na dwór. Kuzin jęczał przeraźliwie. Jedna z jego furgonetek zatrzymała się z piskiem

opon. Arkadin ostrzelał ją z obu pistoletów; szkło posypało się z trzaskiem, martwy kierowca osunął się, naciskając klakson, samochód stanął. Nikt z niego nie wysiadł.

Rzucił Kuzina na tylne siedzenie swojego samochodu i pojechał do lasu. Skręcił w wyjeżdżoną dróżkę. Zatrzymał się na jej końcu, wywlekł ciało Stasia i cisnął na krawędź dołu.

— Pieprz się, Leonid! Pieprz się, pieprz...

Kuzin dostał w prawe ramię praktycznie z przyłożenia, tak że niemal nic z niego nie zostało, a uderzone kulą ciało wpadło do dołu. Arkadin podszedł bliżej krawędzi, spojrzął w dół. Potwór leżał na trupach. Z ust ciekła mu krew.

— Zabij mnie! Myślisz, że boję się śmierci? No, już! Strzelaj!

— Zabić cię? To już nie moja robota, Staś.

— Mówię ci, że masz mnie zabić! Skończ z tym, kurwa twoja mać!

Jego współnik wskazał gestem trupy.

— Umrzesz w ramionach swoich ofiar, słysząc echo ich przekleństw.

— A co z twoimi ofiarami? — Kuzin krzyczał przeraźliwie, bo jego morderca znikł mu z oczu. — Umrzesz, dławiąc się własną krwią!

Leonid nie zwracał uwagi na jego krzyki. Usiadł za kierownicą, włączył silnik, zawrócił. Zaczęło padać; ołowiane krople jak kule spadały z bezbarwnego nieba. Dobiegający z hut basowy łoskot brzmiał jak salwa tysięcy armat rozpoczynająca wojnę, której ofiarą padnie... jeśli nie wydostanie się z Niżnego Tagiłu inaczej niż w plastikowej torbie.

Rozdział 40

— Gdzie jesteś, Jasonie? — spytała Moira. — Nie mogłam cię złapać.

— W Monachium.

— To cudownie. Dzięki Bogu, że tak blisko. Musimy się spotkać. — Moira mówiła szybko, lekko zdyszonym głosem. — Powiedz mi, gdzie cię znaleźć, zaraz przyjadę.

Bourne przełożył telefon z ręki do ręki; dało mu to szansę rozejrzenia się po okolicy.

— W tej chwili jestem w drodze do Englischer Garten.

— Co robisz w Schwabing?

— To długa historia. Opowiem, kiedy się zobaczymy. — Zerknął na zegarek. — Tylko... umówiłem się z Sorayą w chińskiej pagodzie. Podobno ma jakieś nowe informacje dotyczące ataków Czarnego Legionu.

— Dziwne. Bo ja też.

Bourne przeszedł przez ulicę. Spieszył się, ale pilnował, czy nie ma ogona.

— Czyli musimy się spotkać — mówiła dalej Moira. — Jestem w samochodzie, mogę przyjechać za piętnaście minut.

— To nie jest najlepszy pomysł. — Nie chciał, by uczestniczyła w profesjonalnym spotkaniu. — Kiedy skończymy, zadzwonię i... — Nagle zdał sobie sprawę z tego, że mówi w przestrzeń. Oddzwonił, ale

zgłosiła się poczta głosowa. Niech cię diabli, pomyślał.

Był już na granicy ogrodu, mniej więcej dwukrotnie większego od nowojorskiego Central Parku. Rzeka Izara dzieliła go na dwie części. Były tu ścieżki rowerowe i do joggingu, łąki, lasy, nawet wzgórze. Niemal na szczycie jednego z nich znajdowała się chińska pagoda, czyli... ogród piwny.

Idąc w tym kierunku, myślał oczywiście o Sorai. Rzeczywiście, wydawało się bardzo dziwne, że i ona, i Moira niemal jednocześnie zdobyły jakieś nowe informacje o Czarnym Legionie. Wrócił pamięcią do ostatniej rozmowy telefonicznej. Coś go w niej zaniepokoiło, już prawie wiedział co, ale im bardziej się nad tym zastanawiał, tym bardziej uciekała mu odpowiedź na tę zagadkę.

Nie mógł iść szybko, przeszkadzały w tym hordy turystów, amerykańskich dyplomatów, dzieci bawiące się balonami lub puszczające latawce. Co gorsza, w pagodzie rozpoczynało się zebranie studentów, którym nie podobały się zmiany w programie czy może jakieś zarządzenie władz uniwersyteckich.

Minął matkę z dzieckiem i dużą rodzinę w nike'ach i obrzydliwych dresach. Dziecko spojrzało na niego, Jason instynktownie się do niego uśmiechnął, a potem odwrócił i wytarł z twarzy krew cały czas sączącą się ze skaleczeń pozostałych po walce z Arkadinem.

— Nie, nie dostaniesz parówek — powiedziała mama do syna z silnym brytyjskim akcentem. — Całą noc chorowałeś.

— Ale mamo, już wszystko w porządku. Nie ma sprawy.

„Nie ma sprawy”. Bourne stanął jak wryty, potarł skroń nasadą dłoni. „Nie ma sprawy”. Te trzy słowa krążyły mu w głowie jak stalowa kulka pachinko.

Soraya.

„Cześć, to ja, Soraya”. Tak zaczęła rozmowę. A potem: „W tej chwili właśnie tu, w Monachium”. A kiedy kończyli: „No właśnie. Nie ma sprawy. A ty?”

Bourne, poszturchiwany przez gęstniejący tłum, miał wrażenie, że mózg płonie mu w głowie. To określenie... znał je i nie znał. Jak to możliwe? Potrząsnął głową, jakby mogło mu to pomóc odzyskać jasność myślenia. Wspomnienia pojawiały się jak ciosy nożem, którego ostrze przecina płótno. Migotliwy blask...

Dostrzegł Moirę. Zbliżała się do chińskiej pagody z przeciwnej strony, sprawiała wrażenie bardzo skupionej, nawet ponurej. Czy coś się stało? Jakie miała dla niego informacje?

Wyciągnął szyję, próbując wypatrzeć Sorayę wśród tłumu demonstrantów. I nagle przypomniał sobie.

„Nie ma sprawy”.

Ta rozmowa już się kiedyś odbyła. Gdzie? W Odessie? „Cześć, to ja” oznaczało, że znajduje się w sytuacji przymusowej. „W tej chwili właśnie tu” — że jest nie tu, lecz gdzie indziej.

„Nie ma sprawy” zaś sygnalizowało pułapkę.

Spojrzał przed siebie i serce mu się ścisnęło. Moira właśnie w tę pułapkę wchodziła.

Kiedy otworzyły się drzwi, Willard zamarł. Ponieważ klęczał za biurkiem, od wejścia nie było go widać. Usłyszał głosy, z których jeden należał do LaValle'a. Zastygł w bezruchu.

— To nie takie ważne — powiedział LaValle. — Przyślij mi rachunki e-mailem, sprawdzę je, kiedy skończę z tą Moore.

— Prawdziwa okazja — odparł Patrick, jeden z jego doradców. — Lepiej wracaj do biblioteki, Moore robi zamieszanie.

LaValle zaklął. Willard słyszał, jak podchodzi do biurka, szeleści papierami; być może szukał jakichś akt. Po chwili chrząknął zadowolony, przeszedł przez gabinet, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Dopiero słysząc chrobot klucza w zamku, Willard ośmielił się wypuścić powietrze z płuc. Używając Bluetootha, ustanowił połączenie między kamerą a swoją komórką, na którą nagrał zdjęcia. Następnie wybrał numer sy-
na, który w rzeczywistości nie był jego synem, choć gdyby ktoś do niego

zadzwoił, odpowiedziałby mu młody człowiek, mający polecenie podawania się za Willarda juniora, i wysłał zdjęcia jednym długim impulsem. Gdyby łączył się dla każdego zdjęcia osobno, serwer z pewnością wszcząłby alarm.

Rozłączył się wreszcie i odetchnął z ulgą. Robota zrobiona, zdjęcia są w Centrali, gdzie będą najbardziej czy też, z punktu widzenia Luthera LaValle'a, najmniej przydatne. Sprawdził godzinę, schował aparat do kieszeni, zamknął drzwiczki skrytki i wypełził zza biurka.

Cztery minuty później, porządnie uczesany, szalenie elegancki w czystym uniformie, podawał Sorai cejlońską herbatę, a LaValle'owi szkocką single malt. Pani Moore podziękowała mu uprzejmie, a wpatrzonej w nią Luther LaValle zignorował go, jak zwykle.

Moira nie widziała go, a Bourne nawet nie próbował krzykiem zwrócić na siebie jej uwagi, bo w tym ludzkim wirze z pewnością by go nie usłyszała. Nie mogąc przedrzeć się w jej kierunku, zawrócił i wyszedł z największego tłumu. Przesuwał się w lewo; okrążając ludzką gęstwę, miał szansę jakoś do niej dotrzeć. Znów spróbował się z nią połączyć, ale albo nie słyszała sygnału komórki, albo na niego nie reagowała.

Agentów NSA zauważył, chowając komórkę. Poruszali się zorganizowaną grupą i zmierzali do centrum tłumu; mógł tylko przypuszczać, że oprócz tych, którzy rzucili mu się w oczy, zaciskający krąg tworzyli także inni, mający za zadanie go złapać. Jeszcze go nie dostrzegli, ale dwóch znajdowało się w tej chwili blisko Moiry. Był bez szans, nie mógł zbliżyć się do niej niezauważony. Mimo to nadal przesuwał się wzdłuż granicy tłumu tak gęstego, że młodzi, wykrzykujący jakieś hasła ludzie zaczęli się poszturchiwać i przepychać.

Bourne miał wrażenie, że porusza się coraz wolniej i wolniej, jakby znalazł się w świecie snu, gdzie nie obowiązują prawa fizyki. Musiał

dotrzeć do Moiry, nie zwracając na siebie uwagi agentów; narażała się na poważne niebezpieczeństwo, szukając go w obecności agentów. Musi ich wyprzedzić, to da mu przewagę, będzie mógł kontrolować ruchy ich obojga.

Zbliżył się do agentów i dopiero teraz dostrzegł, co było przyczyną zamieszania. Wśród demonstrantów pojawiła się duża grupa skinheadów, niektórzy z nich byli uzbrojeni w kastety i pałki baseballowe. Na potężnych ramionach mieli wytatuowane swastyki. W ruch poszły pałki, studenci zaczęli śpiewać i Bourne wybrał tę chwilę, by podbiec do Moiry. Jednocześnie jeden z agentów odepchnął łokciem skinheada i dostrzegł Jasona. Obrócił się. Bourne widział jego poruszające się usta; mówił do mikrofonu radia łączącego go z innymi członkami zespołu. Uznał, że jest to zespół egzekutorów.

Chwycił Moirę, ale agent trzymał jego, a nawet szarpał, jakby zamierzał powstrzymać go na czas potrzebny innym, żeby do nich dołączyli. Bourne uderzył faceta nasadą dłoni prosto w szczękę. Głowa mu odskoczyła, siła ciosu rzuciła go w tył, upadł między skinheadów, którzy sądząc, że ich atakuje, zaczęli go bić.

— Jasonie, co ci się, do diabła, stało? — spytała Moira, kiedy oboje odwrócili się i spróbowali wydostać z tłumu. — Gdzie Soraya?

— Nigdy jej tu nie było. NSA zastawiła kolejną pułapkę.

Najlepiej zrobiliby, pozostając wśród możliwie największej grupy ludzi i w największym zamieszaniu, lecz w ten sposób znaleźliby się w centrum pułapki. Bourne poprowadził ich więc kręgiem, z nadzieją, że znajdą miejsce, w którym agenci nie zdołają ich zobaczyć, lecz kiedy dostrzegł trzech pozostających poza zasięgiem zamieszek, zorientował się, że i ta droga ucieczki została odcięta. Zawrócił na pięcie, ciągnąc za sobą Moirę w największe skupisko demonstrantów.

— Co ty wyprawiasz? — spytała zdumiona. — Przecież wchodzimy w paszczę lwa.

— Zaufaj mi. — Instykt nakazał mu szukać schronienia dokładnie tam, gdzie wrzała najgorętsza bójka między studentami a skinheadami.

Byli już w jej zasięgu. Kątem oka Bourne dostrzegł agenta NSA przeciskającego się przez tłum tuż za nimi. Próbował skrócić, ale nie miał dokąd iść, a nowa grupa studentów zgarnęła ich jak fala przyływu śmieci. Czując wzmożony nacisk, agent odwrócił się, żeby mu się oprzeć, i wpadł wprost na Moirę.

Warknął nazwisko jej towarzysza do mikrofonu, a Bourne kopnął go w bok kolana. Mężczyzna się zachwiał, zdołał jednak zablokować cios w łopatkę. Wyjął pistolet, lecz Bourne wyrwał kij jednemu ze skinheadów i uderzył go w grzbiet dłoni, wytrącając mu broń.

Stojąca za jego plecami Moira ostrzegła:

— Jason, nadchodzą.

Lada chwila pułapka miała się zatrzasnąć.

Rozdział 41

LaValle siedział jak na szpilkach, czekając na wiadomość od dowódcy zespołu z Monachium. Zajmował swe ulubione miejsce naprzeciw okna, wychodzącego na łagodnie pofałdowane trawniki po lewej stronie szerokiej drogi dojazdowej, wijącej się wśród rzędów wiązków i dębów, stojących wzdłuż niej jak wartownicy. Wskazując Sorai Moore, przynajmniej werbalnie, właściwe miejsce, uznał za wskazane całkowicie ją lekceważyć, a także Willarda, który uznał, że nie wypada mu po raz trzeci proponować kolejnej szklaneczki whisky. Bo LaValle nie chciał whisky, nie zamierzał słuchać Sorai, za to marzył o tym, by zadzwonił jego telefon komórkowy i głos dowódcy zespołu poinformował go, że Jason Bourne został zatrzymany. Na dziś zupełnie by mu to wystarczyło i chyba nie prosił o zbyt wiele.

Niemniej prawdą było, że nerwy miał napięte jak postronki. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę z tego, że ma ochotę wrzeszczeć, dać komuś w pysk, omal nie wystartował jak rakieta do Willarda, gdy ten podszedł do ich stolika, jak zwykle taki cholernie służalczy. Obok niego siedziała Moore z nogą założoną na nogę, popijając tę swoją cholerną herbatkę. Jak może być taka spokojna.

Pochylił się, wytrącił jej z rąk filiżankę i talerzyk; upadły na gruby dywan, lecz się nie stłukły, tylko poplamiały go resztką wylewającej się herbaty. Skoczył na równe nogi, skruszył porcelanę obcasem buta, deptał ją już po dokonaniu dzieła zniszczenia. Świadom, że Soraya przygląda się mu zdziwiona, warknął:

— No co? Na co się gapisz?

Odezwała się jego komórka, sięgnął po nią na stół szybkim, gwałtownym gestem. W sercu czuł radość, na jego twarzy pojawił się triumfalny uśmiech. Ale dzwonił strażnik z głównej bramy, a nie dowódca monachijskiego zespołu.

— Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, proszę pana — powiedział — ale jest tu dyrektor Centrali Wywiadu.

— Co?! — krzyknął do słuchawki LaValle. Czuł wielkie, gorzkie rozczarowanie. — Niech się nie waży wjechać do środka, słyszałeś?

— Obawiam się, że to niemożliwe, proszę pana.

— Oczywiście, że możliwe! — Podszedł do okna. — To rozkaz!

— Ma ze sobą cały sztab szeryfów federalnych. W tej chwili są w drodze do domu.

I rzeczywiście, LaValle już widział jadący drogą konwój. Stał nieruchomo, zdumienie i wściekłość odebrały mu głos. Kto śmie naruszać jego prywatne sanktuarium! Za to pani dyrektor pójdzie siedzieć!

Drgnął, czując, że ktoś za nim stoi. Soraya Moore. Na jej szerokich ustach igrał tajemniczy uśmiech.

— Mam wrażenie, że czyjeś dni dobiegły końca — powiedziała.

Szalony wir ogarnął Bourne'a i Moirę. Coś, co zapowiadało się na zwykłą demonstrację, przerodziło się w regularną bójkę. Jason słyszał krzyki, wściekłe wrzaski, przekleństwa, a także stłumione w przeraźliwym hałasie, dobrze znane modulowane wycie policyjnych syren zbliżających się ze wszystkich stron równocześnie. Bourne był całkowicie

pewien, że ludzie NSA nie mają najmniejszej ochoty na starcie z monachijską policją, a więc zaczyna im brakować czasu. Znajdujący się obok nich agent również zorientował się w sytuacji. Dłońmi, nadal na pół bezwładnymi od uderzenia, chwycił Moirę za gardło.

— Rzuć kij i chodź ze mną, Bourne — rozkazał, przekrzykując stale rosnący hałas — albo słowo daję, że złamię jej kark jak zapałkę.

Jason wykonał polecenie, lecz w tej samej chwili Moira ugryzła agenta w rękę. Wykorzystał okazję, trafił faceta prosto w splot słoneczny, chwycił za nadgarstek, wykręcił mu rękę i złamał ją w łokciu. Agent z jękiem padł na kolana. Klęczącemu Jason wyrwał z kieszeni paszport, odebrał słuchawkę. Paszport rzucił Moirze.

— Nazwisko? — krzyknął.

— William K. Saunders.

Słuchawkę zdążył już włożyć do ucha.

— Tu Saunders — zameldował. — Bourne i dziewczyna oddalają się ode mnie w kierunku północno-zachodnim. Mijają pagodę. — Chwycił Moirę za rękę. — Ugryźć go, no, no — powiedział, przechodząc nad leżącym agentem. — Bardzo profesjonalne zachowanie.

— Ale skuteczne, prawda? — roześmiała się dziewczyna.

Przebijali się przez tłum w kierunku południowo-wschodnim.

Za ich plecami agenci NSA ruszyli w przeciwną stronę, przed nimi policjanci z oddziałów tłumienia rozruchów ulicznych, w pełnym rynsztunku, z bronią półautomatyczną w gotowości, truchtali ścieżką gotowi do akcji. Przebiegli obok, nie zaszczycając ich spojrzeniem. Moira spojrzała na zegarek.

— Chodźmy do samochodu, szybko. Musimy złapać samolot.

„Nie poddawaj się”. Te trzy słowa znalezione w owsiance wystarczyły, by podnieść Tyrone’a na duchu. Kendall nie wrócił, nie pojawił

się żaden inny przesłuchujący. Posiłki zaczęto podawać mu w regularnych odstępach i było to prawdziwe jedzenie, za które dziękował Bogu. Był pewien, że do końca życia nie weźmie owsianki do ust.

Miał wrażenie, że kaptur zdejmują mu z głowy częściej i na dłużej, poczucie czasu pozostało jednak zakłócone; nie potrafił powiedzieć, czy ma rację, czy też się myli. W każdym razie wykorzystywał te chwile na ćwiczenia: chodził, robił pompki, przysiady i brzuszki, słowem wszystko, by pozbyć się straszego, pulsującego w całym ciele bólu ramion i szyi.

„Nie poddawaj się”. Równie dobrze jego tajemniczy sprzymierzeniec mógł napisać na karteczce: „Nie jesteś sam” albo „Nie trać wiary”, tak ważne były te słowa, pełne znaczenia niczym skarbiec milionera. Kiedy je czytał, wiedział, że Soraya go nie porzuciła, że gdzieś tu, w budynku, ktoś, kto ma dostęp do piwnicy, jest po jego stronie. W tej właśnie chwili doznał objawienia, jakby był, jeśli dobrze pamiętał Biblię, Pawłem na drodze do Damaszku, nawróconym przez światło Boga.

„Ktoś jest po mojej stronie”... nie po stronie dawnego Tyrone’a, szalejącego po „swojej” dzielnicy, przepełnionego gniewem i żądzą zemsty, nie Tyrone’a, którego Deron wyciągnął z rynsztoka, nawet nie Tyrone’a olśnionego Soraya. Nie; kiedy spontanicznie pomyślał: „ktoś jest po mojej stronie”, zdał sobie sprawę z tego, że „moja strona” oznacza Centralę Wywiadu. Nie tylko na zawsze wyzwolił się od kaptura, lecz na zawsze wyszedł z cienia Sorai. Stał się pełnym człowiekiem, odkrył własne powołanie, nie protegowanego Derona, nie jego ucznia, nie asystenta Sorai wielbiącego swoją towarzyszkę, lecz pracownika CI w służbie, gdzie naprawdę można zrobić coś dobrego. Jego świat nie dzielił się już na niego samego z jednej strony i resztę ludzi z drugiej.

Tyrone nie walczył już z tym, czym sam się stawał.

Ożywił się. Wiedział, że musi wydostać się z celi, ale jak? Najlepiej byłoby, gdyby zdołał jakoś porozumieć się z człowiekiem, który

przysłał mu wiadomość. Zastanawiał się przez chwilę. Karteczkę włożono do talerza z owsianką, postąpiłby więc logicznie, ukrywając swój liścik w resztkach jedzenia. Oczywiście nie będzie miał żadnej pewności, czy ten ktoś zdoła ją wyjąć, czy w ogóle będzie wiedział o jej istnieniu, ale miał tę jedną jedyną szansę i musiał z niej skorzystać.

Rozglądał się za czymś, czego mógłby użyć do przygotowania notatki, gdy rozległ się trzask zamka. Znieruchomiał. Czy to Kendall wrócił, by rozpocząć od nowa swe sadystyczne gierki? Czy pojawił się prawdziwy kat? Spojrzał przez ramię na koryto, w jego oczach błysnęła strach. Ale... drzwi się otworzyły i stanęła w nich Soraya, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Boże — odezwała się — jak dobrze cię widzieć.

— Jak miło znów cię widzieć — powiedziała Veronica Hart. — Zwłaszcza w tych okolicznościach.

Luther LaValle odwrócił się od okna; stał, kiedy do biblioteki weszła dyrektor CI w towarzystwie szeryfów i sporej grupy agentów. Obecni w pomieszczeniu pracownicy LaValle'a najpierw zagapili się na grupę w zdumieniu, a potem zrejterowali przed władzą. W tej chwili Luther siedział sztywno wyprostowany, twarzą w twarz z Veronica.

— Jak śmiesz — przemówił. — To skandaliczne zachowanie nie pozostanie bezkarne. Gdy tylko poinformuję sekretarza obrony Hallidaya o kryminalnym złamaniu protokołu...

Hart wyłożyła zdjęcia przedstawiające cele w piwnicy.

— Masz rację, LaValle, twoje skandaliczne zachowanie nie pozostanie bezkarne. Przypuszczam, że to właśnie sekretarz obrony przeprowadzi dochodzenie w sprawie kryminalnego złamania protokołu.

— Robię, co muszę, w obronie mojego kraju — zadeklamował sztywno LaValle. — Jeśli kraj pozostaje w stanie wojny, w obronie jego granic podejmuje się nadzwyczajne środki. To ty i ludzie tobie podobni,

słabowici lewicowi intelektualiści, jesteście wszystkiemu winni, nie ja. — Ożywił się, policzki mu poczerwieniały. — Ja jestem patriotą, a ty? Potrafisz tylko przeszkadzać. Ten kraj skruszyły się i zawalił, gdybyśmy rządy nim pozostawili tobie i innym podobnym. Jestem jedynym ratunkiem dla Ameryki!

— Albo sam usiądziesz — powiedziała Veronica cicho, lecz stanowczo — albo któryś z moich słabowitych lewicowców posadzi cię siłą. — LaValle przeszył ją wściekłym spojrzeniem... i usiadł. Ona zaś mówiła dalej: — Miło żyć we własnym świecie stworzonym według własnych zasad i do diabła z rzeczywistością.

— Nie żałuję tego, co robiłem. Jeśli oczekujesz skruchy, to na próżno.

— Szczerze mówiąc, niczego po tobie nie oczekuję. Przynajmniej przed torturą wody. — Veronica przerwała, patrząc, jak krew odpływa z twarzy mężczyzny. — To byłoby jakieś rozwiązanie. Twoje, nie moje. — Schowała fotografie do koperty.

— Kto je widział?

— Wszyscy, którzy powinni je widzieć.

LaValle się skrzywił.

— A więc — powiedział sztywno, bez śladu skruchy — to koniec.

Veronica Hart spozrzała nad jego ramieniem, rozejrzała się po bibliotece.

— Jeszcze nie. Pozostaje sprawa Sorai i Tyrone'a.

Siemion Ikupow siedział na stopniach domu, blisko miejsca strzelaniny. Jego ciężki płaszcz ukrywał cieknącą krew; zbierała się pod nim, więc nie wzbudzał zainteresowania tłumów, przyciągał zaledwie jedno i drugie ciekawe spojrzenie mijających go przechodniów. Kręciło mu się w głowie, miał mdłości; niewątpliwy skutek szoku i utraty krwi. Nie myślał jasno. Rozejrzał się dookoła przekrwionymi oczami. Gdzie

samochód, który go tu przywiózł? Musi się stąd wynieść, nim Arkadin wyjdzie z budynku i zauważy go. Wyprowadził tygrysa z dżungli, próbował go udomowić. Błąd o długiej, historycznej tradycji, bo ileż razy tego próbowano, zawsze z tym samym rezultatem? Tygrysy nie są stworzone do życia w zamknięciu, Arkadin tak samo. Był tym, kim był, i nigdy nie miał się zmienić: mordercza maszyna o zdolnościach niemal nadprzyrodzonych. Ikupow rozpoznał ten talent, rzucił się na niego, próbował okiełznać, ukształtować tak, by mieć z niego pożytek. Tygrys zwrócił się przeciwko niemu; miał przeczucie, że zginie w Monachium, a teraz wiedział już dlaczego, wiedział gdzie.

Spojrzał na dom, w którym mieszkał Kirsch, i poczuł gwałtowny przyptyw strachu, jakby lada chwila miała wyjść z niego śmierć, dopaść go na ulicy. Próbował jakoś się uspokoić, wstać, ale jego ciało przeszył straszliwy ból, kolana się pod nim ugięły i padł z powrotem na zimne schody.

Ludzie mijali go, nie poświęcając mu najmniejszej uwagi. Przejeżdżały samochody. Niebo się obniżyło, dzień pociemniał niczym przykryty całunem. Nagły powiew wiatru przyniósł deszcz o kroplach twardej jak kulki gradu. Schował głowę w ramionach, zadrżał.

W tej chwili usłyszał, że ktoś wykrzykuje jego nazwisko, dostrzegł koszmarną postać: Leonid Daniłowicz Arkadin wychodził z domu Kirscha. To go zmotywowało, znów spróbował wstać. Jęknął, ale utrzymał się na nogach.

Arkadin pobiegł w jego kierunku. Dokładnie w tym momencie do krawężnika podjechał czarny osobowy mercedes. Wskoczył z niego kierowca, chwycił Ikupowa i zaczął go na pół ciągnąć, na pół nieść. Ikupow usiłował się bronić, ale na próżno; był osłabiony utratą krwi i z chwili na chwilę słabł coraz bardziej. Kierowca wrzucił go na tylne siedzenie. Wyjął HK 1911, odstraszył nim Arkadina, obiegł samochód od strony maski, wskoczył do środka, odjechał.

Rosjanin siedział na tylnym siedzeniu, jęcząc rytmicznie jak posapująca lokomotywa. Mknący przez ulice Monachium mercedes miękko kołysał się na resorach. Odczuł to od razu, ale nie od razu uświadomił sobie, że oprócz niego i kierowcy jest w samochodzie ktoś jeszcze.

— Cześć, Siemion — powiedział znajomy głos.

— Ty? — spytał Ikupow, przytomniejąc nagle.

— Dawno się nie widzieliśmy, prawda? — odezwał się Dominic Specter.

— Empire State Building... — Moira studiowała plany, które Bourne zdołał wynieść z mieszkania Kirscha. — Nie wierzę, żebym mogła aż tak się pomylić. — Zatrzymali się na parkingu przy prowadzącej na lotnisko autostradzie.

— Dlaczego „pomylić”? — zdziwił się Bourne.

Opowiedziała mu o Arthurze Hauserze, inżynierze pracującym dla Kaller Steelworks, i jego informacji o wadzie oprogramowania terminalu płynnego gazu. Bourne zamyślił się głęboko.

— Jeśli terroryści użyją tej informacji i przejmą kontrolę nad oprogramowaniem, co mogą zrobić?

— Gazowce są tak wielkie, a terminale tak skomplikowane, że dokowanie przeprowadza się elektronicznie.

— Pod kontrolą oprogramowania?

Moira skinęła głową.

— Więc mogą doprowadzić do zderzenia gazowca z terminalem. Czy mogłoby to spowodować wybuch zbiorników?

— Całkiem prawdopodobne, owszem.

Bourne myślał szybko.

— A jednak terroryści musieliby wiedzieć o wadzie oprogramowania, znać sposób na wykorzystanie tej wady. Musieliby umieć je zrekonfigurować.

— Mimo wszystko to chyba prostsze od wysadzenia w powietrze wielkiego budynku na Manhattanie.

Miała oczywiście rację, a dzięki pytaniom, które Bourne sobie zadawał, natychmiast pojął implikacje. Moira zerknęła na zegarek.

— Jasonie, nasz samolot z elementami złącza startuje za trzydzieści minut. — Wrzuciła bieg, wyjechała na autostradę. — Musimy podjąć decyzję, nim dojedziemy na lotnisko. Lecimy do Nowego Jorku czy do Long Beach?

— Próbowałem dojść, dlaczego Specter i Ikupow robili dosłownie wszystko, by odzyskać te plany. — Bourne spojrzał na nie, jakby oczekiwał, że przemówią i udzielą mu odpowiedzi. — Problem w tym — ciągnął powoli, z namysłem — że powierzono je synowi Spectera, Piotrowi, którego bardziej niż praca interesowały dziewczęta, narkotyki i moskiewskie nocne życie. Przez to jego siatka składała się z odmieńców, narkomanów i słabeuszy.

— Dlaczego miałby przekazać dokument takiej wartości takim ludziom?!

— No właśnie. Nie popełniłby takiego błędu.

Moira obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

— Więc co to znaczy? Siatka była fałszywa?

— Patrząc z perspektywy Piotra, nie, ale z punktu widzenia Spectera, owszem: tworzący ją ludzie nie mieli żadnej wartości.

— Więc plany też są fałszywe?

— Nie. Moim zdaniem są prawdziwe i na to właśnie liczył Specter. Lecz jeśli rozważyć sytuację chłodno i logicznie, czego nikt nie robi w przypadku groźby natychmiastowego ataku terrorystycznego, widać, że prawdopodobieństwo, by jakaś grupa ulokowała w Empire State Building to wszystko, co do ataku potrzebne, jest bardzo niewielkie. — Bourne zwinął plany. — Sądzę, że chodziło o skomplikowaną dezinformację. Przeciek informacji do Typhona, wciągnięcie w sprawę mnie, ze względu na lojalność wobec Spectera... wszystko po to, by amerykańskie siły bezpieczeństwa zmobilizowały się na wybrzeżu nie tego oceanu.

— Twoim zdaniem prawdziwym celem Czarnego Legionu jest terminal gazu w Long Beach?

— Owszem — przytaknął Bourne.

Tyrone przyglądał się LaValle'owi nieruchomym spojrzeniem. Kiedy wszedł do biblioteki wraz z Sorayą, zapadła martwa cisza. Soraya przede wszystkim wzięła leżący na stole telefon LaValle'a.

— Świetnie — powiedziała, oddychając z ulgą. — Nikt nie dzwonił. Jason jest bezpieczny. — Zatelefonowała do niego, ale nie przyjął rozmowy.

Hart wstała na ich przywitanie.

— Nie najlepiej wyglądasz, Tyrone — zauważyła.

— Nie cierpię na nic, czego nie wyleczyłby trening w szkole CI.

Veronica spojrzała na Sorayę, po czym skinęła głową.

— Sądzę, że sobie na to zasłużyłeś. — Uśmiechnęła się. — W twoim przypadku mogę chyba zrezygnować ze zwyczajowej przemowy o tym, ilu to kandydatów odpada w czasie pierwszych dwóch tygodni. Nie muszę przecież martwić się o to, że i ty odpadniesz.

— Nie, proszę pani.

— Wystarczy „dyrektor”.

Tyrone skinął głową. Nie mógł oderwać wzroku od LaValle'a. Nie uszło to niczyjej uwagi. Pani dyrektor miała na ten temat coś do powiedzenia.

— LaValle, uważam, że sprawiedliwości stanie się zadość, jeśli to Tyrone zdecyduje o pańskim losie.

— Zwariowałaś? — LaValle wyglądał tak, jakby lada chwila miał dostać apopleksji. — Nie możesz...

— Wręcz przeciwnie. Mogę. Tyrone — Veronica zwróciła się do chłopaka — decyzja należy do ciebie. Niech kara odpowiada winie.

Tyrone, przeszywając wzrokiem LaValle'a, dostrzegł w jego oczach coś, co widział w oczach wszystkich stojących naprzeciw niego białych ludzi: toksyczną mieszankę pogardy, awersji i strachu. Niegdyś doprowadzało go to do furii, ale tylko dlatego, że był wówczas ignorantem. Być może odbijały tylko to, co można było odczytać z jego twarzy? Dzisiaj miało być inaczej i już nigdy nie będzie tak, jak było, ponieważ siedząc w celi, zrozumiał wreszcie to, czego próbował nauczyć go Deron: twym największym wrogiem jest ignorancja. Wiedza pozwoliła mu na próby zmiany tego, w jaki sposób postrzegają go inni, na nieatakowanie ich z nożem czy pistoletem w ręku.

Rozejrzał się, dostrzegł wyraz oczekiwania na twarzy Sorai i znów skupił uwagę na LaValle'u.

— Sądzę, że powinno to być coś publicznego i wystarczająco żenującego, by dotarło aż do sekretarza Hallidaya.

Veronica Hart nie zdołała zachować powagi. Śmiała się, aż łzy napłynęły jej do oczu. Przez głowę przeleciały jej słowa Gilberta i Sullivana: „Cel jakże subtelny w końcu go nie minie — niech kara odpowiada winie”.

Rozdział 42

— Wygląda na to, że dopadłem cię w bardzo dla ciebie niekorzystnej sytuacji, mój drogi Siemionie. — Dominic Specter z klinicznym zainteresowaniem przyglądał się Ikupowowi, mimo widocznego bólu usiłującemu siedzieć prosto.

— Potrzebuję lekarza. — Ikupow dyszał jak tani samochodzik próbujący wjechać pod stromą górę.

— Powiedziałbym, że potrzeba ci raczej chirurga, mój drogi Siemionie. Niestety, nie mamy na to czasu. Muszę dostać się do Long Beach, a nie mogę pozwolić sobie na to, żeby zostawić cię za plecami.

— To był mój pomysł, Asherze. — W wygodnym siedzeniu Siemion Ikupow poczuł się nieco lepiej, nawet policzki lekko mu poróżwiały.

— Użycie Piotra też. Jak nazwałeś mojego syna? Ach tak, pamiętam, „bezużytecznym pryszczem na dupie losu”. Tak powiedziałaś? Nie myślę się?

— Był bezużytecznym człowiekiem, Asherze. Dla niego liczyły się tylko łóżko i odlot. Czy gotów był służyć sprawie? Czy w ogóle wiedział, co to znaczy? Bardzo w to wątpię... i ty też.

— Zabiłeś go, Siemionie.

— A ty nakazałeś zabójstwo Iliewa.

— Sądziłem, że zmieniłeś plany — powiedział Sewer. — Założyłem, że posłałeś go za Bourne'em, żeby mnie zdemaskować, zyskać przewagę przez zdradzenie mu, że celem jest Long Beach. Nie patrz tak na mnie. Uważasz, że to dziwne? W końcu dłużej byliśmy wrogami niż przyjaciółmi.

— Cierpisz na paranoję — stwierdził Ikupow, choć swego czasu wysłał zastępcę z zadaniem zdemaskowania Sewera. Załamał się, choć tylko na chwilę, stracił wiarę, uznał, że oni wszyscy ponoszą zbyt wielkie ryzyko. Od początku protestował przeciw wprowadzeniu na scenę Bourne'a, ustąpił jednak wobec argumentu, że CI i tak prędzej czy później wystawi go na boisko. „Lepiej będzie dla nas uprzedzić ich ruch” — tłumaczył Sewer, przebijając jego zastrzeżenia. I na tym stanęło... aż do dziś.

— Obaj cierpimy.

— Smutne, ale prawdziwe.. — Ikupow syknął z bólu. Bo rzeczywistość, była to szczerą prawdą. Ich wielka siła: ścisła współpraca, o której nie wiedział nikt w żadnym z obozów, była także wielką słabością. Ponieważ ich grupy oficjalnie zwalczały się nawzajem, ponieważ nemezis Czarnego Legionu był w istocie jego najbliższym sojusznikiem, wszyscy potencjalni rywale wycofywali się w panice, przez co grupa mogła działać bez przeszkód. Jednakże działania, które świadomi rzeczy przywódcy musieli podejmować, by utrzymać pozory, powodowały, że wbrew intencjom ich wzajemne zaufanie ulegało powolnej erozji.

Ikupow wyczuł, że poziom owej nieufności nigdy jeszcze nie był tak wysoki, i spróbował rozładować napięcie.

— Piotr popełnił samobójstwo, a ja, uwierz mi, tylko się broniłem. Wiesz, że wynajął Arkadina, żeby mnie zabił? Co według ciebie miałem zrobić?

— Były inne możliwości, ale dla ciebie sprawiedliwość to oko za oko. Jak na muzułmanina jest w tobie dużo ze starotestamentowego Żyda. No i wygląda na to, że twoja własna sprawiedliwość obróci się

przeciwko tobie. Jeśli Arkadin cię dopadnie, zginiesz z jego ręki. — Sewer się roześmiał. — Co za ironia, nie uważasz? Przecież tylko ja mogę cię uratować. Zabiłeś mi syna, a ja mam władzę nad twoim życiem i twoją śmiercią.

— Każdy z nas zawsze miał władzę nad życiem i śmiercią tego drugiego. — Ikupow usiłował stać się równym partnerem w rozmowie. — Ofiary padały po obu stronach, godne to pożałowania, lecz konieczne. Im bardziej rzeczy się zmieniają, tym bardziej pozostają takie same. Z wyjątkiem Long Beach.

— I na tym polega nasz problem. Właśnie wracam z przesłuchania Arthura Hausera, naszego człowieka w firmie. Ponieważ robił to, co robił, moi ludzie go monitorowali. Dzisiaj rano facet spanikował, spotkał się z człowiekiem z Black River. Trochę czasu zajęło mi przekonanie go, żeby zaczął mówić, ale w końcu się udało. Powiedział kontaktowi, to znaczy Moirze Trevor, o dziurze w programie.

— A więc Black River wie.

— Jeśli wie, nic w tej sprawie nie robi. Hauser powiedział mi także, że wycofali się z NextGen; nie zajmują się już ochroną.

— A kto się tym zajmuje?

— Nieważne. — Sewer wzruszył ramionami. — Ważne jest to, że gazowiec znajduje się w tej chwili niespełna dzień drogi od wybrzeży Kalifornii. Mój inżynier informatyk jest na miejscu, gotów do akcji. Pozostaje pytanie, czy wspomniana agentka Black River ma zamiar działać na własną rękę, czy nie.

Ikupow zmarszczył brwi.

— A dlaczego miałyby to robić? Znasz ich równie dobrze jak ja. Zawsze działają zespołowo.

— Zgoda, ale ta Trevor powinna już rozpocząć kolejne zadanie, a moi ludzie informują mnie, że nadal jest w Monachium.

— Może zrobiła sobie wolne?

— A może — zauważył Sewer — podejmie akcję na podstawie uzyskanych od Hausera informacji?

Zbliżali się do lotniska. Ikupow zaczynał mieć problemy z mówieniem.

— Pewność zyskamy wyłącznie poprzez sprawdzenie, czy jest w samolocie NextGen transportującym elementy złącza do terminalu. — Uśmiechnął się z wysiłkiem. — Sprawiasz wrażenie zdziwionego, że wiem aż tyle. Mam swoich szpiegów; o wielu nie masz pojęcia. — Sięgnął pod płaszcz, jęknął z bólu. Rozejrzał się bezradnie. — Dostałem wiadomość tekstową, ale nie mogę znaleźć komórki. Musiała wypaść, kiedy twój kierowca ciągnął mnie do samochodu.

Sewer tylko machnął ręką, ignorując brzmiającą w jego głosie pretensję.

— To bez znaczenia. Hauser przekazał mi wszystkie szczegóły, musimy tylko przejść przez ochronę.

— Mam w odprawie paszportowej ludzi, o których nic nie wiesz.

W uśmiechu Sewera pojawił się wyraz okrucieństwa, jakże charakterystycznego dla ich obu.

— Mój drogi Siemionie, a jednak do czegoś się przydajesz.

Arkadin znalazł telefon Ikupowa, leżący w rynsztoku, tam gdzie upadł, kiedy jego właściciela wrzucono do mercedesa. Zdołał się opanować i zamiast rozdeptać go, sprawdził, z kim jego właściciel przeprowadził ostatnią rozmowę. Przy okazji zauważył, że niedawno otrzymał on wiadomość tekstową. Dotyczyła samolotu odrzutowego NextGen startującego za dwadzieścia minut. Ciekawe, pomyślał, po co mu była potrzebna. Jakaś część jego osoby marzyła o powrocie do Dewry; ta sama, która opierała się konieczności opuszczenia jej dla pościgu za Ikupowem. Ale w budynku roіło się od policji, odcinano cały kwartał, więc nawet nie obejrzał się za siebie i robił co w jego mocy, by zapomnieć, jak leżąc na podłodze, bezwładna, wpatrywała się w niego nieruchomym spojrzeniem już po tym, kiedy przestała oddychać.

„Kochasz mnie, Leonidzie?”.

Co jej powiedział? Już nie pamiętał. Śmierć dziewczyny była niczym sen, ciągle żywa, lecz pozbawiona sensu. Może to symbol? Jeśli tak, to nie miał pojęcia, co oznacza.

„Kochasz mnie, Leonidzie?”.

Czy miało to jakieś znaczenie?... Dla niej wielkie. Skłamał, tak, oczywiście, z pewnością skłamał, by ulżyć dziewczynie w chwili śmierci, lecz sama myśl o kłamstwie sprawiła, że ostrze sztyletu przebiło mu serce, a raczej to, co uchodziło u niego za serce.

Jeszcze raz przeczytał SMS-a; wiedział już, gdzie znajdzie Ikupowa. Odwrócił się na pięcie, poszedł w kierunku kordonu. Udając reportera działu kryminalnego „Abendzeitung”, bezczelnie zaczepił jednego z młodszych mundurowych, zadał mu kilka ciętych pytań o strzelaninę, o której mieli opowiedzieć mu mieszkańcy sąsiednich budynków. Jak się spodziewał, gliniarz tylko pilnował terenu i o niczym nie wiedział. Nie miało to żadnego znaczenia, osiągnął, co chciał osiągnąć, był wewnątrz kordonu. Niedbale oparty o jeden z radiowozów przeprowadził bezsensowny, udawany wywiad.

Chłopaka gdzieś w końcu odwołano. Na odchodnym przekazał Arkadinowi informację, że komisarz zapowiedział konferencję prasową na szesnastą; z pewnością wówczas dowie się wszystkiego. Dzięki temu Rosjanin został sam, oparty o błotnik. Niewiele kosztowało go przejście przed maską, a potem, kiedy po zwłoki przyjechała karetka patologa, wywołując jakże przydatne zamieszanie, także wślizgnięcie się za kierownicę. Kluczyki tkwiły w stacyjce; po prostu uruchomił silnik i odjechał. Na autostradzie wcisnął gaz, włączył syrenę i z maksymalną prędkością popędził na lotnisko.

— Z wprowadzeniem cię na pokład nie będę miała najmniejszych problemów — powiedziała Moira. Zjechała na czteropasmową drogę

dojazdową prowadzącą do terminalu cargo. Pokazała strażnikowi legitymację NextGen, zaparkowała przed budynkiem. Przez całą drogę biła się z myślami; nie wiedziała, czy powinna poinformować Jasona o tym, dla kogo pracuje. Ujawnienie, że zatrudnia ją Black River, byłoby bezpośrednim naruszeniem kontraktu; w tej chwili błagała los, by nie zasłała taka konieczność.

Przeszli przez kontrolę bezpieczeństwa, cło i kontrolę paszportową. Wyszli na pas, na którym czekał już na nich boeing 747. Pod wejście dla pasażerów podstawiono schody, z drugiej strony stały ciężarówka Kaller Steelworks Gesellschaft i lotniskowy podnośnik ładujący skrzynie z elementami łącza. Ciężarówka musiała się spóźnić, a sam proces załadunku był z natury powolny i uciążliwy. Ani Kaller, ani NextGen nie mogły sobie pozwolić na wypadek podczas ostatniego stadium realizacji projektu.

Moira pokazała legitymację jednemu z członków załogi stojącemu u stóp schodów, który skinął głową i uśmiechnął się, witając ich na pokładzie. Odetchnęła z ulgą. Między nimi a atakiem Czarnego Legionu stał już tylko dziesięciogodzinny lot do Long Beach.

Wchodzili po schodach, gdy w wejściu pojawiła się znajoma postać.

— Moira? — zdziwił się Noah. — A co ty tu robisz? Powinnaś być w drodze do Damaszku.

Manfred Holger, człowiek Ikupowa w kontroli paszportowej, spotkał się z nimi na stanowisku kontroli w terminalu cargo i niemal w biegu wsiadł do ich samochodu. Ikupow zadzwonił do niego z telefonu Spectera. Holger właśnie skończył służbę, ale na szczęście nie zdążył jeszcze przebrać się w cywilne ubranie i nadal miał na sobie mundur.

— To nie problem — powiedział charakterystycznym, oficjalnym głosem wpojonym mu przez przełożonych. — Wy starczy, że sprawdzę w komputerze, czy przeszła u nas przez kontrolę.

— To za mało. Może podróżować pod zmienionym nazwiskiem.

— Dobrze. Wejdę na pokład i sprawdzę paszporty. — Holger siedział obok kierowcy. Odwrócił się, spojrzął na Ikupowa. — Jeśli ją znajdę, tę Moirę Trevor, to co mam zrobić?

— Zdejmij ją z pokładu — polecił Sewer. Urzędnik poszukał aprobaty u szefa, który tylko skinął głową. Twarz mu poszarzała, z największym trudem opanowywał ból. — I przyprowadź do nas.

Holger wziął ich dyplomatyczne paszporty, szybko przepuścił je przez kontrolę. Mercedes zaparkował tuż przy pasie. 747 z logo Next-Gen na kadłubie i ogonie stał bez ruchu; proces załadunku trwał. Ich kierowca podjechał za ciężarówkę, tak że mercedes był niewidoczny dla osób przebywających w samolocie lub wchodzących do niego. Holger skinął głową, wysiadł i ruszył w kierunku schodów.

— Kriminalpolizei — powiedział Arkadin, zatrzymując radiowóz przy punkcie kontroli terminalu cargo. — Mamy powody sądzić, że uciekał tędy człowiek, który dziś po południu popełnił podwójne morderstwo.

Strażnicy przepuścili go natychmiast, nie żądając legitymacji; samochód był dla nich wystarczającym dowodem. Po chwili Arkadin dostrzegł stojący na pasie odrzutowiec, przy nim ciężarówkę, a za ciężarówką czarnego mercedesa. Rozpoznał go od razu, podjechał i zaparkował tuż za nim. Przez chwilę siedział nieruchomo, nie spuszczać z niego wzroku, zupełnie jakby to limuzyna była jego największym wrogiem. Widział sylwetki dwóch mężczyzn siedzących z tyłu; nie musiał długo myśleć, by dojść do tego, że jednym z nich jest Siemion Ikupow. Zastanowił się, którego z pistoletów użyć do uśmiercenia niegdysiejszego mentora: dziewięciomilimetrowego SIG-sauera, lugera, czy SIG-sauera mosquito .22. Wszystko zależy od tego, jakie szkody ma wyrządzić kula i którym częściom ciała. Stasia Kuzina postrzelił w kolana, bo

chciał patrzeć, jak cierpi, ale to było w innym czasie i przede wszystkim w innym miejscu. Lotnisko należy do miejsc publicznych, w znajdującym się tuż obok terminalu pasażerskim pewnie aż roiło się od funkcjonariuszy ochrony. Zdołał dotrzeć bardzo daleko jako funkcjonariusz Kriminalpolizei, ale to nie oznacza, że szczęście będzie mu nadal dopisywało. Nie, to zabójstwo musi być szybkie i czyste. Pragnął tylko patrzeć w oczy umierającego, żeby Ikupow wiedział, kto zakończył jego życie i dlaczego.

W odróżnieniu od tego, co działo się z nim w momencie śmierci Kuzina, Arkadin był w pełni świadom tej chwili, wagi czynu syna zwyciężającego ojca, mszczącego się za fizyczne i psychologiczne cierpienia, których dorośli nie szczędzą dzieciom. Myśl o tym, że kiedy Misza wysłał Ikupowa, żeby dał mu nowe życie, Leonid nie był dzieckiem, jakoś nigdy nie zaświtała mu w głowie. Od dnia spotkania zawsze traktował tego człowieka jak zastępczego ojca. Był mu posłuszny, akceptował jego oceny, w całości przyjął jego spojrzenie na świat, był mu bezgranicznie wierny. A teraz miał go zabić za grzechy, których Siemion Ikupow dopuścił się względem niego.

— Skoro nie skorzystałaś ze swego lotu, pomyślałem, że zechcesz skorzystać z tego — powiedział Noah, całkowicie ignorując Bourne'a. — Ale ja ci na to nie pozwolę. To już nie twoja sprawa.

— Przecież Moira nadal pracuje dla NextGen, prawda? — spytał Bourne.

— Kto to? — Noah nie spuszczał wzroku z Moiry.

— Nazywam się Jason Bourne.

Na twarzy agenta rozkwitł uśmiech.

— Nie przedstawiałaś nas. — Wyciągnął rękę. — Jestem Noah Petersen.

— Bourne.

Petersen nadal uśmiechał się swym chytrym uśmieszkiem.

— A czy wiesz, Bourne, że cię okłamała? Że próbowała zwerbować cię do NextGen pod fałszywymi pozorami?

Zerknął na Moirę, ale się rozczarował, bo na jej twarzy nie odbiły się ani szok, ani oburzenie.

— Dlaczego miałyby to zrobić? — spytał Jason.

— Ponieważ — włączyła się do rozmowy dziewczyna — jak on pracuję dla Black River, prywatnej agencji bezpieczeństwa. NextGen wynajęła nas do nadzoru ochrony terminalu LNG.

Sądząc po wyrazie twarzy Noaha Petersena, to on doznał szoku.

— Wystarczy! Właśnie złamałaś warunki kontraktu.

— Nie złamałam. Pół godziny temu odeszłam z Black River. Jestem szefem ochrony NextGen, więc, szczerze mówiąc, to ty nie jesteś mile widziany na pokładzie tego samolotu.

Noah stał nieruchomo jak posąg. Cofnął się dopiero wówczas, kiedy Bourne zrobił krok w jego kierunku. Wszedł na schody. W połowie drogi zatrzymał się, odwrócił.

— Szkoda, Moiro — powiedział. — Wierzyłem w ciebie. Potrząsnęła głową.

— Szkoda, że Black River nie ma sumienia.

Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, po czym zszedł na dół i ruszył pasem, oddalając się od samolotu. Nie zauważył ani mercedesa, ani stojącego za nim policyjnego radiowozu.

Arkadin zdecydował się na SIG-sauera mosquito, bo robił najmniej hałasu. Zaciskając dłoń na kolbie, wysiadł z samochodu, podszedł do mercedesa od strony kierowcy. To właśnie kierowcę, bez wątplenia będącego także gorylem, należało wyeliminować najpierw. Trzymając broń tak, by nie było jej widać, zastukał knykциями w okno, a kiedy kierowca opuścił szybę, Arkadin przyłożył mu lufę do twarzy i pociągnął za spust. Kula odrzuciła głowę ofiary z taką siłą, że pękły kręgi szyjne.

Wskoczył do samochodu, odepchnął ciało, ukląkł na przednim siedzeniu, twarzą do pasażerów. Rozpoznał Sewera ze starej fotografii; Ikupow pokazał mu ją kiedyś, by poznał twarz jego wroga.

— Zły czas, złe miejsce — powiedział i strzelił mu w pierś. Po czym całą uwagę skupił na swym mistrzu. — Nie sądziłeś chyba, że zdołasz mi uniknąć, ojcze? — spytał.

Ikupow nie tylko walczył z napływającym falami strasznym bólem, lecz zaczął też odczuwać skutki opóźnionego szoku.

— Dlaczego nazywasz mnie ojcem? — spytał. — Twój ojciec zginął dawno temu, Leonidzie.

— Nie. Siedzi tu, przede mną, jak ranny ptak.

— Ranny ptak... owszem. — Ikupow z wysiłkiem rozchylił płaszcz. Podszewka ociekała krwią. — Twoja ukochana postrzeliła mnie, zabiłem ją w obronie własnej.

— Nie jesteśmy w sądzie. Jakie znaczenie ma to, że zginęła? — Arkadin przyłożył mu lufę do podbródka, uniósł jego głowę. — A ty, ojcze, nadal żyjesz.

— Nie rozumiem cię. Nigdy cię nie rozumiałem.

— Kim byłem dla ciebie, jeśli nie wyłącznie środkiem do celu? Zabijałem, kiedy kazałeś zabijać. Dlaczego? Potrafisz mi wyjaśnić, dlaczego robiłem to, co robiłem?

Ikupow milczał. Nie wiedział, co powinien powiedzieć, by uniknąć dnia sądu.

— Robiłem, co robiłem, bo tak mnie nauczono — kontynuował Arkadin. — Wysłałeś mnie do Ameryki, do Waszyngtonu, nie po to, by wyleczyć mnie z ataków morderczej wściekłości, lecz po to, by obrócić je na swoją korzyść.

Teraz Ikupow odzyskał głos.

— I co z tego? Tylko do tego się nadawałeś. Kiedy cię znalazłem, byłeś o krok od samobójstwa. Uratowałem ci życie, ty niewdzięczna świnio.

— Uratowałeś mnie, a potem skazałeś na życie, które, jeśli potrafię je ocenić, w ogóle nie jest życiem. Teraz widzę, że nigdy nie opuściłem Niżnego Tagiłu. I nigdy go nie opuszczę.

Ikupow się uśmiechnął; był pewien, że wreszcie uzyskał przewagę nad protegowanym.

— Nie chcesz mnie zabić, Leonidzie Daniłowiczu. Jestem twoim jedynym przyjacielem, a ty beze mnie jesteś nikim.

— Ja zawsze byłem nikim. — Arkadin ściągnął spust. — Ty się nikim stałeś.

Wysiadł z mercedesa. Podeszedł do stanowiska załadunku, gdzie personel NextGen powoli kończył pracę. Wspiął się na podnośnik, niezauważony przez nikogo przykucnął tuż pod kabiną operatora, a kiedy na pokładzie znalazła się ostatnia skrzynia i pracownicy NextGen opuścili ładownię przez wewnętrzne schody, wskoczył do samolotu. Usiadł, kryjąc się za skrzyniami, cichy i cierpliwy niczym śmierć. Trzasnęła zamykana kłapa.

Bourne zauważył zbliżającego się niemieckiego urzędnika. Coś musiało się stać, w normalnej sytuacji funkcjonariusz kontroli paszportowej nie powinien ich teraz przesłuchiwać. Nagle rozpoznał jego twarz. Kazał Moirze cofnąć się do samolotu, sam stanął u szczytu schodów, blokując wejście na pokład.

— Muszę sprawdzić państwa paszporty — powiedział urzędnik, stając naprzeciw niego.

— Nasze paszporty zostały już sprawdzone, mein Herr.

— Mimo wszystko jestem zmuszony do dokonania powtórnej kontroli. — Urzędnik wyciągnął rękę. — Paszporty, proszę. Potem sprawdzę tożsamość wszystkich osób znajdujących się na pokładzie.

— Pan mnie nie poznaje, mein Herr?

— Proszę. — Urzędnik opuścił dłoń na kolbę służbowego lugera. — Przeszkadza mi pan w wykonywaniu obowiązków służbowych. Proszę

mi wierzyć, że aresztuję pana, jeśli nie okaże pan swego paszportu, a następnie nie usunie się z przejścia.

— Oto mój paszport, mein Herr. — Bourne odchylił tylną okładkę, wskazał widoczne zadrapanie. — A oto miejsce, gdzie umieścił pan elektroniczne urządzenie śledzące.

— Co to za oskarżenie? Nie ma pan żadnych dowodów...

Bourne pokazał mu uszkodzoną pluskwę.

— Nie wierzę, by wykonywał pan w tej chwili swe obowiązki służbowe — powiedział. — Sądzę, że ten, kto kazał panu założyć mi pluskwę, teraz płaci za sprawdzenie paszportów. — Chwycił urzędnika za ramię. — Przespacerujmy się do biura paszportowego. Spytamy komendanta, czy rzeczywiście pana przysłał.

Urzędnik wyprostował się dumnie.

— Nigdzie z panem nie idę. Znam swoje obowiązki.

— Ja także.

Ciągnięty w dół po schodach Niemiec spróbował wyjąć broń. Bourne nacisnął na wiązkę nerwów tuż nad łokciem mężczyzny.

— Spróbuj, jeśli uważasz, że musisz — ostrzegł — ale bądź gotów na konsekwencje.

Sztywne zachowanie i pewność siebie urzędnika znikły, zastąpił je strach. Okrągła twarz mężczyzny zbladła, pojawiły się na niej kropelki potu.

— Czego ode mnie chcesz?

— Zaprowadź mnie do swojego prawdziwego szefa. Niemiec zdecydował się na jeszcze jedną próbę.

— Chyba nie sądzisz, że on tu jest?

— Szczerze mówiąc, nie byłem pewien, póki nie zadałeś mi tego pytania. Teraz wiem, że jest. — Bourne potrząsnął facetem. — No już, idziemy.

Pokonany urzędnik tylko skinął głową. Niewątpliwie rozważał swą najbliższą przyszłość. Szybkim krokiem obeszlą boeinga. W tej samej

chwili ciężarówka NextGen ryknęła potężnym silnikiem i ruszyła powoli w kierunku wyjazdu z lotniska. W jednej chwili Bourne dostrzegł zarówno mercedesa, jak i zaparkowany za nim samochód policyjny.

— Skąd tu się wzięła policja? — Niemiec wyrwał się, pobiegł w tamtą stronę. Bourne, który zdążył dostrzec, że w obu samochodach drzwi po stronie kierowcy są otwarte, deptał mu po piętach. Szybko zorientował się, że w radiowozie nie ma nikogo, w mercedesie zaś, z przodu, leży skulony kierowca. Wyglądało to trochę tak, jakby kopniakiem przesunięto go na siedzenie pasażera.

Z rozmachem otworzył tylne drzwiczki. Ikupow siedział nieruchomo, z odstrzeloną połową głowy, obok niego pólleżał inny mężczyzna, z czołem złożonym na oparciu przedniego siedzenia. Uniósł go delikatnie, rozpoznał Dominica Spectera, czy raczej Ashera Sewera, i nagle wszystko stało się jasne. Oficjalnie ci dwaj byli wrogami, w rzeczywistości sojusznikami. Wyjaśniało to wiele kwestii, między innymi następującą: dlaczego ci, których pytał o Czarny Legion, różnili się w opiniach, kto do niego należy, a kto nie?

Sewer sprawiał wrażenie bardzo małego, kruchego i znacznie starszego, niż wskazywałby jego wiek. Dostał w pierś z broni kaliber .22, jeszcze oddychał, jego serce biło.

— Wezwę karetkę — zaproponował Niemiec.

— Rób, co musisz zrobić. — Bourne wziął Sewera na rękę. — Ale tego zabieram ze sobą.

Zostawił Niemca, by radził sobie jakoś z tym bałaganem, wbiegł po schodkach do samolotu.

— Wynosimy się stąd — zakomenderował, kładąc ciało w poprzek trzech siedzeń.

— Co mu się stało? — westchnęła zdumiona Moira.

Bourne przyklęknął przy swym dawnym mentorze.

— Nadal oddycha — powiedział, rozrywając koszulę profesora. — Zarządź start, dobrze? Musimy się stąd wynosić, już!

Moira skinęła głową. Podeszła do jednego z członków załogi, który pobiegł po apteczkę. Drzwi do kabiny pilotów nadal były otwarte. Wydała rozkaz pierwszemu i drugiemu pilotowi.

Schodki odjechały w ciągu pięciu minut, boeing podkołował na pas. Wieża bez problemu dała im pozwolenie na start. Pilot zwolnił hamulce, silniki ryknęły, samolot popędził pasem, stale zwiększając szybkość. Uniósł się w powietrze; pilot schował podwozie, wyregulował klapy. Maszyna szybko wznosiła się w niebo, szkarłatne i złote od promieni zachodzącego słońca.

Rozdział 43

— Nie żyje? — Sewer wpatrywał się w Jasona Bourne’a czyszczącego ranę na jego piersi.

— Pytasz o Siemiona?

— Tak, właśnie o niego. Nie żyje?

— Obaj nie żyją, kierowca też.

Przytrzymał profesora, podczas gdy alkohol wypalał wszystko, co mogło spowodować jątrzenie rany. Żaden organ wewnętrzny nie został uszkodzony, ale rana musiała być bardzo bolesna. Bourne użył antyseptycznego kremu w tubce, który znalazł w apteczce.

— Kto cię postrzelił?

— Arkadin. — Po policzkach Sewera płynęły łzy. Cierpiał. — Z jakiegoś powodu kompletnie oszalał, a może zawsze był szalony? W każdym razie od dawna go o to podejrzewałem. Allachu, co za ból. — Kilka razy płytko odetchnął, po czym mówił dalej. — Pojawił się dosłownie znikąd. Kierowca powiedział: „Za nami jest samochód policyjny”, otworzył okno i od razu otrzymał postrzał w twarz. Obaj z Siemionem nie mieliśmy czasu zareagować. Już siedział w samochodzie. Strzelił do mnie, ale jestem pewien, że to Siemion był jego głównym celem.

Bourne intuicyjnie wyczuł, co się mogło stać.

— Ikupow zabił jego dziewczynę, tę Dewrę.

Sewer zamknął oczy. Miał poważne problemy z oddychaniem.

— I co z tego? Przecież jego nigdy nie obchodziło, co się dzieje z kobietami.

— Na tej mu zależało.

Skończył bandażować ranę. Rosjanin gapił się na niego z niedowierzaniem.

— Dziwne, ale wydaje mi się, że słyszałem, jak mówi do Siemiona „ojcze”. Siemion nic z tego nie rozumiał.

— I już nigdy nie zrozumie.

— Przestań tak się o mnie troszczyć — rozżłościł się Sewer. — Pozwól mi umrzeć, cholera. — Bourne cofnął się o krok, nic więcej nie mógł zrobić. — Co się stało, to się nie odstanie. Los tak chciał, nie ma nic, co ty lub ktokolwiek inny mógłby zrobić, żeby odmienić bieg wydarzeń.

Bourne usiadł naprzeciw niego. Był świadom obecności Moiry, która stała nieco z boku, przysłuchując się ich rozmowie. Zdrada profesora dowodziła tylko, że jeśli w życiu dopuścisz do głosu uczucia, nigdy nie będziesz bezpieczny.

— Jasonie. — Głos rannego brzmiał bardzo słabo. — Nie zamierzałem cię oszukiwać.

— Owszem, zamierzałeś, profesorze. Tylko to potrafisz.

— Traktowałem cię jak syna.

— Jak Ikupow traktował Arkadina.

Sewer potrząsnął głową z wyraźnym wysiłkiem.

— Arkadin jest szalony. Być może obaj byli szaleni, być może to ich do siebie przyciągało.

Bourne pochylił się w lotniczym siedzeniu.

— Pozwolisz zadać sobie pytanie, profesorze? Czy sądzisz, że ty sam nie jesteś szalony?

— Oczywiście, że nie. — Wpatrywał się w oczy Amerykanina, rzucał mu wyzwanie nawet teraz, w tak późnym stadium rozgrywki.

A on nie zareagował. Przez chwilę siedział nieruchomo, po czym wstał i wraz z Moirą przeszedł w kierunku kabiny pilotów.

— Mamy przed sobą długi lot — powiedziała Moira. — Powinieneś odpocząć.

— To dotyczy nas obojga.

Usiedli obok siebie. Nie rozmawiali. Od czasu do czasu dobiegał ich cichy jęk rannego, poza tym słyszeli wyłącznie usypiający szum silników.

W luku bagażowym było wręcz lodowato, ale Arkadinowi to nie przeszkadzało; zimy w Niżnym Tagile potrafiły być okrutne. I to właśnie w taką zimę Misza Tarkanian znalazł go, kryjącego się przed resztkami gangu Kuzina. Misza, twardej groźny jak ostrze noża, miał duszę poety. Opowiadał historie tak piękne, że należało raczej nazwać je poematami. Leonid był nimi oczarowany, jeśli to określenie można w ogóle zastosować do jego osoby. Ten niezwykle talent miał moc przenoszenia go z dala od Niżnego Tagitu, a kiedy już Misza przesmuglował nowego przyjaciela przez wewnętrzny krąg stalowni i zewnętrzny więzień o obostrzonym rygorze, opowieści niosły go daleko od Moskwy, poza granice wielkiej Rosji. Z nich dowiedział się, jaki może być wielki świat.

Arkadin siedział oparty o skrzynię, z kolanami podciągniętymi pod brodę dla ochrony przed chłodem. Miał dobry powód, by myśleć o Miszy. Ikupow zapłacił za zabicie Dewry, teraz pora, by Bourne zapłacił za zabójstwo Tarkianiana. Ale jeszcze nie w tej chwili, myślał Leonid, choć jego serce wołało o zemstę. Jeśli zginie teraz, plan Ikupowa się powiedzie. Do tego nie wolno mu dopuścić. Jeśli dopuści, jego zemsta będzie niepełna.

Oparł głowę o krawędź skrzyni, przymknął oczy. Zemsta stała się bardzo podobna do któregoś z poematów Miszy, jej sens rozkwitał, by otoczyć go niebiańskim pięknem, jedynym przemawiającym do niego,

trwałym i niezmiennym. Tylko obietnica tego piękna, szansa jego materializacji pozwoliła mu siedzieć cierpliwie w samolotowej ładowni, wśród skrzyń, i czekać na chwilę zemsty. Obietnica piękna, któremu nic na tej ziemi nie może dorównać.

Bourne śnił o piekle znanym pod nazwą Niżnego Tagiłu, jakby się tam urodził, i kiedy się obudził, wiedział, że Arkadin jest blisko. Otworzył oczy i pierwsze, co zobaczył, to wpatrująca się w niego Moira.

— Co sądzisz o profesorze? — spytała. Podejrzewał, że pytała raczej: „Co sądzisz o mnie?”.

— Myślę, że długie lata obsesji przyprawiły go o szaleństwo. Nie wierzę, by umiał odróżnić dobro od zła, to co słuszne od tego, co niesłuszne.

— To dlatego nie spytałeś, dlaczego wybrał ścieżkę prowadzącą do zniszczenia?

— Do pewnego stopnia tak. Cokolwiek by powiedział, nie miałyby dla nas sensu.

— Fanatycy robią wszystko bez sensu, dlatego tak trudno się przed nimi obronić. Racjonalna reakcja, a przecież my zawsze reagujemy racjonalnie, bardzo rzadko okazuje się skuteczna. — Moira przekrzywiła głowę. — On cię zdradził, Jasonie. Wiedział, jak silna jest twoja wiara w niego, i bezwzględnie ją wykorzystywał.

— Jeśli igrasz ze skorpionem, spodziewaj się ukąszenia.

— Nie czujesz potrzeby zemsty?

— Powinienem udusić go we śnie albo zastrzelić jak Arkadin Iku-powa? Myślisz, że to poprawiłoby mi samopoczucie? Moją zemstą będzie powstrzymanie ataku Czarnego Legionu.

— Brzmi to tak racjonalnie...

— W tej chwili nie czuję się przesadnie racjonalny.

Moira zrozumiała, o co mu chodzi, i się zarumieniła.

— Być może oszukałam cię, Jasonie, ale nigdy nie zdradziłam. Tego nie potrafiłabym zrobić. — Poszukała wzrokiem jego spojrzenia.

— Ileż to razy podczas tego ostatniego tygodnia marzyłam tylko o tym, by móc ci wszystko powiedzieć... ale miałam przecież obowiązki wobec Black River.

— Obowiązek to jest coś, co doskonale rozumiem, Moiro.

— Rozumieć to jedno, ale... czy zdołasz mi wybaczyć?

Bourne wyciągnął do niej rękę.

— Nie jesteś skorpionem — powiedział. — To nie leży w twojej naturze.

Dziewczyna ujęła jego dłoń, podniosła do ust, przytuliła do policzka.

W tym momencie usłyszeli krzyk Spectera, więc wstali i podeszli do rzędu siedzeń, na których leżał na boku, skulony jak dziecko, które boi się ciemności. Bourne przyklęknął, obrócił go łagodnie na wznak, by nie uciskał rany.

Profesor przyglądał mu się, a kiedy przemówiła Moira, spojrzął na nią.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała. — Dlaczego atakujesz kraj, który przyjąłeś za swój?

Sewer nie mógł złapać oddechu. Przełknął spazmatycznie.

— Nigdy nie zrozumiesz.

— A jednak spróbuj mi to wyjaśnić.

Profesor zamknął oczy, jakby pragnął wyobrazić sobie każde kolejne wypowiedane słowo.

— Odłam muzułmanów, do którego należę... do którego należał Siemion... jest bardzo stary, można powiedzieć: pradawny. Powstał w Afryce Północnej. — Przerwał, już zabrakło mu oddechu. — Wyznajemy bardzo surowe zasady. Jesteśmy fundamentalistami, wierzymy, że reguł naszej religii w żaden sposób nie da się przekazać niewiernym. Ale jedno ci powiem: nie możemy żyć we współczesnym świecie, bo świat ten gwałci je wszystkie. A więc trzeba go zniszczyć. Mimo to... — znów umilkł, obliżał wargi. Bourne nalał wody, uniósł jego głowę, pozwolił mu się napić. Profesor odzyskał głos. — Mimo to nie powinienem wykorzystywać cię w ten sposób, Jasonie. Przez długie lata

wielokrotnie kłóciliśmy się, ja i Siemion. Ta kłótnia była ostatnia; kropla, która przelała czarę. Powiedział, że narobisz nam kłopotów... i miał rację. Myślałem, że uda mi się stworzyć rzeczywistość, że uda mi się sterować tobą i dzięki temu przekonać amerykańskie służby bezpieczeństwa, że zamierzamy zaatakować Nowy Jork. — Roześmiał się krótko, chrapliwie. — Zapomniałem o głównej, bezwzględnie obowiązującej w życiu zasadzie: rzeczywistości nie da się kontrolować. Jest zbyt przypadkowa, zbyt chaotyczna. Więc widzisz, to ja goniłem za czymś, czego nie da się dogonić, nie ty.

— Przecież to koniec, profesorze — wtrąciła Moira. — Gazowiec dostanie pozwolenie na zacumowanie przy terminalu dopiero wtedy, kiedy usuniemy wadę programu.

Sewer się uśmiechnął.

— Dobry pomysł, ale nic wam nie da. Wyobrażacie sobie, co potrafi taka ilość płynnego gazu? Prawie piętnaście kilometrów kwadratowych niewyobrażalnych zniszczeń, tysiące trupów... skorumpowanej, żarłocznej Ameryce, z jej zachłannością jako sposobem na życie, zadamy niszczący cios; o tym obaj z Siemionem marzyliśmy od tak wielu lat. To moje wielkie, jedyne powołanie. Zniszczenie, trupy... są dla mnie ukoronowaniem życia.

Przerwał, by złapać oddech, płytszy niż dotąd, bardziej urywany.

— Wraz ze zniszczeniem największego portu zawali się amerykańska gospodarka. Nie będziecie mieli gdzie przyjmować niemal połowy eksportu. Zacznie brakować towarów, żywności, firmy będą bankrutować, akcje polecą na łeb na szyję, cały naród wpadnie w panikę.

— Ilu ludzi masz na pokładzie? — spytał Bourne. Sewer uśmiechnął się słabo.

— Kocham cię jak syna, Jasonie.

— Dopuściłeś do śmierci własnego syna.

— Poświęciłem go, Jasonie. To wielka różnica.

— Nie dla niego — powiedział Bourne i wrócił do tego, co najważniejsze. — Ilu ludzi masz na pokładzie?

— Jednego... tylko jednego.

— Jeden człowiek nie opanuje gazowca — zaprotestowała Moira.

Profesor uśmiechał się, choć powieki mu opadły, choć tracił przytomność.

— Gdyby człowiek nie tworzył maszyn, by za niego pracowały...

— O co mu chodzi?

Bourne potrząsnął go za ramię, ale nie doczekał się reakcji. Ranny popadł w głębokie omdlenie. Moira sprawdziła jego oczy, dotknęła czoła i tętnicy szyjnej.

— Moim zdaniem bez podanych dożylnie antybiotyków nie ma szans — stwierdziła. Spojrzała na Bourne'a. — Jesteśmy już blisko Nowego Jorku. Możemy tam wylądować. Karetka będzie czekać...

— Nie mamy czasu.

— Wiem, że nie mamy czasu, ale chciałam dać ci wybór.

Bourne dokładnie przyjrzał się swojemu mentorowi, jego porytej zmarszczkami, zapadniętej twarzy, znacznie starszej niż jeszcze przed chwilą.

— Albo da radę o własnych siłach, albo nie da rady w ogóle. — Wyprostował się i zwrócił bezpośrednio do Moiry: — Połącz się z NextGen. Tego właśnie chcę.

Rozdział 44

Gazowiec „Moon of Hormuz” przecinał fale Pacyfiku nie więcej niż godzinę drogi od Long Beach. Jego kapitan, weteran Sultan, otrzymał informację, że terminal został właśnie uruchomiony i jest gotów na przyjęcie pierwszego w swej historii transportu płynnego gazu naturalnego. Przy obecnym stanie światowej gospodarki ładunek ten drożał z każdą godziną; od chwili gdy „Moon of Hormuz” opuścił Algierię, jego wartość wzrosła o trzydzieści procent.

Statek wysokości dwunastu pięter i wielkości miasteczka przewoził sto dwadzieścia pięć milionów litrów gazu schłodzonego do temperatury minus stu sześćdziesięciu trzech stopni Celsjusza. Przekładało się to na energetyczny odpowiednik dwudziestu miliardów litrów gazu w postaci naturalnej. Droga hamowania statku wynosiła blisko dziesięć kilometrów, a ze względu na kształt kadłuba i zabudowanie pokładów zbiornikami z mostka nie było widać nic w promieniu prawie półtora kilometra. Szybkość podróży wynosiła dwadzieścia węzłów, lecz Sultan wydał rozkaz: cała wstecz. W odległości dziesięciu kilometrów od terminalu gazowiec płynął z prędkością zaledwie sześciu węzłów i prędkość ta nadal malała.

W odległości mniej więcej dziesięciu kilometrów do wybrzeża nerwy roztrzęsionego Sultana były napięte jak postronki.

Prześladował go koszmar Armagedonu, ponieważ nieszczęście na pokładzie byłoby właśnie tym: Armagedonem. Wyciekający do wody gaz spowodowałby pożar w promieniu dziesięciu kilometrów, kolejne dziesięć zaś zniszczyłoby promieniowanie cieplne zmieniające w popiół każdą żywą istotę.

Koszmary pozostały jednak właśnie tym, czym były: tylko snami, choć przerażającymi. W ciągu dziesięciu lat na dowodzonym przez Sultana statku nie zdarzył się żaden, nawet najmniejszy wypadek... i tak też pozostanie, jeśli ma w tej sprawie coś do powiedzenia. Więc kapitan porzucił chmurne myśli i pograżył się w znacznie przyjemniejszych: pogoda jest piękna, a jego czeka dziesięć wolnych dni, które spędzi na plaży z przyjacielem z Malibu.

Przerwał mu oficer łączności, przynosząc depezę z NextGen. Za piętnaście minut na pokładzie gazowca wylądował helikopter. Jego pasażerem, Moirze Trevor i Jasonowi Bourne'owi, ma okazać na żądanie wszelką pomoc, w każdej sprawie. Samo to było zaskakujące, ale prawdziwy sprzeciw budziło dopiero ostatnie zdanie: ma wykonywać wszystkie ich polecenia do chwili przycumowania gazowca przy terminalu.

Kiedy otworzyła się kłapa ładowni, przykucnięty za jedną ze skrzyń Arkadin był gotów do akcji. Na pokład weszła lotniskowa obsługa techniczna, jeden z jej członków oddalił się od reszty; zawołał go, prosząc o pomoc, a gdy mężczyzna podszedł do niego, skrzył mu kark. Zaciągnął trupa w najgłębszy cień, możliwie najdalej od skrzyń z ładunkiem dla NextGen, przebrał się w jego uniform. Następnie spokojnie wziął się do pracy, pilnując tylko, by identyfikator ze zdjęciem, na którym widniała twarz mężczyzny zupełnie niepodobnego do Leonida, nie był zbyt widoczny. Zresztą nie miało to wielkiego znaczenia, zadaniem tych ludzi było rozładowanie samolotu i przetransportowanie

skrzyń na czekające ciężarówki, najszybciej jak to tylko możliwe. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, że jest wśród nich oszust podający się za kogoś, kim nie jest.

Dzięki temu Arkadin bezpiecznie dotarł do otwartej klapy ładowni i na podnośnik opuszczający kontenery. W momencie gdy ładowano go na ciężarówkę, zeskoczył na pas i natychmiast ukrył się pod skrzydłem. Po drugiej stronie samolotu był sam, oddalił się więc szybkim, pewnym krokiem. Nikomu do głowy nie przyszło, by go zatrzymywać, nikt nawet się za nim nie obejrzał, zmylony bijącą od niego pewnością siebie kogoś, kto znajduje się dokładnie tam, gdzie powinien, i ma ważną pracę do wykonania. Na tym polega sekret przejmowania cudzej tożsamości, choćby na krótki czas, ludzie albo ignorują, albo akceptują to, co wydaje im się oczywiste.

Idąc, Arkadin oddychał głęboko czystym, rześkim, słonym powietrzem. Wiejący od oceanu wiatr przyklejał mu do nóg nogawki spodni. Był wolny, zerwał wszystkie więzi tego świata. Staś Kuzin, Marlene, Gala, Ikupow... oni odeszli w niebyt, a jego wzywało morze.

NextGen dysponuje własnym, małym terminalem cargo na lotnisku w Long Beach. Wcześniej Moira skontaktowała się przez radio z siedzibą firmy, przekazała ostrzeżenie i zażądała helikoptera, który miał zabrać ją i Bourne'a na pokład gazowca.

Arkadin dotarł do terminalu przed Bourne'em. Spieszył się. Identyfikator był jednocześnie kartą magnetyczną; dzięki niej mógł wejść na teren ograniczonego dostępu. Od razu dostrzegł stojący na pasie helikopter. Pilot rozmawiał z mechanikami. W momencie kiedy obaj przykucnęli i przyglądali się jednej z płóz, Arkadin naciągnął czapkę na oczy i szybko podszedł do maszyny z przeciwnej strony. Udawał, że zajmuje się czymś ważnym.

Widział, jak Bourne i Moira wychodzą z terminalu NextGen. Przystanęli; słyszał, że spierają się, czy dziewczyna ma lecieć, czy nie. Zapewne

dyskutowali już na ten temat, bo przerzucali się zdaniami krótkimi jak stenografowane.

— Fakt jest faktem, Jasonie. To ja pracuję dla NextGen. Beze mnie nie wsiądziesz do helikoptera.

Bourne się odwrócił; przez jedną krótką chwilę Arkadin miał wrażenie, że został zauważony i rozpoznany, ale Jason tylko spojrzął na dziewczynę i oboje szybko podeszli do maszyny. Wsiadł od strony pilota, ona podeszła do drzwi od jego strony. Uśmiechnął się zawodowym uśmiechem, pomógł jej wejść. Machnięciem ręki dał do zrozumienia zbliżającemu się mechanikowi, że wszystko w porządku. Przyglądając się Moirze przez przezroczyste, wygięte drzwi z pleksiglasu, pomyślał o Dewrze i serce mu drgnęło, jakby jej zakrwawiona głowa spoczęła na jego piersi. Pomachał do pasażerki; odmachąła mu wesoło.

Wirnik helikoptera zaczął się obracać, coraz szybciej i szybciej. Mechanik gestem polecił Arkadinowi oddalić się od maszyny, Arkadin pokazał pilotowi wyprostowane kciuki. Kadłub helikoptera zadrżał, lecz nim płozy oderwały się od pasa, wskoczył na jedną z nich. Przysiadł na niej skulony.

Przelecieli nad wybrzeżem. Helikopterem kołysał silny, wiejący od morza wiatr.

Z miejsca rozwinęli pełną prędkość i szybko zbliżali się do tankowca rosnącego im wręcz w oczach. Oprócz niego widać było tylko jeden statek, trzymający się z dala, całe kilometry za granicą wyznaczoną przez straż przybrzeżną i Bezpieczeństwo Wewnętrzne. Bourne, siedzący bezpośrednio za pilotem, zauważył, że ma on problemy z kontrolowaniem wysokości.

— Wszystko w porządku? — spytał, przekrzykując hałas wirnika.

Pilot wyciągnął rękę w stronę jednego ze wskaźników.

— Drobnny problem ze wznoszeniem — wyjaśnił. — Prawdopodobnie przez ten wiatr.

Ale Bourne wcale nie był tego taki pewien. Wiatr był zmienny, problem stały. Intuicja podpowiadała mu, kto jest wszystkiemu winien.

— Zdaje się, że mamy pasażera na gapę — powiedział do pilota.
— Proszę przelecieć nad tankowcem nisko, tuż nad szczytami kontenerów.

— Co? — pilot potrząsnął głową. — To zbyt niebezpieczne.

— Więc zrobię to sam. — Bourne odpiął pas, przysunął się do drzwi.

— W porządku, w porządku! Proszę wracać na miejsce.

Byli już niemal nad dziobem gazowca. Wydawał się nieprawdopodobnie wielki, prawdziwe miasto, przebijające się przez fale Pacyfiku.

— Trzymajcie się! — krzyknął pilot.

Helikopter obniżył lot znacznie szybciej niż zazwyczaj. Widzieli członków załogi biegających po pokładzie. Ktoś, niewątpliwie kapitan, zszedł ze znajdującego się na rufie mostka. Ktoś krzychał, żeby się poderwali, szczyty kontenerów zbliżały się ku nim z zatrważającą prędkością. Tuż przedtem, nim otarli się o szczyt najbliższego, maszyna zadrzęła lekko.

— Problem znikł — zameldował pilot.

— Zostań — krzyknął Bourne do Moiry. — Cokolwiek się stanie, zostań na pokładzie.

Zacisnął dłonie na broni, którą trzymał na kolanach, otworzył drzwi i dokładnie w chwili, gdy wykrzyknęła jego imię, wyskoczył z helikoptera.

Arkadin wyprzedził go, pierwszy wylądował na pokładzie, kluczył pomiędzy górami ładunku. Marynarze z załogi gazowca biegli w ich kierunku; Bourne nie miał pojęcia, czy jest wśród nich inżynier informatyk Sewera, podniósł jednak do ramienia kuszę, zatrzymując ich w pół kroku. Wiedząc, że strzał z broni palnej wśród zbiorników z płynnym gazem naturalnym oznacza samobójstwo, poprosił Moirę, by

NextGen dostarczyła im na pokładzie helikoptera dwie kusze. Nie miał pojęcia, jakim cudem załatwili je tak szybko, ale korporacje tej wielkości potrafią zdobyć wszystko i natychmiast.

Helikopter wylądował za nim, na oczyszczonym fragmencie pokładu. Pilot wyłączył silnik. Bourne się odwrócił i pochylony, by uniknąć śmigieł wirnika, otworzył drzwi od strony pasażera.

— Arkadin gdzieś tu jest — powiedział do Moiry. — Proszę, nie wchodź nam w drogę.

— Muszę zameldować się u kapitana. — Ona także trzymała w ręku kuszę. — Czego chce?

— Mnie. Zabiłem jego przyjaciela. W samoobronie, ale jego nic to nie obchodzi.

— Mogę ci pomóc, Jasonie. Pracujmy razem, dwoje to zawsze lepiej niż jedno.

Bourne potrząsnął głową.

— Nie w tym wypadku. Poza tym sama widzisz, jak wolno płynie gazowiec. Dali całą wstecz. Przekroczyliśmy granicę dziesięciu kilometrów i z każdym pokonanym metrem niebezpieczeństwo dla tysięcy ludzi i portu w Long Beach rośnie wykładniczo.

Moira skinęła głową sztywno, niechętnie. Wskoczyła z kabiny, pobiegła do czekającego na rozkazy kapitana.

Bourne się obrócił. Wszedł pomiędzy kontenery powoli, ostrożnie, kierując się ku miejscu, gdzie znikł Arkadin. Przeciskanie się pomiędzy nimi przypominało spacer kanionem Manhattanu. W wąskich przejściach wiatr się wzmaczał, wył niczym wtłoczony w tunele.

Nim dotarł do końca pierwszego rzędu kontenerów, usłyszał głos Arkadina. Mówił po rosyjsku.

— Mamy mało czasu.

Zatrzymał się. Słuchał uważnie, starając się określić, z której strony dobiega głos.

— Skąd o tym wiesz, Arkadin? — spytał.

— A jak myślisz, dlaczego tu jestem?

— Zabiłem Miszę Tarkaniana, więc ty zabijesz mnie. Czy nie tak to określiłeś w mieszkaniu Egona Kirscha?

— Posłuchaj mnie, Bourne. Gdybym tego właśnie chciał, zabiłbym cię, gdy ty i kobieta spaliście sobie spokojnie w samolocie.

Bourne miał wrażenie, że krew zamarza mu w żyłach.

— Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Posłuchaj mnie. Siemion Ikupow, który uratował mi życie, któremu ufałem, zastrzelił moją dziewczynę.

— Tak. Dlatego go zabiłeś.

— Żałujesz mi prawa do zemsty?

Na to pytanie nie odpowiedział, pomyślał tylko, co zrobiłby Arkadinowi, gdyby ten skrzywdził Moirę.

— Nie musisz nic mówić, Bourne. Twoją odpowiedź znam z góry.

Obrócił się; miał wrażenie, że głos dobiega go teraz z innej strony. Gdzie, do cholery, kryje się ten człowiek?!

— Ale, jak już powiedziałem, mamy mało czasu na znalezienie człowieka Ikupowa.

— Raczej człowieka Sewera.

Arkadin się roześmiał.

— Naprawdę myślisz, że ma to jakieś znaczenie? Przecież oni śpią w jednym łóżku. Udawali zakamieniałych wrogów, a przez cały czas wspólnie planowali katastrofę. Chcę jej zapobiec, muszę jej zapobiec albo moja zemsta na Ikupowie pozostanie niepełna.

— Nie wierzę ci.

— Posłuchaj mnie, Bourne. Wiesz, że mamy mało czasu. Zemściłem się na ojcu, ale ten plan jest jego synem. On i Sewer dali mu życie, karmili go w dzieciństwie, opiekowali się nim przez trudne lata jego dorastania. A teraz każda chwila przenosi tę pływającą supernową bliżej niewyobrażalnego zniszczenia zaplanowanego przez tych dwóch szaleńców. — Arkadin znowu musiał się przesunąć. — Czy tego chcesz? Oczywiście, że nie. Więc połączmy siły i znajźmy człowieka Sewera.

Bourne ciągle się wahał. Nie ufał Rosjaninowi, a jednak musiał mu ufać. Rozważył sytuację ze wszystkich możliwych punktów widzenia i zdecydował, że nie ma wyjścia. Zrobi to, co musi zrobić.

— Jest inżynierem informatykiem.

Arkadin zszedł ze szczytu jednego ze zbiorników. Przez chwilę dwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie; Bourne kolejny raz doznał dziwnego, wytrącającego z równowagi wrażenia, że patrzy w lustro. W oczach Rosjanina widział nie szaleństwo, o którym mówił profesor, lecz siebie, jądro ciemności i bólu nie do wypowiedzenia i nie do zrozumienia.

Przerwał milczenie.

— Sewer powiedział mi, że jest tylko jeden człowiek i że go nie znajdziemy, a jeśli nawet, nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Arkadin zmarszczył brwi; przez chwilę wyglądał jak szczwany, bardzo groźny wilk.

— O co mu chodziło?

— Nie jestem pewien. — Bourne odwrócił się, podszedł do marynarzy, którzy przygotowali lotnisko dla helikoptera. Arkadin szedł obok niego. — Szukamy tatuażu, który noszą wszyscy członkowie Czarnego Legionu.

— Konie wokół trupiej czaszki. — Rosjanin skinął głową. — Wiem, widziałem.

— Noszą go w zgięciu ręki.

— Moglibyśmy pozabijać wszystkich. — Arkadin roześmiał się nieoczekiwanie. — Ale twoja dusza poczułaby się tym obrażona, prawda?

Obejrzeni ręce ośmiu członków załogi. Nie znaleźli tatuażu. Kiedy dotarli na mostek, gazowiec był już zaledwie cztery kilometry od terminalu. Poruszał się bardzo powoli, niemal niezauważalnie. Na linii mili już czekały cztery holowniki mające podholować go na miejsce postoju.

Kapitan okazał się śniadym mężczyzną o twarzy porytej, jak się wydawało, raczej od kwasu niż słońca i morskiego wiatru.

— Rozmawiałem z panią Trevor — powiedział — i ona wie, że mamy jeszcze siedmiu członków załogi zajmujących się przede wszystkim maszynownią. Poza tym obecnego tu pierwszego oficera, oficera łączności i lekarza przebywającego w tej chwili w okrętowej sali chorych. Opiekuje się jednym z marynarzy, który zachorował dwa dni po opuszczeniu Algierii. Och, zapomniałbym o kucharzu!

Bourne i Arkadin wymienili spojrzenia. Oficer łączności wydawał się logicznym wyborem, nie nosił jednak tatuażu Legionu. Kapitan oraz pierwszy oficer też.

— Maszynownia — zdecydował Bourne.

Kapitan wydał rozkaz i pierwszy oficer przeprowadził ich z mostku na pokład, po czym zejściówką sterburty zstąpili do wnętrza statku. Do ogromnej maszynowni dotarli po dłuższym spacerze. Pracowało w niej ciężko pięciu mężczyzn umazanych smarami od stóp do głów. Na polecenie pierwszego oficera wyciągnęli ręce, ale kiedy Bourne podszedł do trzeciego z rzędu, czwarty spojrzął na niego spod półprzy-
mkniętych powiek i nagle popędził przed siebie.

Amerikanin i Rosjanin rozpoczęli pogoń, pierwszy pobiegł za mechanikiem, drugi skrzył w bok i teraz kluczył w prawdziwym mieście skomplikowanej maszynerii. Uciekający znikł im z oczu, ale już po chwili Bourne dostrzegł go przy rzędzie potężnych diesli hyundai, jednostek napędowych całej światowej floty gazowców. Między strukturalne rozpory jednego z silników próbował wsunąć małe pudełko. Za jego plecami pojawił się Arkadin, chwycił go za nadgarstek. Mężczyzna szarpnął się, przyciągnął rękę z pudełkiem do piersi i już miał nacisnąć kciukiem guzik, kiedy Bourne kopnął go w dłoń. Pudełko zatoczyło w powietrzu łuk, Arkadin skoczył, żeby je złapać.

— Ostrożnie — powiedział mechanik do chwytającego go mocno Amerykanina. Poza tym całkowicie go ignorował, wzrok utkwiony miał w Arkadinie, któremu udało się złapać tajemniczy przedmiot. — Człowieku, trzymasz w ręku losy świata.

Bourne podwinął rękaw jego koszuli. Ramię mężczyzny umazane było smarem, niewątpliwie celowo, bo po wytarciu go szmatą na skórze pojawił się tatuaż Czarnego Legionu. Ale jego najwyraźniej wcale to nie obchodziło, całą uwagę skupiał na pudełku w ręku Arkadina.

— Dzięki niemu można wysadzić wszystko — warknął i szarpnął się, próbując je odzyskać. Żeby go powstrzymać, Bourne musiał zastosować duszenie.

— Odprowadźmy go do kapitana — powiedział do pierwszego oficera. Dopiero w tej chwili przyjrzał się bliżej pudełku. Wyjął je z ręki Arkadina.

— Ostrożnie! Jeden, choćby najmniejszy wstrząs i wszyscy wylecimy w powietrze.

Ale Bourne wcale nie był tego taki pewien. Mechanik ostrzegął ich trochę zbyt nachalnie. Czyżby nie chciał, żeby gazowiec wyleciał w powietrze nawet teraz, kiedy na pokładzie wylądowali wrogowie Sewera? Odwrócił je do góry dnem. Szczelina między dolną a boczną ścianką była wyszczerbiona.

— Co ty wyprawiasz?! Oszalałeś? — Facet szarpał się tak mocno, że Arkadinowi udało się go uciszyć dopiero uderzeniem w skroń.

Bourne wsunął paznokieć w szczelinę. Pudełko dało się otworzyć bez problemu. W środku było puste. Zdobyli makietę.

Moira po prostu nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Lada chwila holowniki wezmą gazowiec na hol, od brzegu dzielą ich zaledwie dwa kilometry. Jeśli statek wyleci w powietrze, straty, zarówno te mierzone liczbą trupów, jak i upadkiem gospodarki, będą katastrofalne. Czuli się niepotrzebna, trzecie koło zbędne tandemowi mężczyzn zaangażowanemu w polowanie na człowieka.

Zeszła z mostka na pokład, a potem pod pokład; szukała maszynowni. Poczła zapach jedzenia, więc zajrzała do mijanej właśnie kuchni. Potężnie zbudowany Algierczyk siedział przy stalowym stole, czytając licząc już dwa tygodnie arabską gazetę. Podniósł wzrok, zobaczył ją, machnął ręką.

— Za piętnastym razem nie jest już taka ciekawa — powiedział — ale co robić na morzu?

Ramiona miał nagie, pokryte tatuażami: gwiazdy, półksiężyc, krzyż, ale nie było wśród nich insygniów Czarnego Legionu. Wskazał jej właściwą drogę i szpital znalazła bez problemu, trzy pokłady niżej. Szczupły muzułmanin siedział przy niewielkim stole dobudowanym do jednej ze ścian, przy drugiej znajdowały się dwie koje, z których jedną zajmował chory. Doktor wymruczał tradycyjną muzułmańską formułę powitania. Oderwał się od laptopa, a kiedy zobaczył w jej dłoniach kuszę, zmarszczył brwi.

— To naprawdę konieczne? — spytał. — I mądre?

— Chcę porozmawiać z pacjentem. — Moira całkowicie zignorowała pytanie.

— Obawiam się, że to niemożliwe. — Lekarz się uśmiechnął, tak jak tylko lekarze potrafią się uśmiechać. — Podałem mu środki uspokajające.

— Co mu jest?

Machnął ręką w stronę laptopa.

— Nadal szukam odpowiedzi na to pytanie. Ma ataki, ale na razie nie udało mi się znaleźć przyczyny.

— Jesteśmy już blisko Long Beach, tam otrzyma pan pomoc. Ja chcę tylko zobaczyć skórę w zgięciu ramienia.

— Co proszę? — Lekarz spojrzał na nią zdziwiony.

— Muszę sprawdzić, czy ma tatuaż.

— Oni wszyscy mają tatuaże, ale — wzruszył ramionami — proszę bardzo. Jemu nie sprawi to różnicy.

Moira podeszła do dolnej koi, pochyliła się, sięgnęła po okrywającego chorego cienki koc. W tym momencie lekarz poderwał się zza biurka, uderzył ją w tył głowy. Upadła do przodu, uderzyła szczęką o metalową

ramę koi. Ból przywołał ją brutalnie znad krawędzi omdlenia, jęknęła, zdołała się odwrócić. W ustach czuła miedziany smak krwi, walczyła z ogarniającą ją słabością. Widziała zamazaną sylwetkę doktora pochyłego nad laptopem. Jego dłonie tańczyły na klawiaturze. Żołądek ścisnął się jej w lodowatą kulę.

On zabije nas wszystkich! — ta myśl krążyła jej w głowie, kiedy sięgała po kuszę, leżącą na podłodze, tam gdzie ją upuściła. Zdążyła wymierzyć dosłownie w ostatniej chwili, ale na tę odległość nie musiała celować dokładnie. Szepcząc słowa modlitwy, strzeliła.

Doktor wyprostował się i wygiął; strzała przeszła mu kręgosłup. Zatoczył się do tyłu, w stronę siedzącej, opartej o koję Moiry. Wyciągnął ręce, palcami, zgiętymi jak szpony, szukał klawiatury komputera. Moira wstała, zamachnęła się i uderzyła go kuszą w tył głowy. Krew jak deszcz zalała jej twarz i ręce, a także blat biurka i laptopa.

Bourne znalazł ją na podłodze izby chorych tulącą do siebie komputer. Słyszając jego kroki, podniosła głowę, spojrzała na niego.

— Nie wiem, co zrobił. Boję się go wyłączyć.

— Nic ci się nie stało? Moira skinęła głową.

— To lekarz był człowiekiem Sewera.

— Widzę. — Bourne przekroczył leżące ciało. — Nie uwierzyłem mu, kiedy powiedział, że ma na pokładzie tylko jednego człowieka. To w jego stylu, zawsze mieć plan awaryjny.

Przyklęknął, obejrzał ranę na głowie Moiry.

— Powierzchnowa — powiedział z ulgą. — Straciłaś przytomność?

— Nie sędzę. Nie.

Z szafki wyjął duży kawałek gazy, polał ją alkoholem.

— Gotowa? — spytał i położył opatrunek na potylicy, tam gdzie włosy przylegały do skóry zlepione krwią. Moira jęknęła przez zaciśnięte zęby.

— Przytrzymaj, dobrze?

Skinęła głową. Bourne delikatnie wziął od niej laptopa. Działał jakiś program, to było więcej niż pewne. Na ekranie migwały dwa radiowe przyciski, jeden żółty, drugi czerwony. Był jeszcze zielony przycisk. Nie migał.

— Wywołał program — powiedział, wzdychając z ulgą — ale zabrakło mu czasu na uruchomienie go. Zdążyłaś.

— Bogu dzięki. Gdzie Arkadin?

— Nie wiem. Kiedy kapitan powiedział mi, że zesłaś pod pokład, pobiegłem za tobą.

— Jasonie, nie myślisz chyba...

Bourne odstawił komputer i pomógł jej wstać.

— Idź do kapitana, trzeba przekazać mu dobrą nowinę.

Moira przyglądała mu się przestraszona.

— A ty? Oddał jej laptopa.

— Idź na mostek i zostań tam. Posłuchaj... tym razem mówię poważnie.

Trzymając w ręku kuszę, wyszedł na korytarz, spojrzał w prawo i w lewo.

— W porządku. Idź. No, idź!

Arkadin powrócił do Niżnego Tagiłu. Tu, w maszynowni, wśród stali i żelaza, uświadomił sobie, że cokolwiek mu się zdarzy, gdziekolwiek pójdzie, nie ucieknie z piekła młodości. Jakaś jego część pozostała w burdelu, który prowadził ze Stasiem Kuzinem, inna nadal przeszukiwała mroczne ulice, porywała młode dziewczyny; ich blade buzie obracały się w jego kierunku jak głowy jeleni w stronę jaskrawego blasku samochodowych reflektorów. Ale on nie umiał lub nie chciał dać im tego, czego potrzebowały, więc wysyłał je na śmierć w dole niegaszonego wapna, który ludzie Kuzina wykopali wśród świerków i płaczących

sosen. Śnieg wielokrotnie padał od czasu, kiedy wyciągnął z tego dołu ciało Jeleny, ocalił je przed szczurami, ale pamięć pozostała, czysta i jasna jak płomień.

Usłyszał Kuzina, krzyczącego: „A co z twoimi ofiarami?”.

Drgnął, ale to tylko Bourne schodził po żelaznej drabince do maszynowni.

— To już koniec, Arkadin. Zapobiegliśmy nieszczęściu.

Rosjanin skinął głową, lecz w duszy wiedział lepiej: nieszczęście już się zdarzyło i za późno, by odwrócić jego konsekwencje. Szedł w stronę Bourne'a, próbował jakoś utrwalić go w pamięci, ale jego sylwetka pływała, rozmywała się, jakby oglądał ją przez pryzmat. Kiedy podszedł tak blisko, że mógł go dotknąć, spytał:

— Czy Sewer powiedział Ikupowowi prawdę? Pamiętasz tylko to, co zdarzyło się po określonej dacie?

— Tak. Nie wiem, co się ze mną działo przez większą część mojego życia.

Arkadin poczuł straszliwy ból, jakby sama jego dusza rozdierała się na strzępy. Z dzikim, prymitywnym krzykiem zaatakował. Szczęknięło ostrze sprężynowego noża.

Bourne uniknął ciosu w żołądek. Obrócił się bokiem, chwycił nastpnika za nadgarstek, zaczął go wykręcać, by zmusić go do rzucenia broni. Przedramieniem zablokował zadany drugą ręką cios. Upuścił przy tym kuszę; Arkadin kopnął ją, znikła w cieniach.

— Nie musi tak być — powiedział Bourne. — Nie ma powodu, żebyśmy byli wrogami.

— Nie ma powodu, żebyśmy nimi nie byli. — Rosjanin odskoczył, zaatakował, bez powodzenia. — Nie rozumiesz? Jesteśmy tacy sami, ty i ja. Nie możemy żyć obaj w jednym świecie. Jeden z nas zginie z ręki drugiego.

Bourne patrzył mu w oczy i chociaż jego słowa były słowami szaleńca, nie słyszał w nich szaleństwa, tylko nieopisaną rozpacz i żelazną wolę zemsty. Arkadin miał rację, przynajmniej z pewnego punktu widzenia. Pozostała mu już tylko zemsta, tylko dla niej żył. Tarkanian i

Dewra odeszli; jedyne, co miało jeszcze jakieś znaczenie, to pomścić ich śmierć. Jego decyzji nie mogły zmienić żadne słowa; byłyby tylko racjonalną reakcją na irracjonalny impuls. To prawda, obaj nie mogli istnieć w tym samym świecie.

W tym momencie Arkadin zamarkował uderzenie nożem z prawej, jednocześnie zadając lewą pięścią cios, który wstrząsnął Bourne'em. Drugi atak nożem trafił, ostrze pogrzyżyło się w jego lewym udzie. Jason stęknął, zdołał ustać na rannej nodze, dostał w nią cios stopą. Trysnęła krew, upadł. Leżąc, blokował ciosy noża, nie mógł jednak bronić się przed uderzeniami w twarz.

Wiedział, że długo tego nie wytrzyma. Żądza zemsty dawała Rosjaninowi nadludzką siłę. Rozpaczliwie walcząc o życie, Bourne zdołał wytoczyć się spod napastnika. Kulejąc, pobiegł w kierunku drabiny.

Arkadin dopadł go po zaledwie kilku szczeblach. Bourne kopnął go ranną nogą, co go zaskoczyło. Trafił w podbródek, stracił przeciwnika na pokład. Wspinał się najszybciej, jak potrafił, noga mu płonęła, ciągnął za sobą smugę krwi, wyciskaną z rany rozpaczliwie pracującymi mięśniami.

Wydostał się na wyższy pokład, ale wspinał się nadal, aż wreszcie znalazł się na pierwszym dolnym poziomie, gdzie, według relacji Moiry, mieściła się kuchnia. Zabrał z niej dwa noże, zdołał schować w kieszeni solniczkę i w tym momencie zobaczył w drzwiach Arkadina.

Walczyli, ale kuchenne utensylia Bourne'a nie umywały się do doskonale wyważonego sprzęzynowca o cienkim ostrzu. Kolejną ranę dostał w pierś. Kopnął Arkadina w twarz, rzucił swoje noże, próbował odebrać przeciwnikowi śmiertcionośną broń. Bez skutku. Trzeci cios omal nie przebił mu wątroby. Cofnął się i drabiną wydostał na otwarty pokład.

Gazowiec niemal się zatrzymał. Kapitan był zajęty, nadzorował przyjmowanie holu od holowników, które miały odprowadzić statek do terminalu. Bourne nie widział Moiry, za co w myślach podziękował Bogu. Przynajmniej trzymała się z dala od Arkadina.

Szukał ucieczki w sanktuarium wielkiego miasta zbiorników z gazem, lecz Arkadin zdążył mu przeszkodzić, skoczył na niego i przewrócił go na ziemię. Toczyli się, spleceni w uścisku, aż oparli się o reling bakburty. Daleko pod nimi fale uderzały w kadłub gazowca. Jeden z holowników, podpływając bliżej, dał sygnał syreną. Arkadin zeszywniał, dla niego był to sygnał ucieczki z jednego z więzień Niżnego Tagiłu. Poczłł smak siarczanego dymu wypełniającego mu płuca, głowę tonącej Marlene między kostkami nóg, przed oczami miał czarne niebo i potworną twarz Stasia Kuzina. Słyszał strzały, to Siemion Ikupow zabijał Dewrę.

Ryknął niczym tygrys, poderwał Bourne'a na równe nogi, zasypał lawiną ciosów, spychał go, aż Amerykanin oparł się o reling. W tym momencie Bourne wiedział, że zginie tak, jak się urodził, spadający z pokładu statku w morskie fale, zagubiony w morskiej głębinie, z łaski bożej zaplątany w sieć i wyłowiony wraz z ładunkiem ryby. Twarz miał zakrwawioną, spuchniętą, nie mógł unieść ciężkich, bezwładnych ramion. Jego czas się kończył.

Dosłownie w ostatniej chwili wyrwał z kieszeni solniczkę, zmiażdżył ją o reling i cisnął zawartość w oczy Arkadina. Rosjanin krzyknął z zaskoczenia i bólu, instynktownie podniósł rękę i w tym momencie Bourne wyrwał mu nóż, ale on, mimo że ślepy, walczył nadal. Chwył ostrze, z nadludzką siłą, nie zważając na porozcinane palce, odzyskał broń. Bourne go odepchnął. Rosjanin, znów uzbrojony, odzyskujący wzrok mimo płynących z oczu łez, zaatakował z głową wsuniętą w ramiona. Włożył w ten atak całą swą siłę, całą determinację.

Jason Bourne miał jedną jedyną, ostatnią szansę. Zrobił krok w stronę atakującego, zignorował nóż, chwycił Arkadina za mundurową kurtkę na piersiach i, wykorzystując samą siłę ataku, przyjął go na wystawione biodro. Wykonał rzut, uda Rosjanina uderzyły o reling, górna część ciała przeważyła.

Długo spadał z wysokości dwunastu pięter, lecz wreszcie pogrzył się w falach.

Rozdział 45

— Potrzebuję wakacji — powiedziała Moira. — Mam wrażenie, że Bali dobrze by mi zrobiło.

Ona i Bourne znajdowali się w klinice NextGen, położonej na terenie firmy, w budynkach stojących nad Pacyfikiem. „Moon of Hormuz” bez problemu dobił do terminalu. Przywieziony przez niego płynny gaz pod ciśnieniem przepompowywano do zbiorników na łądzie, gdzie po podgrzaniu, sześćsetkrotnie zwiększywszy swą objętość, miał trafić do indywidualnych odbiorców i firm. Laptopa dostał dział informatyczny NextGen, gdzie program miał przejść dokładną analizę, a następnie zostać unieszkodliwiony na zawsze. Klinikę właśnie opuścił bezgranicznie wdzięczny prezes zarządu firmy, po mianowaniu Moiry prezesem działu ochrony i oferowaniu Bourne’owi doskonale płatnej pracy konsultanta. Bourne zadzwonił do Sorai, oboje przekazali sobie najważniejsze informacje. Dał jej adres domu Sewera, opisawszy prowadzoną tam tajną działalność.

— Chciałbym się kiedyś dowiedzieć, co to takiego: wakacje — powiedział, skończywszy rozmowę.

— Cóż... — Moira uśmiechnęła się ujmująco. — Wystarczy poprosić.

Bourne rozważał jej słowa przez bardzo długą chwilę. Nigdy nie

zastanawiał się nad tą możliwością, ale jeśli ma ją kiedyś wykorzystać, to teraz jest najlepszy czas. Spojrzał Moirze w oczy i skinął głową. Jej uśmiech stał się jeszcze pogodniejszy.

— NextGen załatwi wszystkie formalności — powiedziała. — Na jak długo chcesz wyjechać?

— Hm... w tej chwili powiedziałbym, że na zawsze.

Po drodze na lotnisko Bourne zatrzymał się przy Memorial Medical Centre w Long Beach, gdzie leżał profesor Sewer. Moira, która nie miała ochoty na odwiedziny, czekała z kierowcą w limuzynie udostępnionej im przez firmę. Profesor leżał w prywatnym pokoju na piątym piętrze. Z jego szyi wychodziła gruba rura prowadząca do respiratora dyszącego jak astmatyk, mniejsze rurki miał powbijane w ramiona. Z ramy łóżka zwisał cewnik podłączony do plastikowego pęcherza. Sine powieki zamykające oczy były tak cienkie, że niemal rozpoznawał pod nimi kształt źrenic.

Stojąc przy łóżku swego niegdysiejszego mentora, Bourne odkrył ku własnemu zdziwieniu, że nie ma nic do powiedzenia. Zastanawiał się nawet, dlaczego w ogóle postanowił tu przyjść. Może chciał spojrzeć raz jeszcze w twarz zła? Arkadin był po prostu mordercą, ten człowiek zaś powoli, cierpliwie, sam z siebie tworzył kłamcę, zdrajcę, oszusta. A jednak sprawiał w tej chwili wrażenie tak kruchego, tak bezbronego, że nie sposób było zrozumieć, jak ktoś taki mógł opracować potworny plan obrócenia w popiół większej części Long Beach. Dlatego, że jak sam przyznał, jego sekta nie potrafiła żyć we współczesnym świecie, więc musiała go zniszczyć. Czy był to prawdziwy powód, czy też on, Bourne, został oszukany po raz kolejny? Tego nie dowie się nigdy.

Bliskość Sewera przyprawiła go o mdłości. Odwrócił się... i stanął twarzą w twarz z niewysokim, eleganckim mężczyzną, który właśnie wszedł do pokoju i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

— Jason Bourne? — spytał, a gdy Bourne skinął głową, powiedział: — Jestem Frederick Willard.

— Soraya opowiadała mi o panu. Doskonała robota, Willard.

— Dziękuję, sir.

— Proszę nie mówić do mnie „sir”.

Willard uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Proszę o wybaczenie. Tak długo odgrywałem swą rolę, że poza nią nic już mi nie zostało. — Spojrzał na Sewera. — Sądzi pan, że przeżyje?

— Na razie żyje... choć ja nie nazwałbym tego życiem.

Skinął głową, choć nie sprawiał wrażenia zainteresowanego zdrowiem leżącego w szpitalnym łóżku człowieka.

— Na dole mam samochód — powiedział Bourne.

— Tak się składa, że ja też. — Willard się uśmiechnął, lecz tym razem był to smutny uśmiech. — Wiem, że pracował pan dla Treadstone.

— Nie dla Treadstone. Dla Conklina.

— Ja też dla niego pracowałem, wiele lat temu. Treadstone i on to jedno. Nie ma różnicy.

Bourne zaczął się niecierpliwic. Spieszyło mu się do Moiry, chciał zobaczyć wreszcie migdałowe niebo Bali.

— Rozumie pan, znam sekrety Treadstone. Wszystkie sekrety Treadstone. O tym wiemy tylko pan i ja, panie Bourne.

Weszła pielęgniarka, bezgłośnie w swych białych pantoflach. Sprawdziła aparaturę, wpisała coś w kartę choroby i wyszła bez słowa.

— Panie Bourne... długo zastanawiałem się, czy panu o tym powiedzieć. Nurtowały mnie wątpliwości... — odchrząknął. — Chodzi o tego mężczyznę, z którym walczył pan na gazowcu, Rosjanina...

— Arkadina.

— Oczywiście. Leonida Daniłowicza Arkadina. — Willard spojrzął w oczy Bourne'a, który aż skrzywił się w duszy. — Widzi pan, on też był z Treadstone.

— Co? — Bourne nie wierzył własnym uszom. — Arkadin był z Treadstone?

Willard skinął głową.

— Przed panem. Szczerze mówiąc, Conklin trenował go tuż przed panem.

— W takim razie... co się z nim stało? Dlaczego skończył, pracując dla Ikupowa?

— To właśnie Ikupow załatwił mu trening. Dawno, dawno temu on i Ikupow byli przyjaciółmi. Kiedy Conklin dowiedział się o Arkadinie, był nim zafascynowany. W owym czasie Treadstone przechodziło w kolejną fazę; sądził, że on idealnie się do niej nadaje. Ale ten Rosjanin się zbuntował. Zerwał z organizacją, uciekł do kraju.

Bourne rozpaczliwie próbował przetrwać te informacje. Po chwili milczenia powiedział:

— Willard, czy ty wiesz, o co chodziło Aleksowi? Po co stworzył Treadstone?

— Och tak, oczywiście. Przecież powiedziałem, że wiem wszystko. Pański przyjaciel i mentor Alex Conklin próbował stworzyć bestię doskonałą.

— Bestię doskonałą? Co to ma znaczyć?

Ale Bourne już wiedział. Poznał prawdę, patrząc Arkadinowi w oczy, widząc w nich odbicie siebie samego.

— Ostatecznego, najdoskonalszego wojownika. — Willard odwrócił się z ręką na kłamece. Znow się uśmiechał. — Bo pan nim właśnie jest. Leonid Daniłowicz Arkadin także nim był... póki nie trafił na pana. — Prześlizgnął się wzrokiem po twarzy Bourne'a, jakby szukał w niej śladu człowieka, który stworzył z niego ideał tajnego agenta. — W końcu mu się udało, prawda?

Bourne poczuł, że robi mu się bardzo zimno.

— Co pan ma na myśli?

— Pan przeciw Arkadinowi... tak miało być od początku. — Willard otworzył drzwi. — Szkoda, że Conklin nigdy się nie dowie, kto zwyciężył. Pan, panie Bourne. Pan.